

złak literatura nowa

JENNIFER
EGAN

Autorka nagrodzona Pulitzerem

MANHATTAN
BEACH

Manhattan Beach

Jennifer Egan

Manhattan Beach

tłumaczenie Anna Gralak

znak *litera*
nowa

KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału

Manhattan Beach

Copyright © Jennifer Egan, 2017

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Projekt okładki

Zuzanna Weremiuk

Grafika na okładce

Copyright © CPD-Lab / Shutterstock

Redakcja

Magdalena Matyja-Pietrzyk

Opieka redakcyjna

Bogna Rosińska

Adiustacja

Anna Niklewicz

Korekta

Katarzyna Onderka

Łamanie

Piotr Poniedziałek

ISBN 978-83-240-4832-8

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl Społeczny Instytut Wydawniczy
Znak

ul. Kościuszki 37,30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2018

Druk: CPI Moravia Books s.r.o.

*Christinie, Matthew i Alexandrze Eganom
oraz Robertowi Eganowi - naszemu wujkowi Bobowi*

*Tak, wszystkim to wiadomo, że medytacja i woda poślubione są
sobie na zawsze.*

Herman Melville,
Moby Dick czyli *Biały wieloryb*,
tłum. Bronisław Zieliński,
Warszawa 1985, s. 24

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYBRZEŻE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zanim Anna zdała sobie sprawę, że ojciec się denerwuje, zdążyli dojechać do domu pana Stylesa. Jej uwagę pochłaniała, po pierwsze, sama podróż, żeglowanie po Ocean Parkway, jakby zmierzali na Coney Island, choć od Bożego Narodzenia minęły już cztery dni i na plaży było nieznośnie zimno. Po drugie, pochłaniał ją sam dom: trzypiętrowy pałac ze złotej cegły, z oknami ze wszystkich stron, głośnie łopotanie markiz w zielono-żółte pasy. Był to ostatni dom przy ulicy kończącej się ślepo nad brzegiem morza.

Ojciec z wprawą zaparkował duesenberga model j przy krawężniku i wyłączył silnik.

- Skarbie - powiedział - nie gap się na dom pana Stylesa.
- Oczywiście, że nie będę się gapiała na jego dom.
- Właśnie to robisz.
- Nie - odparła. - Ja tylko na niego patrzę.
- Czyli się gapisz - stwierdził. - Właśnie to nazywają gapieniem się.
- Wcale nie.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Nie gap się.

Właśnie wtedy to zauważyła. Usłyszała, jak ojciec głośno przełyka ślinę, i poczuła w żołądku świergot niepokoju. Nie przywykła do widoku zdenerwowanego ojca. Rozkojarzonego - a i owszem. Zatrokanego - tym bardziej.

- Dlaczego pan Styles nie lubi, kiedy ktoś się gapi? — spytała.
- Nikt tego nie lubi.
- Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś.
- Chciałabyś wrócić do domu?
- Nie, dziękuję.
- Mogę cię odwiedzić.
- Jeśli zacznę się gapić?
- Jeśli przyprawisz mnie o ból głowy, który właśnie zaczyna mi dokuczać.
- Jeśli odwiedzisz mnie do domu - powiedziała Anna - okropnie się

spóźnisz.

Myślała, że ją uderzy. Raz to zrobił - gdy puściła wiązaną przekleństw zasłyszanych w dokach, jego dłoń odnalazła jej twarz niepostrzeżenie niczym bat. Widmo tego policzka nadal prześladowało Annę, przynosząc dziwny skutek w postaci jeszcze większej zuchwałości na znak sprzeciwu.

Ojciec potarł ręką czoło, a następnie znów spojrział na córkę. Jego zdenerwowanie minęło. Wyleczyła go.

- Anno - zwrócił się do córki - wiesz, czego teraz od ciebie oczekuję.
- Oczywiście.
- Kiedy będę rozmawiał z panem Stylesem, bądź czarująca dla jego dzieci.
- Wiedziałam, tato.
- Jasne, że wiedziałas.

Wysiadła z duosenberga, otwierając szeroko załamane od słońca oczy. Samochód należał do nich, dopóki nie nastąpił krach na giełdzie. Teraz był własnością związku, który wypożyczał go jej ojcu, gdy ten załatwiał związkowe sprawy. Anna lubiła towarzyszyć tacie w dni wolne od szkoły - jeździli na tory wyścigowe, na śniadania komunijne i kościelne imprezy, do biurowców, w których windy unosiły ich na najwyższe piętra, czasami nawet do jakiejś restauracji. Ale jeszcze nigdy nie byli w takim domu jak ten.

Drzwi otworzyła pani Styles. Miała wyregulowane brwi gwiazdy filmowej i szerokie usta umalowane lśniąca, czerwoną szminką. Ewidentna uroda gospodyni rozbroiła Annę, przyzwyczajoną do uznawania swojej matki za ładniejszą od wszystkich spotykanych kobiet.

- Miałam nadzieję, że poznam panią Kerrigan - powiedziała pani Styles chropawym głosem, ujmując rękę ojca Anny w obie dłonie. Odpowiedział jej, że rano rozchorowała się jego młodsza córka i żona została w domu, żeby się nią opiekować.

Nigdzie nie było widać pana Stylesa.

Anna uprzejmie, ale (miała nadzieję) bez widocznego onieśmielenia, przyjęła szklankę lemoniady ze srebrnej tacy przyniesionej przez czarną służącą w błękitnym uniformie. W wypolerowanej na wysoki połysk drewnianej podłodze w holu zauważyła odbicie swojej czerwonej sukienki uszytej przez matkę. Za oknami sąsiadującego z holem salonu morze połyskiwało w słabym zimowym słońcu.

Córka pana Stylesa, Tabatha, miała zaledwie osiem lat -o trzy mniej niż Anna. Mimo to Anna pozwoliła młodszej dziewczynce zaprowadzić się za rękę do znajdującego się piętro niżej „pokoju dziecięcego” przeznaczonego wyłącznie do zabawy, wypełnionego porażającą różnorodnością zabawek. Szybki przegląd zaowocował odkryciem lalki Flossie Flirt, kilku olbrzymich misiów i konika na biegunach. W pokoju dziecięcym była także „niania” - piegozata, zachrypnięta kobieta w wełnianej, powściągniętej masywnej sukience napiętej jak przeładowany regał. Widząc jej szeroką twarz i wesoło rozbiegane oczy, Anna domyśliła się, że niania jest Irlandką, i poczuła strach, że kobieta ją przejrzy. Postanowiła zachować dystans.

Dwaj mali chłopcy - bliźniacy albo przynajmniej uderzająco do siebie podobni - biedzili się nad torem kolejki elektrycznej. Częściowo po to, by uniknąć niani, która odrzuciła prośby podopiecznych o pomoc, Anna przykucnęła obok niepołączonych jeszcze elementów i zaoferowała swoje usługi. Pod opuszkami czuła logikę mechanizmu. Przychodziło jej to tak naturalnie, że mogła jedynie wysnuć wniosek, iż inni ludzie po prostu za słabo się starają. Zawsze patrzyli, a podczas składania czegoś z części patrzenie było równie bezużyteczne jak studiowanie obrazu dotykiem. Anna przymocowała element, który sprawiał chłopcom kłopot, i z otwartego niedawno pudła wyjęła kolejne. Był to pociąg firmy Lionel, jakość toru wyczuwało się w stanowczości, z jaką łączyły się poszczególne elementy. Składając je w całość, Anna spoglądała co jakiś czas na lalkę Flossie Flirt wepchniętą na koniec półki. Dwa lata temu tak strasznie takiej pragnęła, że najwyraźniej pozostały w niej resztki tamtej desperacji. Dziwnie i nieprzyjemnie było odkryć to dawne pragnienie właśnie teraz, w tym miejscu.

Tabatha kołysała swoją nową bożonarodzeniową lalkę, Shirley Tempie w futrze z lisów. Jak urzeczona patrzyła na Annę, która budowała tor kolejowy dla jej braci.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.
- Niedaleko.
- Przy plaży?
- Blisko plaży.
- Mogę do ciebie przyjść?
- Oczywiście - odpowiedziała Anna, łącząc części równie szybko, jak chłopcy je podawali. Ósemka była już prawie gotowa.
- Masz braci? - spytała Tabatha.

- Mam siostrę - odparła Anna. - Ma osiem lat, tak jak ty, ale jest podła. Dlatego że jest bardzo ładna.

Tabatha wyglądała na zaniepokojoną.

- Jak bardzo?

- Niesamowicie ładna - mruknęła ponuro Anna, a następnie dodała: - Wygląda jak nasza matka, która tańczyła w Follies. - Po chwili uświadomiła sobie błąd związany z tą przechwałką. „Nigdy nie podawaj faktów, chyba że nie masz innego wyjścia”. Głos ojca w jej uszach.

Ta sama czarna służąca co wcześniej podała lunch na stole w pokoju zabaw. Siedzieli na małych krzesłach jak dorośli, rozłożywszy na kolanach materiałowe serwetki. Anna spojrzała kilka razy na lalkę Flossie Flirt. Szukała pretekstu, by ją potrzymać, a jednocześnie nie zdradzić, że jest nią zainteresowana. Wystarczyłoby, gdyby mogła ją po prostu poczuć w ramionach.

Po lunchu, w nagrodę za dobre sprawowanie, niania pozwoliła dzieciom włożyć płaszcze i czapki, wybiec tylnymi drzwiami i popędzić ścieżką, która wiodła za domem pana Stylesa, ku prywatnej plaży. Długi łuk przyprószonego śniegiem piasku chylił się ku morzu. Anna bywała zimą w dokach, wiele razy, ale nigdy nie była na plaży. Małe fale wznosiły się pod skorupką lodu, która pękała pod jej stopami. Mewy krzyczały i nurkowały w porywistym wietrze; miały śnieżnobiałe brzuchy. Bliźniacy zabrali ze sobą pistolety laserowe w stylu Bucka Rogersa, lecz wiatr zmienił ich strzelaninę i przedśmiertne drgawki w pantomimę.

Anna wpatrywała się w morze. Stojąc nad jego brzegiem, czuła coś dziwnego: elektryzującą mieszaninę fascynacji i strachu. Co by się ukazało, gdyby cała ta woda nagle zniknęła? Krajobraz zgubionych przedmiotów: zatopione statki, ukryty skarb, złoto, drogie kamienie i bransoletka z zawieszkami, która zsunęła jej się z nadgarstka i wpadła do kanału burzowego. Zwłoki, dodawał zawsze ojciec ze śmiechem. Według niego ocean był pustkowiem.

Anna spojrzała na Tabby (bo tak ją nazywano), która drżała z zimna, stojąc obok niej, i zapragnęła jej powiedzieć, co czuje. Często łatwiej mówi się różne rzeczy obcym. Zamiast tego powtórzyła jednak zdanie, które zawsze wypowiadał jej ojciec, patrząc na pusty horyzont:

- Jak okiem sięgnąć ani jednego statku.

Chłopcy ciągnęli pistolety po piasku, kierując się w stronę fal

uderzających o brzeg, a za nimi szła zasapana niania.

- Phillipie, Johnie-Martinie, nie wolno się zbliżyć do wody - wychrypiąca zdumiewająco donośnym głosem. - Czy wyrażam się jasno? - Rzuciła surowe spojrzenie Annie, która ich tam zaprowadziła, po czym zagoniła bliźniaków do domu.

- Masz coraz bardziej mokre buty - powiedziała Tabby, szczękając zębami.

- Zdejmujemy je? - spytała Anna. - Żeby poczuć zimno?

- Ale ja nie chcę czuć zimna!

- A ja chcę.

Tabby patrzyła, jak Anna odpina sprzączki czarnych lakierków, którymi dzieliła się z Zarą Klein z dołu. Anna zsunęła wełniane pończochy i włożyła białe, kościste, długie jak na jej wiek stopy do lodowatej wody. Każda z nich przekazała sercu rozziewające doznanie, składające się po części z płomienia bólu, który okazał się niespodziewanie przyjemny.

- I jak? - pisała Tabby.

- Zimno - powiedziała Anna. - Okropnie, okropnie zimno. - Musiała zebrać wszystkie siły, żeby się nie wzdrygnąć, a ten opór tylko spotęgował dziwną ekscytację. Spojrzała w stronę domu i daleko od piasku zobaczyła dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach idących utwardzoną ścieżką. Przytrzymywali kapelusze na wietrze i wyglądali jak aktorzy w niemym filmie.

- To nasi tatusiowie?

- Tata lubi rozmawiać o interesach poza domem - powiedziała Tabby. - Z dała od wścibskich uszu.

Anna poczuła dobrotliwe współczucie dla małej Tabathy, wykluczonej z interesów ojca, podczas gdy Annie wolno było się przysłuchiwać, gdy tylko miała ochotę. To, co słyszała, było niezbyt interesujące. Praca jej ojca polegała na przekazywaniu pozdrowień i życzeń między ludźmi ze związku a ich przyjaciółmi. W skład tych pozdrowień wchodziły koperty, czasami jakaś paczka, którą jej ojciec dostarczał albo odbierał jak gdyby nigdy nic - umknęłoby to każdemu, kto nie zwracał na takie rzeczy uwagi. Przez te wszystkie lata często mówił do Anny, nie wiedząc, że mówi, a ona słuchała, nie wiedząc, co słyszy.

Zaskoczył ją znajomy, ożywiony ton ojca rozmawiającego z panem

Stylesem. Najwyraźniej byli przyjaciółmi. Pomimo tego wszystkiego.

Mężczyźni zmienili kurs i ruszyli po piasku w stronę Anny i Tabby. Anna pospiesznie wyszła z wody, ale buty zostawiła zbyt daleko, by na czas włożyć je z powrotem. Pan Styles był barczystym, imponującym mężczyzną z czarnymi, pociągniętymi brylantyną włosami, które wymykały się spod runda kapelusza.

- To pana córka? - spytał. - Wytrzymuje arktyczne temperatury i to nawet bez pończoch?

Anna wyczuła niezadowolenie ojca.

- Na to wygląda - powiedział. - Anno, przywitaj się z panem Stylesem.

- Bardzo mi miło pana poznać. - Mocno ścisnęła mężczyźnie dłoń, tak jak ją nauczył ojciec. Pamiętała o tym, żeby się na niego nie gapić, a jedynie spoglądać, zadzierając głowę. Pan Styles wydawał się młodszy od jej ojca, nie miał na twarzy cieni ani zmarszczek. Dostrzegła jego czujność, skwierczące napięcie, które przenikało nawet przez wydymający się na wietrze płaszcz. Sprawiał wrażenie kogoś, kto tylko czeka, aż coś go zmusi do reakcji albo rozbawi. Teraz tym czymś była Anna.

Pan Styles przykucnął obok niej na piasku i spojrzał jej prosto w oczy.

- Dlaczego zdjęłaś buty? - spytał. - Nie czujesz zimna czy się popisujesz?

Nie miała gotowej odpowiedzi. Nie chodziło o żadną z tych rzeczy, był to raczej impuls nakazujący jej podtrzymać fascynację i niepewność Tabby. Nawet tego nie potrafiła jednak wyartykułować.

- Po co miałabym się popisywać? - odparła. - Mam prawie dwanaście lat.

- Więc jakie to uczucie?

Mimo wiatru wyczuła w jego oddechu miętę i alkohol. Nagle uświadomiła sobie, że ojciec nie słyszy ich rozmowy.

- Boli tylko na początku - powiedziała. - Po chwili nic się nie czuje.

Pan Styles uśmiechnął się, jakby jej odpowiedź była piłką, której złapanie sprawiło mu wyraźną przyjemność.

- Słowa, według których warto żyć - odrzekł, po czym wstał, znów prezentując swą olbrzymią sylwetkę. - Silna z niej dziewczyna - zwrócił się do ojca Anny.

- Na to wygląda. - Ojciec unikał jej wzroku.

Pan Styles strzepnął piasek ze spodni i odwrócił się, jakby zamierzał odejść. Wyczerpał możliwości, jakie oferowała ta chwila, i już szukał następnej.

- Są silniejsze od nas - powiedział do ojca Anny. - Mamy szczęście, że o tym nie wiemy.

Myślała, że się odwróci, żeby na nią spojrzeć, ale widocznie zapomniał.

*

Dexter Styles czuł piasek wdzierający się do jego oksfordów, gdy mozolnie wracał na ścieżkę. Tak jak się spodziewał, uśpiona twardość, którą wyczuwał w Edzie Kerriganie, wspaniale rozkwitła w jego ciemnonokiej córce. Dowód na to, w co zawsze wierzył: mężczyźni zdradzają ich dzieci. To dlatego Dexter rzadko robił z kimś interesy, zanim poznał jego rodzinę. Żałował, że jego Tabby także nie zdjęła butów.

Kerrigan jeździł modelem j. duzenberga z dwudziestego ósmego roku w kolorze Niagara blue, co świadczyło zarówno o dobrym guście, jak i o świetlanych perspektywach przed krachem. Miał znakomitego krawca. Było w nim jednak coś mrocznego, niepasującego do tych ubrań, samochodu, a nawet do szczerej, potocznej mowy. Jakiś cień, jakiś smutek. Choć z drugiej strony kto ich nie miał? Albo i kilku?

Nim dotarli do ścieżki, Dexter postanowił zatrudnić Kerrigana, pod warunkiem że uda im się uzgodnić korzystne warunki.

- Ma pan czas, żeby pojechać na spotkanie z moim starym przyjacielem? - spytał.

- Oczywiście - powiedział Kerrigan.

- Żona na pana nie czeka?

- Dopiero w porze kolacji.

- A córka? Będzie się niepokoiła?

Kerrigan się roześmiał.

- Anna? Jej główne zajęcie to niepokojenie mnie.

*

Anna myślała, że ojciec lada chwila ją zawoła i będzie musiała zejść z plaży, ale ostatecznie przyszła po nie niania i psiocząc z oburzeniem, kazała

im wracać do ciepłego domu. Światło się zmieniło, pokój zabaw wydawał się teraz ciężki i mroczny. Ogrzewał go osobny piecyk na drewno. Jedli ciastka z orzechami włoskimi i patrzyli, jak kolejka elektryczna pędzi po zbudowanym przez Annę torze w kształcie ósemki, a z miniaturowego komina bucha prawdziwa para. Dziewczyna nigdy nie widziała takiej zabawki, nie wyobrażała sobie, ile to mogło kosztować. Miała już dość tej przygody. Trwała o wiele dłużej niż ich zwykłe wizyty towarzyskie i odgrywanie roli przed resztą dzieci zdążyło wyczerpać Annę. Miała wrażenie, że upłynęły całe godziny, odkąd widziała ojca. W końcu chłopcy zostawili jeżdżącą kolejkę i poszli przeglądać książki z obrazkami. Niania zasnęła w fotelu na biegunach. Tabby leżała na plecionym dywanie, kierując swój nowy kalejdoskop w stronę lampy.

- Mogę potrzymać twoją Flossie Flirt? - spytała Anna jak gdyby nigdy nic.

Tabby mruknęła przyzwalająco i Anna ostrożnie zdjęła lalkę z półki. Flossie Flirts występowały w czterech rozmiarach, ta była prawie najmniejsza - nie noworodek, lecz trochę większe niemowlę o zdumionych błękitnych oczach. Anna przewróciła lalkę na bok. I rzeczywiście, tak jak obiecywały reklamy w gazetach, błękitne tęczęwki przesunęły się ku kącikom, jakby lalka nie chciała spuścić Anny z oczu. Anna poczuła przypływ czystej radości i o mało się nie roześmiała. Usta lalki były ściągnięte w idealne „O”. Pod górną wargą zauważyła dwa namalowane białe ząbki.

Tabby zerwała się na równe nogi, jakby zwabiła ją woń zachwyty Anny.

- Możesz ją sobie wziąć - zawołała. - Już się nią nie bawię.

Anna chłonęła moc tej propozycji. W Boże Narodzenie dwa lata temu, gdy tak bardzo pragnęła mieć Flossie Flirt, nie odważyła się o nią poprosić - statki przestały przyplýwać i nie mieli pieniędzy. Przemienne fizyczne pragnienie posiadania tej lalki, które wtedy czuła, przedarło się teraz przez nią i osłabiło głęboko zakorzenioną świadomość, że oczywiście musi odmówić.

- Nie, dziękuję — powiedziała w końcu. - W domu mam większą. Chciałam tylko sprawdzić, jaka jest ta mała. - Nadludzkiem wysiłkiem zmusiła się do odłożenia Flossie Flirt na półkę, lecz nadal trzymała ją za gumową nóżkę, dopóki nie poczuła na sobie wzroku niani. Odwróciła się, udając obojętność.

Za późno. Niania zobaczyła - i już wiedziała. Gdy Tabby wyszła z pokoju, zawołana przez matkę, niania wzięła Flossie Flirt i niemal rzuciła ją Annie.

- Weź ją, kochanie - szepnęła z przejęciem. - Dla niej to bez znaczenia.

Ma więcej zabawek, niż jej potrzeba. Jak oni wszyscy.

Anna się zawahała, już prawie wierząc, że istnieje sposób, by niepostrzeżenie zabrać lalkę do domu. Na samą myśl o reakcji ojca utwierdziła się jednak w przekonaniu, że to niemożliwe.

- Nie, dziękuję - odrzekła chłodno. - Zresztą jestem za duża na lalki.

Nie oglądając się za siebie, wyszła z pokoju zabaw. Ale współczucie niani ją osłabiło i gdy wspinała się po schodach, drżały jej kolana.

Gdy zobaczyła ojca czekającego w holu, z trudem powstrzymała się od tego, by jak dawniej podbiec i objąć go za nogi. Miał na sobie płaszcz. Pani Styles przyszła się pożegnać.

- Następnym razem musisz przyprowadzić siostrę - powiedziała do Anny, całując ją w policzek i muskając piżmowym zapachem perfum. Anna obiecała, że przyprowadzi. Na zewnątrz model j pobłyskiwał słabo w słońcu późnego popołudnia. Kiedy należał do nich, lśnił bardziej. Chłopcy ze związku rzadziej go polerowali.

Gdy wracali od pana Stylesa, Anna szukała odpowiedniej błyskotliwej uwagi, żeby rozbroić ojca - takiej, jakie rzucała bez zastanowienia, kiedy była młodsza, a jego zdumiony śmiech jako pierwszy uświadamiał jej, że jest zabawna. Ostatnio często przyłapywała się na tym, że próbuje odtworzyć jakiś wcześniejszy stan, jakby utraciła pewną świeżość lub niewinność.

- Zdaje się, że pan Styles nie inwestował w akcje — powiedziała wreszcie.

Zaśmiał się i ją przytulił.

- Pan Styles nie potrzebuje akcji. Ma nocne kluby. I inne rzeczy.

- Jest w związku?

- O, nie. Nie ma ze związkiem nic wspólnego.

To ją zaskoczyło. Z grubsza biorąc, związkowcy nosili kapelusze, a dokerzy czapki. Niektórzy, na przykład jej ojciec, mogli nosić jedne i drugie, w zależności od dnia. Anna nie wyobrażała sobie ojca z dokerskim hakiem, gdy był ładnie ubrany, na przykład teraz. Jej matka zachowała egzotyczne pióra z występów i ozdabiała nimi jego kapelusze. Przerabiała garnitury, by nie wychodziły z mody i pasowały do jego żylastej sylwetki - schudł, odkąd przestały przypluwać statki, i rzadziej ćwiczył.

Ojciec prowadził jedną ręką, z papierosem wetkniętym między dwa palce spoczywające na kierownicy, a drugą obejmował Annę. Przytuliła się do

niego. W końcu zawsze byli tylko we dwoje, w ruchu; Anna unosiła się na fali sennego zadowolenia. Oprócz papierosowego dymu wyczuła w samochodzie coś nowego, jakiś ilasty, znajomy zapach, którego nie mogła do końca skojarzyć.

- Dlaczego zdjęłaś buty, skarbie? - spytał tak, jak wiedziała, że spyta.
- Żeby poczuć wodę.
- Tak robią tylko małe dziewczynki.
- Tabatha ma osiem lat, a nie zrobiła.
- Ma więcej rozumu.
- Panu Stylesowi się podobało.
- Nie masz pojęcia, co myśli pan Styles.
- Mam. Rozmawiał ze mną, kiedy nie słyszałeś.
- Zauważyłem - powiedział, zerkając na nią. - Co mówił?

Jej umysł wrócił do piasku, zimna, bólu stóp i kuczającego obok, zaciekawionego mężczyzny - to wszystko połączyło się z jej tęsknotą za Flossie Flirt.

- Powiedział, że jestem silna - odrzekła, czując, jak gula w gardle zniekształca jej głos. Rozmazał jej się obraz przed oczami.
- Bo jesteś, skarbie - powiedział, całując ją w czoło. - Każdy to widzi.

Na światłach wytrząsnął następnego papierosa z paczki raleighów. Anna zajrzała do środka, ale kupon zabrała już wcześniej. Żałowała, że ojciec nie pali więcej. Zebrała siedemdziesiąt osiem kuponów, lecz kuszące przedmioty w katalogu zaczynały się dopiero od stu dwudziestu pięciu. Za osiemset można było zdobyć srebrną zastawę dla sześciu osób w specjalnej skrzyneczce, a za siedemset automatyczny toster. Te liczby wydawały się jednak nieosiągalne. Katalog B&W Premiums zawierał niewiele zabawek: jedynie pluszową pandę Frank Buck albo lalkę Betsy Wetsy z kompletną wyprawką za dwieście pięćdziesiąt, lecz te przedmioty jej nie interesowały. Marzyła o tarczy do gry w rzutki „dla starszych dzieci i dorosłych”, ale nie wyobrażała sobie rzucania ostrymi strzałkami w ich małym mieszkaniu. Co by było, gdyby któraś trafiła w Lydię?

Nad obozowiskami w Prospect Parku unosił się dym. Byli już prawie w domu.

- Byłbym zapomniał - powiedział ojciec. - Spójrz, co tu mam. - Wyjął

zza poły płaszcz papierową torbę i podał ją Annie. W środku czerwieniły się pomidory. To właśnie ich świeży, ziemisty zapach wcześniej wyczuła.

- Jak to? - zdziwiła się. - Zimą?

- Pan Styles ma przyjaciela, który uprawia je w domku ze szkła. Pokazał mi ten domek. Zrobimy mamie niespodziankę, dobrze?

- Pojechaliście gdzieś? Kiedy ja byłam w domu pana Stylesa? - Poczuła urazę zmieszaną ze zdumieniem. Przez te wszystkie lata, kiedy towarzyszyła ojcu podczas załatwiania spraw, nigdy jej nigdzie nie zostawiał. Zawsze był w zasięgu wzroku.

-Tylko na chwilę, skarbie. Nawet nie zdążyłaś za mną zatęsknić.

- Daleko?

- Niedaleko.

- Tęskniłam za tobą. - Wydało jej się teraz, że zauważyła jego zniknięcie, że czuła pustkę wywołaną jego nieobecnością.

- Bzdury - odrzekł, jeszcze raz ją całując. - W życiu się lepiej nie bawiłaś.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzymając pod pachą złożony „Evening Journal”, Eddie Kerrigan przystanął przed drzwiami swojego mieszkania, zdyszany po wspinaczce po schodach. Posłał Annę przodem, a sam poszedł kupić gazetę, przede wszystkim po to, by opóźnić swój powrót do domu. Żar niestrudzonych grzejników przenikał na korytarz przez szpary wokół drzwi, potęgując woń wątróbki z cebulą wydobywającą się od Feeneyów na trzecim. Jego mieszkanie mieściło się na szóstym piętrze - rzekomo piątym, wskutek bezprawnego zabiegu, który uszedł na sucho jakiemuś genialnemu budowniczemu nazywającemu drugie piętro pierwszym. Największa zaleta budynku rekompensowała to jednak z nawiązką: umieszczony w piwnicy piec, który właczał gorącą parę w grzejniki we wszystkich pomieszczeniach.

Zaskoczył go donośny śmiech siostry dobiegający zza drzwi. Wyglądało na to, że Brianne wróciła z Kuby szybciej, niż się spodziewał. Eddie popchnął drzwi, wywołując pisk pomalowanych zawiasów. Jego żona Agnes siedziała przy stole w kuchni ubrana w żółtą sukienkę z krótkim rękawem (na szóstym piętrze lato trwało przez okrągły rok).

I rzeczywiście, naprzeciw niej siedziała Brianne. Była lekko opalona i trzymała prawie pusty kieliszek — bo kieliszki Brianne zazwyczaj były prawie puste.

- Cześć, kochasiu — powiedziała Agnes, wstając od sterty zdobionych cekinami toczków, które właśnie obszywała. -Strasznie się spóźniłeś.

Pocałowała go, a Eddie dotknął jej mocnego biodra i poczuł przyływ pożądania, które budziła w nim zawsze, mimo wszystko. Dotarł do niego leciutki zapach nabijanych goździkami pomarańczy zawieszonych na choince w salonie i poczuł, że obok drzewka jest Lydia. Nie odwrócił się. Musiał się przygotować. Pocałowanie pięknej żony było dobrym początkiem. Jeszcze lepszym było patrzenie, jak napełnia wodą sodową kieliszek z przywiezionym przez Brianne wymyślnym kubańskim rumem.

Agnes nie piła już wieczorami. Mówiła, że potem jest zbyt zmęczona. Eddie podał siostrze napełniony ponownie kieliszek do koktajlu ze świeżym kawałkiem lodu i dotknął jej kieliszka swoim.

- Jak się udała wycieczka?

- Było absolutnie cudownie - powiedziała Brianne ze śmiechem - dopóki nie zrobiło się absolutnie okropnie. Wróciłam parowcem.

- Nie tak przyjemnie jak jachtem. Pyszny ten rum.

- Właśnie na parowcu było najlepiej! Poznałam na pokładzie nowego przyjaciele, który wie, co to dobra zabawa.

- Ma pracę?

- Gra na trąbce w zespole — odparła Brianne. - Wiem, wiem, oszczędź sobie, kochany braciszku. Jest strasznie słodki.

Czyli wszystko po staremu. Jego siostra Brianne - przyrodnia siostra, bo mieli różne matki i wychowywali się właściwie osobno - była o trzy lata starsza i przypominała wspaniały samochód doprowadzany do ruiny przez nierozważnego właściciela. Kiedyś oszałamiała urodą - teraz w nieodpowiednim świecie wyglądała jak trzydziestodwuletnia dobiegająca pięćdziesiątki.

Z salonu dotarł do nich jęk, który trafił Eddiego w żołądek niczym kopniak. „Teraz” - pomyślał, zanim Agnes musiałaby go ponaglić. Wstał od stołu i podszedł do Lydii leżącej w głębokim fotelu, podpartej jak pies albo kot - brakowało jej siły, żeby utrzymać się w pionie. Powitała Eddiego krzywym uśmiechem, ze zwieszoną głową i rękami zgiętymi w nadgarstkach jak ptasie skrzydła. Jej jasnoniebieskie oczy szukały jego oczu: błyszczące, doskonałe oczy, które nie nosiły żadnych śladów jej ułomności.

- Witaj, Liddy - powiedział sztywno. - Jak ci minął dzień, mała?

Trudno było nie zabrzmieć drwiąco, kiedy się wiedziało, że Lydia nie jest w stanie odpowiedzieć. Gdy mówiła, na swój sposób, przypominało to bezsensowny bełkot - lekarze nazywali go echolalią. A mimo to dziwnie było do niej nie mówić. Co innego można robić z ośmiolatką, która nie potrafi samodzielnie siedzieć, a tym bardziej chodzić? Głaskanie jej i witanie się - to zajmowało raptem piętnaście sekund. A potem? Agnes na pewno obserwowała, spragniona pokazu czułości wobec ich młodszej córki. Eddie ukląkł obok Lydii i pocałował ją w policzek. Miała złote włosy, miękkie i kręcone, pachnące bardzo drogim szamponem, który uparcie kupowała jej Agnes. Skórę miała aksamitną jak niemowlę.

Im była większa, tym bardziej kuszące stawało się wyobrażenie sobie, jak mogłaby wyglądać, gdyby nie kalectwo. Byłaby piękna. Może nawet piękniejsza od Agnes - z pewnością piękniejsza od Anny. Bezsensowna myśl.

- Jak ci minął dzień, mała? - szepnął znowu. Wziął Lydię w ramiona i usiadł w fotelu, tuląc ją do piersi. Anna oparła się o niego, nauczona przez matkę przypatrywać się tym interakcjom. Jej przywiązanie do Lydii zdumiewało Eddiego - skąd się brało, skoro Lydia tak niewiele dawała w zamian? Anna zdjęła siostrze pończochy i laskotała jej miękkie, wygięte

stopy, aż Lydia zaczęła wic się w ramionach Eddiego i wydawać z siebie dźwięk, który był jej śmiechem. Nie znosił go. Wolał zakładać, że Lydia nie jest w stanie myśleć ani czuć - nie bardziej niż zwierzę dbające tylko o przetrwanie. Jej śmiech w odpowiedzi na doznawaną przyjemność obalał jednak tę tezę. Przez niego Eddie wpadał w złość - najpierw na Lydię, a potem na siebie, za to, że miał jej za złe chwilę przyjemności. Tak samo było, kiedy się śliniła, czemu - rzecz jasna - nie była w stanie zapobiec: chwila wściekłości, nawet pragnienie, żeby dać jej w twarz, a potem konwulsyjne poczucie winy. W relacjach Eddiego z młodszą córką wściekłość i odraza do samego siebie bez końca przeplatały się niczym prądy odpływowe, które przyprawiały go o odrętwienie i pozbawiały sił.

A przecież mogło być tak wspaniale. Zmierzch zapadający na niebiesko za oknami, rum Brianne przyjemnie mącący myśli, jego córki ocierające się o niego jak kocięta. Ellington w radiu, czynsz za ten miesiąc zapłacony. Mogło być gorzej - pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku wielu miało gorzej. Eddie poczuł kojącą obietnicę szczęścia, która wabiła go niczym sen. Sprzeciw gwałtownie przywrócił mu jednak trzeźwość myślenia: „Nie, nie mogę się z tym pogodzić, to mnie nie uszczęśliwi”. Nagle wstał, czym zaskoczył Lydię, która aż zakwiliła, gdy kładł ją z powrotem w fotelu. Sprawy nie wyglądały tak, jak powinny - ani trochę. Był człowiekiem prawa i porządku (często powtarzał to sobie z ironią), a tutaj złamano zbyt wiele praw. Wycofał się, odsunął, a oddalając się od szczęścia, zdobył swoją nagrodę: smagnięcie bólu i osamotnienia.

Musiał kupić Lydii specjalny fotel, niebotycznie drogi. Wychowywanie chorej córki wymagało majątku człowieka takiego jak Dexter Styles - ale czy ludzie tego pokroju mają takie dzieci jak Lydia? W pierwszych latach jej życia, gdy nadal im się wydawało, że są bogaci, Agnes co tydzień woziła Lydię do kliniki przy Uniwersytecie Nowojorskim, gdzie jakaś kobieta urzędowała jej mineralne kąpiele oraz wzmacniała jej mięśnie za pomocą skórzanych pasów i krążków linowych. Teraz taka opieka była poza ich zasięgiem. Dzięki fotelowi mogłaby jednak siadać, patrzeć, dołączyć do spionizowanego świata. Agnes wierzyła w odmieniającą moc tego fotela, a Eddie wierzył, że powinien sprawiać wrażenie człowieka dzielającego to przekonanie. I być może je podzielał... trochę. To właśnie przez ten fotel zabiegał o spotkanie z Dexterem Stylesem.

Agnes zabrała toczki i cekiny ze stołu w kuchni i nakryła do kolacji dla czterech osób. Zapewne chciałyby, żeby Lydia do nich dołączyła, z radością trzymałaby ją na kolanach. To jednak popsułoby kolację Eddiemu. Dlatego Agnes zostawiła Lydię samą w salonie, wynagradzając jej to jak zwykle

skupieniem na niej całej uwagi - przypominało to linę, której dwa końce trzymały ona i jej młodsza córka. Dzięki tej linie Agnes czuła, drzenie świadomości i zaciekawienia Lydii, jej ufność, że nie jest sama. Miała nadzieję, że Lydia czuje jej gorącą miłość i oddanie. Oczywiście trzymanie liny oznaczało, że Agnes jest tylko w połowie obecna - rozkojarzona, jak często zwracał jej uwagę Eddie. Ale sam tak mało się interesował, że nie pozostawiał jej innego wyjścia.

Przy potrawce z fasoli i kiełbasy Brianne uraczyła ich opowieścią o zakończonym z hukiem związku z Bertem. Stosunki uległy ochłodzeniu już wtedy, gdy przez przypadek wymierzyła mu *coup de grâce*, zrzucając go z pokładu jachtu w obfitujące w rekiny wody wokół Bahamów.

- Szkoda, że nie widzieliście, jak szybko płynął - powiedziała. - Jak olimpijczyk, mówię wam. To była pierwsza zabawna rzecz, jaką zrobił od wielu dni, ale co się stało, kiedy opadł na pokład, a ja go podniosłam, żeby zarzucić mu ręce na szyję? Próbował zdzielić mnie w nos.

- I co? - zawołała Anna z większym przejęciem, niż chciałby Eddie. Jego siostra miała zły wpływ na córkę, ale nie był pewny, co w związku z tym zrobić, jak ją powstrzymać.

- Zrobiłam unik, rzecz jasna, i o mało nie wpadł z powrotem do wody. Mężczyźni, którzy dorastali w bogatych rodzinach, nie mają pojęcia, jak się bić. To wiedzą tylko obszarpańcy. Tacy jak ty, kochany braciszku.

- Tylko że my nie mamy jachtów - zauważył.

- Wielka szkoda - ubolewała Brianne. - Wyglądałbyś bardzo sztywnie w żeglarskiej czapce.

- Zapominasz, że nie lubię łodzi.

- Wychowywanie się w dostatku zmienia ich w mięczaków- odparła Brianne. - Ani się obejrzysz, a wszędzie robią się miękcy, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi... O głowę! - uściśliła, widząc surowe spojrzenie brata.

- A ten trębacz? - spytał.

- Och, ten to lubi kobiety. Ma loki jak Rudy Vallee. Pomyślał, że wkrótce znowu będzie potrzebowała pieniędzy. Kariera taneczna Brianne już dawno się skończyła, a nawet gdy trwała, głównym źródłem utrzymania jego siostry byli jej mężczyźni. Teraz jednak mało kto był przy forsie, a dziewczyna z workami pod oczami i alkoholową fałdką w talii miała mniejsze szanse na zdobycie bogacza. Eddie robił wszystko, żeby dawać siostrze pieniądze, ilekroć go poprosiła, nawet jeśli oznaczało to konieczność

zapożyczenia się u lichwiarza. Bał się, kim mogłaby się stać, gdyby jej nie pomógł.

- Właściwie to trębaczowi idzie całkiem dobrze - powiedziała Brianne. - Pracuje w paru klubach Dextera Styleasa.

To nazwisko niemile zaskoczyło Eddiego. Nigdy nie słyszał, by wypowiadała je Brianne czy ktokolwiek inny - nawet nie przyszło mu do głowy, by przygotować się na taką ewentualność. Po drugiej stronie stołu wyczuł wahanie Anny. Czy wspomni, że spędziła z tym człowiekiem cały dzień w jego domu na Manhattan Beach? Eddie nie śmiał na nią spojrzeć. Milczał uparcie z nadzieją, że Anna też będzie milczała.

- To chyba nie najgorzej - powiedział wreszcie do siostry.

- Stary, dobry Eddie - westchnęła Brianne. - Jak zawsze optymista.

Zegar w salonie wybił siódmą, co oznaczało, że jest już prawie kwadrans po.

- Tato - odezwała się Anna. - Zapomniałeś o niespodziance.

Eddie nie zrozumiał, o co jej chodzi, nadal był zdenerwowany, po tym jak o włos uniknął nieszczęścia. Po chwili przypomniał sobie jednak, wstał od stołu i podszedł do kołka, na którym wisiał jego płaszcz. Dobra dziewczyna z tej mojej Anny, myślał z podziwem, udając, że przeszukuje kieszenie, i uspokajając oddech. Więcej niż dobra. Przechylił torbę nad stołem i ze środka wytoczyły się jaskrawe pomidory. Jego żona i siostra zareagowały stosownym osłupieniem.

- Skąd je wzięłeś? Jak? - pytały jedna przez drugą. - Od kogo?

Gdy Eddie szukał odpowiedniego wyjaśnienia, Anna rzuciła gładko:

- Ktoś ze związku ma szklarnię.

- Tym chłopakom ze związku dobrze się powodzi - zauważyła Brianne. - Nawet w czasach kryzysu.

- Zwłaszcza w czasach kryzysu - dodała cierpko Agnes, ale tak naprawdę była zadowolona. Takie prezenty oznaczały, że Eddie nadal jest potrzebny - a tego nigdy nie mogli być pewni. Wzięła sól i ostry nóż i zaczęła kroić pomidory na desce. Sok i nasionka spływały na ceratę. Brianne i Agnes jadły kawałki pomidorów, jęcząc z rozkoszy.

- Indyki w święta, a teraz to. Widocznie zbliżają się wybory - powiedziała Brianne, zlizując sok z palców.

- Dunellen chce zostać radnym - odparła Agnes.
- Ten dusigrosz? Boże, dopomóż. No, Eddie, zjedz kawałek.

W końcu się poczęstował, zadziwiony harmonijnym połączeniem słoności, kwaśności i słodczy. Anna spojrzała mu w oczy, nie pozwalając sobie nawet na porozumiewawczy uśmiezek. Spisała się wspaniale, lepiej, niż mógłby mieć nadzieję, a mimo to poczuł pewien niepokój - a może było to wspomnienie niepokoju sprzed kilku godzin?

Gdy Anna pomagała matce sprzątać ze stołu i zmywać, a Brianne dolała sobie rumu, Eddie otworzył frontowe okno wychodzące na schody przeciwpożarowe i poszedł zapalić. Szybko je za sobą zamknął, żeby Lydia nie poczuła przeciągu. Ciemna ulica była skąpana w żółtym świetle latarni. Zobaczył pięknego duesenberga, który dawniej należał do niego. Z pewną ulgą przypomniał sobie, że będzie musiał go odprowadzić. Dunellen nigdy nie pozwalał trzymać samochodu przez całą noc.

Paląc papierosa, Eddie znów zaczął się martwić o Annę, jakby to zmartwienie było kamieniem, który włożył do kieszeni, a teraz mógł wyjąć, żeby mu się przyjrzeć. Nauczył ją pływać na Coney Island, zabrał na *Wroga publicznego nr 1*, *Małego Cezara* i *Człowieka z blizną* (mimo karzących spojrzeń bileterów), kupował jej krem jajeczny, torciki charlotte russe i kawę, którą pozwalał córce pić, odkąd skończyła siedem lat. Równie dobrze mogłaby być chłopcem: piasek w pończochach, sukienki zwykle niewiele różniące się od szortów. Była małym obszarpancem, chwastem mogącym rosnąć gdziekolwiek, przetrwać wszystko. Pompowała w niego życie równie skutecznie jak Lydia je z niego spuszczała.

To, czego był przed chwilą świadkiem, należało jednak nazwać oszustwem. Wiedział, że dla dziewczyny to nic dobrego, mogło ją popchnąć w niewłaściwą stronę. Gdy tego dnia szedł do niej ze Stylesem po plażę, uderzyło go, że nawet jeśli była nie do końca ładna, to na pewno przykuwała uwagę. Miała prawie dwanaście lat - przestała być mała, choć on nadal uważał ją za dziecko. Cień tego spostrzeżenia niepokoił go przez resztę dnia.

Nasuwał się oczywisty wniosek: musi przestać zabierać ze sobą Annę. Nie od razu, ale wkrótce. Ta myśl wypełniała go rozprzestrzeniającą się pustką.

Gdy wrócił do mieszkania, Brianne złożyła na jego policzku niedbały, pachnący rumem pocałunek i poszła na spotkanie ze swoim trębaczem. Agnes zmieniała Lydii pieluchę na desce ułożonej na wannie w kuchni. Eddie objął ją od tyłu i oparł brodę na jej ramieniu, przypominając sobie z łatwością, jacy

byli kiedyś, zawsze, i przez chwilę w to wierząc. Agnes chciała jednak, żeby pocałował Lydię, wziął pieluchę i spał ją agrafką, uważając, by nie pokłuć wrażliwego ciała. Już miał to zrobić - zrobiłby to, właśnie się do tego zabierał - ale jednak nie zrobił, a potem impuls minął. Wypuścił Agnes, rozczarowany sobą, a ona sama dokończyła przewijanie. Też czuła kuszącą moc ich dawnego życia. Odwrócić się i pocałować Eddiego, zaskoczyć go, zapomnieć na chwilę o Lydii - co w tym złego? Wyobraziła sobie, jak to robi, ale nie potrafiła. Jej dawny sposób bycia w świecie leżał złożony w pudle obok kostiumów z Follies i porastał kurzem. Może pewnego dnia wyjmie to pudło spod sprężyn łóżka i znów je otworzy. Ale jeszcze nie teraz. Lydia za bardzo jej potrzebowała.

Eddie poszedł do Anny, do pokoju, który dzieliła z Lydią. Okno wychodziło na ulicę. On i Agnes zajmowali pokój sąsiadujący z kanałem wentylacyjnym, którego niezdrowe wycieki cuchnęły pleśnią i mokrym popiołem. Anna ślęczała nad katalogiem Premiums. Eddiego zadziwiła jej obsesja na punkcie tej małej broszurki pełnej wygórowanych cen, ale usiadł obok córki na wąskim łóżku i podał jej kupon z nowej paczki raleighów. Przyglądała się intarsjowanemu stolikowi do brydża zdolnemu „wytrzymać ciągle użytkowanie”.

- Jak ci się podoba? - spytała.

- Siedemset pięćdziesiąt kuponów? Jeśli mamy sobie na to pozwolić, nawet Lydia będzie musiała zacząć palić.

To ją rozśmieszyło. Uwielbiała, gdy wspominał o Lydii. Wiedział, że powinien to robić częściej, przecież nic go to nie kosztowało. Przewróciła kartkę: męski zegarek.

- Mogłabym go dla ciebie zamówić, tato - powiedziała. -W końcu to ty bierzesz na siebie to całe palenie.

Wzruszył się.

- Pamiętaj, że mam już zegarek kieszonkowy. Może kupisz coś sobie? W końcu to twoja kolekcja. - Zaczął przewracać strony w poszukiwaniu produktów dla dzieci.

- Lalkę Betsy Wetsy? - spytała z pogardą.

Urażony jej tonem, otworzył katalog na stronie z puder-niczkami i jedwabnymi pończochami.

- Dla mamy? - spytała.

- Dla ciebie. Wyrosłaś już z lalek.

Zarechotała, a on poczuł ulgę.

- Nigdy nie będę chciała czegoś takiego - oznajmiła, po czym wróciła do kieliszków, tosterka i lampy elektrycznej. -Wybierzmy coś, co przyda się całej rodzinie - powiedziała z przejęciem, jakby ich malutka rodzina przypominała Feeneyów, gdzie ośmioro zdrowych dzieci tłoczyło się w dwóch mieszkaniach, co zapewniało im monopol na jedną z toalet na trzecim piętrze.

- Dobrze zrobiłaś, skarbie - powiedział cicho - że przy kolacji nie wspomniałaś o panu Stylemie. Lepiej z nikim o nim nie rozmawiać.

- Chyba że z tobą?

- Nawet ze mną. Ja też nie będę o nim mówił. Możemy o nim myśleć, ale nie mówić. Zrozumiałaś? - Przygotował się na nieuniknione protesty.

Anna jednak zdawała się zaintrygowana podstępem.

- Tak!

- No to o kim przed chwilą rozmawialiśmy?

Przez chwilę milczała.

- O panu Jakimśtam - powiedziała w końcu.

- Grzeczna dziewczynka.

- Ożenionym z panią Jakąśtam.

- Bingo.

Anna czuła, że zaczyna zapominać, uśpiona zadowoleniem towarzyszącym dzieleniu sekretu z ojcem, sprawieniem mu wyjątkowej przyjemności. Dzień spędzony z Ta-bathą i panem Stylesem zaczął przypominać jeden z tych snów, które strzępią się i rozpływają, nawet jeśli próbuje się zebrać je w całość.

- I mieszkają w Ktowiegdzie. - Wyobraziła to sobie: zamek nad morzem znikający we mgle zapomnienia.

- Otóż to — przytaknął ojciec. - Otóż to. Piękne miejsce, prawda?

ROZDZIAŁ TRZECI

Ulga, jaką odczuł Eddie po wyjściu z domu, była dokładnym przeciwieństwem ulgi, jaką czuł, gdy niegdyś do niego wracał. Przede wszystkim mógł zapalić. Na parterze potarł zapałkę o but, zadowolony, że w drodze na dół nie spotkał żadnego z sąsiadów. Nie znosił ich z powodu tego, że reagowali na Lydię - bez względu na to, jakie były ich reakcje. U Feeneów, pobożnych i życzliwych: współczucie. U pani Baxter, której pantofle na dźwięk czyichś kroków na klatce przemykały za drzwiami jak karaluchy: upiorna ciekawość. U Lutza i Boyle'a, bardzo starych kawalerów, którzy mieszkali przez ścianę na drugim, ale nie odzywali się do siebie od dekady: odraza (Boyle) i złość (Lutz). „Czy ona nie powinna siedzieć w domu?” - odważył się kiedyś zapytać Lutz. Na co Eddie odparł: „A ty nie powinienes?”.

Wyszedłszy z budynku, usłyszał szeleszczące na zimnie pomruki i gwizdy wymieniane wokół żarzących się koniuszków papierosów. Gdy rozległ się okrzyk „Uwolnić wszystkich!”, uświadomił sobie, że to chłopcy grają w ringolevio: dwie drużyny próbowały pojmać przeciwnika. To był wielonarodowościowy budynek w wielonarodowościowym kwartale — Włosi, Polacy, Żydzi, wszyscy oprócz czarnych — lecz taka scena równie dobrze mogłaby się rozgrywać w katolickim sierocińcu na Bronksie, gdzie się wychował. Gdziekolwiek, dokąd mógłby pójść, wszędzie zgraja chłopaków.

Eddie wspiął się do duesenberga i uruchomił silnik, wsłuchując się w jękiwite wibracje, które zauważył już wcześniej i które wcale mu się nie spodobały. Dunellen doprowadzał samochód do ruiny, jak wszystko, czego dotknął - łącznie z Eddiem. Wciskając gaz i wsłuchując się w ten dźwięk, Ker-rigan podniósł głowę i spojrzał na oświetlone okna swojego salonu. Była za nimi jego rodzina. Czasami przed wejściem do środka stał na korytarzu i podsłuchiwał świąteczną radość za zamkniętymi drzwiami. Zawsze go zaskakiwała. „Czyżby mi się przesłyszało?” - pytał się później w myślach. A może było im łatwiej — weselej — bez niego?

*

Po wyjściu ojca zawsze następował taki moment, gdy Annie zdawało się, że wszystko, co niezbędne do życia, odeszło razem z nim. Tykanie zegara w salonie przyprawiało ją o zgrzytanie zębów. Ból bezużyteczności, niemal złość, tętnił w jej nadgarstkach i palcach, gdy przyszywała koraliki do wymyślnych pióropuszy. Jej matka przyszywała cekiny do toczków, łącznie pięćdziesięciu pięciu, ale najtrudniejsze wykończenia przypadały w udziale Annie. Nie była dumna ze swo-jej biegłości w szyciu. Praca rękami oznaczała

przyjmowanie poleceń od innych - jej matce polecenia wydawała Pearl Gratzky, specjalistka od kostiumów rewiowych, którą Agnes знаła z Follies, nadal zatrudniana przy przedstawieniach na Broadwayu, a czasami także przy jakimś hollywoodzkim filmie. Mąż pani Gratzky nie wychodził z domu. Po wielkiej wojnie miał w boku dziurę, która nie goiła się od szesnastu lat - często przywoływano ten fakt dla wyjaśnienia historycznych napadów wrzasku, które zdarzały się Pearl, gdy efekt pracy nie spotkał się z jej uznaniem. Matka Anny nigdy nie widziała pana Gratzky'ego.

Kiedy Lydia zbudziła się z drzemki, Anna i jej matka otrząsnęły się z otępienia. Anna trzymała siostrę na kolanach, zawiąawszy jej na piersi śliniaczek, a matka karmiła ją owsianką, którą gotowała co rano z dodatkiem miękkich warzyw i przetartego mięsa. Lydia emanowała czujnością i podnieceniem, widziała, słyszała i rozumiała. Nocą Anna szeptała jej swoje sekrety. Tylko Lydia wiedziała, że kilka tygodni temu, gdy Anna dostarczyła partię uszytych kostiumów i nie zastała Pearl Gratzky w domu, pan Gratzky pokazał jej dziurę w brzuchu. Pchnięta śmiałością, pochodzącą chyba z jakiegoś zewnętrznego źródła, Anna otworzyła drzwi do pokoju, w którym leżał wysoki mężczyzna o przystojnej, zniszczonej twarzy, i poprosiła, by pokazał jej swoją ranę. Pan Gratzky uniósł górę pizamy, a potem odchylił kawałek gazy, odsłaniając mały okrągły otwór, różowy i lśniący jak usta niemowlęcia.

Gdy Lydia skończyła jeść, Anna kręciła gałką radia, dopóki nie zabrzmiały szlagiery w wykonaniu Martell Orchestra. Wraz z matką nieśmiało zaczęły tańczyć, chcąc się przekonać, czy pan Praeger, mieszkający dokładnie pod nimi na piątym piętrze, zacznie walić w sufit kijem od miotły. Widocznie jednak poszedł oglądać nielegalne walki bokserskie, co często robił w sobotnie wieczory. Podkręciły radio i matka Anny tańczyła z beztróskim zapamiętaniem, zupełnie do niej niepodobnym. Do Anny powróciły niewyraźne wspomnienia, w których Agnes występowała na scenie, gdy ona była jeszcze bardzo mała - odległa, połyskliwa wizja skąpana w kolorowym świetle. Jej matka znała wszystkie tańce: baltimore buzz, tango, black bottom, cakewalk - ale już nigdy nie tańczyła, chyba że w domu z Anną i Lydią.

Anna płąsała, trzymając Lydię w objęciach, aż bezwładność siostry stała się elementem tańca. Wszystkie zarumieniły się z wysiłku. Włosy matki opadły na ramiona, a jej sukienka rozpięła się u góry. Agnes uchyliła okno prowadzące na schody przeciwpożarowe i ostre zimowe powietrze zmusiło je do kaszlu. Małe mieszkanie trzęsło się i rozbrzmiewało śmiechem, który zdawał się nie istnieć, gdy w domu był ojciec - jak język zmieniający się w

jego obecności w bełkot.

Gdy wszystkie zgrzały się od tańczenia, Anna podniosła deskę zakrywającą wannę i napełniła ją wodą. Szybko rozebrały Lydię i włożyły ją do ciepłej kąpieli. Powyginane, skręcone ciało uwolnione od grawitacji wyraźnie się tym rozkoszowało. Matka ją podtrzymywała, a Anna masowała siostrze głowę i włosy specjalnym szamponem o zapachu bzu. Błyszczące, błękitne oczy Lydii wpatrywały się w obie z zachwytem. Na jej skroniach gromadziła się piana. Rezerwowanie dla niej tego, co najlepsze, przynosiło bolesną satysfakcję, jakby była żyjącą w ukryciu księżniczką, której należało oddawać hołd.

Trzeba było połączonych sił Anny i matki, by wydostać Lydię z wanny, zanim woda wystygnie. Banieczki połyskiwały na niespodziewanych zakrętach jej ciała - pięknych na swój dziwny sposób, jak wnętrze ucha. Owinęły ją ręcznikami, zaniósły do łóżka i wytarły do sucha na narzucie, oprószając jej skórę pudrem Cashmere Bouquet. Jej bawełniana koszula nocna była obszyta belgijską koronką. Mokra loki pachniały bzem. Gdy ją przykryły, obie położyły się obok niej, trzymając się nad nią za ręce, by zasypiając, nie spadła z łóżka.

Ilekcioć Anna przenosiła się ze świata ojca do świata matki i Lydii, miała wrażenie, że uwolniła się od jednego życia na rzecz drugiego, głębszego. A gdy wracała do ojca, trzymając go za rękę i wypuszczając się na miasto, uwalniała się od matki i Lydii i czasami całkiem o nich zapominała. Kursowała w tę i w tę, głębiej, jeszcze głębiej, aż w końcu zaczynało jej się wydawać, że dalej już dotrzeć nie można. O dziwo, zawsze jednak znajdowało się jeszcze głębsze miejsce. Nigdy nie dotarła do dna.

*

Eddie zaparkował duesenberga przed Sonny's West Shore Bar and Grill, tuż obok nabrzeża. Był sobotni wieczór, trzy dni do sylwestra, a na zewnątrz panowała zupełna cisza - doskonały dowód, że ani w tym, ani w poprzednim tygodniu nie przyłynął żaden statek.

Przywitał się z Mattym Flynnem, białowłosym barmanem, a potem przeszedł po wiórach do lewego kąta na drugim końcu sali, gdzie pod plakatem przedstawiającym Jimmy'ego Braddocka przygotowanego do walki John Dunellen prowadził swoje nieoficjalne interesy. Dunellen był roslym mężczyzną o barbarzyńskich dłoniach dokera, mimo że od ponad dekady nie pracował przy statkach. Ubierał się wprawdzie szykownie, ale wydawał się oklapnięty i podniszczony niczym frachtowiec rdzewiejący wskutek zbyt

długiego stania na kotwicy. Otaczała go zgraja pochlebców, petentów i pomniejszych gangsterów odpalających mu dołę w zamian za błogosławieństwo. Bez statków ich przekrety przynosiły coraz większe zyski - dokerzy byli zdesperowani.

- Ed - mruknął Dunellen, gdy Eddie wślizgnął się na krzesło.
- Cześć, Dunny.

Dunellen machnął na Flynna, żeby podał Eddiemu piwo Genesee i kieliszek żytniej whiskey. Potem usiadł, z pozoru rozkojarzony, lecz tak naprawdę nastrojony na słuchanie przenośnego radia, które wszędzie ze sobą zabierał (mieściło się w walizce) i puszczał niezbyt głośno. Dunellen śledził wyścigi konne, walki bokserskie, rozgrywki piłkarskie -wszystko, o co można się było założyć. Szczególną miłością darzył jednak boks. Wspierał dwóch zawodników wagi lekkiej w kategorii juniorów.

- Przekazałeś moje pozdrowienia pannie młodej? - spytał Dunellen. Przysłuchiwał się temu Lonergan, nowy w ich gronie gość od loterii.

- Za duży tłok - odrzekł Eddie. - Zrobię to po Nowym Roku.

Dunellen mruknął z aprobatą.

- Sprawnie i gładko, ni mniej, ni więcej.

Odbiorcą tej szczególnej przesyłki miał być senator stanowy. Początkowo planowali mu ją przekazać tego dnia przed południem podczas exodusu z katedry Świętego Patryka. Ojcem panny młodej był zaś Dare Dooling, bankier ściśle związany z kardynałem Hayesem, który zresztą udzielał ślubu.

- Jak na mój gust, wcale nie było tłoku - sprzeciwił się Lonergan. - Jasne, zjechali się gliniarze, ale to nasi gliniarze.

- Byłeś tam? - spytał zaskoczony Eddie. Nie lubił Lonergana. Długie zęby nadawały temu człowiekowi wygląd szyderycy.

- Moja mama była nianią panny młodej - oznajmił z dumą Lonergan. - I wiesz co, Kerrigan, jakoś cię tam nie widziałem.

- Cały Eddie - zachichotał Dunellen. - Widać go tylko, jeśli chce być widziany. - Spojrzał na Eddiego, a ten poczuł przytłaczającą bliskość starego przyjaciela kojarzącą mu się z rodziną bardziej niż wszystko, co kiedykolwiek czuł do Brianne. Eddie uratował Dunellenowi życie - jemu i drugiemu chłopakowi z sierocińca. Wyciągnął ich wyjących i rzygających z prądu odpływowego przy Rockaway. Nigdy się o tym nie wspominało, ale pamiętało się zawsze.

- Następnym razem będę się uważniej rozglądał - powiedział cierpko Lonergan. - Postawię ci drinka.

- Chyba cię pogięło - zagrział Dunellen, a jego gwałtowna furia wzbudziła chwilowe zainteresowanie dwóch oprychów, którzy wszędzie mu towarzyszyli. Dunellen trzymał tych zadzierających nosa olbrzymów w pewnej odległości, bo osłabiali aurę dobrotliwego człowieka, którą lubił się otaczać. - Poza tym barem nie znasz Eddiego Kerrigana, kapiszi? Jak by to, do diabła, wyglądało, gdyby kręcił się wśród wpływowych ważniaków, a za chwilę gadał z takim głąbem jak ty? To, gdzie chodzi Eddie, to nie twój zasrany interes. Przestań wsadzać nochał tam, gdzie nie jego miejsce.

- Przepraszam, szefie - mruknął Lonergan, a jego policzki oblały się mocnym karmazynem. Eddie czuł sączącą się z tego faceta zazdrość i miał ochotę się roześmiać. Lonergan mu zazdrościł! Jasne, Eddie dobrze się ubierał (zasługa Agnes) i Dunellen cenił sobie jego zdanie, ale daleko mu było do najwyższych szczebli. Słowo „paczkowy” oznaczało dokładnie to, z czym się kojarzyło: durnia dostarczającego paczki z pewną zawartością (z pieniędzmi, rzecz jasna, choć nie powinien był się tym interesować) między ludźmi, którzy nie powinni byli się ze sobą kontaktować. Idealny paczkowy nie był związany z żadną ze stron, ubierał się i zachowywał neutralnie i potrafił pozbawić tę wymianę krętaskich konotacji, które ją w oczywisty sposób cechowały. Eddie Kerrigan był właśnie takim człowiekiem. Wszędzie wyglądał jak u siebie - na torach wyścigowych, w salach tanecznych, teatrach, na spotkaniach Holy Name Society. Miał przyjemną twarz, neutralny amerykański akcent i wielkie doświadczenie w przemieszczaniu się między światami. Potrafił zmienić dostarczenie przesyłki w rzuconą mimochodem uwagę: „No popatrz, byłbym zapomniał, to od naszego wspólnego przyjaciela. O, dziękuję”.

W zamian za te starania Dunellen wypłacał mu stałą pensję: dwadzieścia dolarów tygodniowo, jeśli Kerrigan miał szczęście, co w połączeniu z pieniędzmi zarobionymi przez Agnes z trudem powstrzymywało go od zastawienia jedynych wartościowych przedmiotów, jakich jeszcze nie zastawił: zegarka kieszonkowego, który zamierzał zabrać do grobu, radia oraz francuskiego zegara będącego ślubnym prezentem od Brianne. Hak dokera wydawał mu się piękny jak nigdy dotąd.

- Szykuje się jakaś kwarantanna? - spytał Eddie, mając na myśli statki zmierzające ku jednemu z trzech pirsów kontrolowanych przez Dunellena.

- Może za parę dni, z Hawany.

- Zacumują przy jednym z twoich?
- Z naszych - poprawił go Dunellen. - Z naszych, Eddie. A co, potrzebujesz pożyczki?
- Nie od niego. - Nat, lichwiarz, który grał w rzutki, brał dwadzieścia pięć procent prowizji tygodniowo.
- Eddie, Eddie - zbeształ go Dunellen. - Zapłacę ci za tydzień z góry

Eddie zamierzał wyjść po jednym drinku. Teraz jednak, po ataku ze strony Lonergana, uznał, że rozsawniej będzie zostać dłużej niż on. Oznaczało to picie razem z Dunellenem, który miał trzy razy większy obwód w pasie niż Eddie i mocny łeb. Eddie spojrział na drzwi, marząc o tym, by Maggie, wiedźmowata żona Dunellena, wywlekła go z baru, jakby był ładowaczem przepijającym wypłatę, a nie przewodniczącym lokalnego związku mającym niebawem zostać radnym. Maggie jednak się nie pokazała i w końcu Eddie razem z Dunellenem i kilkoma innymi facetami śpiewał na całe gardło *The Black Velvet Band* i wszyscy ocierali przy tym łzy. Wreszcie Lonergan sobie poszedł.

- Nie lubisz go - zauważył Dunellen, gdy tamten zniknął. To samo powiedziałby do Lonergana, gdyby pierwszy wyszedł Eddie.
- Jest w porządku.
- Myślisz, że jest uczciwy?
- Myślę, że gra czysto.
- Masz nosa do takich spraw - powiedział Dunellen. - Powinieneś być gliniarzem.

Eddie wzruszył ramionami, obracając papierosa w dwóch palcach.

- Myślisz jak gliniarz.
- Musiałbym być nieuczciwy. A na co komu taki glina?

Dunellen rzucił Eddiemu ostre spojrzenie spomiędzy bruzd w topografii swojej twarzy.

- Czy nieuczciwość nie zależy od punktu widzenia?
- Chyba zależy.
- Gliniarzy nie zwalniają nawet w kryzysie.
- Coś w tym jest.

Dunellen jakby odpłynął. Jego rozkojarzenie skłaniało niektórych do lekceważenia go albo do zbyt swobodnego zachowania w jego obecności - i to był błąd. Dunny przypominał jedną z tych trujących ryb, o których słyszał Eddie, upodabniających się do kawałka skały, by oszukać ofiarę. Gdy Eddie zamierzał już wstać i wyjść, Dunellen usadził go z powrotem zażawionym, błagalnym spojrzeniem.

- Tancredo - jęknął. - Ten cholerny makaroniarz lubi walki.

Podsycanie obsesji Dunellena na punkcie makaroniarzy kosztowałoby Eddiego co najmniej pół godziny.

- Co u twoich chłopców? - spytał, licząc na to, że odwróci jego uwagę.

Na wzmiankę o bokserach twarz Dunellena rozluźniła się jak zimna pieczeń ogrzewana nad płomieniem.

- Pięknie - mruknął i ku wielkiemu zaniepokojeniu Eddiego machnął ręką, zamawiając następną kolejkę. - Po prostu pięknie. Są szybcy, bystrzy, pojętni. Powinieneś zobaczyć, jak się poruszają, Ed.

Dunellen nie miał dzieci i w jego środowisku, w którym przeciętny mężczyzna wychowywał od czterech do dziesięciu potomków, było to nie lada osobliwością. Opinie co do tego, czy jędzowatość Maggie jest przyczyną, czy też skutkiem bezowocności ich związku, były podzielone. Jedno nie budziło wątpliwości: gdyby Dunellen rozpieszczał synów, tak jak rozpieszczał swoich zawodników wagi lekkiej (zawsze było ich dwóch), byłby otwarcie wyśmiewany. Podczas ich walk wzdrygał się i dygotał konwulsyjnie jak stara panna patrząca na starcie swojego pieseczka z dobermanem. Zielony parasol przeciwsłoneczny, z którym przychodził na ring, nie był w stanie zasłonić strumieni łez wylewających się z jego małych, okrutnych oczu.

-Tancredo wyciągnął po nich łapska - oznajmił drżącym głosem. - Po moich chłopców. Tak ich urządzi, że nie będą mieli szans.

Nawet po pijaku Eddie bez problemu zrozumiał trudną sytuację Dunny'ego. Tancredo, kimkolwiek był ten drań, domagał się udziału w zyskach ze zwycięstw zawodników Dunellena w zamian za umożliwienie im walk - i ewentualnych sukcesów - na niektórych ringach kontrolowanych przez syndykat. Układ był identyczny jak ten, który Dunellen narzucał ludziom robiącym przeróżne interesy na jego kawałku nabrzeża: jeśli nie płaciłeś, w najlepszym razie mogłeś liczyć na bezrobocie.

- Trzymają moje jaja w imadle, Ed. Makaroniarze. Nie mogę przez to spać

po nocach.

Dunellen świącie wierzył, że za oczywistymi celami w postaci zysku i przetrwania makaroniarskiego syndykatu, jak lubił go nazywać, kryje się plan eksterminacji Irlandczyków. Jego teoria opierała się na pewnych zdarzeniach, które odtwarzał niczym stacje drogi krzyżowej: na rozwiązaniu Tammany przez burmistrza LaGuardię, na masakrze walentynkowej w Chicago (siedmiu zabitych Irlandczyków) oraz na niedawnym zamordowaniu Legsa Diamonda, Vincenta Colla i innych. Nieważne, że wszyscy zabici byli zabójcami. Nieważne, że do syndykatu nie należeli wyłącznie makaroniarze ani że wszyscy osobiści wrogowie Dunellena, co do jednego, byli takimi samymi irlandusami jak on: rywalizującymi z nim szefami pirsów, bossami zatrudniającymi zbirów, uprzykrzającymi życie związkowcom - każdy z nich mógł zniknąć dzięki uprzejmości oprychów Dunellena i dopiero wiosenne roztopy wypchnęłyby ich rozdęte zwłoki na powierzchnię rzeki Hudson, po której dryfowałyby jak platformy na parady. Zagrożenie ze strony makaroniarskiego syndykatu jawiło się Dunellenowi jak coś potężnego, kosmicznego. I choć zazwyczaj ta obsesja nie tyle zagrażała Eddieemu, ile niepomiernie go nudziła, to przecież dzisiejszy dzień spędził w towarzystwie szefa syndykatu.

- Coś ci chodzi po głowie - powiedział Dunellen, patrząc napastliwie na Eddiego. - Wykrztuś to z siebie.

Półprzytomna, podpita góra mięsa będąca Johnem Dunellenem emanowała nadludzką czujnością, jakby jego zmysły łączyły się z radiem potęgującym ich moc. To właśnie był ten Dunellen, którego większość ludzi zauważała, dopiero gdy było już za późno - Dunellen umiejący czytać w myślach. Okłamywanie go było niebezpieczne.

- Masz rację, Dunny - powiedział Eddie. - Chciałbym być gliniarzem.

Dunellen jeszcze przez chwilę mierzył go wzrokiem. Potem, wyczuwając prawdę w jego słowach, odprężył się.

- Co byś zrobił - szepnął - w sprawie Tancreda?

- Dałbym mu to, czego chce.

Dunellen odsunął się od niego i zaprotestował grzmiącym głosem:

- A po kiego chuja miałbym to robić?

- Czasami nie warto walczyć - odparł Eddie. - Czasami najlepszą rzeczą, jaką można kupić, jest czas, możliwość zaczekania na swoją szansę.

Niekiedy, tak jak w tej chwili, uratowanie tonącego przyjaciela, które stworzyło między nimi więź i wciąż przesiąkało, alegorycznie, przez wszystkie ich rozmowy, przebijało powierzchnię i wydostawało się na światło dzienne. Dunellen i Sheehan byli starszą gwardią: Bart był mózgiem, Dunny ustami. Gdy Eddie zobaczył, jak się tłuką, nie będąc w stanie dotrzeć z powrotem na brzeg, wbiegł do wody i popłynął do nich. Złapał jednego i drugiego za szyje i krzyknął w ich przerażone twarze:

- Przestańcie się bić! Unoście się na wodzie i niech prąd nas stąd wyciągnie.

Byli zbyt zmęczeni, żeby się sprzeciwić. Unosili się zatem na wodzie, a gdy odzyskali oddech, Eddie popłynął przodem, a oni za nim niespełna kilometr wzdłuż brzegu. Wszyscy pływali jak ryby, właściwie odkąd nauczyli się chodzić. Latem skakali z miejskich pirsów, by uciec przed upałem. Półtora kilometra dalej Eddie zauważył przerwę między załamującymi się falami i zapędził Barta i Dunny'ego w stronę lądu.

- Jak się gra na zwłokę, mając do czynienia ze wścibskim makaroniarzem? - Dunellen gotował się ze złości.

- Daje mu się tyle, żeby zamknąć mu usta - powiedział Eddie. - Żeby był zadowolony. A potem szuka się rozwiązania.

Czuł, że mówi w równym stopniu do siebie co do Dunellena - że mówi o Dunellenu. Jego stary przyjaciel przysunął się bardzo blisko i Eddiego spowiła kwaśna woń marynowanych cebulek, które Dunellen lubił sobie ssać. Zawirował w nim korkociąg mdłości.

- Dobra rada, Ed - stwierdził szorstko Dunellen.
- Cieszę się, że pomogłem.
- Uważaj na siebie.

Dunellen odwrócił się na krześle. Ululany Eddie początkowo nie odnotował, że został odprawiony bez obiecanej zapłaty - ukarany za pokaz słabości Dunellena. Wtedy na plaży było tak samo: Eddie wyciągnął Dunellena za włosy na piasek, gdzie ten leżał przez dłuższą chwilę, lamentując i rzygając słoną wodą, by potem otrzeć łzy i odejść wolnym krokiem. To ten drugi, Bart Sheehan, podniósł Eddiego i ucałował w oba policzki. Eddie nie dał się jednak zwieść Dunellenowi ani wtedy, ani teraz. Wiedział, że odtąd zabijaka będzie go chronił. I tak też było: im silniejsza więź, tym bardziej rażący brak poszanowania ze strony Dunellena. Darzył Eddiego wielką miłością.

Dunellen ostentacyjnie skupił się na kilku bukmacherach, którzy przyszli ucałować jego pierścień, raz po raz wyłuskiwał banknoty ze zwitka i z wyuczoną poufałością wsuwał je w cudze pięści, zbywając mamrotane podziękowania machnięciem ręki. Eddie uparcie siedział dalej. Czekał, choć wiedział, że wróci do domu z pustymi rękami. W zawiłym rachunku ich relacji długie czekanie i odejście z niczym mogło oznaczać otrzymanie czegoś ekstra od Dunellena w przyszłości.

Gdy Dunellen zauważył, że Eddie wciąż tam jest, nachmurzył się. Potem jego niezadowolenie minęło i korzystając z chwili spokoju, spytał cicho:

-Jak tam mała?

- Bez zmian. I już zawsze tak będzie.
- Codziennie się za nią modlę.

Eddie wiedział, że to prawda. Dunellen był głęboko wierzący; o wpół do siódmej rano, nawet po nieprzespanej nocy, uczestniczył we mszy w kościele Anioła Stróża, a potem jeszcze we mszy o piątej po południu. W każdej kieszeni nosił różaniec.

- Sam powinienem częściej się za nią modlić - powiedział Eddie.
- Czasami trudniej prosić Boga o coś dla siebie.

Eddiego wzruszyła ta prawda. Czuł więź łączącą go z Dunellenem, głęboką i pierwotną, jakby krew każdego z nich płynęła także w żyłach tego drugiego.

- Muszę jej kupić specjalny wózek - powiedział. - Kosztuje trzysta osiemdziesiąt dolarów.

Dunellen osłupiał.

- Poszaleli?
- Mają wózek - powiedział Eddie - a ona go potrzebuje.

Nie zamierzał prosić przyjaciela o pieniądze, lecz teraz poczuł nagły przypływ nadziei, że tamten sam to zaproponuje. Bóg świadkiem, że Dunellen je miał. Całkiem możliwe, że trzymał taką sumę przy sobie, w swoim olbrzymim zwitku -ogrzaną, podobnie jak różańce, straszliwym ciepłem jego ciała.

- Nat mógłby ci pomóc - odezwał się zamyślony Dunellen po długiej chwili milczenia. - Zamienię z nim słowo, dostaniesz na spłatę tyle czasu, ile będziesz potrzebował. Potrącę ci z pensji, jeśli to go przekona.

Dopiero po chwili lekko otępiały Eddie pojął znaczenie słów Dunellena. Szef wysłał go do lichwiarza. I sądząc po jego dobrotliwym spojrzeniu, Dunellen uważał tę wskazówkę za akt miłosierdzia.

Eddie musiał się bardzo starać, żeby nie zareagować.

- Zastanowię się nad tym - powiedział spokojnie. Gdyby został u Sonny'ego jeszcze przez chwilę, Dunellen z pewnością zauważyłby jego niezadowolenie i ukarałby go za nie. - Dobranoc, Dunny - pożegnał się, przesuwając po stole kluczyk od duesenberga. - Dzięki.

Uścisnęli sobie ręce i Eddie wyszedł z baru. Przez kilka minut stał na zewnątrz, czekając, aż lodowaty wiatr znad rzeki Hudson wysmaga go do trzeźwości. Ruszając w stronę metra, poczuł jednak, że się zatacza, bardziej pijany, niż przypuszczał, i musiał się oprzeć o zimną ceglaną fasadę Sonny's. Jęki i skrzypienie lin w dokach dotarły do niego niczym zgrzytanie zębów. Poczul zapach zardzewiałych łańcuchów, desek przesiąkniętych rybim tłuszczem: teraz to wszystko wydawało mu się odorem korupcji. Szeregowi członkowie uwielbiali Dunellena, który rozdawał banknoty na prawo i lewo, ale Eddie wiedział, że Dunny kontroluje lichwiarzy, z Natem włącznie, pobierając dolę od naliczanych przez nich odsetek i nasyłając swoich chuliganów na dłużników, którzy nie płacili. Wystarczyło, że Dunellen powiedział słowo, a mężczyzna wybierający ludzi do pracy zatrudniał dłużnika, żeby móc potrącić mu z dniówki kwotę dla lichwiarza. Im głębiej się tonęło, tym bardziej się do nich należało - tym bardziej się starali, żebyś przetrwał.

„Nasze - powiedział Dunellen. - Nasze pirsy”.

Eddie rzucił się w stronę krawężnika i obficie zwymiotował na ulicę. Potem wytarł usta i rozejrzał się, stwierdzając z ulgą, że wokół jest pusto.

Zdawał sobie sprawę, że dotarł do kresu. Zamknął oczy i wspomniął miniony dzień: plażę, zimno, doskonały lunch. Biały obrus. Brandy. Pomyślał o wózku dla Lydii. Jednak nie tylko z uwagi na wózek udał się do Dextera Stylesa - wiodło go tam nieodparte, rozpaczliwe pragnienie jakiejś zmiany. Jakiegokolwiek. Nawet jeśli ta zmiana wiązała się z pewnym niebezpieczeństwem. Zawsze wolał niebezpieczeństwo od smutku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwa razy w tygodniu pewna miłosierna dama przychodziła wieczorem do katolickiego sierocińca w Nowym Jorku i po kolacji czytała na głos *Wyspę skarbów, Księgę tysiąca i jednej nocy, Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* oraz inne opowieści o egzotycznych przygodach. Gdy podnosiła głowę znad pulpitu i spoglądała na zgaję chłopców, Eddie próbował sobie wyobrazić, co ukazuje się jej oczom: niezliczone rzędy złożonych rąk (bo tego od nich wymagano, gdy skończyli jeść), masa twarzy podobnych do siebie jak jednopensówki. Te największe, najbrzydsze, najbardziej urocze być może się wyróżniały (DeSoto, O'Brien, Macklemore z tą jego buźką aniołka), ale na pewno nie Eddie Kerrigan. Jego jedynymi godnymi uwagi cechami były umiejętność przeciskania się przez drzwi zamknięte tylko na łańcuszek i wspinanie się na uliczne latarnie niczym małpa. Potrafił też naśladować akcenty, ale był zbyt nieśmiały, żeby się tym popisywać. Raz w zatoce Eastchester spędził pod wodą ponad dwie minuty.

Ojciec przyprowadził go do sierocińca, gdy Eddie miał cztery lata, po tym jak matka zmarła na tyfus. Wtedy sierociniec mieścił się jeszcze w miasteczku Van Nest w Westchester, ale zanim Eddie zdążył podrosnąć na tyle, by się tym zainteresować, Van Nest zostało wchłonięte przez wschodni Bronx. Po drugiej stronie Unionport Road wznosiły się osobne budynki dla dziewcząt, wszystkie z identycznymi oczkami wodnymi - Eddie nie wiedział jednak, czy łapanie rękami ostrożnych, nadąsanych karpie szło dziewczynom równie dobrze jak im. Brianne trafiła do rodziny matki w New Jersey. Jej matka zmarła jeszcze w Irlandii. Początkowo ojciec odwiedzał Eddiego, zabierał go na wyścigi, a potem do baru. Eddie pamiętał z tych wypraw niewiele ponad to, że kurczowo trzymał za rękę wściekłego ojca i zasapany starał się dotrzymać mu kroku, gdy lawirowali wśród wozów zaprzęzonych w konie i tramwajów.

Leżąc w olbrzymiej sali sypialnej, słuchając, jak jego oddech wtapia się w kolektywne westchnienia tak licznych śpiących chłopców, Eddie czuł wstyd z powodu swojej mizerności: wąskie biodra, wychudła, nijaka twarz, włosy przypominające brudne siano. Jeszcze bardziej niż do dorocznej wycieczki sierot do cyrku tęsknił do tej chwili, kiedy raz w miesiącu dłonie przychodzącego do sierocińca fryzjera dotykały jego głowy, krótko i obojętnie, a mimo to potrafiły tak go uspokoić, że niemal zasypiał. Znaczył nie więcej niż puste pudełko po papierosach. Czasami miał wrażenie, że szorstka masa wszystkiego, co n i e jest nim, rozetrze go na pył tak samo jak on rozcierał zasuszone ćmy tworzące stosiki na parapetach w sierocińcu.

Czasami chciał zostać roztarty.

Od chłopców w wieku dziewięciu-dziesięciu lat oczekiwano, że po lekcjach zapracują na kieszonkowe, wykonując któreś z rozlicznych zadań anonsowanych napisem POTRZEBNY CHŁOPAK DO POMOCY: dostarczanie wiadomości i przesyłek, zaklejanie pudeł w jednej z wielu wytwórni fortepianów na Bronksie. Bardziej przedsiębiorczy chłopcy sprzedawali gumę do żucia, guziki albo cukierki na dworcu Van Nest, zachwalali towar w dwu- lub trzyosobowych grupkach, wymyślając piosenki i układy taneczne. W pobliżu sierocińca bacznie ich obserwowano, wszyscy w okolicy wiedzieli, że ci sami chłopcy podprowadzają karmelki z ich słoików i bataty z ich wózków na kółkach. Eddie nie wyłamał się z tego złodziejskiego procederu. Nikt nie chciał zostać z pustymi rękami, gdy dzielono łupy. Czuł się jednak poniżony przez występki, do których był zmuszany, zbrukany podejrzeniami, które z tego wynikały. Szukał pracy w innych dzielnicach, uczepony z tyłu tramwaju z West Farms Road przejeżdżał przez rzekę Bronx i mijał Crotona Park, gdzie stały domy z kamienia i cegły. Choć już na pierwszy rzut oka wyglądał biednie w spodniach i butach z sierocińca, z dala od swojej zgrai zauważył, że jest w stanie stać prosto i patrzeć w oczy każdemu, do kogo się zwraca.

Pewnego popołudnia na początku jesieni, gdy miał jedenaście lat i przechodził przez Claremont Park w stronę piekarni przy Morris Avenue, do której dostarczał przesyłki, zawołał go jakiś starszawy dżentelmen na wózku. Mężczyzna poprosił, żeby Eddie wypchnął go na słońce. Miał na sobie dwurzędowy garnitur, a za wstążką kapelusza nowiutkie pomarańczowe pióro. Eddie zaprowadził wózek tam, gdzie mu polecono, a potem pobiegł do kiosku przy Belmont po cygaro i „Mirror”. Gdy mężczyzna czytał i palił, Eddie nie oddalał się, czekając, aż zostanie odprawiony. W końcu, w poczuciu, że o nim zapomniano, przemówił, siląc się na pompatyczny ton miłosiernych dam czytających książki:

- Jaka szkoda, szanowny panie, słońce pana opuściło. Życzy pan sobie, abym przewiózł pana w inne miejsce?

Stary mężczyzna ze zdumieniem spojrział mu w oczy.

- Umiesz grać w karty? - spytał.

- Nie mam talii.

- Jakie znasz gry?

- Knucklesa. Blackjacka. Chuck-a-lucka. Stussa. Pokera. -Eddie rzucał nazwami jak jednopensówkami. Przy pokerze poczuł, że trafił. Starzec

zaszeleścił pod kraciastym kocem przykrywającym mu kolana i podał Eddiemu nowiusienką talię kart.

- Siedmiokartowy poker otwarty - powiedział. - Ty rozdajesz. Uczciwie.

Przedstawili się sobie i przenieśli w stronę słonecznej ławki, żeby Eddie mógł usiąść. Robili zakłady, używając patyczków, których nazbierał i które połamał na równe kawałki, a ich stołem do gry był koc naciągnięty na wychudłe uda pana De Veera. Karty przypominały w dotyku szkło. Eddie czuł bijący od nich zapach nowości i miał przemożną ochotę, żeby je polizać albo przesunąć którąś po policzku. Za każdym razem przegrywał, ale mało go to obchodziło - kiedy trzymał te karty, siedząc w słońcu, czuł się jak w niebie. W końcu dzentelmen wydobyl z kieszeni ciężki srebrny zegarek i oznajmił, że wkrótce przyjdzie po niego siostra. Dał Eddiemu pięciocentówkę.

- Przecież przegrałem - powiedział Eddie.

Pan De Veer odrzekł, że płaci za ofiarowany mu czas i za towarzystwo, po czym poprosił Eddiego, by przyszedł nazajutrz po południu.

Tej nocy Eddie nie mógł zasnąć, całe jego ciało drżało z pewnością, że zaczęło się coś nowego i wspaniałego. I w zasadzie miał rację, gdyż większość tego, co wydarzyło się w późniejszych latach, można było powiązać z tamtą znajomością.

- Poker dla dwóch osób to żadna gra - oznajmił mu pan De Veer podczas drugiego spotkania i zaproponował, że zapłaci Eddiemu, by zagrał jako jego pełnomocnik w miejscu, gdzie go znano. Jego oficjalne błogosławieństwo miało jednak mniejszą moc, niż pan De Veer sądził, i przy kilku pierwszych próbach Eddie spotkał się z szorstką odprawą - raz pewna dama w wałkach na głowie trzepnęła go nawet miotłą. Wreszcie w sklepie z cygarami naprzeciwko placu załadunkowego został niechętnie przyjęty przez Sida, nałogowego palacza old goldów, który puścił do chłopaka oko zza ospałego cumulusa utkwionego pod zielonym daszkiem na jego głowie.

W następnych tygodniach, jeśli pogoda pozwalała, Eddie dołączał do stołu Sida na godzinę i piętnaście minut - albo na krócej, jeżeli przed upływem tego czasu stracił środki na zakłady. Potem wracał do pana De Veera i relacjonował rozgrywkę karta po karcie, zakład po zakładzie, wykazując się pamięcią, którą z czasem jeszcze udoskonalił. Stary dzentelmen uważnie słuchał, wtrącając się po każdym błędzie - „Nie, na Polski’ego szkoda wysokiej karty, on nie potrafi blefować. Przegrasz” - aż Eddie zaczął zachowywać wyniki na sam koniec, by spotęgować ciekawość pracodawcy i jego zadowolenie. W tych rzadkich przypadkach, gdy Eddie

wygrywał, dostawał od pana De Veera połowę wygranej. Gdy przegrywał, po prostu zwracał to, co zostało. Mógł oczywiście skłamać - powiedzieć, że przegrał, gdy tak naprawdę wygrał, zatrzymać cały zysk - lecz rozpatrywał to wyłącznie jako coś negatywnego: coś, co mogliby zrobić inni chłopcy.

Pan De Veer był kiedyś „sportowcem”, co w jego przypadku najwyraźniej oznaczało hazardzistę i konesera koni. Grał w Canfield ‘s i w hotelu Metropole przeciwko Gouldom, Fiskom i Vanderbiltom, zanim tacy, co to lubią uszczęśliwiać innych na siłę, na przykład wielebny Parkhurst, przegnali graczy z najlepszych miejsc i zamknęli tor wyścigowy przy Brighton Beach.

- Dżentelmeni hazardziści to już przeszłość - powiedział Eddiemu z goryczą. - Zostali wyparci przez takich gangsterów i oszustów jak Arnold Rothstein, młody żydek, który wygrywał, oszukując. Nigdy nie oszukuj, nawet raz - ostrzegł chłopca, patrząc na niego przygasłymi oczami w oprawie srebrnych rzęs. - Oszustwo jest jak błona dziewicza. Nieważne, czy zrobi się to raz, czy sto razy, i tak już po niej.

Jego słowa utkwily w uszach Eddiego, nabierając nadprzyrodzonego ciężaru prawdy, którą poznał już wcześniej. W sierocińcu oszustwo było sposobem na życie, ale Eddie został ulepiony z innej gliny. Pan De Veer dostrzegł tę różnicę. Nauczył Eddiego, jak poznać podrasowaną kostkę, znaczone karty, sygnały świadczące o współpracy z pozoru obcych sobie ludzi - nauczył go zauważać wszystko, co zakłóca mistyczną działalność damy zwanej Fortuną.

Pan De Veer odniósł rany podczas wojny secesyjnej, lecz to „przetrażona pikawa” przykuła go do wózka przed dwoma laty i skazała na opiekę siostry, starej panny, która natychmiast odcięła go od hazardu. Twierdziła, że granie zrujnowało mu zdrowie, lecz on przypuszczał, że siostra planuje wykorzystać jego wojskową emeryturę, by powiększyć swoją kolekcję porcelanowych lalek, liczącą już setki egzemplarzy. Pewnego popołudnia, gdy tylko skończył się zimowy przestój, Eddie przyszedł po grze w karty spóźniony. Pan De Veer odprawił go szorstko. Urażony chłopak patrzył z głębi parku, jak przysadzista dama w czarnym kapeluszu z szerokim rondem zmierza w stronę pana De Veera niczym czołg. Stary dżentelmen przygarbił się na jej widok i wydał kruchy, a Eddie zrozumiał, że pan De Veer boi się siostry.

- Nie masz zegarka? - spytał Eddiego nazajutrz po południu. Gdy chłopak przyznał, że nie ma, dżentelmen odpiął łańcuszek swojego. - Używaj tego - powiedział, wciskając Eddiemu do ręki srebrną cebulę. Była ciężka, ozdobiona grawerunkiem.

- Nie mogę, proszę pana - wyjąkał Eddie. - Pomyślą, że go...
- To nie prezent, tylko pożyczka - uciął pan De Veer.

Pod koniec maja pan De Veer nie pokazał się przez cztery kolejne dni. Czwartego dnia, w piątek, Eddie czekał przez całe popołudnie, zerkając co minuta na srebrny zegarek. W końcu ruszył na Topping Avenue, z której wynurzyła się kiedyś panna De Veer, i podszedł do jakichś dziewcząt rysujących na piasku kwadraty do gry w klasy.

- Widziałyście tego starego pana na wózku? - spytał.

- Zabrali go w trumnie do nieba - odpowiedziała mu piskliwym głosem drobniutka dziewczynka z wyblakłymi żółtymi warkoczami.

- Albo do piekła. Nie wiemy, co miał w sercu! - zawołała starsza dziewczynka z przebiegłą miną, i wszystkie bezlitośnie wyśmiały Eddiego, tak jak jego zgraża drwiła z każdego obcego dziecka, które za bardzo się do niej zbliżyło. Czuł zegarek przy udzie i wiedział, że musi znaleźć pannę De Veer, że musi go zwrócić. Ta myśl wywołała jednak wewnętrzny opór: „Nie! Nie jej”. Przypomniawszy sobie o porcelanowych lalkach, ruszył z powrotem w stronę Claremont Parku. Szedł wolnym krokiem, dopóki nie minął wózka lodziarza, a wtedy puścił się biegiem. Skończył dwanaście lat, był wysoki i chu-derlawy, pospinany mięśniami przypominającymi skórzane rzemienie. Pędząc obok dawnego kasyna Claremont i torów kolei nadziemnej, zdał sobie sprawę, że utrzymując tak zawrotną prędkość, może wyprzedzić świadomość, iż nigdy więcej nie zobaczy pana De Veera. Pognał przez Crotona Park i przez rzekę Bronx, gdzie przstraszył chłopaków łowiących na moście. Mknął przez puste farmy podzielone na widmowe przyszłe ulice, a w końcu przez tory kolejowe do miejsca, które niegdyś było wyblakłym miasteczkiem Van Nest. Ledwo trzymając się na nogach, pobiegł zdyszany w stronę kinoteatru Unionport, gdzie chłopcy z sierocińca czekali na migotliwy film o kowbojach. To był zwyczajny dzień. Jego przyjaciele nie mieli pojęcia o panu De Veerze. Eddie ciężko usiadł obok nich i podczas gdy oni sykali i wrzeszczeli na widok rabusiów pociągu i ich zbójeckich wąsów, on uznał, że może sobie popłakać. Rejwach nieświadomych tego chłopców wchłaniał odgłosy jego smutku i wreszcie stłumił sam smutek. Nic się nie zmieniło ani nie zniknęło.

Odtąd Eddie trzymał się z braćmi z sierocińca, nawet gdy już się od nich oddalił. Był tym, który przychodził i odchodził, którego nikt nie potrafił rozgryźć, a ich gotowość zaakceptowania tej jego niepełnej wersji wzmagająca sympatię, jaką ich darzył. Dorośli i każdy poszedł w swoją stronę: kilku

starszych na wielką wojnę, na której Paddy Cassidy zginął pod Reims; wielu innych do doków West Side, gdzie zostali dokerami albo robotnikami (w zależności od tego, ile pili), policjantami, barmanami, radnymi, związkowcami lub zwykłymi bandziorami. Na wybrzeżu można było pełnić kilka z tych funkcji jednocześnie i wielu tak robiło. Bart Sheehan, chłopak, któremu Eddie uratował życie, ocalając także Dunellena, zdołał ukończyć liceum, potem college, a na dodatek studia prawnicze - dzięki tym porażającym osiągnięciom zaczęto o nim mówić takim samym ściszym głosem jak o Kevinie Macklemorze, przeciętym na pół przez oderwany wagon na Jedenastej Alei. Sheehan pracował teraz w biurze prokuratora stanowego i Eddie nie widział go od wielu lat. Dunellen dowiedział się pocztą pantoflową - dzięki sieci plotek i insynuacji poinformowanej lepiej niż dziennikarze z „Shamrocka” - że Bart rozpracowuje makaroniarski syndykat. Eddie przypuszczał, że to tylko chciejstwo Dunny’ego.

Ku zdumieniu przyjaciół Eddie zaczął się interesować wodewilem, gdzie tańczył, fałszował, rozśmieszając widzów, zwisał niczym nietoperz z krokwi pod sufitem i wyginał ciało, naśladując ucieczki Houdiniego. Na jeden sezon dołączył do Follies, gdzie zakochał się w tancerce rewiewej, która niedawno uciekła (jak sama twierdziła) z plantacji jęczmienia w Minnesocie. Po ślubie Eddie został dyrektorem teatru i szkolił się na maklera giełdowego. Zamierzał kupić miejsce na giełdzie chodnikowej, gdzie ceny były bardziej przystępne niż na New York Stock Exchange. Nie żeby mu brakowało pieniędzy. Eddie znalazł swoją ulubioną grę hazardową: kupował akcje na kredyt i sprzedawał je, by kupić następne - oraz zyskać atrybuty godne swojego świeżo zdobytego bogactwa. Kupił Agnes rosyjskie futro z soboli i sznur pereł od Blacka, Starra & Frosta. W zlewie ich wynajętego mieszkania przy Piątej Alei pływały niedopałki papierosów Prince de Monaco, które gasili na talerzach z niedojedzonymi potrawami, spiesząc się do sypialni. Eddie zatrudnił gosposię, która sprzątała po południu. Zatrudnił też krawca, sprowadzał garnitury z Anglii, po przedstawieniach kupował w Heigh-Ho i Moritzu szampana dla Agnes i tuzina innych osób. Miał niewielkie pojęcie o tym, jak być bogatym - na tyle znikome, że uważał się za bogacza. Zabierali Annę na przyjęcia i układali ją do snu na stertach futer. Z Lydią było oczywiście inaczej. Zatrudnili irlandzką praczkę, by opiekowała się nią wieczorami, kiedy robiła im pranie.

Jednak nawet u szczytu swojego zadowolenia, gdy Eddie prawie nie zauważał statków, które unosiły się na krańcach ulic odchodzących od Broadwayu, starał się utrzymać swoją pozycję w stadzie: chodził na śniadania komunijne z szuchami ze związku w kościele Anioła Stróża i na spotkania

Rycerzy Kolumba, kupował drogie bilety na doroczne przyjęcia, na których oddawano hołd tym, co wspięli się najwyżej. Chciał się przy okazji pochwalić Agnes, jej gwiazdorskimi lokami i gibkim ciałem tancerki. Żartowano, że na przyjęciu weselnym irlandzkie dziewczyny wyglądały jak zaniedbane ciotki, a Eddie z przyjemnością patrzył, jak twarze jego braci napinają się nieco z zazdrości i onieśmienia.

I dzięki Bogu utrzymał te relacje - dzięki Bogu! Po krachu, gdy Eddie tracił kolejne atrybuty bogactwa, którego, jak odkrył, nigdy nie posiadał - sobole, perły, mieszkanie, zestaw papierośnic od Cartiera - i gdy stracił pracę (teatr zamknięto), Dunellen powitał go z powrotem, odkupił od niego duesenberga i wręczył mu kartę związkową. Dołączając do jednej ze zbierających się dwa razy dziennie grup bezrobotnych mężczyzn - ci, którzy szukali roboty, zbierali się przed gościem wyznaczającym ludzi do pracy - Eddie wsuwał wykałaczkę za lewe ucho, co gwarantowało zatrudnienie przynajmniej w luku towarowym statku, a przeważnie którąś z lepszych fuch przy rozładunku. Bez tego jego rodzina umarłaby z głodu. A gdy w trzydziestym drugim statki przestały przyplływać, Dunellen zatrzymał go w roli związkowego sługusa w prążkowanym garniturze i pożyczał mu duesenberga na czas załatwiania różnych spraw. Pewnego popołudnia, jadąc Wall Street, Eddie zauważył znajomo wyglądającego mężczyznę sprzedającego jabłka na rogu ulicy. Dopiero gdy go minął, uświadomił sobie, kto to był: jego makler giełdowy.

*

Anna usłyszała zgrzyt ojcowskiego klucza w zamku i otworzyła oczy. Sądząc po gęstości ciszy za oknem, było bardzo późno. Nie rozlegało się nawet podzwanianie tramwaju. Okrążyła na palcach chiński parawan, który trzymali dla cioci Brianne w ciemnym salonie. Tam przystanęła. Jej ojciec stał bez koszuli przy zlewie i namydlał tors. Anna obserwowała go jak zahipnotyzowana. Z jasnej kuchni nie mógł jej widzieć i przez jedną dziwną chwilę wydawał się kimś obcym, do kogo nie miała żadnych praw. Wychudły, przystojny nieznajomy obracający w głowie jakąś myśl.

Gdy wrócił, skorzystawszy z toalety w korytarzu, Anna czekała w kuchni. Podskoczył na widok córki w koszuli nocnej. Potem wyglądało na to, że wszystkie zmartwienia go opuściły. Znów był sobą. I ona też.

- Skarbie - powiedział cicho. - Co tu robisz o tej porze?
- Czekam na ciebie.

Podniósł ją i zatoczył się tak bardzo, że o mało nie stracił równowagi.

Czując, że jego oddech pachnie jakby lekarstwami, domyśliła się, że pił.

- Robisz się coraz większa - powiedział, opierając się o futrynę.
- A ty coraz mniejszy - odparła.

Niezbyt pewnym krokiem zaniósł ją przez salon pod drzwi jej pokoju. Roleta we frontowym oknie była podniesiona i ojciec oparł się o ramę, nadal trzymając ją w ramionach. Razem spojrzeli w ciemność. Anna poczuła, że miasto rozpościera się wokół nich, sięgając swoimi ulicami i alejami w stronę rzeki i portu.

- Słyszysz tę ciszę? - spytał ostrożnie, jakby niecierpliwie czegoś wyczekiwał. - To dźwięk portu w czasie kryzysu.

- Nie ma statków - powiedziała.
- Nie ma statków.
- Słyszę ptaka.
- Żadnych ptaków, proszę. Jeszcze nie.

Jakiś samotny ptak zaczął jednak ćwierkać; ostatni akt oporu przeciwko zimie. Jak na zawołanie po wschodniej stronie nieba pojawiła się odrobina światła.

- Nie było cię całą noc - powiedziała ze zdumieniem.
- Możemy pospać aż do mszy. - Odczekał jednak jeszcze chwilę, opierając się z Anną w ramionach o ramę okna. Ile razy jeszcze ją podniesie? Już teraz wydawała się na to prawie za duża.
- Ja śpię tutaj - oznajmiła, obejmując go rękami za szyję. Skóra ojca pachniała płatkami mydłanymi Ivory po niedawnym myciu. Anna oparła policzek o jego nagie ramię i zamknęła oczy.

CZĘŚĆ DRUGA

ŚWIAT CIENI

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wszystko zaczęło się w dniu, w którym zobaczyła tę dziewczynę. Anna wyszła, żeby kupić lunch, mimo niezadowolenia przełożonego, pana Vossa, który wolał, by pracownice przynosiły lunch z domu i jadły go na tych samych wysokich taboretach, na których siedziały i mierzyły przez cały dzień. Anna wyczuwała niepokój w tym dążeniu, by wszystkie pozostawały w zasięgu jego wzroku, jakby dziewczęta puszczane wolno na terenie stoczni marynarki wojennej mogły się rozpieczętnąć niczym kurczęta. To prawda, w zakładzie jadłoby się przyjemnie, był czysty i jasno oświetlony dzięki rzędowi okien na drugim piętrze. Miał klimatyzację - w gorące wrześniowe dni, gdy Anna zaczęła pracować, każdy zakamarek wypełniał się szumiącym chłodem. Teraz marzyła o tym, by otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego październikowego powietrza, lecz okna były zamknięte na stałe, odcinały drogę pyłowi i brudowi mogącym zafałszować pomiary, których dokonywała razem z innymi dziewczynami - a może mierzone przez dziewczyny maleńkie części musiały być nieskazitelnie czyste, żeby prawidłowo działać? Nikt tego nie wiedział, a pan Voss nie należał do ludzi lubiących pytania. Na samym początku Anna spytała o tajemnicze obiekty leżące na jej tacy.

- Co właściwie mierzymy i do którego statku są przeznaczone te części?

Pan Voss uniósł jasne brwi.

- Panno Kerrigan, ta informacja nie jest niezbędna, żeby mogła pani wykonywać swoją pracę.

- Pomogłaby mi wykonywać ją lepiej.

- Obawiam się, że nie nadążam.

- Wiedziałabym, co robię.

Mężatki ukryły uśmiechy. Annie przypadła rola - albo sama ją sobie wybrała - niesfornej młodszej siostry, i niezmiernie jej się to podobało. Szukała sposobów, by rzucić panu Vossowi wyzwanie, nie ryzykując przy tym, że zostanie to uznane za jawną niesubordynację.

- Mierzycie i sprawdzacie części, dbając o to, by były jednakowe - wyjaśnił cierpliwie pan Voss, jakby rozmawiał z półgłówkiem. - I odkładacie na bok te, które nie są.

Wkrótce się wydało, że sprawdzane przez nie części miały trafić do pancernika Missouri, którego kil umieszczono w czwartym suchym doku blisko rok przed Pearl Harbor. Później kadłub Missouri spławiono przez

zatokę Wallabout do pochylni: olbrzymich żelaznych sektorów z zygzakowatymi pomostami przywodzącymi na myśl rollercoaster na Coney Island. Świadomość, że sprawdzane przez nią części trafią do najnowocześniejszego pancernika, jaki kiedykolwiek zbudowano, rzeczywiście zwiększyła nieco zapał Anny do pracy. Ale niewystarczająco.

Gdy o wpół do dwunastej zabrzmiał gwizdek sygnalizujący lunch, nie mogła się już doczekać, kiedy wyjdzie z zakładu.

Aby uzasadnić konieczność opuszczenia budynku, nie przynosiła lunchu z domu - choć wiedziała, że takim wybiegiem nie oszuka pana Vossa. Nie mógł jednak przecież odmówić dziewczynie posiłku, więc tylko patrzył ponuro, jak Anna idzie do drzwi, podczas gdy mężatki rozpakowują kanapki zawinięte w woskowany papier i rozmawiają o mężach przebywających w obozach dla rekrutów albo za morzem. O tym, która dostała list, o wskazówkach, przeczuciach albo marzeniach dotyczących miejsca pobytu ukochanych, o swoim rozpaczliwym strachu. Co najmniej jedna płakała, wyjawiając swój lęk, że mąż albo narzeczony nie wróci. Anna nie była w stanie tego słuchać. Takie rozmowy budziły w niej przykrą złość na dziewczyny, które wydawały się słabe. Na szczęście pan Voss położył kres poruszaniu tego rodzaju tematów w godzinach pracy, czym wlał miód na serce Anny i wywołał rzadkie u niej poczucie wdzięczności. Odtąd dziewczyny śpiewały przy pracy piosenki z college'ów, do których kiedyś chodziły: z Huntera, St. Josephs, Brooklyn College. Anna w końcu nauczyła się na pamięć hymnu tej ostatniej uczelni - choć nie zwracała sobie tym głowy w ciągu roku, który na niej spędziła.

Zsynchronizowała zegarek z olbrzymim zegarem na ścianie, którego musiały się pilnować, i wyszła. Po opuszczeniu hermetycznej ciszy zakładu donośny hałas stoczni zawsze wywoływał wstrząs: dźwig, ciężarówki i silniki pociągów, miauczenie stali ciętej i obrabianej w pobliskim zakładzie konstrukcyjnym, mężczyźni przekrzykujący hałas. Odór węgla i smaru zmieszany z czekoladowymi wyziewami z fabryki przy Flushing Avenue. Nie produkowano w niej już czekolady, lecz coś, co mogli jeść żołnierze, żeby uniknąć śmierci głodowej. Anna słyszała, że ten krewniak czekolady smakuje jak gotowany ziemniak, by żołnierze nie odczuwali pokusy podjadania go częściej, niż należało. Ale zapach i tak był cudowny.

Gdy szybkim krokiem mijała budynek 4, zakład konstrukcyjny z tysiącami brudnych okien, zobaczyła dziewczynę wspinającą się na rower. Początkowo nie zauważyła, że to dziewczyna - miała na sobie takie same zwyczajne granatowe ciuchy robocze jak oni wszyscy. Coś w jej sposobie

poruszania się - gracia, z jaką wsiadła na pojazd - przykuło jednak wzrok Anny i po chwili z dreszczem zazdrości patrzyła, jak dziewczyna sunie przed siebie.

W stołówce niedaleko pirsów kupiła zapakowany posiłek za czterdzieści centów - tym razem był to kurczak, tłuczone ziemniaki, groszek z puszki i mus jabłkowy - po czym skierowała się w stronę pirsów C i D, które znajdowały się wystarczająco blisko jej zakładu, by mogła tam zjeść (często stojąc, a nawet idąc) i wrócić na swój taboret piętnaście po dwunastej. Poprzedniego dnia przy pirsie C zacumował statek; jego niespodziewane zwaliste widmo wydawało się wręcz niezemskie. Z każdym krokiem, który przybliżał do niego Annę, zdawał się rosnać, aż musiała całkiem odchylić głowę, by przesunąć wzrokiem po zaokrąglonym dziobie w stronę odległego pokładu. Roilo się na nim od marynarzy, identycznych i podobnych do zabawek w mundurach i czapkach - wszyscy wychylali się przez barierkę, gapiąc się na coś w dole. Nagle do uszu Anny dotarły chóralne gwizdy. Znieruchomiała, ściskając pudełko z lunchem - a potem z ulgą zauważyła, że przyczyną tego entuzjazmu nie jest ona, lecz dziewczyna na rowerze, która wracała z końca pirsu. Wiatr wydobyl spod jej chustki zmierzwioną grzywę tlenionych włosów. Anna patrzyła na nadjeżdżającą dziewczynę, próbując ocenić, czy jest zadowolona z takiego zainteresowania czy nie. Zanim zdążyła się zdecydować, rozpędzony rower wjechał na żwir i runął na bok, ciskając rowerzystkę na ceglastą nawierzchnię ku szyderczej ucieście marynarzy. Gdyby dziewczyna była w ich zasięgu, bez wątpienia prześcigaliby się, pędząc jej na pomoc. Ale ponieważ znajdowali się na dużej wysokości i mogli się popisać jedynie przed sobą nawzajem, zdecydowali się na orgiastyczne okrzyki:

- Oj, biedactwo straciło równowagę.
- Szkoda, że nie ma na sobie spódnicy.
- Hej, jesteś ładna, nawet kiedy płaczesz.

Dziewczyna jednak nie płakała. Wstała ze złością, upokorzona, lecz nieustępliwa, co wzbudziło sympatię Anny. Przeszło jej przez myśl, żeby podbiec i pomóc, ale potem była zadowolona, że oparła się tej pokusie - dwie dziewczyny siłujące się z rowerem byłyby zabawniejsze niż jedna. A taka dziewczyna jak ta blondynka na pewno nie potrzebowała pomocy. Wyprostowała się i powoli, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek słyszy, zaprowadziła rower na początek pirsu. Stojąca tam Anna od razu zwróciła uwagę na jej urodę - miała dołeczki w policzkach, błyszczące błękitne oczy i loki Jean Harlow. Poza tym wydawała się znajoma - być może dlatego, że

wyglądała tak, jak mogłaby wyglądać Lydia, gdyby nie była taka, jaka była. Na świecie roiło się od dziewczyn (na przykład Betty Grable), które Anna darzyła siostrzanym uczuciem właśnie z tego powodu. Kiedy jednak blondynka przeszła obok, ignorując Annę, ta rozpoznała w niej jedną z dziewczyn, którym dziennikarze postanowili towarzyszyć we wrześniu, pierwszego dnia ich pracy w stoczni marynarki wojennej. Anna widziała jej zdjęcie w „Brooklyn Eagle”.

Dziewczyna bezpiecznie minęła statek, wsiadła na rower i odjechała. Anna spojrzała na zegarek i z przerażeniem zorientowała się, że jest spóźniona prawie trzynaście minut. Popędziła w stronę budynku, wiedząc, że robi się z tego mały spektakl. Śmignęła obok inspektorów na pierwszym piętrze - byli to sami mężczyźni, korzystali z drabin, by mierzyć większe części - i o dwunastej trzydzieści siedem usiadła na swoim taborecie. Pot spływał jej spod pach pod roboczym kombinezonem. Skupiła wzrok na tacy z małymi częściami, które codziennie dostawała do mierzenia, i starała się zapanować nad oddechem. Rose, zaprzyjaźniona z Anną mężatka, rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie znad sąsiedniego stolika.

Używanie mikrometru było banalnie proste: zacisnąć, dokręcić, odczytać. Początkowo Anna była zachwycona takim przydziałem. Dziewczyny zatrudnione przy spawaniu i nitowaniu potrzebowały sześciotygodniowego szkolenia, a sprawdzanie wymagało jedynie tygodniowych testów kwalifikacyjnych. Chodziła do college’u i pan Voss użył w uwagach wstępnych słowa „elita”, co sprawiło jej przyjemność. Miała jednak dość pracowania rękami. Po dwóch dniach odczytywania wskazań mikrometru, a następnie stemplowania dokumentu, który przynoszono razem z tacą, by mogła poświadczyć identyczność części, Anna odkryła, że jednak nienawidzi tej pracy. Była monotonna, a mimo to wymagała skupienia, była otepiająco nieciekawa, lecz na tyle istotna, że odbywała się w „czystym pomieszczeniu”. Od wpatrywania się w mikrometr Annie huczało w głowie. Czasami kusiło ją, żeby spróbować ocenić wielkość części wyłącznie za pomocą palców. Mogła jednak tylko zgadywać, a potem i tak musiała dokonać pomiaru, by się przekonać, czy miała rację. W dodatku wszyskowidzący pan Voss zauważył, jak pracuje z zamkniętymi oczami.

- Czy wolno spytać, co pani robi, panno Kerrigan? - powiedział.

Gdy mu wyjaśniła (ku uciesze mężatek), odrzekł:

- Nie ma czasu na takie pomysły. Mamy wojnę do stoczenia.

Teraz, gdy praca dobiegła końca i znowu były w cywilnych ubraniach,

pan Voss poprosił Annę, żeby przyszła do jego biura. Nigdy wcześniej nikogo do siebie nie wzywał. To nie wróżyło nic dobrego.

- Zaczekać na ciebie? - spytała Rose, gdy inne mężatki życzyły jej szczęścia i pospiesznie wyszły. Anna jednak nie skorzystała z propozycji, bo wiedziała, że w domu czeka na Rose małe dziecko.

Biuro kierownika było niemal puste i prowizoryczne, jak większość biur w stoczni. Pan Voss wstał na chwilę, kiedy weszła, a potem znów zajął miejsce za metalowym biurkiem.

- Wróciła pani z lunchu z dwudziestominutowym spóźnieniem - powiedział. - Właściwie to dwudziestodwuminutowym.

Anna stała przed nim, a jej serce pompowało krew prosto do twarzy. Pan Voss był w stoczni ważną osobistością, komendant dzwonił do niego co najmniej raz. Mógł ją zwolnić. Właściwie to nie brała takiej możliwości pod uwagę w ciągu tygodni, które upłynęły jej na delikatnym graniu mu na nerwach. Teraz jednak uderzyło ją to z całą mocą: zrezygnowała z Brooklyn College. Jeśli nie będzie tutaj, w pracy, znowu utknie w domu z matką, będzie opiekować się Lydią.

- Przepraszam - powiedziała. - To się nie powtórzy.

- Niech pani usiądzie - odparł i Anna usiadła na krześle. - Jeśli ma pani niewielkie doświadczenie w świecie pracy, te zasady i ograniczenia na pewno wydają się pani dość uciążliwe.

- Pracowałam przez całe życie - powiedziała, lecz nie zabrzmiało to wiarygodnie. Przepęłniał ją wstyd, jakby przypadkiem zauważyła swoje odbicie w sklepowej witrynie i wydało jej się ono śmieszne. Dziewczyna z college'u pragnąca zakosztować wojennego trudu. „Elita”. Tak musiała wyglądać w jego oczach. Przez jej umysł przepływały slogany z „Shipworkera”: MINUTY ZAOSZCZĘDZONE TUTAJ TO ŻYCIE URATOWANE TAM. GDY NIE PRACUJESZ, PRACUJESZ DLA WROGA.

- Zdaje sobie pani sprawę, że możemy nie wygrać wojny - powiedział.

Zamrugła.

- No tak. Oczywiście. - Do stoczni marynarki wojennej nie wolno było przynosić gazet, gdyż bano się, że nadszarpną morale, lecz Anna co wieczór kupowała „Timesa” przy bramie na Sands Street.

- Zdaje sobie pani sprawę, że naziści otoczyli Stalingrad.

Przytaknęła i upokorzona spuściła głowę.

- I że japońcy kontrolują Pacyfik od Filipin po Nową Gwineę?

- Tak.

- Rozumie pani, że to, co tu robimy, budowa i naprawa alianckich statków, umożliwi marynarzom, samolotom, bombom i konwojom dotarcie na pole bitwy?

Zadrzało w niej ziarno zniecierpliwienia. Powiedział swoje.

- Tak.

- I że odkąd wybuchła wojna, storpedowano setki alianckich statków handlowych, a codziennie toną kolejne?

- Tracimy mniej statków niż wcześniej i budujemy nowe - powtórzyła cicho to, co niedawno przeczytała w „Timesie”. - W ubiegłym miesiącu stocznia Kaiser zbudowała statek Liberty w dziesięć dni.

Brzmiało to jak jawna bezczelność i Anna czekała na cios. Po chwili jednak pan Voss rzucił tylko:

- Zauważyłem, że nie przynosi pani lunchu. Zakładam, że mieszka pani w domu?

- Tak - powiedziała Anna. - Ale matka i ja jesteśmy bardzo zajęte opieką nad siostrą. To kaleka.

Mówiła prawdę. Ale nie do końca. Matka szykowała Annie śniadanie i kolację, bez trudu mogłaby zapakować także lunch, i nawet to proponowała. Anna pozwoliła sobie na zupełną szczerłość, co często zdarzało jej się w kontaktach z obcymi albo prawie obcymi ludźmi. Jej nagrodą było lekkie zdziwienie, które pojawiło się na twarzy pana Vossa.

- O, przykro mi - powiedział. - Czy wasz ojciec nie może pomóc?

- Ojca nie ma. - Prawie nigdy tego nie wyjawiała i teraz też nie zamierzała.

- Jest w wojsku? - Pan Voss miał wyraźne wątpliwości. Mężczyzna wychowujący dziewiętnastoletnią córkę z pewnością był na to za stary.

- Po prostu... go nie ma.

- Porzucił rodzinę?

- Pięć lat temu.

Gdyby temu wyznaniu towarzyszyły jakiegokolwiek emocje, Anna by je ukryła. Ale nie towarzyszyły. Ojciec wyszedł z domu jak co dzień - nawet tego nie pamiętała. Prawda docierała do niej stopniowo, jak zapadający mrok: kiedy przyłapywała się na tym, że czeka na jego powrót, uświadamiała sobie, iż czeka tak od wielu dni, potem tygodni, jeszcze później miesięcy - a on wciąż nie przychodził. Miała czternaście lat, później piętnaście. Nadzieja zmieniała się we wspomnienie nadziei: zdrętwiałe, martwe miejsce. Nie potrafiła już wyraźnie przypomnieć sobie ojca.

Pan Voss głęboko westchnął.

- No cóż, trudna sytuacja - odrzekł. - Bardzo trudna dla pani i pani matki.

- I dla siostry - dodała odruchowo.

Cisza, która ich otoczyła, była niezręczna, ale nie nieprzyjemna. Nastąpiła jakaś zmiana. Pan Voss miał podwinięte rękawy koszuli. Zauważyła jasne włoski na jego rękach i mocne, kanciaste nadgarstki. Czuła jego współczucie, ale w ciasnej szczelinie ich rozmowy brakowało miejsca na kanał, którym mogłyby popłynąć emocje. A litość nie była tym, czego pragnęła. Pragnęła wychodzić z zakładu w porze lunchu.

Ucichł gwar po przyjściu następnej zmiany. Nocni inspektorzy widocznie już pracowali przy tacach. Anna przyłapała się na tym, że wspomina dziewczynę na rowerze. Nell - to imię przyszło do niej nagle, z podpisu pod zdjęciem w gazecie.

- Panno Kerrigan - zwrócił się do niej w końcu pan Voss. -Może pani wychodzić na lunch, jeśli będzie pani pilnowała czasu i pracowała z pełnym zaangażowaniem.

- Dziękuję - zawołała Anna, zrywając się z krzesła. Pan Voss wydawał się zaskoczony. Po chwili też wstał. Uśmiechnął się - wcześniej tego nie widziała. Ten uśmiech go zmienił, jakby cała surowość, jaką demonstrował w sali inspektorów, była kryjówką, z której ten sympatyczny mężczyzna właśnie pomachał jej na powitanie. Tylko jego głos brzmiał tak samo.

- Pani matka pewnie potrzebuje pani w domu - powiedział. - Miłego wieczoru.

*

Nazajutrz rano Anna zauważyła burzę jasnych loków Nell w gęstwinie kapeluszy i czapek wlewających się przez bramę przy Sands Street za piętnaście ósma, w ostatniej chwili, by zdążyć podbić kartę. Po ósmej

obcinano wynagrodzenie o godzinę, bez względu na to, czy spóźnienie wyniosło trzydzieści sekund, czy trzydzieści minut. Na zewnątrz stały tuziny marynarzy ubranych w taliowane, obcisłe mundury kupione na krótką przepustkę. Anna słyszała, że spodnie mają po bokach wszyte suwaki, żeby chłopcy mogli je szybko wkładać i zdejmować. Sądząc po ich wymizerowanym, niezdrowym wyglądzie, większość z tych marynarzy spędziła przepustkę na całonocnych balangach. Dwaj pospiesznie oddalili się od tłumu i z pozieleniałymi twarzami opierali się teraz o mur.

Nell stała w kolejce do Hardy'ego, środkowego strażnika. Ta kolejka zawsze była najkrótsza, bo widywano, jak Hardy emu kapie z nosa do termosów, które otwierał, szukając alkoholu. Strażnicy otwierali też pakunki, odwiązując sznurki i rozchylając warstwy papieru, by sprawdzić, czy w środku nie ma bomby. Niemieccy szpiedzy i sabotażyści byliby zachwyceni, mogąc wejść na teren stoczni marynarki wojennej.

I choć Annie wydawało się to naciągane (wiele osób znała tu już z widzenia), pozostawało faktem, że w amerykańskich miastach kręcą się niemieccy szpiedzy. W styczniu trzydziestu trzech trafiło do więzienia za to, że wyjawili Rzeszy datę wypłynięcia amerykańskiego statku handlowego SS Robin Moor. Statek został storpedowany u wybrzeży Afryki.

Między Nell a Anną przez bramkę przeszli trzej mężczyźni, ale woń perfum Nell unosiła się w powietrzu, jeszcze gdy Anna pokazywała swój identyfikator i otwierała torebkę, żeby Hardy mógł zajrzeć do środka. Nell nie była mężatką. Anna domyśliła się tego, widząc, jak niespokojnie przystanęła za bramą, żeby spojrzeć na zegarek, i poznała to po wypiełgnowanych lukach jej paznokci. Jej włosy wyglądały na świeżo ułożone. To była dziewczyna, która spała w wałkach, co oznaczało, że po pracy idzie na randkę, ponieważ w innym wypadku loki - które na terenie zakładu należało zakrywać - na nic by się tu nie zdały. Anna nie była flirciarą, lecz w przeciwieństwie do niektórych dziewczyn nie miała nic przeciwko flirciarom. Nawet jej się podobało, jak przejmują kontrolę nad mężczyznami, którym wydawało się, że to oni mają kontrolę. Też chciałyby flirtować, ale nie szło jej to najlepiej. Jej bezpośredniość utrudniała sprawę.

- Masz na imię Nell - powiedziała, doganiając ją. Dziewczyna kiwnęła głową, jakby przywykła do tego, że jest rozpoznawana.

- Ja jestem Anna.

Wyciągnęła rękę i pospiesznie uściśniły sobie dłonie, nie zwalniając kroku. Anna zauważyła poirytowanie i speszenie na twarzy Nell. Podobnie

jak większość flirciar Nell nie widziała powodu, dla którego miałyby znać inne dziewczyny. Jawiły jej się wyłącznie jako rywalki albo pochlebczynie i przypuszczalnie zastanawiała się teraz, do której z tych grup zaliczyć Annę.

- Widziałam, jak wczoraj spadłaś z roweru.

- A. - Nell przewróciła oczami, ale Annie udało się wzbudzić jej zainteresowanie.

- Jest twój?

- Nie, Rogera. Pracuje w moim zakładzie.

- Myślisz, że mi też mógłby pożyczyć? - spytała Anna.

Nell spojrzała na nią.

- Pożyczy go mnie. Ja pożyczę tobie.

Teraz, gdy już się okazało, że Anna chce od niej czegoś, co ona pomoże jej zdobyć, Nell jakby się rozluźniła.

- Dużo dziewczyn pracuje w twoim zakładzie? - spytała Anna, idąc szybkim krokiem po Second Street.

- W szablonowni jest nas kilka, ale to same kretyнки.

- Mężatki?

- Ty to powiedziałaś. Większość wolnych dziewczyn spawa, ale to brudna robota. Nigdy bym jej nie wzięła.

- Co się robi w szablonowni?

- Robi się... szablony - odparła Nell. Złożoność tematu najwyraźniej była większa niż jej chęć objaśniania go.

- Do statków?

- Nie, do furgonetek z lodami. Nie bądź durna.

Anna ucieszyła się, że dotarły do zakładu Nell. Im dłużej rozmawiały, tym mniej ją lubiła.

- Jak mogę zdobyć ten rower?

- Spotkajmy się przy wejściu do budynku numer cztery zaraz po gwizdku - powiedziała Nell. - Przyprowadzę go.

- Twój szef nie ma nic przeciwko temu, że wychodzisz?

- Lubi mnie - odparła Nell, a Anna domyśliła się, że wyjaśnia w ten

sposób, być może słusznie, większość tego, co jej się przydarza.

- Nasz woli, żebyśmy jadły w budynku - powiedziała Anna, mając świadomość, że trochę nagina prawdę, przywołując lekko już przedawnioną wersję pana Vossa. Wyglądało na to, że stara się o rolę pochlebczyni, być może jedyną, jaka była do wzięcia.

- Spróbuj szminki - poradziła Nell. - Działa cuda.

- On nie jest taki.

Twarz Nell składała się z samych promiennych krągłości. Ciągłe wyglądała, jakby za chwilę miała się roześmiać. W spojrzeniu błękitnych oczu przebijało jednak wyrachowanie.

- Oni wszyscy są tacy - powiedziała.

W południe, gdy znów się spotkały, obie miały na sobie granatowe kombinezony. Wszystkie loki Nell, co do jednego, były podwinięte pod pękatą chustkę, a na nogach miała ochronne buty ze wzmocnionymi czubkami, do zakupu których zachęcano je wszystkie. Mimo że „Shipworker” często zamieszczał krótkie historyjki o katastrofach, przed jakimi chroniły te buty, Anna jeszcze sobie takich nie sprawiła. Uznała, że to bez sensu, skoro zajmuje się wyłącznie przedmiotami wielkości najwyżej ćwierćdolarówki.

- Jak już skończysz, możesz zostawić go tutaj. - Nell podała Annie poobijanego czarnego schwinna. - Zabiorę go w drodze powrotnej. Obok bramy przy Cumberland pewna kobieta sprzedaje świetne kanapki z pastą jajeczną. Prosto ze swojego mieszkania - kolejkę widać aż na Flushing Street.

- Dzięki.

- Pasty jajecznej nie da się zapakować. Rozciapcia się.

- Szkoda, że nie mamy dwóch rowerów — powiedziała Anna, czując przypływ sympatii dla tej próżnej, wspaniałomyślniej dziewczyny.

- Żadna strata. Ja już z tym skończyłam - oznajmiła Nell. Po chwili dodała z uśmiechem: — Poza tym wywołałybyśmy zamieszki.

Anna jeździła rowerem już wcześniej. Można je było wypożyczyć w Prospect Parku za piętnaście centów i przejażdżki po alejkach należały do popularnych weekendowych rozrywek chłopców i dziewcząt z Brooklyn College. To jednak było co innego. Przede wszystkim męski schwinn miał niewygodnie umiejscowiony drążek ramy i musiała pedałować na stojąco, żeby przypadkiem na nim nie wylądować. Może właśnie pozycja stojąca wszystko zmieniła. W każdym razie gdy tylko Anna nacisnęła na pedały i

rower zaczął podskakiwać na ceglach, poczuła, jakby dosięgła ją błyskawica. Ruch podziałał na otoczenie jak alchemia, przemieniając je z gamy oderwanych od siebie scenek w symfoniczną maszynę, nad którą mogła się unosić niewidzialna niczym mewa. Jechała jak szalona, prawie zaśmiewając się w głos, smolisty wiatr wypełniał jej usta. Tego pierwszego dnia była zbyt podekscytowana, żeby jeść, za bardzo się bała, że się spóźni, by ryzykować wyprawę po pastę z jajek. Wróciła na swój taboret dziesięć po dwunastej i głodowała przez resztę dnia, trzymając mikrometr drżącymi rękami i czując, jak przesywa ją dziwna elektryzująca radość.

Następnego ranka pracowała z wściekłym zapalem, żeby czas płynął szybciej, i gdy rozległ się gwizd, miała już sprawdzone trzy czwarte tacy. Nell czekała z rowerem. Tym razem Anna ruszyła w stronę pochylni, kilka razy przejechała obok jej porowatej żelaznej konstrukcji i w cieniu wektorów zauważyła kadłub tak olbrzymi, że wyglądał jak coś niezemskiego. USS Missouri. Odkąd pojawiła się w stoczni, słyszała, jak ludzie szepczą tę nazwę, lecz na widok statku poczuła coś dziwnego, niemal strach. Wystarczyło, że na niego spojrzała.

Teraz, gdy mierzyła szybciej, po skończonej pracy zaczęła pomagać niektórym wolniejszym dziewczynom. Pewnego popołudnia pan Voss przyniósł jej zrolowane światłokopie projektu i poprosił, by dostarczyła je do biura kapitana stoczni w budynku 77. Anna, pokrzepiona niemym oszołomieniem mężatek, popędziła na południe po Morris Avenue, a potem Szóstą Ulicą ku nijakiemu nowemu budynkowi, który miał okna tylko na samej górze. Wjechała windą na piętnaste piętro i znalazła się w otoczeniu ścian obwieszonych mapami. Za oknami widać było tylko niebo, lecz chłodne spojrzenie sekretarki w cywilnym ubraniu stłumiło odruchową chęć Anny, by nacieszyć się tym widokiem. Następnego dnia po południu pan Voss wysłał ją do tego samego biura po jakiś pakunek. Dostarczając przesyłki, czuła dreszczyk emocji, jakby dopuszczono ją do jakiejś tajemnicy, a może nawet jakiegoś spisku, który nie bardzo rozumiała. Czuła się jak szpieg.

Choć w zasadzie wymieniały tylko pozdrowienia podczas przekazywania sobie roweru, Anna i Nell w pewnym sensie się zaprzyjaźniły. Nie przypominało to wcale przyjaźni łączącej Annę ze Stellą Iovino albo Lillian Feeney, dziewczynami z jej bloku i kwartału, z którymi bawiła się papierowymi lalkami, skakała w sznura i którym pomagała pilnować młodszego rodzeństwa. Nie było to też podobne do jej przyjaźni z pilnymi dziewczynami z college'u pochodzącymi z Crown Heights i Bay Ridge. Nell nie była grzeczną dziewczynką. Nie zamierzała dzielić się z Anną sekretami, a to sprawiło, że Anna czuła się w jej towarzystwie swobodnie - uwolniona

od rusztowania pozorów, które - choć dawniej nie zdawała sobie z tego sprawy - musiała zachowywać w kontaktach z innymi dziewczynami.

Gdy Nell się spóźniała, Anna czekała obok budynku 4, uchylając się przed dźwigami, które kursowały tam i z powrotem przez drzwi kojarzące się ze stodołą, z gigantycznymi płatami metalu zwisającymi na linach z ich ząbkowanych szczęk. Lubiła zaglądać do środka i obserwować spawaczy z ciężkimi rękawicami i płonącymi prętami. Czasami gdy jeden z nich zdejmował maskę ochronną, ze zdumieniem odkrywała, że to dziewczyna. Spawaczki jadły lunch, siedząc na podłodze pod ścianą, a ich wzmocnione stałą buty sterczały w stronę hali. Obserwując pracownice, Anna czuła, że jest denerwująco daleko od czegoś pilnego, elementarnego. To uczucie nękało ją jeszcze przed Pearl Harbor. Właśnie ono przywiodło ją do stoczni marynarki wojennej latem, gdy rozeszła się wieść, że będą zatrudniali dziewczyny. Jednak nawet tutaj wojna wydawała się oszałamiająco abstrakcyjna, zbyt odległa, by można ją było poczuć. Z jakiegoś powodu Anna pragnęła jej dotknąć i czuła, że nie jest w tym odosobniona. Pewnego razu zauważyła, jak Rose ukradkiem drapie pilniczkiem do paznokci miedzianą rurkę na swojej tacy. Gdy przebierały się z powrotem w cywilne ubrania w szatni, Anna spytała, co robiła. Rose oblała się rumieńcem.

- Mówisz jak pan Voss.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - powiedziała Anna. - Po prostu jestem ciekawa.

Rose wyznała, że wydrapywała na rurce inicjały swojego synka, poruszona myślą, że będą żeglowały po morzach w maleńkiej części jakiegoś alianckiego statku.

Bez względu na to, w którą stronę kierowała się Anna -byleby tylko pojechać i wrócić w ciągu czterdziestu pięciu minut, z krótką przerwą na pochłonięcie lunchu - nieuchronnie ciągnęło ją do pirsów: A na zachodzie, G, J, i K nad zatoką Wallabout na wschodzie, daleko od jej miejsca pracy. Początkowo jeździła tam z wahaniem, chowając włosy pod czapką i postanawiając, że nie padnie ofiarą szyderców tak jak Nell. Okazało się jednak, że brązowe włosy Anny nie rzucają się w oczy, nawet gdy są rozpuszczone. Miała „włoską” urodę, a po latach noszenia Lydii jej postura, twarde i umięśnione ramiona, upodobiły ją do mężczyzny. Zasłaniając oczy daszkiem czapki, mogła jeździć po pirsach incognito.

Spowił ją znajomy zapach: ryby, sól, olej napędowy - słonawa, przemysłowa wersja morza, tak złożona, tak charakterystyczna, że

przypominała woń istoty ludzkiej. Przywołała dawne czasy, których Anna już prawie nie pamiętała. Garnitury jej ojca nadal wiszące w szafie - spiczaste klapy, wyczyszczone ramiona - i malowane krawaty wzmocnione fiszbinami. Wyglądały jak garnitury człowieka, który w każdej chwili może wrócić i znów je włożyć. Zostawił kopertę pełną pieniędzy i książeczkę oszczędnościową powiazaną z kontem, o którym matka wcześniej nie wiedziała. Te starania początkowo skłaniały je do wysnucia wniosku, że po prostu przygotował rodzinę na dłuższy niż zwykle wyjazd - już wcześniej podróżował bowiem w poszukiwaniu pracy. Przez wiele miesięcy jego nieobecność wciąż była nieprzewidywalna i żywa, jakby znajdował się w sąsiednim pokoju albo na ulicy. Anna żarliwie go wyczekiwała. Siedziała na schodach przeciwpożarowych ze wzrokiem utkwionym w ulicę i wydawało jej się, że go widzi - wierzyła, że takie myślenie zmusi go do powrotu. Jak mógł być gdzieś daleko, skoro tak bardzo na niego czekała?

Ani razu nie płakała. Gdy wierzyła, że ojciec niedługo wróci, nie było powodu do płaczu, a gdy w końcu przestała wierzyć, było już za późno. Jego nieobecność się utrwalała. Gdy przyłapała się na tym, że zastanawia się, gdzie on może być i co robi, zmusiła się, żeby przestać. Nie zasługiwał na to. Przynajmniej tego mogła go pozbawić.

Przypuszczała, że matka przebywa podobną drogę, ale nie była tego pewna. Ojciec wyslizgnął się z ich rozmów równie niepostrzeżenie, jak zniknął z ich życia. Dziwnie by było teraz o nim wspominać. Poza tym nie było takiej potrzeby.

Pewnego razu w porze lunchu, biorąc rower od Nell, Anna powiedziała:

- Wiesz co, jeśli chcesz, czasami możesz go zatrzymać i też sobie pojeździć.

- O nie, za żadne skarby.

- Z powodu jednego upadku?

- A ty się przewróciłaś?

- Wyglądałaś, jakbyś wcale się tym nie przejęła.

- I o to chodziło.

Anna prowadziła rower, idąc obok Nell w kierunku pirsu C, choć nie była pewna, czy to ona idzie za Nell, czy odwrotnie.

- Więc mówisz - odezwała się Nell, patrząc na nią chytrze - że kierownik wypuszcza cię nawet bez szminki.

- Pod warunkiem, że się nie spóźnię.
- Pomyśl, co mogłabyś wskórać, gdybyś użyła szminki.

Gdy tak szły wolnym krokiem, męskie głosy cichły w oddali. Idąc z Nell, Anna czuła się zupełnie inaczej - jak by się czuła, gdyby była Nell? Tym razem przy pirsie C nie cumował żaden statek, a gdy dotarły do końca, Nell wyjęła z kieszeni kombinezonu srebrną papierośnicę. Metal załśnił w słońcu. Prezent od wielbiciela, pomyślała Anna.

- Wolno tu palić? - spytała.
- Mężczyźni palą na pirsach. Nie widzę żadnych tablic ostrzegawczych. W końcu... oo, dobrze, zasłaniasz wiatr... otacza nas woda, na miłość boską!

Z szorstką wprawą, która ostro kontrastowała z kojarzącą się z nią zwykle zmysłową elegancją, Nell potarła zapalkę o podeszwę buta i przypaliła cienkiego białego papierosa wsuniętego w usta. Dym, który wydmuchnęła, wydawał się kremowy i pyszny, jakby znalazła sposób, by zjeść czekoladowy wiatr.

- Skoro zmuszają nas do noszenia tych paskudnych kombinezonów, to muszą pozwolić nam palić - stwierdziła. -Chcesz jednego?

W bloku Anny palili tylko chłopcy - dziewczyny uważały, że to nieprzyzwoite.

- Dziękuję - powiedziała. - Chętnie.

Nell włożyła do ust drugiego papierosa, przystawiła do niego rozżarzony koniuszek pierwszego i wciągała powietrze, aż oba końce zaskwierczały na pomarańczowo. Widok jej lśniącej twarzy okalającej przypalanego papierosa poruszył i zafascynował Annę. Filtr papierosa, którego podała jej Nell, był mokrawy, czerwony od szminki.

- Za pierwszym razem się nie zaciągaj - doradziła jej Nell. - Zakręci ci się w głowie. Choć ja lubię, jak kręci mi się w głowie.

Anna pociągnęła papierosa, rozkoszując się suchym ciepłem w ustach, a potem pozwoliła dymowi rozpięchnąć się na wietrze. Rzeczywiście było to nieprzyzwoite, ale taka nieprzyzwoitość jej się podobała - kojarzyła się ze spawaczkami, które jadły lunch, siedząc na podłodze. Paliła z Nell w milczeniu. Spojrzała nad zatoką Wallabout na żuraw pochylony na tle nieba. Kilka dni wcześniej obserwowała, jak unosi nad ziemię ciężarówkę z cementem, jakby to była metalowa zabawka. Za dźwigiem rozpościerał się most Williamsburg, a dalej widać było niskie budynki na manhattańskim

wybrzeżu, okna przypominające płatki złota na tle zakurzonego nieba.

- Powinnaś czasami wyskoczyć gdzieś ze mną wieczorem - powiedziała Nell.

- A dokąd chodzisz?

- Na przedstawienia, do kina. Do restauracji. Nigdy nie jadasz na mieście?

Anna sączyła kiedyś piwo z chłopakami z Brooklyn College w siedzibie ich bractwa przy Trzeciej Alei, ale czuła, że ulubione bary studentów nie są tym, co Nell ma na myśli.

- Wiodę samotnicze, cnotliwe życie - powiedziała.

Nell przewróciła oczami.

- Niedobrze. Nie będziesz wiedziała, w co się ubrać.

- Coś znajdę. Nie zaszkodzę twojej pozycji towarzyskiej, obiecuję.

Nell zmrużyła błękitne oczy w uśmiechu.

- Może dziś wieczorem? - zaproponowała, wyrzucając niedopałek papierosa do wody. - W końcu jest piątek, nawet jeśli jutro musimy iść do pracy.

Gdy szły z powrotem po pirsie C, Anna zauważyła przy końcu pierwszego suchego doku barkę różniącą się od typowych pogłębiarek z hakami, takielunkiem i brudnymi nadbudówkami. Na tej było pusto. Na jednym końcu dwóch mężczyzn pomagało trzeciemu włożyć ciężki płócienny kombinezon, niczym giermkowie przygotowujący rycerza do bitwy. Kawałek dalej dwaj inni mężczyźni kręcili korbami przy olbrzymiej prostokątnej skrzyni.

- Ciekawe, co oni robią - powiedziała Anna.

- Ten w tym kombinezonie to chyba nurek - wyjaśniła Nell. - Pracują przy statkach pod wodą. Pewnie się uczy. Zdaje się, że szkolą ich na tej barce.

- Nurek! - Anna nigdy o czymś takim nie słyszała. Patrzyła jak urzeczona na pomocników unoszących nad nurkiem okrągły metalowy hełm i wkładających mu go na głowę. Strój nurka miał w sobie coś intuicyjnie znajomego - jakby pochodził z jakiegoś snu albo z mitu. Nell także mu się przyglądała, przekonana wielkim zainteresowaniem Anny, że oto dzieje się coś wartego uwagi.

- Skąd wiedziałaś, że to nurek? - spytała Anna, nie odrywając od niego

wzroku.

- Od Rogera z mojego zakładu. Szukają ochotników wśród cywili. Chciałby to robić, bo dopłacają za ryzyko.

Nurek wstał i niezdarnie ruszył w stronę krawędzi barki, a potem zaczął schodzić po drabinie prowadzącej do wody. Zatoka wydawała się nieprzenikniona jak kamień, a mimo to zanurzył się w niej, aż nad powierzchnią został jedynie pękaty hełm. Po chwili on także zniknął, wywołując eksplozję bąbelków.

W pewnym momencie Nell poszła do stołówki i wróciła z dwoma lunchami w pudełkach. Jedno podała Annie.

- Lepiej się pospiesz.

Anna jadła spaghetti z pulpecikami, nie odrywając oczu od wody. Czekala, aż nurek się wynurzy, lecz on się nie pokazywał. Oddychał pod wodą. Spróbowała go sobie wyobrazić na dnie zatoki - szedł czy płynął? Co tam było? Poczula gwałtowny przypływ zazdrości i tęsknoty.

- Przyjęliby nas? - mruknęła.

- A kto by chciał to robić?

- Ty nie?

Nell roześmiała się z niedowierzaniem.

- Nigdy nie przyjęliby nas z własnej woli. Ale mogą nas po prostu zmusić. Jeśli mężczyźni nadal będą wyjeżdżali całymi stadami.

Umysł Anny pochwycił te słowa jak szczęśliwą monetę. Według „Shipworkera” we wrześniu powołano do wojska dwustu siedemdziesięciu robotników ze stoczni marynarki wojennej. Każdego tygodnia wyjeżdżali kolejni.

- To będzie dzień, w którym odejdę na dobre - powiedziała Nell. Wyjęła z kombinezonu puderniczkę, przypudrowała nos i umalowała usta.

Odnosząc sztucce do stołówki, Anna czuła, że zachodzi w niej przełomowa zmiana. Było już dla niej jasne, że zawsze chciała być nurkiem, chodzić po dnie morza. Tę pewność tłumiła jednak obawa, że zostanie odrzucona.

Po lunchu pan Voss wysłał ją do budynku 77, co zdarzało się już tak regularnie, że mężatki przestały to komentować. Na piętnastym piętrze Anna spytała sekretarkę kapitana, czy może wyjrzeć przez okno. Miała nadzieję, że

dojrzy stamtąd barwę nurków.

- Och, oczywiście — powiedziała sekretarka, która po kilku spotkaniach stała się bardziej przyjazna. - Na mnie ten widok nie robi już wrażenia. Czasami mija cały tydzień, a nawet nie przyjdzie mi do głowy, żeby wyjrzeć.

Anna podeszła do okna. W intensywnym słońcu końca października stocznia marynarki wojennej ukazała jej się z wyrazistością godną wykresu: statki przeróżnej wielkości cumowały czwórkami przy pirsach przypominających odnóża. W suchych dokach podtrzymywały je setki lin, jak Guliwera przywiązanego do plaży. Żuraw wymachiwał pięściami na wschodzie; na zachodzie unosiły się klatki pochylni. Wokół tego wszystkiego tory kolejowe układały się spiralnie w zawijasy tureckich wzorów. Barka nurków zniknęła.

- Patrząc na to wszystko - powiedziała sekretarka, która tymczasem podeszła do Anny i stanęła obok - zadaję sobie pytanie: jak moglibyśmy nie wygrać?

Po powrocie do zakładu Anna zastała pana Vossa w biurze.

- Niech pani wejdzie, panno Kerrigan - powiedział, gdy położyła przesyłkę na biurku. - Proszę usiąść. I zamknąć drzwi.

Odkąd po raz ostatni rozmawiali na osobności, minął prawie miesiąc. Anna usiadła na tym samym twardym krześle co wtedy.

- Mam nadzieję, że służy pani jedzenie lunchu poza zakładem?

- Bardzo - powiedziała. - I nie spóźnim się.

-To prawda. Poza tym została pani naszym najwydajniejszym inspektorem, zarówno wśród mężczyzn, jak i wśród kobiet.

- Dziękuję, proszę pana.

W ciszy, która zapadła, Anna czuła, jak narasta w niej zdziwienie. Czyżby wezwał ją do biura tylko po to, by przyjemnie sobie pogawędzić?

- Widziałam Missouri - powiedziała, żeby przerwać milczenie. - Na pochylni.

- A - odrzekł. - Niech pani sobie wyobrazi to wodowanie. Wodowanie pancernika Iowa panią ominęło, prawda?

- Spóźniłam się o trzy tygodnie. - Wolała o tym nie myśleć. Na wodowaniu była obecna pani Roosevelt.

- To niesamowite patrzeć, jak pancernik sunie po pochylni do wody.

Wszystkim zakręciła się łza w oku.

- Panu też? - Zamierzała zadać to pytanie ot tak. Nie wyobrażała sobie, by pan Voss mógł płakać z powodu statku. Jej słowa zabrzmiały jednak przekornie i pan Voss się roześmiał - po raz pierwszy.

- Możliwe, że nawet ja uroniłem parę łez - odrzekł. -Choć tak trudno w to uwierzyć.

Uśmiechnęła się do niego.

- Założę się, że to były zimne łzy.

- Lodowate. Spadły na cegły i rozprysły się jak szkło.

Wracając na swoje miejsce, Anna nadal się uśmiechała. Szybko wzięła się do pracy z poczuciem, że zbyt długo była nieobecna. Dopiero kilka minut później zauważyła wokół siebie nietypową ciszę. Odkąd ona trwała? Spojrzała na dziewczyny, ale wszystkie mężatki unikały jej wzroku. Nawet Rose. A mimo to czuła, że znajduje się w centrum ich zainteresowania.

I wtedy to sobie uświadomiła: mężatki zaczęły plotkować.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Anna spotkała się z Nell przed kinem Roxy. O ósmej miały iść na *Sępy Krainy Snów* z Alanem Laddem. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na kremowy dekolt między rozpiętymi połami płaszcza Nell, by uświadomiła sobie, że nawet nie wejdą do środka.

- Mam inny pomysł, jeśli jesteś otwarta - powiedziała Nell z dziwną śpiewną wesołością. Gdy Anna zapewniła, że jest posiadaczką otwartego umysłu, Nell wyjaśniła: - Pewien mój przyjaciel regularnie rezerwuje stolik w Moonshine, to taki klub nocny. Zaprosił nas.

- Nie mam odpowiedniej sukienki.
- Uprzedziłam go, że będziesz ubrana bez gustu.

Anna się roześmiała. Tak naprawdę jej sukienka - ukryta pod płaszczem - wcale nic była taka zła. Gdy powiedziała matce, że przyjaciółka ze stoczni zaprosiła ją do kina, ale obawia się, że przyjdzie okropnie ubrana, matka rzuciła się w wir gorączkowych przeróbek, dodając poduszki na ramionach i falbankę w talii do zwyczajnej niebieskiej sukienki, którą Anna kupiła w domu towarowym S, Klein z myślą o zbliżającej się wizycie Lydii u lekarza. Anna przyszywała do kołnierzyka garść turkusowych koralików. Jej ręce fruwały obok rąk matki, jakby grały w duecie. Ktoś, kto naprawdę zna się na ubraniach, nigdy nie dałby się zwieść takim upiększeniom, ale nie spodziewały się żadnej kontroli. Jak lubiła mawiać Pearl Gratzky, i to z niejaką dumą, „pracowały w branży wrażeń”.

Nell zatrzymała taksówkę i kazała kierowcy jechać na Pięćdziesiątą Trzecią Wschodnią.

- To tylko sześć przecznic stąd! - zaprotestowała Anna. -Zaoszczędźmy pieniądze i pójdźmy pieszo.

Jej propozycja wywołała sztuczny śmiech, który wzbił się w powietrze jak akrobata robiący salto.

- Nie martw się - powiedziała Nell. - To ostatni grosz, jaki dziś wydamy.

Nawet po zaciemnieniu przecznice na północ od Times Square jaśniały mocniejszym światłem niż to, które zdawało się wydobywać z częściowo zaczernionych łatami i spod ciemnych markiz. Anna rzadko bywała na Manhattanie po zmroku i zdumiała ją liczba żołnierzy: oficerowie w ciężkich płaszcach, marynarze i poborowi, jeszcze inni w mundurach, których nie rozpoznawała - wszyscy się spieszyli, jakby zdążali na to samo ważne

wydarzenie.

- Aha - powiedziała Nell, odwracając się do Anny na tylnym siedzeniu.
- Ani słowa o tym, co robimy.

- Co ro...

- Sza! - Nell przyłożyła palec do ust. Po południu pomalowała paznokcie na szkarłatny kolor.

- Masz na myśli sto...

- Sza!

- Dlaczego mamy o tym nie mówić?

- Och, daj spokój - zbeształa ją Nell wesołym falsetem. - Nie udawajmy idiotek.

- A która z nas udaje idiotkę?

Na chwilę zapadło milczenie.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli - powiedziała Nell normalnym głosem. Spojrzała na Annę z powagą. Jasność za szybą przyćmiła dołeczki w jej policzkach. - Muszę mieć pewność, że będziesz się należycie zachowywać.

- Bez obaw - uspokoiła ją Anna. - Obiecuję, że nie przyniosę ci wstydu.

Taksówkarz wysadził je na wschód od Madison Avenue przed błyszczącymi białymi drzwiami, a stojący przed nimi portier w cylindrze powitał je tak, jakby tylko one dwie były mu potrzebne do pełni szczęścia. Dudniąca wrzawa w środku zaskoczyła Annę równie mocno jak hałas w stocznii w zestawieniu z głuchą ciszą w jej zakładzie.

- Lepiej, niż się spodziewałam. - Nell zmierzyła wzrokiem jej sukienkę, gdy oddały do szatni płaszcz i kapelusz. - O wiele lepiej.

- Co za ulga - powiedziała Anna, ale Nell wychwyciła jej żartobliwy ton i przechyliła głowę, uśmiechając się i patrząc jej prosto w oczy.

- Zabawna jesteś - rzuciła.

- Ty też - odrzekła Anna, a Nell wzięła ją za rękę i pociągnęła w wir muzyki i głosów.

Anna przypuszczała, że Nell nigdy nie powiedziała żadnej innej dziewczynie czegoś, co bardziej przypominałoby deklarację przyjaźni - skojarzyło jej się to z przymierzem krwi, które zawarła z Lillian Feeney,

kiedy miały po dziesięć lat. Taki sojusz był możliwy tylko dzięki temu, że w kremowej satynowej sukience z głębokim, lejącym dekoltem Nell wyglądała tak oszałamiająco, że wydawało się nie do pomyślenia, by Annie udało się odwrócić od niej choć odrobinę męskiej uwagi.

Schodząc po niskich stopniach do nocnego klubu, Anna czuła się wstrząsająco oderwana od rzeczywistości - jakby wepchnięto ją przez niewidzialną barierę do jakiegoś filmu. Wolałaby się przygotować, powoli oswoić, ale nie było na to czasu. Otoczyły ją orkiestra, fontanna, podłoga w szachownicę i tysiąc czerwonych stolików, przy których szumiało jak w ulu. Nell lawirowała wśród nich rozkołysanym krokiem, często przystając, by wymienić piskliwe, wylewne pozdrowienia z siedzącymi. Anna lękliwie podążała za nią.

Przy stoliku za zatłoczonym owalnym parkietem czekali na nie trzej mężczyźni. Na pierwszy rzut oka wyglądali mniej więcej identycznie, mieli jedwabne poszetki w kieszonkach na piersi i spinki do krawatu, które sprawiały wrażenie drogich. Różnili się tylko tym, że jeden był przystojny, a jeden z tych nieprzystojnych wyglądał starzej od pozostałych. Z salwy wykrzykiwanych uprzejmości przez ogólny hałas zdołały się przebić tylko pojedyncze frazy.

- ...świętujemy...
- ...japońcy zrobili...
- ...siedzi tam...
- ...szampana...
- ...bądź tak kochany i...

Anna starała się temu przysłuchiwać, doskonale wiedząc, że sprawia wrażenie sztywniary. Pogawędki nigdy nie szły jej dobrze. Przypominały skakanie w sznura, którego rytmu nigdy nie potrafiła opanować w wystarczającym stopniu, by pewnie wkroczyć do środka. Mimo obecności oficerów w mundurach odnosiło się tu wrażenie, że wojny nie ma. Dlaczego dwaj młodszy wielbiciele Nell nie zostali powołani?

Podano zapiekane małe i szampana. Kelner, chłopiec z wyraźną drżączką (kategoria 4-F, pomyślała Anna), z trudem napełnił pięć płytkich kieliszków. Anna jeszcze nigdy nie próbowała szampana. W siedzibie bractwa piła tylko piwo, a jedynym alkoholem spożywanym u niej w domu była whiskey. Jasnozłota mikstura syczała i pieniała się w kieliszku. Gdy upiła łyk, zaszczypało ją w gardle - słodczy, lecz z odrobiną goryczy, jak ledwie

wyczuwalna igła w poduszce.

- O, jakie to pyszne! - zawołała, a Nell odpowiedziała jej jednym tchem:

- Prawda, że szampan jest wspaniały? Mogłabym go pić przez cały dzień.

Anna już chciała zażartować, że mogłyby przynosić do pracy trochę szampana w termosie, jeśli tylko udałoby się go przemycić przez punkt kontrolny. W samą porę przypomniała sobie, że nie powinna.

Bardzo szybko opróżniła kieliszek, ale kelner czuwał i od razu go napełnił. I w jednej chwili, jakby przekręciła pokrętło piekarnika i poczuła gorący powiew, sceneria wokół niej rozmyła się i zmieniła w smugę jasności - muzyki, blasku, śmiechu - w e r a z e n i e, jak powiedziałyby Pearl Gratzky, uchwycone kątem oka i nieprzypominające prawdziwego miejsca. I właśnie ta zmiana usunęła wszelkie bariery, które dotąd broniły Annie wstępu. Z płonącymi policzkami i galopującym sercem wkroczyła w sam środek.

Orkiestra zaczęła grać szybki kawałek. Młodszy nieprzystojny kawaler przedstawił się ponownie — miał na imię Louie - i poprosił Annę do tańca, zbywając jej wykręty wesołym machnięciem ręki.

- Nie bądź taka skromna, wszystkie dziewczyny tańczą. Wstajemy - powiedział, biorąc ją za rękę i ciągnąc w stronę podłogi we wzór szachownicy. Anna zauważyła, że Louie lekko utyka. A więc o to chodziło. Przez chwilę się obawiała, że tańce z lat dwudziestych, których nauczyła się od matki - peabody, texas tommy, breakaway - trudno będzie dostosować do swingu w stylu Benny'ego Goodmana, jaki grała ta orkiestra. Louie jednak ułatwił jej zadanie. Prowadził ją ze zręczną wprawą, za którą jednak wyczuła spory wysiłek - prawdopodobnie był skoncentrowany na tuszowaniu utykania, co zresztą udawało mu się bezbłędnie.

- Dobrze się bawisz? - spytał. - Jesteś pewna? - Najwyraźniej przydzielił sobie rolę gospodarza odpowiedzialnego za zadowolenie uczestników imprezy. - A Nell? Ona też dobrze się bawi? Z nią nigdy nie wiadomo.

- Ona też - zapewniła go Anna. - Obie dobrze się bawimy.

Wrócili do stolika i znów napełniono im kieliszki. Nell wróciła z parkietu z przystojnym wielbicielem i Anna pomyślała, że to jej chłopak. Gdy jednak przeciskały się razem w stronę damskiej toalety, Nell szepnęła:

- Mój facet się nie pokazał. Świnia.

- Aha - powiedziała zdezorientowana Anna. - Może jest...

- Wygląda jak Clark Gable, wszyscy tak mówią. Sprawdźmy przy wejściu.

Gdy sprawdzanie okazało się bezowocne, Nell zaczęła się denerwować.

- Niech szlag trafi tego padalca!
- Jest niesłowny?
- Ma... zobowiązania. Nie zawsze może się wyrwać.
- Zobowiązania, to znaczy...?

Nell pokiwała głową.

- Ale jego żona to jędza.
- Mają dzieci?
- Czworo. W domu nie dają mu żyć... Odlicza minuty do naszego kolejnego spotkania.

- Mówisz jak dziewczyna z serialu o miłości — powiedziała Anna.
- Nie powinnaś ich słuchać - odparła Nell. - Mózg ci zgnije.
- Mama je włącza.
- Dlaczego się nie zjawił? Przysiadłyśmy się do tych przy-głupów tylko po to, żebym miała gdzie zaczekać, aż przyjdzie.
- Louie wcale nie jest przygłupem - powiedziała Anna. -To uroczy facet.
- Oni wszyscy są tacy sami — skwitowała Nell.

Anna wróciła do stolika z postanowieniem, że zatańczy z przystojnym kawalerem - wiedziała już przecież, że nie jest związany z Nell. Ale zamiast tego znów znalazła się na parkiecie z Louiem, który zabawiał ją, wskazując generała brygady, senatora stanowego i sławnego czarnoskórego naukowca. Byli tam Laird Cregar, którego zeszłej wiosny widziała w *Pistolectic do wynajęcia*, i Joan Fontaine, która zdobyła Oscara za uwielbiane przez Annę *Podejrzenie*. Zawsze miała słabość do mrocznych miejskich opowieści - takich, po których człowieka ściska w żołądku, gdy po wyjściu z kina słyszy za sobą czyjeś kroki.

- Louie, ty wszystkich znasz! - powiedziała.
- Chyba tak - odrzekł. - Szkoda tylko, że oni nie znają mnie.

Przyjrzała mu się: drobny mężczyzna, zbyt duże zęby i wąska twarz. Utykanie.

- Kim jesteś z zawodu?

- Aktuariuszem - mruknął i zamknął temat, zanim Anna zdążyła spytać, co to znaczy. - A ty?

Kilka razy o mało nie wspomniała o stoczni marynarki wojennej, ale teraz miała się na baczności.

- Sekretarką - powiedziała oględnie.

- Przypuszczam, że takie lokale jak ten istnieją po to, żeby tacy ludzie jak my mogli zapomnieć o swojej pracy - powiedział Louie. - W Moonshine panuje odpowiednio zepsuta atmosfera.

- Gdzie? - zawołała Anna. - Nie widzę tu żadnego zepsucia.

- Bo nie jesteś w stanie go zobaczyć, i właśnie o to chodzi. Gra toczy się na górze i idzie tylko o wysoką stawkę. Bakarat, kanasta, poker - tak donoszą moje źródła. Można tu spotkać każdego, także gangsterów. Oczywiście wy, dziewczyny, uwielbiacie gangsterów.

- Nigdy żadnego nie poznałam! - powiedziała Anna. - Pokażesz mi jakiegoś?

- No cóż, podobno właściciel jest gangsterem. W każdym razie był w czasach prohibicji. Zazwyczaj siedzi tam. - Louie zmrużył oczy i spojrzał w stronę odległego kąta sali. - Nazywa się Dexter Styles. Należy do niego kilka klubów, więc nie zawsze przesiaduje tutaj.

- Dexter Styles — powtórzyła Anna. Znała to nazwisko. — Jak wygląda?

- Jak pięściarz. Duży, silny gość, ciemne włosy. Możliwe, że gdzieś tu jest, trudno powiedzieć.

Marco, przystojny kawaler, w końcu poprosił Annę do tańca. Z ciemnymi kręconymi włosami, zamyślnym spojrzeniem i grymasem niezadowolenia na twarzy przypominał filmowego osiłka. Był Włochem - może dlatego go nie powołano. Mimochodem nazwał Mussoliniego świnią, jakby odhaczał punkt z listy, a następnie zamilkł. Wodził wzrokiem po parkiecie i wkrótce Anna zdała sobie sprawę, że stara się mieć na oku Nell tańczącą z nieprzystojnym kawalerem, który nie był Louiem. Z Markiem Anna tańczyła źle, a on źle tańczył z nią. Gdy po raz trzeci nadepnął jej na nogę, przeprosił i zeszła z parkietu, przepełniona rozczarowaniem. Zamiast dołączyć do Louiego, skierowała się w stronę kąta sali, w którym - jak się dowiedziała - lubił przesiadywać właściciel klubu. Stolik zajmowało czterech mężczyzn. Odrobina szampana zapewniła Annie poczucie niewidzialności. Ruszyła

prosto do nich. Zauważyli ją w jednej chwili. Od razu poznała, który z nich jest panem Stylesem - i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że już go kiedyś widziała.

- Damska toaleta jest po drugiej stronie - zwrócił się do niej jeden z mężczyzn.

- Nie, ja... Przepraszam - powiedziała Anna, wycofując się.

Dexter Styles był tym człowiekiem z plaży. Kiedy to sobie uświadomiła, zrobiło jej się gorąco i zaraz potem zimno, co tak ją zdezorientowało, jakby sala runęła na bok. Zagubione wspomnienie wypłynęło na powierzchnię: jazda samochodem z ojcem. Zabawa z jakąś dziewczynką. Ten człowiek, Dexter Styles, na lodowatym wybrzeżu. Taki zbieg okoliczności zakrawał na cud. Anna bez zastanowienia pospiesznie zawróciła, żeby mu o tym powiedzieć.

Mężczyźni po raz drugi podnieśli głowy. Chłód w ich kolektywnym spojrzeniu oznaczał, że nadużyła gościnności. Oszołomienie po wypiciu szampana ustąpiło i poczuła się obnażona, wystawiona na wrogość najmłodszego z ludzi pana Stylesa, tego z szeroką zuchwą i bujnymi, nierówno obciętymi włosami.

- Nabierasz złych nawyków, mała - powiedział. - Spływaj stąd.

Dexter Styles natychmiast podniósł się z miejsca, stając między Anną a stolikiem.

- Czym mogę pani służyć? - spytał z powściągliwą uprzejmością, ledwie przesuając wzrokiem po jej twarzy. Oczywiście jej nie pamiętał. Wyprawa na Manhattan Beach rozplynęła się w dalekiej przeszłości jak ogryzek jabłka wyrzucony przez okno pociągu. Sam pomysł, żeby o tym wspominać, wydawał się nedorzeczny. Cisza, która między nimi zapadła, zaczęła się pogłębiać.

- Pracuję w stoczni marynarki wojennej na Brooklynie - wykrztusiła wreszcie Anna, a świadomość błędu, który popełniła, decydując się na to wyznanie, dotarła do niej, jeszcze zanim wypowiedziała ostatnie słowo.

- Co pani powie. - Zdołała pochwycić błakający się cień jego zainteresowania. - Czytałem w gazetach, że zaczęli zatrudniać dziewczyny. Co pani tam robi?

- Mierzę części mikrometrem - powiedziała. - Ale inne dziewczyny spawają, nitują...

- Spawają?
- Tak jak mężczyźni. Nie sposób ich odróżnić, dopóki nie zdejną maski.
- To naturalne? Żeby mężczyźni i kobiety tak razem pracowali?

Patrzył prosto na nią.

- Nie wiem. - Zarumieniła się. - Ja pracuję przeważnie z dziewczynami.
- No cóż, miło się z panią rozmawiało, panno...
- Feeney - odparła pod wpływem impulsu, wyciągając rękę. - Anna Feeney.
- Dexter Styles.

Uścisnęli sobie dłonie, a on dotknął ramienia stojącego obok kelnera i powiedział:

- Gino, odprowadzisz pannę Feeney do stolika i podasz jej i jej towarzystwu butelkę szampana na koszt firmy? Powodzenia, panno Feeney.

Odprawił ją. Dexter Styles wrócił do swoich kompanów, a Anna szła przez tłum i w uszach podzwaniała jej dziwaczność tego wszystkiego, co przed chwilą zaszło. Chodziło nie tyle o to, że przedstawiła się nazwiskiem swojej przyjaciółki Lillian - zmyślane nazwisko doskonale pasowało do tego miejsca - ile o to, że zataiła łączącą ich więź. Dlaczego to zrobiła, skoro pan Styles mógłby skojarzyć jej nazwisko i ją sobie przypomnieć?

Po powrocie do stolika Anna pogрузыła się w myślach, mimo że Louie dokładał starań, by ją rozruszać. Z miejsca, w którym siedziała, nie było widać Dextera Styleasa - i pewnie miała go już nigdy nie zobaczyć. Dopiero wyobrażając sobie rozmowę, która mogłaby się wywiązać, gdyby podała mu prawdziwe nazwisko, zrozumiała swój instynktowny manewr.

„A jak się miewa twój ojciec? Gdzie się ostatnio podziewa? Co robi?” Z pewnością padłyby takie pytania, a na samą myśl o tym, że próbowałyby na nie odpowiedzieć, poczuła zażenowanie.

Kelner przyniósł świeżą butelkę szampana. Nell i Marco wrócili z parkietu. Marco wydawał się bardzo zadowolony.

- Co się dzieje? - spytała Nell, opadając na krzesło obok Anny. - Za bardzo się wstawiaś?

- Chyba tak. - Czowała jednak coś zgoła odwrotnego: że wypila za mało szampana, by zdusić nagły, tępy smutek - właściwie pustkę - który ją przytłoczył.

- Jeśli o mnie chodzi, mogę już wracać do domu - oznajmiła Nell.

Dla Louiego słowa te były jak sygnał do działania.

- O, dajcie spokój, dziewczyny! - zawołał. - Wypijcie trochę szampana. Podali nam pełną butelkę na koszt firmy! Całe życie czekałem na butelkę na koszt firmy!

- Stary, słodki Louie - powiedziała Nell.

- Żyję, żeby sprawiać przyjemność. Smutne miny znaczą, że zawiodłem.

Pod jego uśmiechem Anna wyczuła paniczną desperację, która sprawiła jej ból.

- Byłeś cudowny, Louie - powiedziała, obejmując go za szczupłe ramiona. Pocałowała go w chłodny, woskowy policzek.

- O la la! - zawołał Louie.

Nell objęła go z drugiej strony. Dwaj pozostali mężczyźni, Marco i starszy nieprzystojny kawaler, roześmiali się. Nie można było nie życzyć Louiemu jak najlepiej.

- Zaraz zemdleję — powiedział. — Dziewczyny, złapcie mnie w razie czego, dobrze?

Ani odrobina gwaru Moonshine nie wydostawała się na Pięćdziesiątą Trzecią Wschodnią. Wychodząc z klubu, człowiek jakby przenosił się do innego świata. Anna spojrzała na zegarek i przeżyła wstrząs: minęła pierwsza w nocy.

- Muszę wracać do domu - powiedziała.

Nell milczała. Popadła w marazm równie wielki jak jej nienaturalne ożywienie na początku wieczoru.

- Zobaczysz się z nim jutro? - spytała Anna.

Nell pokręciła głową.

- W dni powszednie nie ma szans wyrwać się z domu. Właśnie dlatego jestem taka wściekła, że ten padalec się nie pokazał.

- To on ci kupił tę sukienkę?

- W Palm Beach - powiedziała Nell. - Był w podróży służbowej w Miami i zabrał mnie ze sobą. Teraz to cię dopiero zaskoczyłam, co? - dodała z nieskrywanym przygnębieniem.

- Trochę - przyznała Anna. — To chyba... niebezpieczne.

- Tylko dla niego. Ja nie mam nic do stracenia. A on twierdzi, że jestem warta każdego ryzyka. - Uśmiechnęła się słabo. - Nie mów, że uważałaś mnie za anioła.

- Nie. Nie uważałam.
- Zresztą anioły i tak nie istnieją.

Anna milczała.

- Moim zdaniem anioły potrafią najlepiej kłamać - ciągnęła posępnie Nell. Po chwili spytała: - Jesteś aniołem, Anno?

Anna słyszała szelest jesiennych liści na chodniku, czuła zapach gardenii w perfumach Nell. Nigdy wcześniej nikt nie zadał jej takiego pytania. Wszyscy po prostu zakładali, że taka właśnie jest.

- Nie - odparła. - Nie jestem aniołem. - Spojrzała Nell prosto w oczy i od razu się zrozumiały.

Nell wzięła Annę pod rękę i odzyskała dobry humor. Mijały miejskie rezydencje przypominające ręcznie robione szkatułki na biżuterię.

- Doskonale to ukrywasz - powiedziała miękko głosem.
- To chyba dobrze.
- Mogłabyś być szpiegiem albo detektywem. Nikt by się nie domyślił, kim naprawdę jesteś ani dla kogo pracujesz.
- Chcę być nurkiem - oświadczyła Anna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jadąc Osiemdziesiątą Szóstą przez Brooklyn, Dexter Styles zobaczył, jak Badger spogląda na zegarek, a następnie wyciąga włochatą rękę w stronę gałki radia, prawdopodobnie by przełączyć na wiadomości o wpół do szóstej. Trzepnął go po dłoni.

- A to za co? - obruszył się Badger.

- Nie dotyka się cudzego samochodu bez pozwolenia. Nie uczyli cię tego w Chicago?

- Przepraszam, szefie - powiedział potulnie Badger, ale jego uparte, wesołe oczy mówiły co innego. I rzeczywiście, po chwili zaczął: - Chodzi po prostu o to, że... dotykam samochodu, bo w nim siedzę, jeśli szef wie, co mam na myśli. Kiedy się odchylę, dotykam oparcia.

- Jeśli chcesz dostać w łeb, wystarczy zwyczajnie poprosić.

- Hej, przez cały wieczór jest szef rozdrażniony.

Dexter spojrzał na niego. Do wkurzających cech Badgera należało to, że potrafił całkiem dobrze interpretować jego nastroje. Styles rzeczywiście był rozdrażniony - nie pamiętał dlaczego. Może dlatego, że Badger siedział w jego samochodzie w porze, która niebawem miała się stać ulubioną porą

Dextera: w przerwie między nocą a świtem, kiedy wyczuwało się zapowiedź światła, jeszcze zanim się ono ukazało.

- To przez tę dziewczynę - przypomniał sobie. - Byłeś nieuprzejmy dla dziewczyny, która podeszła do mojego stolika. Dla panny Feeney.

Badger gapił się na niego z niedowierzaniem.

- W Hell's Bells to co innego - ciągnął Dexter, mając na myśli swój zajazd na Flatlands, który odwiedzili zaraz po wyjściu z Moonshine. - Nawet w Pines, chociaż pan Healey nigdy nie zwróciłby się w ten sposób do klientki. Ale nie w Moonshine.

- Zbyt wytworne towarzystwo?

- Coś w tym rodzaju.

Badger westchnął.

- W Chicago było inaczej.

- Tak, słyszałem.

Przez siedem nocy z rzędu Badger głądził mu o kapitalnych barach w Chicago, o tamtejszych niezrównanych babkach i cudnym jeziorze, a nade wszystko o gładkiej współpracy syndykatu z przedstawicielami prawa. Badger uwielbiał Chicago, ale Chicago nie uwielbiało Badgera. Coś w Wietrznym Mieście poszło nie tak i chłopak mający mniej szczęścia byłby już karmą dla ryb na dnie jeziora Michigan. Matka Badgera była jednak ulubioną siostrzenicą pana Q. Odbyły się rozmowy i pan Q. zapewnił wnukowi siostry bezpieczny powrót na Brooklyn, gdzie przekazał go Dexterowi na szkolenie i pod opiekę. W normalnych okolicznościach prowadziłyby Badger, ale Dexter prędzej zrobiłby tego chłopaka swoim adwokatem. Nigdy nie wpuszczał innych mężczyzn za kierownicę swojego nowego cadillaca serii 62 pomalowanego na skandynawską szarość, jednego z ostatnich egzemplarzy, które zjechały z linii produkcyjnej, zanim Detroit zajęło się wyłącznie produkcją sprzętu dla wojska. Dexter uwielbiał prowadzić. Wątpił, by w Nowym Jorku było choć dziesięciu mężczyzn, którzy prowadzili samochód częściej niż on albo zużywali więcej czarnorynkowej benzyny.

- Hej, szefie, jedziesz w niewłaściwym kierunku.
- Wszystko zależy od tego, dokąd chcę dojechać.
- Myślałem, że odwieziesz mnie do domu. - Badger miał na myśli Bensonhurst, gdzie spał w pokoju gościnnym u starej niezamężnej siostry pana Q.

Z Gravesend, gdzie zajrzeli do Pines, Dexter bez namysłu pojechał do Bay Ridge. Kilka tygodni temu, po odwiedzeniu wspólnika na wzgórzu nad Fort Hamilton, odkrył wspaniały widok na cieśninę Narrows. Już miał wsiąść z powrotem do samochodu, gdy uświadomił sobie, że wpatruje się w mrok Górnej Zatoki, gdzie zaciemniono łodzie i wybrzeże. Dostrzegł w nim jakąś nową, dynamiczną gęstość. Nagle jego oczy odkryły tajemnicę i zobaczył procesję olbrzymich statków wyslizgujących się z portu w regularnych odstępach, jak jakieś bestie albo duchy. Konwój wyruszający w morze. Ta bezgłośna podróż miała w sobie coś doniosłego, była wręcz niezemska. Dexter czekał, aż wypłynie ostatni statek — w sumie naliczył ich dwadzieścia osiem, ale kto wie, jak długo trwała ta parada, zanim się tu zjawiał. W końcu wypłynęła mała łódź, żeby rozciągnąć sieć zagrodową chroniącą przed u-bootami. Potem nabrał zwyczaju przyjeżdżania w to miejsce co kilka nocy z nadzieją, że znowu ujrzy konwój.

- Jesteś młody i zdrowy, Badger - powiedział, gdy silnik pracował na jałowym biegu. - Dlaczego się nie zaciągnąłeś?

- Bo nie jestem żołnierzem. Dlatego.
- Właśnie że jesteś żołnierzem. Tak jak ja.
- Nie tego rodzaju żołnierzem.
- Twój cioteczny dziadek jest naszym generałem.
- Nie takim, przed którym się maszeruje.

Dexter odwrócił się do niego ze srogą miną.

- Jeśli pan Q. każe nam maszerować, będziemy maszerowali. Jeśli każe nam nosić smokingi, będziemy je nosili. Bo chyba nie masz kategorii 4-F, co, Badger?

- Ja? - spytał piskliwie Badger. - Skąd, mam sokoli wzrok. Z dachu hotelu Drake mogę czytać sygnały świetlne z samego środka jeziora Michigan.

Znowu Chicago. Badger głądził, a Dexter obserwował port, myśląc o tym, co usłyszał w Helis Bells i w Pines: biznes kulał. Mężczyznom brakowało benzyny, żeby się wypuszczać do zajazdów. W klubach na Long Island i w Palisades było zapewne podobnie. Miał do nich zajrzeć wieczorem i w poniedziałek.

Heels, jego człowiek w Pines, powiedział mu coś jeszcze: były rozdający karty, Hugh Mackey, stwarzał kłopoty. Za często grał, za dużo pożyczał, za głęboko sięgał do kasy i do kieliszka. Teraz szantażował Heelsa, żeby ten przyjął go z powrotem i za wyższą pensję. Twierdził, że w ciągu ośmiu miesięcy zobaczył wystarczająco dużo, żeby wsadzić ich wszystkich do Sing Sing. Dexter próbował sobie wyobrazić Hugh Mackeya. Zawsze umiał powiązać nazwisko z twarzą, ale czasami samo nazwisko nie wystarczało.

- Czego ona właściwie chciała? — spytał leniwie Badger. — Ta cipa, która ciągle przyłaziła.

- Uważaj, co mówisz.
- Przecież mnie nie słyszy.

Dextera zadziwiła jego bezczelność. Uświadomiła mu coś, z czego aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy: Badger myślał, że jest pod ochroną. Pomylił pomocną dłoń pana Q. z jakiegoś rodzaju nietykalnością - najwyraźniej nie wiedział, że rodzony brat pana Q. zniknął, gdy ten wspinał się na szczyt, a razem z nim przepadli co najmniej dwaj kuzyni. To błędne przeświadczenie wyjaśniało przesadny szacunek, jaki Badger okazywał Dexterowi, szacunek zaprawiony drwiną.

- Wysiadaaj - powiedział Dexter.

Badger wydawał się zdezorientowany.

- Wynocha. Ale już.

Chłopak przez chwilę coś bełkotał, ale widocznie wiedział, że Dexter mówi poważnie. Otworzył drzwi i wyszedł na ciemną ulicę. Dexter odjechał szybko i cicho, tylko raz spoglądając we wsteczne lusterko. Z trudem dostrzegł Badgera wpatrującego się w samochód, ubranego w tani garnitur, który Dexter kupił mu tydzień wcześniej u Crawforda. Chłopak będzie się musiał postarać, żeby znaleźć drogę powrotną do Bensonhurst, o ile w ogóle pamiętał adres. Te jego skrzypiące nowe półbuty szybko się rozchodzą. Jeśli miało się do czynienia z takimi gówniarzami, nie pozostawało nic innego, jak tylko spuszczać im ostry łomot, tyle razy, ile było trzeba. To, przed czym uratował go pan Q. w Chicago, nie mogło być gorsze od ognia piekielnego, który pochłonałby Badgera tu, w Nowym Jorku, gdyby Badger zlekceważył hierarchię. Tutaj nie istniało coś takiego jak nietykalność. Jeśli komuś się wydawało, że ją ma, był samobójcą.

Pozytywnym skutkiem tej historii było to, że na parę dni chłopak prawdopodobnie da Dexterowi spokój i będzie lizał rany. Dexter wolał kobiety, taka była prawda - łatwiej się z nimi obcować. Wolałby, żeby to one prowadziły wszystkie jego interesy. Gdyby tylko udało mu się znaleźć takie twarde sztuki, jakimi były właścicielki nielegalnych barów z jego młodości: Texas Guinan, Bell Livingstone, kobitki gotowe biegać po dachach, żeby uciec przed federalnymi. Współczesne dziewczyny chyba jednak nie przepadały za bronią, a poza tym - mówiąc szczerze - trudno ukryć gnata pod sukienką. Nawet Dexter nie nosił kabury na szelkach - po co zadawać sobie trud i zamawiać garnitur u F.L. Dunne'a, żeby potem psuć jego krój? Noszenie pistoletu w torebce zdarzało się jedynie w filmach. Broń musiała spoczywać przy skórze.

Gdy zbliżył się do Manhattan Beach, wybiła magiczna godzina: niebo nabrzmiało obietnicą, której obecności Dexter doświadczał wręcz fizycznie, czując, jak wypełnia mu pierś. Lubił czekać na pierwsze promienie słońca na wschodzie, gdzie dawniej stały wielkie hotele. Gdy był mały, jego staruszek pracował w kuchni Orientala, i choć hotel zrównano z ziemią, kiedy Dexter miał jedenaście lat, pamiętał go wyraźnie - jakby jego duch nadal stał zwrócony w stronę morza, z rozpostartymi skrzydłami, z markizami i iglicami, z flagami łopoczącymi na wietrze. W środku kilometry korytarzy wyłożonych czerwoną wykładziną przenikał szum wytwarzany przez setki pracowników - w tym jego staruszka - którzy harowali poza zasięgiem

wzroku. Dextera nigdy nie wpuszczono na plażę Orientala. Była zbyt ekskluzywna.

W lutym, tuż po Pearl Harbor, morska straż graniczna odgrodziła wschodni kraniec Manhattan Beach i zbudowała ośrodek szkoleniowy wśród domków letniskowych. Dexter snuł się obok bramy, wypatrując pierwszych promieni słońca na wschodzie. Pojawiały się powoli, ale nigdy nie odnosiło się takiego wrażenia. Mijała sekunda i już był dzień.

Jego dom stał na zachodnim krańcu Manhattan Beach. Nie zamykał frontowych drzwi na klucz. W kuchni Milda zostawiła dla niego dzbanek z kawą, którą podgrzał teraz na palniku. Nalał jej sobie do kubka i rozsunął zasłony zaciemniające okna z widokiem na morze. Tak naprawdę wiedział, jak wygląda dzień, dopiero gdy ujrzał go przez te okna. Z każdym ćwierćobrotom świtu zagęszczenie łodzi ukazywało się pełniej: lichtugi, barki, tankowce, niektóre objęte kwarantanną i stojące na kotwicy. Trałowce o drewnianych kadłubach kursowały tam i z powrotem w poprzek kanału Ambrose. Holowniki jak cyrkowi klauni sunęły obok statków zmierzających do Górnej Zatoki i z daleka przypominały gzy.

Zaniósł kawę i lornetkę na tylną werandę, z której rozciągał się widok na morze. Kilka minut później zjawiała się zaspana Tabatha w falbaniastym płaszczu kąpielowym koloru lawendy. Dexter był zadowolony. Zwykle w sobotę jego córka spała do późna. Na jej kasztanowych włosach - w takim samym odcieniu jak włosy jej matki — wciąż widać było ślady szpilek, które przed chwilą najwidoczniej pospiesznie wyjęła, żeby jej nie dokuczał.

- Tabby, kotku - powiedział, całując ją w nadstawiony policzek - A co to, pijesz moją kawę?

- To prawie samo mleko. — Zwinęła się w fotelu obok niego, obejmując rękami kolana. Jej cieniutka koszulka nie miała szans w starciu z wiatrem.

- Czyżby wczoraj nie było piżamowego przyjęcia?

Ostatnio miał wrażenie, że ciągle jest przy niej jakaś przyjaciółka (często Natalie, której nie ufał) albo że dwie lub trzy dziewczyny robiące przypinki ze stopionego wosku i „miotłowe spódnice”, które zanurzało się w wiadrze z barwnikiem i okręcało wokół kija, żeby wyschły. Efekt był wręcz szkaradny.

- Widziałeś wieczorem jakieś gwiazdy filmowe? - spytała.

- Hmm, zastanówmy się. Była Aline MacMahon, była Wendy Barrie. I Joan Fontaine, ta, która dostała Oscara. -Droczył się z nią, wymieniając tylko kobiety.

- I nikt więcej?

- Rzeczywiście, przez chwilę widziałem też Gary'ego Coopera. Bardzo późno.

Klasnęła w dłonie.

- Co robił?

- Siedział uśmiechnięty obok żony i podawał jej martini.

- Zawsze tak mówisz!

- Bo zawsze tak jest. - Właściwie to nigdy tak nie było. Dexter nikomu nie mówił, co widział przez ukryte okno na drugim piętrze klubu. Zostawiał to panu Winchellowi, swojemu przyjacielowi i stałemu klientowi, który mistrzowsko opanował sztukę mówienia czegoś, tak by jednocześnie niczego nie powiedzieć.

- Ktoś jeszcze? - Liczyła na jakieś wieści o Victorze Mature. W ubiegłym roku była z Natalie na *I Wake Up Screaming* i widok Mature'a w stroju do pływania okazał się dla niej doświadczeniem na miarę nawrócenia. Teraz ckliwe celofanowe fotosy aktora były ozdobą jej podręczników.

- Victor się nie pokazał, jeśli o niego ci chodzi - powiedział.

- Wcale nie o niego - odparła świętoszkowato. - Ma ważniejsze sprawy na głowie niż chodzenie po klubach nocnych. Dołączył do morskiej straży granicznej.

Dawniej, gdy była rannym ptaszkiem, Tabby przeważnie dołączała do siedzącego na werandzie Dextera ze swoim kubkiem mleka. Był pod wrażeniem jej przenikliwości, powagi, z jaką rozmyślała o błahych sprawach, i wyobrażał sobie, że pewnego dnia zostaną współnikami — legalnie, rzecz jasna. Jednak w ciągu ostatnich lat jego nadzieje związane z Tabby osłabły, bo zaczęła się czesać jak Veronica Lake i poświęcać się wróżbom z planszą ouiija. Raz na parę tygodni zjawiała się jednak rano na werandzie, jakby kultywowała jakiś rytuał.

- Jakie masz plany na dzisiejszy dzień, Tabs?

- Coś z Natalie.

- Na przykład co?

- Kino. Może drogeria. - Wystudiowany sposób, w jaki unikała jego spojrzenia, podpowiedział mu, że będą przy tym chłopcy. Natalie miała bzika na ich punkcie, a Tabby wyrosła na ładniejszą dziewczynę, niżby chciał. Nie

żeby życzył brzydoty swojej jedynej córce, ale ostentacyjna uroda była zachętą do zależności. Wolałby, żeby miała urodę ukrytą, widoczną tylko dla tych, którzy patrzą uważniej. Zrobiła przypinkę z pudełka po aspirynie pomalowanego czerwonym lakierem do paznokci i nazwała ją pudełeczkiem życzeń. Ponoć w środku znajdowało się jakieś sekretne życzenie napisane na skrawku papieru. Myśl, że Tabby ma jakiś sekret, trochę go irytowała.

- Chcesz popatrzeć? - spytał, podsuwając jej lornetkę. Pokręciła głową. Wyjęła pilniczek i zaczęła nadawać paznokciom idealnie owalny kształt. - Mów po ludzku, jeśli łaska - powiedział.

- Nie, dziękuję, tatusiu.
- Mnóstwo statków.
- Widzę.
- Jak, skoro gapisz się na paznokcie?
- Widzę je codziennie.

Uniósł lornetkę, lustrując wzburzoną szarą wodę w poszukiwaniu podstępnej wieżyczki łodzi podwodnej. Sieć rozciągnięta w poprzek cieśniny Narrows chroniła Górną Zatokę, ale o ile było mu wiadomo, nic nie zdołałoby powstrzymać u-boota od prześlizgnięcia się za Breezy Point, gdzie znajdował się Fort Tilden, i dopłynięcia prosto do miejsca, w którym fale spotykały się ze skałami poniżej jego domu. Obserwowanie morza ze strachu przed łodzią podwodną przypominało momentami czekanie na nią - wręcz z nadzieją.

- Trzymaj - powiedział, popychając lornetkę w stronę Tabby, żeby zdjąć z niej urok zaabsorbowania sobą. - Upewnij się, czy żadni Niemcy nie wylażą na brzeg tak jak na plaży w Amagansett.

- Po co mieliby to robić, tatusiu? Tu nie ma nic ważnego.
- Żeby ci pomóc pilnować paznokcie? Wydają się bardzo ważne.

Gwałtownie owinęła się płaszczem kąpielowym i pomaszerowała z powrotem do domu. Dexter był wściekły na jej próżność i na własną impulsywność. To była jego słabość.

Wylał zimną kawę na skały i wszedł do środka. W garderobie wyjął gnata z kabury przy łydce i zamknął go w szafce przeznaczonej specjalnie do tego celu. Powiesił spodnie i marynarkę w szafie, koszulę cisnął w kąt, żeby ją uprano, a potem stał przy umywalce w bokserkach od Sulki, myjąc się zimną wodą. Następnie wszedł do pachnącej piżmem sypialni położonej na niższym poziomie. Luksusowe szerokie łóżce, które dzielił z Harriet, było znakiem

odrzućcia koszarowych zwyczajów sypialnianych jej purytańskich przodków.

Usłyszał jej oddech i wślizgnął się na miejsce obok. Światło z garderoby padło na jej wydatne kości policzkowe, na zmysłowe usta. Bardzo była ładna ta jego Harriet. Oszalałmijając ładna - dlaczego myślał, że córka będzie inna? Nawet we śnie była opanowana. Zadanie Dextera polegało na tym, by to opanowanie straciła. Wykonywał je, odkąd miała szesnaście lat i błagał, żeby towarzyszyła mu podczas przemywania alkoholu, urozmaicał sobie bowiem ten proceder pieprzeniem jej przy świetle księżyca na dyniowych polach Long Island, w pełnych liści sukniach debutantki zarzuconych na głowę. Przykrości nagromadzone w ciągu całej nocy zebrały się w nim jak konie wyścigowe drzące w blokach startowych. Taka akcja mu wystarczy, zawsze wystarczała. Znalazł się na Harriet, jeszcze zanim się obudziła.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała ochrypłym głosem, który tak bardzo wytrącał go z równowagi, zanim do niego dorosła. - Brutalna pobudka.

- Ciężka noc - odparł.

*

Nazajutrz przed mszą nowy proboszcz wziął Dextera na stronę, żeby porozmawiać o dzwonie. Pojawiła się na nim „niewidoczna rysa”, która nie tylko psuła dźwięk, lecz także mogła doprowadzić do pęknięcia, upadku, zmiążdżenia któregoś z parafian. Kler zawsze zakładał, że Dexter będzie chętnie pomagał w kościelnych remontach, wszak grzech był nierozzerwalnie związany z jego sposobem zarobkowania. Był już ukruszony ołtarz, były nowe stroje dla chłopców z chóru, a teraz przyszła pora na dzwon, który jak na gust Dextera brzmiał całkiem dobrze. W zasadzie to nie miałyby nic przeciwko temu, żeby bili w niego rzadziej.

- Dziwię się, proszę księdza - powiedział, gdy stali w krzaczastym zakątku przed Świętą Małgorzatą. - Kościół nie ma jeszcze nawet dwudziestu pięciu lat.

- W czasach kryzysu w ogóle go nie remontowaliśmy - mruknął ksiądz.

- Ależ tak. Poprzedni proboszcz, Bertoli, wyciągnął ode mnie forszę na szaty liturgiczne i nowy kielich mszalny, nie wspominając o stacjach drogi krzyżowej wiszących na ścianach w absydzie.

- Pańska hojność nas pokrzepia - zaintonował duchowny, spuszczać wzrok.

Dexter przyjrzał mu się w pełnym słońcu: młody mężczyzna, worki pod oczami, rumieniec nieprzystający do pory roku; prawdopodobnie alkohol. Mniej rozpowszechniony wśród makaroniarskiego kleru niż wśród irlandzkiego, ale z pewnością nie rzadkość, zwłaszcza wśród żyjących w celibacie. Zrobiwszy karierę dzięki sile ludzkich żądz, Dexter mógł jedynie kręcić głową, obserwując szalony upór Rzymu nakazującego księżom powstrzymać się od zaspokajania najbardziej pierwotnej potrzeby. Bertoli obstawiał na wyścigach. Dexter dwa razy natknął się na niego w Belmont i raz w Saratodze podczas tych jego „rekolekcji”. Przeniesiono go do miasta, gdzie nie było toru wyścigowego. A teraz jego następcy, pijaczyńscy, zachciało się lepszego atramentu, niż mógł sobie kupić za te nędzne grosze, które mu płacono. Co w tym dziwnego?

Dexter nie słuchał kazania. Religię miał gdzieś. Związał się ze Świętą Małgorzatą, by rodzina żony nie mogła go przykuć do Kościoła episkopalnego. Ci wszyscy purytanie, niech go Bóg uchwata. Skoro już musiał spędzać godzinę w kościele, wolał krwawy, przesiąknięty kadzidłem katolicyzm. Msza stwarzała dobrą okazję, by porozmyślać o interesach. Dziś zastanawiał się, co zrobić w sprawie Hugh Mackeya, zadłużonego rozdającego, który próbował szantażować Heelsa. Heels był najsympatyczniejszym gościem na świecie, dopóki ktoś go nie wkurzył, a właśnie zaczynał się wkurzać.

Po mszy, gdy skończyły się obowiązkowe sąsiedzkie pogaduszki przed kościołem, Dexter zapakował rodzinę do cadillaca i ruszył w długą drogę do domu teściów na Sutton Place. Ledwie zdążył się rozpędzić, a bliźniacy zaczęli walczyć na patyki.

- Tatusiu! - wrzasnęła Tabby. - Każ im przestać!
- Chłopcy - powiedział surowo Dexter i obaj się uspokoili. Zawsze przebiegał między nimi jakiś wesoły prąd, jak telegram.
- Wczoraj w klubie łowieckim - powiedziała Tabby - grali obok tarasu w jai alai, aż ludzie musieli ich uspokoić.
- Nie bądź skarżypytą - upomniała ją Harriet.
- Byliśmy cicho — powiedział urażony John-Martin.

Z jakichś niepojętych dla Dextera powodów jego synowie lubili brać udział w różnych konkursach, zazwyczaj organizowanych w kinach. Stepowali, robili fikołki, zwisali z drążków głową w dół i gwizdali przez zęby. Gdy im się poszczęściło, przynosili do domu trąbki, harmonijki ustne albo wrotki - rzeczy, które już mieli albo z łatwością mogliby zdobyć. Dexter

obawiał się, że są niepoważni z natury.

- Klub łowiecki nie uważa jai alai za sport, co? - Nie mógł się powstrzymać, żeby nie dopiec żonie. - To nie to samo co gonitwa z przeszkodami?

- Od lat nie organizuje się gonitw - odparła. - Dobrze o tym wiesz.

Jako młoda dziewczyna chodziła na takie gonitwy z matką, która miała nadzieję, że Harriet znajdzie męża z odpowiedniej rodziny - najlepiej Angolę przybyłego na mecze Oxfordu, Cambridge i Rockaway. „To po prostu zgraja podchmielonych starych raszpli śliniących się na widok graczy w polo”, podsumowała Harriet swoją pierwszą styczność z Klubem Łowieckim Rockaway, i podczas późniejszych sporadycznych wizyt nigdy nie omieszkali uczynić zadość przysiędze małżeńskiej w co najmniej jednym nowym miejscu. W ostatnich latach Harriet nabrała jednak niewyjaśnionej sympatii do tego klubu. Teraz bywała w nim często, sączyła Pink Ladies z tymi samymi starymi raszplami, z których dawniej drwiła, słuchała ich bełkotliwych opowieści o tym, jak będąc debiutantkami, poznały królową Wiktorię. Zaczęła grać w golfa. To wszystko w jakiś nieokreślony sposób niepokoiło Dextera.

- W ogóle nie powinniśmy byli tam iść - mruknął John—Martin. — Nie pasujemy tam.

- Grajcie w polo - powiedział Dexter. - Od razu się dopasujecie.

- Nie mamy koni - przypomniał mu Phillip.

*

Rodzice Harriet siedzieli naprzeciw siebie na dwóch krańcach długiego stołu w jadalni z widokiem na East River na południe od mostu Hell Gate, gdzie rzeka wpadała do zatoki Long Island. Beth Berringer miała klasyczną twarz starej raszpli: znękaną suszą deltę pęknięć i dopływów połączoną z ruchliwymi szczękami dobermana. Sama jedna umiała poruszyć albo powstrzymać starego spojrzeniem swoich błękitnych oczu. Na obiedzie zawsze byli obecni ich syn i trzy córki wraz z małżonkami, a także zestaw czternaściorga wnucząt, które kolektywnie zmajstrowali - starsi chłopcy byli aktualnie w szkołach z dala od domu. Dwie rumuńskie służące, ulubienice Beth Berringer, kroїły i podawały pieczeń. Arthur odmawiał modlitwę, następowała chwila jedzenia w ciszy wypełniona warkotem łodzi na East River, a potem tę ciszę anektowały głosy dzieci.

Gdy już polano śmietanką i skonsumowano jabłko pod kruszonką, kobiety

odpływały w stronę kuchni i biblioteki, a dzieci do pokoju zabaw i sypialni. Mężczyźni zostawali przy stole, gromadząc się wokół Arthura w tym samym szyku co zawsze: jego jedyny syn Arthur junior (znany jako Cooper) z prawej, Dexter z lewej, a po drugiej stronie ich obu kolejni zięciowie: chirurg George Porter po lewej stronie Dextera i nauczyciel Henry Foster po prawej stronie Coopera. Tak zaczynała się godzinna rozmowa, na którą Dexter czekał cały tydzień.

Zauważył, że Tabby kręci się obok przesuwanych drzwi do jadalni.

- Chodź, Tabs - zawołał do niej, gdy stary z aprobatą kiwnął głową. - Posiedź z nami chwilę.

Postawił w kącie dodatkowe krzesło między sobą a Arthurem. Tabby usiadła, pokaszując cicho w unoszącym się spiralnie dymie z papierosa Coopera, fajki starego i cygara George'a Portera. Dexter i Henry Foster nie palili - była to jedyna cecha, jaka łączyła go z nauczycielem, który nosił tweedowe marynarki z łatami na łokciach i jeździł rozklekotanym tin lizzie.

Arthur nalał im po szklaneczce porto. Po wielkiej wojnie przeszedł na emeryturę w stopniu kontradmirała marynarki wojennej i zajął się bankowością, ale nawet wojskowa postawa nie była w stanie go wynieść ponad średni wzrost. Miał małe, różowe dłonie, rzędzące siwe włosy, ubierał się dobrze (Brooks Brothers), ale nie tak dobrze, jak by mógł (Savile Row). Jeździł plymouthem z trzydziestego dziewiątego w kolorze błota. Z tych nijakich cech wyłaniała się jednak najczystsza kwintesencja życia, jaką Dexter kiedykolwiek widział w mężczyźnie. Darzył teścia bezwarunkowym podziwem.

- No, chłopcy - powiedział stary, nie zwracając uwagi na Tabby. - Czego ciekawego się ostatnio dowiedzieliście?

Nie miał na myśli tego, co przeczytali w gazetach. Stary poznał Roosevelta jeszcze jako gubernatora i często jeździł do Waszyngtonu, gdzie pracował nad obligacjami wojennymi i pomagał nadać ostateczny kształt Ustawie o pożyczce i dzierżawie. Jego bliscy kumple z marynarki dowodzili flotami. Innymi słowy, Arthur Berringer wiedział bardzo dużo, lecz sądził, że wyjątkowe koneksje wynoszą go ponad większą część ludzkiego doświadczenia.

Henry Foster zaczął od wieści z miasteczka Westchester, gdzie znajdowało się jego prywatne liceum Alton Academy: jakaś kobieta nabrała przekonania, że jej sąsiedzi - mieszkający obok od ośmiu lat - są niemieckimi szpiegami udającymi Amerykanów.

- Twierdziła, że specjalnie zmienili akcent, nawet ich dzieci - opowiadał. — Słyszała „jak w ich słowach pobrzmiwa niemiecki”. Musieli ją zamknąć w zakładzie dla obłąkanych.

- Co o tym sądzisz? — zwrócił się stary do George’a Portera, chirurga.

- Wpływ wojennego stresu na słaby umysł - powiedział George. - Całkiem możliwe, że wyzdrowieje.

Dexter obserwował Tabby, wypatrując jakiejś reakcji, lecz ona siedziała ze spuszczonego wzrokiem, odrywając skórkę z plasterka cytryny.

- A jeśli ci sąsiedzi naprawdę są Niemcami? - odezwał się Cooper, wywołując grymas na twarzy ojca.

- Nie możemy zamknąć Alton Academy w Święto Dziękczynienia - podjął Henry. - Mężowie za morzem, matki w pracy... Część chłopców nie ma gdzie się podziać.

- Do klubu przychodzą dziewczyny, które pracują w stoczni marynarki wojennej na Brooklynie - powiedział Dexter, mając nadzieję, że uda mu się wciągnąć Tabby do rozmowy. - Spawają, zajmują się hydrauliką... Podobno są ich setki.

Stary wydawał się sceptyczny.

- Setki?

- To chyba niebezpieczne - stwierdził Cooper, zerkając na ojca, choć nie było jasne, czy ma na myśli niebezpieczeństwo grożące dziewczynom, czy światu. Prawdopodobnie sam tego nie wiedział. Był słabszą, znacznie mniej inteligentną wersją ojca, ucieleśnieniem ograniczeń ich rodu. Stary doskonale o tym wiedział - nie mógł nie wiedzieć, skoro Cooper pracował w jego banku. W chwilach, w których w relacjach ojca z synem dochodziło do głosu rozczarowanie, Dexter czuł pewność i siłę własnej więzi z teściem. Cooper nigdy nie powiedziałby Arthurowi Berringerowi czegoś, czego ten nie wiedział, podczas gdy Dexter widział i wiedział to, czego stary nie mógłby się dowiedzieć bez pójścia na jakiś osobisty kompromis. Styles był bliżej ziemi, jej soli i minerałów, niż którykolwiek Berringer od kilku pokoleń. I jako jedyny zięć nie potrzebował od starego kasy.

- Bo ja wiem, Coop - powiedział Arthur Berringer łagodnym tonem. - Niebezpieczne?

- Dziewczyny nie mają wprawy w budowaniu statków.

Tabby obserwowała dziadka, ale wzrok starego ani razu nie skierował się

w jej stronę. Słabość jego pokolenia: nie miało pojęcia o wartości kobiet.

- Czy te dziewczyny były męskie? - George Porter spytał Dextera ze śmiechem. Często przyjeżdżał do Moonshine odrestaurowanym duesenbergiem z dwudziestego trzeciego pomalowanym na szyfonową żółć ze swoją żoną Reginą, bojową starszą siostrą Harriet. Dzięki sekretnemu oknu Dexter wiedział, że elegancki pan doktor przyprawia też inne kobiety. George wiedział, że Dexter o tym wie, i dzięki temu łączyło ich serdeczne porozumienie.

- To zwyczajne dziewczyny - odrzekł Dexter. - Takie, jakie widuje się przy automatach z jedzeniem w porze lunchu.

- Nie korzystam z automatów z jedzeniem - powiedział stary. - Opisz nam te młode kobiety.

Zadanie rozmnożenia panny Feeney do kilku dziewczyn stawało się uciążliwe. Zdublował ją instynktownie - zawsze starał się ukrócić nawet najmniejsze spekulacje na temat swojej wierności. Dyskretne zdradzanie żony przez George'a Portera, syna ministra i potomka rodziny z tradycjami, to była inna sprawa. Dexter nie miał takiej swobody ruchu. Jego lennicza zależność od Harriet była warunkiem błogosławieństwa starego, a Dexter zgodził się na nią z ochotą. Pod tym względem, tak jak pod wieloma innymi, teść wyświadczył mu przysługę. Uganianie się za spódniczkami było równie niedobre jak ćpanie, bo z tego, co zauważył Dexter, czyniło w życiu mężczyzny podobne spustoszenie.

- Dwadzieścia kilka lat... ciemne włosy, irlandzkie nazwiska - powiedział. - Miłe, zdrowe dziewczyny. Niezbyt przejmujące się modą.

- Wystarczająco przejmujące się modą, żeby chodzić do Moonshine - odparł Henry Foster, który nie pochwalał klubów nocnych.

- Rzeczywiście, trochę tam nie pasowały - zastanowił się Dexter. - Chyba ktoś je przyprowadził.

- Mówisz, jakby były identyczne - powiedział jego teść ze śmiechem. - Jesteś pewny, że to nie były bliźniaczki?

Dexter się zarumienił.

- Chyba się nie przyglądałem.

- Hej, może zadzwonię do komendanta stoczni - zaproponował stary. - Służyliśmy razem na Filipinach. Zorganizuje nam wycieczkę, kiedy Grady wróci z Annapolis.

- Tak! - zawołała Tabby ku zaskoczeniu wszystkich. - Proszę, dziadku! Chciałabym zobaczyć tę stocznię.

Dexter omal nie zemdleł ze zdziwienia i dumy.

*

- Kiedy Grady przyjedzie na Święto Dziękczynienia? - Stary zwrócił się do Coopera.

Wszyscy pochylili się nad tym imieniem: Cooper dlatego, że Grady był lśniącym klejnotem w jego bezbarwnej egzystencji, a reszta z nich - właściwie dlaczego? Grady, najstarszy z wnucząt Berringera, emanował jakimś blaskiem, jakby cała inteligencja i cały spryt starego, jego dobry kontakt z innymi mężczyznami, ominęły Coopera i fascynująco powróciły w osobie jego najstarszego dziecka. Grady zdawał się stworzony do wielkich rzeczy - tak mówiono - i Dexter chcąc nie chcąc zazdrościł Cooperowi takiego syna.

- We wtorek przed Świętem Dziękczynienia - powiedział Cooper, pusząc się trochę, jak zawsze, gdy rozmawiali o Gradym. - Ale jest strasznie zajęty wcześniejszymi egzaminami... Będę musiał porozmawiać z Marshą.

- Zatem w środę przed Świętem Dziękczynienia - zarządził stary, ignorując uniki syna. - Jutro rano zadzwonię do admirała. Wybierzesz się z nami, Tabatho? - W jego ustach imię wnuczki brzmiało dziwnie oficjalnie.

- Tak, dziadku - powiedziała, przygasnąwszy już po niedawnym ożywieniu. - Chciałabym.

- Obawiam się, że będę musiał zostać w Alton - powiedział Henry. - Ale Bitsy na pewno chętnie pojedzie, jeśli ktoś ją odbierze z dworca.

- Oczywiście - zgodził się Dexter ku wyraźnej uldze Henry'ego. Bitsy, młodsza siostra Harriet, była idealną żoną nauczyciela do czasu, gdy osiem miesięcy temu doznała, jak to ujął Henry, „wyczerpania nerwowego” po urodzeniu czwartego dziecka. Brała lekcje rosyjskiego u prywatnego nauczyciela i recytowała fragmenty Puszkina. Mówiła, że chce podróżować po świecie i mieszkać w jurcie. Biedny Henry nie miał pojęcia, co począć.

Mało atrakcyjne córki George'a, Edith i Olive, sterczały w drzwiach, a z ich drutów do robótek zwisały motki wełny w kolorze błota. Coś dla żołnierzy.

- Czekamy. - Olive zwróciła się z wyrzutem do Tabby, a gdy ta wstała, by za nimi pójść, Dextera ogarnęło cudowne poczucie, że dobrze się spisała.

- A ty, Arthurze? - spytał teścia, gdy dziewczyny wyszły. - Słyszałeś ostatnio coś ciekawego?

- No cóż. W przeciwieństwie do was, panowie, właściwie nie robię nic innego, jak tylko podsłuchuję pod drzwiami - odrzekł stary. - Ale z tego, co słyszę, wnioskuję, że niebawem wydarzy się coś ważnego. Z nami w roli głównej.

Wszyscy potrzebowali dłuższej chwili, żeby przyswoić te słowa. Nawet Cooper zrozumiał, że stary ma na myśli zbrojną agresję.

- W Europie czy w Azji, tato? - spytał.

- Żaden szanujący się dowódca nie pozwoliłby sobie na wyjawienie takiej informacji - burknął stary. - Oczywiście jest więcej możliwości niż tylko te dwie.

Dexter domyślił się, że teść mówi o Afryce Północnej, gdzie Angolom w końcu udało się odebrać Rommlowi trochę piasku.

- Potrzebne nam doświadczenie bojowe — powiedział po chwili zastanowienia.

Stary przelotnie spojrzął mu w oczy.

- Właśnie.

Jeśli to była prawda, zdobycie takiej informacji z wyprzedzeniem wydawało się wręcz porażające. A jak do tej pory wszystko, co mówił im Arthur Berringer, okazywało się prawdą. Dawniej Dexter nie miał pojęcia, dlaczego stary dzieli się tak poufnymi informacjami z ludźmi pokroju Coopera, któremu brakowało inteligencji i rozeznania, albo z nim samym, prowadzącym interesy nie do końca zgodne z prawem. Uświadomił sobie, że teść może im podsuwać fałszywe informacje - po to, żeby poddać ich próbie, albo po to, by ich wykorzystać do rozsiewania pogłosek, które chciał rozpowszechnić. Dexter jednak nigdy nie powtórzył ani słowa z tego, co od niego usłyszał. Tak wielka była moc starego. I tak też brzmiała odpowiedź. Arthur Berringer swobodnie przekazywał informacje synowi i zięciom z tego samego powodu, dla którego Dexter nie zamykał frontowych drzwi na klucz: mając taką moc, mógł ich zmusić, by byli godni zaufania. Jednak podczas gdy moc Dextera brała się z siły fizycznej, moc starego skondensowała się w coś abstrakcyjnego. Berringerowie chodzili w cylindrach do opery, gdy ziomkowie Dextera kopulowali jeszcze w dawnej ojczyźnie za belami siana. Lubił sobie myśleć, że pewnego dnia jego moc nabierze podobnej przejrzystości, a krew i ziemia, z której się zrodziła, odejdą w zapomnienie.

- Alianci wygrają tę wojnę - oznajmił stary.
- Czy takie stwierdzenie nie jest aby... przedwczesne? - spytał George.
- Cóż, nie powiedziałbym tego byle komu - odrzekł stary. - Ale to fakt.
- Wątpię, żeby marynarka wojenna też patrzyła na to w ten sposób, tato - powiedział Cooper.

- Marynarka wojenna nie jest od tego, żeby patrzeć na to w ten sposób, synu. Podobnie jak armia. Albo morska straż graniczna. One są od tego, żeby wygrywać. Przewidywania to zadanie dla bankierów - oczywiście ich drugie zadanie, zaraz po finansowaniu tej wojny.

Według Arthura Berringtona wszystkie osiągnięcia ludzkości - czy to rzymskie podboje, czy to amerykańska niepodległość - były jedynie imprezą towarzyszącą machinacjom bankierów (w pierwszym wypadku wprowadzeniu podatków, w drugim - zakupowi Luizjany). Jak każda obsesja, ta także wywoływała wśród członków rodziny pewną liczbę znużonych westchnień. Ale nie u Dextera. Jemu istnienie tajemniczej prawdy ukrytej za prawdą oczywistą i alegorycznie przez nią przebijającej wydawało się fascynujące. Właśnie to go zaintrygowało, gdy miał piętnaście lat i zauważył dwóch mężczyzn, którzy w każdy trzeci poniedziałek miesiąca przychodzili zobaczyć się z jego ojcem w restauracji na Coney Island. Inny mężczyzna zjawiał się rzadziej, zawsze w nowiutkich getrach i z czerwoną poszetką wyzierającą z kieszonki na piersi. Ojciec Dextera zawsze wchodził za bar, by osobiście nalać temu człowiekowi brandy.

Puste spojrzenie jego tatki po tych wizytach świadczyło o upokorzeniu i złości, a Dexter wiedział, że lepiej nie pytać, czego chcieli ci ludzie. Coś go jednak do nich ciągnęło - coś niewyraźnego, co tliło się w ich oczach, ciężkość ich rąk, gdy go poklepywali albo dawali mu w ucho. Zabiegał o ich względy, napełniał im kieliszki, kręcił się obok ich stolików, gdy ojciec nie widział. Powoli, z milczącą zwierzęcą świadomością, zaczęli go zauważać. Później, gdy wrócili mężczyźni, którzy walczyli na wielkiej wojnie, w ich przelotnych spojrzeniach i sennych ruchach Dexter rozpoznał coś, co początkowo podziwiał u ludzi pana Wtedy już wiedział, co to takiego: oswojenie z przemocą.

- Rzecz jasna - dodał Arthur ze śmiechem - odkąd zaczął się kryzys, my, bankierzy, mamy wystarczająco dużo wolnego czasu i... samotności, można by rzec, żeby rozmyślać o tym, co przyniesie przyszłość. Po wojnie secesyjnej został nam rząd federalny. Wielka wojna uczyniła z nas naród wierzycieli. Jako bankierzy musimy przewidywać zmiany, które wynikną z

obecnego konfliktu.

- I co przewidujesz? - spytał Henry, który nie ufał Rooseveltowi.

Stary pochylił się i głęboko westchnął.

- Widzę, jak ten kraj wznosi się na wyżyny, których nie dosięgnął jeszcze żaden inny kraj - powiedział cicho. - Ani Rzymianie. Ani Karolingowie. Ani Czyngis-chan, ani Tatarzy, ani Francja za czasów Napoleona. Ha! Patrzycie na mnie wszyscy, jakbym był jedną nogą w domu wariatów. Jak to możliwe, pytacie. Ano tak, że nasza dominacja nie weźmie się z ujarzmiania innych ludów. Wyjdziemy z tej wojny zwycięsko i bez szwanku, i staniemy się bankierami świata. Będziemy eksportowali swoje marzenia, swój język, swoją kulturę, swój styl życia. I nikt nie zdoła się temu oprzeć.

Dexter słuchał, a w jego sercu powoli otwierał się ciemny parasol niepokoju. Był żołnierzem przez ponad dwie dekady, wypełniał rozkazy, by zapewnić dobrobyt i sprawne działanie organizacji, w której służył: rządowi cieni, krajowi cieni. Plemieniu. Klanowi. Teraz nagle wszyscy byli Amerykanami. Wspólny wróg skłaniał do zawierania dziwnych sojuszy. Krążyły pogłoski, że wielki Lucky Luciano ubił z za krat interes z federalnymi, by wykosić sympatyków Mussoliniego z nabrzeża. Gdzie będzie Dexter, kiedy skończy się wojna?

- Nie odegram w tym wszystkim większej roli - powiedział Arthur Berringer. - Będę za stary, by zobaczyć owoce tych zmian. - Zbył ich ciche protesty machnięciem ręki. - To wszystko stanie się waszym udziałem, chłopcy, waszym i waszych rodzin. Dopilnujcie, żebyście byli na to gotowi.

Mówił zwyczajnym tonem, jakby przypominał im o godzinie wypłynięcia promu. W bezruchu, który potem nastąpił, Dexter usłyszał gwałtowny, rozedrgany puls, jakby zegar oszalał. Przypuszczał, że tak bije jego własne serce.

Stary uderzył dłońmi w stół i wstał. Lunch dobiegł końca. Całą jadalnię zasnuł dym. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i rozproszyli się w zgiełku kobiet i dzieci.

Rozmowa z teściem przepełniła Dextera niepokojem i pragnieniem, by popędzić pustymi drogami do domu. Lekka kolacja złożona z zupy i grzanki, potem *Crime Drama* w radiu, którego słuchali wszyscy razem - to był ich niedzielny rytuał. A później sen: długi, głęboki, unicestwiający wszystko sen rekompensujący jego niedobory w ciągu tygodnia.

Gdy szukał Harriet, jej młodsza siostra Bitsy wybiegła z biblioteki,

zatraskując za sobą drzwi, i o mało nie zderzyła się po drodze z Dexterem. Po chwili ze środka wynurzyły się Harriet i Regina; wyglądały na wstrząśnięte.

- Ktoś musi nad nią zapanować - powiedziała Regina. - Biedny Henry, on się do tego nie nadaje.

- Zgłosiła się na ochotnika, żeby randkować z żołnierzami - wyjaśniła Harriet Dexterowi.

- Co?

- No wiesz, oprowadzać ich po mieście - powiedziała Regina. - Pewne dziewczyny robią takie rzeczy w wieku dwudziestu paru lat. Ale nie mężatki z Westchester mające czworo dzieci!

- Musimy jakoś ją od tego odwieść - orzekła Harriet.

Dziwnie było słuchać, jak jego żona wyraża dezaprobatę pospółu ze swoją apodyktyczną starszą siostrą, bo przez lata to Harriet wywoływała oburzenie. Teraz, w sukience z wysokim kołnierzykiem, wyglądała niemal pruderyjnie. Zwykle nie budziła w nim takich skojarzeń.

- Do samochodu - powiedział.

Tabby, która ospale dziergała razem z Olive i Edith, skwapliwie zerwała się z miejsca. Pozostało zatem znaleźć bliźniaków, których nikt nie widział od wielu godzin. Reszta wnuków dołączyła do poszukiwań, biegając po domu, otwierając szafy z plamiastymi lustrami na drzwiach i zaglądnając pod łóżko. „Phillip... John-Martin...”. Całkiem możliwe, że specjalnie się gdzieś schowali, i Dexter z pewną niecierpliwością wyczekiwał lania, które zamierzał im spuścić, gdyby okazało się to prawdą.

Na ostatnim piętrze spojrzął przez okno z tyłu domu na tankowiec, który sunął na południe z zatoki Long Island. Znów usłyszał nerwowy stukot przypominający paniczne bicie serca. Nie, nie przesłyszało mu się, ten dźwięk był prawdziwy. Nasłuchując, przeszedł do frontowej części domu i spojrzął przez okrągłe okno na York Avenue.

Zobaczył bliźniaków, którzy z kamiennym wyrazem twarzy odbijali czerwone piłeczki przychepione do rakietek.

Pat-a-pat-a-pat-a-pat-a-pat-a-pat-a-pat-a-pat-a-pat-a...

Przez cały czas grali w jai alai.

Chcąc nie chcąc, Dexter się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jadąc do domu, ostatniego i największego przy ślepej uliczce kończącej się nad morzem, Dexter minął zaparkowanego przy krawężniku zniszczonego dodge'a coupe w kolorze gołębiej szarości. Za kierownicą siedział jakiś samotny mężczyzna. Dexter nie znał tego samochodu.

Nawet nie odwrócił głowy ani nie spojrzął w lusterko wsteczne, ale coś w jego wnętrzu natychmiast drgnęło, spięte i czujne. Obce samochody nie parkowały przy tej ulicy. Przy tej ulicy nie bawiły się dzieci. I nikt nie odwiedzał Dextera w pojedynkę, nie przywożąc ze sobą rodziny.

- Co się stało? - spytała Harriet.

- Nic a nic.

Odpowiedziała mu uniesieniem brwi. Ona też się nie odwróciła.

W domu Dexter ruszył prosto do garderoby, otworzył szafkę, w której trzymał gnata, wsunął go do kabury przy łydce i przymocował ją do nogi. Potem wrócił na górę. Wiedział, że wkrótce zabrzmi dzwonek do drzwi, i chciał stworzyć wrażenie człowieka zaabsorbowanego życiem rodzinnym, by pokazać przybyszowi, że to ani czas, ani miejsce na sprawy, z którymi przyjechał.

Bliźniacy budowali na podłodze w salonie coś z miniaturowych bali Lincoln Logs. Dexter pospiesznie usadowił się w fotelu z „Journal-American” w dłoni i grubym plikiem niedzielnych komiksów.

- Chłopcy, chodźcie do mnie - powiedział. - Poczytam wam coś śmiesznego.

Podeszli zdziwieni i gdy stanęli obok jego fotela, Dexter zdał sobie sprawę, że minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni czytał im rysunkowe dowcipy - pewnie już ponad rok. Zdążyli sporo urosnąć, zwłaszcza John-Martin. Nieważne, czekał tylko, aż rozlegnie się dzwonek do drzwi. Dexter wciągnął synów na kolana, a oni ciężko osunęli się na jego pierś, pozbawiając go na chwilę tchu. Trudno było trzymać ich obu i „Journal-American”, a gdy w końcu mu się to udało, nie mógł dojrzeć obrazków. Nie poddawał się jednak i mrużąc oczy, wpatrywał się w komiks *Prince Valiant* przez dziurkę od klucza, która utworzyła się między ich szyjami. Zaczęli się wiercić i chichotać, zamknięty obwód ich wesołości jak zwykle działał Dexterowi na nerwy. Kazał im być cicho, a potem z wysiłkiem przybrał ożywiony ton przeznaczony specjalnie do czytania dowcipów przez „ojca wychowującego dzieci”. Bliźniacy spoważnieli, podporządkowując się jemu i nikomu więcej.

Dexter spojrział na drzwi wejściowe i do złości na intruza zamierzającego wtargnąć w jego niedzielę dołączyło zniecierpliwienie — jak długo jeszcze każe na siebie czekać?

Wreszcie rozległ się dzwonek i Harriet otworzyła drzwi, bezbłędnie wybierając moment i ton głosu. Dexter odczuł lekkie zadowolenie, że zaprezentował dokładnie taki obrazek, jaki chciał. Niewiele to jednak znaczyło. Już od progu dało się zauważyć, że tego mężczyznę interesuje wyłącznie sprawa, z którą przyszedł. Scena przedstawiająca ojcowskie zaangażowanie uszła jego uwagi.

Dexter wypuścił synów, którzy z ulgą się rozpięchli, i poszedł powitać gościa. Mężczyzna był wychudzony, wręcz kościsty, miał dziwną, jakby napiętą twarz, która bardziej pasowałaby do makijażu klauna: szerokie usta i oczy w kształcie półksiężyców. Dexter od razu go rozpoznał.

- Cóż za niezwykła niespodzianka, panie Mackey - powiedział tonem, w którym każdy, kto go znał, usłyszałby reprimendę i ostrzeżenie. Ucisnął ciężką dłoń Hugh Mackeya. -Co takiego skłoniło pana do złożenia mi wizyty bez żony?

- Pojechała z wizytą do matki - odparł z wysiłkiem Mackey.

- Niedługo zasiadamy do niedzielnej kolacji - oznajmił chłodno Dexter.

- Przypuszczam, że nie zechce pan do nas dołączyć.

Mackey rzucił mu wymęczone, znękanе spojrzenie - spojrzenie człowieka, któremu desperacja odebrała umiejętność uczestniczenia w tej grze. Nadal miał na głowie kapelusz.

- Nie, nie, nie mogę zostać - powiedział. - Muszę tylko zamienić z panem słowo. W zeszły weekend próbowałem z panem porozmawiać w klubie na Manhattanie, ale nie wpuścili mnie do środka.

Dexter myślał tylko o tym, żeby pozbyć się Mackeya z domu. Sama obecność tego człowieka była profanacją - równie dobrze mógłby naszczać na podłogę w salonie.

- Wie pan, obiecałem córce spacer po plaży - wydusił z siebie w końcu. - Może pójdzie pan z nami?

Mackey mierzył go nienawistnym spojrzeniem. Jego żalosne odrzucenie szalbierstwa, dzięki któremu świat cieni mieszał się ze światem widocznym dla każdego, rozwścieczało Dextera. Utrzymywanie pozorów liczyło się równie mocno -bardziej - jak to, co kryło się pod powierzchnią. W głębinach mogły się dziać różne rzeczy, lecz to, co wpływało na wierzch, zapisywało

się w pamięci wszystkich.

Mógł wyrzucić Mackeya za drzwi, przegonić go jak parszywego psa. Sądząc po zbolącej minie tego człowieka, spodziewał się on właśnie takiego przyjęcia. Ale kto wie, co Hugh Mackey mógłby potem zrobić. Nie. Najlepszym rozwiązaniem był spacer. Odciągnąć go od domu. Słońce już prawie zachodziło.

Dexter zostawił go w salonie z Harriet i poszedł na górę zapukać do Tabby. Siedziała przy nowej toaletce, którą dostała na szesnaste urodziny. Otaczający lustro rząderek małych elektrycznych żarówek upodabniał ją do hollywoodzkiej gwiazdki w garderobie. Czy można wymyślić lepszą nazwę dla przedmiotu wydobywającego z damskiej osobowości wszystko, co najgorsze¹?

- Tabby - zwrócił się szorstko do córki - chodźmy na spacer.

- Nie mam ochoty, tatusiu.

Wziął głęboki oddech, powściągnął zniecierpliwienie i przykucnął obok jej krzesła. Ciepło żarówek wzmacniało duszny kwiatowy zapach pudru, który dostała w komplecie z toaletką: Charles of the Ritz, jeśli dobrze pamiętał.

- Proszę cię o przysługę - powiedział. - Potrzebuję twojej pomocy.

Jej ciekawość była jak studnia, zwykle niemal pusta. W odpowiedzi na słowo „pomoc” Dexter usłyszał jednak plusk.

- Jest tu pewien dżentelmen, mój współpracownik, który... który ma o coś żal. Jeśli pójdziesz z nami na plażę, nie będzie narzekał.

- Dlatego że ja tam będę?

- Właśnie.

Wstała od toaletki i zniknęła w szafie, którą zaczęła nazywać „garderobą”. Kilka minut później wynurzyła się w kolorowej patchworkowej spódnicy, swetrze z warkoczowym splotem i marynarskiej czapce. Najwyraźniej zakładała, że nadobność będzie ważnym elementem jej roli.

Gdy zeszli po schodach, Harriet i Hugh Mackey siedzieli w milczeniu w salonie, Mackey patrzył przez okno na morze.

- To moja córka Tabatha - powiedział Dexter, przedstawiając ich sobie. Mackey zmierzył Tabby wyczerpanym, taksującym spojrzeniem, jakby oceniał ciężar, który chcąc nie chcąc, musiał dźwigać. Nie umiał - nie chciał -

grać swojej roli.

Wyszli z domu i ruszyli ścieżką w stronę plaży. Dexter pilnował, żeby Tabby szła między nim a Mackeyem. Piasek wydawał się wyjątkowo biały, wyglądał niemal księżycowo pod zmieniającym się niebem. W normalnych okolicznościach Dexter trzymałby się ścieżki, lecz Tabby skierowała się ku morzu, poszedł więc za nią po piasku.

- Tatusiu, zdejmij buty - zaproponowała. - Wcale nie jest tak zimno.

Zsunęła swoje, niewiele cieplejsze od rannych pantofli, i Dexter uświadomił sobie, że przebrała się między innymi po to, by zdjąć wełniane pończochy i móc chodzić boso. Byli przecież na plaży. Jej szczupłe stopy lśniły na piasku bielszym odcieniem bieli i ich widok wzbudził w Dexterze chęć zdjęcia oksfordów. Po chwili przypomniał sobie jednak o kaburze przy łydce.

- Nie mam ochoty, Tabs — powiedział. — Zostanę w butach.

Tabby nie zaproponowała Mackeyowi, żeby zdjął buty.

Patrząc na jego znużoną twarz klauna, trudno było uwierzyć, że Mackey w ogóle ma stopy.

Na plaży nie istniało coś takiego jak cisza. Próżnię, która powstała w miejscu nienawiązanej jeszcze rozmowy, wypełniały mewy, wiatr i rozpryskujące się fale. Statki było widać aż przy Breezy Point, miały przygaszone światła. Dexter powoli się odprężył. Czuł, że Mackey nie może się doczekać, żeby jakoś zacząć, lecz uniemożliwiła mu to przeszkoda w postaci Tabby. Szli na wschód, ku zmierzchowi. Tabby lekko przyspieszyła i wyprzedziła ich o kilka kroków.

Mackey skorzystał z szansy.

- Panie Styles, znalazłem się w dość trudnym położeniu - zaczął piskliwym, rozdrażnionym głosem.

- Przykro mi to słyszeć.

Tabby przystanęła, żeby na nich poczekać, a Dexter przyspieszył i do niej dołączył. Czuł, że Mackey usilnie próbuje wyrazić ogrom swojego niezadowolenia językiem, który nie zmąciłby spokojnej powierzchni tego spaceru po plaży. A przynajmniej postanowił taki wysiłek podjąć.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to miało trwać dłużej, panie Styles — zaczął ponownie przyjemniejszym tonem, choć tym razem Tabby wszystko słyszała.

- Zapewne nie — rzucił w odpowiedzi Dexter.
- Mówię panu - powiedział Mackey - że tak być nie może.

Ten afront na chwilę zamknął Dexterowi usta. Obok była Tabby, więc nie miał innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć w tym samym przyjaznym tonie, którego użył Mackey.

Obawiam się, że nie mam na to wpływu, panie Mackey. Musi pan to rozstrzygnąć z panem Healeyem.

- Między mną a panem Healeyem nie ma porozumienia.

Jego głos, jednocześnie pochlebczy, urażony i groźny, budził w Dexterze odrazę.

- Znam pana Healeya od dwudziestu lat - powiedział. -I nigdy, ani razu w ciągu całego tego czasu, nie zjawił się u mnie w domu w niedzielę.

- Co innego miałem zrobić?

Ta wymiana zdań brzmiała swobodnie, jakby rozmawiali o wynikach meczów bejsbolowych. Dexter wszedł między swoją córkę a Mackeya, po czym powiedział twardo i wyraźnie, chcąc zakończyć dyskusję:

- Nie mogę panu pomóc, panie Mackey.

- Chyba byłoby warto, żeby pan spróbował - odparł Mackey. - Zaoszczędziłby pan sobie późniejszych kłopotów.

- Kłopotów? — spytał Dexter jak gdyby nigdy nic. Tabby wzięła go za rękę. Jej dłoń wydawała się chłodna i delikatna jak bransoletka.

- Ja tam swoje wiem - odrzekł Mackey. - Ale nie wiem, co mogliby powiedzieć inni, gdyby też się tego dowiedzieli.

Zażenowane i przysłonięte ciężkimi powiekami oczy tego mężczyzny patrzyły prosto przed siebie, na wschód, gdzie zapadała ciemność. Dexterowi zaczęło dzwonić w uszach. Odczuł nagłą potrzebę, by splunąć na piasek. W zmierzchu widział resztki zachodzącego słońca połyskujące w ogrodzeniu ośrodka szkoleniowego morskiej straży granicznej. Zrozumiał, co musi się wydarzyć.

- Zobaczę, co da się zrobić - zdołał wykrztusić.

- O, cieszę się. Co za... ulga - powiedział Mackey. - Dziękuję, panie Styles.

- Nie ma o czym mówić. - Dexterowi także ulżyło. Jedyne problem

polegał teraz na tym, że wciąż znajdowali się z Mackeyem na plaży. Gdyby przewidział, że sprawa przybierze taki obrót, podszedłby do niej inaczej. Na pewno nie angażowałby w to Tabby.

- Popatrzcie, co znalazłam - powiedziała, podnosząc muszlę przegrzebka. Muszla była blad różowa. Przytrzymała ją na tle nieba i przyjrzała się pofałdowanej krawędzi.

- Śliczna - odparł Mackey.
- Wracajmy - odezwał się Dexter.

Odwróciwszy się, stanęli przed oszałamiającą ceremonią na zachodnim niebie: smugi jarmarcznego różu przywodziły na myśl spóźnioną końcówkę pokazu fajerwerków. Piasek też był różowy, jakby wchłonął zachód słońca i powoli go oddawał.

- A niech mnie, co za widok. - Mackey zwrócił się w stronę nieba. Sprawiał teraz wrażenie innego człowieka, zrzucił ciężar z serca i odzyskał spokój.

- Prawda, że wspaniały? - zawołała Tabby.

Dexter próbował wejść między nich. Nie chciał już, żeby ze sobą rozmawiali. Tabby trzymała się jednak Mackeya, wydawało się, że jego lepszy humor dodał jej otuchy.

- Ma pan dzieci, panie Mackey? - spytała.

- Mam córkę, Lizę, mniej więcej w twoim wieku - powiedział. - Lubi Tyrone'a Powera. Niedługo będą pokazywali jego nowy film, *Czarnego łabędzia*. Obiecałem, że ją na niego zabiorę. Lubisz Tyrone'a Powera?

- Pewnie, że tak - odpowiedziała Tabby. - W tym miesiącu będzie też premiera nowego filmu z Victorem Mature'em, *Seven Days' Leave*. Nagrał go tuż przed dołączeniem do morskiej straży granicznej.

Dexter słuchał ich, jakby był bardzo daleko, i nie odrywał wzroku od niesamowitego festiwalu rozgrywającego się na niebie. Wzmianka Mackeya o córce nie wzbudziła w nim litości - przeciwnie. Mężczyzna będący głową rodziny wykazał się podwójną lekkomyślnością, łamiąc zasady, które wszyscy w świecie cieni znali jak katechizm. Nie było wyjątków. Zdumiewające, jak trudno niektórym w to uwierzyć. Każdemu się wydaje, że jest wyjątkiem.

Mackey był gnidą. Mimo wszystkich starań, jakie podejmował, żeby chronić bliskich, jego rodzinie byłoby lepiej bez niego. Dexter postanowił

zostawić go Heelsowi i jego chłopakom. Zdystansowanie się do tego, co miało nastąpić, stwarzało wrażenie, że to już się stało. Stało się w chwili, w której postanowił, że się stanie.

- Mój kuzyn Grady studiuje w Akademii Marynarki Wojennej — mówiła Tabby.

- Ho, ho, chłopak z college'u. Mój syn służy w wojsku.

- Miał skończyć naukę w czerwcu, ale przesunięto to na grudzień. Dlatego że marynarka wojenna potrzebuje więcej oficerów.

- Jasne, że tak, ci wszyscy chłopcy na Wyspach Salomona.

Dexter chciał odseparować Tabby od tego okropnego, paplającego człowieka. Dom nadal był obezwładniająco daleko. Harriet zaciągnęła zaciemniające zasłony i budynek wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał.

- Wiesz, na co mam ochotę? - Mackey nagle zwrócił się do Tabby. - Chyba też zdejmę buty.

- O tak! - zawołała Tabby, klaszcząc w dłonie.

- Musimy wracać - mruknął Dexter, ale jego córka i Mackey zawarli sojusz, którego nie był w stanie zniszczyć.

Mackey usiadł na piasku i podwinął nogawki, a potem ostrożnie, metodycznie zsuwał skarpety, jakby grał na zwłokę.

Tabby uśmiechnęła się do Dextera. Pewnie myślała, że spisała się doskonale, bo nie doszło do kłótni.

W ciągu długich minut, które upłynęły Mackeyowi na zdejmowaniu skarpet, różowe smugi na niebie wyblakły, jakby ktoś starł je ze stołu. Pozostała po nich akwamaryna, tak gładka i czysta, że wydawało się, że mogłaby zabrzączeć, gdyby stuknięto w nią łyżką.

- Za rzadko robię takie rzeczy - powiedział Mackey z westchnieniem. Podniósł głowę i zwrócił do Dextera wyczerpaną twarz klauna. - A pan, panie Styles?

Nie było jasne, co ma na myśli. Buty? Plażę?

- Pewnie też - przyznał Dexter.

Mackey wstał. W jednej ręce dyndały mu buty, drugą przytrzymał na głowie kapelusz. Jego duże białe stopy nieprzyzwoicie rozstawiły się na piasku. Dexter nie był w stanie na nie spojrzeć.

- Przebiegnijmy się, panie Mackey - powiedziała Tabby. -Przebiegnijmy się po piasku.

- Mój Boże, mielibyśmy biegać? - spytał Mackey, a potem się roześmiał. Słaby, głuchy dźwięk dotarł do uszu Dextera jak agonalne rżenie. - No dobrze, skoro chcesz. Przebiegniemy się po piasku. Czemu nie?

I pobiegli, wzbijając snopy bieli i wznosząc okrzyki, gdy nikteli w zmierzchu.

CZEŚĆ TRZECIA

MOŻE MORZE

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Anna i jej matka musiały zjednoczyć siły, by ubrać Lydię w kwiecistą sukienkę za kolano z zaokrąglonym kołnierzykiem i apaszką zasłaniającą krzywy kręgosłup. Strojenie się dla doktora Deerwoda było kwestią tradycji i powodem do dumy — kobiety z Park Avenue kupowały sukienki szyte na zamówienie u Bergdorfa i buty za sto dwadzieścia pięć dolarów u Liebermana. Lydię drażniły jednak damskie fatałaszkę, a jej milczący opór przeciwko biustonoszowi, halce, pończochom i podwiązkom wydawał się Annie wyrazem tego, co czuły one wszystkie.

Inspirując się fryzurą Nell, Anna upięła włosy siostry, gdy ta jeszcze spała. Teraz uczesała złote loki, by lekko opadały Lydii na twarz spod niebieskiego beretu.

- Och, Anno, cudownie - powiedziała matka, skrapiając Lydię za uszami perfumami Mille Fleurs. - Wygląda całkiem jak Veronica Lake.

Gdy Anna szła na Czwartą Aleję, żeby zatrzymać taksówkę, okoliczne dzieci w odświętnych ubraniach bawiły się ostrożnie na chodniku. Wracając, zajrzała do sklepu pana Mucciaronego, żeby zabrać ze sobą Silvia, który już czekał uczesany i z podwiniętymi rękawami. Silvio był opóźniony, nie umiał nawet wydać reszty z kasy ojca. Z miną wyrażającą oddanie i skupienie zniósł Lydię po schodach z szóstego piętra. Większość jego ekspresji mieściła się w bicepsach, które drżały nad podwiniętymi rękawami, gdy Lydia jęczała i wiergała. Nienawidziła, kiedy nosił ją Silvio. Anna przypuszczała, że to przez jego zapach: cebulowy, mineralny, silniejszy z każdym zakrętem schodów. Był to zapach szesnastoletniego chłopaka - jedyne, który kiedykolwiek brał Lydię na ręce i który prawdopodobnie nie miał mieć następców.

Dzieci płątały się wokół nóg Silvia jak gołębie, gdy wynurzył się z budynku z Lydią i sadzał ją w taksówce. Anna pobiegła przodem i zajęła miejsce w aucie, żeby taksówkarz nie uciekł. Matka zakotwiczyła Lydię z drugiej strony, podczas gdy kierowca pakował składany wózek do bagażnika. Idealny dzień w połowie listopada. Taksówka przejechała po moście Brooklińskim i skręciła w East River Drive. Po drugiej stronie rzeki rozciągała się zatoka Wallabout - widać było statki, kominy fabryczne i olbrzymi żuraw.

- Popatrz, mamó! - zawołała Anna. - To stocznia marynarki wojennej!

Zanim matka się odwróciła, stocznia została w tyle. Nie miało to znaczenia - niewiele ją interesowała. Chyba wcale nie przejmowała się wojną,

mimo że sumiennie oszczędzała tłuszcz dla rzeźnika i pomagała szyć rękawy do ciśnieniomierzy. Anna miała wrażenie, że dni upływają ich matce na słuchaniu seriali *Guiding Light*, *Against the Storm* i *Young Doctor Malone* w towarzystwie różnych sąsiadek. To Anna przestawiała radio na *The New York Times News Bulletin* w porze kolacji, spragniona wieści o amerykańskich desantach we francuskiej części Afryki Północnej. Gdy je przeprowadzono, stocznia przez tydzień kipiała nowym optymizmem. Anna nigdy nie słyszała jednak, by mówiono o punkcie zwrotnym w działaniach wojennych, o długo wyczekiwanym drugim froncie.

Nerwowe podekscytowanie Anny miało inne źródło: Dex-tera Stylesa. Nim upłynęły dwa tygodnie od spotkania właściciela nocnego klubu, jej wyobraźnia zaczęła wchodzić na paluszkach w okropne, porywające scenariusze. Załóżmy, że jej ojciec wcale nie opuścił rodziny. Załóżmy, że unicestwił go grad gangsterskich kul, a imię Anny spoczęło na ustach umierającego niczym „Różyczka” w *Obywatelu Kanie*. Przeczytała całe mnóstwo książek Ellery’ego Queena. Skondensowanie niesprecyzowanego zagrożenia w osobie jednego zepsutego człowieka zawsze sprawiało Annie bezgraniczną przyjemność. Teraz miała wrażenie, że jej własne życie chyli się w stronę tego tajemniczego świata. Długie listopadowe cienie sugestywnie się pochylały, a blask latarni odbijający się w ceglach stoczni marynarki wojennej wprawiał jej brzuch w złowrogie drżenie. Te złe przeczucia miały w sobie dynamizm, dojmującą witalność, jakby zbudziła się z narkotycznego snu.

Gabinet doktora Deerwooda mieścił się na pierwszym piętrze kamienicy przy Park Avenue. Poczekalnię urządzono w stylu wiktoriańskim - w każdym razie tak uważała matka Anny. Zdobily ją orientalne dywany i sofy obite brokatem. Zasłony obszyte były złotymi frędzlami, a na ścianach wisiał patchwork z małych obrazów przytłoczonych ciężkimi ramami. Czasem w poczekalni byli inni pacjenci, powykręcani albo zwinięci na krzesłach, chodzący o lasce, przejawiający rodzinne podobieństwo do Lydii, jakby byli jej krewnymi w nieszczęściu. Tym razem, w niedzielę, pomieszczenie było puste. Anna i jej matka siedziały obok siebie na kanapie, Lydia na swoim wózku. Oczekiwanie na doktora Deerwooda, świadomość, że się zjawi, były dla Anny ukoronowaniem tych składanych dwa razy w roku wizyt. Pod żebrami czuła spienioną niecierpliwość. „Zaraz przyjdzie pan doktor! Zaraz przyjdzie pan doktor!”

Szelest drzwi, potem jego głos:

- Dzień dobry, dzień dobry. Witam wszystkie panie.

Był krągłym mężczyzną, a jego białe, nawoskowane wąsy kojarzyły się raczej z cylindrem niż z szarym fartuchem lekarskim. Najpierw przywitał się z Lydią, delikatnie odsuwając włosy, które przysłaniały jej twarz.

- Witam pannę Kerrigan - dodał, ściskając Annie dłoń. - I oczywiście panią Kerrigan. - W ostatnich latach nie wspomniano o miejscu pobytu pana Kerrigana.

Badanie odbyło się w sąsiednim pomieszczeniu, urządzonej zwyczajnie, lecz przytulnym. Jeden kąt zajmowała sterta krążków linowych i skórzanych pasów, po które jednak nigdy nie sięgano w obecności Lydii. Lekarz podniósł ją z wózka na kółkach i stanął z nią na wadze. Anna, którą w dzieciństwie ekscytowała ta procedura, przesuwiała ciężarki, aż drążek osiągnął równowagę. Potem lekarz posadził Lydię na miękkiej kozetce do badań, wziął jej głowę w dłonie i delikatnie poruszył nią z boku na bok. Lydia leżała nieruchomo, prawie jakby spała, a on zaglądał jej do ust, wachał wydychane powietrze oraz osłuchiwał serce i płuca za pomocą stetoskopu. Obejrzał jej włosy i paznokcie. Poruszał jej ciałem: rękami, nogami, tułowiem, stopami i dłońmi, które ostrożnie rozwinął do pełnej długości i zmierzył. Lydia byłaby wyższa od Anny o jakieś pięć centymetrów.

- Czy wieczorami jest bardziej niespokojna? - spytał. - Dam krople kamforowe, które powinny ją wyciszyć. Czy ma większe trudności z przełykaniem? Karmienie może stać się męczące, wiem. Jestem pod wrażeniem, że nie schudła. Wielu moich pacjentów zaczyna na tym etapie tracić na wadze. Proszę się nie niepokoić, jeśli zacznie wyglądać szczuplej, to zupełnie naturalne.

Dawniej Lydia się śmiała. Dawniej patrzyła przez okno. Dawniej powtarzała to, co przy niej mówiono, nadając temu bełkotliwą, nonsensowną formę. Przez długie okresy była skupiona. Te przyjemności i zwyczaje stopniowo zanikały. Ilekroć odpadały kolejne, Anna i jej matka musiały przywyknąć do nowego stanu, w którym nie będą ich już oczekiwać - i prawie o nich zapomną.

Teraz, gdy siostra nie spała, Anna spostrzegła, że myśli o niej inaczej. Czy słuchanie całymi dniami seriali o miłości nie przyprawiliby każdego o stupor? POCO Lydia miałaby być skupiona?

Po badaniu doktor Deerwood przysunął krzesło do Lydii i włączył ją do rozmowy.

- Muszę pochwalić obie panie - powiedział do Anny i jej matki. - Wasze starania wciąż przynoszą cudowne efekty.

Z oczu matki popłynęły łzy, co często się zdarzało w tym momencie, choć Agnes nigdy nie płakała.

- Myśli pan, że ona jest szczęśliwa? - spytała.

- Mój Boże, oczywiście. Przez całe życie otaczają ją miłość i troska. Obawiam się, że tylko nieliczni w podobnej sytuacji zaznają takiego luksusu.

Czasami Annie wydawało się, że jest zakochana w doktorze Deerwoodzie, czarodzieju, który zdołał przekształcić ich długą walkę w coś wzniosłego. Dziś jednak — być może dlatego, że pod fartuchem lekarskim zauważyła buty do jazdy konnej, co rozbudziło w niej ciekawość, czy doktor trzyma konia w Central Parku - pomyślała: „Płacimy mu mnóstwo pieniędzy, żeby nam mówił, jakie jesteśmy cudowne”. A po chwili jakby odezwał się inny głos: „Taki to potrafi się ustawić”.

- Dlaczego jej stan się pogarsza? - spytała Anna i poczuła, jak matka się wzdryga.

- Na schorzenie Lydii nie ma lekarstwa - odparł doktor Deerwood. - Przecież pani wie.

- Tak - przyznała Anna.

- Podąża drogą, która w jej przypadku jest naturalna. To, co nam może się wydawać „lepsze” albo „gorsze”, nie odnosi się do pani siostry w takim samym stopniu jak do nas.

- Możemy dla niej zrobić coś więcej? - spytała Anna. - Częściej zabierać ją na spacer? Nigdy nie widziała oceanu, ani razu w ciągu całego swojego życia.

- Nowość i stymulacja służą każdemu, także Lydii - powiedział lekarz. - Poza tym powietrze nad morzem jest bogate w minerały.

- A jeśli się przeziębii? - wtrąciła nerwowo matka Anny.

- No cóż, zimą bym jej tam nie zabierał. Ale w taki dzień jak dziś byłoby w sam raz, jeśli zostanie odpowiednio ubrana.

- Wolałabym poczekać do wiosny.

- Dlaczego? - spytała ją Anna. - Po co czekać?

- A po co się spieszyć?

Wpatrywały się w siebie bez słowa.

- Chyba zgodziłbym się z panną Kerrigan - wtrącił łagodnie doktor

Deerwood. - W końcu *tempus fugit*. Zanim się obejrzymy, znów spotkamy się w maju. Po co zwlekać?

Zazwyczaj wizyty u doktora Deerwooda na wiele godzin spowijały Annę i jej matkę zwiewną tkaniną dobrego samopoczucia - były to jedne z najwspanialszych chwil, jakie wspólnie spędziły Tym razem unikały patrzenia sobie w oczy, pchając wózek z powrotem na Park Avenue. Na ulicy Anna poprawiła Lydii fryzurę, a matka apaszkę na szyi.

- No i? Do parku? - spytała matka.
- Dlaczego nie na plażę?
- Na jaką plażę, Anno?

Anna nie wierzyła własnym uszom - czyżby jej matka nie słyszała ani słowa z tego, co przed chwilą mówił lekarz?

- Na Coney Island albo Brighton Beach! Możemy złapać taksówkę.
- To zajmie całą wieczność i będzie kosztowało majątek - odparła matka.
- Nie mamy pieluch na zmianę ani jedzenia. I skąd się wzięła ta twoja nagła obsesja na punkcie pokazywania Lydii plaży? Przecież ona i tak niewiele widzi.
- Może nie za bardzo ma na co patrzeć.

W nasyconym jesiennym świetle twarz matki wydawała się okropnie wyblakła - tym bardziej, że poprzedniego wieczoru Agnes przyszyła do kapelusza jaskrawozielone pióra.

- Co w ciebie wstąpiło, Anno? - spytała smutno. - Nie możemy cieszyć się tym dniem tak jak do tej pory?

Anna ustąpiła. W kwestii jedzenia i pieluch matka miała rację, taka wyprawa wymagała lepszego przygotowania. Poszły do Central Parku pełnego matek z dziećmi i żołnierzy ostrożnie jedzących frankfurterki, żeby nie pobrudzić mundurów musztardą. Anna starała się pochwycić przyjemności tego dnia, jakby wgryzała się w cukierki. Parskanie i prychnanie koni. Zapach popcornu. Liście spadające z drzew. Lydia zasnęła z opuszczoną głową. Z lśniącymi włosami zasłaniającymi twarz wyglądała jak dziewczyna mająca problem z nogami, z niczym więcej. Ten widok wzbudzał łagodniejsze współczucie niż jej rzeczywista przypadłość. Anna prawie słyszała szepczących do siebie żołnierzy: Jaka szkoda, taka ładna dziewczyna”.

Myśli Anny skręcały jednak uparcie ku plaży, a potem w stronę Dextera

Stylesa. Gdy spojrzała ze szczytu schodów na fontannę Bethesda, spytała:

- Myślisz, że tata wróci?

Minął co najmniej rok, odkąd po raz ostatni o nim wspominały, ale matka nie okazała zdziwienia. Może ona też o nim myślała.

- Tak - powiedziała. - Mam przeczucie, że wróci.

- Szukałaś go? Na pirsach? Albo w siedzibie związku?

- Oczywiście. Przecież wiesz. Ale Irlandczycy nigdy niczego nie mówią. „Tak nam przykro, droga Aggie, wielka szkoda...”Te kaprawe niebieskie oczka. Człowiek nie ma pojęcia, co tak naprawdę myślą.

- A jeśli na nabrzeżu zdarzył się wypadek?

- Och, tego by nie ukrywali! Wdowy i sieroty to ich specjalność. Tylko żony stwarzają problemy.

- A jeśli... ktoś mu zrobił krzywdę? - Gdy Anna wypowiedziała te słowa, jej serce zabiło szybciej. W oczach matki ujrzała zdumienie.

- Anno - powiedziała. - Odkąd go znam, nie miał żadnych wrogów.

- Skąd możesz wiedzieć?

Matka szukała odpowiednich słów. Wreszcie odrzekła:

- Zostawił swoje sprawy w doskonałym porządku. Gotówka, książeczki oszczędnościowe... żadnych niedokończonych historii. Ludzie, którzy... którzy znikają w takich okolicznościach, jakie masz na myśli, nie dostają ostrzeżenia.

Anna straciła te fakty z oczu. Przypominając je sobie teraz, poczuła tak głębokie rozczarowanie, że musiała oprzeć się o barierkę.

- Myślisz, że jest gdzieś daleko stąd? - spytała po długiej chwili milczenia.

- Nie wyobrażam sobie, żeby był w pobliżu i nie był z nami.

- Co robi?

- Nie mam pojęcia.

- Jak myślisz?

Matka spojrzała na nią.

- Nie myślę o nim, Anno. Taka jest prawda.

- A o czym myślisz?

Na policzkach matki pojawiły się czerwone plamy. Zdenerwowała się. Anna też była zła i ta złość dodała jej sił, jak coś, czemu trzeba stawić czoło.

- Doskonale wiesz, o czym myślę - odpowiedziała jej matka.

*

Niedługo po tym, jak Silvio wniósł Lydię z powrotem na górę (gdy wracały, zawsze była spokojniejsza), rozległo się zdawkowe pukanie do drzwi i do środka weszła Brianne. Usiadła ciężko na krześle, zasapana po wspinaczkę, i zrzuciła z siebie płaszcz, topiąc pokój w zapachu róż i jaśminu z domieszką czegoś, co kojarzyło się z lekarstwem, jakby oczaru wirginijskiego. Lady of the Lake. Ciotka używała tych perfum, odkąd Anna sięgała pamięcią. „Żaden mężczyzna im się nie oprze”, lubiła mawiać — sardonicznie, nawet gdy jeszcze miało to coś wspólnego z prawdą.

Odzyskawszy oddech, wstała, by ucałować na powitanie Annę i jej matkę, po czym z sympatią skinęła głową w stronę Lydii.

- Jak płynie życie w kieracie? - spytała Annę. - Nadal oliwicie maszynę dla tego podżegacza wojennego, naszego prezydenta?

- Liczę na to, że zdołam cię namówić na obligacje wojenne.

- Z pewnością. Jak świnie nauczą się latać.

- Jesteśmy w tyle za Filadelfią i Charlestonem. Mama nie pozwala mi dołączyć do klubu dziesięciu procent.

- Ta dziewczyna mówi językiem wojny. - Brianne zwróciła się do matki Anny, która karmiła Lydię. - Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem.

- Chciałaby, żeby dziesięć procent wypłaty dawali jej w obligacjach wojennych — wyjaśniła beznamiętnie Agnes. Od kilku godzin prawie nie rozmawiała z córką.

- Założę się, że za zakup wystarczającej liczby obligacji dadzą jakąś błyskotkę. Hę? - powiedziała Brianne. - Mów prawdę.

- Wpisałam się na listę, która trafi na morze na pokładzie USS Iowa. - Anna oznajmiła to z dumą, choć wiedziała, że ciotka uzna to za głupstwo.

- Posłuchaj tylko, co ona mówi! Rzucili na ciebie urok, złotko. To nawet nie jest nasza wojna. Japońcy wyświadczyli Rooseveltowi przysługę - nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że ta gnida im za to zapłaciła.

- Mówisz jak ojciec Coughlin - powiedziała matka Anny.

- Nie powinni go byli zdejmować z anteny. A Lindy powinien był wystartować w wyborach przeciwko Rooseveltowi i spuścić mu łomot, na jaki zasługuje.

- Lindbergh już popiera wojnę, ciociu.

- Ha! Wie, że gdyby zaczął mówić to, co myśli, wygnaliby go z miasta.

- Ojciec Coughlin to wściekły pies - powiedziała jej matka.

- Hitlerowi należy się porządne manto i tyle - stwierdziła Brianne. - To podwórkowy łobuz i nasi chłopcy mają przez to ginać? Nie mam na myśli wyłącznie żołnierzy i marynarzy - a co z chłopcami z floty handlowej? Są w całej Sheepshead Bay - mają tam nowy ośrodek szkoleniowy. Jedzenie, broń, koce, namioty - jak wam się wydaje, kto to wszystko dostarcza na pole bitwy? Niemcy torpedują dziesiątki statków handlowych, a ci chłopcy nie mają nawet porządnych dział, żeby się bronić. - Poczzerwieniła na twarzy.

- Właśnie po to są obligacje wojenne, ciociu. Żeby spuścić manto Hitlerowi.

- W porządku. Ile chcesz?

- Dolara? Dwa?

- Niech będzie pięć. A kiedy zamierzasz wrócić do college'u?

- Dziękuję, ciociu!

Brianne wydobyła z torebki pięciodolarowy banknot i butelkę Chartreuse. Od kilku lat miała „specjalnego przyjaciela” - mężczyznę prowadzącego hurtową sprzedaż homarów, wystarczająco dzianego, by nadal mogła robić zakupy w Abraham & Straus i kupować likiery za dziesięć dolarów za butelkę. Wstydziła się jednak przedstawić go Annie i jej matce.

Anna wymieniła z matką nieśmiały uśmiech. Przy Brianne czuły, jak bardzo są do siebie podobne. Miała czterdzieści siedem lat, była tęga i zachrypnięta, karmazynowa szminka na jej ustach była pamiątką po dawnych czasach i przypominała bezcielesny uśmiech kota z *Alicji w Krainie Czarów*. W wieku siedemnastu lat przechrzczyła się na Brianne Belaire i dołączyła do Follies. Matka Anny zawitała tam osiem lat później, lecz do tego czasu Brianne zdążyła już odejść z „panem Z.” ku pikantniejszym rewiom: *Scandals* George'a White'a i *Vanities* Earla Carrolla. Jak sama twierdziła, jej życie było jedną długą gorączką romansów, ucieczek w samą porę, nieudanych małżeństw, ról w siedmiu filmach oraz przeróżnych zatargów z prawem związanych z alkoholem albo nagością na scenie. Z tego

wszystkiego, jak lubiła mawiać, została jej tylko szkocka: oskarżenie rzucone marnym i niepewnym atrakcjom oferowanym przez świat, w którym nic nie było w stanie konkurować z niezawodnym zadowoleniem, jakie zapewniała whiskey z wodą sodową. Za największą porażkę uważała mężczyzn: padalców, nic niewarte gnidy - trudno było jednak mieć do nich pretensje, byli po prostu wybrakowanym towarem. Za najlepszy z możliwych rezultatów małżeństwa uznawała zaś dostatnie, bezdzietne wdowieństwo. Jej udało się osiągnąć tylko bezdzietność.

Nalała po drinku i przesunęła szklaneczkę w stronę matki Anny.

- Czy nie pora już, żebyś też się napiła? - zwróciła się do Anny. - Bóg mi świadkiem, że piłam, kiedy miałam dziewiętnaście lat.

- Kiedy miałas dziewiętnaście lat, bylas już mężatką - zauważyła matka Anny.

- Rozwódka!

- Nie, ciociu, dziękuję.

Brianne westchnęła.

- Jaka ona porządna. To pewnie twój wpływ, Agnes.

- Obie wiemy, że nie twój.

Czasami Annę kusilo, żeby przyjąć drinka - tylko po to, by zobaczyć reakcje ciotki i matki. Jej rola, tak dokładnie określona, że nie pamiętała już, skąd się wzięła, polegała na obojętności na otaczające ją głosy - na byciu dobrą na przekór wszystkiemu, w kościach, w sercu i w zębach. W towarzystwie tych dwóch kobiet powinna była z łatwością zapomnieć, że od czternastego roku życia nie jest taka dobra, jak im się zdaje. Ale Anna nigdy do końca o tym nie zapomniała.

Matka położyła rękę na jej ramieniu: pojednawczy gest. Anna dotknęła jej dłoni.

- Przebierzmy ją i połóżmy spać - powiedziała matka.

- Usiądź i wypij drinka, Aggie - rozkazała Brianne. - Lydia nigdzie nie ucieknie.

Matka usiadła, dziwnie uległa, i uniosły szklaneczki. Po drugiej stronie stołu Lydia oklapła na wózek. Brianne nie uczestniczyła w opiece nad nią — to nie było w jej stylu. Anna domyślała się, że według ciotki trzymanie Lydi w mieszkaniu w pieluchach zakrawa na szaleństwo - właściwie była przecież dorosłą kobietą. Jeśli jednak jej matka domyślała się tej opinii, w ogóle się nią

nie przejmowała.

- Smutna historia - powiedziała Brianne, pociągając pierwszy duży łyk drinka. - Pamiętasz tego biletera, Milforda Wilkinsa? Tego z tupecikiem? Tego, który chciał zostać śpiewakiem operowym?

- No pewnie - powiedziała matka Anny.

- Niedawno widziałam go w teatrze Apollo, sprawdzał bilety. Ćpa.

- Nie!

- Te oczy. Nie sposób tego pomylić z niczym innym.

- Och, to okropne - powiedziała matka Anny. - Miał taki piękny głos.

- Był śpiewającym bileterem? - spytała Anna.

- Nie, ale czasami śpiewał dla nas po występie - wyjaśniła matka.

Brianne pokręciła głową i spuściła wzrok, ale Anna czuła, że ciotka już szpera w pamięci w poszukiwaniu następnej tragicznej historii o koleżankach tancerkach albo innych znajomych z czasów, które ona i Agnes spędziły w Follies. Gdy wyczerpały się najświeższe niefortunne zdarzenia, sięgała po stare szlagiery: wspominała o Olive Thomas, która wypła dwuchlorek rtęci po kłótni ze swoim nic niewartym mężem Jackiem Pickfordem - bratem Mary Pickford. O Allyn King, która wyskoczyła z okna na piątym piętrze, gdy przestała się mieścić w kostium. O Lillian Lorraine, legendarnej kusicielce i długoletniej kochance pana Z., obecnie beznadziejnej pijaczce, która wciąż pracowała jako pomywaczka w tym lub innym barze, robiąc z siebie idiotkę. W dzieciństwie Anna była przekonana, że te nieszczęśliwe piękności zamieszkują tę samą magiczną sferę co Little Miss Muffet, królowa Ginewra i Śpiąca Królowna. Wolniej dojrzewała w niej inna świadomość: bohaterki tych opowieści były gwiazdami, podczas gdy Brianne i jej matka występowały jako zwyczajne tancerki rewiowe i mogły jedynie szeptać za ich plecami.

- Dwa tygodnie temu byłam z koleżanką ze stoczni w nocnym klubie - powiedziała Anna. Mówiła nonszalanckim tonem, choć marzyła o tym, by porozmawiać z ciotką o Dexterze Stylesie. - Nazywa się Moonshine. Byłaś tam?

-Jeśli ktoś wygląda tak jak ja, ma ustawowy zakaz chodzenia do klubów nocnych - odparła Brianne. - Już przy drzwiach zakuliby mnie w kajdanki.

- Przestań, ciociu.

- Wiem tyle, że ten klub należy do pewnego gangstera. Tak to już jest z najlepszymi klubami. Pamiętasz Silver Slipper, klub Owneya Maddena? Albo

El Fay? - Skierowała te pytania do matki Anny, która przyrządziła Lydii jej własnego drinka z nowych kropli kamforowych rozpuszczonych w ciepłym mleku i właśnie ją nim poila.

- Z Texas Guinan w roli wodzireja? - ciągnęła Brianne. - „Witajcie, frajerzy!” - Westchnęła. - Biedna Texas. Że też musiała zachorować akurat na dyzenterię.

Anna zaczynała się niecierpliwić.

- Jakiego gangstera?

- Dextera Stylesa. Spotkałaś go kiedyś, Aggie? - spytała ciotka. - Jest od nas młodszy.

- Ja jestem od ciebie młodsza - przypomniała jej matka Anny. - O osiem lat.

- No, niech ci będzie. Jest mniej więcej w twoim wieku. Miałam przed laty wielbiciela, który grał na trąbce w jednym z jego klubów.

- Dexter Styles - powiedziała matka i pokręciła głową.

- Czym właściwie zajmuje się taki gangster? - spytała Anna.

- No cóż, dawniej handlował alkoholem - odparła Brianne. - Teraz to branża państwowa.

Matka Anny wstała i zacisnęła ręce na uchwytach wózka Lydii.

- Położę ją do łóżka - powiedziała do Anny. - Przygotuj kolację.

Poprzedniego wieczoru Agnes zrobiła żeberka w kiszonej kapuście i zostawiła je w lodówce pod ściereczką. Anna włączyła piekarnik i wsunęła potrawę do środka, po czym przerzuciła do rondla dwie puszki fasolki szparagowej, żeby ją podgrzać.

- Tata go znał? - spytała cicho, żeby matka nie usłyszała.

- Kogo? Stylesa? Wątpię.

- Nie prowadzili razem interesów? Nie miało to czegoś wspólnego ze związkiem?

- Ze związkiem? Na pewno nie. Tam są same irlandusy, a Styles to makaroniarz.

- Ale jego nazwisko. Przecież... nie wydaje się włoskie. - Anna czuła dziwny opór przed wypowiedzeniem tego ostatniego słowa.

Brianne się roześmiała.

- Styles to makaroniarz, wierz mi. W każdym razie po części makaroniarz. Nazwiska zostały stworzone po to, żeby je zmieniać, skarbie, czy nie tego cię uczyłam? Tylko że ja byłam idiotką: nie chciałam irlandzkiego nazwiska, ale Brianne jest bardziej irlandzkie niż Kerrigan. Powinnam była zmienić sobie imię!

- Na jakie?

- Betty. Sally. Peggy. Któreś z tych amerykańskich. Anna brzmi nieźle, ale Ann brzmiałoby jeszcze lepiej - a najlepiej Annie.

- Fuj.

- A dlaczego tak cię to interesuje?

Przenikliwe spojrzenie ciotki nasuwało myśl, że jej oczy widziały wszystko, co można zobaczyć na tym świecie - przynajmniej raz. Trzeba było mieć się na baczności. Anna odwróciła się, żeby zajrzeć do żeberek.

- Chyba coś o nim słyszałam - rzuciła, stojąc twarzą do piekarnika.

- Piszą o nim w rubrykach towarzyskich - powiedziała Brianne. - O nim i o czterystu innych facetach. Chociaż nie, w zasadzie to nikt o nim nie pisze - ludzie po prostu się do niego zgłaszają, żeby rezerwował im miejsca obok gwiazd filmowych.

Wróciła matka Anny przebrana w luźną sukienkę, bez pasa i pończoch.

- O kim rozmawiacie?

- Uważaj, Aggie. Twoja córka zaczyna się interesować gangsterami.

Matka Anny się roześmiała.

- Rzeczywiście, powinna mieć jakąś słabostkę - dodała zamyślona Brianne. - Oprócz podżegania do wojny.

Podczas kolacji Anna szukała sensu w fermentcie swoich myśli. Jej ojciec znał Dextera Stylesa - co do tego nie miała wątpliwości. Jednak zarówno jej matka, jak i Brianne nic o tym nie wiedziały, a w dodatku trudno było doszukać się dla tej znajomości jakiegokolwiek oczywistego uzasadnienia. Oznaczało to, że była utrzymywana w tajemnicy. Po co się zatem spotkali?

Brianne przywołała nową smutną historię: wspomniała Evelyn Nesbit lepiła teraz garnki w Kalifornii.

- Co za upadek - jęknęła.

- Może lubi lepić garnki - stwierdziła matka Anny.

- Aggie - odparła Brianne, odstawiając drinka. - Evelyn Nesbit? Ta legendarna piękność? Ta, przez którą Harry Thaw zamordował Stanforda White'a? Garncarką?

- To rzeczywiście zaskakujące. - Matka Anny zawsze mówiła akurat tyle, by Brianne mogła opowiadać dalej. Była majowym drzewkiem, które ciotka Anny owijała wstążkami swojej wiedzy, plotek i makabrycznych rewelacji.

- Komuś na pewno się powiodło - odezwała się Anna. -Z tych wszystkich dziewczyn, z którymi kiedyś tańczyłyście.

- Adele Astaire jest teraz lady Cavendish w Szkocji - powiedziała jej matka. - To chyba fajna sprawa.

- Słyszałam, że w Szkocji jest zimno i ciemno - wtrąciła Brianne, ssąc żeberko. - A ludzie są dziwni.

- No cóż, jest jeszcze Peggy Hopkins Joyce. Czy przypadkiem nie bogaci się z każdym kolejnym rozwodem?

- Gruba i zdesperowana - odparła z zadowoleniem Brianne. - Prawie prostytutka.

- Ruby Keeler wyszła za Ala Jolsona.

- Rozwiedli się. Wychowuje bachory z jakimś zerem.

Matka zastanawiała się przez chwilę, podczas gdy Brianne pałaszowała kapustę.

- A czy Marion Davies i Bill Hearst nie są nadal razem?

- Żyją w odosobnieniu. W atmosferze skandalu - odrzekła Brianne śpiewnym głosem.

Homarowy Król, jak Brianne czule nazywała swojego „specjalnego przyjaciela”, pozwalał jej przekazywać Annie i jej matce pewne sumy pieniędzy — choć nie do końca dawały wiarę jej solennym zapewnieniom, że facet wie o tych podarunkach i je aprobuje. Świadomie lub nie zapłacił za czesne Anny w college'u i kupił Lydii nowy wózek, gdy wyrosła ze starego. Brianne oferowała więcej pomocy, niż matka Anny była skłonna przyjąć.

- Proszę, przyprowadź go na kolację - poprosiła Agnes, gdy jadły rozdrobionego ananasa z puszki. - Znowu zrobię żeberka. Prawda, że były dobre?

- On jest rybakiem - powiedziała Brianne, jakby to wystarczało, żeby go

zdyskwalifikować.

- Wcześniej mówiłaś, że „hurtownikiem”, więc chyba nie zajmuje się połowem? - odrzekła matka Anny.

- Trąci rybą. - Brianne zawsze ukrywała swoich chłopaków, znikwała z nimi na jachtach i w prywatnych wagonach, a po latach przedstawiała ich jako „starych przyjaciół”. -Wierzcie mi, to nic szczególnego - powiedziała. - Nie żadne gniazdo rozpusty, które wyobraża tu sobie taka jedna. -Oczywiście miała na myśli Annę.

- Nie wyobrażam sobie, ciociu.

- Tylko dlatego, że nie masz pojęcia, co sobie wyobrażać!

*

Przed pójściem spać Anna położyła się obok Lydii w jej łóżku. Z kuchni dobiegały strzępy rozmowy matki i ciotki, które dyskutowały przy kolejnej whiskey z wodą sodową o słynnych dołeczkach w kolanach Ann Pennington.

- ...kompletnie splukana - mruknęła ciotka. - Straciła wszystko na torze wyścigowym, biedactwo...

- Liddy - szepnęła Anna. - Zabiorę cię na plażę.

W słabym świetle przenikającym przez roletę w oknie zobaczyła, że jej siostra ma otwarte oczy. Lydia poruszyła ustami, jakby chciała odpowiedzieć.

- Może wybierzemy się nad morze - dodała.

Może nad morze może nad morze może nad morze może nad morze

Miała wrażenie, że z Lydii wydobywają się jakieś wibracje, jakby była radiem nastawionym na daleką częstotliwość. Lydia знаła wszystkie jej sekrety. Anna wrzucała je do jej uszu niczym monety do studni. To do Lydii się zwracała, gdy ojciec wychodził załatwiać sprawy związku, a ją zostawiał w domu. Anna próbowała go zmusić do kapitulacji, wysuwając różne argumenty i grożąc nieposłuszeństwem, lecz nocą przytulała się do siostry i płakała z twarzą ukrytą w jej włosach. Nie mogła znieść, że ją porzucił, zostawił wśród dzieci z sąsiedztwa, i że przestała bywać w wyjątkowych miejscach. Gdy miało się dwanaście lat, nie było nic interesującego do roboty. Stada dziewczyn sterczały przy liniach bocznych, a chłopcy grali w stickball, stoopball albo futbol („piłką” był kawałek drewna owinięty w gazetę). Anna wymawiała się od tych nudnych spotkań, twierdząc, że musi się opiekować Lydią, i czekała, aż ojcu wróci rozum - aż przyzna, że jest mu niezbędna. Udawała, że się nie przejmuje. I z biegiem miesięcy, z których uzbierał się

rok, rzeczywiście przejmowała się coraz mniej.

Tylko ringolevio - zabawa w chowanego z więzieniami i podziałem na drużyny - wciąż jeszcze jednoczyło dziewczyny i chłopaków z bloku, nawet w czasach liceum. W ósmej klasie, w marcu, przykucnąwszy wśród beczek pełnych jesiennych jabłek w czyjejs piwnicy, Anna usłyszała szept:

- Znajdą cię tu.

Dobiegał z wnętrza komórki z wysokimi drewnianymi bokami. Drzwi były zamknięte na kłódkę, ale Anna zdołała przeskoczyć z beczki nad jedną ze ścian i znalazła się na czymś, co przypominało stertę drewnianych belek, lecz tak naprawdę - poznała to po dotyku, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć — było stosem zrolowanych dywanów.

- Zamknij się. Idą.

Wtedy zdała sobie sprawę, że to chłopak. Patrząc przez szczelinę między deskami, rozpoznała trzech członków przeciwnej drużyny. Jednym z nich był Seamus, starszy brat Lillian, który robił do niej maślane oczy. Podeszedł do beczek z jabłkami, gdzie przed chwilą się ukrywała, a potem do komórki, w której była teraz. Macał deski, szukając sposobu, żeby dostać się do środka. Anna czuła woń kulek na mole z jego ubrania i gumy Juicy Fruit w jego oddechu - bała się, że on też poczuje jej zapach. Leżała sztywno, przerażona, że znajdą ją z chłopakiem w zamkniętej przestrzeni, co byłoby pożywką dla bezlitosnych drwin. Właśnie skończyła czternaście lat. Gdy szukający oddalili się ku innym zakamarkom piwnicy, Anna odetchnęła z ulgą. Zapadła gęsta cisza. Czekala, aż chłopak zorganizuje im wyjście, podobnie jak zorganizował wejście. Jednak im dłużej leżała bez ruchu, tym mniej jej się spieszyło. Całkiem miło leżało się w ciepłe i ciemności, słysząc w oddali dudnienie pieca i oddech chłopca tuż obok.

W końcu wziął ją za rękę. Anna czekała, nie chcąc reagować przesadnie. Potem uznała, że cofnięcie dłoni po dłuższej chwili byłoby niezręczne. Czy czuła strach związany z tym, że ktoś ją trzyma za rękę? Najwyraźniej nie. Ciepła dłoń chłopca pulsowała wokół jej palców niczym serce. „Może mnie tu nie ma”, pomyślała Anna, gdy przysunął jej rękę do swoich spodni, gdzie przy guzikach napinał się materiał. Mogła ją oczywiście odsunąć, ale czekała, myśląc: „Może to nie ja”. Woń fermentujących jabłek mieszała się z dusznym, pszenicznym zapachem dywanów. Gdy chłopak przesunął jej dłoń, ciekawość Anny dotycząca tego, co się stanie, zmieniła się w wiedzę i pragnienie. W końcu zadrżał, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Skulony położył się na boku i chyba myślał, że na tym się skończy. Mylił się

jednak, bo cokolwiek się między nimi działo, wstąpiło także w Annę. Wzięła go za rękę i przyłożywszy ją do swojej plisowanej spódnicy, poruszała jego ciepłymi palcami, aż wstrząsnęła nią gwałtowna przyjemność.

Wtedy zdała sobie sprawę, że tym chłopakiem jest Leon. Może od początku wiedziała.

- Wyjdę pierwszy - powiedział.

Wrócili do gry osobno. Miał szesnaście lat. Anna myślała, że na tym sprawa się zakończy. Ale się nie zakończyła.

Po szkole Leon pracował u swojego ojca, rzeźbiąc płyty nagrobne, ale biznes kulał, jak wszystkie inne, i chłopak często urywał się wcześniej. Czasami Anna zauważała, że zniknął z drużyny, w której grał zaledwie przed chwilą, i znajdowała go czekającego w komórce. Czasami sama czekała, na próżno, albo dowiadywała się, że on czekał. Gdy już znaleźli się w środku, poruszali się z ukradkową pazernością włamywaczy - początkowo po to, by powtórzyć uniesienia pierwszego spotkania. Jednak już wkrótce warstwy ubrania zaczęły ustępować przed cudem nagiego ciała. Leon zwędził miękki koc z należącej do jego matki skrzyni z pościelą i rozłożył go na dywanach. Po każdym małym postępie Anna mówiła sobie, że zrobili już dość, że odtąd będą tylko powtarzać. Jednak jakaś potężniejsza logika, której ulegali, opierała się na nieubłaganej woli postępu. Anna nie potrafiła sobie wyobrazić, co właściwie robią: dowodziło to jej niewinności. Choć za dnia marzyła o wskrzeszeniu ich mrocznego snu, czuła się tak, jakby to wszystko działo się gdzieś indziej, przydarzało się innej dziewczynie. W ciemnej komórce wyslizgiwała się ze swojego życia jak szpilka wpadająca między deski w podłodze. Wyobrażała sobie, jak mówi, zgodnie z prawdą, pozbawionemu twarzy oskarżycielowi: „Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, nic takiego nie robiłam. Nawet nie wiem, co to znaczy”.

Kilka razy o mało nie wpadli w tarapaty, gdy ktoś niespodziewanie wszedł do piwnicy: właściciel budynku, praczka, członkowie włoskiej rodziny przechowujący w beczkach jabłka na wino owocowe. Skrajność ich poczynań sprawiała jednak, że stosunkowo łatwo było je zataić - prawda nikomu nie przyszłaby do głowy. Na podwórku zdarzało się obmacywanie, skradzione i wymuszone pocałunki, trzech chłopcy i dwie dziewczyny w szafie u Michaela Fasso - interludium, o którym mówiono potem bez przerwy całymi tygodniami. Były nadzorowane przez ostrożnych rodziców pary, których nawet na chwilę nie zostawiano samych. Ale całe miesiące schadzek, leżenia zupełnie nago w letnim upale? To było nie do pomyślenia. Gdyby Anna spróbowała zwierzyć się Lillian i Stelli, pomyślałyby, że kłamie albo oszalała.

Powiedziała jedynie Lydii.

W dniu, w którym Anna miała stracić dziewictwo, przyniosła ze sobą linijkę. Wiedziała od Stelli - a ona usłyszała od zamężnej siostry - że boli jak diabli. Gdy zaczął się ból, zacisnęła zęby na linijce jak pies, wbijając trzonowce w drewno. Nawet nie pisnęła.

Oczywiście wiedział, że trzeba wyjąć. Wszyscy chłopcy to wiedzieli.

Czasami sekret dźwięczał w niej tak głośno, że miała ochotę zatkać uszy i krzyknąć. Ojciec by się jej wyrzekł. Anna czuła na sobie jego baczne spojrzenie i bała się, że jakoś się domyśli. Ale nie mógł wiedzieć. Pochłaniała go praca, często także nocami. Niekiedy próbował rozmawiać z Anną jak za dawnych czasów, lecz ona nie miała już zwyczaju rozmawiać z ojcem i już tego nie potrzebowała. Czuła jego rozczarowanie, ale nie mogła na to nic poradzić. On pierwszy sprawił jej zawód.

Gdy zniknął, poczuła jedynie ulgę. A parę tygodni później, kiedy ciężar jego nieobecności zaczął ją przytłaczać tak bardzo, że momentami przyprawiał ją wręcz o mdłości, poszła z Leonem do komórki, żeby zapomnieć.

W liceum krążyły pogłoski o dziewczynach, które nagle musiały odejść ze szkoły, by „zamieszkać u krewnych”. Jedną z nich, Loretta Stone, była teraz o klasę niżej niż jej rówieśnicy: potępiona samotna dziewczyna, której rzekomy upadek był smakowitym kąskiem dla innych dzieci. Anna jednak miała szczęście: tylko ona jedna z nich wszystkich uniknęła klątwy.

W listopadzie, osiem miesięcy po pierwszej wizycie Anny w komórce, właściciel budynku sprowadził brygadę kuzynów, by opróżnić piwnicę i urządzić w niej bar - powiedział, że to jedyny sposób, w jaki można jeszcze zarabiać pieniądze. Napełnili płachty z grubego płótna kamieniami, ziemią, połamanymi beczkami i częściami pieców węglowych, po czym wynieśli je na ulicę. Anna obserwowała to razem z innymi dziećmi, które akurat były na podwórku. W bezlitosnym świetle dnia ujrzała stertę zaatakowanych przez mole dywanów zwieńczoną brudnym, zakrwawionym kocem. Weszła do budynku, zamknęła się w toalecie na pierwszym piętrze i zwymiotowała.

Annę i Leona osaczyła żenująca intymność obcych sobie ludzi, którzy dotąd widywali się tylko we śnie. Zauważyła jego brudne paznokcie, przerwy między zębami. Od zniknięcia jej ojca minęły już dwa miesiące, ale Anna nie mogła pozbyć się wrażenia, że Leon budziłby w nim przerażenie. Nigdy więcej się nie dotknęli. Nadal udawali, że się nie znają, a rok później ojciec Leona wyjechał z rodziną na zachód.

Bar nigdy nie powstał.

Przez resztę liceum i w roku spędzonym w Brooklyn College Anna starała się uosabiać dziewczynę, która o niczym nie ma pojęcia. Jak zareagowałaby taka dziewczyna, gdyby chłopak przyparł ją do ściany i próbował pocałować? Czyby się wystraszyła, gdyby przesunął rękami po jej piersiach zakrytych wełnianą bluzką? Szeroki zakres jej doświadczeń był niebezpieczny. Gdyby chłopcy mieli jakiegokolwiek pojęcie, co robiła, zostałyby zepchnięta na margines jak Loretta Stone. Przez tę ciągłą ostrożność zrobiła się sztywna i chłopcy mówili, że jest zimna, a nawet oziębła.

- Widzę, że się boisz, ale nie zrobię ci krzywdy - powiedział taki jeden, z którym umówiła się na randkę. - Chcę ci tylko podarować pierwszy prawdziwy pocałunek.

Anna wiedziała jednak, do czego może doprowadzić prawdziwy pocałunek. Te spotkania często kończyły się tak, że chłopak odchodził wściekły. Długo po tym, jak porzuciła nadzieję, że ojciec wróci, wciąż go czasami wzywała: abstrakcyjnego świadka swojej cnoty. „Widzisz? - mówiła. - Jednak nie jestem taką zdziwą”.

Ale jej jedynym prawdziwym świadkiem, wtedy i teraz, była Lydia. A Lydia mogła wyłącznie słuchać. Nie mogła doradzić ani odpowiedzieć na pytania, które najbardziej gnębiły Annę: kiedy będzie jej wolno wiedzieć to, co wiedziała? Albo kiedy to zapomni?

1

Vanity (ang.) oznacza nie tylko toaletkę, lecz także próżność (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W środę rano przed Świętem Dziękczynienia Dexter czekał z Henrym Fosterem pod łysiejącymi drzewami Alton Academy. W powietrzu dźwięczały chłopięce głosy, choć żadnego z uczniów nie było w zasięgu wzroku.

- Przepraszam, że musisz czekać - powiedział jego szwagier, spoglądając nerwowo na swój otoczony internatami rozpadający się drewniany dom ze skromnym trawnikiem. - Bitsy potrzebuje na toaletę więcej czasu niż zwykle.

Podobnie jak reszta jego protestanckiego grona, Henry był z natury niezdolny do wyrażania uczuć. Jego zboląta mina uświadomiła jednak Dexterowi, że sytuacja w domu nie uległa poprawie.

- Nie przejmuj się. - Poklepał Henry'ego po ramieniu, ukradkiem zerkając na zegarek. Stary wyraził się jasno: nie wolno dopuścić do tego, by komendant stoczni marynarki wojennej musiał na nich czekać. - Jak tam dziecko?

- Śliczne maleństwo - powiedział Henry. - Często płacze. Bitsy nie może tego znieść.

Dexter zauważył, że nauczycielowi trzęsą się ręce.

- Wszystko się ułoży - powiedział.

- Tak myślisz? - Łagodne błękitne oczy Henry'ego skupiły się na Dexterze z niezwykłą energią, jakby chłoneły każde jego słowo.

- Oczywiście - przytaknął Dexter.

Wreszcie Bitsy wyszła z domu w stroju, który gdyby włożyła go Tabby, skłoniłby Dextera do zawrócenia jej z nakazem przebrania się w coś innego. Wydekoltowany sweterek z angory i marszczona jedwabna spódnica upodabniały ją do stenotypistki romansującej z szefem - albo liczącej na taki romans. Miała takie same rudobrunatne włosy i kocie oczy jak Harriet, ale pedantyczność Bitsy sprawiała, że siostry nigdy nie wydawały się podobne. Teraz te włosy wysypywały się spod kapelusika. Dexter wymienił spojrzenia z Henrym -biednym, pruderyjnym Henrym - próbując dać mu do zrozumienia, że zauważył niestosowność ubioru Bitsy, i jednocześnie zapewnić, że wcale mu to nie przeszkadza. Bo i czemu miałoby przeszkadzać? Jechali na spotkanie ze starym. Niech on zdyscyplinuje córkę, jeśli uzna to za słuszne.

Gorzki, piżmowy zapach perfum Bitsy omal nie udusił Dextera, gdy zamknęły się drzwi cadillaca. Pędził aleją, starając się nadrobić stracony czas, a ona wprawiała go w osłupienie, przypalając papierosa. Gdyby była mężczyzną, wyrwałby jej go z ust i od razu wyrzucił za okno. Nie paliło się w czymś samochodzie bez pozwolenia, a już zwłaszcza w nowym ca-dillacu serii 62 z kremową tapicerką z jagnięcej skóry. Gdy podsunęła mu paczkę, szorstko pokręcił głową.

- Rzuciłeś? - Wydawała się zawiedziona.
- Lata temu.
- Nie pochwalasz tego. Henry ci się skarżył.
- Nie powiedział ani słowa.
- Jasne.
- Wiesz, że on cię uwielbia.
- Zasługuje na coś lepszego - odrzekła, wypuszczając z westchnieniem chmurę dymu.
- Więc dlaczego mu tego nie dasz?

Nie odpowiedziała. Gdy na nią popatrzył, ze zdziwieniem spostrzegł, że po jej policzkach płyną łzy, rozmazując na twarzy tusz do rzęs.

- Bitsy - powiedział.
- Wszystko popsułam.
- Nie bądź niemądra.
- Jestem okropną matką. Marzę tylko o tym, żeby wszyscy dali mi spokój. Żałuję, że nie mogę uciec i zacząć od nowa jako ktoś inny.

Zaczęła płakać. Dexter usłyszał w jej szlochu histeryczną wibrację. Chciał zjechać na pobocze i spróbować ją uspokoić. Nie mieli jednak czasu. Bitsy nadal płakała, więc kilka minut później powiedział surowym tonem:

- Słuchaj, Bitsy. Musisz wziąć się w garść i spróbować myśleć racjonalnie. Cudowna z ciebie dziewczyna, masz u stóp cały świat. Po prostu jesteś...

Umilkła i chyba słuchała go z wielką uwagą. Dexter poczuł, że szwagierka wyczekuje jego diagnozy równie niecierpliwie jak wcześniej Henry. Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. - ... przemęczona - dokończył ku jej rozczarowaniu.

Gorzko się roześmiała.

- To samo mówi mój mąż. Upodobniłeś się do Henry'ego, Dexter, kto by pomyślał. Ty i Hattie, wy oboje. Pewnie nigdy nie byłeś taki szalony, jaki się wydawałeś.

- To mija z wiekiem - powiedział, lecz jej słowa nieprzyjemnie go ukłuły. Prowadził i czuł, że ten ból się nasila. Zaczął w myślach teoretyczną dysputę (wciskając jednocześnie gaz do dechy): żona nauczyciela zarzuca mu, że jest nie dość szalony? Czyżby zapomniała, z kim rozmawia? Jezu!

Przez resztę drogi prawie się do siebie nie odzywali. Bitsy paliła lucky strike'i - w sumie czternaście, ale kto by je liczył - i starannie poprawiała makijaż, posiłkując się puderniczką. Gdy Dexter zaparkował przed bramą stoczni marynarki wojennej trzy minuty przed czasem, czuł się tak, jakby sam wypalił całą paczkę. Był przekonany, że tapicerka w jego samochodzie jest o jeden odcień ciemniejsza.

Czterech marynarzy powitało ich w bramie i przydzieliło do samochodów, w których mieli zwiedzać stocznię. Dexter bezzwłocznie skierował Bitsy do innego pojazdu. Sam miał jechać ze starym, który siedział z przodu razem z Tabby i kierowcą. Zapał, jaki ta wizyta wywołała u jego córki - Tabatha kilkakrotnie z przejęciem wspominała o czekającej ich wycieczce - przywrócił Dexterowi wiarę w jej powagę. Nie warto było bawić się w porównania, ale z dorosłą fryzurą i trzeźwą, skupioną miną wydawała mu się nie mniej imponująca niż Grady w wojskowym mundurze siedzący po prawej stronie Dextera na tylnym siedzeniu.

Zaczęli od stocznioowego szpitala, przed którym stała kolejka mężczyzn i kobiet chcących oddać krew. Zespół monterów grał *Remember Pearl Harbor*. Dexter przyglądał się dziewczynom, ciekaw, czy dostrzeże wśród nich tę poznaną w klubie przed kilkoma tygodniami, ale albo jej tu nie było, albo zbyt słabo ją pamiętał, by móc ją rozpoznać. Potem wysiedli z samochodów, by zobaczyć, jak olbrzymi żuraw chwyta wieżyczkę strzelniczą wielkości tramwaju, przenosi ją nad wodą i umieszcza na pokładzie zacumowanego kawałek dalej pancernika. Bitsy uwiesiła się na ramieniu George'a Portera, który dzięki Bogu przyjechał bez Reginy. Niech teraz on pełni przez chwilę służbę przy szwagierce.

- Kiedy kończysz naukę? Za trzy tygodnie? - spytał Dexter Grady'ego, gdy obserwowali żuraw.

- Tak jest. Za trzy i pół.

- Grades, kiedy mówisz do mnie „tak jest”, mam wrażenie, że stoi za

mną jakiś oficer.

- Też mu to powtarzam - rzucił beztrosko Cooper.

- To z przyzwyczajenia - usprawiedliwił się z uśmiechem Grady. Był wysoki i pięknie zbudowany, a w jego szeroko rozstawionych oczach błąkała się psotna iskierka.

- Wiesz już, kiedy wypływasz? - spytał Dexter.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Grady. - Mam dość pisania esejów o wojnach punickich, gdy mamy do stoczenia własną wojnę.

- Nam wcale się nie spieszy, żeby wyprawić cię na front - powiedział Cooper, przeciągając samogłoski i obejmując ramieniem barki syna, wyraźnie szersze niż jego własne. - Zostanie jeszcze kawał wojny, żeby powalczyć.

Czując dotyk ojca, Grady zeszywniał.

- Po to mnie szkolą, tato - powiedział.

Budynek 128, ich następny przystanek, był olbrzymim warsztatem mechanicznym wypełnionym twardą tkanką tłoków, turbin i krążków linowych wibrujących w jakimś tajemniczym celu. Od strony rzeki dmuchał wiatr, wprawiając w ruch konfetti z suchych liści. Tabby drżała. Dexter nie miał płaszcza, ale Grady, który na jednym ramieniu nosił przewieszony płaszcz dziadka (stary był zdumiewająco obojętny na warunki pogodowe), podszedł do niej i okrył nim jej ramiona. Wydawało się, że stoi przy niej o chwilę dłużej, niż to konieczne, trzymając płaszcz - trzymając Tabby - a ona uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć i na jej ustach pojawił się poufały uśmiech. Dexter zastygł, wpatrując się w swoją córkę i bratanek żony, a w jego uszach dudniły dźwięki maszyn. „Co ja widzę?”, pomyślał. Przed oczami stanęło mu jej pomalowane czerwonym lakierem pudełeczko życzeń z ukrytym w środku sekretem.

Po powrocie do samochodu starał się wyrzucić to pytanie ze swoich myśli. Grady miał prawie dwadzieścia jeden lat, przez większość ostatnich siedmiu, odkąd wyjechał do Choate, mieszkał poza domem. W zasadzie był już mężczyzną, podczas gdy Tabby była jeszcze niespełna szesnastoletnią dziewczyną. Obydwoje spędzili jednak lato w Newport, żeglowali jachtem Coopera, a po grze w tenisa leniuchowali razem w klubie. Co mogło się między nimi wydarzyć? Owszem, Grady był dobrym chłopcem, lecz psotnym - po części na tym polegał jego urok. Dexter usiłował wyrwać się z tej spirali myśli. Całujący się ze sobą kuzyni nie byli żadną nowością, pod warunkiem że kończyło się na pocałunkach.

A może to wszystko mu się uroiło?

W budynku 4 - zakładzie konstrukcyjnym będącym ich ostatnim przystankiem - pracowało osiemset dziewczyn. Trudno było je odróżnić od mężczyzn - zwłaszcza spawaczki w grubych rękawicach i maskach na twarzach. Trzeba było kierować się posturą i gdy ich grupka mijała kolejne stanowiska, Dexterowi szło coraz lepiej. Dziewczyny trzymające lampy lutownicze. Dziewczyny tnące metal. Dziewczyny budujące z drewna formy do odlewania części statku. Nawet te ładne wydawały się obojętne - „patrz sobie, jeśli chcesz, a jeśli nie chcesz, to nie”. Włosy przewiązane chustkami. Dexter często ubolewał nad tym, jak miękkie są współczesne dziewczyny, lecz te babki bez wątplenia umiałyby co najmniej załadować rewolwer. Do diabła, pod tymi kombinezonami mogłyby nosić broń na szelkach i nikt by nie zauważył.

- Imponujące, nie? - zwrócił się do Tabby.

Spojrzała na niego zarumieniona.

- Co?

- Te dziewczyny. Czy to nie one tak cię interesowały? - spytał z naciskiem. - Czy nie przyjechaliśmy tu ze względu na nie? - Były to jednak tylko puste słowa. Znał odpowiedź: największą atrakcją dla Tabby było zobaczenie Grady'ego, a nie stoczni. W tym wszystkim chodziło o niego.

- Nie pamiętam, tatusiu - powiedziała, z rozkojarzeniem dotykając włosów. - Myślałam, że to ty chciałeś tu przyjechać.

*

Gdy Anna dotarła na początek kolejki chętnych do oddania krwi, usłyszała, jak Deborah, mężatka, którą Rose przezywała „fontanną”, pyta, czy jest jakiś sposób na to, by jej krew trafiła prosto do jej męża.

- Przykro mi, to niemożliwe - odpowiedziała pielęgniarka. - Poza tym nie wiemy, czy ma pani tę samą grupę krwi co on.

- Mam - jęknęła Deborah. - Wiem, że mam.

- Zaraz się zaczniesz - szepnęła Rose.

- Jest pani pewna? - spytała pielęgniarka kojącym głosem, wbijając igłę w ramię Deborah. - Nigdy, przenigdy nie wolno podawać pacjentowi krwi niewłaściwego rodzaju. To bardzo niebezpieczne. Chyba że ma grupę AB, która może przyjąć każdą inną. Nie wie pani przypadkiem, jaką grupę krwi ma pani mąż?

Odpowiedź Deborah stłumił szloch. Pielęgniarka zręcznie przytrzymała jej rękę, gdy wypływająca z żyły krew zawirowała w przezroczystym plastikowym wężyku. Zespół monterów grał *Dorit Sit Under the Apple Tree*.

- Po pięciu latach małżeństwa - powiedziała Rose do Anny ściszym głosem - przestanie wygadywać te głupoty, gwarantuję ci.

Rose miała dwadzieścia osiem lat, była starsza od większości mężatek i miała bujne, ciemne loki, których wszyscy zazdrościli żydowskim dziewczynom. Mówiąc o mężu, przewracała oczami i dowcipkowała, twierdząc, że po jego wyjeździe bardziej się wysypia. Melvina, swojego synka, nazywała „utrapieniem”, lecz miała przy tym tak rozanieloną minę, że Anna zrozumiała, iż przyjaciółce nie pozostaje nic innego, jak tylko obracać swoje uczucia w żart.

- Powinna być taka czerwona? - spytała Anna, patrząc, jak jej krew wije się w wężyku.

Pielęgniarka się roześmiała.

- A jaka miałyby być?

- Jest bardzo... jaskrawa.

- To przez tlen. Wygląda dokładnie tak, jak należy.

Anna spojrzała na rząd krzeseł, wzdłuż którego tworzyły się identyczne szkarłatne motki spływające spiralnie z przedramion różnej grubości. Wypatrywała Nell. Przed tygodniem jej przyjaciółka zniknęła bez ostrzeżenia. Anna czekała przy budynku 4 przez pięć dni z rzędu w porze lunchu, a potem poszła do szablonowni, żeby zasięgnąć języka.

Było jej wstyd, że nie zna nazwiska przyjaciółki, lecz wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Na dźwięk jej imienia wśród dziewczyn zapadła krępująca cisza, którą Anna aż za dobrze znała ze swojego zakładu. Kierownik powiedział, że w tym tygodniu Nell nie zjawiała się w pracy. Nie spodziewał się, że wróci.

Nie było w tym nic szczególnie zaskakującego, ale Anna jakoś nie mogła tego przeboleć. Być może rower ją rozbawił. Na ceglanych uliczkach stoczni czuła się teraz jak w pułapce, padające pod kątem promienie słońca ledwie dosięgały dachów, nawet w porze lunchu. Być może winna była ponura atmosfera w jej zakładzie, odkąd mężatki się od niej odwróciły. Wszystkie z wyjątkiem Rose traktowały ją z szorstką uprzejmością, jakby ich mężowie szeptali jej imię przez sen. Anna pocieszała się myślą, że ucieknie z zakładu i zostanie nurkiem. Co wieczór biegła po pracy na pirs C, by szukać

barki, zanim zajdzie słońce. Chciała spytać pana Vossa, czy mogłaby się zgłosić na ochotnika, ale nie wiedziała, jak to zrobić, by nie uznał jej za niewdzięcznicę.

Gdy oddały krew i mogły zażyć obowiązkowego odpoczynku, Anna i Rose pojechały autobusem z powrotem do bramy przy Sands Street. Były już w cywilnych ubraniach. Po oddaniu krwi dziewczynom przysługiwał wolny dzień. Zachęcano je do picia soków owocowych i Rose uznała, że powinny wypić do lunchu po lampce wina.

- Przecież każdy wie, że wino jest z owoców - powiedziała.

Anna zaproponowała Sands Street, bo intrygowały ją tamtejsze knajpki dla marynarzy, lecz Rose przychyliła się do panującej powszechnie opinii, że ładne dziewczyny nie mogą czuć się tam bezpiecznie nawet za dnia. Pojechały tramwajem do hotelu St. George przy Henry Street i wjechały windą na Bermuda Terrace, skąd roztaczał się widok na cały Brooklyn i gdzie wieczorem organizowano tańce. Zamówiły spaghetti -najtąszą potrawę w menu - i małą karafkę czerwonego wina. Annie nie smakowało to, którego próbowała u Stelli Iovino, ale czuła, że wypicie odrobiny z Rose skieruje rozmowę na zupełnie inne tory. I rzeczywiście, gdy kelner napełnił kieliszki, Rose powiedziała:

- Musisz wiedzieć, co mówią dziewczyny. O tobie i panu Vossie.
- Chyba się domyślam.
- Mówią, że przez ciebie odszedł od żony.
- Nie nosi obrączki.
- Początkowo nosił. Dlatego tak mówią. Ja nigdy jej nie zauważyłam. To prawda, Anno?

- Oczywiście, że nie.
- Wiedziałam! Mówiłam im: ona taka nie jest.
- Ciekawe, czy te plotki dotarły do pana Vossa - powiedziała Anna.
- Robi wszystko, żeby je rozpowszechnić!
- Nie wpakuje się przez to w kłopoty?

Rose spojrzała na nią w taki sposób, że Anna poczuła się jak ktoś naiwny i jednocześnie nieszczerzy.

- Anno, to raczej ty narobisz sobie kłopotów - odparła, -Wzywa cię do biura, powierza ci specjalne zadania. Na tym się nie skończy. Będzie

oczekiwał czegoś w zamian. Dziwię się, że jeszcze do tego nie doszło. Kiedy pracowałam jako telefonistka, słyszałam takie historie dziesiątki razy: prędzej czy później będzie chciał dostać nagrodę, a wtedy znajdziesz się w okropnym położeniu. Jeśli mu odmówisz, poczuje się urażony - może cię zwolnić albo rozpuścić jakieś paskudne plotki. A jeśli ulegniesz, no cóż. Wtedy staniesz się dziewczyną innego rodzaju.

- Dlaczego plotki miałyby mi zaszkodzić, skoro są nieprawdziwe?

Rose spojrzała na nią zaskoczona.

- Nieważne, czy są prawdziwe - powiedziała. - Jeśli dziewczyna popsuje sobie reputację, żaden porządny chłopak jej nie zechce.

- Bo będzie myślał, że jest grzesznicą?

- Ujmując to twoimi słowami, tak, chyba tak. Och, Anno, ciężko mi o tym rozmawiać.

- Będę patrzyła w drugą stronę. - Odwróciła się do okna, za którym widać było niewyraźną z tej wysokości, zatłoczoną East River. Chciała coś powiedzieć Rose, ale nie wiedziała, jak to ująć, by nie wydała jej się niebezpiecznie niedoświadczona albo beznadziejnie ciemna. Pan Voss nie był nią zainteresowany w takim sensie. Nie czuła między nimi tego rodzaju wibracji, była tego pewna.

- Jeśli dziewczyna się nie szanuje, ludzie od niej stronią. -Łagodny głos Rose dotarł do Anny, która wpatrywała się w rzekę. - Patrzą na takich dwoje i myślą: „Taka żona to same kłopoty”. Żaden szanujący się mężczyzna tego nie zniesie.

- Ale większość mężczyzn służy teraz w wojsku - powiedziała Anna. - Czy ktokolwiek będzie pamiętał, kto się szanował, a kto nie, gdy będzie już po wszystkim?

- Reputację trudno zmienić - powiedziała Rose. - Ciągnie się za człowiekiem. Może dać o sobie znać w najmniej spodziewanym momencie i nie sposób jej wymazać. Po wojnie świat znowu się skurczy. Wszyscy będą wiedzieli wszystko, tak jak wcześniej.

Ich spojrzenia ponownie się spotkały. Anna zauważyła na twarzy Rose szczerłość i wysiłek i poczuła do tej dziewczyny głęboką sympatię.

- Niepotrzebnie się martwisz. Ja już mam miłego chłopaka.

-Och!

- Mieszka w mojej okolicy - ciągnęła Anna. - Chodziliśmy razem do

szkoły. Od dawna wszystko jest między nami jasne.

- Och, Anno. Nigdy o nim nie wspominałaś.

Minęły lata, odkąd Annie zdarzało się opowiadać historie wysane z palca. Poczula się jak za dawnych czasów, gdy częściej zadawano jej pytania i miała do dyspozycji mniej wykrętów. Poza tym, pomyślała, patrząc na ulgę i radość na twarzy Rose, ludzie właściwie sami podsuwają nam kłamstwa, które pragną usłyszeć.

- Na pewno pojechał na wojnę - powiedziała Rose i Anna pokiwała głową, o mało nie dodając, że służy w marynarce wojennej. Nagle ścisnęło ją w gardle i z jakiegoś tajemniczego powodu zaszczypały ją oczy. Utkwiła spojrzenie w samotnym czerwonym goździku na stole i patrzyła, jak obraz się rozmazuje.

- Widzę, że wolisz o nim nie opowiadać - dodała Rose i wzięła ją za rękę.
- Nie pisnę słowa innym dziewczynom.

Przeprosiła ją na chwilę i poszła do toalety, a Anna pospiesznie wytarła oczy chusteczką, zdumiona tym przyływem emocji. To na pewno przez wino.

Zaczekały na tramwaj i pojechały do mieszkania Rose, żeby Anna mogła poznać małego Melvina. Po drodze myślała o panu Vossie. Celowo ją wyróżniał, ale nie z powodu, o którym wszyscy myśleli. Co tak naprawdę nim kierowało? Zastanawiając się nad tym, doszła do wniosku, że to właściwie bez znaczenia. Czegoś od niej chciał. A ona chciała czegoś od niego.

*

Lunch zaserwowano w owalnej sali w kwaterze komendanta, wielkim żółtym budynku w stylu kolonialnym ze szklarnią, wzniesionym na trawiastym wzgórzu, z którego niegdyś roztaczał się zapewne widok na niczym nieprzysłonięte wybrzeże, obecnie zaś można było podziwiać imponującą panoramę pracujących pełną parą kominów fabrycznych. Plasterki cytryny w dzbankach z wodą, zawijasy z masła na lodzie, osobna solniczka dla każdego gościa - wyżsi oficerowie marynarki wojennej wiedzieli, jak się organizuje wystawne lunche. Arthur Berringer usiadł po prawej stronie komendanta. Służyli razem na Filipinach w tysiąc dziewięćset drugim. Każde słowo z ich rozmowy było skierowane na zewnątrz, ku oświeceniemu ponad dwadzieścioro gości uczestniczących w uroczystym posiłku: kilku bankierów i urzędników państwowych oraz ich żon.

- Wiesz, miło by było odzyskać te wyspy - powiedział stary ze śmiechem.

Miał na myśli Filipiny.

- O, wierzę, że nam się uda - odrzekł komendant. Był kontradmirałem przywróconym ze stanu spoczynku, elokwentnym i krągłym. Dexter zauważył, że rozliczne nowe obowiązki nie osłabiły jego zdolności delektowania się kapłonem.

- To prawda, generał MacArthur rzadko się poddaje - rzucił w odpowiedzi stary.

Dexter i George Porter wymienili spojrzenia. Obaj wiedzieli, że ich teść gardzi MacArthurem, którego nazywał Tunelowym Dougiem, odkąd w marcu japońcy wykurzyli go z Filipin.

Tabby i Grady siedzieli naprzeciwko Dextera, ignorując się nawzajem trochę zbyt ostentacyjnie. Przypuszczał, że ich stopy splatają się ze sobą pod stołem, i zastanawiał się, czy nie upuścić serwetki, żeby tam zajrzeć jak bohater jakiejś komedii.

- Listopad to jak na razie najlepszy miesiąc aliantów, w ogromnej mierze dzięki takim chłopcom jak ten. - Tu komendant wzniósł kieliszek w kierunku Grady'ego. - Mamy obronę Stalingradu i desanty w Afryce Północnej. Nasi wrogowie mocno cierpią: w walkach na szlaku Kokoda na Nowej Gwinei zginęło dwadzieścia tysięcy japońców! Malaria, tropikalne choroby skóry... Rozkładające się ciało puchnie tak bardzo, że nie da się nawet włożyć butów. Maszerują boso po błocie.

- Błoto to szalka Petriego dla pasożytów - powiedział George Porter, dorzucając uwagę z perspektywy chirurga. - Bakterie dostają się do środka przez maleńką ranę w skórze i zanim się obejrzysz, masz dyzenterię, tasiemca...

Kilkoro gości odłożyło widelce, lecz stary dodał z lubością:

- A te gryzące muchy w Tobruku? Szwabasy są przyzwyczajone do lasów, nigdy nie widziały pustynnej muchy. W ślady po ugryzieniach wdaje się infekcja i już niedługo wleką po piasku toczony gangreną kończyny!

- Zima w Rosji - zagrzmał komendant, domagając się gestem następnego kapłona. - Odmrożone palce szwabów odpadają jak gips modelarski!

Pani Hart, jedna z niewielu obecnych przy stole kobiet, bardzo zbladła.

- Panie admirale, z przyjemnością odnotowałem, że w pańskiej stoczni pracuje bardzo wiele dziewczyn. - Dexter wyczuł potrzebę zmiany tematu.

- Ach, miło mi, że pan to zauważył - powiedział komendant. - Dziewczeta przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Zdziwiłby się pan - bo ja istotnie byłem zdziwiony - ale naprawdę mają pewne zalety. Są mniejsze, zwinniejsze. Potrafią wejść tam, gdzie mężczyzna się nie zmieści. Pracując w domu, nabierają zręczności - całe to robienie na drutach i szycie, cerowanie skarpet, siekanie warzyw...

- Bez wątpienia obchodzimy się z naszymi dziewczynami zbyt delikatnie - powiedział człowiek siedzący przy drugim końcu stołu i wyglądający, jakby cierpiał na niestrawność. -W Armii Czerwonej kobiety pracują jako sanitariuszki. Na własnych plecach wynoszą rannych z pola walki.

- I sterują samolotami - dorzucił ktoś. - Bombowcami.

- Naprawdę? - spytała Tabby.

Stary zachichotał.

- Sowieckie dziewczyny są wychowywane trochę inaczej niż ty, Tabatho.

- Nie zapominajmy - wtrącił komendant - że Armia Czerwona ma całą dywizję, której zadanie polega na tym, by stać za żołnierzami i strzelać do tych, co próbują zdezerterować. To nie są mili ludzie.

- Mam nadzieję, panie admirale, że nie pozwala pan dziewczynom robić tego wszystkiego, co robią mężczyźni -powiedział Cooper.

- Oczywiście, że nie - odrzekł komendant. - Zadania wymagające siły fizycznej albo odporności na skrajne warunki są poza ich zasięgiem. W takich okolicznościach dziewczyny pełnią funkcję, którą nazywamy „pomocniczą” - asystują mężczyznom wyższym od nich rangą. I trzymamy je z dala od statków.

- Dziewczyny nie mają wstępu na statki? - spytała nagle Bitsy, która jak dotąd nie wypowiedziała ani słowa. - Obowiązuje tu taka zasada?

- O tak. W tej kwestii jesteśmy niewzruszeni.

- Dziewczyny nie mają wstępu na statki w stoczni marynarki wojennej?

Wszyscy odwrócili się w stronę Bitsy Z zarumienionymi policzkami i włosami zmierzwionymi przez wiatr wyglądała pięknie, jakby nieustanne niezadowolenie z życia roznieciło w niej jakiś ogień. Dexter obserwował starego, zastanawiając się, czy ją powściągnie, lecz Arthur tylko przyglądał się biernie, jak komendant bełkocze coś o walce wręcz i ograniczonej

przestrzeni.

- Rozumiecie państwo - powtórzył kilkakrotnie, na co jego goście - wszyscy oprócz Bitsy, która patrzyła na niego z goryczą - kiwali głowami jak diabełek z pudełka.

Po melbie żona komendanta zaproponowała, że oprowadzi gości po domu, w którym sto lat temu mieszkał komodor Perry. Tabby i Grady przyjęły propozycję, podobnie jak kilka innych osób. Dexter też chciał się przyłączyć, ale gdy wstał Cooper, zmienił zdanie. Mógł się obyć bez dalszego wychwalania Grady'ego. Komendant otworzył brandy i pudełko cygar, po czym wrócili do tematu zduszenia filipińskiego powstania. Niektórzy goście słuchali jak urzeczeni.

Dexter czuł się ociężały po obfitym lunchu, miał ochotę spryskać twarz zimną wodą. Starszy czarnoskóry służący zaprowadził go do toalety, ale ta była zajęta, a potem do drugiej, bardziej oddalonej, niedaleko kuchni. Gdy te drzwi także okazały się zamknięte, Dexter powiedział mu, że zaczeka. Już miał otworzyć drzwi tarasowe prowadzące na zewnątrz i do szklarni, gdy usłyszał za sobą jakieś dźwięki. Cofnął się do drzwi łazienki i zaczął nasłuchiwać. Szepty, jęki, westchnienia - nie miał wątpliwości, co się dzieje po drugiej stronie. Pierwsze, co mu przyszło na myśl - jego córka z Gradym - sprawiło, że cała krew odpłynęła mu z głowy.

- Oooch... ooch... ooch...

Rytmiczne kobiece jęki dobiegające z toalety stawały się coraz głośniejsze i bardziej nagłe. Dexter gwałtownie się odsunął i chwiejnym krokiem wyszedł przez drzwi tarasowe na suchą trawę. Zawroty głowy sprawiły, że widoczna w dole stocznia przypominała mu teraz beczkę śmiechu. Ciężko oparł się o szklarnię i dyszał. W końcu się pochylił, oparł łokcie na kolanach i zaczął czekać, aż krew znowu napłynie mu do głowy. O mało nie zemdlał.

- Tatusiu?

Wyprostował się pospiesznie, mrugając. Głos Tabby dobiegał z góry, więc gwałtownie odchylił głowę i spojrzał w tamtą stronę. Machała do niego z okna w najwyższej części domu. Ulga, jaką odczuł, była tak wielka, że wywołała nową falę zawrotów głowy. Nogi miał jak z waty. Musiał postradać zmysły, żeby uroić sobie coś tak odrażającego.

- Tatusiu, co się dzieje?

- Nic - zawołał słabo. - Wszystko w najlepszym porządku.

- Chodź popatrzeć. Widać stąd wszystko wokół.

- Zaraz - krzyknął i szybkim krokiem wrócił do budynku. W tym samym momencie drzwi łazienki się otworzyły i ze środka wynurzył się lekko uśmiechnięty George Porter poprawiający kamizelkę dłońmi wciąż jeszcze wilgotnymi po umyciu. Wydawał się równie zdumiony jak Dexter. Pospiesznie zamknął drzwi do łazienki. Kobieta prawdopodobnie nadal była w środku. Nagle Dexter uświadomił sobie, że to Bitsy -jakby w jękach, które dobiegały z za drzwi, rozpoznał brzmienie jej hysterii. Nie był w stanie ukryć ogromnego zaskoczenia i George to zauważył. Uśmiechnął się niespokojnie, na co Dexter odpowiedział uśmiechem, siłąc się na zdrową neutralność, którą zawsze zachowywał wobec grzeszków szwagra. Gdy w milczeniu ruszyli w stronę jadalni, Dexter poczuł potrzebę powiedzenia czegoś, by złagodzić potworność sceny, której był świadkiem. Nic jednak nie przyszło mu do głowy.

Usiedli osobno. Jakiś czas później zjawiała się Bitsy. Po raz pierwszy tego dnia wydawała się spokojna. Siadła obok ojca i objęła go, przytulając policzek do ramienia starego. Powoli oszałamiająca ulga związana z niewinnością Tabby ustąpiła miejsca złym przeczuciom. Sposób, w jaki George zdradził ich teścia - tuż pod jego nosem skompromitował jego najstarszą i najmłodszą córkę, w domu admirała, który podejmował go jako gościa honorowego - był bowiem tak bezczelny, że zdawał się narażać na niebezpieczeństwo ich wszystkich. Co by się stało, gdyby Arthur Berringer się o tym dowiedział? I jak mógł się nie dowiedzieć, skoro wiedział o desantach w Afryce Północnej na wiele tygodni przed ich przeprowadzeniem? Dexterowi zaświtała myśl, że George Porter jest już martwy.

Mieszały mu się jednak dwa światy. Za coś takiego umierało się tylko w świecie cieni. Nie w sferach starego — chyba że metaforycznie. Dexter nie potrafił jednak pozbyć się przeczucia, że nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Przypomniawszy sobie jęki, które usłyszał za drzwiami łazienki. Ku jego zawstydzeniu i konsternacji ich rytm zaczął go teraz podniecać i przyłapał się na tym, że co chwila przywołuje je w pamięci: przyjemność tak gwałtowną, tak ekstatyczną, że uzasadniała nawet ryzyko unicestwienia.

Dexter wiedział, jak niebezpieczna jest pogoń za zakazaną przyjemnością. Nauczyła go tego pewna kobieta w pociągu do Saint Louis, co oznaczało, że osiem lat temu, gdy po północy leciutko zapukała do drzwi jego przedziału sypialnego w wagonie pierwszej klasy, jeszcze tego nie wiedział. Zwrócili na siebie uwagę w restauracyjnym, zamienili kilka słów na korytarzu. Miała na palcu obrączkę (tak jak i on), a na szyi złoty krzyżyk, ale trudno było

przeoczyć wibracje wiarołomnej zmysłowości, przez które te symbole kojarzyły się raczej z amuletami mającymi odpędzać zło. Jej nocna wizyta dała początek interwałowi rozpasania, który trwał aż do następnego dnia i połączył się w pamięci Dextera z zamarzniętym wiejskim krajobrazem przemykającym za lekko rozchyłonymi zasłonami w oknie. Nawet teraz, jadąc w styczniu przez New Jersey albo Long Island, często czuł, że podniecają go migoczące granice między oszronionymi polami.

Tamtego dnia po południu wysiedli w Angel w stanie Indiana z zamiarem... no właśnie, z jakim? Z zamiarem kontynuacji. Zameldowali się we wspaniałym starym hotelu niedaleko dworca jako pan i pani Jones. Dexter natychmiast poczuł, że coś się zmieniło: ponury zimowy krajobraz, który go teraz otaczał, zamiast malowniczo przesuwać się obok, już mu się tak nie podobał. Zaczęły go irytować także inne rzeczy: nagła awersja do jej perfum, nagła awersja do jej śmiechu, suchy kotlet schabowy, który podano mu w hotelowej restauracji, pajęczyna zwisająca z lampy nad łóżkiem. Gdy skończyli się kochać, zapadła w letargiczny sen. Dexter jednak tylko leżał, słuchając wycia psów - a może to były wilki - i wiatru klekoczącego poluzowanymi szybami w oknach. Wszystko, co znał, wydawało mu się nieodwracalnie dalekie: Harriet, jego dzieci, sprawy, które załatwiał w imieniu pana Q., odsunęły się zbyt daleko, by kiedykolwiek zdołał je odzyskać. Poczuł, jak łatwo życie mężczyzny może mu się wymknąć, odgródzone tysiącami kilometrów pustej przestrzeni.

W słabym świetle wczesnego ranka ubrał się, spakował walizkę i cicho zamknął drzwi do pokoju. Poszedł na dworzec pod opadającymi liniami telefonicznymi i rozkołysaną sygnalizacją świetlną i kupił bilet na najbliższy pociąg. Ten jechał w przeciwną stronę, do Cincinnati, ale Dexter i tak do niego wsiadł. Zostawił na komodzie dwudziestodolarowy banknot, czego pożałował, jeszcze zanim wyszedł na ulicę, i żałował nadal, gdy to wspominał. Ta kobieta nie była prostytutką. Była kimś takim jak on.

Gdy przyjechał do Saint Louis z prawie dwudniowym opóźnieniem, czekały na niego pilne telegramy od Harriet: Phillip o mało nie umarł na zapalenie wyrostka. Szukał go człowiek pana Q. Wyprawa poszła na marne. Dexter tłumaczył się nagłą wysoką gorączką: halucynacje w pociągu, utrata przytomności, przewiezienie do szpitala. Była to tego rodzaju historyjka, jaka na dłuższą metę może ujść płazem tylko raz w życiu, jeśli nikt nie ma powodu, żeby ci nie wierzyć. Później doszedł do wniosku, że w zasadzie nie była daleka od prawdy.

Marynarze w samochodach czekali na okrągłym podejździe przed

rezydencją komendanta, by odwiedzić gości pod bramę przed przybyciem pracowników z drugiej zmiany. Statki obojętnie trwały przy pirsach. Bitsy postanowiła spędzić noc w Sutton Place, co oznaczało, że Dexter nie będzie miał jej na głowie, dzięki Bogu. Oczywiście George i Regina mieszkali zaledwie kilka domów od starego - pewnie było im to na rękę. „Upodobniłeś się do Henry’ego” - powiedziała Bitsy. Może i tak.

Tabby chciała jechać do Sutton Place i pomagać w przygotowywaniu potraw na jutrzejszą ucztę z okazji Święta Dziękczynienia. Dexter chętnie wyraził na to zgodę i pocałował ją na pożegnanie. Jej flirtowanie z Gradym wydawało się teraz takie niewinne - zdrowe w porównaniu z tym, czego niedawno był świadkiem - że myślał o nim z pewną sympatią.

Stojąc samotnie przed bramą przy Sands Street, Dexter zapragnął zrzucić ciężar z serca. Postanowił, że zanim pojedzie do klubu, zadzwoni do Harriet, i wszedł na chwilę do Richard’s Bar and Grill na rogu. Jakiś marynarz wsuwał drobniaki do telefonu, błagając o randkę. Dexter przestępował z nogi na nogę, spoglądając przez okno. Naraz przez bramę wylała się masa ludzi: tysiące mężczyzn w roboczych ubraniach i pojedyncze dziewczyny w sukienkach wyległy na Sands Street niczym kibice opuszczający stadion Ebbets Field po meczu. Dexter obserwował ich z ukrycia, zazdroszcząc im poczucia wspólnoty. Ich praca była wkładem w działania wojenne. Świadomość tego faktu uwidaczniała się w ich niedbałym, swobodnym kroku. Być może przeczuwali świetlaną przyszłość, którą stary nakreślił podczas lunchu, czuli, że mają w niej swój udział.

Tłum rozpierzchł się równie szybko, jak się zebrał. Marynarz sobie poszedł, telefon był wolny. Dexterowi minęła jednak ochota na rozmowę z żoną. Harriet miała nerwy ze stali - w czasach, gdy szmuglowali alkohol, kucąca w jego samochodzie i chichotała podczas wymiany ognia. Mówiąc jej o Bitsy i George’u, zmusiłby ją jednak do dochowania potwornej tajemnicy albo ujawnienia jej trującej zawartości. Nie. Zdecydowanie nie powinien wtajemniczać Harriet - co też mu przyszło do głowy, na litość boską? Nie mów nikomu. Niech romans toczy się własnym torem, a ty miej nadzieję, że wkrótce się zakończy, nie powodując zbędnych ran i siniaków u żadnej ze stron. Dexter był przyzwyczajony do dochowywania tajemnic.

Gdy wyszedł z baru, zapadał już zmrok. Podchodząc do samochodu, zauważył na chodniku znajomo wyglądającą dziewczynę, która pospiesznie szła w przeciwną stronę.

- Panno Feeney - zawołał za nią. To była ta dziewczyna, której szukał, ta, od której dowiedział się o stoczni marynarki wojennej.

Odwróciła się gwałtownie, wyglądała na przestraszoną.

- Dexter Styles - przedstawił się. - Idzie pani do pracy?

- Nie - powiedziała, uśmiechając się w końcu. - Oddałam krew i mogłam wyjść wcześniej.

- Odwieźć panią do domu? - Był spragniony towarzystwa.

Anna spojrzała na Dextera Stylesa. Od ich ostatniego spotkania tak często o nim myślała, że wydawał jej się dziwnie znajomy, nabrał jakiegoś mrocznego znaczenia. Stał obok swojego gangsterskiego samochodu.

- Dziękuję, ale muszę porozmawiać z przełożonym - powiedziała, ciesząc się, że ma wymówkę, która właściwie była zgodna z prawdą. Zamierzała spytać pana Vossa, czy może zgłosić się na ochotnika do nurkowania. Czekala, aż do pracy przyjdzie druga zmiana.

- Nie ma o czym mówić. Miłego wieczoru, panno Feeney. Gdy uchylił kapelusza, Annę ogarnęło nagłe, instynktowne pragnienie, by nie tracić go z oczu.

- A czy mogłabym - wypaliła - skorzystać z pańskiej propozycji innym razem?

Dexter o mało nie jęknął. Jako że był posiadaczem porządnego samochodu i z zasady prowadził go osobiście, ostatnio często proszono go o przysługę. Zawiózł do dentysty syna sąsiadów, którego rozbolał ząb, podrzucił Heelsa do całodobowej apteki, gdy jego matce trzeba było podać pigułki na nadciśnienie. Pytanie jednak już padło, a jemu trudno było odmówić. Powinien był się wycofać wcześniej.

- Ależ oczywiście, jeśli się jeszcze spotkamy, z radością panią podwożę - odparł, szykując się, żeby otworzyć drzwi.

- Moja siostra jest w kiepskim stanie. Obiecałam, że zabiorę ją na plażę.

- Jeśli jest słabego zdrowia, najlepiej poczekać do wiosny.

- Nie jest chora. Jest kaleką. Pewien chłopak znosi ją po schodach.

Kaleka. Chłopak. Schody Dexter miał wrażenie, że elementy tej posępnej historii spadają wokół niego jak kamienie. Panna Feeney miała zwyczajny wełniany płaszcz z postrzępionymi mankietami. To była jego słabość - ta świadomość ludzkiego nieszczęścia.

- Kiedy chciałaby pani to zrobić? - spytał powoli.

- W niedzielę. Obojętnie którą. Niedziele mam wolne. -Matka spędzała

niedziele poza domem, zostawiając Annę samą z Lydią.

Umysł Dextera już pracował: jeśli pomoże kalece, zamiast wspomóc Kościół, uniknie nowego proboszcza (męczącego go teraz o naprawę ławek) i zdąży wrócić na lunch. A pomoc kalece mogłaby przy okazji uzmysłwić jego rozpuszczonym dzieciom, jak wielkie mają szczęście.

- Może zatem w najbliższą niedzielę? - zaproponował. - Zanim zacznie się zima.

- Doskonale! - ucieszyła się. - Nie mamy telefonu, ale jeśli mi pan powie, o której pan przyjedzie, uprzedzę chłopaka, żeby zniósł ją na dół.

- Panno Feeney - zaczął z wyrzutem, ale zaraz zamilkł. Spojrzała na niego, lecz jego sylwetka zasłaniała latarnię i twarz miał spowitą cieniem. - Czy wyglądam na kogoś, kto potrzebuje chłopaka, żeby znieść ją na dół?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jest pani zainteresowana. - Axel uniósł głowę i popatrzył na Annę, która stała przed jego biurkiem. Nie podniósł się z krzesła, gdy marynarz wprowadził ją do biura.

- Tak, panie kapitanie - odpowiedziała. - Bardzo zainteresowana.

- A skąd przyszło pani do głowy, że nurkowanie będzie interesujące?

Zawahała się; nie była do końca pewna.

- Obserwowałam nurków na barce - odparła. - Z pirsu C. W porze lunchu. Po pracy. - Po każdej wypowiedzi milkła w oczekiwaniu na jakikolwiek znak, że zrozumiał.

- Obserwowała pani nurków w porze lunchu - podsumował wreszcie.

Ponieważ nie było to pytanie i ponieważ jej słowa, powtórzone przez kapitana Axela, z jakiegoś powodu brzmiały śmiesznie, Anna nic więcej nie powiedziała. W tej ciszy uświadomiła sobie, że patrzy na kapitana z góry. Może on także to poczuł, bo nagle wstał: drobny mężczyzna z pękatą klatką piersiową ubrany w mundur marynarki wojennej. Twarz miał wysmaganą wiatrem i jednocześnie dziwnie chłopięcą, bez choćby cienia zarostu.

- Proszę wybaczyć, że o to pytam, panno Kerrigan, ale czyj to był pomysł?

- Mój - powiedziała. - Wyłącznie mój.

- Wyłącznie pani. Ale to nie wyłącznie pani skłoniła komendanta, żeby wczoraj do mnie zadzwonił i poprosił, bym się z panią spotkał.

- Mój przełożony, pan Voss...

- Ach. Pani przełożony. Pan... Voss. - Przeciągnął nazwisko, jakby składające się na nie litery były ostatnimi kawałeczkami mięsa, które wysysał z kości. Potem się uśmiechnął. -Przypuszczam, że zależy mu na zadowoleniu pani równie mocno jak pani na zadowoleniu jego.

Ta drwina niemile zaskoczyła Annę, ale jeszcze gorsza okazała się zniewaga, która nabierała piekającej mocy powoli, jak oparzenie. Pomyślała, że kapitan jest niespełna rozumu. Zauważyła nienaturalną ciszę drżącą wokół nich w małym budynku i zastanawiała się, czy nie występuje on przypadkiem przed jakąś ukrytą publicznością.

- Poddaje pan kandydatów testowi, żeby sprawdzić, czy mogą zostać nurkami? - spytała chłodno.

- Nie ma żadnych testów. Tylko kombinezon. Sprawdzimy, czy będzie pasował.

- Na mnie?

- Nie, na tego Eskimosa w kącie.

Wcześniej pan Voss próbował ją zniechęcić.

- Nie chcą tam pani — powiedział po rozmowie z komendantem. — Obawiam się, że to nie będzie przyjemne.

Anna, niemądra, myślała, że nie chce jej stracić.

Poszła za kapitanem korytarzem upstrzonym sugestywnie uchylonymi drzwiami, a potem znaleźli się na zewnątrz. Budynek 569 stał przyciśnięty do muru otaczającego stocznię na zachód od pochylni, w części, której nie widziała, nawet gdy jeździła rowerem. Tuż nad nimi górowało pięć kominów zakładów Edisona wypływających dym, który wyglądał, jakby był mokry.

Kapitan Axel prowadził ją do ławki na końcu pirsu przy West Street, gdzie leżał złożony kombinezon do nurkowania. Przez swoją wielką masę i sztywność przywodził na myśl żywą istotę, jakby był zgiętym w pół człowiekiem. Zauważywszy go, Anna przyspieszyła kroku.

- Pan Greer i pan Katz będą pani asystować - oznajmił kapitan Axel, wskazując dwóch mężczyzn, którzy kręcili się nieopodal z ostentacyjną nonszalancją, bo przed chwilą prawdopodobnie przestali ich podsłuchiwać i przybiegli, wyprzedzając kapitana zaledwie o krok. - Panowie, panna Kerrigan jest zainteresowana nurkowaniem. Ubierzcie ją, proszę.

Rozkaz brzmiał zupełnie jasno, lecz usłyszawszy te terminy- asystowanie, kombinezon - Anna z jakiegoś powodu zaczęła się zastanawiać, czy są prawdziwe, czy może też zostały ukute specjalnie po to, żeby ją zdezorientować. Ulżyło jej, gdy kapitan Axel wrócił do budynku.

- Nałożymy kombinezon na to, co masz na sobie, kochana - oznajmił mężczyzna o nazwisku Greer. Był drobny, miał słabo zarysowany podbródek, rzędzące włosy i obrączkę na palcu. - Zdejmij tylko buty.

Ten drugi, Katz, wydawał się pewny siebie.

- To jedynka? - spytał, gdy podnieśli kombinezon i trzymali go przed Anną stojącą już bez butów. - Jak myślisz, Greer? Nosi taki sam rozmiar jak ty?

Greer przewrócił oczami. Gumowane płótno wydzielalo stęchły zapach podszyty kwaśną, ziemistą nutą, który przywiódł Annie na myśl farmę jej

dziadków w Minnesocie. Włożyła nogi przez szeroki, czarny gumowy kołnierz i wsunęła je w sztywne nogawki zakończone czymś na kształt skarpet. Robiąc to, musiała przytrzymać się mężczyzn, co było krępujące, lecz najwyraźniej zupełnie nie dziwiło Katza i Greera. Naciągnęli gumowy kołnierz na jej tułów i ramiona, a Anna powoli włożyła ręce w rękawy, na końcu których przyszyto trójpalczaste rękawice. Zapięli jej na rękach wąskie skórzane paski.

- Powinniśmy zacisnąć mocniej - powiedział Katz. - Ma tak cienkie nadgarstki, że rękawice mogą się zsunąć. Choć ty chyba jakoś dajesz sobie radę, Greer, z tymi twoimi rączkami jak panienka.

- Pan Katz jest dumny ze swojej sylwetki - wyjaśnił Annie Greer konspiracyjnym tonem. - Dzięki niej nie przejmuje się tak bardzo swoją kategorią 4-F.

Anna była przerażona, ale Katz ucichł tylko na chwilę.

- Greer lubi o tym wspominać. Zazdrości mi podbródka.

- Nawet z podbródkiem nie potrafi znaleźć dziewczyny, która by za niego wyszła - odparował Greer.

- Gdyby pani zobaczyła, jakim pantoflarzem jest Greer, zrozumiałaby pani, dlaczego mi się nie spieszy.

Anna starała się uśmiechać wśród tego gradu uszczypliwości, ale mężczyźni chyba nie zwracali na nią uwagi. Stali za jej plecami i ciągnęli za sznurki biegnące wzdłuż płóciennej nogawki.

- A tak w ogóle, dlaczego masz 4-F? - spytał Greer Katza.

- Pęknięty bębenek. Nauczyciel w drugiej klasie lubił dawać mi w ucho.

- Wtedy też za dużo gadałeś, co?

- To okropne - wtrąciła Anna, ale natychmiast poczuła, że nie powinna była się odzywać. Katz po raz pierwszy wydał się zawstydzony.

- U nurka to zaleta - odezwał się po chwili. - Po tej stronie nie czuję ciśnienia.

Włożyli stopy Anny do „butów”: bloków z drewna, metalu i skóry. W ich pragmatycznym dotyku kryła się pewna czułość. Katz uklęknął nawet na czworaka, żeby zacisnąć klamry na jednym z zawiązanych butów.

- Ważą szesnaście kilo - powiedział Annie. - Cały strój dziewięćdziesiąt. A pani ile waży?

- Nic dziwnego, że nie możesz znaleźć dziewczyny -mruknął Greer, kręcąc głową.

- Pewnie z połowę tego - ciągnął Katz, nie zwracając uwagi na kolegę. - To niech pani pomyśli: ja ważę sto dziewięć, a z trudem w tym chodzę.

- Nie trzymasz równowagi - powiedział Greer. - Pewnie przez ten bębenek.

- Tak naprawdę ważę grubo ponad czterdzieści pięć kilo -rzuciła Anna, ale zabrzmiało to małostkowo i znowu pożałowała, że się odezwała. Teraz musiała usiąść. Mężczyźni włożyli jej przez głowę miedziany napierśnik, którego ostre krawędzie wpiły się w miękką tkankę między ramionami a szyją.

- O-o - powiedział Greer. - Nie daliśmy jej...

Na twarzy Katza błysnął diabelski uśmiech.

- Czego?

- No wiesz... — Greer zaczerwienił się aż po nasadę rzednących włosów. - Daj spokój, Katz. Bądź człowiekiem.

- Ach, chodzi ci o poduszkę dla cipek - powiedział w końcu Katz. - Masz rację, zapomnieliśmy. To wyjątkowy rodzaj poduszki - zwrócił się do Anny, nie patrząc jej w oczy - która chroni przed tymi ostrymi krawędziami kołnierza. Zaprairie jej pani, kiedy włożymy hełm. Ważą łącznie dwadzieścia pięć kilo.

Anna nie miała zamiaru prosić o poduszkę dla cipek -a już na pewno nie zamierzała wypowiadać tej nazwy. Głowa Greera przybrała szkarłatny kolor. Teraz mężczyźni zaczęli mocować gumowy kołnierz płóciennego kombinezonu na napierśniku, naciągając kolejne otwory w gumie na długie miedziane bolce. Gdy przez każdą dziurkę w gumie przeszedł bolec, wsunęli na nie miedziane zaciski i przymocowali je za pomocą nakrętek motylkowych. Posługiwali się specjalnym kluczem, żeby je docisnąć - Greer z przodu, Katz z tyłu -pokrzykując do siebie i przesuwając się wokół kołnierza, aż guma utworzyła ciasną uszczelkę między miedzią a płótnem.

- Teraz pas - powiedział Katz z uśmiechem. - Trzydzieści osiem kilo.

Do pasa były przyłączone ołowiane bloczki. Udrapowali go na biodrach siedzącej Anny i zapięli na plecach. Następnie skrzyżowali na jej piersi dwa skórzane pasy i położyli je na jej ramionach.

- Niech pani wstanie i się pochyli, żebyśmy mogli panią pospinać -

zwrócił się do Anny Katz.

Podniesienie się z napierśnikiem i ciężkim pasem okazało się trudniejsze. Pochyliła się, pamiętając o pasach przechodzących między nogami i wpijających się w pachwiny. Nie miała pojęcia, czy to normalna procedura, czy jakaś upokarzająca wersja stworzona wyłącznie dla niej. Greer nie patrzył jej w oczy, odkąd wspomniał o poduszce dla cipek.

- Niech pani usiądzie - powiedział Katz. - Pora na kapelusz.

„Kapeluszem” był okrągły mosiężny hełm, który z bliska bardziej przypominał jakiś element instalacji hydraulicznej albo część maszyny niż coś, co mógłby nosić człowiek. Annę przeszedł dreszcz niedowierzania, gdy Katz i Greer podnieśli go i włożyli jej na głowę. Znalazła się w środku, otoczona wilgotnym, metalicznym zapachem, który niemal czuła w ustach. Przykręcili podstawę hełmu do napierśnika jak żarówkę do oprawki. Przez ostre krawędzie kołnierza Anna poczuła, jak przytłaczają miążdzący ciężar. Wierciła się pod nim, próbując się odsunąć albo go z siebie zrzucić. Rozległy się dwa stuknięcia w górną część hełmu, otworzyło się okrągłe okienko z przodu, a do środka wpłynął powiew chłodnego powietrza. Zobaczyła Greera.

- Jeśli zrobi się pani słabo, musi nam pani powiedzieć - poinformował.

- Nic mi nie jest - odrzekła.

- Niech pani wstanie - polecił Katz.

Spróbowała wstać, ale napierśnik, hełm i ołowiany pas przykuły ją do ławki. Jedyнным sposobem, żeby się podźwignąć, było naprzeć z całej siły na te dwa miejsca, gdzie kaftan wrzynał jej się w ramiona. Anna zrobiła to, czując się tak, jakby wbijano jej w ciało gwoździe. Z bólu zawirowało jej przed oczami i bała się, że jej nogi nie wytrzymają tego ciężaru, lecz mimo to podźwignęła się do pozycji stojącej. W każdej chwili na nowo negocjowała ze sobą, czy uda jej się wytrzymać ten ciężar przez kolejną sekundę. Tak. Tak. Znowu tak. Tak, tak, tak.

Katz patrzył na nią przez szybkę w hełmie. Zauważyła ciekłą białą bliznę przecinającą prawą stronę jego górnej wargi i poczuła ukłucie nienawiści do tego człowieka, które potęgowało potworny ból w jej ramionach. Katz dobrze się bawił.

- Niech pani idzie - rozkazał.

- Zemdleje.

- Pozwól jej.

- Ja nie mdleję - oznajmiła Anna. - Nigdy w życiu nie zemdlałam.

Podtrzymując ciężar hełmu tymi dwoma znękanymi bólem punktami, zrobiła krok, wlekąc but po ceglach, jakby była skuta łańcuchami. I następny. Pot pełzł jej po głowie. Dziewięćdziesiąt kilogramów. Hełm i kołnierz ważyły dwadzieścia pięć, buty szesnaście, pas trzydzieści osiem. A może każdy z butów ważył szesnaście, co razem dawało trzydzieści dwa?

Następny krok. I jeszcze jeden. Przesuwała stopy, nie mając pojęcia, dokąd idzie ani dlaczego. Ból wymazał te informacje.

Ktoś wcisnął do jej trójpalczastych rękawic jakiś przedmiot.

- Niech pani to rozwiąże.

- Idąc? - zawołała.

Za szybką w hełmie pojawił się Greer.

- Może się pani zatrzymać - powiedział łagodnie. Wydawał się zaniepokojony. Przypuszczała, że na jej twarzy maluje się grymas bólu. Podniosła przedmiot, żeby zobaczyć, co to jest: był to sznur z wymyślnym węzłem. Przesunęła dłonie w rękawicach — małe palce włożyła do jednego otworu razem z serdecznymi, środkowe do drugiego ze wskazującymi, kciuki do trzeciego - i wszystkimi dziesięcioma opuszkami napała na węzeł. Przez gorące, lekko wilgotne wnętrza rękawic jej palce badały jego kontury, a ból w ramionach nagle jakby zelżał. W każdym węźle jest miejsce, które ustąpi, jeśli będzie się je popychało wystarczająco mocno i długo. Anna zamknęła oczy, ręce przeniosły ją do królestwa dotyku, które zdawało się istnieć poza resztą jej życia. To było jak przepychanie się przez ścianę, by znaleźć ukrytą tuż za nią komnatę. Poczuła, jak węzeł ustępuje niczym lekkie, tworzące się dopiero obtłuczenie na jabłku, i zatopiła w nim palce. Poluzowanie węzła zawsze wydawało się niemożliwe, dopóki nie stało się nieuniknione. Anna wiedziała o tym dzięki latom kocich kołysek, zmaganiom ze sznurówkami, sznurami do skakania, procami - z tym wszystkim, co dzieci z bloku zawsze do niej przynosiły, prosząc o rozplątanie. Węzeł podjął ostatni rozpaczliwy wysiłek, by przetrwać, jego opór upodabniał go do żywej istoty. Potem się poddał, trzymała w rękach luźne kawałki.

Wyciągnęła je przed siebie i ktoś je od niej wziął. Katz zajrzał przez szybkę. Anna spodziewała się wrogiej reakcji, lecz odezwał się z wyraźnym zdumieniem.

- Dobra robota.

Bardziej zaskakujący od jego niekłamanego podziwu był przyływ dumy,

który poczuła. Chyba ostatecznie chciała nie tyle pokonać Katza, ile zrobić na nim wrażenie.

Odkręcili hełm i zdjęli jej go z ramion, a potem zajęli się pasem i napierśnikiem. Uwolniona od ich ciężaru Anna czuła się, jakby dryfowała, a nawet frunęła. Jej radość udzieliła się asystentom, jakby jej sukces należał także do nich -lub plasował ją w kategorii bardziej zbliżonej do ich własnej.

Pomogli jej zdjąć buty, pas i kombinezon. Byli w równie dobrym humorze jak na początku, tylko że wtedy bawili się jej kosztem, a teraz bawili się razem. Wkrótce stała na pirsie w ciuchach roboczych, tak jak wcześniej. Nawet nie zauważyła, kiedy się ściemniło.

- Powiesz mu? - spytał Greer Katza.
- Myślisz, że będzie miał do nas pretensje?
- Do kogoś będzie miał.
- Ty mu powiedz - odrzekł Katz. - Ciebie bardziej lubi.
- Jak większość ludzi - stwierdził Greer, puszczać oko do Anny.

Kapitan Axel z wyraźnym niezadowoleniem wysłuchał relacji Greera z osiągnięć Anny, po czym oschle odprawił go ze swojego biura. Żegnając się z Anną, Greer uchylił czapki, jakby włączał ją do spisku.

- Niech pani usiądzie, panno Kerrigan - powiedział kapitan.

Wypełniająca Annę lekkość utrudniała jej powstrzymanie się od uśmiechu, lecz dziewczyna stłumiła to przemożne pragnienie, nie chcąc sprawiać wrażenia osoby zadowolonej z siebie. Kapitan długo jej się przyglądał, bębniąc palcami w biurko.

- Włożyła pani kombinezon - zaczął pojednawczym tonem, który wzbudził jej niepokój. - Ale to nie to samo co nurkowanie.

- Mówił pan, że to sprawdzian.

Westchnął głęboko i cierpliwie.

- Radzenie sobie pod wodą wymaga od ciała niezwykłego wysiłku - kontynuował. - Rozumiem, że trudno w to uwierzyć: widzi się ładne fale, przyjemną morską pianę. Lubi pani pływać. Ale pod wodą jest inaczej. Woda jest ciężka. Nacisk tego ciężaru to brutalna siła. Nie mamy pojęcia, jak zareagowałoby na niego ciało kobiety.

- Niech mi pan pozwoli spróbować - odezwała się, czując, że nagle zaschło jej w ustach.

- Silna z pani dziewczyna, panno Kerrigan, dowiodła pani tego. Ale działając w dobrej wierze, nie mogę pozwolić pani zejść pod wodę, tak jak nie pozwoliłbym na to własnej córce.

Był opiekuńczy, współczujący, było mu przykro - zupełnie nie przypominał drwiącego człowieka, który ją powitał. Anna wolała tego pierwszego. Wydawało jej się, że u niego ma szansę.

- Niech mi pan pozwoli spróbować - powtórzyła. - Jeśli mi się nie uda, wszystko będzie jasne.

- Widziała pani kiedyś człowieka z chorobą kesonową? - spytał kapitan, pochylając się, jakby zamierzał się z nią podzielić jakimś sekretem. - Banieczki azotu uwięzione we krwi muszą się stamtąd wydostać, więc przepychają się przez tkanki miękkie. Mężczyźni krwawią z oczu, nosa i uszu. A uraz ciśnieniowy? Cały nurek - i mam tu na myśli całego człowieka - zostaje wepchnięty przez oceaniczne ciśnienie do tego małego hełmu, który miała pani na głowie. Więc kiedy pani mówi „jeśli mi się nie uda”, to musi pani wiedzieć, że niepowodzenie piętnaście metrów pod wodą to nie to samo co niepowodzenie na jej powierzchni.

- Coś takiego może się przydarzyć każdemu, kto popełni błąd - powiedziała Anna. - Nie tylko dziewczynie. - Przeczucie porażki podcięło jej jednak skrzydła.

Kapitan się uśmiechnął: białe zęby, opalenizna, gładka broda.

- Lubię panią, panno Kerrigan - powiedział. - Jest pani odważna. Radzę, by wróciła pani do zakładu - do tego, czym zajmuje się pani w naszej stoczni - i poświęciła się temu z całym zaangażowaniem. Pomoże nam pani wygrać tę wojnę, żebyśmy po jej zakończeniu nie musieli jadać w niedzielę na obiad sznycli po wiedeńsku i suszonej ośmiornicy.

Uderzył dłonią w biurko, najwyraźniej przekonany, że to ostatnie słowo w tej dyskusji. Anna jednak nie była w stanie się poruszyć. Dotarła tak daleko. Rozplątała węzeł! Czas jakby się rozciągnął, pozwalając jej na rozważanie wszystkich możliwych scenariuszy i odkrywanie ich skutków. Złość wzbudziłaby w nim odrazę, łzy wywołałyby współczucie, ale dowiodłyby jej słabości, flirtowanie cofnęłoby ją do punktu wyjścia.

Czekał, aż Anna wyjdzie.

- Kapitanie Axel - powiedziała w końcu spokojnym, neutralnym tonem. - Zrobiłam wszystko, o co pan prosił. Jak może mnie pan odprawić? Nie ma ku temu podstaw.

- Skoro rozmawiamy szczerze, panno Kerrigan, powiem pani, że od początku nie było szans, żeby pani nurkowała. -Zniknął dobrotliwy pochlebca. Teraz kapitan mówił zwyczajnie i bez upiększeń, całkiem jak Anna. - Ten pani Voss musi być zaślepiony miłością, jeśli myślał, że pozwolę dziewczynie zejść pod wodę. Mówiłem komendantowi podczas naszej rozmowy telefonicznej, że to nie wchodzi w rachubę. Powiedziałem, że ubiorę panią w kombinezon, żeby sama mogła się pani przekonać.

- Ale go włożyłam - odparła Anna. - I przeszłam się. I rozplątałam węzeł.

- Zaskoczyła mnie pani, przyznaję - powiedział. - Ale nurkowanie w pani wykonaniu nigdy nie było możliwe i teraz też nie jest. Przykro mi. Potrafię sobie wyobrazić, jakie to frustrujące. Niemniej takie są fakty.

Patrzyli na siebie nad biurkiem, doskonale się rozumiejąc. Anna wstała z krzesła.

Znalazła się z powrotem przed budynkiem 569, nie pamiętała, jak włożyła płaszcz ani czy widziała jeszcze Katza i Greera. W ciemności ruszyła w długą drogę powrotną ku bramie przy Sands Street. Zimny wiatr zdmuchnął wspomnienie oszałamiającej przyjemności, która towarzyszyła jej zwycięstwu. Minęła pochylnię rzeźbiście zalaną sztucznym światłem, które wyolbrzymiało kadłuby martwych statków w środku.

Odpowiedź brzmiała nie.

Nigdy w życiu nie stanęły jej na drodze tak jawne uprzedzenia. „Takie są fakty”, powiedział kapitan, ale nie było żadnych faktów. Anna szła, a jej rozczarowanie i rozpacz przerodziły się w twardy sprzeciw podsycany nienawiścią, jaką niedawno czuła do Katza. Postanowiła, że kapitan jej nie złamie - to ona złamie jego. Był jej wrogiem. Wydawało jej się teraz, że zawsze chciała mieć wroga.

Wyobraziła sobie węzeł w dłoniach, jego opór przywodzący na myśl żywą istotę. Wszystko miało swój słaby punkt, należało go jedynie znaleźć.

„Takie są fakty”.

Nie było żadnych faktów. Był tylko on. Jeden mężczyzna.

I to nawet bez zarostu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W ciągu czterech dni, które upłynęły między zgodą na zawieszenie kalekiej siostry panny Feeney na plażę a spotkaniem wyznaczonym na niedzielny poranek, znikomy entuzjazm Dextera dla tej wyprawy zupełnie wyparował. Styles wiedział, że nie będzie mógł zabrać ze sobą dzieci. Podczas kolacji w Święto Dziękczynienia Beth Berringer przedstawiła plan dla całej rodziny: zamierzali pójść do kościoła Świętej Moniki przy York Avenue, co miało stanowić preludium do wolontariatu w Bundles for Britain. Pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia była jakaś dziewczyna z Park Avenue. Dexter odrzucił ten pomysł, uznając go za wymysły socjety udającej wysiłek wojenny. Wokół było tego pełno.

Stary wydawał się równie zdeterminowany jak on, by się od tego wykręcić, więc zaprosił Dextera na lunch i bilard w Knickerbockerze. Propozycja była kusząca, zarówno z powodu wspaniałego malowidła nad barem, jak i przerażonych min purytanów, którzy wiedzieli, kim jest Dexter Styles. Gdyby panna Feeney miała telefon, przełożyłby spotkanie, czyniąc z tego pierwszy krok ku jego odwołaniu. Nie miała go jednak, a w okresie świątecznym istniała obawa, że list nie dotrze na czas. Jedynym wyjściem byłoby zwyczajne niezjawienie się, lecz choć Dexowi można było wiele zarzucić, to na pewno nie był draniem. Powiedział zatem teściowi, że obiecał zawieźć rano na plażę kaleką siostrę pracownika, i przyrzekł, że zaraz potem dołączy do Berringera w klubie.

Zatem: żadnej Tabby. Żadnych bliźniaków ani Harriet. Przyjemny dzień, nietypowo ciepły jak na koniec listopada, uniemożliwił wymówienie się paskudną pogodą. Ulica panny Feeney wyglądała tak, jak się spodziewał, rój dzieci obstał cadillaca, jeszcze zanim zdążył zaparkować. Nieczęsto widywały serię 62-0 ile w ogóle. Wysiadając z samochodu, Dexter przytrzymał kapelusz i odchylił głowę, by zmrużywszy oczy, spojrzeć w oślepiające światło. Machająca ręka w oknie u góry pozbawiła go ostatniej nadziei: że panna Feeney zapomniała.

Otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do przedsionka wciąż pachnącego piątkową rybą. Wszystko w tym miejscu było znajome, zwłaszcza odbijający się echem tupot jego stóp na klatce schodowej. Jezu, ile tu jest pięter? To barbarzyństwo zmuszać kalekę do mieszkania tak wysoko.

Mieszkanie było małe, zagracone, duszne. Wszystkie powierzchnie aż po tanią boazerię tchnęły kobiecością. Perfumy, damskie włosy, paznokcie, comiesięczna niedyspozycja - to wszystko spowiło go skruszałą, intymną

chmurą, od której zakręciło mu się w głowie. Prawie się zdziwił na widok panny Feeney z łukowatymi brwiami i męskim uściskiem dłoni, stojącej w tych miazmatach kobiecości. Jakby nie miała z nimi nic wspólnego.

Poprowadziła go obok ponurej kuchni do salonu, gdzie wystawiono wszystkie ładne rzeczy, jakie udało się zachować jej rodzinie w czasie kryzysu. Było tego niewiele. Witrażowa aureola Świętego Patryka przepędzającego węże, wachlarz z piór przyczepiony do ściany obok kalendarza z pięcioraczkami Dionne. Kilka pustych prostokątów po obrazkach zdjętych z haczyków. Prawie spytał, dlaczego je zdjęto, ale w tej chmurze kobiecości odpowiedź dotarła sama: tu nie było mężczyzny. Umarł albo odszedł. Sądząc po pustych śladach na ścianach, prawdopodobnie to drugie. Zmarłych wszyscy chętnie wspominają.

Krzyki dzieci na ulicy mieszały się z tykaniem starego zegara ze złotymi aniołami u podstawy, który późnił się o dwadzieścia minut. Skarb domu: coś, po co wszyscy skoczyliby w ogień. Jak dzwonek jego matki. „Przynieś mi dzwonek”, mówiła i Dexter biegł po niego, a potem trzymał go za serce. Przywiozła go ze sobą z Polski i srebrzysty strumień jego dźwięku skłaniał ją do wspomniania czasów dziewczęcych: kościołów, zasp, ślizgania się w ciemności po skutych lodem sadzawkach. Ciepłego chleba wyjmowanego z huczących czerwonych pieców. Nie przywykł myśleć o matce. Skłoniło go do tego znajomo wyglądające mieszkanie, odgłos jego kroków na klatce. Albo może obecność kaleki.

- Gdzie jest pani siostra? - spytał.

Zaprowadziła go do pokoju, w którym ledwie starczało miejsca dla dwóch wąskich łóżek. Roleta w jednoskrzydłowym oknie była opuszczona. Na jednym z łóżek leżała piękna dziewczyna, jakby w erotycznym omdleniu, jasne loki rozrzucone były w słabym świetle niczym rozsypane monety. Ten widok wprowadził Dextera w zakłopotanie. Podeszedł bliżej, mrugając, żeby obraz się rozwiął, i zobaczył, że wyrazem twarzy dziewczyna przypomina kogoś przerażonego albo w agonii. Gdy się przyglądał, drgały jej nogi: permanentny brak kontroli. Miała na sobie sukienkę z niebieskiego aksamitu i wełniane pończochy. Wyglądała, jakby spała. Dexter wyobrażał sobie, ile wysiłku kosztowało ubranie jej, i poczuł ulgę, że jednak spełnił obietnicę i się zjawił.

- Wygląda... dobrze - powiedział, czując, że oczekuje się od niego jakiejś reakcji.

- Prawda? - Siostra patrzyła na leżącą przed nimi zdeformowaną istotę z

taką miłością i dumą, że Dexter zaczął sobie wyrzucać, że wtargnął w ból tej rodziny. Nie zrobił tego jednak z własnej woli. To ona wszystko zorganizowała.

- No więc... co teraz? - spytał, nie mogąc się doczekać, kiedy znów zaczniesz działać.

- Wezmę płaszcz.

Prawie wyszedł za nią z pokoju, tak bardzo chciał uniknąć zostania sam na sam z kaleką. Podszedł do okna i podniósł roletę, by spojrzeć na cadillaca. Potem zerknął na łóżko i z ulgą stwierdził, że leżąca na nim dziewczyna nadal ma zamknięte oczy. Pomyślał o ojcu, panu Feeneyu, który musiał opiekować się tą córką dzień po dniu. O tym, jaka to męczarnia. O cieniu jego niespełnionego życia błakającym się w tych pięknych włosach. Czy to dlatego odszedł - jeśli rzeczywiście odszedł? Dexter lubił Irlandczyków, ciągnęło go do nich, mimo że wielokrotnie okazywali się niegodni zaufania. Chodziło nie tyle o dwulicowość, ile o wrodzoną słabość, która mogła się wiązać z alkoholem albo z tym, co ich ku alkoholowi skłaniało. Irlandus przydawał się podczas obmyślenia planów, ale koniec końców do ich realizacji potrzebny był makaroniarz, żydek albo polaczek.

Panna Feeney wróciła, oparła się o łóżko i wsunęła powyginane ręce siostry do rękawów elegancko wykończonego granatowego płaszcza z wełny. Zwinność, z jaką to robiła, nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, ile czasu poświęca na opiekę nad siostrą. Całe życie, domyślił się Dexter.

Zgarnął kalekę z łóżka i podniósł ją. Dopiero gdy dotąd do niego jej zapach, uświadomił sobie, że to on go przerażał, że spodziewał się stęchłego odoru ciał leżących w pomieszczeniach pozbawionych wystarczającej ilości powietrza. Ona jednak pachniała świeżo, wręcz cudownie, tą wersją kwiatów, którą zamyka się w damskich kremach i szamponach. Pachniała jak dziewczyna kąpiąca się co rano, wynurzająca palce z piany, by gładko ogolić nogi. Osłonił jej głowę przed framugą i wniósł ją ukośnie do salonu. Jej złote włosy wylały mu się na rękawy.

- Jak ma na imię? - spytał.

- A, przepraszam, to Lydia. Lydio, to jest pan Styles. Był tak uprzejmy i zaproponował, że zawiezie nas na plażę.

„Niezupełnie”, pomyślał Dexter, pozwalając sobie na cierpki uśmiech, gdy szedł za nią w stronę drzwi wejściowych i niósł jej siostrę. Kiedy ponownie spojrzął na Lydię, oczy miała już otwarte i skupione na jego twarzy. To skupienie zaskoczyło go wręcz fizycznie, jakby pochwyciły go

czyjeś ręce. Jej oczy były intensywnie błękitne, nie mrugały, przypominały oczy lalek, którymi kiedyś bawiła się Tabby.

Schodząc, patrzył na ubrudzone ściany, wymacywał stopami zakręty schodów. Czuł się niezdarny.

- Jest taka spokojna - zdziwiła się zdrowa siostra idąca z tyłu. Taszczyła złożony wózek na kółkach, który wyglądał na cięższy od Lydii. - Kiedy niesie ją Silvio, jęczy i płacze.

- Miło mi.

Przed budynkiem przywitała się po imieniu z kilkorgiem dzieci. Dexter przesunął kalekę w ramionach i zaczął otwierać tylne drzwi, ale siostra powiedziała pospiesznie:

- Chciałybyśmy jechać z przodu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.
- Z tyłu jest więcej miejsca.
- Chcę, żeby widziała.

- Jak pani woli. - Udzielił mu się jej pośpiech i szybko poszedł otworzyć drzwi pasażera. Wślizgnęła się do środka, a Dexter ostrożnie umieścił kalekę w jej ramionach. Ledwie się zmieścili, mimo że był to cadillac serii 62. Dopiero gdy zamykał je w środku, uświadomił sobie, jak bardzo liczył, że wycofa się do roli szofera i nie będzie musiał dotrzymywać im towarzystwa.

„Nie potrzeba powodu, by zrobić dobry uczynek” - zapewniał go jego tata, gdy zawstydzony nie chciał zanosić przykrytego talerza z resztkami klopsików menelom i włóczęgom błakającym się po pstrokatych domach niedaleko restauracji. Dexter mamrotał to sobie pod nosem, wkładając ciężki wózek na kółkach do bagażnika. „Nie potrzeba powodu, by zrobić dobry uczynek”.

Odjechał od dzieci i ruszył z powrotem w stronę Flatbush, ożywiony myślą, że w takim tempie bez problemu dotrze do Knickerbockera na lunch. Obok usłyszał szept.

- Ona mówi? - spytał.
- Kiedyś jej się zdarzało. Nie mówiła, ale powtarzała różne słowa.
- To przecież mówienie, prawda? Dużo rozumie?
- W zasadzie nie wiemy.

My. Przypuszczalnie matka. Bo czy inaczej zdrowa córka mogłaby pracować w stoczni i chodzić wieczorem do Moonshine? Taka kaleka

wymaga pewnie stałej opieki - przypuszczał, że normalnie oddano by ją do jakiegoś zakładu.

Przypomniawszy sobie pośpiech panny Feeney na chodniku i powstrzymał się od pytania, czy jej matka wie o dzisiejszej eskapadzie. Nie jego sprawa. Nie chciał wnikać w tę rodzinę głębiej, niż już wniknął.

Sunęli obok Grand Army Plaza i wzdłuż Prospect Parku ku Ocean Avenue. W myślach Dextera unosiła się matka -jakby, wezwana dzwonkiem, nie chciała się jeszcze pożegnać. Był okres, kiedy dopisywało jej zdrowie - zanim urodziła jego martwego brata, gdy Dexter miał siedem lat. Ten poród uszkodził jej serce. Coś, co dawniej było w niej twarde, stało się okropnie kruche: jak cukierkowy zegarek. Wewnętrzna wåtłość odróżniała ją od innych matek, które często ignorowały swoje liczne rozwrzeszczane dzieci albo dawały im w twarz grzbietem dłoni. Wiedziała, że będzie musiała opuścić go przedwcześnie; to była tajemnica, a oni udawali, że żadne z nich jej nie zna. Wycofała się z restauracji, którą otworzył ojciec Dextera - jego własnej, nareszcie - i poświęciła się synowi. Przeważnie spała. Pora lunchu Dextera była jej świtem, a jej dzień zaczynał się od dźwięku jego butów tratujących schody, gdy biegł na czwarte piętro do mieszkania. Inne dzieci przychodziły do domu na chleb, mleko i resztki szynki, ale Dexter delektował się pełnym posiłkiem, który ojciec przyniósł poprzedniego dnia z restauracji, odgrzanym w piekarniku. Matka witała go świeża i pełna pytań, śmiała się i całowała go, aż przychodziła pora powrotu do szkoły, i wtedy znów zniknęła w alkierzyku wymoszczonym poduszkami, które ojciec kazał uszyć specjalnie dla niej, i nabierała sił przed jego powrotem.

Dexter wielbił ją w stopniu niespotykanym wśród chłopaków z sąsiedztwa. W każdej chwili mogła zniknąć, lecz zawsze była: fascynująca mieszanka niedosięgniętości i całkowitego posiadania. Jak ona to robiła? Czary? Świetlisty pył? Później dowiedział się od ojca, że po urodzeniu martwego dziecka jej serce miało wytrzymać najwyżej rok. Jednak sześć lat później, gdy Dexter skończył trzynaście lat, nadal żyła. Zaczął mieć do niej żal i zostawał na podwórku aż do zmierzchu, grając w stickball. Kradł jabłka, miętówki i kredę: bał się, że matka widzi te drobne akty nieposłuszeństwa, gdy brała jego twarz winowajcy w delikatne dłonie. Jej stan pogarszał się w bezlitosnym tempie, które zdawało się działać wstecz, jakby zegar popsuł się już dawno temu, ale jej ciało dopiero teraz zdało sobie z tego sprawę.

- Nawet nie spytałam - odezwała się Anna po dłuższej chwili milczenia.
- Dokąd właściwie jedziemy?
- Na Manhattan Beach - powiedział. - To niedaleko Coney Island, ale

jest tam czyściej, zaciszniej. Mój dom stoi tuż nad wodą. Może ją pani posadzić na tylnej werandzie i w ogóle nie wchodzić na piasek.

- Brzmi fantastycznie. - Anna starała się przybrać lekki ton. Powrót na Manhattan Beach sprawił, że pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd cztery dni temu ułożyła ten plan, stało się nieznośnie naglące: czy powinna powiedzieć Dexterowi Stylesowi, co ich łączy? W ostatniej chwili uznała, że nie. Jej celem było zbieranie informacji, a nie ich ujawnianie. Pospiesznie zdjęła ze ścian zdjęcia swojej matki i Brianne w kostiumach rewiiowych, fotografię rodziców w dniu ślubu, fotos z filmu *Niech strzelają*, który ukazywał skuloną na tle drzwi Brianne i padający na nią cień mężczyzny.

Jazda samochodem z Dexterem Stylesem do tego samego miejsca, w którym przed laty go poznała, wydała jej się jednak obłądą zbyt porażającą, by mogła w niej wytrwać. Chciała powiedzieć mu prawdę, wydobyć ją na światło dzienne. Nie, nie do końca - bała się powiedzieć mu prawdę. Chciała raczej mieć to już za sobą.

Anna obejmowała Lydię w pasie, czuła bliskość swojej szczupłej siostry i rytm wystukiwany przez jej serce trącające miękkie kości klatki piersiowej. Lydia miała otwarte oczy. Wyglądała, jakby patrzyła przez szybę na strzeliste szare drzewa w Prospect Parku. Wyraźne skupienie siostry wzbudziło w Annie nagłą ekscytację: jechały nad morze! Zobaczą je razem! Nie przemyślała prośby, którą skierowała do Dextera Stylesa, była gotowa wykorzystać każdy pretekst, byleby nie stracić go z oczu. Teraz jednak, gdy już byli w drodze, gdy jej matka i Brianne wybrały się na zakupy i do jednej z restauracji Schraffta, a następnie na popołudniową rewię *Star and Gar ter*, poczuła wspaniałość tego, co wprawiła w ruch. Wiedziała, że nie wolno jej tego popsuć. Nie mogła mu zatem powiedzieć, kim jest, dopóki dzień nie dobiegnie końca.

- Jak się pani podoba praca w stoczni? - spytał nagle pan Styles. - Co właściwie pani robi?

- Mierzę maleńkie części, które trafiają potem do statków - zaczęła Anna. Każde słowo niosło za sobą ryzyko, że wszystko, co ukrywa, wydostanie się na zewnątrz. On jednak wydawał się naprawdę zainteresowany, a może po prostu starał się prowadzić w milczeniu. Im dłużej mówiła, tym naturalniej to brzmiało. Opowiedziała mu, jak nienawidzi mierzenia, i wyznała, że marzy o nurkowaniu. W końcu, zachecona jego pytaniami, zaczęła opowiadać o tym, co zaszło na spotkaniu z kapitanem Axelem poprzedniego dnia wieczorem.

- A to matoł - powiedział ze szczerze brzmiącą złością. - Co za banda durni. Niech im pani powie, żeby utopili się w rzece.

- Wtedy stracę pracę.

- Do diabła z ich nędzną pracą. Przyjdzie pani pracować u mnie.

Anna siedziała całkiem nieruchomo, obejmując Lydię, która zdawała się temu przysłuchiwać.

- Miałabym odejść ze stoczni?

- Dlaczego nie? Płaciłbym pani więcej niż oni.

- Zarabiam czterdzieści dwa dolary tygodniowo, do tego dochodzą nadgodziny.

Chyba był pod wrażeniem.

- No cóż, dałbym tyle samo.

Nagle Anna poczuła osobliwą bliskość ojca. Nie żeby go sobie wyobraziła - nadal nie umiała przywołać jego obrazu w swojej głowie. To było raczej tak, jakby stała na dworcu, na którym z pewnością pojawił się wcześniej, i próbowała zgadnąć, do którego wsiadł pociągu. Po raz pierwszy od lat powietrze ożyło od leciutkiego, mrowiącego śladu, który po sobie zostawił.

- Co robią ludzie, którzy u pana pracują? - spytała ostrożnie.

- No cóż, prowadzę różne interesy. Jeden z nich pani widziała, to nocny klub, a mam jeszcze wiele podobnych miejsc tutaj i w innych miastach. Oprócz tego zajmuję się działalnością, która... wiąże się z tamtą. Przepływa przez nią, że tak powiem.

- Rozumiem - odparła Anna, choć nie rozumiała.

- Nie wszystkie z tych interesów są legalne w najściślejszym znaczeniu tego słowa. Moim zdaniem ludzie sami powinni decydować o tym, jak chcą się bawić, prawo nie powinno się do tego wtrącać. Oczywiście może pani mieć inne zdanie na ten temat. Nie wszyscy mają w tych sprawach wystarczająco mocne nerwy.

- Ja mam mocne nerwy - oświadczyła Anna. Czuła się jak Alicja w Krainie Czarów, wchodząca przez coraz mniejsze drzwi i niemająca pojęcia, dokąd ją zaprowadzą.

- Dlatego złożyłem pani propozycję - powiedział. - Proszę ją traktować jak stałą ofertę. Jeśli będzie pani zainteresowana, zatrudnię panią.

Anna zapamiętała dom pana Stylesa jako zamek na klifie otoczony śniegiem i morzem. To, co ujrzała, gdy zaparkował samochód, było ulicą, wzdłuż której stały domy - owszem, wspaniałe, ale nie bardziej niż te, które widywała w pobliżu Brooklyn College. Poczwała ukłucie rozczarowania.

- Przyniosę wózek - powiedział. Gdy wyjął go z bagażnika, samochód się zakołysał.

- Jesteśmy, Liddy. - Anna zwróciła się do siostry ściszym głosem. - Już prawie jesteśmy nad morzem.

Drzwi samochodu otworzyły się szeroko i pan Styles wyjął Lydię z jej ramion. Anna wysiadła. Na końcu ulicy, pod przestworem szarego nieba, poczuła obecność oceanu, który przypominał kogoś pogrążonego we śnie. Wiatr wyrwał z jej ułożonych w rolsy włosów szpilki, które z brzękiem spadły na chodnik. Niosąc wózek, ruszyła za panem Stylesem w stronę jego domu. Cały czas trzymając Lydię, przekreślił gałkę i otworzył drzwi.

Kaleka dziewczyna spokojnie leżała w jego ramionach, podczas gdy jej siostra rozkładała i przygotowywała w przedpokoju wózek. Dexter przyzwyczajał się do grymasu na twarzy Lydii, do jej nieruchomego spojrzenia. Gdy wózek był gotowy, posadził ją na nim, a Anna zabezpieczyła ją pasami i sprzączkami. Był tam uchwyt w kształcie litery U mający podtrzymywać jej głowę w pionie. Ręce miała zgięte w nadgarstkach i podkurczone. Czuł przemożną chęć, żeby je przycisnąć i wyprostować.

- Dlaczego taka jest? - spytał.
- To się stało podczas porodu.
- Pytałem o powód.
- Brakowało jej powietrza.
- Ale dlaczego? Dlaczego jej go brakowało? - Nie był w stanie stłumić zniecierpliwienia. Złościły go problemy, których nie mógł rozwiązać.
- Nikt tego nie wie.
- Ktoś wie. Tego może być pani pewna. Przecież ma jakiegoś lekarza.
- Tego samego od lat. - Zrobiła dokładnie to, co sam miał ochotę zrobić: rozprostowała te zakrzywione nadgarstki, by przypiąć je do wózka. Jej ruchy były żwawe i jednocześnie delikatne.
- Pomaga jej? Ten lekarz?
- Na to nie ma lekarstwa.

- Jaki z niego lekarz, skoro godzi się z tym, że stan pacjenta będzie się tylko pogarszał?

- Chyba dzięki niemu lepiej się czujemy.

- Taki to potrafi się ustawić - mruknął i zobaczył, jak panna Feeney się wzdryga. Pewnie знаła te argumenty na pamięć.

- Możemy ją zabrać na zewnątrz? - spytała.

- Tak, oczywiście - odrzekł skruszony. - Weranda jest tam.

Poprowadził ją do salonu, do drzwi wychodzących na werandę. Za oknami opalizowało szare, płaskie morze. Wydawało się spokojne, ale gdy tylko otworzył drzwi, zaatakował ich silny wiatr. Kaleka gwałtownie drgnęła na wózku, jakby ktoś ją spoliczkował.

- Jest za zimno - zawołała z przerażeniem jej siostra. - Za lekko ją ubrałam.

- Spokojnie. Mamy mnóstwo koców.

Nie był do końca pewny, gdzie Milda je trzyma. Jak zwykle pojechała spędzić niedzielę ze swoją rodziną w Harlemie, skąd miała wrócić na czas, by w poniedziałek rano przygotować śniadanie. Kiedy otwierał szafy i grzebał w szufladach w poszukiwaniu koców, poczuł chwilową ulgę, że jego rodziny nie ma w domu. Ta sytuacja była zbyt bolesna, Lydia zbyt przygnębiająca. Nie chciał, żeby jego dzieci miały z nią styczność.

Nie wiedział o istnieniu bieliźniarki na piętrze, ale znalazł ją, a w środku starannie poskładane koce. Sięgnął po jeden z nich, olbrzymi, z owczej wełny, przywieziony przez George'a Portera z wyprawy myśliwskiej do Laponii. Oprócz niego wzięł jeszcze cztery inne i popędził z powrotem na dół. Razem z siostrą zaczęli opatulać Lydię. Jej kapelusik zupełnie nie nadawał się nad morze - Dexter owinał ramiona dziewczyny jednym z mniejszych koców, a tym z owczej wełny osłonił jej głowę, kapelusik i całą resztę. Aby to zrobić, musiał odsunąć jej głowę od uchwytu i chwilę ją przytrzymać. Odznaczała się tą zaskakującą ciężkością wszystkich głów, włosy były niesamowicie miękkie, czaszka pod nimi wyboista i twarda. Trzymając głowę Lydii, poczuł, jak protestująca w jego wnętrzu część - rozzłoszczona, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą - gwałtownie się wycofuje. Wziął udział w tym przedsięwzięciu, by nieszczęsna istota mogła zakosztować morza. Wchłonął powagę tego zadania, jego wyjątkowość. Odczuł ulgę.

Gdy Lydia była już opatulona, Anna po raz drugi wyprowadziła wózek na werandę. Jej siostra gwałtownie otworzyła oczy, gdy poczuła pierwsze

uderzenie wiatru. Anna pochyliła się, by ich głowy znalazły się na tym samym poziomie, i spojrzała przed siebie wzrokiem sprzężonym ze wzrokiem siostry. Nie zobaczyła niczego poza wodą i niebem. Żadnej granicy między oceanem a ziemią. Bariera z kamienia i betonu znajdowała się zbyt daleko w dole. Innymi słowy, plaży nie było.

- Panie Styles - powiedziała. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym ją zabrać na piasek. Mogę to zrobić sama.

- Nonsens. Na końcu tych schodów jest ścieżka prowadząca na prywatną plażę.

Złapali wózek Lydii z obu stron i znieśli go po schodach. Ścieżka była z ubitego żwiru, szeroka i wystarczająco dobrze utrzymana, by Anna mogła z łatwością pchać po niej wózek. Jej siostra miała zamknięte oczy - może zasnęła. Anna zastanawiała się, czy po tych wszystkich staraniach Lydia w ogóle będzie w stanie zobaczyć plażę, czy też przedryfuje przez to interludium w sennym zawieszeniu, w którym spędzała większość czasu. Anna poczuła uderzenie frustracji: pragnęła, by jej siostra zrobiła coś więcej, by była czymś więcej.

Ścieżkę dzieliło od piasku kilka stopni. Dexter dźwignął wózek i przeniósł go, wciągając głęboko morskie powietrze. Wózek z siedzącą na nim Lydią był ciężki i nieporęczny, ale Styles lubił wystawiać swoje mięśnie na próbę. Piasek miał szarobiały kolor kości. Gdy Dexter postawił na nim wózek, plaża jakby się uniosła, obejmując dolną część kółek.

- Złapię z drugiej strony - zaoferowała, lecz on wątpił, by zdołała przenieść go daleko, idąc po piasku. Do wody mieli spory kawałek. Dała jednak radę. Był pod wrażeniem jej siły fizycznej.

Anna zawołała, żeby zaczekał, i zdjęła czólenka, stawiając je równo na piasku. Jej kapelusz był bezużyteczny, unieruchomiła go butami. Szybko zaplotła włosy w warkocz i wsunęła go za kołnierz płaszcza. Gdy podjęli przerwany marsz, poczuła pod pończochami zimny, ziarnisty piasek. Wiatr nękał ich i smagał, jakby chciał ich zniechęcić do dalszej drogi.

Przystanęli jeszcze raz, żeby odpocząć. Dexter ciasniej owinął dolną połowę twarzy Lydii wełnianym kocem, tak że z wiatrem miały styczność tylko jej oczy. Były otwarte, ale puste, jak okna domu, w którym nikt nie mieszka.

W końcu postawili wózek nad wodą. Dysząc z wysiłku, Anna przytuliła głowę do głowy siostry i patrzyła, jak tworzy się długa fala; rozciągała się aż do przezroczyistości, by następnie zrobić fikołka i rozprysnąć się na kremową

piankę, która pełzła ku nim po piasku, dosięgając prawie kółek wózka Lydii. Potem zebrała się następna fala, piętrząc się, rozciągając, a w miejscu, gdzie muskało ją słabe słońce, po jej powierzchni przemknęła srebrna smuga. Dziwne, brutalne, piękne morze: właśnie to chciała pokazać Lydii. Dotykało wszystkich części świata, połyskliwa zasłona spuszczone na tajemnicę. Anna objęła siostrę.

- Liddy - powiedziała, mówiąc do koców, wśród których, jak sądziła, znajdowało się ucho jej siostry. - Widzisz może morze? Słyszysz je? Jest tuż przed tobą - to twoja szansa. Teraz, Liddy. Teraz!

Może morze może morze

Tuszetoowq. Liddy! Liddy!

Syszyszeet

Szszsz szszsz szszsz morze

- Patrzcie na ten statek - odezwał się pan Styles, wskazując wodę. - Patrzcie, jaki jest wielki.

Anna spojrzała, nie przestając obejmować siostry. Zobaczyła zwyczajne holowniki i lichtugi, kilka frachtowców i tankowców, które wyglądały jak nieruchome. A za nimi, w takiej skali, że jej oko początkowo go nie zarejestrowało, olbrzymi jasnoszary statek przesuwany się z fantastyczną prędkością obok Breezy Point. Anna była pewna, że przed chwilą go tam nie widziała.

- Co to jest? - spytała.

- Transportowiec - powiedział. - Liniowiec. Obstawiam, że Queen Mary. Zasłonili tę całą wymyślną stolarkę i zapakowali na niego żołnierzy. Może pomieścić piętnaście tysięcy, całą dywizję.

Po ślubie przepłynęli z Harriet na pokładzie Queen Mary cały Atlantyk - dotarli do Southampton w trzy dni, żeby spotkać się ze starym, którego ciotka, lady Hewitt, hodowała konie w Kencie. Zadanie Dextera polegało na tym, by uzyskać jej błogosławieństwo - i uzyskał je.

- Jak na konwój jest za szybka - ciągnął, choć z pewnością wiedziała takie rzeczy, pracowała przecież w stoczni marynarki wojennej. Chciał jej to jednak wyjaśnić, mówić o liniowcu, dopóki pozostawał w zasięgu wzroku. - Konwoje płyną z prędkością najwolniejszego statku: jeśli jest wśród nich Liberty, oznacza to jedenaście węzłów, w przypadku parowców jeszcze mniej. Ale Queen Mary może wyciągnąć trzydzieści węzłów. Nazywają ją Szarym

Duchem. U-booty nie są w stanie jej dogonić.

Poczuł dziwną tęsknotę za tym statkiem, jakby żałował, że nie jest teraz na jego pokładzie. Ale nie z żołnierzami. Przed wojną? Nie, też nie o to chodziło. Może jednak z żołnierzami.

- Czy prowadząc interesy, wspiera pan działania wojenne? - spytała, gdy statek zniknął im z oczu.

- Jeśli uwzględnić zabawianie oficerów i łagodzenie bólu wywołanego reglamentacją, to robię aż nadto - powiedział.

Roześmiała się.

- Jest pan spekulantem - stwierdziła, najwyraźniej nie mając na myśli nic złego. To słowo mu się jednak nie spodobało.

- Wolę określenie „strażnik morale” - odparł. - Dbam, żeby mimo wojny ludzie mieli dobry humor.

- Chciałby pan robić coś więcej?

Wyglądało na to, że ma do czynienia z rzadkim zjawiskiem: pytaniem zadanym z ciekawości, bez podtekstów. Dziewczyna stała prosto, położyła ręce na ramionach siostry i wpatrywała się w niego spod tych łukowatych brwi. Spojrzenie miała jasne i czyste.

- Tak - przytaknął. - Tak, chciałbym. - Odniósł wrażenie, że od dawna tego pragnie. Przepęłniała go niecierpliwość, bo jeszcze nie spełnił tego pragnienia.

Anna poczuła pod dłońmi wstrząs, jakby ktoś zatrzasnął szufladę. Wystraszona spojrzała na Lydię i zobaczyła, że oczy jej siostry są szeroko otwarte, rejestrują wznoszenie się i opadanie fal.

- Liddy - zawołała. - Wiesz, gdzie jesteś?

Może morze. Może morze może morze może morze

- Ona mówi! - wykrzyknęła Anna. - Niech pan posłucha!

Dexter na chwilę zapomniał o Lydii, pochłonęło go pytanie jej siostry dotyczące wspierania działań wojennych. Teraz znów spojrzał na dziewczynę. Znad wełnianego koca wyzierały tylko błękitne oczy, spomiędzy fałdów wysunęło się kilka kręconych kosmyków włosów, dziewczyna wyglądała jak zawoalowana piękność, tajemnicza kobieta. Przysunął się i usłyszał mamrotanie zza warstw wełny.

- Poczułam, że się obudziła - powiedziała jej siostra. - Wzdrygnęła się,

jakby ktoś nią potrząsnął.

Dexter spojrział na srebrzyste fale. Wiatr smagał jego płaszcz, a w górze krzyczały mewy.

- Jest pięknie - powiedział. - Nic dziwnego, że się ożywiła. Każdy powinien to zobaczyć przynajmniej raz w życiu.

- Też tak uważam - zgodziła się z nim Anna.

Chciałam, żebyś zobaczyła morze. Może morze może

morze

Jejesejzino?

Ptak ćwir ćwir kra kra wiesz, co to ptaki, pamiętasz te małe, które przylatywały napałapet, pamiętasz?

Kra kra Ptak

Wieje coraz mocniej.

Widać, że obserwuje

O tak, ona widzi. Przed chwilą się roześmiała

rzechilaś sie. Flaming. Kra kra ptak

Buzi

Och, Liddy!

Buzi

Kochanie, tak dawno tego nierobiłaś. Niech pan zobaczy, całuje mnie, kiedy odsuwam koc.

Całujejejeje

To całus. Widzi pan?

Chyba tak. Biedactwo.

Ma takie miękkie usta.

Anna

Niech pan słucha, ona mówi. Próbuje mówić. Przebywanie na świeżym powietrzu dobrze jej robi.

Anna tata mama Liddy

Mówi do pana. Patrzy na pana.

Nie ma pojęcia, kim jestem. Pewnie się zastanawia, co to za obcy człowiek.

Cotozaosyłowiek kimjesem tata

- Dziękuję, że nas pan tu przywiózł, panie Styles! - zawołała Anna, czując nagły przypływ emocji. Dotąd nikt nigdy tego nie robił: nie zabierał ich razem na plażę. - Dziękuję, że nas pan tu przywiózł. Jesteśmy panu takie wdzięczne. - Złapała go za ręce i stanęła na palcach, by pocałować go w policzek. Dotarła jednak tylko do żuchwy.

- Nie ma o czym mówić - mruknął, choć był dziwnie poruszony. W kalekiej dziewczynie zaszła niezwykła zmiana. Wcześniej leżała bezwładna i nieprzytomna, jakby przed chwilą spadła z dużej wysokości, lecz teraz siedziała samodzielnie, trzymając głowę z dala od uchwytu. Wełniany koc zsunął jej się z twarzy, gdy Lydia odwróciła głowę w stronę morza i poruszała ustami jak jakaś mityczna istota, której zaklęcia mogą przywoływać sztormy i skrzydlatych bogów; jej przeszywające błękitne oczy skupiały się na wieczności.

Stracił rachubę czasu. Wpół do pierwszej. Nie tak późno, jak się obawiał, ale za późno, by spotkać się ze starym. Ech, trudno. W zasadzie mu nie zależało - cieszył się, że nie musi się już nigdzie spieszyć. Stał obok dziewczyn i patrzył na morze. Jeśli człowiek naprawdę mu się przyjrzał, nigdy nie było takie samo, nawet przez dwa dni. Dobrze zrobił, że zabrał to biedne dziecko na plażę. Morskie powietrze służy każdemu. *Buzi Anna*

Ptak kra kra

Morze fale szszsz szszsz szszsz

Możemorzeżemorzeżemorze

Buzi Anna

Sójka Szsz

Oddychaj

Faaa Laaa

Możmorzeżemorze murze żemorz

Nie chcę... Kiedy beziewsanie

Tata

Kimjesem Cotozaosyłowiek

Buzi Anna

Buzi Liddy

Tata Cotozaosyłowiek

Boję się stąd iść mogłaby

Szszsz szszsz szszsz

Nie ma pośpiechu. Proszę tu zostać, ile pani zechce.

CZĘŚĆ CZWARTA

CIEMNOŚĆ

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Późnym popołudniem matka Anny wróciła z własnej wyprawy. Gwałtownie otworzyła drzwi i podbiegła do Lydii, a jej wyraźne zaniepokojenie nie pozostawiało wątpliwości, że w drodze na szóste piętro poinformowano ją o samochodzie, o obcym mężczyźnie i o długiej nieobecności. Lydia siedziała przy oknie, obserwując ptaka na schodach przeciwpożarowych. Odwróciła się do matki i uśmiechnęła się.

- Mój Boże — zawołała Agnes, biorąc ją w objęcia. -Gdzieś ty ją zabrała?

- Popatrz - powiedziała Anna.

Zdziwienie matki na widok zmiany, jaka zaszła w Lydii, ułatwiło Annie wyłożenie, niczym zastawy stołowej z kosza piknikowego, kłamstw, które starannie przygotowała podczas podróży powrotnej do domu: o tym, że jej przełożony, pan Voss, nieoczekiwanie złożył jej wizytę, przyjeżdżając samochodem. Że zabrał je na przejażdżkę do Prospect Parku, gdzie Lydia (ciepło opatulona, rzecz jasna) posiedziała na świeżym powietrzu. A potem spontanicznie dorzuciła ozdobnik: pan Voss ma taką siostrę jak Lydia! To dlatego zadał sobie trud, by przyjechać i ją zobaczyć, i dlatego Anna pozwoliła mu znieść siostrę po schodach.

- Zimno jak na wyprawę do parku - stwierdziła matka, dotykając czoła Lydii. - Ale wydaje się taka ożywiona.

- Może lubi zimno.

Spojrzenie Lydii było w pełni świadome - nie tylko kłamstw, które opowiadała teraz Anna, lecz także tego, że ostatecznie siostra odrzuciła postanowienie, by wyjawić panu Stylesowi łączącą ich więź. W drodze powrotnej z Manhattan Beach słuchali wiadomości. Samozatopienie francuskiej floty w Tulonie przyćmił potworny pożar, który poprzedniego wieczoru wybuchł w bostońskim klubie nocnym Coconut Grove w wyniku zapalenia się sztucznej palmy. Wyglądało na to, że pan Styles już wie o tej katastrofie, ale jej szczegóły i tak go poruszyły: trzysta ofiar śmiertelnych, setki osób w szpitalach. Wszystko przez to, że tancerki i klienci rzucili się w panice ku zamkniętym drzwiom.

- Kretyni - mruknął. - Kryminaliści. Jezu, na co nam szwabry, skoro sami palimy swoich żywcem?

- To jeden z pana klubów? - spytała Anna.

Odpowiadając, rzucił jej miażdżące spojrzenie.

- W moich klubach nikt nigdy nie zginął.

Gdy zaniósł Lydię na górę, chyba zaczęło mu się spieszyć. I dlatego Anna nie wspomniała o ojcu. Nie żałowała tego - właściwie była dumna, że się nie zdradziła. Ale Lydia ją obserwowała. W przeciwieństwie do innych ludzi nie czuła zakłopotania. Anna, gdyby tylko chciała, mogła odwrócić wzrok. Wreszcie to zrobiła, czekając, aż uwaga siostry się rozproszy. Kiedy znów na nią spojrzała, Lydia nadal ją obserwowała.

W poniedziałek i wtorek, gdy Anna była w pracy, Silvio znosił Lydię po schodach i matka wiozła ją aż do Prospect Parku i z powrotem - wielogodzinny pobyt na rześkim powietrzu, relacjonowała. Nocą Lydia nadal bez przerwy paplała o ptakach i buziakach, o Annie i mamie.

- Ciągle wspomina o morzu - powiedziała matka. - Ciekawe, co ma na myśli.

Anna i Lydia wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

W środę po powrocie z pracy Anna zastała matkę i ciotkę Brianne pijące w salonie whiskey z wodą sodową w towarzystwie niejakiego Waltera Lippa, którego Brianne przedstawiła jako „starego przyjaciela”. Jego ziemista cera i cieniutki wąsik skojarzyły się Annie z Louiem, przyjacielem Nell z klubu Moonshine. Okazało się, że Walter Lipp zawiózł Agnes, Brianne i Lydię swoim fordem sedanem na miejsce piknikowe pod mostem Jerzego Waszyngtona. Opatulona płaszczami Lydia siedziała na wózku i patrzyła na żwawą paradę przepływających łodzi. Śmiała się i szczebiotała, i zjadła prawie całego batata kupionego na straganie. Walter Lipp słuchał z powagą i zainteresowaniem, jak matka Anny opisuje te wydarzenia, i raz po raz kiwał głową, jakby porównywał jej relację z własną. W przeciwieństwie do większości „starych przyjaciół” Brianne nie miał pociągu do zabawy i nie dopił drinka.

- Najwyższa pora - stwierdziła Brianne scenicznym szeptem, gdy kroki Waltera Lippa ucichły na schodach.

- Mnie się spodobał - powiedziała matka Anny. - Ma subtelne poczucie humoru.

- To jak powiedzieć: „cóż za okropnie interesująca dziewczyna”.

- Dlaczego go zaprosiłaś? — spytała Anna.

Ciotka wyjaśniła, że mężczyźni, którzy są najlepsi do towarzystwa, to

zarazem najgorsi kierowcy.

- Teraz, kiedy jest wojna, nie mogą zdobyć nowych białych opon, więc łątają stare. W przypadku Waltera mogliśmy być pewne, że nie rozbije samochodu z Lydią w środku.

Lydia siedziała na swoim wózku i tryskała energią. Najwyraźniej druga wyprawa nad wodę dobrze jej zrobiła. Poszły spać bardzo późno, wszystkie cztery, otwarte okna wpuszczały grudniowy chłód, a przyćmione, tłące się miasto wślizgiwało się do środka razem z meandrami klarnetu Benny'ego Goodmana. Lydia łaknęła stymulacji, to jasne. Teraz należało jej tę stymulację zapewnić. Brianne miała w zanadrzu innych nudziarzy i palantów, którzy mogli robić za szoferów. Rozmawiały o tym, jakie pojawiłyby się możliwości, gdyby sytuacja dalej rozwijała się w ten sposób: założmy, że Lydia nauczyłaby się chodzić i mówić; założmy, że mogłaby wyjść za mąż i urodzić dzieci. Anna patrzyła na ciotkę, zastanawiając się, czy Brianne rzeczywiście w to wierzy, a potem zastanawiała się, dlaczego sama ma wątpliwości. Odpowiedź przyszła powoli: ona i jej matka fantazjowały i snuły swoje wizje, a Brianne mówiła tylko tyle, by je do tego zachęcić. Jej ciotka była jak majowe drzewko. Wierzyła w dobrą zabawę, a one dobrze się bawiły.

Nazajutrz rano Lydii trochę się pogorszyło i Anna z matką zgodnie uznały, że za późno poszła spać. Koniec z tym! Gdy jednak wieczorem Anna wróciła z pracy, jej siostra była jeszcze bardziej apatyczna. Z trudem nakłoniły ją do jedzenia. Nie kaszłała, nie drżała i nie kichała. Nie miała gorączki. Po prostu znieruchomiała, była gdzieś daleko.

- Boję się - powiedziała matka. - Chyba coś jest z nią nie tak.
- Może wzięłabyś ją jutro na spacer?
- A jeśli to właśnie te spacerki jej zaszkodziły?
- Nic jej nie jest, mamó. - Lecz Anna czuła w sercu łaskotanie delikatnego piórka paniki.

Kolejnego ranka trudno było Lydię obudzić. W stoczni Anna czuła się zbyt zaniepokojona, by wyjść w porze lunchu. Nawet znajoma kąśliwość mężatek wydawała się mniej złowroga niż samotne jedzenie wśród wydłużonych grudniowych cieni. Po pracy pędziła do domu, modląc się gorączkowo, by matka powitała ją z uśmiechem, by Lydia znów siedziała na swoim wózku i też się uśmiechała. Zanim jednak pokonała ostatni zakręt schodów, drzwi gwałtownie się otworzyły i matka wybiegła na klatkę.

- Pogorszyło jej się - syknęła do Anny znad poręczy. - Nie wiem, co

robić!

Serce Anny ścisnęło się w piersi. Gdy jednak weszła do mieszkania, zdołała spokojnie powiedzieć:

- Musimy zadzwonić do doktora Deerwooda.

- Nie składa wizyt domowych na Brooklynie - pisnęła matka. Roztrzęsiona Anna weszła do sypialni, w której leżała Lydia. Matka przez chwilę wahała się w drzwiach, a potem się wycofała. Anna usłyszała jej płacz. Położyła się obok Lydii, tak jak wiele razy wcześniej - tysiące nocy, odkąd były małe.

- Liddy - szepnęła. - Musisz się obudzić.

Lydia lekko uniosła powieki. Emanowały rozleniwieniem. Wydawała się dziwnie nieruchoma, jakby wolniej oddychała i wolniej biło jej serce.

- Liddy - powiedziała Anna ściszym, nagłym głosem. - Mama cię potrzebuje i ja cię potrzebuję.

W każdym jej słowie pobrzmiwała paniczna świadomość, że cokolwiek poszło nie tak, stało się to z jej winy. Ze strachu zbierało jej się na wymioty. Lydia wciąż jednak żyła. Oddychała, jej serce biło. Anna wtuliła się w siostrę i skupiła na poruszającym się w niej życiu, jakby chciała je zakotwiczyć w jednym miejscu - by wchłonęło Lydię lub zostało przez nią wchłonięte. Dryfowała wśród wspomnień: farma dziadków w Minnesocie, gdzie razem z matką zabierały Lydię dwa razy w ciągu lata, zostawiając ojca w domu. Hałastra kuzynów odsuwała się od niej jak od jakiejś dziwacznej osobliwości, a Anna czuła się niczym drugi rozbitek na wyspie, podczas gdy oni ganiłi się po lesie, wznosząc indiańskie okrzyki. Zupełnie jakby istnieli w liczbie pojedynczej: zwracano się do nich jak do jednej osoby, wspólnie dostawali bury, lanie i nagrody, a o te ostatnie musieli między sobą walczyć. Przepychali się do Lydii jak jedna masa, oglądali jej włosy i koronkowy kołnierzyk, który Anna przyszyła do jej sukienki.

- Czy ona coś robi? - pytali.

- Nie - odpowiadała Anna, nienawidząc swojej siostry. - Nie robi zupełnie nic.

W następnych tygodniach zaczęło się jednak dziać coś niespodziewanego: poszczególni chłopcy oddzielali się od grupy, jakby robili to po raz pierwszy w życiu, i przychodzili posiedzieć w ciszy obok Lydii. Błagali o wydłużenie tego czasu i aranżująca te spotkania Anna poczuła się kimś ważnym. Chłopcy twierdzili, że Lydia mówi im różne rzeczy: lubiła ciasto, bała się pajaków,

najbardziej ze wszystkich zwierząt kochała króliki. Nie, kozy. Kurczęta. Konie. Świnie. „Ona nigdy nawet nie widziała świni, ty matole!”

- Tęskni za domem - powiedział Freddie, najmniejszy z chłopców, po tym jak przez piętnaście minut trzymał Lydię za rękę.

- Za czym konkretnie? - spytała Anna i czekała, aż chłopiec powie: „Za tatą”. Jednak choć Freddie mieszkał trzydzieści kilometrów od najbliższego jeziora, powiedział:

- Tęskni za morzem.

Wtedy Anna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jej siostra nigdy nie widziała morza.

Wieczorem matka przygotowała kąpiel i Anna umyła Lydii włosy. Miały nadzieję, że przyjemna, ciepła woda ją ożywi, lecz stało się wręcz przeciwnie: Lydia unosiła się na powierzchni z zamkniętymi oczami, z leciutkim uśmiechem na ustach. Anna miała dziwne wrażenie, że w powyginanym ciele, które trzyma, nie ma już jej siostry, w każdym razie nie do końca. Zupełnie jakby Lydia oddalała się ku tajemnicy, w której po trosze zawsze miała swój udział, jakby przyciąganie tej tajemnicy było zbyt silne, by mogła mu się oprzeć.

Kolejnego poranka Anna zasnęła i musiała pędzić, żeby zdążyć do zakładu na ósmą. Widok nieruchomej Lydii na łóżku nękał ją cały dzień. Mierzyła części w stanie przypominającym transowe skupienie bardzo podobne do modlitwy, strach i nadzieja przeplatały się w palącej obręczy wokół jej serca. „Proszę, niech dzisiaj nastąpi przełom. Proszę, niech jej się dzisiaj poprawi”.

Po powrocie do domu zobaczyła nieznany płaszcz i kapelusz wiszące po wewnętrznej stronie drzwi, laskę opartą o ścianę. Położyła torebkę, zdjęła buty i cicho weszła w pończochach do swojego pokoju. Doktor Deerwood siedział na krześle w kuchni tuż za drzwiami. Matka przycupnęła na łóżku Anny. Lydia leżała w swoim, miała nienaturalnie wyprostowane ciało. Jej zamknięte oczy były dziwnie zapadnięte. Koc unosił się i opadał na jej klatce piersiowej niczym wahadło kołyszące się bardzo, bardzo powoli.

Doktor Deerwood wstał z krzesła i uściśnął Annie rękę. Wyjęty ze swojego luksusowego gabinetu wyglądał jak zwykły lekarz, który przyszedł z domową wizytą. Choć jego sztywna czarna torba była zamknięta i nie działało się nic, co miałoby jakiś szczególnie związek z leczeniem, jego obecność dawała poczucie porządku i bezpieczeństwa. Anna natychmiast odzyskała wiarę w niego. Skoro był u nich lekarz, nic nie mogło pójść źle.

Uklękała w wąskiej przestrzeni między łózkami i położyła głowę obok głowy Lydii, wdychając kwiatowy zapach szamponu z poprzedniego wieczoru.

- Nie powinnam była z nią wychodzić - powiedziała matka. - Za bardzo wiało.

- Nonsens - odrzekł doktor Deerwood.

- Pogorszyło jej się.

- Nie wolno pani tak myśleć, pani Kerrigan - uspokajał ją cicho i z przekonaniem. - To nie tylko błędne, ale i szkodliwe. Podarowała pani Lydii kolejne przyjemne doświadczenie w życiu, które w nie obfituje.

- Skąd pan wie? - drażyla matka. - Skąd ta pewność?

- Proszę na nią spojrzeć - powiedział lekarz i zrobiły to obie; Anna uniosła głowę, by popatrzeć na promienne ciało siostry, na delikatne kości jej twarzy, na jej bujne włosy. Oczy Lydii zdawały się drzeć pod długimi rzęsami, jakby obserwowała ich zza jedwabistej zasłony powiek.

W matce Anny coś pękło. Zgięła się wół i zaczęła wyć jak zwierzę. Anna nigdy nie słyszała, by wydawała z siebie takie dźwięki. Przeraziły ją - jakby jej matka postradała zmysły albo miała się zaraz rzucić przez okno. Ogarnęła ją panika -to była jej wina! Ale nie, przecież nie zrobiła nic złego. Tak powiedział lekarz, a jego obecność to potwierdzała.

Doktor Deerwood ujął dłonie jej matki. Miał wielkie ręce, szerokie i zniszczone jak u robotnika. Anna przyglądała się im zafascynowana - jak to możliwe, że nigdy dotąd nie zauważyła tych ogromnych dłoni?

- Pani Kerrigan, musi mi pani uwierzyć - powiedział. -Robi pani wszystko, co tylko można.

- To za mało - zapłakała matka.

- To aż nadto.

Jego słowa zawisły w powietrzu jak echo. Gdy odmówił sobie kawy, którą zazwyczaj pił po wizycie domowej, i sięgnął po płaszcz, kapelusz oraz laskę, a Anna utkwiała spojrzenie w jego niesfornych srebrzystych brwiach; gdy ucisnął im dłonie i wszyscy zrozumieli, że więcej się nie spotkają; gdy odgłos jego kroków ucichł na schodach i gdy obie znów znalazły się w pokoju przy Lydii, Anna wciąż słyszała głos lekarza: „To aż nadto”.

Matka spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

- Nawet nie otworzył torby - powiedziała.

*

Pogrzeb odbył się w zimną niedzielę tydzień przed Bożym Narodzeniem. Anna siedziała w pierwszej ławce między Stellą Iovino a Lillian Feeney, jej matka między ciotką Brianne a Pearl Gratzky, która stała się dla niej bardziej przyjaciółką niż szefową, odkąd przed dwoma laty odszedł pan Gratzky.

To właśnie Pearl kupiła bukiet białych lilii na ołtarz. Ich zapach przeszywał powietrze, gdy ojciec McBride przyrównywał Lydię do baranków, aniołków i innych miłych sercu niewiniątek.

Po śmierci siostry Annę spowiło miłosierne odrętwienie umożliwiające wykonanie wielu logistycznych zadań, z którymi trzeba było się zmierzyć: wzięcie krótkiego urlopu w stoczni, zorganizowanie pogrzebu i stypy, kupno trumny i kwatery na cmentarzu. Sprawa wyboru miejsca spoczynku Lydii przez chwilę paraliżowała Annę i jej matkę. Cała rodzina matki była pochowana w Minnesocie i myśl o tym, że Lydia znalazłaby się sama wśród obcych, była nie do zniesienia. Ostatecznie wybrały cmentarz New Calvary, gdzie Pearl Gratzky przekazała Lydii miejsce, które kupiła dla siebie obok męża, i gdzie znalazła się dodatkowa przestrzeń po obu stronach dla Agnes i Anny. Takie rozwiązanie wywołało euforię Pearl. „Będziemy mogły razem chodzić na cmentarz!”, zawołała ze skwapliwą ulgą osoby przekonanej, że przedłużyła swoje bytowanie na ziemi.

Gdy wychodziły z kościoła za trumną Lydii, Anna zdumiała się na widok tłoku, jaki zapanował w ławkach podczas mszy. Kim byli ci wszyscy ludzie? Spodziewała się garstki żałobników - Mucciaronich, Iovinów, Feeneyów, lecz zobaczyła dziesiątki innych twarzy, znajomych, choć trudnych do skojarzenia. Starsze panie z budynku po drugiej stronie ulicy, które opierały łokcie na kuchennych ścierkach i obserwowały wszystko z góry. Sąsiedzi, którym Anna mówiła tylko dzień dobry. Silvio Mucciarone łkał w objęciach matki. Pan White płakał niepoohamowanie w chusteczkę. Dziesiątki kobiet unosiły woalki niedzielnych kapeluszy i wycierały oczy. Chłopcy z sąsiedztwa byli oczywiście nieobecni, zaciągnęli się albo zostali powołani, a znaczna większość ich ojców wyjechała w poszukiwaniu zatrudnienia albo pracowała na niedzielnej zmianie. Stojąc pod szarym niebem wśród tak licznych kobiet, Anna zaczęła rozumieć ten kolektywny smutek: Lydia była ostatnim stałym elementem pośród wielu bolesnych zmian.

Brianne nadzorowała stypę, stawiając na stole zapakowane potrawy przyniesione przez sąsiadów, oraz hojnie częstowała piwem i whiskey, które

sama przyniosła. Goście wylewali się na korytarz i klatkę schodową, trzymając jedzenie w papierowych serwetkach, najprawdopodobniej doprowadzonych przez Brianne z baru w Sheepshead Bay, który nazywano Dizzy Swain. Na każdej widniał rysunek przedstawiający pasterza: serduszka w oczach, owce u stóp, zakrzywiony kij w jednej ręce i shaker do drinków w drugiej.

Anna wspięła się po schodach przeciwpożarowych razem z Lillian i Stellą. W płaszczach i kapeluszach przytuliły się do siebie przy lodowatej żelaznej kracie. Miło było się wcisnąć między stare przyjaciółki, z którymi chowały się kiedyś w szafkach i spały na jednym materacu w parne noce, gdy ich rodziny wychodziły na dach. Zaplatały sobie warkocze, robiły fale preparatem do trwałej ondulacji marki Toni i goliły pachy brzytwą pana Iovino. Lillian, której okrągła i piegowata twarz nadawała wygląd czternastolatki, pracowała jako stenografka i mieszkała u ciotki na Manhattanie. Piękna Stella właśnie się zaręczyła. Co rusz prostowała długie palce, by podziwiać maleńki brylancik w kształcie łyżki, który podarował jej narzeczony, przyklękawszy na kolano, zanim wyjechał na obóz dla rekrutów.

- Jestem winna Seamusowi list - powiedziała Anna do Lillian.

- Mój brat myśli, że za niego wyjdiesz, jeśli wróci jako bohater wojenny - odpowiedziała Lillian.

- Wyjdę - odrzekła Anna. - Czego się nie robi dla bohatera.

Pani Feeney zorganizowała pisanie listów, gdy Seamus się zaciągnął, i teraz Anna pisała długie listy do chłopców z sąsiedztwa, których prawie nie znała, gdy jeszcze byli w domu.

- Mama nie chce, żebyśmy im pisały o zaręczynach Stelli. - Lillian ściągnęła usta i parodiowała jeden z tych filmowych akcentów, które często razem naśladowały. - Niech chłopaki mają po co żyć.

- Nie odbierajmy żołnierzowi marzeń - powiedziała Anna tym samym tonem, ale bez przekonania.

- Naprawdę, dziewczyny, głowa napęcznieje mi przez was jak wielki balon - dorzuciła Stella, przeciągając samogłoski, ale scenka im nie wyszła i w milczeniu spojrzały na ulicę.

- Odezwał się twój tata? - spytała Lillian.

Anna pokręciła głową.

- To okropne, że nie wie - mruknęła Stella.

- Chyba nie żyje - powiedziała Anna.

Spojrzały na nią zdziwione.

- Dowiedziałas się czegoś? - spytała Lillian.

Anna zastanawiała się nad odpowiedzią. Prawie nie widywała się z przyjaciółkami, odkąd zaczęła pracę w stoczni -przez wojnę wszystkie były bardzo zajęte. Nie potrafiła im powiedzieć o Dexterze Stylesie ani wyjaśnić zmiany, jaka zaszła w jej myśleniu. Musiałyby wyjaśniać zbyt wiele.

- Bo niby dlaczego nie wrócił? - spytała w końcu. - Czy mógłby tak po prostu... zapomnieć?

Stella wzięła ją za rękę. Nowy pierścionek zaręczynowy był jak drobinka lodu na ciepłej skórze przyjaciółki.

- Chcesz powiedzieć, że dla ciebie jest martwy - podsumowała Stella.

*

Matka obudziła Annę w środku nocy.

- Nie znamy pana Gratzky'ego! - syknęła córce do ucha. -A jeśli to nie jest miły człowiek?

- Jest miły - powiedziała zaspana Anna.

- Wierzysz Pearl na słowo, ale przecież nawet go nie znałyśmy Nigdy nie wstawał z łóżka!

- Ja go poznałam - odparła Anna.

Matka oniemiała.

- Poznałaś pana Gratzky'ego?

- Pokazał mi swoją ranę.

*

Nazajutrz rano, w poniedziałek, zmusiła się do wstania z łóżka w wojennych ciemnościach. Błat w kuchni był usłany serwetkami z Dizzy Swain. Brianne przenocowała u nich i z łóżka matki dobiegało donośne chrapanie.

Gdy Anna wchodziła do tramwaju, miała wrażenie, że jej kończyny dygoczą i są jakieś dziwne, lecz zanim dołączyła do tłumu przed bramą przy Sands Street, poczuła się silniejsza. Poranne zimowe słońce wdzierające się do jej oczu na Flushing Avenue i gwałtowne podmuchy słonego wiatru

działały pokrzepiająco. Lydia nigdy nie była w stoczni marynarki wojennej. Pomijając pana Vossa i Rose, nikt tam nie wiedział o jej istnieniu.

Wracając wieczorem do domu, Anna odkryła, że jej klucz nie pasuje do zamka. Matka wpuściła ją do środka i dała jej nowy, przyprószony opiłkami metalu.

- Jeśli twój ojciec przypadkiem wróci - powiedziała - nie będzie już mile widziany w tym domu.

Anna nie mogła w to uwierzyć.

- Spodziewasz się go?

- Już nie.

Przez następne dwa dni matka opróżniała szafę i komodę ze wszystkich ubrań ojca. Piękne garnitury, które Anna pomagała szyć i przerabiać, eleganckie buty i płaszcze, malowane krawaty i jedwabne poszetki - wszystko upokarzająco złożone trafiało do kartonów po płatkach H-O i czekoladowym syropie Bosco. Zanim matka zamknęła i zawiązała jedno z pudeł, Anna na chwilę wyjęła z niego marynarkę. Wyszła z mody, brakowało jej kanciastych ramion i wojskowego kroju, który tak się teraz wszystkim podobał. Silvio zaniósł pudła do kościoła, żeby ojciec McBride rozdał te rzeczy ubogim.

Z pozoru życie Anny prawie się nie zmieniło. Wychodziła do pracy, kiedy było ciemno (matka jeszcze spała), i wracała o zmierzchu. Boże Narodzenie nadeszło i minęło, nastał rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. Szyły, żeby wieczorem mieć jakieś zajęcie: podomkę z haftowanymi klapami na prezent ślubny dla Stelli, ubranka do chrztu dla dzieci najstarszych kuzynów Anny - tych ubłoconych, niesfornych chłopaków z farmy, którzy teraz służyli w wojsku - bo żony części z nich spodziewały się już potomstwa. Słuchały w radiu seriali *Counterspy*, *Manhattan at Midnight*, *Doc Savage*. Sąsiedzi przynosili jedzenie, które odgrzewały sobie na kolację. Porządek dnia stał się czymś na kształt kruchego, prowizorycznego mostu nad przepaścią. Matka Anny spędzała w tej przepaści kolejne dni, pogrążona w martwocie i ośpieniu, a Anna bała się, że sama także je poczuje. Ratowało ją od tego chodzenie do pracy. Dokonywała pomiarów, pogrążona w stanie milczącego wycofania. Wszyscy wiedzieli, że umarł jej ktoś z rodziny, i mężatki znowu były dla niej miłe. Nie udało się jednak wskrzesić niesfornej młodszej siostry, którą odgrywała przed nimi wcześniej.

O dziwo, bez Lydie mieszkanie wydawało się mniejsze. Anna i jej matka zderzały się ze sobą, przemieszczając się między pokojami, w tym samym momencie skręcały w stronę lodówki, okna, zlewu. Czasami gdy wracała do

domu, matka nadal spała i nic nie świadczyło o tym, by wstawała z łóżka z zamiarem zrobienia czegoś ponad pójście do toalety w korytarzu. Raz matki nie było w domu i Anna krążyła po małych pomieszczeniach, głęboko oddychając i czując ulgę, że znowu jest sama, a potem miała wyrzuty sumienia z powodu tej ulgi. Okazało się, że matka chodzi do automatu telefonicznego w White s Drugstore i dzwoni do sióstr w Minnesocie. Robiła to coraz częściej, zbierała monety w puszcze po kawie, by zaspokoić apetyt nienasyconych telefonistek.

Pewnego wieczoru Anna zauważyła kilka starych kostiumów rewiowych matki rozłożonych na łóżku: krótką spódniczkę z żółtych piór, gorset z zielonymi skrzydłami, czerwoną kamizelkę roziskrzoną cekinami. Następnego wieczoru już ich nie było.

- Pearl je komuś sprzeda - oznajmiła matka, gdy jadły cannelloni od pani Mucciarone i słuchały *Easy Aces*. - Podobno teraz są coś warte, bo Follies przestały istnieć. Ktoś mógłby je umieścić w muzeum. — Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Przymierzałaś je?
- Jestem za gruba.
- Schudłabyś, gdybyś znowu tańczyła.
- W wieku czterdziestu jeden lat? Każdy widzi, że jestem skończona.

W pewnym sensie Anna wiedziała, że patrząc na cierpienie matki, powinna spowić się chmurą czułości i współczucia, ale unosiła się ona jakby tuż za jej zasięgiem. Zamiast tego tylko się wzdrygnęła. Matka była słaba, ale Anna nie. Rano pędziła do pracy, zadowolona z obojętności, która spowijała ją po przejściu przez bramę przy Sands Street. Starła się zapomnieć o mieszkaniu i wszystkim, co się w nim znajdowało.

W styczniu, trzy tygodnie po jej powrocie do pracy, pan Voss wezwał ją do swojego biura i spytał, czy nadal jest zainteresowana nauką nurkowania.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Oczywiście.

Kapitan Axel potrzebował więcej cywilnych ochotników: zbyt wielu nie zdołało ukończyć szkolenia.

- Przypomniał sobie o pani - powiedział pan Voss. - Widocznie zrobiła pani na nim wrażenie.

- Ja też go pamiętam - odrzekła Anna.

Kilka dni później, wspinając się wieczorem po schodach, poczuła, że zza

drzwi jej mieszkania po raz pierwszy od początku grudnia wydobywa się zapach prawdziwego obiadu. Otworzyła je i instynktownie spojrzała w stronę frontowych okien, gdzie jeszcze niedawno siedziała Lydia. Pusty wózek stał złożony pod ścianą. Annę ścisnęło w żołądku, jakby ktoś ją kopnął.

- Cześć, mamó! - zawołała, ale zabrzmiało to jak szloch. Matka wzięła ją w ramiona i długo do siebie tuliła.

Agnes przygotowała ucztę: stek i tłuczone ziemniaki, marchewkę i fasolkę szparagową, sok grejpfrutowy.

- Tak długo karmili nas sąsiedzi, że opływamy w kartki na żywność - tłumaczyła. - Dziś po południu zaniósłm ich trochę Feeneyom i państwu Iovino.

- Co się stało, mamó?

- Najpierw nacieszmy się posiłkiem.

Jedzenie w ciepłej kuchni sprawiło, że Anna zrobiła się senna. Gdy skończyły wiśnie z puszki z lodami waniliowymi, matka odłożyła łyżkę i powiedziała:

- Chyba przyszła pora, żebyśmy wróciły do domu.

- Do domu...?

- Do Minnesoty. Spędzimy trochę czasu z moimi rodzicami i siostrami. I oczywiście z twoimi kuzynami.

-Na farmie?

- Anno, dźwigasz ogromny ciężar. Jestem ci bardzo wdzięczna. Ale już pora, żebyś odpoczęła. Pozwólmy, by przez jakiś czas opiekowała się nami rodzina. Chociaż na farmie na pewno znajdzie się dla nas jakieś zajęcie - dodała cicho.

- Przecież nienawidzisz farmy!

- To było dawno temu. A tobie zawsze bardzo się tam podobało.

- Jasne, kiedy wpadałyśmy z wizytą, ale teraz... nie mogę wyjechać, mamó - powiedziała, otrząsając się z sennego zadowolenia. - Będą mnie uczyli nurkować.

- Co takiego?

Anna nigdy wcześniej nie wspominała matce o nurkowaniu - chciała je chronić przed chłodem jej obojętności.

- Nie mogę wyjechać - powtórzyła.

Pojawienie się przeszkody, nawet tak trudnej do zidentyfikowania, natychmiast wywołało u matki konsternację.

- Rozmawiałam już ze wszystkimi - powiedziała wysokim, cienkim głosem. - Bardzo się cieszą na nasz przyjazd.

- Jedź sama. Ja tu zostanę.

Matka zerwała się z krzesła, przewracając je na podłogę.

- Wykluczone - rzuciła i Anna zrozumiała, że za stekiem, ziemniakami i wiśniami, może nawet za długim przytulaniem, krył się strach matki przed jej sprzeciwem.

Czy Anna kiedykolwiek słyszała, żeby niezamężna dziewczyna mieszkała sama, pomijając takie stare panny jak panna DeWitt z drugiego piętra, którą dzieci uważają za czarownicę? Nie, nie słyszała, ponieważ niezamężne dziewczyny nie mieszkają same - chyba że należą do innego rodzaju dziewczyn, do którego Anna nie należy. Co pomyślą sąsiedzi? Kto będzie na nią czekał pod koniec dnia? Przygotowywał jej śniadanie i kolację? A jeśli po schodach przeciwpożarowych wespnie się jakiś intruz? A jeśli Anna się rozchoruje albo coś jej się stanie? Anna powiedziała, że mogłaby się wprowadzić do hotelu dla kobiet, tak jak zrobiła jej matka po przyjeździe do Nowego Jorku. Tak, tylko że wtedy były inne czasy. Teraz Niemcy mogą zacząć nalot i jak wtedy ucieknie? A jeśli zaatakują od strony morza? Czy w listopadzie nie zamknięto portu z obawy przed inwazją? Czy latem Niemcy nie wylądowali na plaży w Amagansett? Poza tym w hotelach dla kobiet dzieje się więcej, niż można sobie wyobrazić.

Matka rozpaczliwie chciała wyjechać, a Anna była zdeterminowana, żeby zostać, więc żadna z nich ani przez chwilę nie wątpiła w wynik tej dyskusji. Anna zrozumiała to już na początku i dzięki temu zachowała wystarczający spokój, by zapewniać matkę, że wszystko będzie dobrze: miała tu Feeneyów, państwa Iovino i Mucciaronich, Pearl Gratzky niedaleko Borough Hall i Lillian Feeney na Manhattanie. Mogła zostawić wiadomość dla ciotki Brianne w Sheepshead Bay. Jej przełożony, pan Voss, pomógłby jej w razie potrzeby. Nurkowanie oznaczało dłuższe godziny pracy, w domu przede wszystkim by spała. A poza tym na Brooklynie było pełno dziewczyn mających mężów za morzem - czy gdyby Anna zamieszkała sama, tak bardzo by się od nich różniła?

I tak oto w niedzielne popołudnie pod koniec stycznia, pięć tygodni po pogrzebie Lydii, Anna pomogła matce załadować do taksówki dwie walizki.

Agnes miała pojechać nocnym Broadway Limited do Chicago i następnego dnia wieczorem wsiąść do pociągu 400 do Minneapolis (szaleństwo, za które płacił Homarowy Król).

Na Pennsylvania Station roiło się od żołnierzy noszących identyczne brązowe torby. Annę ucieszył gwar ich rozmów i widok wijących się smużek papierosowego dymu. Usiadła obok matki w Grand Hall i patrzyła, jak gołębie trzepoczą skrzydłami pod sufitem o strukturze plastra miodu. Czuła, że powinny z Agnes coś do siebie powiedzieć, ale wszystko, co przychodziło jej na myśl, wydawało się oczywiste. Obie zwlekały, czekały, a potem musiały pędzić do nękanej przeciągami hali, gdzie zaczynały się schody prowadzące na perony. Dwaj żołnierze nieśli walizki. W Annie narastała niecierpliwość, jakby ona także miała wsiąść do pociągu. Może jednak chciała pojechać do Minnesoty? Nie. Chciała, żeby pojechała tam matka.

Agnes też pragnęła jakiejś znaczącej wymiany zdań -dlatego pożegnała się z Pearl i Brianne poprzedniego dnia i przyjechała na dworzec tylko z Anną.

— Nie mogę znieść myśli, że zostaniesz tu sama - wykrztusiła na peronie.

- Nie będę sama - powiedziała Anna, bo i trudno jej było wyobrazić sobie, że jest samotna. Była taka niezależna.

- Będę pisała codziennie. Pierwszy list wyślę jutro z Chicago.

- Dobrze, mammo.

- Dzwon, kiedy zechcesz. Zostawiłam w kuchni puszkę pełną monet. Telefon jest w głównym budynku na farmie, ale jeśli mnie tam akurat nie będzie, uderzą w dzwon.

- Pamiętam.

Wszystko było nie tak, jak powinno, ale Agnes najwyraźniej nie potrafiła przestać.

- Pani Mucciarone bardzo się cieszy, że będzie dla ciebie gotowała. Za ten tydzień już jej zapłaciłam. Jutro będziesz mogła odebrać obiad, wracając z pracy.

- Dobrze, mammo.

- A rano oddaj talerz.

- Tak.

- Zanoś jej swoje kartki żywnościowe.

- Oczywiście.
- Będiesz odwiedzała Lydię?
- Co niedziela.

Rozległ się gwizd lokomotywy. Agnes czuła, że córka tylko czeka, żeby już wsiadła do pociągu, a to sprawiło, że zapragnęła się jej ucześcić, jakby przytulenie mogło w jakiś sposób obudzić w Annie potrzebę bycia przytulaną. Agnes objęła ją gwałtownie, najzwyczajniej siłą próbując otworzyć zamkniętą cząstkę Anny, tak głęboko schowaną. Przez jedną urojoną chwilę muskularne ramiona, które trzymała, wydawały jej się ramionami Eddiego. Agnes ścisnęła na pożegnanie całe swoje życie: męża, córkę i kruchą młodszą latorośl, którą kochała najbardziej. Wspięła się do wagonu sypialnego drugiej klasy i pomachała Annie przez okno. Pociąg ruszył, podrywając do lotu stado trzepoczących rąk. Agnes uświadomiła sobie, że to ten sam dworzec - może ten sam peron - na który przyjechała, mając siedemnaście lat, by szukać szczęścia. Machając, pomyślała: „To koniec mojej historii”.

Pociąg zniknął za zakrętem i wszystkie ręce opadły, jakby ktoś przeciął sznurek podtrzymujący je w górze. Ludzie pospiesznie wyszli, by zrobić miejsce nowym podróżnym, którzy wsiadali do pociągu po drugiej stronie peronu, żegnani z kolei przez swoich bliskich. Anna stała w miejscu, wpatrując się w puste tory. W końcu weszła po schodach do hali, usuwając się na bok, by przepuścić spieszących się żołnierzy i ich rodziny. Zaczęła do niej docierać nowa świadomość: nie musiała teraz nigdzie być. Zaledwie kilka minut temu pędziła po schodach tak jak ci ludzie, lecz teraz nie miała powodu, by się spieszyć czy choćby iść. Osobliwość tego doznania przybrała na sile, gdy Anna znalazła się z powrotem na Siódmej Alei. Stała w zmierzchu, zastanawiając się, czy skręcić w prawo czy w lewo. Na północ czy na południe? Miała pieniądze w portfelu, mogła iść, dokąd tylko zechce. Jakże pragnęła być wolna i nie musieć martwić się o matkę! Teraz ta wolność wydawała jej się jednak jakaś oklapnięta, całkiem jak te machające ręce, które opadły, gdy pociąg zniknął za zakrętem.

Ruszyła na północ, w stronę Czterdziestej Drugiej, postanawiając, że obejrzy film w New Amsterdam. Gdy dotarła do kina, *Cień wątpliwości* trwał od zaledwie dziesięciu minut. Mogła usiąść w tej samej sali - być może w tym samym miejscu - gdzie jako mała dziewczynka widziała występ swojej matki. Nie miała już jednak ochoty siedzieć i oglądać przerażającego filmu. Pragnęła dążyć do celu, który zdawał się przyświecać całej reszcie ludzi na Czterdziestej Drugiej: grupkom roześmianych marynarzy, dziewczynom z upiętymi i spryskanymi lakierem włosami, starszym parom, paniom w futrach

- wszyscy poruszali się żwawo w ponurym półmroku. Anna obserwowała ich badawczo. Skąd wiedzieli, dokąd iść?

Postanowiła wrócić do domu. Idąc w stronę stacji metra przy Szóstej Alei, minęła pchli cyrk, bar, w którym serwowano *czau mein*, szyld zapraszający na wykłady poświęcone przyczynie śmierci Rudolpha Valentino. Powoli zaczęła zauważać inne samotne postacie wystające w drzwiach i pod markizami: ludzi pozbawionych oczywistego miejsca, w którym powinni być. Przez szybę w oknie Grant's na rogu Szóstej zobaczyła jedzących samotnie żołnierzy i marynarzy, a nawet parę dziewczyn. Obserwowała ich, podczas gdy za jej plecami uliczni sprzedawcy gazet wykrzykiwali wieczorne nagłówki: „Trypolis pada!”, „Rosjanie zdobywają przewagę pod Rostowem!”, „Naziści mówią, że Rzesza jest zagrożona!”. Dla Anny brzmiało to jak podpisy pod obrazkami ludzi samotnie spożywających posiłek. Wojna pozrywała więzi. Te samotne osoby w Grant's nie były z nikim związane. A teraz ona także nie była z nikim związana. Czuła, z jaką łatwością mogłaby się ześlizgnąć w szczelinę zaciemnionego miasta i zniknąć. Uczucie to dotknęło ją wręcz fizycznie niczym lekkie, natrętne ssanie podpowierzchniowego prądu. Wystraszyła się i szybko ruszyła w stronę zejścia na stację metra.

Gdy jednak dotarła do schodów, ciekawość związana z tą nową sytuacją powstrzymała ją od zejścia na dół. Poszła dalej, ku Piątej Alei, wzdłuż której tliły się latarnie, upodabniając ją do mrocznej jamy. Biblioteka publiczna górowała nad nią jak kostnica. Jako chłopiec jej ojciec widział, jak budują jej gmach nad brzegiem zbiornika wodnego. Ten fakt powrócił do Anny na chwilę przed głosem ojca, który mruknął tak zwyczajnym tonem, jakby zawsze przy niej był: „Cylindry po obu stronach ulicy... rozpieszczone konie, które wzgardziłyby zwykłą marchewką, jedna rezydencja w miejscu, gdzie teraz stoi cały hotel Plaża, wyobrażasz to sobie?”. Jego głos: swobodny, poufały, ochrypliwy ze znużenia i od dymu. Jego głos w samochodzie, nawet gdy nie słuchała.

Po latach rozłąki ojciec do niej wrócił. Nie widziała go, lecz czuła gruzłowaty ból wywołany przez jego dłonie wpijające się jej w pachy, gdy zgarniał ją z podłogi i dokądś niósł. Słyszała stłumiony brzęk monet w kieszeniach jego spodni. Jego ręka była gniazdkiem, do którego podłączała swoją rękę, gdziekolwiek szli, nawet kiedy nie miała na to ochoty. Anna przystanęła, oszołomiona mocą tych wrażeń. Bez zastanowienia uniosła palce do twarzy, prawie jakby spodziewała się ciepłego, gorzkiego zapachu jego tytoniu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jednym z dziwacznych faktów związanych z długą znajomością Dextera z panem Q.-blisko trzydziestoletnią, jeśli liczyć od chwili, w której zakochał się w jego pachółkach w restauracji swojego ojca - było to, że bardzo rzadko się widywali. Najwyżej cztery razy w roku, chyba że pojawiały się jakieś problemy. Mimo to pan Q. był wszechobecny: cichy wspólnik i główny udziałowiec wszystkich przedsięwzięć Dextera, pierwszy czerpał z nich zyski. Przepływ pieniędzy między nimi dwoma był nieustanny i skomplikowany. Przybrał formę legalnych czeków i dyskretnych zwitków przemieszczających się w obu kierunkach - najważniejszym zadaniem Dextera była ochrona gargantuicznych nielegalnych zysków jego szefa przed nienasyconym apetytem urzędu skarbowego. Żaden człowiek nie był w stanie zastraszyć pana Q., lecz bezduszne siły systemu podatkowego i kontroli finansowych to zupełnie inna para kaloszy. Uległ im nawet wielki Al Capone. Takiego syndykatu nie był w stanie pokonać żaden syndykat.

Niewprawny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że pan Q. nadal utrzymuje się z działalności rolnej, której korzenie sięgały poprzedniego stulecia, gdy jako młody mężczyzna przyplłynął kliperem i zobaczył Brooklyn obfitujący w farmy. Robił wino, przetwory i sery w domu w Bensonhurst i sprzedawał je niespełna kilometr dalej w mało atrakcyjnym sklepie, w którym pracowali jego czterej synowie.

Dexter zatrzymał się teraz właśnie przed tym sklepem, jak co tydzień w poniedziałek rano (tylko w tym dniu wstawał razem z resztą świata), z książeczką czekową w kieszonce na piersi i ze starannie zapakowanymi zwitkami gotówki w kilku innych. Gdy otworzył drzwi, zadźwięczał dzwonek. Frankie, najstarszy syn pana Q., który wyglądał, jakby dobiegał sześćdziesiątki (choć kto go tam wiedział), tkwił za ladą. Podobnie jak jego bracia, Giulio, Johnny i Joey, Frankie miał rzadkie, nabrylantynowane włosy i pozbawioną wyrazu twarz. Wszyscy pachnieli goździkami albo pieprzem, wonią artykułów sypkich, choć możliwe, że pachniał tak sam sklep. Dexter rzadko widywał ich w innych miejscach.

- Dzień dobry, Frankie.
- Dobry.
- Miło spędziłeś weekend?
- No jasne.
- Było strasznie zimno, prawda?

- A tak, jeśli się nad tym zastanowić, to rzeczywiście było.
- Wszystko dobrze u twojej pani?
- A jakże.
- A u wnuków?
- O, pewnie, wyśmienicie.
- Rosną, co?
- Mało powiedziane.

Pomijając sporadyczne zmiany związane z temperaturą, porą roku i konfiguracją rodzinną (Joey, najmłodszy z braci, nie miał jeszcze wnuków), nie sposób było odróżnić tej rozmowy od tych, które Dexter prowadził w każdy poniedziałek rano z tym synem pana Q., którego akurat zastał w sklepie. Wszyscy byli tak doskonałymi pełnomocnikami ojca, że kusiło, by traktować ich jak drony: mężczyzn, których każdy ruch był kontrolowany z daleka. Czasami jednak Dexter odnosił wrażenie, że w ich bezmyślnych twarzach dostrzega pokłady wspomnień, wiedzy i przemyślanych opinii.

Wypisał panu Q. czek na osiemnaście tysięcy dolarów: należny zysk z poprzedniego tygodnia.

- Wojna sprzyja nocnym klubom, bez dwóch zdań - powiedział, machając dłonią nad kartką, żeby atrament wysechł.
- Tata się ucieszy.
- Zajazdy nie przynoszą aż takich zysków, brakuje benzyny. Ale kluby w mieście nadrabiają to z nawiązką.
- Skurczybyki.
- Słuchaj, dziś po południu chciałbym porozmawiać z twoim tatą, jeśli znajdzie wolną chwilę.
- Wiesz, gdzie go szukać.
- Może wpadłbym koło trzeciej.

Odbyło się to tak spontaniczne, że trudno byłoby uznać spotkanie za umówione, lecz nie miałyby lepszej gwarancji, że do niego dojdzie, nawet gdyby biegła w stenografii absolwentka szkoły sekretarek wpisała je do terminarza pana dyrektora.

Zanim Dexter się pożegnał, wsunął do ręki Frankiego trzy koperty pękate od gotówki: nieudokumentowane zyski z ostatniego tygodnia. Najgrubsza jak

zwykle zawierała dochody z gier i była oznaczona ołówkiem na odwrocie jako „nr I”.

- Nie widziałeś ostatnio Badgera? - spytał Dexter, odwracając się do wyjścia.

- Przychodzi tu prawie codziennie - powiedział Frankie.

- Radzi sobie? Jest tu nowy i w ogóle.

- Powiedziałbym, że radzi sobie całkiem nieźle - odrzekł Frankie ze śmiechem, co mogło oznaczać tylko tyle, że Badger przynosi pieniądze. Skąd? Może kradł portfele na wyścigach. Nawet to zdawało się wykraczać poza jego możliwości. Chłopak zaskoczył Dextera, nie zjawiając się więcej po tym, jak w październiku został wyrzucony z samochodu. Później chodziły słuchy, że zwąchał się z Aldem Romą, staromodnym gangsterem i jednym z pomniejszych podległych panu Q. bossów, z którym Dexter utrzymywał serdeczny, nieufny dystans.

Potem, jadąc cadillakiem do Heelsa, Styles zaczął się przygotowywać do wizyty u pana Q. Inni szefowie umilali sobie dni w klubach towarzyskich, plotkując ze swoimi pomagierami - ale nie ten. Odkąd Dexter sięgał pamięcią, krążyły pogłoski, że pan Q. jest skończony, że to zdzieciniały wariat grzebiący w nasionach ogórka, jeżdżący w kapciach zaprzęgniętym w konia wózkiem obładowanym słoikami dżemu pomidorowego. Mimo to macki jego władzy sięgały od Bensonhurst do Albany i wodospadu Niagara, do Kansas City, Nowego Orleanu, Miami. Sprawne funkcjonowanie takiego organizmu było niełatwą czarodziejską sztuczką wymagającą całkiem sporego hokuspokus. Czy ta działalność prowadziła się sama? Kiedy - jak? - pan Q., który z pewnością dobiegał dziewięćdziesiątki, był w stanie to wszystko nadzorować? Czy krył się za nim ktoś inny - ważniejszy potentat, którego pan stał się po cichu pełnomocnikiem? Na co wydawał pieniądze? Czy to prawda, że kupił mały kraj w Ameryce Południowej?

Dexter miał wizję - jedno z objawień, które spływały na niego raz na kilka lat i których oczekiwał od niego pan Doświadczył jej, stojąc na plaży obok tej kalekiej dziewczyny tuż po Święcie Dziękczynienia, a w kolejnych tygodniach skryształizowała się ona i rozwinęła - nieprzewidziana dodatkowa korzyść z tego dobrego uczynku.

Heels mieszkał ze schorowaną matką w tym samym domu w Dyker Heights, w którym się wychował: bibeloty i kryształy, firanki nie do odróżnienia od zdobiących je pajęczyn. Mawiano, że jest zatwardziałym kawalerem. Otworzył drzwi ubrany w szlafrok Rangoon z aksamitnymi

klapami. Ostatni kosmyk jego żółtosiwych włosów leżał pieczołowicie wybrylantowany na ceramicznie lśniącej łysinie. Heels trzymał papierosa w długiej fifce z kości słoniowej.

- Wybacz, szefie - powiedział. - Dziś rano mama miała humory, nie zdążyłem się ubrać.

- To od Sulki? - spytał Dexter, wskazując wystającą spod szlafroka piżamę z turkusową lamówką. Heels miał dobry gust - była to jedna z wielu jego cech, które Dexter lubił. Posiadał kilka płaszczy z wełny wikunii andyjskiej.

- Szyta na zamówienie - odrzekł Heels. - Te od Sulki są dla mnie odrobinę za szorstkie.

- Aleś ty delikatny - rzucił oschle Dexter.

- Kawy, szefie?

Gdy Heels poszedł ją zaparzyć, Dexter rozsiadł się na kanapie w salonie. Na pianinie leżała otwarta partytura: Chopin. Dexter zawsze zakładał, że gra matka Heelsa, ale od kilku tygodni była przykuta do łóżka.

- Heels - powiedział, gdy ten wrócił z kawą. - Nie mów, że umiesz grać Chopina.

- Tylko kiedy jestem wstawiony.

Heels prowadził Pines, ale w ciągu ostatnich dwóch lat stał się wszechstronnym wysłannikiem Dextera do innych nowojorskich klubów. Codziennie przed południem, gdy obaj budzili się po kilkugodzinnej drzemce, analizowali listę problemów - albo raczej utrapień, bo tak myślał o nich teraz Dexter. Tym razem najpilniejszą sprawą był nalot policji w poprzedni wieczór na Helis Bell's we Flatlands. Trzech rozdających i krupier trafili do pudła. Heels zamierzał wpłacić kaucję.

- Ten sam porucznik? - spytał Dexter.

- Ten sam.

- Rozmawiałeś z nim?

- Próbowałem. Udaje, że nie zna naszego ojczystego języka.

- Próbuje ugrać więcej czy się popisuje?

- Powiedziałbym, że to drugie, bo nie wysunął żadnych żądań. Poza tym wspomniał o „pozbywaniu się czarnych owiec”, „niegodziwości moralnej” i „szumowinach”.

Dexter przewrócił oczami.

- Irlandus?

- Ma na nazwisko Phelan. - Heels się uśmiechnął. Sam nazywał się Healey.

- Zajmę się tym - powiedział Dexter.

Układy ze stróżami prawa były oczywiście bezdyskusyjną koniecznością i generowały zdecydowanie największe koszty w tym interesie. Na każdym szczeblu trzeba było osiągnąć porozumienie, poczynając od krawężników, którzy zadowalali się regularną dostawą alkoholu i sporadyczną kopertą, a kończąc na lokalnych dowódcach i jeszcze wyżej. Właśnie w tej sferze, gdzie szuchy z policji trzymały sztamę z przywódcami związku i stanowymi politykierami, życie zawodowe Dextera najbardziej zbliżało się do prywatnego. Bez wątplenia błękitna krew teścia i jego wiadoma zażyłość z prezydentem zapewniały Dexterowi ochronę wykraczającą poza tę, za którą płacił. Był bliżej nietykalności niż jakikolwiek człowiek w tego typu branży, lecz w policji zawsze zdarzali się młodzi idealisci, którzy chcieli wyrobić sobie nazwisko. Większość można było zawrócić za pomocą odpowiedniego zestawu pochlebstw. Takich formalistów jak Phelan przełożeni przenosili w inne rewiry.

Następny problem: pani Mackey. Dwa razy przysłała do Pinesa z policją i głośno domagała się śledztwa w sprawie zniknięcia męża.

- Ludzie bez przerwy wyjeżdżają z tego miasta - odrzekł Dexter. - Nawet jeśli nie próbują szantażować byłych pracodawców.

- Ona twierdzi, że jej Mackey nigdy by nie odszedł. Oddany mąż, kochający ojciec. Łzy.

- Czego chce?

- Przypuszczam, że tego samego co on.

- Łatwizna. Zapłać jej.

Kierownik sali, który prawdopodobnie obrabiał kasę. Menedżer, który prawdopodobnie się rozćpał. Bójka dziewczyn obsługujących stoły do gry w Wheel, w Palisades.

- Krzyk, drapanie, wyrywanie włosów - wymieniał Heels. - Za takie widowiska powinniśmy pobierać opłatę.

- O co poszło?

- Podobno podkładały sobie klientów. Ale w tej całej historii na pewno jest jakiś goguś.

- Zajmiesz się nimi? - Dexter zaczął się niecierpliwić.

- Mam w samochodzie czekoladki i szampana. Jeśli to nie pomoże, złapię je za łby i wyrznię jednym o drugi.

- Coś jeszcze?

Pół godziny później Dexter wrócił do cadillaca w stanie nieznośnego znecierpliwienia. Dziewczyny, gliniarze, ta wyłudzaczką pani Mackey - w porównaniu z jego nową wizją wszystko to było błahe i bezsensowne. Łaknął postępu, nowych spraw, które nadchodzą, gdy stare się oddalają. Miał wrażenie, że upłynęło stanowczo za dużo czasu, odkąd ostatni raz coś takiego czuł.

O trzeciej zaparkował cadillaca przed skromnym żółtym domem z drewnianym szkieletem, który koślawo przechylał się w stronę sąsiedniego budynku. Minęło wiele lat, odkąd pan Q. prowadził do ołtarza panny młode i całował rozwrzeszczane, posikane dzieci na chrzcinach. Teraz wychodził z domu tylko po to, by udać się do swojego sklepu. Nie miał dzwonka do drzwi, nie miał telefonu i z zadowoleniem powtarzał, że nigdy nie wysłał - ani nie przyjął - żadnego telegramu. Jeśli chciałeś porozmawiać z panem Q., pukałeś do jego drzwi i czekałeś, aż Lolly, jego terierka szkocka, nagłośni wieść o twoim przybyciu.

Trzy minuty po tym, jak zaczęło się szczekanie, pan Q. otworzył drzwi i zamknął Dextera w ciepłym, pachnącym owocami uścisku. Był masywny i jednocześnie porowaty, opalony na mahoń. Czas powiększył go w organiczny, mineralny sposób, niczym pień drzewa albo sól nawarstwiająca się w jaskini. Kruchość jego podeszłego wieku przejawiała się w mulistym, falującym oddechu, który kosztował go wiele trudu.

~ Usiądź - sapnął, gdy pobudliwa Lolly hałasowała u ich stóp. Na sierści na jej łbie drgały białe pasemka. - Zaparzę... kawy.

Odkąd Dexter w wieku niespełna szesnastu lat po raz pierwszy zdołał odczytać zaszyfrowane sygnały w restauracji ojca wystarczająco precyzyjnie, by doprowadziły go do tego domu, odkąd zjawił się przed drzwiami pana Q., nie mając do tego większych praw niż zbłąkany pies, każda wizyta zaczynała się od parzenia kawy na tej samej kuchni węglowej. Operacja ta wymagała najprawdopodobniej większej precyzji, niż były w stanie zapewnić sflaczałe, przypominające rękawice dłonie pana Q., lecz Dexter nigdy nie widział, by jego szef rozlał choć kropelkę.

Podczas cichego interwału, w czasie którego pan Q. stał pochylony nad kuchnią, Dexter (jak najprawdopodobniej każdy inny gość) spoglądał przez okno z tyłu budynku i porządkował myśli. Kamienne poidelko dla ptaków wypełniał śnieg, który spadł w zeszłym tygodniu, a opatulone brzoskwinie i grusze - pozostałości sadu - wyglądały jak bokserzy skamieniały w pół uderzenia. Jeszcze grubszą ochronę zapewniono sześciu winoroślom, które pan Q. przywiózł ze sobą na pokładzie statku do Nowego Jorku: korzenie w glebie, gleba w glinie, glina w grubym płótnie, grube płótno w warstwach sycylijskiej gazety. Winorośl jego młodości. O pomoc w jej przycinaniu prosił wyłącznie mężczyzn, których uważał za członków rodziny. Dexter robił to wielokrotnie. Nawet teraz potrafił przywołać z pamięci cierpki, kwaśny zapach wydzielany przez przycinane pędy, aksamitną, rozgrzaną słońcem ciężkość winogron na dłoni. Zbiory były symboliczne. Wino, które dojrzewało w dębowych beczkach w piwnicy pana Q., było mieszaniną składającą się przede wszystkim z kupnych winogron dostarczanych w skrzynkach.

Gdy na kuchni zasyczała kawa, pan Q. przelał ją do dwóch małych filiżanek i postawił na stole.

- Dobrze wyglądasz - powiedział cicho, klepiąc Dextera po policzku. - Ale taka to już korzyść... z bycia przystojniakiem. Jak się czujesz?
- Dobrze - odrzekł Dexter. - Bardzo dobrze.
- Masz siłę? Wyglądasz, jakbyś miał.
- Tak. Mam.

Głos pana Q., choć niewiele donośniejszy niż szept, zagrział nagle z dudniącą, zawieszoną mocą prastarego westchnienia. Człowiek ten potrafił emanować wulkanicznym ciepłem, choć prawie nigdy się nie uśmiechał - ludzie z jego otoczenia zwykle przejmowali od niego ten zwyczaj, będąc w jego towarzystwie. Gdy pan wygłaszał jakieś stwierdzenie albo uznawał trafność cudzego, natychmiast stawało się ono prawdą. Dexter miał siłę. Zawsze o tym wiedział, zwłaszcza teraz.

- Jesteś moim... najsilniejszym człowiekiem - powiedział pan Q., przerywając w pół zdania, by zaczerpnąć powietrza. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu... żebyśmy zrobili trochę przetworów...

- Cała przyjemność po mojej stronie, szefie.

Już kiedyś robił przetwory z panem Q.- brzoskwinie z jego drzew. Jeśli chodziło o gamę możliwych obowiązków, robienie przetworów plasowało się

pośrodku; wymagało więcej wysiłku niż zbieranie warzyw w olbrzymiej szklarni (czy to za sprawą dzierżawy, czy wskutek jakiejś odgórnego decyzji pan Q. kontrolował grunty za wszystkimi domami przy jego ulicy, tworząc farmę o powierzchni ponad hektara) i było lepsze niż wybieranie gnoju spod Apple'a, jego konia pociągowego. Najgorsze obowiązki wiązały się z dojeniem - albo krowy Angeliny, której gumowate wymiona pulsowały żyłami i końskimi muchami, albo - jeszcze gorzej - kóz, które kopały, skubały krawaty i mimo starań dojącego prawie wcale nie dawały mleka. Obowiązki domowe pana Q. były źródłem powściągliwego rozbawienia jego ludzi przy tych rzadkich okazjach, gdy spotykali się bez jego udziału, lecz było to rozbawienie ostrożne - nikt nie chciał śmiać się głośniejsz od pozostałych.

Tym razem Dextera czekało robienie przetworów z żółtej fasolki szparagowej zebranej w szklarni.

- Spróbuj - zachęcił go pan Q., gdy Dexter zaczął odcinać twarde końcówki na zniszczonej marmurowej płycie. Smakowała mniej więcej jak fasolka, ale powiedział, że jest wyśmienita, i zjadł całą.

- Być może słyszałeś, szefie - zaczął Dexter, nie przerywając pracy - że kilka miesięcy temu Badger mi podpadł i dałem mu popalić.

- Badger - sapnął pan Q.- Ten to ma parę.

- Więcej się nie pokazał.

- Hucpa. Cytując moich żydowskich przyjaciół.

- Skoro tak pan uważa.

- Zorganizował małą... loterię.

Dexter był zadowolony, że może skupić wzrok na fasoli, bo ta wiadomość go zaskoczyła. Badger miał własną nielegalną loterię po zaledwie trzech miesiącach w Nowym Jorku? Mało prawdopodobne. Widocznie nadzorował którąś z gier Alda Romy. Pan Q. dawał swoim ulubieńcom niezwykłą autonomię i niezależność. Dexter cenił sobie dystans, jaki go dzielił od kolegów po fachu - nie chciał na przykład mieć nic wspólnego z pirsami w Red Hook, gdzie ludzie zachowywali się jak zwierzęta. „Ślepa” natura rozległego imperium pana Q. nie pozwalała jednak bossom na zbyt wielką wzajemną ciekawość, o plotkowaniu nie wspominając. Dlatego Dexter ucieszył się, gdy szef powiedział:

- Chciałbym, żeby Badger... wprowadził tę swoją loterię do... paru klubów.

- Oczywiście. Do których?
- Sam zdecyduj.

Dexter z zadowoleniem pokiwał głową. Chciał mieć Badgera na oku.

Na kuchni pyrkotał olbrzymi gar, buchając parą w małym pomieszczeniu. Pan Q. drżącymi rękami zgarnął fasolkę i wrzucił ją do środka.

- Szefie, mam nowy pomysł - powiedział Dexter. - Moim zdaniem to będzie następny etap.

Dreszcz ożywienia przeszył pana Q. niczym grzmot, który przetoczył się i po chwili zatrzymał w jego wilgotnych brązowych oczach.

- Wiesz, że... właśnie na to liczę - powiedział.

To właśnie Dexter, jeszcze przed końcem prohibicji w trzydziestym trzecim, przewidział, że zamiast wyć jak poparzone psy, co robiło tak wielu ludzi w podziemnym świecie, powinni otworzyć legalne kluby, w których wypiorą gargantuiczne zyski pana z handlu alkoholem. Oprócz zabezpieczenia jego fortuny przed zakusami urzędu podatkowego takie rozwiązanie umożliwiło im czerpanie korzyści z całej gamy pobocznych przekrętów, zarówno legalnych, jak i nie -od przechowywania kapeluszy po sprzedaż papierosów i coś, co Dexter nazywał kojarzeniem par. Podstawą tego manewru była jego rola symbolicznego przywódcy: ani razu nie został aresztowany, wzenił się we wpływową rodzinę i był na tyle przewidujący, że pozbył się nazwiska, na którym można było połamać sobie język, i wybrał inne, krótkie i stylowe (by tak rzec), na długo zanim ktokolwiek zechciał je poznać.

Och, jakże ten plan wypalił! Poniósł ich obu na fali legalności, która wyrzuciła Dextera pośród gwiazd filmowych, dziennikarzy oraz wybieralnych urzędników, stanowych i krajowych, którym napychano wówczas kieszenie wpływami pana Q. Cudowny układ, z której strony by nie spojrzeć. Zdarzyła się tylko jedna pomyłka: Ed Kerrigan, jedyny błąd Dextera w ciągu dwudziestu siedmiu lat zatrudniania podwładnych. Ludziom stała się krzywda, jak to się mówi. Ostatecznie jednak kłopoty wyeliminowały rywala, a pan Q. wyszedł z tego bez szwanku. Z pewnością to właśnie ten korzystny wynik skłonił pana Q., by przed trzema laty oznajmić swoim niepodrabialnym szeptem:

- Nie było sprawy. Nie będziemy o tym więcej wspominać.

Później, w zaciszu swojego samochodu, Dexter zapłakał z ulgą.

Gdy fasolka była odpowiednio ugotowana (pan Q. poznawał to chyba instynktownie), Dexterowi przypadło w udziale układanie strąków pionowo w słoikach. Kiedy wszystkie słoiki upodobniły się do przepelnionych wind, pan Q. polecił mu zalać je wrzątkiem, wypełniając każdy po brzegi.

- Teraz mocno je zakręcimy... tylko nie za mocno... a następnie. .. włożymy do szybkiowaru - powiedział pan Q. zbyt zasapany jak na tak niewielki wysiłek. — Potem... mi powiesz. .. co wymyśliłeś.

Dexter chciał doprowadzić do tego powoli, w rytmie walca, aż nie pozostałoby nic innego, jak tylko przyjąć wniosek, który sam się narzucał. Gotowanie fasolki w kuchennym skwarze wymazało jednak z jego umysłu kroki tego tańca, co zresztą być może było zadaniem tej pracy. W atmosferze gorąca i prawdy zniknęły preambuły i w końcu mówiło się to, co miało się powiedzieć. Pomógł panu Q. zakręcić słoiki i włożyć je ostrożnie do usmolonego gara, który wyglądał, jakby wyciągnięto go z dna morza. Pan Q. nałożył pokrywę i zwiększył płomień. Potem, ciężko oddychając, opadł na krzesło.

Dexter wytarł twarz chusteczką, wrócił na miejsce przy stoliku i zaczął:

- Chciałbym zwrócić się do Wujka i zaproponować mu nasze usługi i interesy jako wsparcie dla działań wojennych.

Odpowiedź nie padła natychmiast. Nigdy nie padała. Na Dexterze spoczywał obowiązek naświetlenia głębszych warstw.

- Alianci wygrają, to tylko kwestia czasu - podjął. - Wtedy Stany Zjednoczone będą potężniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Potężniejsze niż jakikolwiek kraj w historii świata.

Świadomie cytował Arthura Berringera. Zbieżność ich myśli sprawiała Dexterowi przyjemność. W dniu swojego ślubu znaczy! jeszcze zbyt mało, by zapewnić panu Q. udział w imprezie. Z tego, co wiedział, jego szef i teść nigdy się nie spotkali. W obu wyczuwał jednak skrywane zaciekawienie tym drugim i możliwe, że ich ścieżki skrzyżowały się bez jego wiedzy. Ta myśl nawet mu się spodobała.

- Pan Stalin nie będzie... oczekiwał nagrody? - spytał pan Q.

- Dostanie ją. Ale jego kraj będzie zrujnowany.

Pan Q. opuścił głowę; to była jego wersja potaknięcia.

- Europejczycy - podjął Dexter - są splukani i zniszczeni. Zostaje zatem tylko Wuj. Chcę, żebyśmy mieli - żebyś ty miał, szefie - legalny udział w tym

zwycięstwie. Miejsce przy stole.

Pan Q. wstał, by wygłosić sokratejską tyradę, która niechybnie musiała nastąpić, a czasami zahaczała także o następną wizytę.

- Dopóki mamy... forszę w garści - rzekł - będziemy mieli swoje... miejsce.

- Mówię o miejscu przy stole - podkreślił Dexter. - Nie pod nim.

- Jaka z tego korzyść?

- Władza. Legalna władza.

- Każda władza jest... legalna.

- W porządku, zatem legalność. Dzięki której moglibyśmy korzystać ze swojej władzy tak, jak teraz nie możemy.

Kusiło go, by podzielić się z szefem przypuszczeniem, że umocnione Stany Zjednoczone mogą się odwołać do zasad państwa prawa i wytępić takich ludzi jak oni. Tammany już przestało istnieć - a przecież nikt nie przypuszczał, że to możliwe. Ale pan Q. nie lubił zmartwień. A Dexter czuł, że pomysł już zaczyna mu się podobać.

- Lucky ubił interes. - Pan Q. miał na myśli Luciana. - Pomógł Wujowi... uszczelnić port.

- I dzięki temu prawdopodobnie nie wsadzą go do pudła.

- Sami do niego przyszli.

- My pójdziemy do nich.

- I zaoferujemy... co?

Przyszła pora na najważniejszy ruch. Dexter wziął głęboki oddech i pochylił się nad stolikiem.

- Kupimy obligacje pożyczki wojennej po obniżonej cenie i sprzedamy je ludziom z branży. Przeznaczymy na to wszystkie środki płynne. Sprzedamy to, czego nie potrzebujemy, i te pieniądze też włożymy w obligacje. Nasz biznes zmieni się w biznes obligacji wojennych.

- Będziemy... bankiem.

- W pewnym sensie tak. Chwilowo. Po wojnie nasze pieniądze będą czyste. Zabierzemy je, dokądkolwiek zechcemy.

Szybkowar zaczął syczeć, para ulatniała się przez znajdującą się na górze

dziurkę wielkości łebka od szpilki. Pan Q. podszedł do niego chwiejnym krokiem i docisnął ciężarek, zamykając zawór i unieruchamiając pokrywę. Wskazówka z boku gara zaczęła podskakiwać. Pan Q. skierował łagodne brązowe oczy z powrotem na Dextera, a ten poczuł, że przyszła pora wyjąć asa z rękawa.

- Szefie, jeśli zdecydujesz się pracować dla Wujka, urząd skarbowy nie będzie mógł cię tknąć. Prawdopodobnie już nigdy. - Szczelnie zamknięty gar zadrżał na kuchni dokładnie za głową Dextera. - Ile to się musi gotować? - spytał ostrożnie.

- Wystarczająco długo, żeby... zabić przetrwalniki jadu kielbasianego - powiedział pan Q. - Gotowanie to za mało. Słoik musi... wytrzymać pewne ciśnienie.

Nadal stał, przytrzymując szybkowar przez kwiecistą rękawicę kuchenną będącą dziełem Annalisy, jego zmarłej żony.

- Jesteś... patriotą. - Pan Q. patrzył na Dextera z sympatią.

- Bo to słuszna sprawa - powiedział Dexter. - O ilu rzeczach można coś takiego powiedzieć?

- Nasze interesy i... interesy Wujka są... zbieżne.

Dexter był zaskoczony, że pan Q. tak ułatwia mu sprawę. Czyżby myślał podobnie? Szybkowar tłukł się na żelaznej kuchni jak schwytna w pułapkę wiewiórka, grożąc, że wyrwie się spod drżącego nacisku pana Q. Dexter wstał, żeby gar nie wypluł wrzącej zawartości na jego głowę.

- Wszyscy chcemy wygrać - powiedział cicho pan Q. pośród tego harmidru.

Dexter poczuł, że się uśmiecha, nie potrafił się powstrzymać. A pan odpowiedział mu uśmiechem. Z tym jego uśmiechem było jednak coś nie tak, czegoś w nim brakowało - zębów, one zawsze przychodziły na myśl pierwsze, lecz pan miał zęby, były po prostu bardzo, bardzo małe. W rezultacie widziało się ciemną, asymetryczną pustkę, bardziej przypominającą ranę niż usta. Na jej widok Dexterowi zrzędała mina.

- A rozmawiałeś... o tym z Wujem? - spytał pan

- Oczywiście, że nie - zawołał Dexter, szczęśliwy, że pisk szybkowaru stłumił jego zdumienie. Czyżby pan Q. uważał go za głupca - nielejalnego albo szalonego - który zacząłby rozmawiać z federalnymi bez jego błogosławieństwa?

Pan Q. zgasił płomień i kakofonia gwałtownie przeszła w tak głęboką ciszę, że Dexter zapragnął przetkać sobie uszy.

- Problem w tym - wysapał pan Q. że jeśli otwiera się jakiś kanał... to ten kanał zaczyna istnieć. Trudno zapanować nad tym... co przez niego przepływa... albo w którą... stronę.

Dexter milczał. Do czego on zmierzał, u diabła?

- Możesz nie... widzieć wszystkiego.

Kerrigan. Była to pierwsza aluzja pana Q. do tamtej pomyłki, odkąd zapewnił Dextera, że puścił ją w niepamięć. Najwyraźniej nie puścił.

Szef ujął policzki Dextera w miękkie, niezdarne, przekrwione dłonie.

- Mamy wiele planów na przyszłość — rzekł. — Wiele, wiele planów.

Dexter zeszywniał. Wypowiedzi pana Q. były w pewien sposób zaszyfrowane: powtórzenia odwoływały się do prawa przeciwieństw. „Wiele planów” powtórzone dwukrotnie oznaczało: nie ten plan.

- Wiele planów - powiedział pan Q. jeszcze raz, przeciągając słowa i patrząc czule w oczy Dextera.

Żadnych planów.

Podczas spotkań z panem Q. obowiązywała zasada ukrytej skuteczności i już po chwili Dexter znalazł się za frontowymi drzwiami. Szef ucisnął go tak jak tuż po przyjeździe, z nie mniejszą czułością - a nawet czulej. Faworyzował Dextera, uwielbiał go. I Dexter o tym wiedział.

- A! Wyleciało mi... z głowy. - Pan Q. uderzył się w czoło kadrubem dłoni. - Ile... dojrzałych pomidorów... zjadłeś w tym tygodniu?

- Wszystkie są teraz bez smaku - powiedział odruchowo Dexter. Starał się pojąć, co się właśnie stało. Czekał na werandzie, a jego szef zniknął w głębi domu. Słabe słońce połyskiwało na usypanych łopata zaspach. Dzieciaki z sąsiedztwa bawiły się z dala od tej ulicy. Nie licząc pobekiwania inwentarza pana Q., jedyne dźwięki dobiegały z portu w oddali. Przy krawężniku stał zaparkowany wóz pana Q. Nadal z niego korzystał, dowożąc płody rolne do swojego sklepu - w dzisiejszych czasach była to rzadkość, wyjątek stanowili mleczarze, ponieważ nie wynaleziono jeszcze samochodu, który mógłby podjeżdżać do następnego przystanku, podczas gdy oni stawialiby jeszcze butelki przed drzwiami poprzedniego.

W końcu pan Q. wrócił i wcisnął Dexterowi niewielką brązową torbę pełną dojrzałych pomidorów oraz słoik dżemu brzoskwiniowego bez etykiety.

Jeśli Dexter się nie mylił, był to ten sam dżem, który przed laty pomagał szefowi nakładać do słoików. Jezu, jak długo działa to zabezpieczenie przed jadem kiełbasianym?

- Dziękuję, szefie - powiedział.

- Dobrze cię widzieć, synu - wyrzucił pan Q. Oparł się o framugę, zdyszany po tej wyprawie. Dexter miał wrażenie, że w ciągu miesięcy, które upłynęły od jego ostatniej wizyty, szef wyraźnie podupadł na zdrowiu. W jasnym zimowym świetle wyglądał niemal blado. - Powinieneś wpadać... częściej. Przychodź... częściej. Nie... zostawiaj starego człowieka samemu sobie.

Czyli: wyczerpał swój czas z panem Q. na kilka miesięcy. Dexter wziął pomidory i dżem, ucałował szefa w oba policzki i ruszył do samochodu.

Jechał, właściwie nie mając pojęcia dokąd. Chciał pomyśleć, ale jego potrzeba ruchu - działania - utrudniała myślenie, chyba że akurat prowadził samochód. Zdumiało go, że pan Q. z miejsca odrzucił jego pomysł. Naprawdę to zrobił? Czy było to absolutnie jasne? Czy kilkumiesięczna zwłoka - bo jak sądził, mógł przyjechać ponownie dopiero za kilka miesięcy, chyba że zostałby wezwany wcześniej - była równoznaczna z odmową? Czy pan Q. w pełni zrozumiał, co Dexter proponował?

Wkrótce znalazł się na Coney Island. Wszystko było przygotowane na zimę, w barach z małżami i hot dogami zatrzaśnięto okiennice. W dzieciństwie Dexter najbardziej lubił właśnie tę porę roku. Żadnych wycieczek. Tylko ludzie, którzy tu mieszkali - albo przybywali zewsząd, żeby zjeść w restauracji jego taty.

Zaparkował i wspiął się na wyludnioną promenadę. Funkcjonariusze morskiej straży granicznej patrolowali wybrzeże.

Błotniście brązowe fale sunęły od strony Dolnej Zatoki na de zaśnieżonego piasku. Pomyślał o tacie, o człowieku pasjonującym się gotowaniem - usługiwaniem. Dexter czcił go mniej więcej do czasu, aż umarła matka; miał wtedy czternaście lat. Jego uwielbienie ustąpiło wówczas bez ostrzeżenia i objawiła mu się karykatura ojca jako człowieka służalczego i unizonego. Dexter nie potrafił o niej zapomnieć.

Nie napomknął tacie o swojej pierwszej wizycie w żółtym domu pana Q., ale jej wspomnienie zamieszkało w brzuchu Dextera jak wąż, dostojnie przesuwający zwoje swego cielska. Gdy tata dowiedział się o tym kilka miesięcy później, zaciągnął syna za ucho do swojego biura, mimo że wtedy Dexter miał już szesnaście lat i był od niego wyższy. Ojciec wpatrywał się w

niego i raz po raz rozszerzały mu się nozdrza.

- To jedyna rzecz na tej bożej ziemi, której naprawdę się obawiałem - powiedział.

- Bardziej niż śmierci mamy? - odparował Dexter, poruszając stopami w sztywnych od nowości getrach, na które było go już stać.

- Bardziej.

- Bardziej niż bankructwa?

- Bardziej. Jeśli bierzesz od tego człowieka pieniądze, należysz do niego do końca życia.

- Wolę brać od niego pieniądze niż oddawać mu swoje.

Normalnie za tak jawny brak szacunku dostałby w ucho.

Ojciec jednak nagle się do niego przysunął i powiedział:

~ Nie jesteś pełnoletni. Jeśli teraz się wycofasz, pozwoli ci odejść.

- Mam się wycofać?!

- Zrób to od razu i definitywnie. Zrzuć winę na mnie.

Dexter zobaczył, że ojciec się boi - o niego. I wiedziony jakimś nieporadnym pragnieniem, by go uspokoić, odparł:

-Tato, pan Q. jest stary. Nie będzie żył wiecznie.

Ojciec uderzył go w twarz z taką siłą, że łzy trysnęły z oczu Dextera jak sok z jabłka zmiądnzonego końskimi zębami.

- Nie zamierzam cię prosić, żebyś więcej tak nie mówił -powiedział jego tata bardzo cichym głosem. - Nie wolno ci nawet tak myśleć. Bo on się o tym dowie. On to wyczuje.

- Nie znasz go, tato. - Dexterowi drżał głos.

- Pan Q. jest tu od dawna. Widziałem, jak ludzie znikali, jakby w ogóle się nie urodzili. Z dnia na dzień. Myślisz, że żartuję? Myślisz, że to staruszek pomagający żonie robić przetwory z owoców? Ha!

- Nigdy go nie poznałeś.

- Z dnia na dzień. I nikt o nich nie wspomina. Jakby Bóg nigdy ich nie stworzył.

- Może sam powinienes uważać.

- Ja nie biorę od niego pieniędzy.
- Może czytać w twoich myślach.
- Powiedziałbym mu to w twarz.
- Mógłbyś zniknąć, tato. Przyszło ci to kiedyś do głowy?

Chciał, żeby ojciec poczuł potęgę władzy pana Q. i własną kruchość w jej obliczu. Strach ojca minął jednak, pozostawiając po sobie tylko odrazę.

- Wynoś się.

Dexter wyszedł z restauracji i w pewnym sensie nigdy już do niej nie wrócił, choć oczywiście przychodził i wychodził. To były mityczne lata pracy dla pana Q. - dzięki kongresmenowi Andrew Volsteadowi z Minnesoty i jemu podobnym, którzy uważali, że alkohol doprowadzi Stany Zjednoczone do zguby. Dexter miał zaledwie dziewiętnaście lat, gdy uchwalono stosowne przepisy, a łamanie ich sprawiało mu ekstatyczną radość. Uwielbiał jeździć drogami samochodami po wiejskich drogach i dobrze mu szło uciekanie przed pościgiem. W najgorszym razie zawsze był las, a on potrafił biec jak szalony. Kładł się nad strumieniem, by szum stłumił jego dyszenie, czuł zapach mchu, sosen i popiołu, a nad głową miał rozsiane gwiazdy - piękno i euforia wykraczające poza wszystko, co był w stanie sobie wyobrazić.

Dexter wrócił do samochodu i pojechał kilka przecznic na północ, na róg Mermaid i Dziewiętnastej Zachodniej. Restaurację zamknięto w trzydziestym czwartym. Mógł ją ocalić, ale tata nie chciał przyjąć niczego oprócz zwolnienia go z opłat za ochronę. Rak dopadł go w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, mimo że Dexter w zasadzie nigdy nie słyszał, by ojciec kaszłał, zanim bank zabrał mu restaurację.

Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni stał przy tym skrzyżowaniu, a jednak wszystko wydawało się dziwnie niezmienione: przekrzywione rolety w oknach i zakurzony bar, złote litery układające się w jego niemożliwe do wymówienia nazwisko, oblażące z farby za szybą w oknie. Jeden połamany stolik, odwrócony do góry nogami. Dexter na pewno serwował przy nim słynne pescatore swojego ojca, trzymając białą lnianą serwetkę elegancko przewieszoną przez przedramię, gdy nalewał wino. Zelektryzowany niewidzialnym krajobrazem, który właśnie odkrył - siatką szyfrów i powiązań, przy którym zwykły świat kurczył się i przestawał istnieć. Czasami wydawało mu się, że wręcz słyszy moc pana Q. pulsującą w codziennym życiu bezdźwięcznie niczym gwizdek odstraszący psy. Nic nie było w stanie go powstrzymać przed dotarciem do jej źródła.

- Chciałbym, Dexterze - zwrócił się do niego pan Q. podczas tej pierwszej wizyty - żebyś sam był sobie panem. Żebyś sam był sobie panem. - Ujmując pokryte brzoskwiniowym meszkiem policzki Dextera w swoje gorące, ciężkie dłonie, spojrzał w jego zakochane oczy. - Sam sobie panem, rozumiesz?

Dexter zrozumiał jego słowa i uwierzył w nie. Dopiero teraz, znając szyfr powtórzeń i prawo przeciwieństw, wiedział, co tak naprawdę miał na myśli pan Q.

Jest stary”, pomyślał Dexter, przypominając sobie ciężki oddech szefa na progu jego domu dzisiejszego popołudnia. „Przecież nie będzie żył wiecznie”. I znowu poczuł piekące uderzenie ojca, mokry ból w oczach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powód, dla którego Axel wezwał Annę, stał się jasny rankiem pierwszego dnia szkolenia, gdy kapitan wrzasnął do grupy trzydziestu pięciu ochotników:

- Kombinezon waży dziewięćdziesiąt kilo. Sam hełm dwadzieścia pięć. Buty w sumie szesnaście. Ale zanim zaczniecie przewracać oczami, powinniście wiedzieć, że dziewczyna, która tam stoi - jest dość wysoka, ale żaden z niej czołg, podobnie jak mnóstwo kobiet, które tu widujecie - nie tylko bez narzekania ubrała się w ten kombinezon i bez narzekania się w nim przeszła, ale też rozplątała węzeł ratowniczy, mając na rękach trzypalczaste rękawice. Ilu z was, panowie, potrafi choćby zawiązać taki węzeł?

Uniosły się dwie ręce. Pozostali mężczyźni nieufnie spoglądali na Annę. Czują, że się rumieni - ze wstydu, ale i z powodu tego podstępu. Nie wiedziała, jak nazywa się węzeł, który rozplątała, a tym bardziej nie umiałaby go zawiązać. Poza tym żaden z ochotników - sądząc po krzepkim wyglądzie, większość z nich była ludźmi pracy - nie wydawał się przestraszony wizją dźwigania dziewięćdziesięciu kilogramów. Kapitan Axel był człowiekiem czerpiącym radość z wprawiania innych w zakłopotanie. Jego pomarszczona, pozbawiona zarostu twarz przywodziła na myśl sadystyczne dziecko. W ciągu jednego dnia udało mu się zwrócić uwagę na otyłość DelBanca, chudość Greera, astmę Hammersteina, „cztery oczy” Majorne’a, płaskostopie Karetzky’ego, lekkie utykanie Fantana, słabą równowagę McBride’a, wzdęcia Hogana i tak dalej. Większość mężczyzn była za stara, żeby służyć w wojsku, lecz dla kapitana Axela, który w chwili przejścia na emeryturę miał stopień mistrza nurkowego marynarki wojennej, równie dobrze mogliby mieć kategorię 4-F. A cóż mogłoby ich bardziej zdenerwować niż groźba porażki w zadaniu, które zdołała wykonać dziewczyna?

Wszyscy oprócz Anny musieli włożyć kombinezon. Każdemu asystowali dwaj pomocnicy, tak jak jej wcześniej Katz i Greer. Kapitan Axel stał na ławce przed budynkiem 569 i wykrzykiwał polecenia, nie zważając na padający śnieg. Anna była tylnym pomocnikiem mechanika o nazwisku Olmstead, którego pękate nadgarstki ledwie mieściły się w paskach zaciskanych na rękawach kombinezonu w rozmiarze trzecim. Gdy Annie wreszcie udało się jeden zapiąć, Olmstead ostentacyjnie westchnął z ulgą i rzucił jej chytre spojrzenie. Nie podnosiła głowy i udawała, że tego nie słyszy. Cieszyła się, że drugi pomocnik - jasnowłosa mężczyzna z pozbawioną wyrazu twarzą osoby cierpiącej na niestrawność - zdawał się naprawdę tego nie zauważać. Wspólnymi siłami zapięli pas na Olmsteadzie, a ten wstał, żeby mogli go dalej „pospinać”.

- Ciaśniej, skarbie - zanucił Olmstead, gdy Anna przeciągała paski pod jego pachwinami, żeby drugi pomocnik mógł je przymocować z przodu pasa.
- Tak, ciągnij, tylko porządnie. Oooh, właśnie tak, skarbie. O to chodziło, już prawie... uuch...

- Jeszcze raz powiesz do mnie skarbie, koleś - odezwał się przedni pomocnik, beznamyślnie przeciągając samogłoski - a dostaniesz w ryj.

- Nie mówiłem do ciebie! Mówiłem do niej! - zawstydził się Olmstead.

- To nie ona ciągnie. - Pomocnik zmrużył oczy i ich metaliczny błysk upodobnił je do haczyków wędkarskich. Nawet nie spojrzął na Annę.

Olmstead splunął na pirs i zamilkł. Gdy Anna i drugi pomocnik podźwignęli olbrzymi hełm, by włożyć mu go na głowę, odezwał się:

- Zaczekajcie. - Odwrócił się do Anny i spytał: - Można tam w środku oddychać?

- Oczywiście - odpowiedziała chłodno, walcząc z drżeniem ramion i wciąż trzymając hełm w górze razem z drugim pomocnikiem. - Trochę czuć stęchlizną, ale oddycha się bez problemu.

- Zaczekajcie - powtórzył Olmstead.

- Zostajemy w tyle - zdenerwował się przedni pomocnik. - Zakładamy go.

Opuścili hełm, dopasowali go do kołnierza i przykręcili. Przedni pomocnik postukał w czubek hełmu, co oznaczało, że Olmstead powinien wstać i poddać się inspekcji przeprowadzanej przez kapitana Axela. Olmstead podniósł się z ławki i zaczął się miotać. Kombinezon utrudniał mu ruchy, a buty przygwoździły go do pirsu, upodabniając mężczyznę do drzewa targanego wichurą. Dopiero gdy przedni pomocnik zdołał otworzyć szybkę w jego hełmie, rozległ się ryk:

- Nie mogę oddychać. Wyciągnijcie mnie stąd! Nie mogę tu oddychać!

Już po chwili zjawiał się kapitan Axel z Greerem. Sprawnie zdjęli hełm, uwolnili Olmsteda od pasa, kołnierza, butów i kombinezonu. Mechanik czmychnął z pirsu.

- Coś takiego, panowie, nazywa się klaustrofobią - poinformował grupę kapitan Axel z przyjemnością graniczącą ze złośliwą satysfakcją. - To strach przed zamkniętymi pomieszczeniami. Zwykle zdarza się jeden klaustrofobik w grupie i wołę go od razu odsiać. Nurkowanie nie jest dla takich ludzi.

- Co za palant - mruknął przedni pomocnik. Do samego siebie, jak

przypuszczała Anna, bo przecież na nią nie zwracał uwagi. - Ubraliśmy go bez zarzutu i nikt nas za to nie pochwali.

Drugi sprawdzian odbywał się w komorze dekompresyjnej, która służyła do symulowania ciśnienia pod wodą. Ci, którym uszkodzenie słuchu albo infekcja ucha zablokowały trąbkę Eustachiusza, mieliby problem z wyrównaniem ciśnienia w bębenkach. Gdyby owi nieszczęśnicy postanowili „zgrywać bohaterów” i cierpieć w milczeniu (ostrzegł kapitan, chichocząc), doznaliby przeszywającego bólu mogącego doprowadzić nawet do pęknięcia bębenków. Dla mających problemy z płucami oddychanie w komorze mogło być po prostu niemożliwe. Poza tym ciała niektórych mężczyzn reagowały na czysty tlen pod ciśnieniem różnego rodzaju atakami i w zasadzie nikt nie wiedział dlaczego.

Gdy już byli odpowiednio zdeprymowani, kapitan Axel zaczął ich wpuszczać do komory dekompresyjnej w sześćosobowych grupach. Był to walec wielkości pokoju podzielony na części, a w największej stała ławka, na której usiadło pięciu mężczyzn, ściśniętych jak gołębie na drucie, by zostawić wolne miejsce wokół Anny. Był wśród nich przedni pomocnik z twarzą pozbawioną wyrazu. Przedstawił się wszystkim jako Paul Bascombe.

- Ten test też zdałaś śpiewająco? - spytał, spoglądając mniej więcej w stronę Anny.

- Nie, jestem tu pierwszy raz - odrzekła, co zabrzmiało w jej uszach zbyt piskliwie. - Poza tym w kombinezonie nie poszło mi aż tak dobrze. Po prostu mnie wykorzystują, żeby wam dopiec.

- Domyśliłem się.

- Naprawdę rozplątałam węzeł - zaprotestowała.

Gdy powietrze ogrzało się i zgęstniało, grupa zamilkła.

- Spróbujcie zagwizdać - zaproponował Bascombe.

Choć wszyscy się starali, Anna też, nikt nie zdołał wydobyć z siebie dźwięku.

- O co tu chodzi, do diabła? - spytał ktoś.

- To przez ciśnienie. Posłuchajcie własnego głosu - wyjaśniał Bascombe. - Przysięgam, że mój nie zawsze jest taki piskliwy.

Anna po cichu testowała swój głos, a mężczyźni zagłuszali ją własnymi interpretacjami kanarka Tweety’ego i Królika Bugsa. Gdy zapominali o jej obecności, zachowywali się swobodniej.

Komora dekompresyjna uszczupliła ich szeregi o cztery kolejne osoby - tak poinformował przeszczęśliwy kapitan Axel, zanim pozwolił im się rozejść pod koniec pierwszego dnia. Sacco i Mohele cierpieli na ból ucha. Hammerstein zaczął rzeźnić, a McBride'owi „dziwnie kręciło się w głowie” i szybko go usunięto.

Następne cztery dni spędzili w klasie, gdzie kapitan dawał im wykłady o fizyce nurkowania, standardowym wyposażeniu i jego konserwacji, składzie powietrza i tabelach dekompresyjnych. Po każdej godzinie spędzonej na głębokości co najmniej dziesięciu metrów mieli przebywać osiem godzin na powierzchni. Dopiero wtedy uznawano nurków za „czystych” i mogli znowu nurkować.

- Tu nie ma drogi na skróty, chłopcy - ostrzegał. - Nie zgrywajcie twardzieli, chyba że chcecie, żeby banieczki z azotem wychodziły z was przez oczy, uszy i nos, aż zaczniecie krwawić ze wszystkich tkanek miękkich w swoim ciele. Bez dekompresji możecie spędzić na głębokości trzynastu metrów najwyżej dwie godziny. Na głębokości szesnastu metrów siedemdziesiąt osiem minut. To nie powinny być liczby, nad którymi musicie się zastanawiać - powinniście je znać jak datę swoich urodzin, ślubu i siódmy dzień grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Była też lekcja poświęcona potencjalnym zagrożeniom.

- Jako nurkowie będziecie zarabiali dwa dolary i osiemdziesiąt pięć centów za godzinę - powiedział kapitan Axel. - Ale z tego, co zauważyłem, cywilni nurkowie czasami zapominają, że „stawka za pracę w niebezpiecznych warunkach” oznacza, że ta praca jest niebezpieczna. - Cmokając z lubością człowieka czytającego kartę deserów, opisał przypadki zaplątanych przewodów tlenowych, zaczepienia o przepływającą łódź, „wystrzelenia” na powierzchnię jak korek, narkozy azotowej oraz oczywiście niesławnego urazu ciśnieniowego. Littenberg i Maloney, obaj żonaci i z kilkorgiem dzieci, nie pojawili się na szkoleniu następnego dnia rano.

- Poszli do domu i porozmawiali z żonami — triumfował kapitan Axel. - Za każdym razem tracimy tak paru z was.

Później po jego dziecięcym czole przemknął wyraźny cień zaniepokojenia.

- Słuchaj, Katz - powiedział półgłosem. - Ilu nam zostało?

Był jeden Murzyn: spawacz, na którego mówili Marle. Wyglądał mniej więcej na rówieśnika Anny i z łatwością radził sobie ze wszystkimi wyzwaniem. W pełni zdawała sobie sprawę z jego obecności, lecz

jednocześnie starała się go unikać - zawstydzalo ją to, choć ze strony Marle'a czuła podobną rezerwę. Siedzieli na przeciwległych krańcach klasy - Anna z tyłu, żeby nie czuła się obserwowana, Marle z przodu, gdzie robił drobne, staranne notatki lewą ręką. Gdy ich spojrzenia z rzadka się spotykały, następowało chwilowe rozpoznanie i obydwójce odwracali wzrok.

Pod koniec każdego dnia nurkowie, którzy zostali już przeszkoleni, wracali do budynku 569 z pracy w zatoce Wallabout albo przy rurociągu z wodą pitną, który biegł ze Sta-ten Island do centrum monitorowania marynarki wojennej gdzieś w porcie. Anna i inni uczestnicy szkolenia rozchodzili się w mroku, niektórzy znikali za małą bramą niedaleko basenu szkoleniowego, inni dalej, za tą przy Sands Street. Anna zawsze wybierała dłuższą trasę, żeby porozglądać się za Nell, choć tak naprawdę nie liczyła już na to, że ją spotka.

Wieczorem piątego dnia szkolenia zauważyła Rose wychodzącą z budynku inspektorów. Uściskały się na powitanie i ramię w ramię wyszły przez bramę przy Sands Street.

- Bez ciebie w zakładzie to już nie to samo - zaczęła Rose. - Wszystkie dziewczyny tak mówią.

- Nie ma o kim plotkować - powiedziała Anna.

- Mówią, że pan Voss cierpi. Jest blady i trochę schudł.

- Wygląda na to, że same się w nim kochają.

Rose zarechotała. Anna odprowadziła ją na Flushing Avenue i zaczekała razem z nią na tramwaj, mając nadzieję, że przyjaciółka zaprosi ją na kolację. Gdy jednak nadjechał zatłoczony pojazd, Rose wskoczyła do środka i złapawszy się wiszącego uchwyty, pomachała Annie przez szybę na pożegnanie.

Anna patrzyła, jak tramwaj sunie na wschód ku Clinton Hill. Dopiero gdy skręciła, by ruszyć w stronę swojego przystanku na Hudson, poczuła dojmującą samotność. Za dnia ta samotność ustępowała. W czasie szkolenia dla nurków Anna bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć to doznanie. Po zmroku wracało do niej jednak z makabryczną niezawodnością. Miało tętno i serce. Brało Annę w objęcia i unosiło z krainy matek prowadzących dzieci za ręce i mężczyzn śpieszących do domu z wieczornymi gazetami pod pachą. Weszła do tramwaju, zasunęły się za nią harmonijkowe drzwi i patrzyła, jak za szybą przemyka noc. Miasto drżało od niebezpieczeństwa, od którego jej samotnicza, monotonna codzienność odgradziła się ostatnią cienką linią obrony. Ale co jej właściwie zagrażało?

Kolacja, wciąż ciepła, czekała na nią na ladzie w sklepie pana Mucciaronego. Gdy Anna brała od Silvia przykryty talerz, pewne wspomnienie musnęło ją niczym kot krążący wokół goleni: Lydia kwiląca w ramionach Silvia. Po powrocie do domu otworzyła skrzynkę i jak co dzień znalazła w niej list od matki oraz dwa kolejne od chłopaków z sąsiedztwa. Wspięła się po schodach z listami w jednej ręce i kolacją w drugiej, minęła dwa mieszkania Feeneyów, które w dzieciństwie uważała za przedłużenie własnego. Przytłoczona samotnością, nie była w stanie zdobyć się na to, żeby zapukać. „Nie powinnaś -pomyślała. - Nie spodziewają się ciebie”.

To samo działo się, gdy wyobrażała sobie, że idzie do automatu telefonicznego w kawiarni pana White’a, żeby zadzwonić do Stelli, Lillian albo ciotki Brianne. Była z Brianne na *Casablance* i jeździła z przyjaciółkami na wrotkach w Empire Roller Dome. Pod koniec tych interludiów one szły jednak do własnych domów, a Anna wracała do swej samotności. Nikt nie był w stanie jej przed nią obronić.

Zamknęła drzwi na zasuwę, opuściła rolety i włączyła wszystkie światła oraz radio. Najpierw wiadomości, potem muzyka. Porzuciła swoich ulubieńców, Counta Basiego i Benny’ego Goodmana. Ich bulgoczące dźwięki za bardzo przywodziły na myśl mroczne zakamarki miasta. Kręciła gałką, szukając Tommy’ego Dorsey’a, Glenna Millera, a nawet Andrews Sisters, których przesłuchane nucenie przypominało ją dawniej o mdłości. Teraz działało uspokajająco, jak pogwizdywanie w ciemnej uliczce. Przeczytała list od matki. Korespondencja była zwięzła i przeważnie obracała się wokół faktów: wyczerpującej zimy w Minnesocie, stanu zdrowia krów i owiec, wieści o kuzynach Anny przebywających na szkoleniu albo za morzem.

W każdym liście było jednak miejsce, w którym matka Anny jakby się zapomniała - albo zapomniała o Annie - i zapuszczała się w bardziej introspektywne rejony. „Ciągle mam nadzieję, że pewnego ranka się obudzę i będę wiedziała, co robić, tak jak wiedziałam, że po liceum powinnam pojechać do Nowego Jorku. Ale każda decyzja, którą podejmuję, obowiązuje chyba najwyżej dwadzieścia cztery godziny”, pisała.

A innym razem:

„Chłopcy z mojej młodości są grubi, łysieją, a trzech już nie żyje (i przewrócony traktor, i wypadek podczas jazdy konnej, i rak gardła). Patrę na swoją twarz i nie zauważam żadnej wyraźnej zmiany. Widocznie oszukuję samą siebie!”.

Kiedyś znów:

„Księżyc świeci tu zbyt jasno”.

Po jedzeniu Anna umyła i wytarła talerz pani Mucciarone, po czym odstawiła go na bok, żeby oddać nazajutrz rano. Zaczęła pisać list do matki, z zadowoleniem podając szczegóły, które nie interesowałyby Agnes, gdyby przy niej była. Tym razem skupiła się na złośliwej satysfakcji kapitana Axela, gdy udało mu się ich nastraszyć. Pisała, aż zmęczyła się na tyle, żeby pójść spać, a potem zakleiła kopertę, wyłączyła radio i pogasiła wszystkie światła oprócz tego w swoim pokoju. Leżała na łóżku i ścisnęła poduszkę Lydii. Odkąd sięgała pamięcią, w nocy miała przy sobie drugą istotę, oddychającą, emanującą ciepłem. Ścisnęła poduszkę, jakby tamowała krwotok, i wdychała słabiutką esencję siostry, wciąż trzymającą się materiału.

Na koniec otworzyła książkę Ellery'ego Queena. Mimo rozmaitych egzotycznych miejsc akcji wszystkie kryminały zdawały się rozgrywać jakby w jednej krainie - Anna poznała ten krajobraz dawno temu. Koniec lektury zawsze ją rozczarowywał, jakby coś było w nim nie tak, jakby nie spełnił jakiegoś oczekiwania. Jej niezadowolenie odzwierciedlała liczba kryminałów, które czytała - często oddawała do biblioteki po kilka książek w tygodniu. Od wyjazdu matki takie powieści stały się zapadnią prowadzącą Annę do wspomnień o tym, jak będąc małą dziewczynką, towarzyszyła ojcu. Trzymała go za rękę w windzie, gdy jakiś stary pan z potarganymi włosami sennie kręcił korbką. Szła obok niego pustym korytarzem z rzędem drzwi i złotymi napisami na pofałdowanych szybach, a odgłos ich kroków odbijał się od ścian. Spoglądała z okna wieżowca na żółte taksówki bzycające jak pszczoły pod zielonkawymi chmurami burzowymi. Wiedziała, że nie powinna się odwracać, dopóki nie usłyszy szelestu papieru i ciężka paczka nie zostanie przesunięta po biurku. Szuflada zamykała się szeptem. Potem nagle atmosfera się rozluźniała, wszyscy byli weseli.

Czym on się właściwie zajmował? Czy to było niebezpieczne? Ta zagadka zdawała się przebłyskiwać zaszyfrowanymi sygnałami z każdej czytanej przez Annę książki Agathy Christie, Rexa Stouta i Raymonda Chandlera. Świadomość głębiej ukrytej historii sprawiała, że przebijała ona przez alegoryczną powierzchnię każdej fabuły, aż w końcu Anna przyłapywała się na tym, że wcale nie czyta, lecz tylko trzyma książkę i przypomina sobie różne rzeczy. Dziwne. Pan Styles był elementem tej zagadki. Tylko że tamten pan Styles - ten, który znał jej ojca - wydawał się inny niż ten, który zawiózł ją i Lydię na Manhattan Beach. Jego akt dobrej woli zapisał się w pamięci Anny jako jedno z najszcześniejszych wydarzeń w jej życiu. Powrót do pana Stylesa właściciela nocnego klubu i gangstera - albo byłego gangstera - byłby w pewnym sensie równoznaczny z wyrzeczeniem

się ich pełnego uniesień, mistycznego dnia. Nie chciała się go wyrzekać. Wróciła do lektury i czytała, dopóki nie zasnęła. W środku nocy obudziła się i wyłączyła światło.

*

Nazajutrz w klasie usłyszała ciche mamrotanie brzmiące inaczej niż głos kapitana Axela. Po jej lewej stronie siedział Bascombe i patrzył prosto przed siebie. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, lecz jakimś cudem Anna wiedziała, że mamrotanie dobiega od niego. Czyżby mówił do siebie? Tematem lekcji były zasady i przepisy - konieczność powstrzymania się od picia piwa na dwadzieścia cztery godziny przed nurkowaniem.

- Opowiadają ci różne bzdury, które nie są zgodne z prawdą - mamrotał Bascombe. - Bąbelki we krwi nie mają nic wspólnego z bąbelkami w drinkach. Nie żebym się tym przejmował, ja jestem abstynentem.

Patrzyła prosto przed siebie, pewna, że kapitan Axel usłyszy Bascombe'a i będzie miał pretensje do niej.

- Nie pozwól, żeby napełniali ci głowę tymi bredniami. Myślą, że uwierzysz we wszystko, dlatego że jesteś dziewczyną. Nawiasem mówiąc, wcale nie zamierzają pozwolić ci nurkować.

- Jak to? - syknęła wbrew sobie.

- Myślą, że wykruszysz się w przyszłym tygodniu, kiedy wejdziemy do wody - poinformował monotonnym głosem. -Przypadkiem obito mi się o uszy.

Anna poczuła, jak jej puls przyspiesza. Patrzyła na kapitana Axela i przypominała sobie ich pierwsze spotkanie -beznadziejne próby przekonania go już po tym, jak przeszła sprawdzian. Czy nadal planował pokrzyżować jej szyki?

Była tak rozkojarzona, że zanim wyszła z budynku 569, by udać się na lunch do stołówki obok pochylni, zapomniała włożyć płaszcz. Bascombe wziął go i ją dogonił.

- Najtrudniej jest wspiąć się po drabinie w mokrym kombinezonie - mruknął, jakby nadal siedzieli w klasie, zrównując krok z jej krokiem. - Zwłaszcza nurkom wagi lekkiej.

- Nurkowałeś już? - spytała, cały czas patrząc przed siebie.

- Nie. Pracowałem jako pomocnik w Puget Sound.

- W Kanadzie?

- Na Zachodnim Wybrzeżu. Niedaleko Seattle w stanie Waszyngton. To była robota przy trupach. Zakontraktowany nurek wyjmował zwłoki z dwóch lotniskowców, zanim statki przeniesiono do suchego doku. Styczeń tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Tak, tak, dobrze się domyślasz, dobrze się domyślasz - przyholowali ich wszystkich aż z Hawajów.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- To ściśle tajne. Żaden z nas nie był w marynarce wojennej.

- Był drugi pomocnik?

- Nie. Tylko ja. Nurek wszystkiego mnie nauczył. Pod wodą pakował ciała w worki, a ja je wyciągałem. Oddychał powietrzem dostarczanym bezpośrednio z doku.

Annie podobała się taka rozmowa: wymiana informacji bez potrzeby spoglądania w odmęty czyjegoś spojrzenia.

- To dlatego chcesz nurkować? - spytała.

- Chyba tak - odpowiedział. - Cały czas staram się zaciągnąć do marynarki wojennej. Próbowałem w Seattle, potem znowu we Frisco, później w San Diego, ale nie potrafię zmusić swoich przeklętych oczu, żeby czytały te tycie literki na karcie. Podobno jeśli jakiemuś cywilnemu nurkowi dobrze idzie, może przejść do marynarki wojennej.

Anna spojrzała na twarz Bascombe'a. Rysujący się na niej grymas zniecierpliwienia i wściekłe skupienie po raz pierwszy wydały jej się wyraźnymi oznakami jakiejś determinacji.

- Przyjechałeś aż tutaj - powiedziała.

- Jasne, że przyjechałem. Nie ma lepszego miejsca dla cywilnych nurków niż Nowy Jork. Przy pirsie osiemdziesiątym ósmym leży brzuchem do góry liniowiec Normandie, na którym rok temu wybuchł pożar. To teren szkoleniowy o długości trzystu trzydziestu metrów. Otworzyli całą szkołę nurków odzyskiwaczy, żeby odwrócić ten statek, i wiesz, gdzie będzie naprawiany, kiedy w końcu im się to uda? Właśnie w tej stoczni. Poza tym - dodał, gdy zbliżyli się do wejścia do budynku 81 - przeklęty wzrok nie ma tu żadnego znaczenia, pod wodą i tak nic nie widać. - Po tych słowach zostawił ją tak niespodziewanie, jakby w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

W drugim tygodniu szkolenia część młodszych uczestników zaczęła wychodzić ze stoczni razem. Anna słyszała, jak rozmawiają o barach - Leo's, Joe Romanelli's, Oval Bar i Square Bar - dwa ostatnie stały po przekątnej

przy Sands Street i należały do rywalizujących ze sobą braci. Teraz, gdy Niemcy w końcu wycofali się ze Stalingradu, morale było wysokie. Ilekroć obok Anny zaczynała się zbierać grupka kolegów, odsuwała się od nich, schodziła ze sceny dokładnie w tym momencie, po którym wykluczenie jej mogłoby wypaść niegrzecznie. To niesamowite, że choć jej obecność wywoływała takie zainteresowanie, z łatwością udawało jej się zniknąć. Marle, ten Murzyn, osiągnął w tej sztuce mistrzostwo. Mimo imponujących rozmiarów potrafił oddalić się od głównego nurtu, który pędził dalej bez niego. Nikt oprócz Anny tego nie zauważył, lecz ona zachowała to dla siebie. Sojusz z Marle'em naraziłby na szwank już i tak słabe więzi łączące ich oboje z grupą. Dlatego izolacja, która stała się ich wspólnym udziałem, odgradzała ich podwójnie od siebie nawzajem.

Wieczorem pod bramą przy Sands Street na Bascombe'a przeważnie czekała pewna blondynka. Z rozmów, które prowadził z innymi nurkami, Anna wywnioskowała, że to Ruby, jego narzeczona. Poznał ją latem zeszłego roku po przyjeździe na Brooklyn. Jak na dziewczynę z Brooklynu Ruby była zastanawiająco słabo przygotowana do zimy, drżała w cienkim płaszczu, a potem łapała Bascombe'a na lasso szczupłych, silnych rąk i uwieszała się na jego szyi, przyciskając czoło do jego czoła. Anna lubiła Bascombe'a, co w gruncie rzeczy sprowadzało się do tego, że lubiła siebie w jego towarzystwie. Nigdy nie czuła się bardziej jak mężczyzna niż podczas ich beznamiętnych, pozbawionych znaczenia rozmów. Bascombe w uścisku zachłannych ramion Ruby był pewnie kimś zupełnie innym, ale Anna nie czuła zazdrości. Miała takiego Bascombe'a, jakiego chciała.

*

Rano w dniu ich pierwszego zejścia pod wodę na barce stanęło dwunastu nurków i kapitan Axel okrążył nią pochylnię, rozpychając się wśród woskowatych kawałków lodu i trzymając się pirsów, by uniknąć pływających w porcie łodzi. Ludzie na pirsach przyglądali im się, tak jak kiedyś Anna. Była zdenerwowana, bo zdawała sobie sprawę z tego, że kapitan Axel spodziewa się jej porażki. Ale przecież chciał, żeby wszyscy ponieśli klęskę. Nie było to żadną tajemnicą.

Kapitan Axel zakotwiczył barkę przy końcu pierwszego suchego doku. Wyjaśnił, że będą nurkowali parami, każdy dostanie dwóch pomocników, a reszta będzie obracała ciężkimi kołami zamachowymi dwóch sprzężarek dostarczających powietrze obu nurkom. W ciągu dnia będą się zmieniali, tak by każdy zszedł pod wodę.

Ostentacyjnie pokazując, że jego wybór jest losowy, wyznaczył pierwszą

parę: Annę i Newmanna. Anna poświęciła jednak wystarczająco dużo czasu na studiowanie jego twarzy starego dziecka, by zauważyć przemykający po niej podstęp. Kapitan coś knuł. Być może jej zadanie polegało na zawstydzeniu innych, tak jak poprzednio - Anna miała nadzieję, że rzeczywiście tak jest, bo wówczas dałaby sobie radę. Axel wyznaczył na jej pomocników Bascombe'a i Marle'a, tego Murzyna. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że coś tu nie gra: Marle, spawacz, w ogóle nie powinien być na barce. Ci, którzy spawali i cięli metal, nurkowali po raz pierwszy przy pirsie obok West Street w nowym basenie szkoleniowym: walcu o rozmiarach siedem na sześć metrów z iluminatorami, przez które Katz i Greer mogli zaglądać do środka. Anna zrozumiała. Podstęp polegał na zmuszeniu do współpracy jej i Marle'a, dwóch outsiderów, którzy tak bardzo starali się trzymać się od siebie z daleka. Kapitan zamierzał wytrącić ich z równowagi i zmniejszyć w ten sposób ich szanse.

Anna zobaczyła odbicie swojego niepokoju w twarzy Marlea. Oblicze Bascombe'a nie zdradzało żadnych emocji, ale mięśnie jego żuchwy napinały się jak skrzela ryby chwytającej powietrze. Klęska była wrogiem Bascombe'a, nie chciał mieć w niej udziału. Rozpaczliwe zdenerwowanie udzielało się całej trójce, gdy mężczyźni przytrzymywali przed Anną płócienny kombinezon, a ona ostrożnie wchodziła do środka, starając się ich nie dotykać. Zadanie pomocnika polegało na przytrzymywaniu i wspieraniu nurka, lecz współpraca z dwoma mężczyznami, z których jeden był Murzynem, wywołała w Annie paraliżujące onieśmienie. Była pewna, że oni je wyczuwają. Wszyscy niezgrabnie wykonywali pierwsze czynności: zapinanie pasków na nadgarstkach, wkładanie butów i zaciskanie sznurów na nogach. Kiedy jednak Bascombe i Marle naciągali gumowy kołnierz na mosiężne bolce, rutyna zaczęła łagodzić dyskomfort. Mocno docisnęli nakrętki, pokrzykując do siebie nad ramionami Anny. W końcu założyli jej hełm i otoczył ją jego cynowy zapach. Gdy wstawała, przygniatało ją do ziemi dziewięćdziesiąt kilogramów. Pamiętała tę liczbę, ale nie potworny ciężar, jakby zaraz miała zostać zmiażdżona. Czy była w stanie to wytrzymać? Była. Teraz? Tak. Zupełnie jakby ktoś co chwila pukał do drzwi, oczekując nowej odpowiedzi. A teraz?

Bascombe zajrzał przez szybkę w hełmie. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był tak zadowolony - objawiało się to tym, że przestał marszczyć brwi.

- Niecałe pięć minut - powiedział. - Newmannowi nie zapięli jeszcze nawet kołnierza.

Starając się nie kołysać, Anna powoli ruszyła w stronę drabiny. Marle

sprawdził jej pępowinę - przewód powietrzny i linę ratowniczą w jednym - i usłyszała syk powietrza wpadającego do hełmu. Przy drabinie odwrócili ją plecami do wody. Marle utkwiał w niej wzrok. Annę zaintrygowało jego żywe, wesołe spojrzenie.

- Miło mi panią poznać, panno Kerrigan.
- Wzajemnie, panie Marle.
- Powodzenia tam na dole.
- Dziękuję.

Marle zamknął szybkę w hełmie i uszczelnił ją. To była ich pierwsza rozmowa.

Trzymając się zakrzywionych drążków drabiny dla nurków, Anna zaczęła ostrożnie schodzić tyłem, znajdując każdy szczebel metalowym czubkiem buta, a potem przenosząc na niego ciężar ciała. Woda napierała na jej nogi z zimną siłą, przysysając boleśnie fałdy kombinezonu do skóry. Trącały ją kawałki lodu. Wkrótce woda sięgnęła jej do piersi, a następnie zaczęła chlupotać za dolną częścią szybki w hełmie. Anna po raz ostatni spojrzała w górę i zobaczyła Bascombe'a i Marle'a obserwujących ją przy drabinie. Jeszcze dwa szczeble i znalazła się pod powierzchnią. Przez swoje cztery okienka widziała zielonobłękitną wodę zatoki Wallabout. Nie słyszała niczego oprócz syku powietrza.

Na ostatnim z czternastu szczebli drabiny przystanęła, żeby zwiększyć dopływ powietrza. Kombinezon lekko się napompował, zmniejszając nacisk wody na nogi. Pomacała w poszukiwaniu liny, owinęła lewą nogę wokół żółtego sznura i przesuwając go w lewej rękawicy, opadając na dno. Ciężar kombinezonu kołysał ją, ściągając w dół; im bardziej oddalała się od powierzchni, tym ciemniejsza otaczała ją woda. W końcu jej buty napotkały dno zatoki Wallabout. Anna widziała jednak tylko smugi swoich nóg znikające w mroku. Poczła przypływ radości, której źródło początkowo nie było jasne. Po chwili zrozumiała: zniknął ból związany z noszeniem kombinezonu. Ciśnienie powietrza w środku wystarczało, by zrównoważyć ciśnienie panujące na zewnątrz, i jednocześnie utrzymywało ujemną pływalność - dzięki temu nie wracała na powierzchnię. Ciężar, który był tak wyczerpujący na ziemi, umożliwił jej teraz stanie i chodzenie dziesięć metrów pod wodą, która w przeciwnym razie wyplułaby ją jak pestkę.

Poczła pociągnięcie za pępowinę. „Wszystko w porządku?” Też pociągnęła za linę, przekazując, że zrozumiała i że nic jej nie jest. „Wszystko gra”. Przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Powietrze w jej nozdrzach było

pyszne, nawet syk towarzyszący jego napływowi, porównany przez kapitana Axela do „komara, którego nie można pacnąć”, wydawał się przyjemny i uroczy. Powiedziano im, że nie będą musieli regulować zaworu odprowadzającego ustawionego na dwa i pół obrotu, lecz Anna nie mogła się powstrzymać i przykręciła odrobinę dyszę w kształcie gwiazdy, by w kombinezonie zgromadziło się więcej powietrza. Zaczęła się leciutko unosić, błoto zasysało podeszwy jej butów, gdy się od niego odrywały. Rozsadzała ją przyjemność. To było jak fruwanie, jak czary - jakby znalazła się we śnie. Otworzyła zawór odprowadzający i wypuszczała nadmiar powietrza, aż jej stopy znów opadły na dno zatoki.

Torba z narzędziami, pełna otworków, które na lądzie wyglądały komicznie, spłynęła do jej rąk na „smyczy” przyczepionej do liny opustowej. W środku były gwoździe, młotek i pięć kawałków drewna, z których miała zbić skrzynkę. Wyzwanie polegało na utrzymaniu drewna - i samej skrzynki - by nie wystrzeliły przedwcześnie na powierzchnię. Oczywiście każdemu nurkowi mierzono czas.

- Pod wodą zegar tyka głośniej - ostrzegł kapitan Axel. - Jeśli musicie wracać na powierzchnię po drewno, tracicie cenny czas pod wodą.

Anna otworzyła torbę z narzędziami tylko na tyle, żeby włożyć do niej rękę. Kawałki drewna przepychały się obok jej nadgarstka, jakby próbowały uciec, lecz udało jej się wydobyć tylko dwa, zanim zdała sobie sprawę, że zostawiła w środku młotek i gwoździe. Włożyła luźne elementy pod pachę i pomacała w torbie w poszukiwaniu młotka. Nagle wystrzelił z niej kawałek drewna i kiedy próbowała go złapać, wypuściła pierwsze dwa spod pachy. Nie była w stanie zatrzymać i pochwycić trzech uwolnionych desek, które szybko znikły z zasięgu jej rąk. Serce zaczęło jej walić i zrobiło jej się słabo. Panika lub wysiłek pod wodą powodowały wydychanie większej ilości dwutlenku węgla, a ten osłabiał wdychającego go ponownie człowieka. Anna włożyła wszystko z powrotem do torby i zamknęła ją. Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i natychmiast poczuła w opuszkach palców jakąś nową gotowość, jakby nagle obudziły się ze snu. Oczywiście. Nie będzie otwierała oczu. Rozchyliła torbę i zaczęła, aż dwa kawałki drewna wsunęły się do prawej ręki. Lewą wydobyła młotek i gwoździe. Powiesiła torbę na ramieniu i przytrzymała deski, ustawiając je pod kątem prostym do ołowianych ciężarków u pasa. Sennymi podwodnymi ruchami wbijała gwoździe, aż przedarł się przez miękkie drewno i połączył oba elementy. Wszystkim zajmowały się jej ręce, prawie się temu nie przyglądała. Już wkrótce przybijała dno skrzynki, żałując, że wykonanie zadania nie trwa dłużej. Nie chciała jeszcze wracać na powierzchnię.

Nie dając sygnału pomocnikom, wepchnęła skrzynkę do torby na narzędzia i przykręciła zawór odprowadzający na tyle, by umożliwić sobie wykonanie kilku dryfujących kroków. Poczowała gruz pod butami, ukrytą topografię zatoki Wallabout. Co tam właściwie było? Żałowała, że nie może ukłęknąć i dotknąć dna rękami. Trzymając pępowinę w górze, żeby się w nią nie zaplątać, wykonała obrót. Czuła napór fal i prądów z rzeki i oceanu.

Trzy mocne pociągnięcia za pępowinę położyły kres tym wygłupom. „Szykuj się do wynurzenia”. Widocznie zdradziły ją pęcherzyki powietrza. Wyobraziła sobie poirytowanie Bascombe’a na widok bąbelków oddalających się od drabiny. Zależało mu na czasie i załatwieniu sprawy szybciej niż druga drużyna. Rozejrzała się w poszukiwaniu liny, lecz siedmiocentymetrowy żółty sznur zniknął. Wydawało jej się, że prawie się nie poruszyła, lecz jakimś cudem oddaliła się na tyle, by stracie linę z zasięgu wyciągniętych rąk, i to bez względu na to, w którym kierunku je zwróciła.

Siedem pociągnięć: zauważyli problem i przechodzili na sygnały naprowadzające, żeby pomóc jej wyjść. Anna powtórzyła siedem pociągnięć, a potem poczuła trzy, które oznaczały, że ma się odwrócić w prawo. Tylko skąd wiedzieli, w którą stronę jest zwrócona teraz? Odwróciła się posłusznie i zaczęła iść, wykonując szerokie ruchy rękami w nadziei, że natrafi na linę. Tętno chlupotało jej w uszach, gdy wyobrażała sobie, jak będzie jej wstyd, gdy wyciągną ją na powierzchnię na linie ratowniczej.

Nagle sobie uświadomiła, że mogłaby wydostać się na powierzchnię, w ogóle nie korzystając z liny, dzięki zwyczajnemu wyregulowaniu zaworów kontrolnego i odprowadzającego. Wcześniej napompowała kombinezon tylko do tego stopnia, by lekko się unieść, by jej buty oderwały się od błota. Trzymała dłonie na dwóch zaworach, doprowadzającym i odprowadzającym powietrze, chcąc napompować kombinezon na tyle, by powoli niósł ją przez jaśniejącą wodę, nie narażając jej na „wystrzelenie” na powierzchnię z rozpostartymi nogami i rękami.

Jej hełm przebił lustro wody i przez szybkę wlało się światło dnia. Miała przed sobą olbrzymi żuraw, co oznaczało, że jest odwrócona tyłem do barki. Poruszając rękami pod wodą, obróciła się i zobaczyła barkę zaledwie siedem metrów dalej. W kombinezonie nie była w stanie płynąć, ale pedałowując nogami, jakby jechała rowerem, powoli posuwała się naprzód. Jazda w takich butach była wyczerpująca. Pot spływał jej między piersiami, a szybka w hełmie zaszła mgłą. Anna wiedziała, że powinna zrobić przerwę i wypuścić dwutlenek węgla, ale resztką sił pokonała odległość dzielącą ją od drabiny. W końcu uchwyciła się jej i ponownie zanurzyła, opierając metalowe buty na

najniższym szczeblu i próbując złapać oddech.

Dyszając w przegrzanym hełmie, rozumiała, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za swoje innowacyjne podejście: nie miała już siły. Próbowała wspiąć się po drabinie, ale gdy wynurzył się jej hełm, znowu musiała przystanąć, skonfrontowana z ciężarem, jaki dziesięć centymetrów nad powierzchnią wody zaserwował on jej kręgosłupowi i ramionom. W końcu zebrała się w sobie i przeszła na wyższy stopień. Udało jej się pokonać jeszcze trzy, wynurzając się po pas, lecz nie była w stanie iść dalej.

Nagle szybka w jej hełmie się otworzyła i do środka zajrzał Bascombe stojący nad nią na drabinie. Minę miał pod każdym względem tak ponurą, jak się spodziewała.

- Przykucnij, żeby woda spłynęła z kombinezonu - powiedział. - Będzie ci lżej.

Anna łapczywie wciągnęła w płuca świeże powietrze.

- Muszę... wrócić na dół - wydyszała.

- Nie ma mowy. Kucaj.

Anna przykucnęła i poczuła, jak z kombinezonu spływa woda. Ale hełm i kołnierz nadal były za ciężkie.

- Zrób krok - powiedział Bascombe, wycofując się, żeby miała więcej miejsca. Zdołała przenieść lewy but na następny szczebel, ale gdy spróbowała dźwignąć resztę ciała o dziesięć centymetrów wyżej, ugięło się pod nią kolano i o mało nie runęła do tyłu. Bascombe złapał ją za przedramiona i przygwoździł je do drabiny. Obydwoje zdawali sobie sprawę, co mogło się wydarzyć: wpadnięcie do wody z otwartą szybką oznaczałoby błyskawiczną drogę na dno.

- Chcesz, żebyśmy cię z Marle'em wyciągnęli? - spytał Bascombe. - Nie ma sprawy, wyciągniemy cię. A ci frajerzy powiedzą: „Krzyżyk na drogę. Odeślijcie ją do mamusi”. Wal to. - Przebił wzrokiem szybkę i spojrzał jej prosto w twarz. Miał bardzo błękitne oczy, twarde jak kwarc. Anna poczuła się tak, jakby widziała je po raz pierwszy. - Znajdź siłę, Kerrigan - rozkazał jej. - Znajdź. Siłę.

Widziała, że jest zdesperowany.

- Jeśli mi się nie uda - wydyszała - nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

Prychnął lekceważąco.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział. - Newmann wystrzelił na

powierzchnię, Savino przedziurawił nogawkę kombinezonu gwoździem, deski Fantana pływają po rzece. Mor-rissey właśnie wychodzi, ale wątpię, czy zrobił skrzynkę. Jak tak dalej pójdzie, zdamy tylko ja i Marle.

- Zrobiłam skrzynkę - wydyszała Anna.

W jego oczach pojawił się błysk zaskoczenia.

- No to w porządku - odrzekł. - Wleź po tej przeklętej drabinie, żeby mogli cię pochwalić. Podnieś but! Dobrze. Teraz drugi. Wyżej. Wyżej. - Nadal przytrzymał jej nadgarstki przy drabinie, zwisając z górnych szczebli jak nietoperz. — Do zobaczenia na górze - powiedział i zamknął szybkę w jej hełmie.

Jego napastliwa przemowa podziałała na Annę jak sole trzeźwiące. A może po prostu udało jej się odpocząć. Albo odetchnęła świeżym powietrzem. Cokolwiek to było, weszła po drabinie. Szczebel po szczebłu. Była silniejsza, niż przypuszczała.

Na barce Marle poprowadził ją do ławki, na którą natychmiast opadła. Gdy otworzył szybkę w jej hełmie, zobaczyła kapitana Axela trzymającego dwie skrzynki. Wszyscy zamilkli, żeby go wysłuchać. Anna i Morrissey nadal mieli hełmy na głowach.

- Dziś rano nie obeszło się bez perturbacji - zakomunikował kapitan z fałszywą życzliwością. - Miło mi jednak oznajmić, że są wśród nas dwaj chłopcy, z których będą nurkowie, jak się patrzy.

- Jeden z nich to Kerrigan, panie kapitanie - zawołał Marle, przekrzykując wiatr.

Mimo wyczerpania Anna wiedziała, że nigdy nie zapomni potwornego zdumienia, jakie spustoszyło dziecięcą twarz kapitana. Kręcąc głową, spojrział na ławki.

- Nie - powiedział. - Nie, nie. - A potem dodał: - Kto?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie przebierając w słowach, kapitan Axel wydalil z programu trzech męczyzn, którzy oblali sprawdzian w zatoce Wallabout. Ponieważ jednak nie mogli zniknąć od razu (barkę otaczała woda), a ich usługi - zarówno w roli pomocników, jak i obracaczy kół sprężarek - nadal były potrzebne, zostali na pokładzie, a kapitan przez resztę dnia mierzył ich nieufnym spojrzeniem. Miał mniej nurków, niż potrzebował. Spośród jego dwóch niemożliwych do pogodzenia pragnień - by zgromadzić liczną grupę i wyrzucić wszystkich jej członków - to drugie miało większą szansę się spełnić.

Gdy cała reszta pomyślnie skończyła nurkować, kapitan niechętnie dał Newmannowi, Savinowi i Fantanowi szansę odkupienia win. Tym razem wszystkim trzem udało się zrobić skrzynkę i wrócić na barke. Gdy powoli sunęli w stronę pirsu West End, w grupie zaczęła narastać radość. Nabrała jeszcze większej siły, kiedy wyładowali skrzynie ze sprzętem do nurkowania, sprężarki i ciężkie, mokre kombinezony i zanieśli je z powrotem do budynku 569.

- Dobrze się spisaliśmy, odrzucając zgniłe jabłka już na samym początku - powiedział im kapitan Axel z powściągliwym uznaniem. - Teraz zostali nam najsilniejsi mężczyźni, najbardziej nadający się do nurkowania. Ale niektórzy z was jeszcze odpadną. - W jego głosie brzmiała nutka radości. - Wypadki, urazy, pech, nie da się ich uniknąć. Tymczasem jednak gratuluję, panowie.

Ilekcroć używał takich słów jak „mężczyźni” albo „panowie”, jego spojrzenie muskało Annę, jakby chciał ją zczarować, żeby zniknęła. Uważał ją za niewygodną pozostałość po nieudanym eksperymencie - a ona doskonale o tym wiedziała. W budynku 569 nie było nawet toalety dla kobiet. By mogła skorzystać z łazienki, Katz albo Greer musieli wyprosić wszystkich z toalety dla męczyzn, a potem ze skrzepowaniem pilnować drzwi. Zbliżająca się miesiączka napawała ją przerażeniem. W jej dawnym zakładzie mężatki psioczyły na strażników oglądających ich podpaski podczas przeszukiwania torebek w bramie przy Sands Street. Ciekawe, jak by zareagowały na takie warunki!

Jej prowizoryczna szatnia mieściła się w schowku na miotły. Przebierając się w cywilne ubranie, przypadkiem usłyszała, jak pozostali nurkowie wygłupiają się w szatni kawałek dalej. Umówili się w Eagle's Nest. Był sobotni wieczór. Nazajutrz mieli wolne. Nie pokazała się, gdy hałaśliwa grupka przechodziła obok jej schowka, kierując się do wyjścia.

Kiedy w budynku zapadła cisza, Anna wyjrzała ze schowka i zobaczyła

Marle'a zmierzającego samotnie ku drzwiom. Pewnie podobnie jak ona czekał, aż reszta sobie pójdzie. Poczowała odruchową chęć, żeby do niego dołączyć. Już miała wyjść z szatni, gdy na zewnątrz rozległo się wołanie Bascombe'a:

- Hej, Marle, jesteś tu jeszcze?
- Jestem - odkrzyknął Marle, zwalniając kroku.
- Chłopaki już poszły. Czekam na ciebie.

Marle zawahał się, spoglądając na zegarek. Anna odniosła dziwne wrażenie, jakby znalazła się w jego umyśle: nie był pewny, czy powinien do nich dołączyć, ale bardzo tego chciał. Jeśliby się teraz, gdy czekał na niego Bascombe, wykręcił, wyszedłby na gburą. Być może więcej by go nie zaprosili.

- W porządku - powiedział Marle i rażno ruszył w stronę drzwi.

Anna usłyszała chrzęst butów na ceglanym pirsie, a głosy umilkły, stłumione cichymi dźwiękami stoczni i przepływających łodzi. Wokół niej rezonowała cisza, preludium do jazdy tramwajem, przykrytego talerza, pustego mieszkania. Ta perspektywa budziła w niej odrazę. Przez cały dzień pomagała innym nurkom albo korzystała z ich pomocy w sposób, który przywodził na myśl dzieciństwo: przepychanie się wśród innych dzieci, ich oddech na twarzy, lepkie ręce, chlebowy zapach ich głów. Pokrzepiona tak wielką bliskością, nie mogła znieść powrotu do swojej samotni.

Pobiegła do budynku inspektorów, żeby poszukać Rose. Zamierzała ją zaprosić na kolację. Gdyby Rose odmówiła -a prawdopodobnie tak by się stało, bo w domu czekał na nią mały Melvin - mogłaby przynajmniej zaprosić Annę do siebie. Anna spóźniła się jednak na koniec zmiany i gdy dotarła na drugie piętro, okazało się, że Rose i inne mężatki już wyszły, a na ich taboretach siedzą obce osoby.

Drzwi kierownika były uchylone. Anna zapukała, nie mając pewności, czy w środku jest pan Voss, czyjego nocny zmiennik

- Proszę wejść.
- Pan Voss! - zawołała.

Miał na sobie płaszcz, a w dłoni trzymał kapelusz.

- Panna Kerrigan - powiedział z uśmiechem. - Cóż za urocza niespodzianka.

- Byłam... Przyszłam... - jąkała się, próbując wyjaśnić swoją obecność. -

Dziś rano nurkowałam w zatoce Wallabout.

- W tym wspaniałym wielkim kombinezonie?
- Waży dziewięćdziesiąt kilo.
- Cudownie. Czy kapitan jest zadowolony?

- Wręcz przeciwnie - odparła. - Miał nadzieję, że mi się nie uda, a ja z przyjemnością go rozczarowałam. - Mówiła nie do końca swoim głosem: wróciła do żartobliwego rytmu, w który wpadli z panem Vossesem już wcześniej.

- Trzeba to uczcić - orzekł. - Czy mogę panią zaprosić na kolację?
- Musiałabym się wykąpać. - Była pokryta zaschniętym potem. Pan Voss miał na sobie elegancki szary garnitur.
- Może zatem odprowadzę panią do domu i zaczekam, aż się pani odświeży.

Teraz, gdy pan Voss nie był już jej przełożonym, Anna nie widziała w pokazywaniu się z nim nic złego. „Shipworker” regularnie donosił o ślubach par zatrudnionych w stoczni. Szła obok niego wzdłuż Sands Street, mogąc w końcu zaspokoić ciekawość, jaką budziły w niej tamtejsze sklepy z mundurami, salony tatuażu i przybrudzone szyby z małymi tabliczkami oferującymi „pokoje”. Samotność łypała na nią jednak zza tego zgiełku jak mastif wyglądający przez okno. W tramwaju skupiła wzrok na panu Vossie i unikała wpatrywania się w ciemność.

W mieszkaniu puściła wodę na kąpiel. Nell opowiadała jej o domach towarowych, w których dziewczyny po wyjściu z pracy mogą się wykąpać, uczesać i umalować przed randką. Annie spodobała się myśl o takiej przemianie. Była sobą zmęczona. Pogrzebała wśród sukienek, które zostawiła matka, i znalazła tę z odkrytymi ramionami z atłasu w kolorze morskiej zieleni. Zrobiła drobne poprawki, jeszcze zanim wanna napełniła się wodą. Potem wyszorowała się w gorącej kąpielu płatkami mydlanymi i ogoliła pod pachami. Wytarłszy się, przypudrowała piersi i szyję, umalowała usta i nałożyła na policzki róż z kosmetyczki matki. Dodała do tego sznur pereł i wiszące kolczyki z brylantami - sztucznymi, rzecz jasna, ale z daleka wyglądały całkiem dobrze. Znalazła sięgające do łokci srebrne rękawiczki ze sztucznego atłasu. Uniosła włosy nad karkiem i upięła je najlepiej, jak umiała - były ciężkie i błyszczące od szpilek - a następnie włożyła okrągły kapelusik pasujący do sukienki. Gdy spojrzała w kuchenne lustro, na widok patrzącej na nią ślicznotki zaczęła się śmiać. Przebranie! Dlaczego nie pomyślała o tym

wcześniej? Mrugnęła do swojej nowej oszałamiającej współniczki zbrodni.

Pan Voss stał oparty o ścianę w chłodnym przedsionku, czytając wieczorną „Tribune”.

- Panno Kerrigan - zwrócił się do niej, gdy zeszła po schodach w wyszywanej koralikami pelerynce matki. - Brak mi słów.

- A to dlaczego, panie Voss?

- Charlie. Proszę.

- Tylko jeśli pan będzie mi mówił Anna. - Poczła chwilowy niepokój. Czy była pewna, że nie jest nią zainteresowany w ten szczególny sposób?

- Zamierzałem zabrać panią do Michael's przy Flatbush - powiedział. - Teraz myślę jednak, że nie obędzie się bez podróży taksówką na Manhattan.

- Nie wiem, czy mam się ucieszyć, czy obrazić. - Odrzekła tonem bohaterki filmowych, który lubiły naśladować z Lillian i Stellą.

Złapali taksówkę na Czwartej Alei i wkrótce jechali po moście Manhattańskim. East River wyglądała jak granatowoczarna otchłań, mrugające światelka statków wskazywały na duży ruch. Anna głęboko westchnęła. Bez znajomego balastu samotności czuła się niezakotwiczona, jakby za chwilę miała spaść z mostu do mrocznej rzeki.

- Powiedz mi coś, Charlie - zagadnęła. - Czy jakaś kobieta siedzi teraz w domu, zastanawiając się, gdzie się podziewasz?

Spojrzał na nią z powagą.

- Nie czeka na mnie żadna kobieta - powiedział. - Masz moje słowo.

- Dziewczyny w pracy...

- Ach, one uwielbiają plotkować.

- Poczłbyś się urażony, gdybyś wiedział, co mówią? - Tylko jeśli mówilyby prawdę.

Nie pomyliła się. Byli przyjaciółmi, nikim więcej.

- Nie czeka na ciebie nawet córka? - spytała.

- Jak na razie jestem bezdzietny.

- Charlie, taki przystojniak jak ty - zbeształa go, rzucając się z powrotem w wir żartobliwej rozmowy jak na miękkie łóżko. - Jak to możliwe?

- Pech, jak sądzę. Aż do dziś. Wreszcie los się do mnie uśmiechnął.
- Pewnie mówiłeś to ze sto razy. I przeczytałeś w jakimś ciasteczku z wróżbą.
- Siedemdziesiąt, najwyżej osiemdziesiąt.

Śmiali się razem, upojeni każdą absurdalną eskalacją błyskotliwej wymiany zdań. Anna zawsze miała ochotę flirtować. Teraz nagle przychodziło jej to bez trudu.

W Chandler's przy Czterdziestej Szóstej Wschodniej zjedli mielone z duszoną cebulą i frytkami, a na koniec po kawałku szarlotki. Pili szampana. Charlie Voss umiał zadawać pytania utrzymujące rozmowę w bezpiecznych rejonach, w których Anna chciała pozostać; pytał o jej sprawdzian z nurkowania, o dziwactwa kapitana Axela, o postępy Rosjan w walce ze szkopami na Ukrainie. Nikt nie wspominał o mroku spowijającym tę dobrze oświetloną ścieżkę. Anna wyczuwała w Charliem Vossie analogiczną ciemność. Chwilami była już o krok od jej zrozumienia - od poznania jakiejś prawdy o nim, która właściwie zawsze była na widoku. Kończyło się to jednak tylko konsternacją.

Po kolacji, gdy szli z powrotem w stronę Piątej Alei, wzięła go pod rękę. Czuła się tak, jak rano pod wodą - nie chciała się wynurzyć. Charlie Voss myślał chyba podobnie, bo powiedział:

- Nie idźmy jeszcze do domu. Masz jakiś ulubiony nocny klub?
- Byłam tylko w jednym.

*

Portier w cylindrze na głowie wybierał najlepiej rokujących gości z tłumu, który zebrał się przed lakierowanymi drzwiami Moonshine. Anna uświadomiła sobie, że mogłaby powiedzieć - i w pewnym sensie byłaby to prawda - że zna Dextera Styleasa, lecz okazało się to zbędne. Zostali wpuszczeni do środka i od razu pomyślała, że w klubie nic się nie zmieniło - że ten wieczór jest kontynuacją tamtego. Na połyskliwej arenie w szachownicę wypatrzyła stolik, przy którym siedziała wtedy z Nell. Tym razem zajęli go jacyś obcy ludzie i nigdzie nie było widać Dextera Styleasa. Mimo chwilowego rozczarowania Anna poczuła ulgę, że go jednak nie ma. Dzień z Lydią na Manhattan Beach mógł pozostać nietknięty.

Kierownik sali zaprowadził ich do stolika na drugim końcu klubu i Charlie zamówił szampana. Złowrogie instrumenty dęte i werble orkiestry brzmiały jak nadciągająca burza albo wojsko. Wokalistka o wyglądzie

utrącając na chwilę uciszyła gości głosem przywodzącym na myśl trzęsienie ziemi. Anna i Charlie ruszyli na parkiet razem z dziesiątkami innych par. Niepokoiła się, pamiętając, jak okropnie tańczyła z Markiem w październiku, lecz z Charliem Vossem szło jej łatwo.

- Dzięki Bogu, że tak dobrze tańczysz - powiedziała.

- To twoja zasługa.

- Ha! Kłamać też potrafisz. - Kręciło jej się w głowie od szampana i przyjemności płynącej z dotyku drugiego człowieka. Po jej obojczykach przemykały podmuchy ciepłego powietrza.

- Anna? To naprawdę ty?

Odwróciła się i zobaczyła Nell w brzoskwińowej szyfonowej sukience bez ramiączek, tańczącą z jakimś starszym mężczyzną w smokingu. Anna wypuściła Charliego i złapała Nell w objęcia.

- Nie do wiary! - zawołała. - Wszędzie cię szukałam.

- Ledwie cię poznałam - powiedziała Nell. - Co się stało? Wyglądasz fantastycznie!

Nell prezentowała się jak zwykle urzekająco, nawet jeśli wydawała się trochę bardziej zmanierowana. Jej loki miały nowy rudawy odcień, a cera była niewyobrażalnie biała, jakby kobieta nigdy nie wychodziła z domu.

- Na pewno posadzili was na Syberii. Przy naszym stoliku jest jeszcze miejsce - powiedziała. - To Hammond, mój narzeczony.

Hammond powściągliwie się uśmiechnął, dziurki jego orlego nosa rozszerzały się miarowo pod parą obojętnych zielonych oczu. Chyba był przystojny. Anna przedstawiła Charliego Vossa i we czwórkę oddalili się od orkiestry, lawirując wśród roztańczonych par.

- Tak naprawdę nie jesteśmy zaręczeni - szepnęła Nell. - Mówię tak tylko po to, żeby go zdenerwować.

- Czy to... ten?

- We własnej osobie. Zainstalował mnie w przepięknym mieszkanku przy Gramercy Park South. Mam klucz do parku! Powinnaś wpaść z wizytą. Numer dwadzieścia jeden. Powtórz, żebym wiedziała, że zapamiętasz. Dwadzieścia. Jeden.

- Dwadzieścia jeden - powtórzyła sumiennie Anna. Jej przyjaciółka wydawała się dziwnie nerwowa, być może była pijana. - Znalazłaś lepszą

pracę?

- W ogóle nie pracuję - odparła Nell. - Chyba że uwzględnisz ciągłe starania, żeby wyglądać oszałamiająco i nie znudzić się Hammondowi.

Usiedli w grupie zajmującej kilka stolików niedaleko parkietu. Anna zauważyła Marca i zarumieniła się, gdy spojrzał w jej kierunku. On jednak obserwował Nell.

- Naprawdę byłby gotów się ciebie pozbyć? - szepnęła Anna.

- Hammond to świnią. - Słowa Nell wprawiły Annę w osłupienie, bo Hammond siedział tuż obok i obejmował dziewczynę ramieniem. Anna odwróciła wzrok, jakby dopuściła się niedyskrecji.

- No więc dlaczego...?

- Dla forsy - odrzekła wesoło Nell. - On śpi na forsie i za wszystko płaci. Mieszka w willi z ośmioma sypialniami w Rye w stanie Nowy Jork z żoną i czworgiem dzieci. Nigdy ich nie zostawi. Byłam szalona, myśląc, że to zrobi. Prawda, kochanie? - zawołała do Hammonda. - Anna pracowała ze mną w stoczni. Hammond nie lubi, kiedy o tym wspominam. Uważa, że dziewczyny nie powinny pracować. Powinny tylko wymyślać nowe sposoby, żeby go olśniewać.

Pocałowała Hammonda w błądy policzek, zostawiając na nim szminkową szramę w kolorze fuksji. Hammond, jakby ją widział, wytarł policzek dłonią, przesuwając po tym miejscu kilka razy. Wydawał się nienaturalnie spokojny, jak człowiek idący sztywno, żeby się nie wydało, że jest pijany. On jednak nie był pijany. Starał się nie stracić panowania nad sobą z innego powodu.

- Idziemy do toalety - zawołała Nell, łapiąc Annę za rękę i podnosząc ją z krzesła. - Bierz torebkę, Anno, musimy przypudrować noski!

Anna z trudem zachowywała powagę, zachowanie Nell było komicznie teatralne. Kogo wybrała sobie na publiczność? Na pewno nie Charliego Vossa, z którym Anna wymieniła już kpiarskie spojrzenia nad stolikiem. Pozostawał zatem tylko Hammond. On jednak, zastygły gdzieś między wściekłością a paniką, był zbyt zdenerwowany, żeby się zastanawiać, dlaczego jego kochanka odgrywa tę komedię.

- Nie idziemy do żadnej toalety - oznajmiła Nell, gdy tylko oddaliły się od stolika. - Tam wszyscy podsłuchują, a dziewczyny są jak żmije. Wiele z nich z chęcią zatopiłoby w Hammondzie swoje zęby jadowe.

Przystanąły w kłębowisku ludzi obok kolumny Oblicze przyjaciółki Anny

zaczęło się zabarwiać strachem.

- Jesteś szczęśliwa? - spytała Anna. - W tym mieszkaniu.

- Jako tako - odpowiedziała Nell. - Hammond zbyt ciężko pracuje, żeby mógł do mnie regularnie wpadać. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Odwiedza mnie ktoś inny.

- Marco?

Przerażona Nell złapała Annę za ramiona gorącymi, drżącymi dłońmi.

- Jeśli ktoś ci to powiedział, muszę wiedzieć, kto to był - powiedziała.

Anna przełknęła ślinę, wystraszona gwałtowną reakcją Nell.

- Sama się domyśliłam - odparła. - Wcześniej z nami siedział, pamiętasz? W październiku, kiedy tu przyszliśmy.

Nell długo się w nią wpatrywała, a potem wreszcie ją puściła.

- Przepraszam. Robię się trochę... sama nie wiem jaka.

- Boisz się, że Hammond się dowie?

- Tak. Choć nie powinnam. Gdyby się mnie pozbył, zadzwoniłabym do jego żony i wszystko jej powiedziała. Wtedy on też zostałby na lodzie. Ciekawe, co by wtedy zrobił. Fajnie byłoby się dowiedzieć.

- Chyba za nim nie przepadasz.

- Nienawidzę go. On też mnie nienawidzi. Jesteśmy jak stare, okropne małżeństwo, tylko że bez dzieci... To znaczy mogliśmy mieć dziecko, ale nie mamy.

Anna patrzyła na uroczą twarz Nell i dziwiła się, że do tego doszło.

- Przykro mi - powiedziała.

- Niczego nie żałuję. Nie chciałam urodzić dziecka świni. Nigdy bym go nie pokochała. Straciłabym figurę na darmo.

- Och, Nell. - Annę ogarnęło przerażenie i tknęły ją złe przeczucia co do dalszych losów przyjaciółki. Smutne historie, których słuchała przez całe życie - o Olive Thomas, Lillian Lorraine - po raz pierwszy wydały jej się prawdziwe. Te nieszczęśnice początkowo były zwykłymi dziewczynami, tak jak Nell. - Dlaczego tego wszystkiego nie rzucisz: mieszkania, Hammonda, Marca? Wróć do stoczni! Jestem teraz nurkiem. Może też mogłabyś nurkować. W tym wielkim kombinezonie, pamiętasz? Widziałyśmy, jak ich szkolą na barce.

Nell głośno się roześmiała, lecz Anna próbowała dalej, choć wiedziała, że brzmi jak kretynka.

- A wojna, Nell? Myślisz o niej w ogóle?

- O mojej wojnie z Hammondem czy o tej drugiej, wielkiej? Anna roześmiała się wbrew sobie.

- Co ja poradzę? Hammond nie pozwoli mi pracować. Powiedział, że czuć ode mnie stoczną, nawet jeśli kąpię się dwa razy dziennie i spryskuję od stóp do głów perfumami Sirocco.

Anna bezradnie uśmiechnęła się do przyjaciółki. Nagle Nell ją objęła, a nagość ich ramion i rąk sprawiła, że ten gest wydał się zaskakujący, intymny. Anna poczuła słonawą woń pach Nell i zwierzęce falowanie jej żeber.

- Jesteś inna niż wszystkie - szepnęła jej do ucha Nell. - To strasznie fajne.

- Zabawne. Zawsze myślałam, że to ty jesteś inna.

- Czyli możemy zostać przyjaciółkami — orzekła Nell, odsuwając się i patrząc Annie w oczy. - Prawdziwymi przyjaciółkami, nie jak te żmije, które się tu kręcą. Ciężko pracujesz i wracasz do domu wyczerpana, ale ja jestem uczulona na tego rodzaju życie. Moja mama mówi, że mam o sobie zbyt wysokie mniemanie, ale nie o to chodzi. Po prostu próbuję żyć inaczej. Nawet jeśli wygląda to niedorzecznie.

- To wygląda... niebezpiecznie.

- Podoba mi się, że nie wiem, co się wydarzy, że nie muszę się budzić o określonej porze, a jeśli przyjdzie mi ochota, mogę pić szampana o dziesiątej rano. I niech ci się nie wydaje, że na tym poprzestanę - mam wielkie plany, zapamiętaj te słowa.

Anna zauważyła dziwną gorączkowość w zachowaniu przyjaciółki. Miała ochotę spytać: „jakie plany?”, ale czuła, że powinna już wracać do Charliego Vossa.

- Skoro już wszystko sobie wyjaśniłyśmy, możemy iść do toalety - podsumowała Nell, splatając palce z palcami Anny i ciągnąc ją przez tłum.

Przed podłużnym lustrem w toalecie tłoczyły się twarze dziewczyn przyglądających się swoim zdumionym i uradowanym odbiciom, jakby nigdy nie przypuszczały, że spotkają siebie w takim miejscu. Nell odwzajemniła kilka entuzjastycznych pozdrowień. Anna puściła do niej oko, pomachała i wymknęła się na zewnątrz.

Zanim dotarła do stolika, zaczepił ją starszawy kelner.

- Panna Feeney?

To nazwisko, znajome i zarazem nieznanym, zdawało się zmierzać w jej stronę krętą drogą.

- Tak... - odrzekła w końcu.

- Pan Styles chciałby zobaczyć się z panią w swoim biurze.

- Ale... na razie nie mogę. Muszę...

Kelner już się jednak odwrócił, dając do zrozumienia, że powinna pójść za nim. Zobaczyła Charliego Vossa na drugim końcu sali i próbowała do niego pomachać, ale nie udało jej się zwrócić na siebie uwagi. Dobiegł ją głuchy odgłos nieuchronności. Oczywiście, że pan Styles tu był. Oczywiście, że się z nim spotka. Podjęła tę decyzję, wchodząc przez lakierowane drzwi.

Ruszyła za kelnerem w stronę gorączkowego pobrząkiwania dochodzącego z kuchni, potem weszła po wąskich schodach, podrapanych i gołych, które prowadziły do następnych drzwi i cichego korytarza. Miała wrażenie, że znalazła się w innym miejscu: gruby, miękki dywan, obrazy olejne oświetlone lampkami przymocowanymi do ram. Usłyszała stłumiony śmiech dobiegający zza zamkniętych drzwi. Powietrze trąciło zapachem cygara i fajki.

Kelner zapukał w drzwi na końcu korytarza i otworzył je. Anna weszła do wyłożonego boazerią biura i zastała w nim pana Stylea rozpartego za biurkiem, które wyglądało na drogę.

- Panna Feeney - zwrócił się do niej dźwięcznym, zmanierowanym głosem, podnosząc się z miejsca. - Wspaniale, że pani do nas wpadła.

Anna czuła się jak oskarżona, jakby przyłapał ją na tym, że go unika.

- Rozglądałam się za panem - powiedziała. - Myślałam, że pana nie ma.

- Ależ ja zawsze tu jestem - odrzekł. - W przeciwnym razie całe to miejsce poszłoby w diabły. Mam rację, chłopaki?

Czterech młodych mężczyzn o nieprzyjaznych twarzach zbirów wylegiwało się w pokoju jak gargulce. Mruknęli potakująco, najwyraźniej uznając retoryczną naturę swojej roli w tej rozmowie.

- W takim razie - powiedziała Anna - chyba mamy szczęście, że pan tu jest.

Otworzył się w niej jakiś sprzyjający żartom kanał. Skierowała ku niemu rozmowę i z zadowoleniem słuchała, jak rozbrzmiewa ona w jego wnętrzu.

Pan Styles obserwował ją z powagą zupełnie nieprzystającą do wesołego tonu jego głosu.

- Chłopcy - powiedział. - Poznajcie wyjątkowo czarującą pannę Feeney.

Mruknęli coś na powitanie. Kelner wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Anna patrzyła na przystojnego gangstera w pięknie skrojonym garniturze i czuła, jak dzień, który spędzili z Lydią na Manhattan Beach, rozpuszcza się niczym aspiryna w szklaneczce wody. Pragnęła się wycofać, pozostawić to wspomnienie nietknięte, lecz chyba tylko pan Styles miał moc przywoływania i odprawiania. Nagle ogarnęła ją złość.

- Idźcie już, chłopaki - rzucił, a oni sięgnęli po kapelusze. - Sam odprowadzę pannę Feeney.

Gdy tamci wyszli, stanął obok biurka, spoglądając na jakieś leżące na nim kartki. Potem znowu spojrzął na Annę i odezwał się zupełnie innym tonem.

- Cieszę się, że panią widzę. Jak się miewa pani siostra?

Zamarła, wpatrując się w swoje puste dłonie. Odrzekła najpogodniej, jak była w stanie:

- Opowiem panu innym razem. Muszę wracać do mężczyzny, z którym tu przyszłam.

- Do diabła z nim. - Uśmiechał się.

- On mógłby mieć na ten temat inne zdanie.

- Bez wątpienia.

Głowę Anny wypełniło brzęczenie. Była wściekła na Dextera Stylesa i czuła, że on też jest zły. Nie miała pojęcia dlaczego.

- Odwiozę panią do domu — zaproponował.

- Dziękuję, ale nie planuję jeszcze wracać i nie potrzebuję kierowcy. Poza tym - dodała drwiąco - czy całe to miejsce nie poszłoby wtedy w diabły?

- To dla mnie dodatkowa zachęta! - Zaśmiał się. Przecisnęła się obok niego na wyłożony wykładziną korytarz. Nie podejmując żadnego wysiłku, żeby za nią pójść czy choćby podnieść głos, powiedział:

- Mój samochód stoi przed budynkiem. Ktoś będzie na panią czekał obok szatni.

Udała, że nie słyszy. Pokonując ciche zakręty korytarza, przyłapała się jednak na tym, że już planuje, jak się usprawiedliwi przed Charliem Vossem.

To odkrycie jeszcze bardziej ją rozsierdziło. Za kogo ten Styles się uważał?

Nie bez problemu wydostała się z labiryntu korytarzy i schodów, po czym wpadła na salę innymi drzwiami, niż z niej wyszła. Hammond siedział sam przy stoliku, mierząc parkiet wściekłym spojrzeniem. Podążając za jego wzrokiem, zauważyła Nell przytuloną do Marca.

Kilka stolików dalej z ulgą zobaczyła Charliego Vossa w towarzystwie mężczyzn, których chyba znał.

- Spotkałam przypadkiem starą przyjaciółkę matki - powiedziała. - Nie była zadowolona, że tu jestem, i uparła się, że odwiezie mnie do domu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Jeśli Charlie był zaskoczony, a tym bardziej urażony, zdołał stłumić wszelkie ślady tych emocji w swoim głosie.

- Ale musisz dać mi słowo, że będziesz w dobrych rękach.
- Charlie, dziękuję za cudowny wieczór. Musimy to kiedyś powtórzyć.
- Będę odliczał godziny.

Przy szatni stała kolejka, lecz starszawy kelner, który zaprowadził Annę do biura pana Stylesa, już czekał. Wziął od niej numerek i po chwili wrócił z jej płaszczem i kapeluszem. Wyszli z klubu korytarzem, który zaprowadził ich na ulicę kilka drzwi od lakierowanego wejścia. Cadillac pana Stylesa czekał już dyskretnie z włączonym silnikiem.

Gdy kelner otwierał drzwi pasażera, od strony kierowcy podszedł jakiś mężczyzna. Pan Styles opuścił szybę.

- Witaj, George - powiedział, ściskając mu rękę przez okno, gdy Anna wślizgiwała się na miejsce obok.

- Już jedziesz? - spytał tamten.
- Tylko odwiozę pannę Feeney do domu. Panno Feeney, to doktor Porter, mój szwagier. Panna Feeney u mnie pracuje.

Doktor zajrzał do ciemnego wnętrza samochodu i popatrzył na Annę. Nad jego lśniącym wąsem zauważyła rozbawione spojrzenie. Kobieciarz.

- Poproś o butelkę na koszt firmy - zaproponował pan Styles. - Niedługo wrócę. Gdybyśmy się minęli, do zobaczenia jutro w Sutton Place.

Podniósł szybę i odjechał.

- Niech mi pani powie, co się stało - poprosił, gdy duży samochód

oddalał się od centrum, zraszając lodowate powietrze światłem reflektorów.

Anna wyjaśniła, jakie były następstwa dnia, który spędzili na Manhattan Beach. Opowiadała o tym po raz pierwszy i robiła to z zaangażowaniem. Skórzany zapach samochodu przeniósł ją z powrotem do tamtego dnia: trzymała ciepłe ciało Lydii, z jakiegoś głębokiego miejsca dobiegało bicie jej serca. Była poruszona stratą, jakby właśnie wyrwano jej siostrę z objęć. Przypomniła sobie zew życia pod skórą Lydii, nawet gdy jej kaleka siostra była nieruchoma, i zatęskniła za tym życiem w sposób, który pozbawił ją sił.

- Ta wiadomość rozdziera mi serce - powiedział ze ściśniętym gardłem pan Styles, gdy skończyła.

Pojechali na północ, a potem zawrócili. Na Piątej Alei przemknęli obok biblioteki publicznej, na którą patrzyła Anna, odprowadziwszy matkę na Pennsylvania Station. To tutaj po raz pierwszy dostrzegła wsysający wszystko mrok i poczuła, jaki jest niebezpieczny. Od tamtej pory nieustannie odpierała czające się w nim zagrożenie. „Dziewczyna innego rodzaju”. Skąd miała wiedzieć, jaką jest dziewczyną, skoro wokół była pustka? Może „dziewczyny tego rodzaju” to po prostu dziewczyny, którym nie ma kto powiedzieć, że nie są dziewczynami tego rodzaju.

Noc była wszędzie, zachłanna i czarna. Wypełniła samochód i otoczyła Annę. Ale jej strach przed ciemnością zniknął. Nie wiedząc kiedy ani jak, poddała się jej - prześlizgnęła się przez szczelinę w nocy. Nikt nie byłby w stanie jej teraz znaleźć. Nawet Dexter Styles.

Prowadząc, patrzył prosto przed siebie, lecz siedząca obok Anna czuła jego gorączkowe zdenerwowanie. Kiedy przełykał ślinę, chrząstki jego gardła poruszały się jak knykcie. Na pewno wiedział, że na niego patrzy, ale długo zwlekał, zanim też na nią spojrzał. Nawiązała się między nimi jakaś nowa nić porozumienia.

- Wygląda pani inaczej - powiedział cicho. — W zieleni.

- Dlatego ją wybrałam - odrzekła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dexter leciutko opuścił szybę w samochodzie, by zimowy wiatr mógł mu omiatać twarz. Obok niego siedziała inteligentna osoba, dziewczyna, która nie była głupia, która rozumiałaoby wszystko, co chciałby, żeby rozumiała, która intrygowała go z powodu osobliwego połączenia atrybutów fizycznych z twardością charakteru, lecz tak naprawdę chodziło o to drugie, ponieważ atrybuty fizyczne otaczały go codziennie i nie wywoływały większych emocji. A mimo to z dziewczyną w samochodzie był jakiś problem - z bystrą, nowoczesną dziewczyną hołdującą słusznym wartościom, uczestniczącą w akcji ludności cywilnej na rzecz wojny, z dziewczyną dojrzałą wskutek trudnych czasów i rodzinnej tragedii - problem ten polegał na tym, że jedyną rzeczą, jaka przychodziła mu w związku z tą dziewczyną do głowy, jedyną konkretną rzeczą, było pieprzenie się z nią. Reszta - niejasne pomysły, że mogłaby dla niego pracować, że jej twardy charakter mógłby mu się przydać, że prawdopodobnie dobrze by strzelała (napięte, szczupłe ramiona widoczne dzięki sukience, którą miała na sobie tego wieczoru), niepewność co do okoliczności, w jakich się poznali (czy ktoś ich sobie przedstawił?) - migotały gdzieś w tle, daleko za potrzebą, żeby ją osiąść. I mimo że wspomniana potrzeba utrudniała mu prowadzenie przeklętego samochodu, myślał jednocześnie, że ten problem mężczyzn i kobiet bardzo komplikuje osiągnięcie zawodowej równowagi, którą sobie zakładał. Mężczyźni rządzą światem i chcą pieprzyć kobiety. Mężczyźni mówią: „dziewczyny są słabe”, podczas gdy tak naprawdę to oni stają się przez nie słabi. Jednocześnie jego myśli podążały innym torem: dlaczego to? dlaczego teraz? dlaczego ona? Po co ryzykować, skoro przed chwilą widział ich George Porter? Były to jednak kwestie teoretyczne, do przemyślenia w jakimś późniejszym terminie. Na razie gwałtowne niezadowolenie, które narastało w Dexterze od wizyty u pana Q. dwa tygodnie temu, wreszcie znalazło ujście. I kolejna myśl: dokąd mogliby pojechać? W jakieś zaciszne, zadaszone miejsce. Żądza robi idiotę z każdego, kogo dotyka - Dexter czuł, jak głupota spada na jego głowę niczym ośle uszy. Gdzie? Gdzie? Gdzie?

W tej całej sytuacji dziwne było to, że odkąd zaraz po Świącie Dziękczynienia zawiózł pannę Feeney na Manhattan Beach, prawie o niej nie myślał. Nękała go trochę jej kaleka siostra, te lśniące oczy nad nadymającymi się kocami powracały do niego w niespodziewanych momentach przez jakiś tydzień. Ale ta zdrowa dziewczyna nie. Zobaczywszy ją dziś w tej zielonej sukience, poczuł jednak ucisk w piersi. Obserwował ją przez swoje ukryte okienko i czekał, aż to doznanie minie. Ono zaś stopniowo się wzmagало, gdy narastała w nim dezaprobata dla towarzystwa, w którym się obracała: dla tej

nakoksowanej blondynki, kochanki czyjegoś męża, i dla faceta, z którym przyszła: był gotów się założyć, że to pedzik.

Obserwując ją w tej sukience, przyłapał się na tym, że wraca myślami do jęków Bitsy dobiegających zza drzwi łazienki.

Gdy przejechali po moście Brooklińskim, powiedziała mu, że została nurkiem. Oznajmiła to swobodnym tonem - żeby, jak przypuszczał, przerwać milczenie, za co był jej wdzięczny. Tak się złożyło, że go to zainteresowało, zarówno sam temat, jak i poczucie, że rozmawia z tą samą dziewczyną w tym samym samochodzie, lecz przyświeca im zupełnie inny cel. Spytał o sprzęt, o to, jak oddycha pod wodą, czy natknęła się na czyjeś zwłoki. Ale przecież mogliby rozmawiać o czymkolwiek.

Kiedy jechał wzdłuż krętego wybrzeża ku Bay Ridge, splótł palce z jej palcami, szczupłymi i ciepłymi. Wcisnęła kciuk w zagłębienie jego dłoni i przeszło go uczucie przypominające uderzenie pioruna, jakby włożyła mu rękę w spodnie. Powietrze w samochodzie dźwięczało i drżało. Było na to tylko jedno lekarstwo: wyrzucić to z siebie.

Stary hangar dla łodzi był mało oczywistym miejscem schadzki, bo przez lata Dexter załatwiał tam czasami różne interesy, niekoniecznie przyjemne. W obu przypadkach zwyciężały jednak te same argumenty: znajdował się na odludziu, w zacisznym miejscu, i był zamknięty na kłódkę. Stał nieco ponad kilometr na wschód od jego domu i jak na razie nie padł ofiarą wojennych rekonfiguracji wprowadzanych przez morską straż graniczną. Ilekroć Dexter się do niego zbliżał, zastanawiał się, czy tym razem nie zostanie go zrównanego z ziemią.

Zaparkował na pustej ulicy, samochód cyknął i zamilkł z westchnieniem. Ciemność była absolutna. Przechylił się i po raz pierwszy pocałował tę dziewczynę, czując, jak jego umysł pustoszeje pod wpływem rozkosznego smaku jej ust. Wyglądało na to, że jest ostatnią dziewczyną w Nowym Jorku, która nie pali. Wyczuł apetyt bijący w niej jak drugie serce, większe i miększe niż to prawdziwe, i odruchowo — jak nastolatek, a jakże - zapragnął zacząć natychmiast, tutaj. To jednak było zbyt niebezpieczne. Wysiadł, okrążył samochód i otworzył przed nią drzwi.

- Popatrzmy chwilę - powiedziała, a on zdał sobie sprawę, że ma na myśli morze, i dopiero teraz dotarło do niego, jakie jest głośnie. Poszli na koniec ślepej uliczki i spojrzeli na upiorną procesję fal przypominających rzędy ludzi w białych kapeluszach, którzy trzymają się za ręce i znikają w odmetach. Dexter zrobił coś, czego obiecał sobie nie robić: pocałował ją na widoku.

Gdyby było cieplej, chciałby pewnie od razu pociągnąć ją na ziemię, jak robił pod drewnianym deptakiem na Coney Island z niejedną dziewczyną w czasach swojej młodości. Przez szczeliny między deskami spadały na nich ziarenka piasku ze stóp kąpiących się ludzi. Nie było jednak powodu, żeby się spieszyć. Wyszli z klubu przed pierwszą. W czasie wojny wschód słońca następował dopiero o ósmej. Wystarczająco dużo czasu, żeby zrobić wszystko, co należało zrobić.

Hangar dla łodzi znajdował się przecnicę dalej, obok krótkiego pomostu. Dexter otworzył kłódkę kluczem i pchnął lepkie drzwi, natychmiast wyczuwając, że od jego ostatniej wizyty przed kilkoma miesiącami ktoś tam był. Potarł zapalkę o but i przypalił knot lampy sztormowej, która zawsze stała tuż przy drzwiach. Jej pełgający płomień potwierdził to przecucie: butelka po whiskey, niedopałki papierosów. W obecnym stanie Dexter prawie w ogóle się tym nie przejął. Musiał ogrzać to miejsce. Nie było tam prądu, jedynie przysadzisty piecyk, który skutecznie dawał ciepło, gdy już się w nim rozpałiło. Wrzucił do środka drewno. Rozpałka zniknęła, ale znalazł gazetę i podpalił ją, za późno uświadamiając sobie, że powinien był sprawdzić datę, by dowiedzieć się, kiedy konkretnie ktoś tu był bez jego wiedzy i pozwolenia.

Odwrócił się od płonącego drewna, spodziewając się poniekąd, że gdy jego pochłaniały te prace organizacyjne, dziewczyna zniknęła. Ona jednak wciąż tam była, wyjmowała szpilki z ciemnych włosów. Kiedy wziął ją w ramiona, obfity ciężar tych włosów wysypał mu się na rękę. Odsunął na bok inne kwestie praktyczne: czy powinni się położyć na płaszcach, wspiąć się do którejś z łódek wiosłowych zawieszonych na wspornikach w ścianach? Splótł dłonie pod jej tyłkiem i zaniósł ją na stół przysunięty do ściany za piecykiem. Posadził ją na jego krawędzi. Światło prawie tam nie docierało. Pocałował ją w usta i szyję, a potem rozchylił jej płaszcz i podciągnął sukienkę i halkę, odsłaniając pończochy i podwiązki. Zsunął spodnie i położył się na jej nagim brzuchu. Za nimi w piecyku trzaskały polana.

- Chcesz tego? - szepnął.

- Tak - powiedziała, na co głupia, ślepa część jego umysłu pognała naprzód niczym pies podczas polowania na lisa. Zsunął jej majtki i wślizgnął się w nią, słysząc swój pełen ulgi, zduszony okrzyk, jakby dobiegał z drugiego końca pomieszczenia. Po chwili zadrżał, jakby go zastrzelono, kolana ugięły się pod nim, przycisnął ją do siebie i wytrysnął. Hangar wypełnił się jego urywanym oddechem. Gdy odzyskał władzę w nogach, rzucił ich płaszcze przed piecyk, gdzie zaczęło gromadzić się ciepło, i pomógł jej zdjąć sukienkę oraz długie rękawiczki. Rozpiął jej biustonosz i pas do

pończoch, po czym powoli zrolował pończochy. W blasku ognia wyglądała bardzo młodo. Położyła się na płaszcach, zamknęła oczy i teraz mogło się zacząć naprawdę, bez słów Przesuwał ustami po jej ciele, aż poczuł, że przestała oddychać. Gdy rozchylił jej nogi, smakowała jak morze, które słyszał nawet teraz, uderzanie fal tuż za ścianą. Szczytowała jak człowiek wstrząsany jakimś atakiem, i zanim skończyła, znów był w środku.

Spali niespokojnie, Dexter raz po raz wstawał, by dorzucić do ognia. W jakiejś ciemnej godzinie obudziła go dłońmi, dotykając go w słabym, czerwonym świetle z taką mocą, jakby była po obu stronach jego skóry, jakby w nim zamieszkała - bo czy inaczej mogłaby wiedzieć, co czuł przy każdym jej ruchu? Miała zamknięte oczy i on też zamknął swoje, unosząc się w słodkiej agonii, która zdawała się trwać godzinami. Gdy wreszcie pozwoliła mu skończyć, zupełnie opuścił swoje ciało i wrócił do niego tylko po to, by wybuchnąć śmiechem: w ciągu czterdziestu jeden lat życia nigdy nie było mu lepiej. Tymczasem jakaś inna jego część odliczała czas do świtu, pragnąc skończyć przed jego nastaniem. Ile jeszcze? Wspięła się na niego, drżąc pod jego dotykiem niczym cięciwa łuku, a on poczuł, że znowu twardnieje. Końca nie będzie, pomyślał - nie będzie nic oprócz tego, już nigdy. Wiedział jednak przecież, że to nieprawda.

*

- Anno.

Szept przebił się przez warstwy mglistego snu i ostro wpadł do jej ucha. Otworzyła oczy. Przyćmione światło przenikało przez zamknięte okiennice. W piecyku został tylko żar. Było jej zimno i musiała zrobić siku. Przykrył ich szorstkim kocem i czuła pod nim dotyk jego nagiego ciała.

- Anno - szepnął tuż przy jej uchu. - Muszę cię odwieźć do domu.

Leżała nieruchomo z leciutko uchylonymi powiekami. Bała się poruszyć. Przypomniała sobie chłopaka Nell z poprzedniego wieczoru: jego nienaturalny spokój. Teraz też to czuła: inercję mającą zapobiec katastrofie.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak - powiedziała. - Tak, w porządku. - Ale wcale nie było w porządku. Świt, który zazwyczaj przynosił ulgę po nocnej rozpacz, groził jej teraz katastrofalną w skutkach de-maskacją. Jej serce biło spazmatycznie, dzwoniło jej w uszach.

Wstał i przeszedł przez hangar - pierwszy nagi mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała: górujący nad nią nieznajomy z ciemnymi loczkami,

które zdawały się wylewać z jego piersi na tors i gromadzić wokół asamblażu intymnych części przywodzących na myśl parę butów powieszonych na sznurówkach na latarni. Anna nigdy nie doświadczyła następstw namiętności, kiedy zjawiała się w sekrecie w piwnicznej kryjówce i wymykała z niej sama, bez Leona. Nie widywała żadnych stert ubrań w świetle dnia, ponownego przypinania pistoletu, który wisiał w kaburze na oparciu krzesła. Niemoralność tego, co zaszło między nią a tym gangsterem, przejmowała ją grozą. Czy była pijana? Postradała rozum? Próbowwała myśleć trzeźwo, by nie wpaść w panikę: matka nigdy się nie dowie, w stoczni miała dzień wolny - nie zawała pracy ani nawet się nie spóźniła. Ale jak wróci do domu we wczorajszym ubraniu, nie wzbudzając podejrzeń? Musiała niezwłocznie się stąd wydostać, zanim zrobi się całkiem widno. Musiała się wysikać, wziąć kąpiel i zasnąć we własnym łóżku, zanim nowy dzień rozpocznie się na dobre. Powinna była natychmiast wkroczyć w ostatnią fazę nocy, zmierzającą już ku unicestwieniu.

Zaczekała, aż on włoży spodnie, i dopiero wtedy chwiejnie wstała. Odwrócona do niego plecami, wciągnęła majtki, zapięła biustonosz i wślizgnęła się w halkę. Biżuterię nadal miała na sobie. Jedna z jej nylonowych pończoch dotknęła piecyka i skurczyła się z gorąca. Z gołymi nogami ubrała się w sukienkę, sygnalizując wycofaną postawą, że nie potrzebuje pomocy. Nie żeby jakkolwiek oferował. Wydawał się równie rozkojarzony jak ona, mrużąc oczy, wpatrywał się w etykietę pustej butelki po alkoholu. Podniósł dwa niedopałki z podłogi, obejrzał je, a potem wypuścił. Anna zapięła wyszywaną koralikami pelerynkę aż po szyję i włożyła kapelusz. Jej gołe nogi pokryły się gęsią skórką.

Czekała obok drzwi, podczas gdy on szukał czegoś w kieszeniach. Teraz, gdy już byli dwojgiem ludzi w płaszczach i kapeluszach, czuła się spokojniejsza. Kiedy do niej podszedł, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego z ulgą. Ujął jej brodę palcami i dał jej zdawkowego buziaka - pocałunek na pożegnanie - po czym przesunął zasuwę w drzwiach. Następnie pocałował ją jeszcze raz, głębiej, i Anna poczuła, jak na przekór wszystkiemu otwiera się w niej jakieś okienko - pragnienie, by zacząć od nowa mimo zbliżającego się świtu. Głód, jaki w niej budził, unieważniał wszelkie skrupuły - postanowiła, że pomyśli o nich później. A ponowne wkroczenie w ten sen sprawiło, że wstyd sprzed kilku minut rozpułnął się i zniknął.

Gwałtownie popchnął zasuwę, zdjął kapelusz i zaczął rozpinać jej płaszcz. Anna poczuła, jak łatwo może się to toczyć. Bez końca. Tak bardzo tego pragnęła!

- Spotkaliśmy się wcześniej - powiedziała i dopiero gdy słowa wydostały się z jej ust, zdała sobie sprawę z ich wagi. - Chyba nie pamiętasz.

- W klubie? - mruknął.

- Nie. U ciebie w domu.

Udało jej się wzbudzić jego zainteresowanie. Dłoń Dex-tera Stylesa zastęła przy guzikach jej płaszcza. I choć pragnęła, żeby nie przerywał, wiedziała, że to koniec.

- U mnie w domu.

- Wiele lat temu. Byłam jeszcze mała.

Powoli pokręcił głową, patrząc jej w oczy.

- Jak to możliwe?

- Przyjechałam z ojcem - powiedziała. - Z Edwardem Kerriganem. Chyba dla ciebie pracował.

Nazwisko wypełniło hangar, jakby je wyśpiewała. Albo jakby wyśpiewał je ktoś inny. Dlatego że na jego dźwięk - na dźwięk nazwiska ojca - Anna jakby natychmiast wyskoczyła z tej rozpustnej sytuacji. Jej ojcem był Eddie Kerrigan. Miała teraz wrażenie, że wszystko, co zaszło między nią a Dexterem Stylesem, prowadziło ją do tego objawienia.

Nie zareagował na to nazwisko w żaden widoczny sposób, jakby go nie dosłyszał albo nie rozpoznał. Obrócił obrączkę na palcu, wyprostował kłapy płaszcza. Anna jednak rozpoznała w jego spokoju tę samą grozę i ostrożność, które sama czuła w chwili przebudzenia.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - spytał cicho.

- Nie wiedziałam jak.

- Mówiłaś, że nazywasz się Feeney. - Nie tyle oskarżał, ile wydawał się zdezorientowany, jakby poklepywał się po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś, co zgubił.

- On zniknął - powiedziała Anna. - Pięć i pół roku temu.

Dexter Styles znów założył kapelusz, spojrzął na zegarek, uchylił okiennicę, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

- Musimy się stąd wynosić - zdecydował.

Poszli do samochodu, trzymając się na dystans. Poranek był zimny, skrzył się błękitem. Dexter Styles otworzył drzwi pasażera i Anna wślizgnęła się do

pachnącego wnętrza. Zatrzasnął swoje drzwi, mocno, i ruszył. Po kilku minutach jazdy w milczeniu powiedział:

- To mnie stawia w niewygodnym położeniu. To, że się teraz tego dowiedziałem.

- Więc jednak go znałeś - powiedziała Anna. - Jednak dla ciebie pracował. - Zdała sobie sprawę, że nigdy w to do końca nie wierzyła. To wspomnienie miało zbyt wiele ze snu albo pragnienia.

- Powiedziałbym ci, gdybyś tylko spytała.

- Pamiętasz, jak mnie przywiózł do ciebie do domu?

- Nie.

- Była zima, tak jak teraz. Zdjęłam buty.

- Możesz być absolutnie pewna - powiedział - że gdybym cokolwiek z tego pamiętał, nie siedzielibyśmy razem w tym samochodzie.

- Wiesz, co się z nim stało? - spytała. - Z Eddiem Kerriganem?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Przyglądała mu się, czekając, aż znowu na nią spojrzy, lecz nie odrywał oczu od drogi.

- Nie wierzę ci - powiedziała.

Zahamował tak gwałtownie, że opony lekko pisnęły, szczypiąc krawężnik spokojnej ulicy z rzędami domów. Odwrócił do niej bladą twarz.

-Nie wierzysz mi?

- Przepraszam - wyjąkała.

-To ty kłamałaś jak najęta. Nie mam pojęcia, kim jesteś... czym jesteś. Dziwką? Ktoś ci zapłacił, żebyś się ze mną pieprzyła i mówiła mi takie rzeczy?

Uderzyła go w twarz, jej ręka wyprzedziła umysł o pół sekundy. Na jego policzku został czerwony ślad.

- Powiedziałam ci, kim jestem - odparła drżącym głosem. - Nazywam się Anna Kerrigan, jestem córką Eddiego Kerrigana. Cały czas nią byłam.

Myślała, że jej odda. Dłonie zaciskające się na kierownicy były poznaczone bliznami, jak u boksera. Wziął głęboki oddech. W końcu się do niej odwrócił.

- Czego chcesz? Pieniędzy?

O mało nie uderzyła go po raz drugi. Wściekłość rozbłysła w niej jednak i pozostawiła po sobie spokój, jasność, jakiej Anna nie czuła od tygodni.

- Chcę wiedzieć, gdzie on jest - odparła. - Albo czy żyje.

- W żadnej z tych spraw nie mogę ci pomóc.

- Nie chciałbyś, żeby córka cię szukała, gdybyś zniknął? - spytała. - Nie oczekiwaliśmy tego?

- To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Zaskoczył ją.

- Dlaczego?

- Chciałbym, żeby trzymała się od tego najdalej jak to możliwe - powiedział. - Żeby była bezpieczna.

Patrzył prosto przed siebie. Anna przyglądała się jego rękom pięściarza opartym na kierownicy i czuła, jak przeszywają ją jego słowa. Nagle otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu, nie mając pojęcia, gdzie jest. Ruszyła chodnikiem i szła przed samochodem, spodziewając się poniekąd, że Dexter ją dogoni, że zaraz rozlegnie się jego głos. Pan Styles odjechał jednak, nie oglądając się za siebie.

CZEŚĆ PIĄTA

REJS

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pięć tygodni wcześniej

W pierwszym dniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Eddie Kerrigan wspiął się na Telegraph Hill i podszedł pod Coit Tower - w każdym razie na tyle, na ile pozwolili mu żołnierze pełniący wartę - by spojrzeć z góry na pirsy Embarcadero. Wypatrzył stamtąd trzy statki typu Liberty przyjmujące ładunek. Były oczywiście identyczne, ale wiedział, że ten pośrodku to Elizabeth Seaman, na pokładzie której miał się stawić za niespełna godzinę. Przejmowało go to grozą. Właściwie to wspiął się na Telegraph Hill z nadzieją, że wysokość wraz z towarzyszącą jej perspektywą pomogą mu stłumić tę niechęć.

Tydzień wcześniej przystąpił do trwającego pięć dni egzaminu na trzeciego oficera, który odbywał się w San Francisco, w ozdobionym kolumnadą olbrzymim gmachu izby celnej. Bał się, już gdy wchodził po schodach - prowadzących jakby do biblioteki albo ratusza. Miał znikomą wiedzę; zanim zaczął pływać, nie czytał niczego oprócz gazet. Ale na pokładach statków czytali wszyscy — poza tym nie było wiele do roboty, jeśli nie grało się w karty. Eddie nieśmiało zaczął czytać i odkrył, że to mu odpowiada. Nadal czytał powoli, lecz jego umysł okazał się podobny do psa czekającego, aż ktoś rzuci mu kij, żeby mógł za nim pognać i zdyszany przynieść go z powrotem. Znał na pamięć całe fragmenty *Podręcznika dla oficerów marynarki handlowej* i podczas egzaminu na trzeciego oficera uzyskał niemal doskonały wynik.

Przyglądał się Elizabeth Seaman najlepiej, jak można było się jej przyjrzeć bez lornetki. Bomy opuszczały olbrzymie skrzynie do drugiej ładowni: sprzęt lotniczy, domyślił się. Patrząc na to, zauważył w sobie jakąś niepokojącą, nieznaną mu wcześniej czujność - gotowość, by denerwować się z powodu popełnianych błędów, jakby już teraz, z odległości kilometra, był odpowiedzialny za statek, na którym jeszcze nawet nie powstała jego stopa. Zbeształ się: na litość boską, przecież służba we flocie handlowej to nie to samo co w marynarce wojennej. Oficerowie floty handlowej nie mieli nawet mundurów. Teraz jednak, gdy został oficerem, nawet jeśli tylko w sensie abstrakcyjnym, Eddie czuł, że bierny spokój, który pielęgnował w sobie przez pięć i pół roku na morzu, jest zagrożony.

Nie żeby dotąd ciężko nie pracował. Harował jak chiński robotnik - był to nieodłączny element tego spokoju. Na początku, w „czarnym gangu” maszynowni, przerzucał węgiel, karmił piece i gasił pożary, czyścił i

smarował rozgrzane, spocone trzewia statku w temperaturze pięćdziesięciu stopni Celsjusza, nękany rykiem silnika, który zostawiał w jego uszach permanentne brzęczenie. Wyczerpanie opróżniało jego duszę. Po ośmiu miesiącach wypełził z maszynowni, by dołączyć do załogi na pokładzie, i początkowo bezlitośnie nękało go jaskrawe słońce. Gdy jego oczy wreszcie się przyzwyczały, wyjrzał i zauważył morze, jakby było czymś zupełnie nowym: nieskończonym hipnotyzującym przestworem, który mógł przypominać schody, wosk, młotkowane srebro, pomarszczone ciało. Miało strukturę i warstwy, których nie sposób dojrzeć z lądu. Skupiając wzrok na tym nieznanym morzu, nauczył się dryfować w stanie półprzytomności, czujny, lecz nie do końca obudzony. Krew rozsadzała jego gałki oczne złotymi błyskami. Umysł wypełniła bzycząca pustka. Nie myśleć, nie czuć - po prostu być, bez bólu. Pamiętał swoje dawne życie, ale te wspomnienia zajmowały tylko jedno pomieszczenie w jego umyśle, a oprócz niego były też inne - liczniejsze, niż przypuszczał. Nauczył się omijać to pomieszczenie. Po jakimś czasie zapomniał, gdzie ono jest.

Zamustrował się z aż dwudziestoma mężczyznami na pierwszych niezrzeszonych w związku statkach, zanim w następstwie wielkiego strajku zakazano im dostępu do Zachodniego Wybrzeża. Kryminaliści, ćpuny ze strzykawkami w marynarskich workach, bokserzy amatorzy z dziurami we wspomnieniach - wszyscy tak ciasno ułożeni w wyrkach, że gdy ktoś inny kaszlnął, pierdnął albo jęknął, Eddie myślał, że sam to zrobił. Raz natknął się przypadkiem w kotłowni na dwóch mężczyzn szczepionych w śliskim, stękającym uścisku. Ten widok wzbudził w nim odrazę i wściekłość. Postanowił działać - protestować, znaleźć adwokata i złożyć skargę - lecz zanim jego wachta dobiegła końca, przestało go to obchodzić. Incydent odszedł w przeszłość, został w tyle razem ze współrzędnymi, na jakich się wydarzył. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym wszyscy mieli swoje sekrety. Nikt nie mówił więcej niż mężczyźni na statkach, lecz celem opowiadanych przez nich historii było ukrywanie tych, których nikomu nie mogli wyjawić.

Pearl Harbor zakłóciło dryfujący spokój Eddiego. Rozpaczliwie potrzebowano doświadczonych marynarzy do transportu zaopatrzenia wojennego i awansowano go - bez najmniejszego wysiłku z jego strony - ze zwykłego marynarza na mata. Bardzo zachęcano matów, by uczyli się do egzaminu na trzeciego oficera. Eddie opierał się przez wiele miesięcy, pragnąc utrzymać dryfujący spokój, którego najważniejszym warunkiem była jego własna bierność. Nie było to jednak nic dobrego. Bezczytność w czasie wojny - nawet jeśli tej wojny nie widział - przypominała obijanie się. Był

coraz bardziej znudzony, niespokojny. Wreszcie, uświadomiwszy sobie, że od ponad pięciu lat nie spędził na lądzie dwóch pełnych tygodni, zainkasował wypłatę w San Francisco i pojechał pociągiem do Alamedy na dwumiesięczny kurs dla oficerów.

Świadomy upływu czasu, zaczął schodzić z Telegraph Hill. W zatoce tłoczyły się okręty wojenne. Wzgórza wokół niej upstrzone były jasnymi domami przypominającymi ptasie jaja. Był zawiedziony, że ten widok nie stłumił w nim nowej fali niespokojnej czujności. Tak naprawdę nie miała ona jednak w sobie nic nowego. Była pozostałością po jego dawnym życiu. Po prostu zapomniał, jakie to uczucie.

Pół godziny później wspinał się po pochyłym trapie z pirsu 21 na pokład Elizabeth Seaman. Zanim tam dotarł, w jego uszy zadął znajomy głos: kwiecisty i donośny, podszyty brytyjskim szelestem. Eddie zamarł. Próbował sobie wyobrazić, że głos wydobywa się z ust innego mężczyzny - jakiegokolwiek innego mężczyzny - a nie z ust bosmana, który nim pogardzał. Nie udało mu się. Tylko jeden człowiek na całym świecie mówił w taki sposób.

Na głównym pokładzie wyjrzał zza gmatwaniny bomów, ładunków i przepychających się wojskowych dokerów, wypatrując ciemnej skóry bosmana. Nigdzie jednak nie dostrzegł Nigeryjczyka i więcej go nie usłyszał. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy go sobie uroił.

Przed nadbudówką Eddie przedstawił się panu Farmingdale'owi, drugiemu oficerowi. Dworskie maniery i śnieżnobiała broda nadawały temu mężczyźnie szlachetny wygląd profilu wybitego na monecie, lecz Eddie sklasyfikował go jako pijacynę. Mężczyznę zdradził nie tylko nadmiernie ostrożny sposób poruszania się - był wszak Nowy Rok i wielu chodziło na paluszkach. Zdradziła go woń bijąca z porów skóry - coś jak ziemia zmieszana ze zgniłymi skórkami pomarańczy. Eddie poczuł ukłucie obrzydzenia.

W mesie oficerskiej okazał kapitanowi nowiuteńki patent trzeciego oficera, na którym nie zdążył jeszcze wyschnąć atrament. Młody kapitan Kittredge był jasnowłosym i uderzająco przystojnym mężczyzną - bardziej niż prawdziwego marynarza przypominał gwiazdora filmowego wcielającego się w rolę szypra. Eddie poczuł się przy nim stary. Był stary jak na trzeciego oficera.

- Wrócił pan z emerytury? - spytał kapitan, najwyraźniej myśląc podobnie.

- Nie, panie kapitanie. Pracowałem już na morzu.

Kapitan pokiwał głową, bez wątpienia umieszczając Eddiego w kategorii odmieńców, których spotykało się na pokładach statków handlowych przed wojną. Kittredge'a otaczała amerykańska aura nachalnego optymizmu: spodziewał się najlepszego i zakładał, że to zdobędzie - bo inaczej pożałujecie! Powiedział Eddiemu, że to będzie jego trzeci rejs na pokładzie Elizabeth Seaman. Dwa pierwsze były pozbawionymi przygód pacyficznymi podróżami od wyspy do wyspy.

- Pani Seaman to wyjątkowa dziewczyna - powiedział, puszczając do niego oko. - Wyciągaliśmy nią dwanaście węzłów.

- Dwanaście! - zawołał Eddie. Liberty słynęły z powolności. Dwanaście węzłów wydawało się wręcz zawrotną prędkością. Być może statkowi udzieliła się beztroska amerykańska moc kapitana.

Przez trzy otwarte bulaje w przedniej ścianie wpadała bryza. Za nimi ukazywały się Eddiemu niewyraźne barwy San Francisco, niebieskie, żółte, różowe. To było jasne miasto. W siedzibach związków i w marynarskich kościołach przekazywano sobie upiorne opowieści ze Wschodniego Wybrzeża: storpedowane tankowce dymiące jak rzymskie ognie, mężczyźni przymarznęci do wiosł łodzi ratunkowych podczas znienawidzonych rejsów po Morzu Północnym do Murmańska. Tutaj trudno było sobie to wszystko wyobrazić. Rejsy Eddiego w roku poprzedzającym Pearl Harbor bardzo przypominały te opisywane przez kapitana Kittredge'a: rozładunki na morzu, żadnej swobody, ale i żadnego wyraźnego zagrożenia, gdy sezon tajfunów dobiegł już końca.

Prywatna kabina trzeciego oficera znajdowała się na pokładzie łodziowym, z tyłu na sterburcie, obok izby chorych. Była mała i skromna: łóżko z wbudowanymi szufladami, niewielka szafa, biurko, umywalka. Ale Eddiemu - przywykłemu do zadowalania się jedną szafką w kajucie, którą dzielił z co najmniej jednym mężczyzną, a częściej z kilkoma - taka ilość własnej przestrzeni wydała się onieśmiałającym luksusem.

Rozpakowując worek marynarski, znalazł zapieczętowaną kopertę z napisem „Zachować na później” wykaligrafowanym z przodu staranną ręką nauczycielki. Widocznie włożyła ją tam Ingrid, młoda wdowa, którą poznał trzy tygodnie wcześniej w San Francisco. Czując ukłucie poirytowania podszytego konsternacją, włożył kopertę do szuflady biurka i poszedł do sterówki, by przystąpić do wypełniania obowiązków trzeciego oficera. Sprawdził dziennik manewrów i flagi kodu. Już dwa razy żeglował statkami typu Liberty, więc znał Elizabeth Seaman - produkowane na masową skalę Liberty były identyczne aż po ostatnią szafkę ze sztormiakami. Z okna

sterówki obserwował, jak do drugiej ładowni trafia jeszcze więcej zapakowanego w skrzynie ładunku, który zauważył z Telegraph Hill. Samoloty - jak się domyślił, douglasy A-20. Skrzynie oznakowano cyrylicą.

Wyszedł z nadbudówki i wrócił na główny pokład. Na rufie statku do trzeciej ładowni trafiał ładunek drobnicowy: worki z cementem, wołowina w puszkach, jaja w proszku, pudła z butami. Eddie wspiął się na tylny pokład działowy i przywitał ze strzelcem na wachcie, porażająco młodym i wielkouchym jak oni wszyscy, z niewyszukanymi identycznymi fryzurami. Żaden marynarz nie chciał roboty polegającej na ochranianiu statku handlowego, a mimo to każdy ładunek wymagał dopełnienia w postaci bosmanów artylerzystów, którzy obsługiwali działa i karabiny maszynowe w razie ataku.

Schodząc z pokładu działowego, Eddie zauważył, że ktoś zostawił uchylony właz do znajdującej się poniżej maszyny sterowej. Tylko oficerom wolno było tam wchodzić, lecz załoga pokładowa miała swoje sposoby, żeby zdobyć klucze, o czym Eddie doskonale wiedział, bo sam też to robił. Maszyna sterowa doskonale nadawała się do suszenia prania.

Chcąc się dowiedzieć, kto śmiał naruszyć przepisy, zaczął schodzić po drabinie w znajome, tłuste ciepło trzewi statku.

I o mało nie zderzył się z nigeryjskim bosmanem, który właśnie wchodził po tej drabinie.

- Co?... To pan... - wykrztusił bosman. Zaskoczenie i niezadowolenie sprawiły, że zapomniał języka w gębie, co rzadko mu się zdarzało. - Czy to jakaś pomyłona próba zgłoszenia się na członka mojej załogi?

Eddie miał przewagę, bo został ostrzeżony zawczasu.

- Bynajmniej, panie bosmanie. Zdobyłem uprawnienia trzeciego oficera - powiedział, po raz pierwszy czerpiąc prawdziwą przyjemność z awansu.

Jak większość bosmanów, ten także gardził oficerami. Mało tego - on gardził byłymi matami, którzy stali się oficerami - „kluzownikami”, jak ich nazywano. Eddie zauważył, jak te przekonania uwidaczniają się na ciemnej, wyrazistej twarzy bosmana.

- Kluzownik! - odezwał się w końcu z miódopłynną drwiną. - Gratulacje, panie o f i c e r z e! Czyżby to był pana dziewiczy rejs w tej randze?

- Zgadza się - potwierdził Eddie, a jego serce przyspieszyło, jak zawsze, gdy starał się dorównać bosmanowi inteligencją. Ten człowiek wyrzucał z

siebie słowa w sposób, który oszałamiał Eddiego. Mówił z władcym akcentem, do którego Eddie nie mógł przywyknąć u Murzyna. - I nie musi pan mówić mi „oficerze”, bosmanie. Chyba pan o tym wie.

- Och, w pełni zdaję sobie z tego sprawę, trzeci - ryknął wesoło bosman.
- Mój „oficer” był jedynie wyrazem uprzejmości mającym oznaczać, że odnotowałem pański zapierający dech w piersiach awans w marynarskiej hierarchii i oddaję mu honory.

- Ma pan powód, żeby przebywać w maszynie sterowej? - spytał Eddie.

- Oczywiście, że mam, bo w przeciwnym razie nie zmarnowałbym w tym miejscu ani chwili mojego cennego czasu.

- Chciałbym tam zejść i się rozejrzeć, jeśli byłby pan łaskaw się odsunąć - powiedział Eddie. - Upewnię się, czy ten powód nie ma czegoś wspólnego z suszeniem prania.

Nozdrza bosmana gwałtownie się rozszerzyły. Przez krzepką budowę i ciemną, wpadającą w fiolet skórę wydawał się większy od Eddiego, nawet gdy patrzył na niego z dołu. Nie odsunął się.

- To chyba dogodny moment, by panu przypomnieć - odrzekł, trzaskając słowami niczym batem - że jako trzeci oficer, w dodatku świeżo upieczony, nie ma pan nade mną najmniejszego zwierzchnictwa. A to oznacza, że - najprościej mówiąc - nie może mi pan wydawać rozkazów.

Oczywiście miał rację. Trzeci oficer nie rozkazywał nikomu, podczas gdy bosman wydawał rozkazy załozie pokładowej złożonej z mniej więcej trzynastu marynarzy - sześciu matów, trzech starszych marynarzy, trzech marynarzy pokładowych oraz Drzazgi, czyli stolarza - i podlegał bezpośrednio pierwszemu oficerowi. Eddie, który pracował pod rozkazami bosmana, wiedział, że to tyran starej daty - towarzystwa żeglugowe takich uwielbiały, bo wyciskali z załogi pokładowej jak najwięcej, płacąc jak najmniej za nadgodziny. Podobnie jak większość despotów, bosman był samotnikiem i fanatycznym wielbicielem książek, które czytał w pełnym skupieniu sugerującym fizyczne zaangażowanie. Podczas gdy większość marynarzy rozmawiała o przeczytanych lekturach przy jedzeniu i wymieniała się nimi, powiększając w ten sposób skąpe zbiory bibliotek, bosman okładał swoje ceratą, a gdy ktoś się do niego zbliżył, odwracał je drukiem do dołu. Niektórzy teoretyzowali, że były sprośne, inni spekulowali, że czyta tylko jedną książkę: Biblię, Koran, Torę - albo może wszystkie trzy. Jego skrytość drażniła Eddiego. Uważał się za człowieka uprzejmego wobec Murzynów, lecz przywykł do czarnych mających mniej niż on. Mieszanina ras na statkach

handlowych początkowo go szokowała: nierzadko biali pracowali pod rozkazami Murzynów, mieszkańców Ameryki Południowej, a nawet Chińczyków. Ten bosman był jednak nie tylko bardziej wygadany od Eddiego i wyraźnie lepiej wykształcony. Patrzył na Eddiego z pogardą przywodzącą na myśl sformułowanie „głupi irlandus”.

Podjudzony przez innych matów, Eddie odważył się kiedyś podejść do bosmana i spytać - z uśmiechem, którego nie zdołał powstrzymać - co takiego czyta. Bosman zamknął książkę i odszedł bez słowa. Potem omijali się z daleka. Bosman nie dawał podwładnemu ani chwili wytchnienia, Eddiemu aż kręciło się w głowie od oparów zabezpieczającego przed rdzą oleju rybnego, a następnie czerwonej farby z ołowiem i okrętowej szarości, którą musiał pokryć każdy centymetr statku łącznie z masztami - choć zwykle należało to do obowiązków marynarza pokładowego. Przy silnym wietrze Eddie kołysał się tam i z powrotem, bezskutecznie planując zemstę.

- Coś mi mówi, panie bosmanie - powiedział, coraz bardziej sfrustrowany tym, że nadal zagradzano mu drogę na dół - że według pana to ja powinienem słuchać pańskich rozkazów.

- Nie śniłoby mi się sugerować czegoś podobnego - zaprotestował bosman - choć wiem, że zaledwie rejs wcześniej właśnie tak by było.

- Cóż, ale już tak nie jest. I nie będzie, chyba że jedna z tych książek, które zawsze czyta pan w takim skupieniu, to podręcznik przygotowujący do egzaminu na trzeciego oficera.

Bosman wybuchnął śmiechem przypominającym coś pomiędzy dźwiękiem dzwonów a łoskotem bębnow.

- Z całym szacunkiem, trzeci - zarechotał - gdyby kluzowanie było moim celem, już dawno temu stałbym się panem swojego wiadra.

Eddie wyczuł swoją przewagę. Bosman mógł się puszyć i perorować, ile tylko chciał, ale Eddie nigdy nie spotkał czarnego kapitana na amerykańskim statku handlowym i wątpił, by bosman się z kimś takim zetknął. Uświadomili to sobie chyba jednocześnie.

- No więc w porządku - powiedział Eddie i naprawdę tak pomyślał. - Chyba się rozumiemy.

- Nigdy się nie rozumiemy - warknął z odrazą bosman. Ruszył dalej po drabinie, zmuszając Eddiego do wycofania się. Eddie poczuł się tak, jakby wygrał dzięki nieczystemu zagraniu - a to gorzej niż przegrać. Wszedł na pokład i bosman przecisnął się obok niego.

Gdy Eddie w końcu dotarł do maszyny sterowniczej, nie znalazł tam żadnego prania.

*

Później drzwiami za kambuzem dostał się do maszynowni. Temperatura rosła, gdy schodził przez gęstwinę rur, kładek, kratak i przewodów wentylacyjnych do trzewi statku, mimo że trzy olbrzymie tłoki obracające śrubę były nieruchome.

Trzeci mechanik, odpowiednik Eddiego pod pokładem, mówił z akcentem niepasującym do nazwiska.

- O'Hillsky? - spytał sceptycznie Eddie. - Irlandczyk?

Inżynier się roześmiał.

- Polak. O-C-H-Y-L-S-K-I. - Palił fajkę, co było rzadkością w i tak już gorącej maszynowni. - Słyszał pan pogłoski? - powiedział Ochylski. - Rosja.

Eddie przypomniał sobie cyrylicę na skrzyniach z samolotami.

- Z punktu widzenia geografii to bez sensu.

Trzeci mechanik zaśmiał się, nie wyjmując fajki z ust, i Eddie rozpoznał europejskie wisielcze poczucie humoru, które z czasem polubił.

- Maszyna nie myśli - odparł Ochylski. - A Urząd Żeglugi Wojennej to maszyna.

- Murmańsk? - spytał Eddie, czując, jak dziwnie brzmi ta nazwa w jego ustach.

- Tylko jeśli zaopatrzą nas w arktyczny sprzęt. Wie pan coś o tym?

- Dowiem się - powiedział Eddie.

*

W ciągu następnych ośmiu dni Elizabeth Seaman pływała od pirsu do pirsu wzdłuż nabrzeża San Francisco i kontynuowano załadunek. Czwartą ładownię wypełniono boksytem, pierwszą racjami żywnościowymi typu C i pudłami z bronią ręczną. Na ostatnim przystanku, przy pirsie 45, wokół wypełnionych po brzegi luków umieszczono czołgi i jeepy, unieruchamiając je jako ładunek pokładowy, a następnie przymocowując łańcuchami do żelaznych okuć. Pierwszy oficer, znający się na rzeczy mniej więcej sześćdziesięcioletni Duńczyk, nadzorował to wszystko razem z bosmanem i jego załogą pokładową. Obowiązki Eddiego w porcie były niesprecyzowane i starał się omijać bosmana z daleka. Na szczęście oficerowie i członkowie

załogi jedli w osobnych mesach, mimo że żywiono ich tym samym. W salonie oficerskim były białe obrusy. Nocą, sam w kabinie, Eddie wymykał się echem swoich myśli, czytając książki. Najbardziej lubił te o morzu i wreszcie udało mu się zdobyć *Statek śmierci*, który krążył wśród załogi podczas jednego z jego rejsów do dżungli przed atakiem na Pearl Harbor.

Ostatniego wieczoru, jaki Elizabeth Seaman spędziła w porcie, Eddie stał na pomoście nawigacyjnym razem z Rogerem, gorliwym, nerwowym kadetem pokładowym. Podobnie jak Stanley, kadet maszynowy, Roger ukończył trzymiesięczne szkolenie oficerskie w Akademii Marynarki Handlowej w San Mateo i właśnie zaczynał obowiązkową półroczną służbę na morzu. Kadeci kwaterowali razem na pokładzie średniówki niedaleko Iskry, czyli radiooperatora.

- Co to za gość ten nasz Iskra? - spytał Eddie. Radiooperatorów widywano rzadko: albo siedzieli w kabinie radiowej, albo spali w kabinie obok, gdzie w razie pilnej transmisji budził ich alarm.

- Sporo przeklina - powiedział Roger.
- Niedługo też zaczniesz.

Kadet się roześmiał. Był mizernej budowy i miał haczykowany nos, do wieku męskiego brakowało mu kilku kroków.

- Matka nie będzie zachwycona.
- Tutaj nie ma matek.
- Widziałem dzisiaj coś dziwnego - odezwał się po chwili Roger.

Okazało się, że gdy otworzył drzwi do magazynu, zastał w środku drugiego oficera Farmingdale'a, który był czymś zajęty. Gdy podszedł, zobaczył, że Farmingdale przelewa do słoika zawartość puszkę z szarą farbą, przepuszczając cienki strumień przez bochenek chleba, który uprzednio wcisnął do otworu. Chleb wchłaniał kleisty pigment farby, tak że na dno słoika docierała tylko strużka mętnawej cieczy. Roger widział na własne oczy, jak Farmingdale przystawił słoik do ust i spokojnie wypił to do dna.

- Wzdrygał się - powiedział Roger - ale nie przestał pić.
- Wyobraź sobie, w jakim stanie jest jego żołądek.
- Da radę żeglować?
- Skoro coś takiego pije, to znaczy, że do tego przywykł - powiedział Eddie.

- Kto się zajmie nawigacją, jeśli drugi oficer będzie pijany?

- Ja - oświadczył Eddie, mimo że wciąż posiadał jedynie podstawowe umiejętności w tym zakresie. Był zniesmaczony zachowaniem drugiego oficera, który pozwolił, by kadet patrzył na jego upodlenie. - A ty, młody, skup się na azymucie.

Nad miastem markotnie zapadał zmierzch, drobinki diamentowego światła pulsowały na Telegraph Hill. Mgła jeszcze nie opadła.

- Będę tęsknił za Frisco - powiedział Roger.

- Ja też - odrzekł Eddie. - Chociaż okazuje się, że tylko marynarze nazywają je Frisco.

- San Francisco. - Roger wypowiedział te słowa głosem, w którym słychać było jeszcze echa mutacji. - Zajebiste z niej miasto.

*

Wciągnęli cumy dziesiątego stycznia o szóstej rano i miejscowy pilot pokierował ich do stacji demagnetyzacyjnej, gdzie rozmagnesowano kadłub Elizabeth Seaman, żeby nie przyciągał min. Eddie przeprowadził próbny alarm pożarowy i szalupowy. Nadzorowanie procedur bezpieczeństwa było jedynym wyraźnie określonym obowiązkiem trzeciego oficera. Członkowie załogi potraktowali je jednak po macoszemu; nawet nie wysunęli żurawików, a tym bardziej nie opuścili szalup. Kapitanowi Kittredge'owi spieszyło się w drogę, a bosman wydawał się obojętny - być może chciał w ten sposób umniejszyć rolę Eddiego.

Gdy wypłynęli z cieśniny Golden Gate, kapitan wyjawiał cel ich podróży: Kanał Panamski. Prawie na pewno oznaczało to Zatokę Perską, skąd ładunek miał zostać przetransportowany lądem do Rosji, której niezliczona Armia Czerwona nadal zmuszała szkopów do odwrotu. Ku niewysłowionej uldze wszystkich na pokładzie Elizabeth Seaman nie dostała arktycznego wyposażenia niezbędnego do przeprawy przez Morze Północne w styczniu. Refren „lepsze to niż Murmańsk” niósł się echem po trapach i przy stołach w mesie przez resztę wieczoru. Eddie jednak wcale nie czuł ulgi. Morze Karaibskie było dość niebezpieczne i wściekał się z powodu przeprowadzonego na pół gwizdka alarmu szalupowego.

Gdy nazajutrz o ósmej rano przejął wachtę od pierwszego oficera, przekonał go, że powinni powtórzyć próbny alarm. Po południu zatrzymano silniki i wydano rozkaz ewakuacji z pokładu: sześć krótkich dźwięków dzwonka alarmowego i jeden długi. Gdy mężczyźni ruszyli w stronę pokładu

łodziowego, bosman szybko wspiał się po drabinach i zaczepił Eddiego.

- Panie trzeci oficerze - zaczął drwiącym tonem - czy jest pan świadom faktu, że od ponad roku łodzi podwodne japońców nie zatopiły żadnego statku handlowego u wybrzeży Kalifornii?

- Jestem, panie bosmanie.

- Czy zatem może pan wyjaśnić, dlaczego właśnie przeprowadzamy drugi próbny alarm szalupowy w ciągu zaledwie dwóch dni na morzu?

- Pierwszy był kpiną. Jeśli ten też taki będzie, jutro ogłoszę kolejny.

- Wyobrażam sobie, że byłby pan zachwycony - powiedział bosman, kierując chytry uśmiech w stronę coraz liczniejszej publiczności: sygnał dzwonka ściągnął na pokład łodziowy wszystkich członków załogi. - W końcu próbne alarmy stwarzają panu rzadką okazję, by pofiglować z nowo zdobytą władzą!

- Z tym się to panu kojarzy? Z figlowaniem?

- Każdy człowiek figluje inaczej - odparł bosman.

Eddie zauważył pogardliwe uśmieszki na twarzach otaczających ich ludzi, czuł, jak wzbiera w nich śmiech. Obok stali pierwszy oficer i kapitan. Wiedział, że jeśli się w to wmieszają, nigdy nie zdoła odzyskać autorytetu.

- Odmawia pan udziału w próbnym alarmie, bosmanie? - spytał ostro, uświadamiając sobie, że dotarł z opóźnieniem do miejsca, od którego powinien był zacząć.

- Gdzieżbym śmiał! - stanowczo zaprotestował bosman. - Wręcz przeciwnie, jestem tylko marionetką w pańskich rękach, trzeci oficerze, tak jak my wszyscy. Prosimy, niech pan nas przeprowadzi przez niezbędne etapy tej procedury!

Eddie potrzebował całej swej powściągliwości, by puścić sarkazm mimo uszu i kontynuować. Ten człowiek działał na niego jak wysypka, której śwędzenie z trudem mógł wytrzymać. Tym razem przynajmniej opuszczono wszystkie cztery szalupy i całej załodze udało się do nich wejść. Eddie postanowił, że będzie ogłaszał próbny alarm raz w tygodniu, dokładnie według przepisów, nawet jeśli miałyby to doprowadzić do jego bójki z bosmanem. W zasadzie to miał nadzieję, że do niej doprowadzi.

*

Dzień przed dotarciem do Panamy, dziesiątego dnia rejsu, w radiu pojawił się sygnał wywoławczy Elizabeth Seaman -wielce niespotykana rzecz. Iskra

rozszyfrował wiadomość za pomocą książek kodowych i zaniósł kapitanowi napisany na maszynie owoc swojej pracy. Ostatecznie mieli płynąć nie przez kanał, lecz dalej na południe, wokół przylądka Horn i przez południowy Atlantyk do Kapsztadu w Związku Południowej Afryki: zwykle zajmowało to jakieś czterdzieści dni. Kapitan Kittredge był przekonany, że osiągną lepszy czas.

Zapanowało powszechne rozgoryczenie, że nie będzie można kupić panamskiego rumu ze statków aprowizacyjnych, od których roiło się na obu końcach kanału, ale wkrótce ustąpiło ono miejsca monotonii charakterystycznej dla długich rejsów. Początkowo wszyscy się jej opierali: byli znudzeni, niechętni, niespokojni. W ciągu kilku dni na pokładzie zapanował jednak spokój przypominający westchnienie - ulgę związaną ze świadomością, że tak to już jest, a raczej będzie przez kilka najbliższych tygodni. Mężczyźni zajęli się realizowaniem swoich morskich pasji: strugali gwizdki albo pletli pasy węzłem prostym. Osiemnaście dni po wypłynięciu z San Francisco Farmingdale zdołał na tyle zapanować nad drzeniem rąk, że zrobił dwie lalki z konopi. Tej nocy, gdy przejmował od Eddiego wachtę pełnią od ósmej do dwunastej, Eddie pochwalił jego dzieło i spytał, kto go tego nauczył.

- Pewien stary wilk morski - odrzekł Farmingdale. - Zrobił ich pięćset sześćdziesiąt, jeśli jest pan w stanie to sobie wyobrazić. Trzyma je w schowku na poczcie w Rincon Annex.

Stare wilki morskie żeglowały za młodu drewnianymi statkami - innymi słowy, żeglowały, kiedy „żeglowanie” naprawdę było żeglowaniem.

- Żyje jeszcze? - spytał Eddie.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to minęło parę lat, odkąd go widziałem - powiedział drugi oficer.

- Powoli znikają - przyznał Eddie. - Te stare wilki morskie.

Pięć lat temu spotykało się ich na pokładach większości statków - nosili w kieszeniach wosk palmowy, igłę i szpagat. Eddie przypuszczał, że Urząd Żegluga Wojennej się ich pozbywał.

- Mamy tu jednego - powiedział Farmingdale. - To Pugh, trzeci kucharz.

- Chyba przyniesie nam szczęście!

Farmingdale bez przekonania kiwnął głową. Był powściągliwy i nieprzenikniony nawet na trzeźwo. Eddie nie umiał go polubić. Jednak obecność starego wilka morskiego na pokładzie Elizabeth Seaman była

głęboko pokrzepiająca. Nazywano ich „facetami z żelaza na statkach z drewna”, byli przeciwieństwem dzisiejszych facetów z drewna na statkach z żelaza, na przykład Kittredge’a, Farmingdale’a i samego Eddiego. Stare wilki morskie tworzyły mit założycielski, znajdowały się blisko korzeni wszystkiego, w tym także języka. Eddie nigdy nie zwracał uwagi na to, jak wiele z wypowiedzianych przez niego słów nawiązuje do życia na morzu, poczynając od „transportu”, a kończąc na „sięganiu dna”, „łapaniu wiatru w żagle”, „ryczących czterdziestkach”, „płynięciu z prądem”, „całej naprzód”, „byciu na fali”, „przekazywaniu sterów”, „osiadaniu na mieliźnie” czy „zwijaniu żagli”. W sensie praktycznym posługiwanie się tym słownictwem dawało mu poczucie, że znajduje się blisko czegoś ważnego - blisko głębszej prawdy, której zarys dostrzegał, jak sądził, alegorycznie, nawet będąc jeszcze na lądzie. Bycie na morzu zbliżyło Eddiego do tej prawdy. A stare wilki morskie miały do niej jeszcze bliżej.

Zostawił Farmingdale’a na mostku i wprowadził godzinę widoczną na zegarku do dziennika pokładowego: obrali kurs na 170, zaczął wiać lekki wiatr, a morze było tylko umiarkowanie wzburzone. Zatrzymał się w mesie oficerskiej na „nocny lunch” - kanapkę z zimnym mięsem i kawę - po czym napełnił kubek mlekiem dla Iskry, radiooperatora, któremu metalowy aparat ortopedyczny na nodze (polio, jak przypuszczał Eddie) utrudniał chodzenie po drabinach. Eddie nabrał zwyczaju odwiedzania Iskry po wachcie, co opóźniało jego przybycie do pustej kajuty.

- Kurwa, trzeci, miły z ciebie gość - powiedział Iskra, biorąc od niego kubek z mlekiem.

Eddie sprawdził, czy zasłona zaciemniająca jest porządnie zaciągnięta, i dopiero wtedy przypalił im papierosy. Iskra zbliżał się do pięćdziesiątki, przypominał elfa, drobnego, z niewidocznymi rzęsami wokół opadających powiek.

- Jestem jak traszka: ogon mi odpada i zaraz odrasta -oznajmił kiedyś Eddiemu ze swoim ledwo już wyczuwalnym irlandzkim akcentem. Był homoseksualistą - Eddie wiedział o tym, choć nie wiedział skąd. Iskra wychował się w Nowym

Orleanie i zaczął pływać w wieku dwudziestu paru lat. Był abstynentem, co u Irlandczyka wydawało się niezwykle.

- Ach, marzyłem o tym. - Spojrzał na kubek z mlekiem, którego zawartość wychylił następnie kaskadą łapczywych haustów. - Za kubek mleka mógłbym się czułgać po potłuczonym szkle jak opiumista za fajkę.

- Może opium spodobałoby ci się jeszcze bardziej.

Iskra prychnął.

- Wystarczy, że potrzebuję jedzenia, snu i papierosów, że muszę ciągnąć za sobą tę pieprzoną nogę. Nie stać mnie na taki nałóg.

- Widywałem kaleki w palarniach opium.

-Jasne, że widywałeś - próbują zapomnieć, że są kalekami! Ale czy to mądre: masz, kurwa, szynę na nodze, masz, kurwa, problem na głowie, wydaje ci się, kurwa, że znalazłeś wyjście z sytuacji, a tak naprawdę wpakowałeś się w gówno.

Gdy Iskra zakołysał kubkiem, by wydobyć z niego ostatnie krople mleka, Eddie poczuł gwałtowny przypływ współczucia. Miał przed sobą zboczeńca, a zarazem kalekę, faceta bez urody, pieniędzy i siły fizycznej. Jak Iskra znosił takie życie? A jednak nie tylko je znosił - on zawsze był wesoły.

- Matka musiała cię kochać, Iskra - powiedział Eddie.

- Co, na miłość boską, skłania cię do takiego wniosku?

- Po prostu mam takie wrażenie.

- No to lepiej weź to swoje wrażenie i wsadź je sobie w ucho. Moja mamusia była największą moczymordą w dzielnicy. Raz narzygała mi do łóżka, próbując pocałować mnie na dobranoc! Matko święta, ależ z niej była świnią, z tej mojej mamusi, najzwyklejsza świnią.

- Mówienie tak o własnej matce - powiedział Eddie - przynosi pecha.

- Pecha przynosi posiadanie takiej matki - odparł Iskra. -Kobieta była nie do życia. Tata musiał ją umieścić w zakładzie. Ale miałem cudowną siostrę. Lily. Nazywała mnie swoim małym dmuchawcem. Nie śmiej się, kurwa, bo przybiję cię do ściany, pojebie. - Ale sam się śmiał. Iskra ciągle się śmiał. Uciszały go tylko komunikaty systemu BAMS dla alianckich statków handlowych. Nadawał codziennie o ustalonej porze czasu Greenwich - wskazywanego przez drugą wskazówkę godzinową jego zegara radiowego. O trzeciej Iskra przekręcał odbiornik z pięciuset kilocykli na wyższą częstotliwość i ze słuchawkami na uszach czekał na sygnał wywoławczy Elizabeth Seaman. Jako że alianckie statki handlowe utrzymywały ciszę radiową, cała praca Iskry polegała na słuchaniu. Zupełnie nieruchomiał, pochylony nad przekaźnikiem, jakby on sam - albo może metalowa szyna na jego nodze -pełnił funkcję urządzenia odbierającego fale elektromagnetyczne.

Eddie zostawił go i odniósł pusty kubek do kambuza. Nadal nie spieszyło

mu się do spania, więc wyszedł z kajuty. Noc była spokojna, chmury zasnuwały księżyc, którego rozproszony blask migotał jak tysiące ciem nad ruchomym morzem. Kołysanie statku było pożądanym i kojącym wytchnieniem od twardej nieustępliwości lądu. Eddie czuł, że zbliżył się do tej mentalnej pustki, którą karmił się w latach rejsów z San Francisco do Chin, Indonezji i Birmy przez Honolulu i Manilę. Nad portem w Szanghaju na spowitych cieniem uliczkach wsłuchiwał się w dźwięki zwykłego życia poza otoczonymi murem dziedzińcami: w płacz dzieci, brzęk garnków. Czasami przez otwarte drzwi zauważał jakąś kobietę idącą na pokurczonych stopach ze sztywną, niepewną dostojuścią flaminga.

Tajemnice świata. Nigdy nie wierzył w ich prawdziwość. Myślał, że istnieją tylko w książkach czytanych na głos przez miłosierne damy.

W końcu wrócił do kajuty. Bez balastu w postaci współlokatorów czuł się jakby niezakotwiczony. Odruchowo otworzył szufladę biurka i ze zdumieniem odkrył w niej kopertę, którą włożył tam po podpisaniu kontraktu pierwszego dnia. Zapomniał o jej istnieniu. Zapomniał o Ingrid - prawie już nie pamiętał, jak wyglądała. Odległe sprawy stawały się teoretyczne, potem wyimaginowane, a wreszcie trudne do wyobrażenia. Przystawały istnieć.

Teraz w słabym świetle obok wyrka otworzył list - pierwszy, jaki czytał od ponad pięciu lat na morzu.

„Drogi Edwardzie - napisano zdecydowaną, pozbawioną sentymentów kursywą - pogoda dopisuje, choć po wielu dniach mgły przydałoby nam się trochę słońca. Moi podopieczni zakładają wojenne ogródki zwycięstwa, lecz obawiam się, że się zniechęcą. Wojna zmieniła wiele spraw, lecz rośliny nadal potrzebują słońca, żeby rosnąć! Rozmawiamy o Tobie z chłopcami często i z sympatią. Zaproponowałam, że jeszcze raz zabiorę ich do wesołego miasteczka, ale nie chcą. Czekają na Ciebie”.

Ton listu był wyważony, wręcz bezbarwny, lecz te słowa zelektryzowały Eddiego. Zalały go wspomnienia pierwszego spotkania z Ingrid w kawiarni Foster s: kobieta z niebieskim szalikiem kupowała dwóm synom jeden kawałek ciasta, którym podzielili się w nabożnym skupieniu i bez kłótni. Eddie spytał ją o godzinę. Okazało się, że jest Niemką - tylko cudem zdołała utrzymać się w pracy, bo potępiła Hitlera i swoją ojczyznę przed specjalną komisją. Urodziła też trzecie dziecko, dziewczynkę, która zmarła w niemowlęctwie. Stephan i Fritz, mający odpowiednio siedem i osiem lat, mówili o siostrze, jakby zniknęła tydzień temu. Nazywali ją „małą Helen” i modlili się za nią przed każdym posiłkiem. Ojca stracili niedawno, zginął w wypadku w fabryce, lecz rzadko o nim wspominali. Pamiętali małą Helen.

W wesołym miasteczku Eddie i chłopcy zjeżdżali w workach po ziemniakach po długich drewnianych zjeżdżalniach, ocierając sobie skórę w miejscach, gdzie kolano albo łokieć zahaczyły o deskę. Podłoga w beczce śmiechu była usiana otworkami, przez które głośno wpadało powietrze (wpuszczane przez jakiegoś ukrytego spryciarza) mające unosić dziewczynom spódnice. Ingrid panicznie bała się tych podmuchów i śmiejąc się, kurczowo trzymała Eddiego.

Gdy wracali tramwajem, Eddie położył dłonie na klatkach piersiowych chłopców, żeby nie stracili równowagi. Zaskoczyło go bicie ich serc przemykające pod jego palcami jak myszy.

Ingrid i jej synowie nadal istnieli. Myśleli o nim - czekali na niego. Eddie poczuł tę prawdę w ciele niczym warstwę przewracanej ziemi. To wszystko nadal istniało, wszystko, co za sobą zostawił. Jego zniknięcie było jedynie złudzeniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Eddie leżał na koi i przysypiał. Wpłynęli w strefę ryczących czterdziestek niedaleko Chile i Elizabeth Seaman mocno się kołysała. Być może właśnie to kołysanie obudziło w Eddie'ciu stary znajomy rytm: mały, uporczywy kontrapunkt podobny do podskakującej piłki.

- Czy istnieją prawdziwi gangsterzy?
- Przecież nie wymyślono ich w filmach.
- Wyglądają jak Jimmy Cagney?
- Jimmy Cagney nie wygląda jak Jimmy Cagney. Jest niższy od mamy.
- To twój przyjaciel?
- Uścisnęliśmy sobie ręce.
- Wygląda jak gangster?
- Wygląda jak gwiazdor filmowy.
- Po czym poznać gangstera?
- Zwykle kiedy wchodzi, w pomieszczeniu robi się trochę ciszej.
- Ludzie się boją?
- Jeśli nie, to kiepski z niego gangster.
- Nie lubię się bać.
- To dobrze. Nie będziesz się kłaniać.
- A ty się kłaniasz?
- Widziałaś, żebym się kłaniał?
- Rozmawiasz z nimi?
- Mówię im dzień dobry. Niektórych znam z dawnych czasów.
- Stanąłbyś kiedyś po ich stronie?
- Tylko jeśli nie miałbym innego wyjścia.

Jej mała ciepła dłoń wsunęła się do jego dłoni. Zawsze tam była, ta dłoń, niczym płotka, która znalazła swoją szczelinę.

- Jedziemy do pana Dunellena?
- Zabawne, że o nim wspominasz, skarbie.

- Dał mi cukierki.
- Pan Dunellen jest łasuchem. Tak jak ty.
- To twój brat.
- W pewnym sensie.
- Uratowałeś go od utonięcia.
- To prawda.
- Powiedział, że ci dziękuje?
- Nie użył aż tylu słów. Ale jest mi wdzięczny.
- To dlatego dał mi cukierki?
- Możliwe, skarbie.
- Tobie też dał?
- Nie. Ale nie jestem takim łasuchem jak ty.

Anna wróciła do Eddiego po wieloletniej nieobecności: jej głos, jej paplanina, dotyk jej rączki w jego dłoni. Ciągnęła go za rękę przez korytarze pamięci do pokoju, w którym starannie zamknął swoje dawne życie. W środku zastał wszystko w nienaruszonym stanie.

Niedzielną mszę. Lydia zaczęła płakać: zduszony dźwięk, bardziej donośny i rozdzierający, niż można by się spodziewać po niemowlęciu. Nie, nie była niemowlęciem, miała już trzy lata - po prostu była jeszcze na tyle mała, że jeździła w wózku, dzięki czemu jej ułomność pozostawała w ukryciu, tak jakby. Agnes wzięła ją na ręce, żeby ją uspokoić, i ukazała tłumowi ludzi w kościele jej powykręcane ciało. Wstyd uderzył Eddiego z siłą tępego narzędzia. Chwycił się ławki z przodu, żeby nie upaść. Lydia dalej dławiła się i wyła, nie było słychać księdza. Mężczyźni krzywili się i udawali, że nic się nie dzieje, a dwie mężatki pomogły Agnes wyjść z kościoła. Jedna pchała wózek, druga trzymała Lydię za wierzgające nóżki. Anna próbowała pójść za nimi, ale Eddie złapał ją za rękę. Nagle poczuł się tak, jakby wszystko wokół się od niego oddaliło, jakby pękło coś w jego umyśle. Utkwił spojrzenie w księdzu, ale słyszał jedynie szum.

Po mszy grupa mężczyzn podryfowała do czyjś domu na odrobinę paskudnego piwa, które Owney Madden warzył na oczach wszystkich w fabryce herbatników przy Dwudziestej Szóstej Zachodniej. Eddie też tam zajrzał, zamierzał pobyć z nimi tylko przez chwilę. Okropne uczucie, którego doświadczył w kościele, wciąż mu towarzyszyło. Chciał się go pozbyć, zanim

wróci do Agnes. W zabawie z piciem numeru I Maddena nie chodziło o smak, Bóg świadkiem, lecz o próbę określenia, czym smakuje to piwo. Wiórami? Mokłą gazetą? Gołębiami, z których hodowli słynął Owney? Na podwórku dzieci obrzucały się śnieżkami, odsuwając się przed sporadycznie przejeżdżającymi samochodami. Eddie widział przez okno, jak Anna, mająca raptem sześć lat, wyskakuje na chłopaków zza zasy. Patrząc na nią, poczuł się lepiej. „Mam jedno zdrowe dziecko - pomyślał. - Dzięki Bogu. Dzięki Bogu”.

Wczesnozimowy zmierzch wnikał w zasy, gdy pędzili do domu przez Helis Kitchen. Eddie chwiał się lekko od piwa. Zamierzał wrócić wcześniej. Agnes będzie musiała się spieszyć, żeby zdążyć. Od krachu Follies miały przerwę, ale pan Z. załatwił jej miejsce w innym przedstawieniu.

- Chcę częściej bawić się na podwórku - poinformowała go Anna, szcękając zębami.

- Jesteś mokra i zziębnięta. Daj mi rękę.

- Nie dam. - Ale dała. Rękę w przemoczonej mitence, przełożywszy coś najpierw do drugiej ręki.

- Co tam masz, jeśli można wiedzieć?

Wziął od niej kulkę śniegu, mocno ubitą, upstrzoną kawałkami słomy i gnoju.

- Zachowam ją na później - powiedziała.

- Śnieg topnieje w domu. Przecież wiesz.

- Włożę ją do lodówki.

- Zarazisz nas wszystkich tyfusem. Zostaw ją na schodach.

- Ktoś ją zabierze!

- Mało prawdopodobne, skarbie.

Otworzył drzwi do mieszkania, szykując się na złość Agnes i płacz Lydii. Czekająca na niego jednak spokojna scena: Lydia leżała na kanapie, miała mokre włosy. Anna podbiegła do siostry. W ustawionej w kuchni wannie było pełno wody.

- Po prostu trzeba ją było wykapać - stwierdziła Agnes, wycieńczona i blada. Zastanawiał się, jak długo trwał ten płacz.

- Musiałaś ją wykapać sama - powiedział. - Przepraszam.

Agnes zrobiła szybką przepierkę, używając wody, która została w wannie. Eddie pochylił się nad kanapą i pocałował Lydię w pokryty meszkiem policzek. Cokolwiek pękło w nim w kościele, na razie wydawało się naprawione.

Gdy dziewczynki zasnęły, usiadł na schodach przed budynkiem - mieli mieszkanie na parterze w Hell's Kitchen - i palił, nie zważając na zimno. Słyszał o dzieciach ze zniekształconymi stopami, o mongołach, półgłówkach i kuternogach. Słyszał o takich, które wypadły przez okno, zostały stratowane przez konie, rozwaliły sobie głowy, skacząc z pirsów na rzece Hudson i natrafiając na podwodne pale. Dlaczego to było gorsze? Nie potrafił wyjaśnić. Połączenie piękna i deformacji w Lydii wskazywało, że popełnił jakiś okropny błąd. Nie była taka, jaka powinna być, nawet w niewielkim stopniu, a cień osoby, jaką powinna być, nie odstępował jej na krok niczym pełen wyrzutu bliźniak. Często w chwilach samotności Eddie przypominał sobie moment, w którym podszedł do niego lekarz z sali porodowej: ponure spojrzenie, podsunięty papieros - przerażenie Eddiego, że dziecko - miał nadzieję, syn - umarło. Teraz w jego wyobraźni lekarz przekazywał właśnie tę wiadomość, którą wtedy tak bał się usłyszeć: „Bardzo mi przykro. Pańskie dziecko urodziło się martwe”. I na chwilę Eddie katapultował się do życia zmienionego w ten sposób: przeprowadziliby się do Kalifornii, gdzie podobno wszystko jest lepsze! Agnes znowu byłaby rozleniwioną kocicą, którą poślubił, która prowokowała go w łóżku wachlarzami z piór i gasiła papierosy na kopiastych porcjach tłuczonych ziemniaków. Eddie zapłacił jednak wysoką cenę za tę chwilę fantazji, gdy na powrót przygniotły go gwałtownie ponure fakty z jego życia. Nie będzie żadnej przeprowadzki, żadnej zmiany, to nie będzie miało końca.

Wszedł do mieszkania, żeby zajrzeć do dziewczynek i dorzucić węgla do pieca. Lydia spała w kołysce w kuchni, gdzie miała najcieplej. Nawet oddychanie było dla niej męczarnią. „Wdech... wydech. Wdech... wydech”. Przerwa między jednym a drugim oddechem wydawała się nienaturalnie długa, jakby gdy już zdołała wypuścić powietrze, musiała zebrać siły, by zacząć od nowa. Wróciło dziwne wyobcowanie, które Eddie czuł podczas mszy, ten odrętwiający dystans przyniósł mu wytchnienie od rozpacz. Był obserwatorem, nikim więcej, patrzył na mężczyznę, który podnosi poduszkę i lekko zakrywa nią twarz śpiącej córki. Jej oddech spowolnił, usiłowała stawić czoło temu nowemu ciężarowi. Eddie patrzył, jak mężczyzna przyciska poduszkę. Drobne kości mostka małej unosiły się i opadały pod kołnierzykiem nocnej koszuli. Zaczęła poruszać głową, usiłując ją odwrócić. Mężczyzna nacisnął mocniej. Eddiego zdumiały jej gorączkowe starania, by

zaczepnąć powietrza. Miała nigdy nie chodzić, nie mówić, lecz mimo to po omacku szukała życia - walczyła o nie. Zaciekłość jej instynktu zmusiła Eddiego, by wrócił do siebie z impetem drzwi trzaskających o futrynę. Wypuścił poduszkę i wyjął Lydię z kołyski. Miał ochotę wyć, ale to by ją przestraszyło, więc tylko całował jej małą twarzyczkę, zraszając ją łzami, aż uniosła drżące powieki i uśmiechnęła się do niego. Przytulił ją, płacząc cicho, i ukołysał z powrotem do snu. Wyobraził sobie, że rzuca się z dachu pod koła tramwaju - zasłużył na taką karę, pragnął jej wręcz. Samobójstwo było tchórzliwym posunięciem, równie grzesznym jak to drugie, lecz fantazjował o nim z zachwytem. Nie był w stanie się powstrzymać.

Gdy późnym wieczorem Agnes wróciła do domu, spojrzała na Eddiego i podbiegła do kołyski, jakby poczuła muśnięcie skrzydła anioła śmierci. Powiedział jej spokojnie, że nie może więcej zostawać w domu sam z Lydią. To była ostatnia rewia, w której tańczyła Agnes. Już nigdy nie wróciła na scenę, mimo usilnych próśb pana Z., by dotrwała do końca tygodnia. Z dnia na dzień porzuciła pracę, którą uwielbiała - która przywiodła ją do Nowego Jorku jedenaście lat temu, gdy miała siedemnaście lat, i dzięki której ich drogi się skrzyżowały. A Eddie, bez oszczędności i perspektyw, poszedł na pirsy West Side szukać zgrai z czasów swojej młodości.

*

Po porannej zbiórce, gdy facet wybierający ludzi do pracy podjął przesądzone z góry decyzje o tym, kto zostanie zatrudniony, tłum mężczyzn, którym się nie poszczęściło, zgasił papierosy i podryfował ponuro ku ścieżce zdrowia usianej barami, lichwiarzami, handlarzami narkotyków i hazardem. Dzięki Dunellenowi Eddie miał zagwarantowaną robotę na popołudnie, nawet jeśli nie załapał się na rano. Często postanawiał spędzać dzielący go od niej czas, dryfując w tłumie przegranych: Polaków i Włochów, Murzynów, a nawet Amerykanów albo białych urodzonych w Ameryce. Rozmaitość czekających na nich atrakcji przysłała im cel, który tym atrakcjom przyświecał: wyciągnięcie pieniędzy od ludzi, którym niesłusznie odebrano szansę, by mogli je zarobić. Eddiego zdumiewało, że Murzyni w ogóle pojawiali się na tych pirsach, gdzie mogli liczyć jedynie na pracę, jakiej nikt inny nie chciał: na przykład głęboko w ładowni przy wynoszeniu bananów, które brązowiły pod wpływem dotyku i dawały schronienie mnóstwu gryzących pajaków.

Eddie nie potrzebował dużo czasu, by zauważyć, że wszystkie gry hazardowe w pobliżu pirsów Dunellena są ustawione: znaczone karty, podrasowana kostka albo nawet -zwłaszcza w miejscach, gdzie grano w

afrykańskiego golfa, czyli w kości - rzekomy przegrywający, który tak naprawdę był w zмовie z dwoma lub trzema innymi „przegrywającymi”, by oskubać resztę. Wstrząs, jakiego doznał Eddie po tym odkryciu, świadczył o idealizmie, o który już dawno by siebie nie podejrzewał. Człowiek pożyczający od lichwiarza wiedział, w co się pakuje, a ci, którzy ćpali albo tracili rozum od picia, zasługiwali na los, jaki ich spotykał. Ale człowiek, który postanowił spróbować szczęścia, mając nadzieję, że przyniesie coś żonie czekającej w domu, zasługiwał na szansę wygranej. Tylko szczęście mogło zmienić stan rzeczy. Mogło otworzyć drzwi tam, gdzie nie było żadnych drzwi. Ustawiona gra była gorsza od nieuczciwości - była kosmiczną profanacją.

Eddie zaczął przestrzegać Murzynów przed graniem u Dunellena. „W innych miejscach znajdziecie uczciwsze warunki”, mówił tajemniczo. Albo: „Tutaj obcy nie wygrywają”. Robił to zawsze z przyprawiającym o zawrót głowy poczuciem ogromnego ryzyka - przeciwstawiał się nie tylko Dunellenowi, dzięki któremu w ogóle miał jakąś pracę, lecz także stojącym za nim ludziom, których nie znał. Prawdopodobnie to właśnie niebudząca zaufania nerwowość Eddiego wyjaśniała, dlaczego jego ostrzeżenia spotykały się z rezerwą. „Będę grał, gdzie mi się podoba”, słyszał. I: „Chyba sami potrafimy o sobie zadbać”. Czasem jednak ostrzeżeni mężczyźni rezygnowali z gry i nie wchodzili do środka. W takich chwilach Eddie czuł euforię, jakby ocalił czyjąś duszę.

Gdy w trzydziestym drugim transport morski zupełnie zamarł, Eddie stał się pełnoetatowym pachołkiem Dunellena. Anna towarzyszyła mu po szkole i w weekendy - wtedy Eddie łączył „załatwianie interesów” szefa z wyprawami na hipodrom, do zoo w Central Parku, do akwarium w Castle Garden. Tylko w towarzystwie Anny czuł się naprawdę swobodnie. Była jego ukrytym skarbem, jego jedynym czystym, nieskażonym źródłem radości.

- Wpadniemy tu na chwilę, żeby wyświadczyć komuś przysługę. Masz być grzeczna.

- Też będziesz grzeczny?

- Postaram się, skarbie.

- Kto się zdenerwuje, jeśli nie będziemy grzeczni?

- Po prostu nie możemy się rzucać w oczy.

- Co to za przysługa?

- Przekazujemy komuś pozdrowienia od kogoś innego. Ale to potajemne

pozdrowienia.

Ta wiadomość ją podekscytowała.

- Też chcę przekazać potajemne pozdrowienia!
- Możesz. Jeśli dasz mi buziaka, przekażę go mamie.

Zastanowiła się.

- Chcę przekazać potajemne pozdrowienia Lydii.
- Lydia tego nie zrozumie, skarbie.
- Właśnie że zrozumie.

Gdy samochód zatrzymał się na światłach, Anna chwyciła jego głowę w swoje dłonie w kształcie gwiazd i z ogromną czułością ucałowała go w policzek. Eddiego zaszczypały oczy.

-Ten pocałunek - powiedziała Anna - będzie dla Lydii.

W domu obserwowała, jak Eddie go przekazuje. Zrobił to bardzo czule, dokładnie tak, jak go poinstruowała. Zajmował się przecież dostarczaniem przesyłek.

*

Eddie wiedział, że karmi korupcję, dostarczając łapówki radnym, senatorom stanowym, komisarzom, szefom konkurencyjnych pirsów. Po wielokroć. Zachowywał jednak postawę obserwatora - tak naprawdę wcale nie robił tego, co robił, on to tylko obserwował. To rozróżnienie było niezbędne, by złagodzić poczucie porażki i rozpacz - upartą, kuszącą wizję zbliżających się kół tramwaju. Stopniowo jego trasy zaczęły wykraczać poza pirsy Dunellena i prowadzić ku salonom gier, w których Dunny miał udziały, ale których nie kontrolował. Tam też oszukiwano, lecz nigdy w obecności kogoś z góry. To oznaczało, że oszustw nie sankcjonuje szefostwo, lecz są indywidualnym przekrętem rozdających karty i prowadzących gry, którzy chcą zwiększyć swój zysk, nie ryzykując samobójczych posunięć w rodzaju ograbiania firmy. Można było zatem położyć temu kres, gdyby Eddie wiedział, komu na górze o tym powiedzieć.

Gdy Dunellen nie miał dla niego roboty, Eddie czasami udawał zwykłego gracza, by przyglądać się oszustwu podszytemu następnym oszustwem. Wyobrażał sobie, że jest detektywem - prawdziwym policjantem, a nie którymś z tych skorumpowanych pacholków, jedynych gliniarzy, jakich znał. Niczego nie zapisywał. Całe oszustwo przechowywał w głowie: kto, kiedy, jak, ile. Tymczasem powoli ukazywała mu się większa struktura - jeśli się

wiedziało, kto komu zapłacił, w pewnym sensie wiedziało się wszystko. Okazało się, że pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego większość gier hazardowych w Nowym Jorku kontrolował jeden człowiek. Trasa, którą zyski płynęły do tego osobnika, była pełna wiraży i ostrych zakrętów możliwych do pokonania jedynie przez osobę dostarczającą i odbierającą przesyłki. Za jednym człowiekiem zawsze był inny człowiek, a za nim kolejny - i tak aż do Boga, przypuszczał Eddie.

Dwa dni po Bożym Narodzeniu wypucował buty, wyczyścił kapelusz i ozdobił go opalizującym zielonym piórkiem, które zostało Agnes z jakiegoś zlecenia. Złożył temu wszechmogącemu nieznanemu wizytę w klubie Nighthigh w West Forties, gdzie za czasów prohibicji handlowano alkoholem, i gdy tylko przekroczył próg, wpadł w pułapkę sentymentów. Na pewno był tu z Agnes, Brianne i innymi tancerkami w czasach, które zaczął nazywać w myślach „dawnymi”.

Mężczyzna z obsługi poinformował go, że szefa nie ma. Eddie powiedział, że zaczeka, zamówił żytnię whiskey z wodą sodową i położył na barze otwarty srebrny kieszonkowy zegarek. Wiedział, że dał się nabrać na sentymenty, w tej spelunie właśnie o to chodziło, jej podejrzana reputacja była fikcją albo przynajmniej świadomie ją pielęgnowano. Czuł, że tu się gra, rozglądał się, aż zauważył drzwi i domyślił się wysokości stawek, patrząc na wchodzących przez nie mężczyzn i kobiety w sztucznych perłach i zeszłorocznych kapeluszach. Przekręt w Nighthigh nie miał nic wspólnego z hazardem, to było jasne. Chodziło o coś innego - o sposób zarabiania pieniędzy, który z pozoru wiązał się z ich przegrywaniem.

Dwadzieścia cztery minuty później podszedł do niego inny mężczyzna i spytał, czy Eddie zechciałby porozmawiać z szefem. Eddie poszedł za nim na zaplecze, gdzie gość z żuchwą Dicka Tracy’ego siedział w otoczeniu makaroniarskich zbirów. Eddie był wstrząśnięty. Z dala od pirsów Dunellen robił interesy z syndykatem. To mogło oznaczać tylko jedno: nie miał wyboru.

Styles odprawił sługusów.

- Pan z policji? - spytał, gdy Eddie usiadł naprzeciw jego biurka.

Eddie pokręcił głową.

- Jestem tylko zaniepokojonym obywatelem.

Styles się roześmiał.

- Czym mogę służyć, panie Kerrigan?

Eddie przedstawił mu swoje odkrycia gra po grze: lokalizacja, rodzaj oszustwa, szacunkowy zysk. Styles słuchał w milczeniu. Parę razy wtrącił: „To nie nasze miejsce”, ale przeważnie słuchał.

- Dlaczego pan mi to mówi? - spytał, gdy Eddie skończył.
- Na pana miejscu chciałbym o tym wiedzieć.
- Oczywiście, że chcę. Ale czego chce pan?

Eddie nie przypuszczał, że tak szybko dojdą do tego etapu. Nie był pewny, co powiedzieć - czego dokładnie chce od Stylesa.

- Mogę panu coś dać - powiedział Styles. - W zasadzie mogę panu dać, co pan zechce.

Wpatrywał się w Kerrigana, szukając słabości. Kerriganowi nie chodziło o pieniądze, bo w przeciwnym razie zażądałby ich, zanim wszystko wyśpiewał. Więc o co? W przypadku irlandusów był to zazwyczaj alkohol, ale Kerrigan nie wyglądał na moczymordę. W jego chuderlawych kończynach nie dostrzegł też większej skłonności do przemocy, choć pewnie w obronie własnej walczyłby zaciekle. Kobiety? Irlandusi słynęli z pruderii, byli wierni swoim rozmemłanym żonom - być może pamiętali te kościste młode Irlandki, którymi były, zanim ruszyła linia produkcyjna dzieci, albo po prostu ze strachu przed tymi swoimi zapijaczonymi, wojowniczymi księżmi.

- Dziewczyny? - Obserwował twarz Kerrigana, wypatrując zdradzieckiego drgnienia, które potwierdziłoby, że zgadł. — Mamy ich tu w bród.

- Mam piękną żonę, panie Styles.
- Ja też - odparł Dexter. - Szczęściarze z nas.

Zatem pieniądze. Kerrigan go rozczarował. Teraz mógł dostać mniej, niż gdyby zażądał ich od razu.

- Jaka cena wydaje się panu uczciwa za informacje, które mi pan przekazał?

Eddie zebrał myśli. Był niezadowolony.

- Jak na mój gust - zaczął - mógłby pan prowadzić interesy lepiej i jednocześnie czyściej, to znaczy uczciwiej, dla ludzi, którzy chcą spróbować szczęścia. - Brzmiało to nieszczerze, wręcz głupio. Wyczuł zaskoczenie Stylesa - ale poczuł też, że Styles lubi być zaskakiwany.

- Odniósł pan wrażenie, panie Kerrigan, że prowadzę organizację

dobroczynną? - spytał.

Eddie nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Myśli pan jak policjant - powiedział Styles. - Dlaczego nim pan nie zostanie?

- Nadal pracowałbym dla pana.

Dopiero wtedy Eddie zrozumiał, jaki miał cel, przychodząc do tego człowieka. Chciał dostać pracę.

- Dla niektórych praca u mnie jest jak gorzka pigułka - odrzekł Styles. - Nie podoba im się, że czasy się zmieniły.

Eddie zrozumiał, że nie jest pierwszym irlandusem z nabrzeża, który zjawia się tu z czystej desperacji.

- To chyba zależy - powiedział — dla kogo pracowali wcześniej.

Styles rozparł się na krześle i zmierzył go wzrokiem. Eddie także przyjrzał się młodszemu mężczyźnie za biurkiem -zmyślane nazwisko, a tuż za nim zmięte to prawdziwe, makaroniarskie; nerwowe niezadowolenie udające ciekawość, energię. Zaś pod tym wszystkim smutek wystarczająco głęboki, by podtrzymywać cały ten ciężar. Eddie zobaczył człowieka, którego rozpoznał i polubił. Poczuł pokrewieństwo z Dexterem Stylesem, którego władza brała się stąd, że sprawował ją poza swoją zgrają, a nawet wbrew swojej zgrai. Wierność wyłącznie z wyboru.

- Tak się składa, że ma pan rację - powiedział Styles. -Chciałbym zaprowadzić porządek w grach, o których pan wspomniał. I chciałbym wiedzieć, czy mam jakieś inne słabe punkty. Gdy zjawiają się moi chłopcy, one zazwyczaj znikają.

- Potrzebny panu ombudsman - odrzekł Eddie. Odkrył to słowo przed laty, w gazecie. Od tamtej pory czekał na okazję, żeby go użyć.

Styles uśmiechnął się rozbawiony.

- Zatem dobrze: ombudsman. Ale nie możemy się tu spotykać. Ani pokazywać się razem.

- Naturalnie.

- Niech mnie pan odwiedzi w domu, razem z rodziną, i jeszcze porozmawiamy. Ma pan dzieci?

- Dwie córki.

- Też mam córkę. Będą mogły się razem pobawić. Pasuje panu w sobotę?

Gdy Eddie wyszedł z Nighdight, padał lekki deszcz, lecz on był tak uradowany, że prawie tego nie zauważył. Szedł po Piątej Alei, zupełnie opustoszałej, jeśli pominąć chłopaków wałęsających się w poszukiwaniu wyrzuconych niedopałków. Wkrótce przechodził obok obozowisk na Madison Square. Ogniska syczały i dymiły od wilgoci. Poczł zapach kawy i skondensowanego mleka gotowanego w puszkach -słodką, metaliczną woń, która zawsze działała mu na nerwy.

Kiedy do niego docierała, zazwyczaj się wzdrygał, odnosząc wrażenie, że między nim a ludźmi gotującymi kawę na ulicy stoi sam John Dunellen - ten rozdęty, kapryśny potwór.

Znalazł furtkę, wyjście. Lydia dostanie swój wózek. I może, pomyślał Eddie, olśniony kroplami deszczu połyskującymi wśród drzew, może jego córka wyniesie z tego korzyści, jakich pogrążony w swym przygnębieniu nie przewidział. Może jednak zacznie samodzielnie siadać.

Podczas tego mokrego, ekstatycznego spaceru w ciemności Eddie ani razu nie pomyślał o swoim pierwotnym celu - by zapewnić ludziom uczciwą audycję u Pani Fortuny. Czuł jedynie niczym niezmaconą ulgę, że ocalił samego siebie.

CZĘŚĆ SZÓSTA

ZANURZENIE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W ciągu miesiąca, który upłynął od rozczarowania panem Q., Dexter bezskutecznie próbował zagaić poufną rozmowę z teściem podczas jednego z niedzielnych obiadów. Związane z tym utrudnienia wyszły mu na dobre: z każdym kolejnym tygodniem miał jaśniejszy obraz tego, co chce zaproponować. Wreszcie na przyjęciu połączonym z tańcami w klubie łowieckim stary pochwycił jego spojrzenie nad stołem zastawionym niedojedzonymi plastrami deseru Alaska.

- Zaczerpnąłbym świeżego powietrza. A ty? - powiedział.

Dexter wstał w blasku dymiących świec. Orkiestra gładko przeszła do *White Christmas*, co w połowie lutego wszystkim już niebezpiecznie spowszedniało, i pomyślał, że bardzo chętnie przerwie patrol i przestanie na chwilę obserwować wiernych wielbicieli tego przeboju tańczących fokstrotą. Wypatrywał Tabathy i Grady'ego, lecz zamiast nich ciągle zauważał swoją żonę w ramionach Boothy Kimballa (znanego, poważnie, jako Boo Boo), mistrza polo, w którym kochała się jako nastolatka. Wkrótce po ślubie Dextera i Harriet Boo Boo ożenił się z jakąś tam lady i przeprowadził do Londynu. Dexter, który nie widział tego człowieka przez ponad dziesięć lat, z trudem go teraz poznał - włosy Boo Boo zrobiły się białe jak śnieg.

- Ale ci się upiekło, skarbie - szepnął do Harriet, gdy pili drinki, i lekko zwrócił brodę w stronę Boo Boo.

- W ubiegłym roku Pippa zmarła na raka — zaintonowała grobowym głosem.

Stary poprowadził go przez czarne aksamitne kotary zaciemniające na arktyczną wicherę.

- Świeże powietrze - powiedział z zadowoleniem, smagany przez wiatr.
- Jak miło.

Miał na szyi cienki jedwabny szaliczek - niewiele więcej niż krawat - a na głowie melonik, lecz słynął z wręcz komicznej wytrzymałości. Dexter nigdy nie widział, żeby jego teść się pocił, nawet jeśli miał na sobie smoking w samym środku lata. Szedł zwawym, zamaszystym krokiem i Dexter musiał się naprawdę starać, żeby za nim nadążyć, mimo że był o kilkanaście centymetrów wyższy.

Księżycowa powłoka starego śniegu przykrywała pole golfowe, lecz ścieżki wydeptane przez pomocników noszących kije były w większości widoczne. Ruszyli po jednej z nich nad morze i w sporadycznych chwilach

wytchnienia od wiatru mówili o tym, jak elegancko wygląda Grady w mundurze i jakie przerażenie budzi jego rychły wyjazd u nieszczęsnej matki. W ten weekend miał ostatnią przepustkę przed wypłynięciem w morze. Trzej inni synowie tej ziemi znajdowali się w podobnym położeniu - dwóch służyło w wojsku, jeden w morskiej straży granicznej - i przyjęcie zmieniło się w imprezę pożegnalną. Cooper odchodził od zmysłów ze strachu o syna, lecz Dexter był przekonany, że nawet wojna światowa nie jest w stanie przekreślić świetlanej przyszłości Grady'ego.

*

Dotarli do Crooked Creek, kosmyka zamarznętego zielonkawego morza uspokozonego mozolną drogą wokół Long Beach, przez Broad Channel i różne bagna porośnięte gęstymi kępami traw. Dexter mógłby iść dalej - wołał rozmawiać w ruchu - lecz stary się zatrzymał.

- Lubię przebywać nad wodą, gdy tylko mam okazję, a ty? - powiedział, spoglądając w ciemność. - Melville ujął to najlepiej: „Mężczyzn nie zadowoli nic prócz najdalszego skraju lądu”¹. Nie, to nie było tak, nie pamiętam dokładnie. Poszukiwanie granic leży w naszej naturze. Nawet na polu golfowym.

- Zwłaszcza tam - powiedział Dexter i obydwaj się roześmiali. Wśród spraw, których nie darzyli należyty szacunkiem, znajdował się pogardzany przez nich golf- Dexter nie miał cierpliwości, by uczyć się gry, którą mistrzowie wyszali z mlekiem matki, a stary uważał ją za lenistwo udające sport.

Dexter poznał to miejsce: właśnie tu wiele lat temu poprosił o rękę Harriet. To było latem, drzewa ugięły się pod ciężarem liści, świeżo skoszone pole golfowe wydzielalo zapach, który zawsze kojarzył mu się ze świeżymi piędzmi. Teraz, gdy spoglądał w stronę zaciemnionego horyzontu, zaczął wspominać jakąś wersję tamtej rozmowy.

- Chyba można uznać, panie Styles - powiedział wtedy jego przyszły teść wśród jazgotu cykad - że pańscy przyjaciele i moi przyjaciele nie bardzo przypadliby sobie do gustu.

To skrajnie łagodne sformułowanie miało się zapewne odwoływać do poczucia humoru, lecz Dexter odebrał je dosłownie.

- Przypuszczam, że nie mieliby ze sobą wiele wspólnego, proszę pana - potwierdził.

- Och, myślę, że mieliby ze sobą mnóstwo wspólnego, choć pewnie

woleliby tego nie przyznawać. Ani nie posługiwać się w tym celu wspólnym językiem.

To niecodzienne stwierdzenie zamknęło Dexterowi usta.

- Może się to panu wydać dziwne, panie Styles, ale mało mnie obchodzi, kim są pańscy przyjaciele.

- Miło mi... to słyszeć, proszę pana.

- Harriet za panem szaleje i tylko to się dla mnie liczy. Teraz musi się pan poważnie zastanowić, jak bardzo szaleje pan za Harriet. Będzie dla pana tą jedną jedyną. Właśnie tu przebiega moja granica, panie Styles. Nie dotyczy pańskich przyjaciół, pańskiej pracy, pańskiej reputacji, pańskiej przeszłości. Wierność. To ją musi mi pan obiecać.

- Obiecuję - powiedział Dexter z pełnym entuzjazmu przekonaniem młodego mężczyzny chcącego za wszelką cenę dalej pieprzyć córkę bankiera, którą pieprzy, i robić to legalnie.

- Chcę, żeby moja córka była szczęśliwa. - Pan Berringer spokojnie mierzył go wzrokiem. - I będę obserwował jej szczęście z uwagą i niesłabnącą troską.

- Rozumiem, proszę pana.

- Nie rozumie pan - odrzekł uprzejmie stary. - Nie może pan rozumieć. Ale przez wzgląd na pańskie dobro mam nadzieję, że mimo to dotrzyma pan obietnicy. Ta obietnica nie dopuszcza żadnych wyjątków. Rozumie pan?

Oczywiście nie zrozumiał. A później, kiedy już zaczął rozumieć, mógł jedynie podziwiać sztukę, dzięki której teść wyswobodził się z kaftana bezpieczeństwa i zachował wystarczającą zdolność skutecznego wywierania nacisku, by skłonić go do składania obietnic. Houdini nie zrobiłby tego lepiej - jego córka zaszła w ciążę i nie chciała, by się tym zajęto. Gdyby Arthur nie wyraził zgody, uciekłyby z Dexterem; hańba. Stary nie miał dość miejsca, by podrapać się po nosie, a mimo to targował się, jakby zyskał pełną przewagę - przeczuwając z osobliwą przenikliwością, że Dexter, choć przestępca, dotrzymuje słowa. W branży Styleśa monogamia była czymś wręcz egzotycznym, lecz gdy tylko kremowobiałe ramię jakiejś tancerki objęło go za szyję, Dexter miał wrażenie, że ktoś go obserwuje: czyżby to było przewinienie? Cienki koniec klina? Działo lepiej niż zimny prysznic. Potem zawsze czuł ulgę, nawet wdzięczność. Babki komplikowały interesy równie mocno jak ćpanie. A Harriet była ładniejsza od nich wszystkich.

Przydarzyła mu się ta jedna w pociągu. Odosobniony błąd - oderwany od

czasu i miejsca - który umocnił go w postanowieniu, by nigdy więcej nie zbłądzić.

Teraz, złamawszy obietnicę po raz drugi, dokładnie dwa tygodnie przed rozmową z teściem, Dexter był zmuszony dopuścić myśl, że stary przyprowadził go tutaj, by skonfrontować go z tym faktem. Ale skąd miałyby wiedzieć? George Porter niczego nie widział. A nawet jeśli coś podejrzewał, grzech Dextera bladł w porównaniu z jego własnym. Zresztą od tamtej nocy doktor znów zachowywał się wobec Dextera bezpośrednio i przyjaźnie, łączące ich męskie porozumienie zyskało nowy wymiar.

Styles ocknął się z zadumy i zobaczył, że stary mu się przygląda.

- Ostatnio jesteś jakiś nieswój - powiedział. - Zastanawiam się, co ci chodzi po głowie.

Dexter przełknął ślinę. Jak to robią prawdziwi cudzołóżnicy? Lecz z drugiej strony rzeczywiście coś mu chodziło po głowie - od miesiąca kombinował, jak by tu o tym powiedzieć staremu.

- Czuję potrzebę zmian, proszę pana - zaczął z ulgą.

- Proszę pana?

Dexter się zarumienił.

- Arthurze.

- Jakich zmian?

- Zawodowych.

- Już teraz prowadzisz dość urozmaiconą działalność, prawda?

- Tak. Ale stoję po złej stronie.

Muzyka, od której oddzielały ich podmuchy porywistego wiatru, charczała jak grający w oddali gramofon. Równie dobrze mogliby stać na końcu świata: szaro-czarny krajobraz z wody i lodu.

- Dobro i zło to w twojej branży pojęcia względne, prawda? - spytał stary.

- Zawsze to powtarzam.

Arthur zagwizdał.

- Za późna dziś pora, by rozmawiać o idealizmie.

Dexter usłyszał jego uśmiech.

- Wygląda na to, że wybuchła epidemia - powiedział.
- To przez wojnę. To jedna z jej licznych dodatkowych korzyści.
- Chcę być uczciwą częścią tego, co nastąpi później -oznajmił Dexter. - Nie pijawką wysysającą krew z pleców.

Stary wziął głęboki oddech przypominający westchnienie.

- Szkoda, że jesteśmy zmuszani do dokonywania wyborów określających całe nasze życie, gdy jeszcze jesteśmy tak cholernie młodzi.
- Jeśli dokonaliśmy złych wyborów, powinniśmy dokonać nowych - odparł Dexter. - Nawet gdy jest już późno.

Gwałtowny podmuch wiatru wycisnął staremu łzy z oczu, lecz on nawet nie przytrzymał kapelusza. Gdy wiatr się uspokoił, powiedział:

- Sądząc po skąpych informacjach, jakie posiadam na temat twoich współpracowników i ich praktyk biznesowych, zmiana stron nie będzie łatwa.
- Ona już się zaczęła i przebiega całkiem naturalnie - zapewnił Dexter. - Prowadzę legalne interesy tu, w Chicago, na Florydzie. Wszędzie mam przyjaciół.
- Nie wątpię. Sympatyczny z ciebie gość. Ale czy twój pracodawca wie o tej... naturalnej ewolucji?

Po raz pierwszy, odkąd Dexter sięgał pamięcią, stary odnosił się, wyłącznie i wprost, do pana Q. Jego przelotne zdziwienie ustąpiło miejsca oszałamiającemu poczuciu konwergencji, jakby nagle pojawił się most między niemożliwymi do pogodzenia światami. A most był dokładnie tym, czego Dexter potrzebował.

- Oczywiście, że wie — powiedział. — Ale ostateczna decyzja należy do mnie.

Stary był zbyt przebiegły, by nie wyczuć, dokąd zmierza ta rozmowa - prawdopodobnie wiedział o tym, już gdy padło słowo „zawodowych”, albo nawet „proszę pana”. Dexter wyprostował się i zaczerpnął powietrza.

- Przyszło mi do głowy - powiedział, powstrzymując się od następnego „proszę pana”, które pęczniało w jego gardle niczym bańka - że mógłbym przenieść swoje legalne udziały i interesy do ciebie. Do banku.
- Miałbym cię wykupić - powiedział stary.
- Właśnie.

Milczenie teścia wydawało się dobrym znakiem - znakiem poważnego namysłu. Dexter wpatrywał się w zawijasy zamarznętego morza u swoich stóp. Już raz jego życie zmieniło w tym miejscu kurs - dlaczego nie miałyby się to powtórzyć?

- Nie myślisz trzeźwo, synu - stwierdził w końcu stary tym samym łagodnym tonem, którym mówił wszystko. - I bardzo mnie to niepokoi. Ze względu na twoje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo drogich mi osób znajdujących się pod twoją opieką.

Coś w głębi Dextera podskoczyło jak oparzone, ale zdołał spytać jak gdyby nigdy nic:

- Jak to?

- Dobrze ci się żyje, Dexterze. Masz wspaniałą rodzinę. Jesteś znany, szanowany - ludzie zabiegają o twoje względy. Twoje nazwisko pojawia się w gazetach. To dwa, trzy razy tyle, ile większość ludzi osiąga w ciągu całego życia. Ale nie da się tego przenieść na inny grunt. Dysponujesz walutą, którą nie można płacić w żadnym innym kraju.

- Nie rozumiem.

- Więc pomyśl logicznie, synu. Pomyśl logicznie. - „Syn” było określeniem protekcyjnym. Stary zwracał się tak do Coopera.

- Myślę bardzo logicznie - powiedział Dexter. - Tak mi się wydaje.

- Wiesz - odrzekł życzliwie stary - że po wielkiej wojnie, gdy tworzyliśmy syndykaty, by subskrybować obligacje i budować linie kolejowe oraz fabryki, z żadnym z naszych partnerów nie mieliśmy nawet umowy? Ani z najbliższym nam zespołem zarządzającym, ani nawet z zespołem do spraw zakupów, który sprzedawał obligacje ludności. Nie było żadnych przepisów dotyczących nadzorowania tych transakcji. Zaufanie, reputacja - niczego więcej nie potrzebowaliśmy. I tylko to mieliśmy! Po dziś dzień cała moja działalność opiera się na zaufaniu.

- Ale przecież mi ufasz - powiedział Dexter. - Wielokrotnie dawałeś temu wyraz.

- Ufam ci całkowicie. Byłby z ciebie kapitalny bankier, Dexterze. Wspólnik, ni mniej, ni więcej. - Także w ten sposób odnosił się do Coopera, młodszego pracownika w firmie, który mimo swojego pochodzenia raczej nie miał zajść znacznie wyżej. - Całkowicie wierzę w twoją wizję. I dlatego zdumiewa mnie, że nie jesteś w stanie pojąć, że twoja reputacja - twoja przeszłość - stanowi tu przeszkodę.

Dexter próbował przegrupować siły. Jak mógł nie przewidzieć takich obiekcji? Ależ przewidział je - była to pierwsza rzecz, jaką przewidział. Po prostu liczył, że dzięki władzy, reputacji i niezależności starego uda się je odrzucić.

- Nigdy nie przypuszczałem, że przejmujesz się zdaniem innych.

- Prywatnie się nie przejmuję - odrzekł stary. - W interesach nie mam innego wyjścia. Doskonale wiem, jak daleko mogę się posunąć. Czy chcę powiedzieć, że nie przyjmie cię żaden bank w Nowym Jorku? Oczywiście, że nie. Są banki, dla których reputacja ma mniejsze znaczenie. Ale dlaczego? Po co miałbyś się stać przeciętnym bankierem w przeciętnej firmie i wiecznie starać się dowieść, że jesteś już praworządnym obywatelem?

- Nie o to mi chodzi.

- Jeśli obierzesz ten kierunek, to najlepsze, na co możesz liczyć. Na twoim miejscu zostałbym dokładnie tam, gdzie teraz jesteś. Docień rozliczne korzyści związane z takim położeniem i ciesz się nimi. Próba zmiany kursu w pół drogi oznaczałaby prawdopodobnie utratę tych korzyści bez szansy na nowe.

Mądrość pobrzmiewająca w słowach Arthura była wyraźna, nieodparta, a jednak Dexter już wiedział, że nie powinien na nią zważać. Coś się w nim zmieniło.

- Za dużo płacę za te korzyści - powiedział i sam się zaskoczył tym wyznaniem. Mówił o krwi na swoich rękach.

Teść delikatnie ucisnął ramiona Dextera. Jego krępa sylwetka sama w sobie zdawała się źródłem autorytetu, a rosłe w porównaniu z nią ciało Dextera kojarzyło się z nieporadną młodością.

- Wszyscy płacimy za korzyści, które czerpiemy - powiedział z naciskiem stary. - Nie ma na tym świecie człowieka, który za nie nie płaci, a biorę pod uwagę także księży. Każdy człowiek ma swoje tajemnice, ponosi koszty robienia interesów. W mojej branży jest tak samo. Nie daj się zwieść marmurowym kolumnom - Rzymianie też je mieli, a karmili lwy jeńcami. Za takimi instytucjami jak moja kryje się sporo brutalności ubarwionej równie wielką dozą hipokryzji.

Dextera piekły oczy - nie z powodu wiatru. Jakże on kochał Arthura Berringera, który uważał, że są do siebie podobni! Oczywiście „brutalność” starego nie była tym samym co brutalność Dextera, cokolwiek miał na myśli. Mimo wszystko w jego słowach kryła się głębia. Zapragnął zobaczyć twarz

teścia. Nieodłącznym elementem ich rozmowy była jednak ciemność.

Za milczącą obopólną zgodą ruszyli w stronę, z której dobiegały dźwięki orkiestry, z powrotem do klubu. Wreszcie im się ukazał: nieziemska kolumnada, przez którą do lodowatego księżycowego pejzażu wnikała atmosfera zabawy.

- Za mało się pisze o zdradzieckiej naturze wieku średniego - zadumał się stary, a wiatr poniósł jego słowa. - Żeby przed nią uciec, Dante zszedł do piekła, a ja widziałem, jak wielu innych mężczyzn robi to samo. Mówiąc w przenośni. Bądź cierpliwy, Dexterze. Wojny potrafią zmieniać teren, tworząc konfiguracje, jakich nie jesteśmy w stanie przewidzieć, nawet jeśli bardzo się staramy. To nie jest pora na śmiałe posunięcia.

Dexterowi spodobało się to słowo - „konfiguracje”. Wojna zmieniła bieg, bez wątplenia - to, co stary przewidział je-sienią, właśnie się dokonywało. Lecz niezadowolenie trwające całymi tygodniami - ba, miesiącami - skumulowało się w kończynach Dextera i musiał przystąpić do działania. Nawet niewłaściwy ruch wydawał się atrakcyjniejszy niż żaden.

George Porter sterczał tuż za kotarą zaciemniającą, niespokojnie przyglądając wąsy.

- Zastanawiałem się, dokąd poszliście - powitał teścia i szwagra, przyglądając im się badawczo. Dexter był zbyt rozkojarzony, by go uspokoić.

Na przyjęciu obecni byli wszyscy Berringerowie oprócz chłopców przebywających w szkołach z internatem. Zajmowali cztery stoły w zatłoczonej sali. Dextera posadzono obok Bitsy. Nieszczęsny Henry rzucał im nienawistne spojrzenia z drugiego końca stołu, a Dexter zadawał jej pytania podczas kolacji. Tak, dziecko już mniej płacze. Nie, nie jest tak nieszczęśliwa jak ostatnio. Jej spokój skłonił Dextera do podejrzeń, że znalazła z George'em jakiś zaciszny zakątek, gdy inni pili drinki. W klubie łowieckim było ich mnóstwo, o czym Dexter dobrze wiedział już w czasach, gdy Harriet przyprowadzała go tu w akcie buntu. Urok osobisty i pokaźne saldo w banku mogły zapewnić wstęp do wielu miejsc na tym świecie, ale nie do Klubu Łowieckiego Rockaway. Wtedy Dextera bawiło lodowate przyjęcie, jakie zgotowały mu stare raszple i ich nadęte potomstwo - a co mu zależało? Mogli go ignorować, odmawiać zorganizowania wesela (co bardzo rozzłościło starego), ale wyrwał jedną z nich i trzymał ją za rękę, mijając wieczorem basen w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby się pieprzyć. Bodziec w postaci kolektywnego potępienia rozbudzał w nich pożądanie, był jak nóż uderzający w kryształowe szkło. Jego dźwięczne emanacje wypełniały korony

drzew i drżały w świetle księżyca, aż nie byli w stanie myśleć o niczym innym. Zaznawali małżeńskich rozkoszy w bunkrze na polu golfowym, za szopą w ogrodzie, pod skrzynią ze zdjęciami i trofeami ze słynnych gonitw z przeszkodami. Będąc w ósmym miesiącu ciąży, Harriet obsłużyła go pod obrusem podczas rozdania nagród w turnieju tenisa na trawie.

Teraz jednak konfiguracja uległa zmianie. Tabby i bliźniaków przyjęto od razu, a Harriet traktowano jak córkę marnotrawną, która wróciła - powitano ją tym serdeczniej, że przebyła daleką drogę. Tylko Dexter został poza nawiasem. Przedstawiciele jego pokolenia byli dość przyjaźni, żony nierozważnie z nim flirtowały, gdy za dużo wypily. Stara gwardia traktowała go jednak z obojętną rezerwą, której najważniejszym składnikiem było znudzenie. Zbyt długo go znali, by mógł szokować, lecz i tak go nienawidzili.

Grady i inni chłopcy jadący na wojnę zaczęli tańczyć walca ze swoimi dumnymi, wystraszonymi matkami. Chłopcy promienieli w eleganckich mundurach, już byli bohaterami. Dexter postanowił poszukać pana Bonaventury, który kierował pracą kuchni (nawet purytanie wiedzieli, że gdy chodzi o jedzenie i picie, potrzebny jest Brazylijczyk), by porozmawiać o źródle, z którego pozyskuje czarnorynkową wołowinę. Pieczeń była twarda. Dexter wiedział, że mógłby załatwić lepsze mięso, i spodobała mu się myśl, że będzie rozmawiał o interesach, podczas gdy purytanie tańczą. Jednak już gdy kroczył w stronę tapicerowanych wahadłowych drzwi do kuchni, jakaś jego cząstka zbaczała z tego kursu. Przyczyna znów była ta sama - ta sama, ta sama - i w jednej chwili pomysł targowania się z panem Bonaventurą o wołowinę przestał być mgliście obiecujący i stał się żałośnie kiepski. Miał siebie dość tak, jak miały go dość stare raszple.

Zatrzymawszy się w połowie sali, pojął beznadziejność swojego położenia: każde działanie, jakie był w stanie podjąć, popchnęłoby go dalej w kierunku, z którego pragnął zbroczyć. W tej sytuacji, całkiem dosłownie, nie mógł nic zrobić.

Odkrywszy to jednak, dostrzegł iskierkę nadziei. Załóżmy, że działanie było tu złym pomysłem. Być może istniało coś, czemu mógłby przeciwdziałać.

Zauważył żonę wychodzącą z damskiej toalety i złapał ją za rękę. Wydawała się zaskoczona i zadowolona, gdy ciągnął ją na zatłoczony parkiet. Od nocy, którą spędził z córką Kerrigana, panowała między nimi jakaś sztywność. Trudno mu było zapomnieć o tym interludium: przede wszystkim o wstrząsie, jakiego doznał, dowiedziawszy się, kim jest ta dziewczyna, lecz także o jej zapachu, dotyku i smaku. Dwa dni później znów pojechał do

hangaru dla łodzi, żeby przyjrzeć się pustym butelkom i ustalić, kim byli intruzi. Jednak gdy tylko otoczyły go rekwizyty tamtej nocy — stolik, piecyk, zmięta pończocha na podłodze - stanął oparty o ścianę z ręką w spodniach. Od tamtej pory nie zaglądał już do hangaru dla łodzi. I nie kochał się z Harriet - przyjęła tę aberrację z zaskakującym spokojem. Teraz, obserwując ją w ramionach świeżo owdowiałego Boo Boo, postanowił przywrócić ich normalne relacje. Przytulił ją, wdychając piżmowy zapach jej włosów, i poczuł w jej ponętnie zaokrąglonych biodrach wspomnienie dziecięcych lekcji jazdy konnej, której dawno się wyrzekła.

- Pamiętasz, co tu kiedyś robiliśmy? - spytał.
- O tak.
- Miejmy nadzieję, że Tabby nie robi tego z Gradym.

Chciał być zabawny, ale zeszywniała w jego ramionach.

- Ona ma dopiero szesnaście lat.
- A ty ile miałaś?

Gdy się poznali, nie była dziewicą. Wtedy Dexterowi nie przyszło do głowy, by żądać szczegółowych informacji o tym, kiedy albo z kim. Możliwe, że z Boo Boo, starszym o dziesięć lat. Prawdopodobnie wyszłyby za czempiona polo, gdyby poprosił ją o rękę, ale była zbyt młoda i stanowczo, stanowczo zbyt postrzelona. Nawet taki ojciec jak jej nie był w stanie tego zrekompensować. Oni wszyscy mieli takich ojców.

- Chłopcy zachowują się bardzo grzecznie - rzucił, żeby ją udobruchać.
- To grzeczni chłopcy - powiedziała. - Nie doceniasz ich.
- Odtąd będę ich doceniał.
- Naprawdę? - Poczuł na uchu jej ciepły oddech i wiedział, że tej nocy będą się kochać. Wydarzenia z hangaru dla łodzi przesunęły się na horyzont jego myśli. Ale nie chciały całkiem zniknąć.

-Jeśli to cię uszczęśliwi.

- Bardzo mnie uszczęśliwi.

Orkiestra zakończyła występ utworem *Tangerine* z tego niezbyt udanego filmu z Dorothy Lamour. Rodziny zaczęły grupkami rozplýwać się w mroku. Stary razem z Cooperem, Marshą i siostrami Grady'ego (przeciętnymi dziewczynami, które przez nikogo niezauważane harowały w jego cieniu) mieli nazajutrz odwiedzić Grady'ego na Pennsylvania Station. Dla całej reszty

to było pożegnanie.

Dexter wyszedł z klubu razem z George'em Porterem, obejmując doktora ramieniem, by rozwiać jego widoczne obawy związane z pogaduszkami ze starym. George z pewnością wiedział, że to nie w jego stylu.

Grady wydawał się jeszcze wyższy niż kilka tygodni temu, jego oczy znajdowały się już prawie na wysokości oczu Dextera. Światło księżyca muskało mosiężne guziki jego munduru. Podając mu rękę, Dexter poczuł, jak coś ściska go w gardle. Mimo całej pewności, że Grady przetrwa, miał dziwne przeczucie, że więcej się nie zobaczą.

Tabatha rzuciła się Grady'emu na szyję i ściskała go, płacząc. Dexter trzymał się w pobliżu z obawy, że taki pokaz uczuć może być niestosowny. Jego teściowa powiedziała jednak tylko łamiącym się głosem:

- Zawsze byli tacy życzliwi.

Dexter próbował dojrzeć jej twarz w świetle księżyca. Czy to możliwe? Pod osłoną ciemności z chytrych oczu Beth Berringer płynęły niesforne łzy, połyskując jarmarcznie i zdradziecko w kalejdoskopie zmarszczek.

- Kochanie, Grady musi się jeszcze pożegnać z resztą -upomniała ją delikatnie Harriet, odciągając córkę od kuzyna.

Tabby podbiegła do Dextera, a on ją przytulił.

- Cii, kotku - powiedział, trzymając ją w objęciach. - No, uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

- Nie tak jak teraz. Już nigdy nie będzie tak jak teraz.

- Grady wróci zdrowy jak rydz, obiecuję.

Odsunęła się, próbując spojrzeć mu w oczy.

- Tatusiu, czegoś takiego nie możesz obiecać.

Miała rację. Plółł bzdury.

- Mogę to obiecać, bo wierzę, że tak będzie. Nie mam żadnych obaw związanych z Gradyem Berringerem. Najmniejszych.

Wygadywał największe głupoty, jakie można sobie wyobrazić, lecz czuł, że jego słowa mają uspokajającą moc, jakby serce jego córki odprężyło się w jego własnej piersi. Czuł podobieństwo ich ciał, ich wspólny zapach, sposób poruszania się. Była jego. A on był jej.

Harriet ruszyła przodem w stronę cadillaca, trzymając bliźniaków za rękę.

Dexter poszedł za nią, nadal tuląc do siebie Tabby. Nikt się więcej nie odezwał. Słyszeć było jedynie chrząskowanie butów na żwirowej ścieżce. I właśnie wtedy, gdy obejmował udręczoną córkę w świetle księżyca, Dexter zrozumiał, co musi zrobić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Anna często wspominała, jak w dniu sprawdzianu zwycięsko wspięła się po drabinie. Gdyby to był film, skończyłyby się w tym miejscu - obietnicą, że wreszcie i na przekór wszystkiemu zasłużyła sobie na szacunek zręczliwego kapitana. W rzeczywistości jednak lubił ją jeszcze mniej. Mówił o swoich nurkach „chłopcy”, „mężczyźni” albo „panowie”. Na widok Anny milkł, jakby była trędowata. Wiedziała, że mogłaby go zadowolić, tylko gdyby zrezygnowała, i nie dawał jej żadnych powodów, żeby zostać.

Od sprawdzianu minęły ponad dwa tygodnie, a ona ani razu nie weszła do wody. Mężczyźni nurkowali często. Bascombe i Marle pracowali razem, łatając zanurzony kadłub alianckiego niszczyciela. Anna teoretycznie została odzyskiwaczem mienia, co oznaczało, że jej specjalnością jest wyławianie zatopionych obiektów. Właśnie taką operację ratunkową przeprowadzono na liniowcu Normandie przy pirsie 88 i na zatopionej niemieckiej flocie w Scapa Flow. W zatoce Wallabout nie było jednak żadnych zatopionych statków. Zamiast nich na dnie można było znaleźć kilka tysięcy podkładów kolejowych, które przed dekadą zsunęły się z barki i utrudniały przemieszczanie się niektórym statkom z głębokimi kadłubami. Oprócz Anny do usuwania tych podkładów wyznaczono największych i najmniej wykwalifikowanych uczniów - na przykład Savina, który w dniu sprawdzianu przebił gwoździem kombinezon. Anna musiała potem tę dziurę załatać. Tymczasem Savina zgłoszono na kurs spawania w basenie szkoleniowym. Tam nastąpił ciąg dalszy jego niepowodzeń: dwa dni temu roztrzaskał szybkę w swoim hełmie o kant stalowej płytki, którą próbował przyspawać. Wyciągnięto go szybko - jednym z jego pomocników był Marle - i początkowo wydawało się, że Savinowi nic nie jest, krwawił tylko lekko z uszu i nosa. W komorze dekompresyjnej stracił jednak przytomność. Kapitan Axel podejrzewał zator gazowy, co oznaczało, że Savino wciągnął powietrze i przytrzymał je w płucach, zanim go wyciągnięto. Podczas gdy ciśnienie wokół niego spadało do poziomu ciśnienia na powierzchni morza, ciśnienie wywierane przez powietrze w jego organizmie rosło, aż jakiś pęcherzyk dostał się do krwi obiegu. Przemieszczał się żyłami i tętnicami, i w końcu utknął w miejscu, przez które nie mógł się przecisnąć - w przypadku Savina w jednym z naczyń doprowadzających krew do mózgu. Zatory gazowe często prowadziły do śmierci, lecz Savino przeżył. Nie wrócił jednak do pracy.

Dzisiejszy dzień upłynął Annie na czyszczeniu gąbczastych filtrów w separatorach oleju wszystkich dziesięciu sprężarek. Większość jej zadań przypominała obowiązki domowe: łątała kombinezony do nurkowania za

pomocą kleju kauczukowego, wcierała olej kostny w skórzane uszczelki hełmów, odłączała zbyt długo połączone przewody. Czuła się jeszcze bardziej oddalona od wojny niż w zakładzie pomiarowym - wtedy przynajmniej załatwiała sprawunki w innych częściach stoczni. Przebierając się w cywilne ubranie w swojej schowkoszatni, popadła w znajomy stan beznadziejnej rezygnacji: naprawdę była słaba, czuła się słaba. Podkłady kolejowe były dla niej za ciężkie. Kapitan Axel miał rację, że trzymał ją od nich z daleka. Ta naturalna słabość działała łagodząco na jej dotkliwe poczucie niesprawiedliwości. Świadomość, że jest niegodna z konkretnego powodu, była mniej okropna niż wrażenie, że ją oszukano. Zaczynała przez to patrzeć na siebie w zupełnie inny sposób, jakby była niepewna i krucha, podobna do mężatek. Ryk wściekłości spalał jednak ten obraz niczym kukłę. Jak ona nienawidziła kapitana Axela! Marzyła o tym, żeby to on zniknął. Ta nienawiść tchnęła w nią siłę. Anna musiała jednak powściągnąć złość, wchłonąć ją, nawet jeśli czuła się przy tym, jakby połykała wybielacz. Najmniejsze wykroczenie byłoby podstawą do jej wydalenia. A wtedy kapitan odniósłby zwycięstwo.

Najbardziej lubiła chwile, gdy budynek 569 wizytowali wyżsi oficerowie. W obecności przełożonych kapitan Axel wydawał się speszony i uległy, a Katz, jego prawa ręka, był niemal sparaliżowany ze strachu. Unieszkodliwieni w ten sposób, zapominali o pogardzie dla Anny. Tylko wtedy.

Wyszła ze stoczni razem z innymi nurkami i ruszyła do Oval Bar. Bascombe zorganizował jej udział w tym wieczornym rytuale równie zręcznie, jak wcześniej zapewnił go Marle'owi: niedługo po próbnym nurkowaniu jego narzeczona podeszła do Anny przed bramą przy Sands Street i powiedziała głosem zniekształconym przez katar:

- Basky chce, żebym poszła na miasto razem z nim i chłopakami, ale ty też się przyłączysz, prawda? Nie chcę tam być jedyną dziewczyną.

Wszyscy pragnęli usłyszeć historię o zatorze gazowym Savina od Marle'a, który towarzyszył mu w komorze dekompresyjnej. Gdy Savino stracił przytomność, opowiadał Marle, kapitan Axel zwiększył ciśnienie do stu dwudziestu funtów, jakie panuje na głębokości blisko stu metrów, licząc na to, że pęcherzyk powietrza wchłonie się z powrotem do krwi Savina. Z pióra kapitana eksplodował niebieski atrament, opryskując ich obu. Marle trzymał nogi Savina w górze, a kapitan Axel masował mu dłonie i stopy, próbując pobudzić krążenie.

- Cały czas mówił - powiedział Marle, gdy popijali piwem B&H

darmowe przekąski barowe mające przyciągać marynarzy. - Powtarzał: „Nic ci nie będzie, synu, a wiesz, skąd to wiem? Gdybyś miał umrzeć, już byłbyś martwy”.

- Axel w najlepszym wydaniu - mruknął Bascombe, sącząc coca-cole.

- Jak facet uspokajający konia. Mimo że Savino zupełnie odpłynął. „Pewnego dnia opowiesz swoim dzieciom, jak ryzykowałeś życie, żeby nie musiały jeść w niedzielę na obiad wodorostów i kiszzonej kapusty”.

- Jak na mój gust trochę przesadził.

- Dzięki niemu facet odzyskał przytomność. Widziałem to na własne oczy. Chociaż ten cynik pewnie w to nie uwierzy. - Marle wskazał spojrzeniem Bascombe'a.

Po czterdziestu pięciu minutach Savino odzyskał przytomność. Dekompresja w komorze trwała następne pięć godzin. Gdy w końcu było po wszystkim, po północy, Savino o własnych siłach poszedł do podstawionej karetki.

- Dziwne, że Axel powstrzymał się od wykrzywiania gęby w uśmiechu - odparł Bascombe. - Od samego początku nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł odegrać bohatera.

- To tylko poza - powiedział Marle. - Jeśli straci nurka, zamkną jego program szkoleniowy.

- Daj spokój.

Marle pokręcił głową. Często stali z Bascombe'em po przeciwnych stronach, lecz jednocześnie byli nierozłączni. Bascombe nie był mile widziany w domu Ruby. Jej ojciec uważał go za obiboka i nie chciał uścisnąć mu ręki. W niedzielę Bascombe jadał kolację z Marle'em i jego rodzicami w Harlemie.

Anna pojechała do domu tym samym tramwajem co Ruby i Bascombe. Bascombe miał odprowadzić narzeczoną aż do Sunset Park, gdzie mieszkała nad sklepem spożywczym rodziców, a potem wrócić do wynajętego pokoju obok stoczni: półtoragodzinna podróż. Zaręczyny zamierzali trzymać w tajemnicy, dopóki nie uda mu się przekonać do siebie jej ojca. Podobnie jak plan Bascombe'a, by zaciągnąć się do marynarki wojennej mimo trzykrotnej dyskwalifikacji podczas badań wzroku, ten także wydawał się z góry skazany na porażkę. Bascombe kipiał jednak taką ambicją, że Anna poniekąd wierzyła, że mu się uda. Obie kampanie były ze sobą powiązane: Bascombe był pewny, że gdyby zdołał się zaciągnąć do marynarki wojennej, ojciec Ruby

spojrzałyby na niego inaczej.

Wysiadła na Atlantic Avenue. Po raz pierwszy od rana była sama, lecz wyobcowanie, które czuła kilka tygodni temu, nie było już w stanie jej dosięgnąć. Za bardzo się martwiła. Usiadła przy stole w kuchni z wieczorną gazetą oraz nieotwartą korespondencją i pomyślała o Dexterze Stylesie. Rzadko zaprzętała jej myśli w pracy, jakby strażnicy odmawiali mu wstępu na teren stoczni. W domu jednak na nowo stawała w obliczu pewności, że Dexter Styles wie, co się stało z jej ojcem. Powiedział, żeby nie drażyła tej sprawy — ostrzegł ją wręcz.

Otworzyła okno prowadzące na schody przeciwpożarowe i wydostała się na surowe zimowe powietrze. Próbowwała sobie przypomnieć ojca - spojrzeć na niego tak, jak spojrzełaby na każdego innego mężczyznę, z którym nie łączyły jej żadne więzi. Wieczór w wieczór siedział tu, gdzie teraz siedziała, palił, patrzył na ulicę. Myślał - o czym? Nie miała pojęcia, mimo że spędziła z nim tyle czasu. Jakby przez to, że jest jego córką, była wyjątkowo ślepa, jakby każdy inny człowiek - ktokolwiek - widział go i znał tak, jak ona nie była w stanie go poznać.

Coś miało się wydarzyć. To jeszcze nie był koniec jej znajomości z Dexterem Stylesem. Ta nieuchronność otworzyła w Annie zawór podniecenia, które sprawiło, że zapomniała o ojcu. Pragnęła Dextera Stylesa - nie gangstera, lecz kochanka. Obskurtność miejsca, w którym się obudziła, zdążyła się już zatrzeć w jej pamięci, pozostało tylko wrażenie. Chwilami żałowała nawet, że wyjawiała mu, kim jest - nie chciała z niego zrezygnować. Poszła do domu, żeby wziąć kąpiel, a potem się położyła, nie otworzywszy listu od matki. W ciemności oddawała się wspomnianiu Dextera Stylesa.

Groził jej? Czy jedynie ją ostrzegł?

*

Dwa dni później ubraną w kombinezon Annę skierowano na barkę, miała pomagać Majorne'owi. Zaszła tak daleko już dwukrotnie, lecz nigdy nie puscili jej pod wodę. Mimo to po wielu dniach pracy w budynku albo sterczenia w jednym miejscu przy jakimś pirsie West Side cieszyła się, że wypłynie na otwarte wody. Gdy obserwowała pęcherzyki powietrza wydychanego przez Majorne'a, promienie słońca padały na zatokę Wallabout jak snop ze spawarki.

- Kerrigan, pobudka!

To był Katz, zatrzymał motorówkę za rogiem barki. Anna była potrzebna. Przedni pomocnik pomógł jej załadować skrzynię z częściami kombinezonu

na motorówkę, która pod tym ciężarem aż się obróciła. Płynąc po brejowatej wodzie, Katz wyjaśnił, że w pancerniku zwodowanym niedawno z szóstego suchego doku i zacumowanym przy pirsie J zacięła się śruba napędowa. Nie podawano nazw alianckich okrętów, ale dzięki wizytom w biurze kapitana stoczni Anna wiedziała, że chodzi o USS South Dakota - ze względów bezpieczeństwa nazywany w gazetach „pancernikiem X”. W bitwie koło wysp Santa Cruz zestrzelił dwadzieścia sześć japońskich samolotów.

Pancernik majestatycznie unosił się na wodzie, pomniejszając wszystko wokół siebie, nawet olbrzymi żuraw, do rozmiarów wzmianki na marginesie. Savino i Grollier byli już przy kołach zamachowych sprężarki na krawędzi pirsu J. Sa-vino nie nurkował, odkąd przeżył zator gazowy. Grollier, który rano schodził już pod wodę, był częściowo ubrany w kombinezon. Zadanie Anny polegało na sprawdzeniu czterech śrub napędowych pancernika, zlokalizowaniu problemu, wróceniu na górę i wyjaśnieniu, co należy zrobić. Grollier, który niedawno odbył szkolenie z cięcia palnikiem, miał zejść pod wodę i przeprowadzić naprawę.

- Czy nie powinnam sama tego naprawić? - spytała Anna, zdradzając większy entuzjazm, niż zamierzała.

- Nurkujesz tylko dlatego, że nie mamy nikogo innego - powiedział Katz.

Zarumieniła się.

- Nie o to pytałam.

- Po prostu rób, co ci każą.

Przygotowano dla niej scenę - platformę opuszczaną na linach. Gdy otoczyła ją woda, Anna ponownie odkryła uczucie nieważkości. Nawet po zawietrznej czuła przyciąganie osławionych prądów East River. Zeszła na dół przez delikatne pierzaste liście słonecznego światła unoszące się wzdłuż olbrzymiego kadłuba, który już samymi rozmiarami kojarzył się z przemocą. Anna miała ochotę go dotknąć. Trzymając linę ze sceny, zakołysała się w stronę kadłuba i zjeżdżając w dół przesunęła ręką w rękawicy po jego zewnętrznej skorupie. Jej ciało pokryło się gęsią skórką. Okręt był jakby czujny, żywy. Wydawał z siebie pomruk, który przenikał przez jej palce aż do ramienia: wibracje tysięcy stłoczonych w środku dusz. Jak przewrócony na bok drapacz chmur.

W końcu rozpoznała zawijasy śruby przy rufowej części sterburty i dała Katzowi sygnał, że do niej dotarła. Wcześniej rozmieszczono liny opustowe, by ułatwić jej manewrowanie, i skorzystała z nich, przybliżając się do śruby.

Ta miała pięć metrów wysokości i pięć skrzydeł wywiniętych jak wewnątrz muszli. Anna poruszała się wśród nich, przesuając rękawicami po krawędziach ku pierścieniowi centralnemu, gdzie skrzydła się spotykały. Nic ich nie blokowało. Uważając, by nie poplątać lin, wspięła się do wału łączącego śrubę z silnikiem. Przesunęła się po nim ku dziobowej części sterburty. Tu śruba miała cztery skrzydła zamiast pięciu. Ona także była czysta. Chwyciła za przednią krawędź steru — przypominał stalowe drzwi do bankowego skarbcza — i wykorzystała ją, by odwrócić się ku lewej burcie skierowanej w stronę rzeki. Uderzyły w nią prądy, podwodne fale wywoływane przez przepływające łodzie. Na śrubie przy dziobowej części bakburty znalazła problem: w skrzydła zaplątała się lina grubości jej ramienia. Przytrzymał ją jeden z niesławnych podkładów kolejowych, który dyndał kilkadziesiąt centymetrów niżej.

Poczuła pociągnięcie Katza. Też pociągnęła. Teraz powinna była wrócić na powierzchnię, żeby Grollier mógł przeciąć blokującą linię spawarką tlenowodorową. Ale dlaczego miałyby wracać? Dlaczego nie przepiłować liny ręcznie za pomocą piły do metalu, którą miała w torbie z narzędziami? Anna podjęła decyzję, doskonale wiedząc, że postępuje źle. Trzymając się zasad, do niczego nie doszła. Zdając sprawdziany, do niczego nie doszła. A nie doszedłszy do niczego, porzuciła ogólną filozofię, zgodnie z którą należało być grzeczną dziewczynką i starać się zadowolić innych. Dlaczego nie brać tego, co się da, dopóki jest okazja?

Okrążyła zablokowane skrzydła śruby, pociągając za kawałki liny. Najciaśniejsza część znajdowała się niedaleko środka, ósemka zaklinowana między dwoma zewnętrznymi skrzydłami. Anna wyjęła piłę przywiązaną żółtym sznurem i zaczęła piłować właśnie w tym miejscu. Szło powoli. Katz dał sygnał, potem drugi. Za każdym razem odpowiadała mu jednym pociągnięciem - „wszystko w porządku” - i pracowała dalej.

Katz zasygnalizował, że spuszcza tabliczkę. Anna powtórzyła sygnał, ale nie przeszła na sterburte, żeby coś napisać. Gdy tylko przeczytaliby, co znalazła, rozkazaliby jej wracać, i i tak byłaby w tarapatkach. Dlaczego nie miałyby zostać na dole, kończąc to, co zaczęła? Jak złodziej próbujący otworzyć sejf, zanim rozlegnie się alarm, piłowała w półmroku, owładnięta dziką determinacją, która, jak wiedziała, była czystym egoizmem mającym w końcu wyrzucić jej krzywdę. Nie obchodziło jej to. W miejscu, gdzie piłowała, lina zaczęła się naprężać. Anna poczuła, jak to napięcie przechodzi na słabnące nietknięte partie liny, które po chwili drżały już jak struny skrzypiec. Potem lina strzeliła z trzaskiem, który usłyszała mimo syku powietrza. Dwa końce zawisły w mroku, a konopne nici kołysały się niczym

macki. Anna wspięła się na śrubę, ciągnąc za inne kawałki liny i starając się je także poluzować. Z tego wysiłku zakręciło jej się w głowie. Nagle liny zaczęły się wysuwać, ciężar podkładu kolejowego odciągnął je delikatnie od skrzydeł śruby. Potem całkiem opadły i falujące konopne zawijasy odpłynęły w mrok.

Stojąc z powrotem na platformie, Anna poczuła pierwsze ukłucie żalu. Jej skromny wyczyn, który Grollier z łatwością powtórzyłby, używając spawarki, niknął w porównaniu z ogromem jej wykroczenia. Jeszcze zanim platforma dosięgła pirsu, zobaczyła płonąca szkarłatem bliznę na górnej wardze Katza.

- Załatwione - powiedziała pospiesznie, gdy otworzył szybkę w jej hełmie. - Śruba jest czysta.

- Jak śmiesz ignorować moje rozkazy? - ryknął, zanim zdążyła zejść z platformy.

- Załatwione - powtórzyła, przełykając ślinę. - Robota wykonana.

- Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Spuściłem tabliczkę, a ty ją zignorowałaś.

Z kombinezonu Anny wydobył się zwierzęcy zapach przypominający woń amoniaku. Wystraszyła się.

- Proszę dać mi spokój - powiedziała.

Katz jednak zachowywał się, jakby postradał zmysły.

- Czekaj, aż powiem kapitanowi, ty podła cipo - wrzasnął, gwałtownie przysuwając do niej głowę, tak że ukazały jej się złote plomby w jego zębach i wyczuła mielonkę w jego oddechu. - Wywali cię tak szybko, że zobaczysz gwiazdy.

Biła od niego żądza mordy. Czowała, że ten człowiek ma ochotę ją ukatrupić. Odsunęła się, chwytając liny przy platformie.

- Ona spada! - krzyknął ktoś. - Łapcie ją, łapcie!

Ciężar przechylnego kombinezonu był zbyt wielki, by go powstrzymać. Lewa rękawica Anny wypuściła linę i dziewczyna przechyliła się jak drzewo, świadoma, że grawitacja zwała ją z nóg, lecz nie będąc w stanie uchronić się od upadku. Zobaczyła obracające się niebo i chyba krzyknęła. Albo może krzyczał Katz.

Zawisła w powietrzu. Katz chwycił jej linę ratowniczą i w ostatnim możliwym momencie, zanim podeszwy butów oderwały się od platformy, uratował ją przed wpadnięciem do wody. Anna zeszytniała, starając się nie

poruszyć nogami. Gdyby jej buty się ześlizgnęły, ciężar kombinezonu błyskawicznie przygwoździłby ją do dna zatoki - razem z Katzem, gdyby nadal ją trzymał. Lina ratunkowa była przymocowana do zakrzywionych bolców z tyłu hełmu i przechodziła przez otworki z przodu napierśnika. Ostrożnie, bojąc się panicznie, że przechyli się jeszcze bardziej, Anna podniosła rękę w rękawicy i próbowała zamknąć szybkę w hełmie.

- Nie, nie - wycharczał nad nią Katz. - Nie ruszaj się.

Kawałek po kawałku zaczął drżącymi dłońmi przeraźliwie wolno ciągnąć jej linę ratunkową, przywracając sztywne, ważące sto czterdzieści pięć kilo ciało Anny w rynsztunku do pozycji pionowej. Jego twarz pokryła się potem, oczy wpatrywały się w oczy Anny, jakby cały wysiłek dokonywał się właśnie w nich. Anna skupiła się na tym, żeby się nie zginać, ta konieczność wywołała w jej plecach pożogę bólu. Bała się, że zwymiotuje do hełmu. Marzyła, by zamknąć oczy, lecz czuła, że powinna utrzymać kontakt wzrokowy z Katzem. Powoli grawitacja zaczęła przelewać ciężar kombinezonu z powrotem do butów. W końcu Anna ugięła kolana i przechyliła się do przodu, o mało nie padając na twarz. Katz złapał ją i pociągnął do góry, a potem ostrożnie zaprowadził na pirs.

Savino i Grollier pomogli jej usiąść na ławce i odkręcili hełm. Pochyliła się, nadal czując, że może zwymiotować. Wokół nich wszystkich zapadła cisza. Gdyby wpadła do lodowatej zatoki z otwartą szybką w hełmie, mogłaby utonąć, zanim zdołaliby ją wyciągnąć. Spojrzała na mokre szare chmury, które zasnuły niebo, gdy była pod powierzchnią. W pewnym sensie nic się nie stało: wróciła, wszystko było w porządku. Nadal wydawało jej się jednak, że może wpaść do wody.

Katz trzymał się w pewnej odległości. Przeczesał włosy palcami i kręcił głową, a potem podszedł do trapu porozmawiać z marynarzem trzymającym wachtę. Grollier i Savino zdjęli z Anny pas, napierśnik i buty. Anna uczepliła się kurczowo znajomych dźwięków stoczni — silników, maszyn, okrzyków - jakby mogły ją uchronić od upadku.

W końcu Katz wrócił i zaczęli ładować sprzęt do ciężarówki. Gdy Anna przekręcała koła zamachowe sprzężarek, po trapie zeszli do nich trzej oficerowie marynarki w dwurzędowych granatowych płaszczach z połączanymi guzikami i złotymi epoletami.

Oficer starszy stopniem był wysoki i schludny. Nawet jego przyprószone siwizną włosy wyglądały przepisowo pod granatową czapką ze złotym szamerunkiem.

— Chcę wam osobiście podziękować, panowie... i pani -powiedział, ściskając im po kolei ręce i nie okazując najmniejszego zdziwienia na widok Anny. - Dobra robota, panie Katz. Dobra, skuteczna robota.

Przyjmując te pochwały, Katz wzdrygał się, jakby słowa oficera boleśnie go kłuły. Zaczął padać mokry śnieg, lecz w obecności oficerów Anna prawie go nie zauważyła. Przyszli ze statku przypominającego drapacz chmur, mieli pożeglować nim do boju. Dotykając tego kadłuba, Anna po raz pierwszy dotknęła samej wojny - poczuła jej gwałtowny puls.

Gdy oficerowie odeszli, znów otoczył ich szary dzień. Anna czuła spokój, ale Katz był ponury i rozkojarzony. Jego spojrzenie pobiegło w jej stronę i odruchowo się do niego uśmiechnęła. Katz nieśmiało odpowiedział uśmiechem. Podnieśli razem sprężarkę i załadowali ją na ciężarówkę.

*

Gdy Anna przechodziła na drugą stronę Navy Street, ramię w ramię z Ruby, zauważyła cadillaca Dextera Styleasa stojącego z włączonym silnikiem przed Richards Bar and Grill. Wypatrywała go co wieczór.

- Przepraszam - powiedziała do przyjaciółki. Nie chciała, żeby Ruby poznała albo choćby zobaczyła Dextera Styleasa. -Muszę z kimś porozmawiać.

Przeszła przez Sands Street, odprowadzana zaciekawionym spojrzeniem. Dexter Styles wysiadł z samochodu i otworzył drzwi pasażera. Otoczył ją znajomy zapach skórzanej tapicerki.

Gdy tylko usiadła, wyczuła w nim zmianę, nietypowe u niego milczenie. Jego broda pokryła się cieniem siwego zarostu. Odbił od krawężnika i ruszył w tę samą stronę, w którą zmierzał tłum stoczniowców i marynarzy. Anna z tęsknotą obserwowała tych ludzi przez szybę. Przed chwilą była wśród nich, śmiała się razem z przyjaciółmi. Miała wrażenie, że wpadła do studni i znalazła się w jakimś otchłannym, ponurym miejscu.

- On nie żyje - powiedziała, gdy pokonali w milczeniu jedną przecnicę.
- Prawda?

- Tak.

Przełknęła ślinę.

- Gdzie?

- Mogę się dowiedzieć.

Wpatrywała się w wycieraczki, ich miarowy ruch rozcierał światła na skrzyżowaniu na kleisty kolorowy syrop. Nadal czuła w sobie żywy głód

Dextera Stylesa, pole gorączkowej energii pozbawione związku z siedzącym obok mężczyzną. Ten mężczyzna był inny, chłodny i wycofany. Ale to ona się zmieniła. Wróciła. Tak to odczuwała: jakby długa, przerywana okrężna droga doprowadziła ją wreszcie do znajomego miejsca.

- No więc zrób to! - Podniosła głos. - Dowiedz się! Na co czekasz?

Zatrzymał samochód przy pustym chodniku na Navy Street. Ceglany mur stoczni znajdował się dokładnie za szybą po stronie Anny. Dexter spojrzął na nią i powiedział:

- Będziesz potrzebowała kombinezonu do nurkowania.

- Cze... czego? - Wygadywał bzdury. Gdy wreszcie słowa zmusiły Annę do przyjęcia ich znaczenia, rzuciła mu się do gardła.

Dexter Styles chwycił ją za rękę ze zwinną prędkością człowieka mającego doświadczenie w rozbijaniu przeciwników.

- Przestań - syknął - albo nie kiwnę palcem.

Popchnęła go na drzwi. Krew sączyła się z zadrapania, które zrobiła mu na skroni. Anna poczuła znajomy oddech

Stylesa i wezbrała w niej żądza. Czuła, jak pod płaszczem wali mu serce. Prawie dotykali się twarzami. Już miał ją pocałować. Marzyła, żeby to zrobił. Wiedziała jednak, że by go ugryzła - kopałaby, drapała i darła się na całe gardło.

Widocznie on także o tym wiedział, bo powoli ją od siebie odsunął, cały czas przytrzymując jej rękę.

- Tak czy nie? - powiedział.

Drżącymi ustami wciągnęła powietrze.

- To nie takie proste - mruknęła wreszcie. - Do nurkowania potrzeba całej łodzi sprzętu.

Przechylił głowę w stronę muru, nadal trzymając ją za rękę.

- Ile możesz stamtąd wynieść?

- Nie wiem. Trochę.

- Zdobędę wszystko, czego tobie się nie uda.

Jego pewność siebie bardzo ją zdenerwowała.

- Doprawdy? Łódź. Sprężarkę. Przewody. Drabinę dla nurków.

- Łódź to łatwizna. Resztą zajmą się moi ludzie.

- Twoi ludzie są w stanie załatwić niemal wszystko, prawda?

- Niemal.

- Będziemy potrzebowali drugiego nurka - powiedziała Anna. - Normalnie są potrzebni dwaj, ale poradzimy sobie z jednym.

Z ostrzegawczym spojrzeniem wypuścił jej rękę.

- Masz na myśli kogoś konkretnego?

Próbowała sobie wyobrazić reakcję Bascombe'a na taką propozycję.

- On nie lubi kłopotów.

- Nikt nie lubi.

Spojrzeli na siebie bez emocji. Przecież łączyła ich tylko praca.

-To bardzo niebezpieczne? Nurkowanie w nieznanym miejscu? - spytał.

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. - Pamiętała, jak trwała w zawieszaniu pod obracającym się niebem, przekonana, że za chwilę spadnie na dno zatoki. Teraz wydawało jej się, że spadła i przeżyła.

- Ale mnie obchodzi - powiedział Dexter Styles.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zgodnie ze swoją szumną zapowiedzią kapitan Kittredge dopłynął na pokładzie Elizabeth Seaman do Kapsztadu dwudziestego piątego lutego, osiem dni przed terminem, utrzymując średnią prędkość dwunastu węzłów. Z jasnymi włosami i eleganckimi arystokratycznymi dłońmi wyglądał na mostku tak malowniczo, że czasami Eddie wyobrażał sobie Elizabeth Seaman jako jacht podobny do tych, które obserwował z pirsów na Bronksie, gdzie razem z innymi chłopakami z sierocińca chodził latem pływać, gdy zbierały się na regaty w głębi zatoki Long Island. Kittredge był jak dorosła wersja młodzieńców, którzy dokazywali w Central Parku z raketami tenisowymi i szpicrutami. Kapitan miał tyle szczęścia, że dla niego samego było tego szczęścia aż nadto, powtarzał sobie Eddie - liczył, że wystarczy go dla pięćdziesięciu sześciu członków załogi.

Portowa gorączka zaczynała się wiele dni przed ujrzeniem lądu, morskie zajęcia ustępowały miejsca nieokreślonemu wyczekiwaniu pozbawionemu wyraźnego celu. Farmingdale schował konopne lalki i tak często nakręcał zegarek, że Eddie był pewny, że mechanizm tego nie wytrzyma. W końcu wydobyto z magazynu cumy i uniesiono bomby, szykując się do wyładunku.

Po kwarantannie Elizabeth Seaman zacumowała w Table Harbor, by wyładować boksyt i przyjąć zapasy świeżej żywności oraz wody. Kapsztad był lubianym portem i ci, którzy nie zostali wyznaczeni do wachty, przysnęli z pokładu o zachodzie słońca: załoga handlowa i bosmani artylerzyści do dzielnicy malajskiej, choć agent portowy wyraźnie przestrzegał przed tamtejszymi dziwkami, a takie moczymordy jak Farmingdale do najtańszych spelunek. Oficerowie marynarki wojennej zajmowali inną część portu. Na kapitana Rosena, dowódcę zbrojnej gwardii, i jego młodszego oficera podporucznika Wyckoffa czekał przy trapie samochód, który zawiózł ich na kolację do czyjegoś domu.

Roger i Stanley, kadeci floty handlowej, obaj w wyprasowanych mundurach akademii, patrzyli ze smutkiem, jak oficerowie marynarki wojennej nikną w oddali. Na burdele byli zbyt niedoświadczeni i nie bardzo wiedzieli, gdzie się podziać. Eddie obiecał, że zanim opuszczą Kapsztad, zabierze ich do klubu nocnego.

Radiooperatorzy mieli w porcie niewiele obowiązków i często znikali, lecz Iskra postanowił zostać na statku.

- A co miałbym, kurwa, robić w Kapsztadzie? - spytał Eddiego, który pierwszej nocy w porcie został na pokładzie, żeby dotrzymać mu

towarzystwa. - Wlec za sobą tę pieprzoną nogę i powtarzać: „Przepraszam bardzo, czy mógłbym dostać szklankę mleka?”. Ich słynną pierdoloną Górę Stołową widzę ze swojej kajuty - patrz, o tam. Nie muszę nawet kiwnąć palcem, żeby udawać turystę. Teraz mogę wykorzystać radio zgodnie z bożym zamysłem.

Minęły całe tygodnie, odkąd po raz ostatni słyszeli jakieś wiadomości podczas ciszy radiowej. To, co mieli do powiedzenia słabo słyszalni spikerzy BBC, było przeważnie pokrzepiające: wspaniałe czołgi Rommla uciekały w Tunezji na złamanie karku, Rosjanie triumfowali w Charkowie, alianci bombardowali Mesynę.

- Wygrywamy tę pierdoloną wojnę, trzeci - powiedział Iskra. - Co ty na to?

- Kto ich tam wie, mają takie miłe głosy - odrzekł Eddie. - Mogliby powiedzieć, że jestem trupem, a i tak bym pomyślał, że słyszę dobre wieści.

Iskra odsunął się z pogardą.

- Trzeci - zaczepił Eddiego. - Nigdy nie przypuszczałem, że z ciebie taka cipka, co to zwraca uwagę na elegancki akcent.

Eddiemu wpadła do głowy cięta riposta w stylu bosmana.

- Ja też nie - powiedział.

Zszedł na dół pustego statku, żeby odnieść do kambuza kubek Iskry. Zastał tam bosmana, który pił kawę i czytał. Na widok Eddiego wstał i głośno zamknął książkę, zaznaczając dwoma palcami miejsce, w którym przerwał. Eddie też był zaskoczony.

- Dziwię się, że nie jest pan na lądzie, bosmanie - powiedział.

- A z jakiegoż to powodu miałoby to pana dziwić, trzeci? - odparł cierpko bosman. Najwyraźniej nie spodziewał się nikogo spotkać i dlatego był nie w sosie.

- Pływaliśmy już razem - przypomniał mu Eddie. - Wtedy schodził pan na ląd przy każdej okazji.

- Pan także, o ile mnie pamięć nie myli - odparował bosman. - Może pański nowy oszałamiający stopień spowodował zmianę tych zwyczajów. Zechce pan jednak zauważyć, że to tylko moje domysły. To, co pan robi - albo czego nie robi - ze swoim wolnym czasem, to nie moja sprawa. Podobnie jak, za pozwoleniem, to nie pańska sprawa, co ja robię ze swoim.

- Niech się pan nie unosi - powiedział Eddie. - Chciałem tylko

porozmawiać.

Bosman sceptycznie zmierzył go wzrokiem, nie wysuwając palców z książki. Eddie zauważył zaskakującą różowość wnętrza jego dłoni na tle granatowoczarnej opalizującej skóry. Gdy pracował pod rozkazami bosmana, te przebłyски różu hipnotyzowały go jak trzepotanie skrzydeł.

- Rozmowy bywają pożyteczne, nie powiem - odparł bosman. - Jednak w obecnych okolicznościach takie wyjaśnienie wydaje mi się niezgodne z prawdą, a to z tego prostego powodu, że pomija naszą niesłabnącą wzajemną uszczypliwość. Bo tak się składa, że rozmowy nie są w naszym stylu. *Ipsa post facto*, nie sposób wziąć pańskich słów za dobrą monetę.

- Mówi pan w ten sposób do wszystkich?

- Po cóż miałby mi pan zadawać takie pytanie, trzeci? -wybuchnął bosman, gubiąc zaznaczone miejsce i w przypiływie frustracji wyrzucając ręce w górę. - Czy ono jest retoryczne, czy literalne?

- Literalne - odpowiedział Eddie, nie do końca pojmując różnicę między jednym a drugim.

- No cóż, doskonale. Literalny z pana człowiek, trzeci, więc udzielił panu literalnej i, jeśli pan pozwoli, rozbijając szczerą odpowiedź. - Bosman zrobił krok w jego stronę i ściszył głos. - Nie mówię w ten sposób do wszystkich. W przeciwieństwie do pana inni ludzie znajdujący się równie daleko poza zasięgiem mojego intelektu zwykle nie łakną rozbudowanych i regularnych interakcji. Wyznaję, że nie pojmuję powodów, dla których akurat pan postanowił nie ustawać w tych wysiłkach. Oczywiście mógłbym snuć domysły, ale byłyby to próżny trud - po trosze dlatego, że implikowałyby istnienie choćby najmniejszej drobiny solidarności łączącej nasze życie wewnętrzne, w którą co najmniej wątpię - lecz również dlatego, że wskazywałby, iż pańskie pobudki i motywy choć trochę mnie obchodzą, trzeci, a nie obchodzą mnie one wcale.

Eddie pogubił się już na początku, ale wiedział, że się go obraża. Krew napłynęła mu do twarzy.

- W takim razie w porządku - odparł. - Dobranoc.

Odwrócił się i wyszedł z kambuza, czerpiąc pewną satysfakcję z wyraźnego zdziwienia bosmana. Czuł się jak zbity pies, ale wiedział, że może mieć pretensje jedynie do siebie. Czego właściwie chciał od bosmana? Nie miał pojęcia.

Nazajutrz po południu zszedł z pokładu razem z kadetami, by pozwiedzać

Kapsztad. Miasto było większe, niż przypuszczał, prawdziwy kolos przycupnięty pod ziemistym spojrzaniem Góry Stołowej. Kadeci kupili czekoladę i mandarynki satsuma. Eddie kupił papierosy Player's Navy Cut i palił je, gdy szli po Adderley Street, wielkiej arterii, wzdłuż której ciągnęły się budynki z kolumnami. Nim minęło dwadzieścia minut, wiedział już, dlaczego bosman został na pokładzie. W każdej sferze odseparowywano tu czarnych od białych: w autobusach, sklepach, teatrach, kinach. Eddie przywykł do widoku źle traktowanych Murzynów - na pirsach West Side makaroniarzy traktowano jak Murzynów, a Murzynów jak coś gorszego. Mimo to był wstrząśnięty, gdy policjant poprosił jakąś starszą czarnoskórą kobietę, żeby opuściła ławkę, na której odpoczywała po zakupach. Noga wyniosłego bosmana nigdy nie stanęłaby w takim miejscu. Mimo to Eddie chcąc nie chcąc podziwiał człowieka mającego wystarczająco dużo powściągliwości, by oprzeć się pokusie dotknięcia lądu po czterdziestu siedmiu dniach na morzu wyłącznie dla zasady.

Po zmierzchu zaprowadził kadetów do nocnego klubu. Słyszał, jak rano kapitan Rosen wspomina o tym miejscu przy śniadaniu. Eddie miał nadzieję, że także tym razem zastanie tam Rosena - i rzeczywiście, był tam razem z podporucznikiem Wyckoffem i zaprosili Eddiego z kadetami do swojego stolika. Rosen był przystojnym Żydem, rezerwistą zatrudnionym niegdyś w branży reklamowej. Wyckoff wyglądał na co najmniej o dekadę młodszego: pulchny, piegowaty zapalenię. Z zachwytem opowiedział Eddiemu o wycieczce po winnicach, na którą razem z Rosenem wybrali się po południu w towarzystwie swoich południowoafrykańskich gospodarzy. Przyglądali się winobranianiu i Wyckoff kupił dwie skrzynki wina.

-Wina?- zdziwił się Eddie. — Zalewasz.

Wyckoff mówił jednak poważnie. Miał nadzieję, że po wojnie zajmie się handlem winem.

- Nigdy nie przepadałem za winem - wyznał Eddie, choć lubił szampana zmieszanego z guinnessem. Nazywano to czarnym atlasem.

- Postaram się, żebyś zmienił zdanie, obiecuję. - Wyckoff przybrał ton handlarza.

Olbrzymia orkiestra grała *White Christmas*, co w połączeniu z zapachem dojrzewających cytrusów pozostawiało dziwne wrażenie. Mulatki siedziały z alianckimi oficerami i tańczyły z nimi. Nie były to prostytutki ani nawet hostessy mające zachęcać marynarzy do kupowania im drinków. Wyglądały raczej na urzędniczki albo ekspedientki. Pieniądze, które przechodziły z ręki

do ręki, były prezentami, nie opłatą. W ostatnich latach Eddie uczestniczył w wielu takich spotkaniach, lecz teraz poczuł, że spogląda na rozgrywającą się przed nim scenę z odrazą. Po chwili zrozumiał dlaczego: patrzył na nią oczami bosmana.

*

Dzień przed planowanym wypłynięciem Farmingdale nie stawił się na pokładzie i nikt nie zdołał go znaleźć. Elizabeth Seaman nie mogła popłynąć bez drugiego oficera, więc nie dołączyła do konwoju, z którym miała przemierzyć Kanał Mozambicki, czyli kawałek morza między Madagaskarem a wybrzeżem Afryki, gdzie wiele alianckich statków padło ofiarą nazistowskich watah łodzi podwodnych. Farmingdale znalazł się trzy dni później w więzieniu wojskowym, a wykroczenie, którego się dopuścił, było tak poważne, że armia nie chciała go wydać, dopóki Elizabeth Seaman nie była gotowa wciągnąć cum.

Dziewiątego marca żandarmeria wojskowa dostarczyła drugiego oficera aż do trapu, skąd natychmiast wezwano go do kajuty kapitana. Kittredge odznaczał się wprawdzie aparycją lalusia, ale nikt nie mógł mu zarzucić, że potraktował Farmingdale'a łagodnie. Jeśli istniało coś, czego kapitan nie potrafił znieść, to było to zostawanie w tyle. Teraz guzdrająca się Elizabeth Seaman była zmuszona płynąć samotnie wymijającym kursem - dwadzieścia stopni w prawo przez dziesięć minut, następnie dwadzieścia stopni w lewo, potem znów poprzednim kursem przez dziesięć minut i tak dalej - nie tylko nocą, gdy u-booty były najbardziej aktywne, lecz także przez cały dzień. Płynęli ku Kanałowi Mozambickiemu z wysuniętymi żurawikami, gotowi opuścić szalupy, gdyby statek oberwał.

Farmingdale stał się pariasem. Przez dwa dni spóźniał się na posiłki i siedział z kadetami przy ich małym stole. Ciągłe miał na twarzy donkiszotowski uśmiech, jakby ta izolacja była rzadkim przywilejem. Trzeciego dnia Eddie próbował zasygnalizować, że mu wybaczają, gdy przejmował od niego poranną wachtę. Serdecznie się z nim przywitał, a nawet pojednawczo poklepał go po ramieniu, kiedy przekazywali sobie kurs i położenie. Farmingdale jednak zareagował na te oczywiste starania zniecierpliwionym westchnieniem i odwrócił wzrok, głaszcząc się po śnieżnobiałej brodzie, jakby była tajemnym skarbem siły.

Tego samego dnia po południu Iskra odebrał drugą wiadomość radiową dla Elizabeth Seaman i statek zmienił kurs. Tuż przed północą w umówionym miejscu, pięćdziesiąt mil na północny wschód od Durbanu, jak za sprawą bożej interwencji wyrosło wokół niego siedemdziesiąt siedem statków.

Potrzeba było olbrzymiego wysiłku, by wprowadzić Elizabeth Seaman na pozycję, unikając po drodze kolizji z innymi jednostkami, które były zupełnie zaciemnione, jeśli pominąć słabiutkie światełka na rufach. Eddie stał z kapitanem na mostku, obsługując telegraf służący do komunikacji z maszynownią, by przekazywać mechanikom na dole dane dotyczące prędkości i kierunku. Nie mógł się powstrzymać od przypisywania Kittredge owi wręcz nadprzyrodzonych sił. Amerykański fart kapitana przybył im na ratunek. Eddie przez całe życie marzył o takim farcie - starał się go zdobyć na wszelkie możliwe sposoby. Może fart oznaczał, że nie trzeba się starać.

Kurs konwoju transmitowano alfabetem Morse'a za pomocą mrugających świateł sygnalizacyjnych, które działały jak żaluzje. Sygnał ze statku komodora na środku pierwszego szeregu przekazywano do tyłu wzdłuż kolejnych kolumn statków. Proces ten zajmował w sumie blisko pół godziny. Potem jak jedna niewidzialna masa konwój obrał kurs czterdzieści trzy stopnie w stronę Kanału Mozambickiego.

O wschodzie słońca, wciąż w gotowości bojowej, Eddie z pierwszym oficerem spoglądali na ocean usiany prawie osiemdziesięcioma statkami, które ułożyły się w olbrzymi wzór z rytualnym splendorem figur szachowych.

-To piękno, jakiego jeszcze nie widziałem - powiedział.

- Bliżej środka jest jeszcze ładniej - zaśmiał się pierwszy oficer, gdyż zajmowali pozycję niebezpiecznie bliską jednego z „rogów trumny”, najbardziej narażonych na ataki u-bootów. Nie miało to znaczenia. Synchronizacja była tak spektakularna, miała tak monumentalną skalę i zasięg, że będąc jej elementem, Eddie czuł się niezwykły. Widział bandery Portugalii, Wolnej Francji. Brazylii, Panamy. Związku Południowej Afryki. Na holenderskim frachtowcu po ich prawej stronie dwoje dzieci biegało wśród bielizny suszącej się na sznurze. Najwidoczniej kapitan opuścił Holandię razem z rodziną, żeby uciec przed nazistami.

Piętnaście mniejszych, szybszych łodzi eskortujących -niszczycieli i korwet - śmigało wzdłuż statków jak policja konna podczas parady. Konwój nie mógłby się zatrzymać z powodu jednego uszkodzonego statku, lecz łódź eskortująca zostałaaby w tyle i pomogła ratować załogę. Ta świadomość uspokajała Eddiego bardziej niż cokolwiek innego.

Tylko jeden człowiek na pokładzie Elizabeth Seaman był niezadowolony z nowych okoliczności: kapitan. Konwoje musiały płynąć z prędkością najwolniejszego statku, a ponieważ w tym konwoju znalazł się panamski parowiec, byli zmuszeni zwolnić do ośmiu węzłów.

- Szybciej płynęliśmy zygzakiem - żalił się Kittredge głównemu mechanikowi, który siedział po jego prawej w mesie.

Po północy, gdy Eddie przekazał wachtę Farmingdale owi (nadal zagadkowo uśmiechniętemu), zastał przed swoją kajutą Wyckoffa, podporucznika marynarki wojennej, czekającego z butelką wina.

-Wypijemy je na zewnątrz - zaproponował. - Noc jest idealna. Miejsce, w którym się pije wino, jest równie istotne jak ono samo.

Usiedli na włazie do drugiej ładowni. Noc była chłodna i bezchmurna, pod obrzynkiem księżycy majaczyło falujące morze. Eddie nie widział statków wokół, lecz czuł ich zagęszczenie, sto pięćdziesiąt metrów w przód i w tył, trzysta na trawersie, wszystkie sunęły powoli niczym widmowe stado. Eddie usłyszał, jak korek wysuwa się z butelki Wyckoffa, poczuł cierpki, drzewny zapach wina. Podporucznik nalał skromną ilość trunku do dwóch emaliowanych kubków.

- Nie pij jeszcze - pouczył, gdy Eddie uniósł swój. -Niech pooddycha.

Nad horyzontem wisiał Krzyż Południa. Eddie wolał południowe niebo. Było jaśniejsze, gęściej usiane planetami.

- No dobrze. Już - powiedział Wyckoff kilka minut później. - Pociągnij łyk i poobracaj wino w ustach, zanim połkniesz.

Brzmiało to nedorzecznie, ale Eddie poszedł za jego radą. Początkowo czuł jedynie ziemistą cierpkość, której nie lubił w winie, lecz aromat ten ustąpił interesującej przejrzałości, w której wyczuwało się wręcz nutkę rozkładu.

- Lepiej. - Zdziwił się.

Pili i patrzyli na gwiazdy. Wyckoff powiedział, że po wojnie chce znaleźć zatrudnienie przy uprawie winorośli w dolinach na północ od San Francisco. Były tam kiedyś winnice, ale federalni spalili je w czasie prohibicji.

- A ty, trzeci? - spytał. - Co będziesz robił po wojnie?

Eddie wiedział, ale odczekał chwilę, żeby się upewnić.

- Wrócę do domu, do Nowego Jorku - odrzekł. - Mam tam córkę.

- Jak jej na imię?

- Anna.

Te sylaby, niewypowiedane przez Eddiego od lat, zderzyły się ze sobą niczym czynele, pozostawiając dźwięczące echo. Speszony odwrócił wzrok.

Ponieważ jednak mijały sekundy, a Wyckoff nie reagował, Eddie uświadomił sobie, jak pospolite było jego wyznanie. W dzisiejszych czasach większość mężczyzn na statkach miała kogoś, kogo zostawiła w domu. Wojna sprawiła, że stał się zwyczajny.

- Ile ma lat? - spytał Wyckoff. - Ta twoja Anna.

Eddie poświęcił chwilę na obliczenia.

- Dwadzieścia — odrzekł ze zdziwieniem. — W zeszłym tygodniu skończyła dwadzieścia lat.

- Dorosła kobieta!

- Tak, dwudziestolatka to chyba dorosła kobieta.

- Ja mam dwadzieścia jeden - powiedział Wyckoff.

1

„Nie zadowolili ich nic prócz najdalszego skraju lądu”. H. Melville, *Moby Dick* czyli *Biały wieloryb*, dz. cyt., s, 24.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Na Kanale Mozambickim zdarzały się noce, podczas których łodzie eskortujące spuszczały ładunki głębinowe, wypełniając powietrze przenikliwym trzaskiem. Dzwonek alarmowy dzwonił i dzwonił, wzywając wszystkich na pokład, i konwój pokonywał długie odcinki zygzakiem. Eddie stał na pomoście nawigacyjnym i wyteżał wzrok, starając się utrzymać położenie Elizabeth Seaman wśród rzędów i kolumn manewrujących zaciemnionych statków. Gdy padał na wyro, pogrążał się w gorączkowym śnie. Anna krążyła w jego myślach jak niespokojny duch.

- Chcę iść z tobą.
- Dzieciom nie wolno, skarbie.
- Kiedyś chodziłam.
- To były inne miejsca.
- Chodziłam niedawno.
- Przykro mi.
- Zmieniłam się?
- No cóż, urosłaś.
- Urosłam nagle?
- Nie rośnie się nagle. To powolny proces.
- Czyli nagle zauważyłeś, że urosłam?
- Możliwe.
- Co zauważyłeś?
- Anno, proszę.
- Kiedy zauważyłeś?
- Proszę.

Po długiej chwili milczenia powiedziała bardziej szorstkim tonem:

- Też cię ukarzę.
- Nie radzę.
- Będę się lenić.
- W ten sposób ukarzesz siebie.

- Będę jadła za dużo słodczy.
- Skończysz jak pani Adair, bez zębów.
- Będę brudziła ubrania.
- W ten sposób będziesz karała mamę.
- Będę zdziwą.
- Słucham?
- Będę zdziwą. Jak ciocia Brianne.

Eddie uderzył ją w twarz.

- Nigdy więcej nie waż się tak mówić.

Anna trzymała się za policzek, ale nie płakała.

- No to zabierz mnie ze sobą.

*

Siedem dni później konwój wyłonił się z Kanału Mozambickiego, nie tracąc ani jednego statku. Lodzie zaczęły odpływać falami - część na zachód, do Mombasy, inne na Cejlon i do Indonezji. Elizabeth Seaman została w mniejszym konwoju złożonym z osiemnastu statków i czterech łodzi eskortujących. Nadal towarzyszył im powolny panamski parowiec, który płynął teraz bezpośrednio przed nimi. Kilka razy dziennie, gdy oczyszczano jego rury, na każdym skrawku Elizabeth Seaman osiadały drobinki sadzy. Kapitan Kittredge strzepywał je z rękawów i pomstował na ślimacze tempo. Gdy sunęli po spokojnych, intensywnie niebieskich wodach Oceanu Indyjskiego, Eddie obserwował narastające zniecierpliwienie kapitana z równie narastającym zainteresowaniem. Kittredge nie przywykł do tego, by czegoś mu odmawiano. Jak wstrzyma długie tygodnie podążania za parowcem?

Eddie nigdy się tego nie dowiedział. Zanim dotarli do Seszelów, konwój dostał komunikat kodowy, żeby się rozproszyć. Statki zaczęły się od siebie odsuwać niczym spowolniona, ospała wersja wzbijającego się do lotu ptactwa. Poruszały się tak niemrawo, że początkowo odnosiło się wrażenie, iż nigdy do końca nie tracą się z oczu. Nim jednak minęły trzy godziny, w oddali zniknął nawet parowiec.

Jako nowy ombudsman Dextera Stylesa Eddie składał wizyty w zajazdach, kasynach, restauracjach, salonach gry w pokera. Występował w przebraniu faceta spoza miasta, mającego pieniądze w kieszeni. Na początku

tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego nikt nie odprawiał takiego człowieka z kwitkiem. Jeśli przypadkiem Eddie spotkał kogoś znajomego, witał się z nim serdecznie, stawiał mu drinka i wkrótce wychodził. Wracał następnego dnia. Potrzebował więcej niż jednej wizyty, by zajrzeć pod powierzchnię danego miejsca, a Styles dawał mu mnóstwo gotówki na wydatki. Eddie nie dostarczał już przesyłek.

Początkowo spotykał się ze Stylesem co dwa tygodnie w hangarze dla łodzi na Manhattan Beach, by szczegółowo przekazać swoje wnioski. Oszustwa przy stole do gry były dla niego chlebem powszednim, ale obserwował także inne rzeczy i słusznie przypuszczał, że zainteresują one Stylesa: szefa kuchni stręczącego dziewczyny od papierosów, uzależnionych od narkotyków krupierów, którzy za opłatą ustawiali wynik, cioty, które jak podejrzewał, szantażowano.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Kerrigan.
- Czy nie na tym polega moje zadanie?
- Niech pan nie zmyśla historyjek, żeby dostarczyć mi rozrywki.
- Nie potrafiłbym.

Pod koniec każdej wizyty Styles podawał mu kilka następnych adresów.

- Nie powinien pan ich zapisać?
- Nie ma potrzeby.
- Taki z pana bystrzak?
- Nie ukończyłem Harvardu, jeśli o to panu chodzi.

Styles się roześmiał.

- Gdyby pan ukończył, wylałbym pana.
- Zna pan to powiedzenie - odrzekł Eddie. - Nie pisz, jeśli umiesz mówić, i nie mów, jeśli możesz kiwnąć głową.

Styles wydawał się ubawiony.

- I coś takiego mówi irlandus.

Eddie puścił do niego oko.

*

Powiedział Dunellenowi, że znalazł pracę w teatrze, tak jak przed kryzysem - był to świat zbyt oddalony od świata Dunellena, by ten zdał sobie

sprawę, jak mało prawdopodobna jest ta bajeczka. Chyba mu ulżyło, że Eddie zniknął z jego listy płac, ich poplątana przeszłość utrudniała Dunellenowi zaprezentowanie swojej bezwzględności w całej pełni. Powierzył obowiązki Eddiego innemu desperatowi, O'Bannonowi, a potem lamentował nad bałaganem, jakiego ten narobił.

- Brakuje mu twojego wyczucia, Ed - jęczał u Sonny'ego, gdzie Eddie nadal sumiennie zjawiał się z pewną regularnością. - Banny wchodzi do pokoju, wszyscy na niego patrzą. A on rzuca kopertę Dinty'emu Moore owi. Wyobrażasz to sobie, kurwa? Dolce się wysypują... Podobno odskoczyli od nich, jakby forsa była trędowata. Wzbogacili się kelnerzy. Powiedziałem mu: „Banny, jeszcze jeden taki numer, a osobiście zrzucę cię z pirsu. Możesz to przekazać rybom”. - Dunellen podźwignął swoje cielsko, milcząco wzruszając ramionami. - Ale jego żona ślepnie i mają pięcioro maluchów... Nie mogę go zostawić na pastwę losu. - Zwrócił groźne, małe oczka ku niebu, a następnie spojrzał na swoich zbirów pilnujących drzwi.

- Jesteś za dobry, Dunny - powiedział Eddie prawie ze śmiechem. - Za dobry, zdecydowanie za dobry. Ale uważaj, przyjacielu, świat będzie próbował wykorzystać to twoje miękkie serce.

- A skoro o tym mowa, Ed. - Dunellen ściszył głos. - Skorzystałem z twojej rady w sprawie makaroniarza.

Eddie nie był pewny, którego makaroniarza ma na myśli -Dunellena obrażało bardzo wielu z nich.

- No i...?

- Dogadałem się. Z Tancredem.

Teraz Eddie sobie przypomniał: bokserzy Dunny'ego. Tancredo go przyciskał, grożąc odsunięciem ich od walk.

- Upokorzyłem się przed tym makaroniarzem, klękając na kolano. Pozwoliłem, żeby wdepnął mi twarz w pieprzone błoto.

Eddie słuchał z zaniepokojeniem. Dunellen leżący twarzą do ziemi mógł wróżyć jedynie przemoc. Po chwili na ustach Dunellena zaigrał jednak lekki uśmiech.

- To najlepsza rada, jaką kiedykolwiek dostałem.

- Żartujesz - powiedział Eddie, wypuszczając powietrze.

- Moi chłopcy wygrywają, Ed. - Dunellen zarumienił się jak człowiek zdradzający komuś sekret. - Rozsadza ich energia. Potrzebowali tylko szansy,

uczciwego traktowania.

- Cieszę się, Dunny.

- Dla swoich dzieciaków jesteśmy gotowi zrobić wszystko, prawda Ed? Dać się podeptać, opluć, osrać, rozwalić na miazgę. Ale warto, jeśli dzięki temu są szczęśliwe.

Masochizm nie pasował do Dunellena. Eddie chciał, żeby to się skończyło.

- Jasne, Dunny - powiedział. - Ale nie pozwól, żeby to zaszło za daleko. Zaczekaj na swoją szansę i spieprzaj.

Dunellen pokiwał głową, patrząc ponuro na Eddiego. Wrócili do głębiej schowanej historii, która zawsze tkwiła między nimi jak zakopany skarb: prąd odpływowy, panika, ratunek. Płynięcie równoległe do brzegu, szukanie drogi powrotnej. Jednocześnie Eddie wyjaśniał samemu sobie, dlaczego porzucił Dunellena - wydymał go, jak z pewnością powiedziałby sam Dunny, gdyby miał pojęcie, dla kogo Eddie teraz pracuje. Precyzyjne rozgraniczenie tych dwóch sfer dawało Eddiemu wrażenie, że może patrzeć w obu kierunkach jednocześnie.

- Tancredo nie musi o niczym wiedzieć - zaznaczył Eddie. - Nie powinien. Licz na siebie.

Dunellen kiwał głową, słuchając.

Eddie pożyczył duesenberga i zawiózł rodzinę do sklepu ze sprzętem medycznym w Paramus w stanie New Jersey, gdzie Lydii dobrano odpowiedni wózek. Zmiana, jaka w niej dzięki temu zaszła, była kolosalna: w wieku dziewięciu lat Lydia po raz pierwszy dołączyła do spionizowanego świata. Siedziała przy stole podczas posiłków. Agnes zabierała ją na spacer. Anna siedziała obok niej przy oknie, patrząc, jak wróble dziobią okruszki chleba, które wysypała na parapet. Od tyłu Eddie nie dostrzegał między nimi żadnej różnicy.

Pewnego razu, gdy Agnes zmieniała Lydii pieluchę, lodziarz odjechał, nie czekając. Eddie natychmiast kupił żonie elektryczną lodówkę, nie na kredyt - skłamał, że posiada coś, czego nie posiadał. Przez wiele dni sąsiedzi zaglądali do ich kuchni, by podziwiać ten luksusowy sprzęt. Lydia uśmiechała się do nich z nowego wózka.

Lodówka wydawała z siebie ponure burczenie, przez które Eddie nie mógł spać. Gdy wreszcie udawało mu się zasnąć, śnił o tym, by odłączyć ją od prądu.

- Podziękuj ode mnie panu Dunellenowi - powiedziała Agnes.

A później: „Co byśmy zrobili, gdyby nie związek?”.

I: „Ależ my mamy szczęście, Ed. Spójrz, jak ciężko jest wszystkim wokół”.

Często mówiła coś takiego, a wtedy Eddie się uśmiechał i potakująco mruzczał. W zachwytach żony wyczuwał jednak drugie dno, ukrytą komnatę zawierającą wszystko, co pozostawiała niewypowiedziane. Agnes nie była w ciemni bita. Z pewnością zauważyła, że jej mąż pracuje dłużej, że rzadko pożyczka duesenberga, że nigdy nie zabiera ze sobą Anny. Pomijając jednak kochające zachwyty nad łaskawością losu, w żaden sposób tego nie komentowała. Eddie czerpał chorobliwą przyjemność z obserwowania nieszczerości żony. Jednak w nocy, gdy trzymał ją w ramionach i patrzył na jej umęczoną twarz, nie znajdował w niej żadnego fałszu.

*

Styles wysyłał go do Albany, Saratogi, Atlantic City. Lubił znać każdy szczegół swojej działalności, jakby Eddie był kamerą. Nigdy nie używali nazwisk. Zadanie Eddiego polegało na wyłowieniu jakiejś charakterystycznej cechy obserwowanego człowieka. Najłatwiej było z bliznami. Zawsze jednak udawało się coś znaleźć: nadmiar brylantyny na włosach, niespotykany sygnet, spodnie pofałdowane na wysokości kostek, niedźwiedzi krok. Z dziewczynami było trudniej. „Blondynka”, „brunetka” i „ładna” to chyba najlepsze, co umiał z siebie wykrzesać. Liczyli się mężczyźni, z którymi przychodziły.

Eddie nie mógł się nadziwić, jak trafnie Styles zdiagnozował jego głęboką obojętność.

- Jesteś moimi oczami i uszami - mawiał często, a Eddiemu podobało się takie określenie. Był kanałem, przez który przepływały fakty, niczym więcej. Przytaczał całe rozmowy, nie wiedząc, kto je prowadził. A nawet gdy się dowiedział, co w ciągu dwóch lat było nieuniknione, nie miał na ten temat zdania. „To nie ma ze mną nic wspólnego - tłumaczył sobie. - To i tak się dzieje, bez względu na to, czy przy tym jestem, czy nie”. Nie interesowały go konsekwencje.

- Jesteś maszyną, Kerrigan. Ludzką maszyną - zachwycał się Styles. To był komplement. Dzięki oczom i uszom Eddiego Styles mógł być gdziekolwiek, wszędzie. Wystarczyło, że coś go zainteresowało.

Powoli zainteresowania Stylesa zaczęły wykraczać poza sprawy, które

kontrolował, i wybiegały w stronę rywali w syndykacie, a nawet wspólników. W styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku Eddie wziął swoją kartonową walizkę z rodzaju „oby nie padało” i poszedł do kasy biletowej Eastern Airlines przy Vanderbilt Avenue. Tam wsiadł do limuzyny razem z kilkoma innymi mężczyznami i pojechał na lotnisko w Newark. Wybierał się do Miami, by poobserwować człowieka, o którym Styles chciał się więcej dowiedzieć. Była to jego pierwsza podróż samolotem.

Na lotnisku zdjął kapelusz, by z pochyloną głową i łomoczącym sercem wejść na pokład srebrnego samolotu. Gdy wszyscy byli już w środku, za oknami zawirowały śmigła i kołysząca się maszyna ruszyła po pasie startowym między zaśnieżonymi polami, po czym przyspieszyła do zapierającej dech w piersiach chwili, w której jej koła oderwały się od ziemi, i wzbiła się w powietrze niczym popiół w przeciągu. Eddie z otwartymi ustami gapił się przez okienko na miniaturową replikę Nowego Jorku: maleńkie samochody na maleńkich ulicach, połacie sprasowanego metalu - wciąż bezkresne, nawet z tej wysokości. Silnik warczał mu w uszach. Obok niego płakała jakaś kobieta, złożywszy ręce do modlitwy. Patrząc na obojętny przestwór ziemi, Eddie czuł, że jest o krok od jakiegoś wielkiego odkrycia.

Samolot międzylądował w Waszyngtonie, Raleigh, Charlestonie, Jacksonville, Palm Beach i wreszcie dotarł do Miami, gdzie wiszący na wysokości oczu księżyc zalewał srebrem aksamitne, czarne morze. Powietrze pachniało jak miód. Nawet na lotnisku wyraźnie eksponowano styl Palm Beach: białe smokingi, jasne jedwabne koszule. O dziewiątej Eddie zdążył już namierzyć człowieka Stylesa: facet siedział w głębi kasyna, miał ziemistą cerę i opadające powieki, bardziej przypominał księgowego niż organizatora walk. Eddie próbował wyjść na zero w ruletce, zapamiętując jednocześnie sekwencję osób przysiadających się do stolika tego mężczyzny. Zaabsorbowany tymi czynnościami, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dziewczyna, która opiera się o niego przy kole ruletki, nie robi tego przez pomyłkę. Kazał dopisać jej drinki do swojego rachunku, żeby wynagrodzić jej dotychczasowe starania. W każdym razie tak to sobie tłumaczył. Gdy jego obiekt wyszedł z kasyna, zdawało się, że decyzja o zabranii dziewczyny do pokoju hotelowego została już podjęta.

O świcie obudził go zapach nieznanomych perfum na pościeli. Dopadły go obrzydzenie i beznadziejny smutek. „To nieważne - wmawiał sobie. - Mężczyźni bez przerwy to robią. Nikt się nie dowie”. Pocieszając się tymi banałami, czuł się jednak tak, jakby uspokajał go idiota. Wyszedł z hotelu i ruszył po piasku w kolorze cementu, wyrzucając niedopałki papierosów do morskiej piany. Ulgę przynosiło mu jedynie tłumaczenie sobie, że tak

naprawdę to nie on był z prostytutką. On był tylko oczami i uszami Dextera Styleasa.

- Nie ma mnie tu — powiedział kilkakrotnie na głos. Za każdym razem te słowa zapewniały mu gwałtowną analgezję.

Wieczorem przy stole do pokera, znad którego mógł obserwować swój obiekt z innej strony, poczuł, że jego uwagę przykuwa znajomy chód: krok kobiety z odciskami na stopach niosącej zbyt ciężkie zakupy. John Dunellen. Wlekł się przez kasyno, utykając tak, jak Eddie jeszcze nigdy nie widział — lecz przecież ostatnio prawie w ogóle nie widywał Dunellena.

Jego obecność w tym miejscu wprawiła Eddiego w takie osłupienie, że na chwilę zapomniał odwrócić wzrok. Gdyby Dunellen był w swoim żywiole, ta chwila trwałaby za długo, ale tym razem daleko mu było do jego żywiołu. Dokuśtykał do stolika, który Eddie obserwował - do stolika Tancreda, co Eddie teraz sobie uświadomił, choć być może już wcześniej o tym wiedział - opadł na krzesło i pokłonił wielką głowę, przybrawszy maskę służalczości, na którą Eddie z trudem patrzył, nawet z ukrycia. Jak to możliwe, że jego stary przyjaciel upadł tak nisko? Spotkanie było obraźliwie krótkie. Tancredo odprawił Dunellena szorstkim ruchem głowy i na widok takiego lekceważenia Eddie aż się skrzywił. Dunellen chwiejnie wstał i odszedł ciężkim krokiem, kołysząc się wśród stołów do gry z tak chybotliwą niepewnością, jakby za chwilę miał runąć na któryś z nich, rozrzucając żetony i krzesła. Eddie myślał o tym z przerażeniem, wiedząc, że musiałby siedzieć bez ruchu i nie mógłby nic zrobić.

Gdy Dunellen zbliżył się do odległego wyjścia, utykanie zelżało i Eddie zauważył na jego twarzy błysk zadowolenia. Z coraz większą, oszłamiającą radością uświadamiał sobie, że przeoczył drwinę w występie przyjaciela. Utykanie było udawane. Służalczość była udawana. Dunellen przesadzał, prawie za bardzo przesadzał - lecz z drugiej strony Eddie też dał się nabrać. Dunny nie płaszczył się przed makaroniarzami, Boże błogosław jego podłe serce z kamienia. To wszystko było tylko podstępem, grą aktorską, której przyświecał jakiś cel. Dunellen skorzystał z rady Eddiego i znalazł swoją furtkę. A bardziej zaskakująca niż farsa w wykonaniu Dunellena była radość, jaką odczuł Eddie, widząc go w akcji. Jak on uwielbiał tego faceta - chciał, żeby Dunny wygrał! Żałował, że nie może pobiec do starego przyjaciela i ucałować go w dyndające policzki.

W raporcie dla Styleasa nie wspomniał o Dunellenie.

Żeby nie trafić na znajomego księdza, Eddie wyspowiadał się w kościele,

w którym nigdy wcześniej nie był. W ramach pokuty miał zmówić różaniec. Zbyt łatwe. Rozpacz owinęła go czarną peleryną i przez jego myśli znów przetaczało się koło tramwaju. Jaki był sens tego, co robił dawniej albo teraz, skoro prowadziło to do figlowania z prostytutkami? To wszystko były środki prowadzące do jakiegoś celu - tylko do jakiego?

Instyktownie, z przyzwyczajenia, zwrócił się do Anny.

- Skarbie, nasza mnie ochota na charlotte russe - powiedział w pewną sobotę, gdy Agnes wyszła z Lydią. - A ciebie?

- Nie przepadam za nimi, tato.

- Co? Kiedyś je uwielbiałaś.

- Są za słodkie.

Zaskoczony zmierzył wzrokiem Annę, która siedziała przy stole w kuchni otoczona szkolnymi podręcznikami, i odniósł wrażenie, że od jakiegoś czasu się jej nie przyglądał. Miała czternaście lat, była wysoka i urocza, lecz mniej charakterystyczna niż kiedyś. Bardziej przypominała kobiety, które usiłował opisać Dexterowi Stylesowi.

- Mimo to chodź ze mną - powiedział. - Zamówisz coś innego.

Anna wstała i włożyła płaszcz. Gdy schodzili po schodach, Eddie poczuł, że córka wyświadcza mu łaskę, jakby wolała robić coś innego. Był zdumiony. Przecież zawsze chciała mu towarzyszyć! Tak bardzo się buntowała, gdy przestał zabierać ją do pracy. Oczywiście od tamtej pory minęło sporo czasu - już prawie dwa lata, uświadomił sobie wstrząśnięty, sumując miesiące przepracowane u Styleesa. Cały czas zakładał, że będą mogli wrócić do starego układu, gdy tylko przyjdzie mu ochota. Teraz po raz pierwszy w to wątpił.

Usiedli przy ladzie w kawiarni pana White'a. Anna zamówiła napój czekoladowy. Eddie obłudnie został przy Charlotte russe, którą właściciel lokalu przyniósł mu z witryny. Gdy czekali, zapalił papierosa i podał jej kupon z paczki. Spojrzała na niego dziwnie, a potem powiedziała, śmiejąc się z niedowierzaniem:

- Tato, już ich nie zbieram.

- Nie? A co zrobiłaś z tamtymi, które miałaś?

- Nigdy nie starczyło ich na to, czego chciałam.

- Teraz może by starczyło.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Dlaczego cię to interesuje?

Nie interesowało go to. Chciał, żeby interesowało Annę.

- To chyba marnotrawstwo.

- I tak paliłbyś papierosy - powiedziała. - A może paliłeś więcej ze względu na mnie? - Uśmiechnęła się do niego czule, z pobłażaniem, uśmiechem kobiety.

Gdzieś głęboko Eddie poczuł ukłucie niepokoju.

- Kiedy przestałaś je zbierać?

Wzruszyła ramionami. Nie lubił tego gestu.

- Niedawno? - spytał ostro.

Jej twarz zastygła.

- Nie. Dawno temu.

Nagle u boku Eddiego pojawił się figlarny duszek; jego żwawa mała Anna. Gdzie się ukryła ta gadatliwa istotka w ospałej, obojętnej dziewczynie siedzącej obok niego i powstrzymującej się od spoglądania przez okno? Przecież powinien był zauważyć takie zmiany. Kogo usiłowała wypatrzeć?

Pan White podsunął jej napój czekoladowy i siedzieli w milczeniu. Eddie nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jego umysł mógł tylko wracać - do kuli śniegowej, do potajemnego pocałunku. Miał ochotę spytać Annę, czy pamięta te czasy, ale bał się, że je zapomniała - albo co gorsza, że nic dla niej nie znaczą.

A co ze wszystkimi innymi dniami? Z setkami innych dni, które razem spędzili? Dlaczego ich nie pamiętał?

- Miałaś rację co do charlotte russe - powiedział w końcu. - Jest za słodka.

Potem stali przed drogerią. Anna powiedziała, że idzie do Stelli, lecz Eddie wyczuł nieprawdę i zaczął się pocić mimo zimna. Coś się w niej zmieniło, na zawsze, nieodwracalnie — był tego pewny. Jakiś czas temu odwrócił się od córki - patrzył tam, gdzie kazał mu patrzeć Styles - a wtedy ona się od niego oddaliła.

Chochlikowaty duszek podrygiwał, podskakiwał i trzymał Eddiego za rękę. Wpatrywał się w niego, gawędził: całe godziny paplania bezmyślnego jak merdanie ogonem u psa, w tę i we w tę, w tę i we w tę.

Eddie spojrział w ogromne, ciemne oczy Anny, osłonięte ciężkimi

rzęsami, starając się odnaleźć tego małego chochlika. Za długo jednak patrzył w inną stronę i chochlik zniknął. Na jego miejscu stała dziewczyna, która prawie go nie pamiętała; chciała tylko już sobie pójść.

*

Tuż po północy przed Sonny's oddano do Dunellena piętnaście strzałów z jadącego samochodu. W kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Trzy miesiące po tym, jak Eddie widział go w Miami. Oczywiście byli świadkowie -Dunellen nawet sikać chodził z obstawą - ale nikt nie chciał pisać ani słowa. Dunny miał mnóstwo wrogów, z którymi rywalizował o dzierżawy i kontrolę nad pirsami, lecz te zatargi trwały od lat, nie stwarzając poważnych problemów. To była egzekucja w makaroniarskim stylu.

Trzymał się jeszcze dwa dni w Saint Vincent's. Gliniarze przychodzili i wychodzili, ale ani przez chwilę nie myśleli, że wydobędą z Dunny'ego choćby słowo, nawet gdyby jakimś cudem wybudził się ze śpiączki i przemówił.

Zgraja z sierocińca zbierała się parami albo trójkami w szpitalnej poczekalni, wszyscy czterdziestoletni albo coś koło tego, z rzednącymi włosami i brakami w uzębieniu. Eddie łkał w ich ramionach.

- Ty znałeś go najlepiej - potwierdzali. - Byłeś jego ulubieńcem. Nic dziwnego, przecież uratowałeś mu życie. Czegoś takiego się nie zapomina.

Eddie łaknął tych zapewnień, ale dawały mu jedynie chwilową pociechę. Czuł się tak, jakby osobiście zastrzelił Dunny'ego.

Barta Sheehana poznał natychmiast, choć nie widział starego przyjaciela od dwudziestu lat. Sheehan wciąż miał włosy, lecz w połowie były siwe i wymagały strzyżenia. Wyglądał jak człowiek, który żyje bez marynarki.

- Kiedyś nas uratowałeś, Ed - płakał, a jego czarniawą irlandzką twarz rozdzierał smutek. - Wyciągnąłeś nas z wody. Gdyby nie to, nie byłoby mnie tu dzisiaj, Bóg mi świadkiem.

Śmierć nie przeszkodziła Dunellenowi w nadzorowaniu dwudniowego czuwania przy własnych zwłokach. Jego sylwetka przypominała górę żelaza kierującą wszystkim ze zbyt wielkiej trumny. Pod podkładem i pudrem na skroni, czole i szyi widać było dziury po kulach. Jego żona Maggie wyła, nieukojoną w żalu, lecz budziła niewielkie współczucie. Jej ostentacyjny smutek - podobnie jak zwyczaj przedwczesnego wyciągania męża z barów - odbierano powszechnie jako niechęć do „pozwolenia Dunny emu na odrobinę zabawy”.

Gdy Sheehan zjawił się na czuwaniu, Eddie był już w stanie rozmawiać spokojniej. Stary przyjaciel owdowiał, miał troje dzieci i nadal mieszkał na Bronksie z niezamężną siostrą.

- Słyszałem, że jesteś prawnikiem - powiedział Eddie.
- W biurze prokuratora stanowego. A ty, Ed?
- A, pracuję tu i tam.
- Ciężkie czasy. - Bart omyłkowo wziął ogólnikowość Eddiego za przyznanie się do bezrobocia. - Mam szczęście, że zatrudnia mnie państwo.
- Ta twoja robota to coś w rodzaju bycia gliną?
- Nie, jest czystsza — odrzekł Bart i obaj się roześmiali.

W niedzielę rano kościół Anioła Stróża zalała olbrzymia fala żałobników - wielu było wciąż pijanych, reszta skacowana. Już na ulicy Eddie słyszał szepty: „Joe Ryan jest w kościele”. Cóż mogłoby lepiej świadczyć o mocy Dunny’ego niż obecność na jego pogrzebie najbardziej skorumpowanej szczy z nich wszystkich, przewodniczącego Międzynarodowego Związku Dokerów?

Agnes kurczowo chwyciła Eddiego za ramię. Na schodach do kościoła grał kobziarz i Eddie poczuł, że do oczu znów napływają mu łzy.

- Co to dla nas oznacza, kochanie? - spytała z tak zalęknionym spojrzeniem, że Eddie uświadomił sobie, iż jego żona rozumie mniej, niż przypuszczał. Może niczego nie rozumiała.
- Nic nam się nie stanie - mruknął.

Sheehan podszedł do Eddiego z drugiej strony i wspięli się po schodach, idąc ramię w ramię. W środku Eddie zbliżył usta do ucha przyjaciela.

- Jakiś czas temu chodziły słuchy, że interesujesz się syndykatem - szepnął.

Poczuł, jak zaskoczony Sheehan gwałtownie się odsuwa.

- Jest w tym co nieco prawdy - szepnął ostrożnie w odpowiedzi.
- Być może będę w stanie... pomóc.

Bart spojrzał na Eddiego z powątpiewaniem.

- A co ty o tym wiesz?
- Wszystko - powiedział Eddie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dwadzieścia minut na południe od warsztatu skutniczego Red Hook, w którym się spotkali, stareńki mężczyzna nazywany przez wszystkich szyprem zaczął wydawać z siebie dźwięki przypominające mowę. Oparł się o ścianę malutkiej sterówki, zwrócił zniszczoną twarz ku niebu, jakby ktoś pociągnął go do tyłu za włosy, i jęczał, lamentował, patrząc na rozsiane w górze gwiazdy - więcej gwiazd, niż Anna kiedykolwiek widziała, nawet z zaciemnionego wybrzeża.

- Erler... Smolf... Skajnesz...

Odwróciła się do szypra, zaniepokojona każdym wyartykułowanym z bólem słowem. Chyba nikt poza nią nie zwracał na nie uwagi - oprócz sternika: wysokiego człowieka o pozbawionej wyrazu twarzy, który w odpowiedzi na każdy okrzyk odrobinę przekręcał ster. Sternik jednak wydawał się w mniejszym stopniu istotą ludzką niż dźwignia, którą szyper przesuwiał w swoim umyśle.

Minęła jedenasta. Noc była bezchmurna, temperatura przekraczała siedem stopni - jak na początek marca było ciepło - księżyc wyostrzył się i wisiał nisko. Reflektory poszturchiwały nocne niebo w poszukiwaniu samolotów. W porcie tłoczyły się niewidoczne łodzie. Co jakiś czas do lichtugi zbliżał się jakiś zwalisty kształt i szyper wrzeszczał na sternika, który zwinnie jak motyl skręcał z niebezpiecznej drogi, by po chwili zakołysać się gwałtownie na kilwaterze. Statua Wolności była ciemną sylwetką, wieńczący ją płomień rozjaśniało pojedyncze słabe światełko.

Nawet szyper zamilkł, gdy zbliżyli się do cieśniny Narrows, wejścia do Dolnej Zatoki patrolowanego przez Fort Hamilton na wschodzie i Fort Wadsworth na zachodzie, na Staten Island. Dexter Styles powiedział, że „zamienił słówko” z kimś z morskiej straży granicznej, kto uspokoiłby sytuację, gdyby lichtuga została zatrzymana, ale wszyscy woleli tego uniknąć. Przez jakieś dziesięć minut na pokładzie słychać było tylko mielenie silnika. Anna zastanawiała się, czy zanurzenie jest wystarczająco płytkie, by udało im się przepłynąć nad sieciami na łodzie podwodne, ale po chwili uświadomiła sobie, że brama została otwarta. Wpłynęli do Dolnej Zatoki za innymi statkami - być może konwojem. Klaksony i syreny rozbrzmiewały już ciszej i poczuła wzmagający się wiatr i kołysanie. Pięciu „oprychów” Stylesa (określenie Bascombe'a) wychylało się przez nadburcie, przytrzymując kapelusze. Zabrano ich, żeby obracali kołami zamachowymi sprężarki, ale ich obecność na lichtudze nie wróżyła nic dobrego.

Tylko Marle i Bascombe pracowali dalej, przeglądając i szykując sprężarkę, którą zorganizował Dexter Styles. Był to model Morse Air Pump No. I, identyczny jak sprężarki w stoczni marynarki wojennej. Przywiązali ją na dziobie i teraz czyścili zbiorniki powietrza, smarowali trzony tłokowe i zwilżali uchwyt wału pompy mieszaniną smaru i grafitu. Z zadziwiającą łatwością udało im się wynieść ze stoczni dwie skrzynie ze sprzętem do nurkowania (każda zawierała dziewięćdziesięciokilogramowy kombinezon oraz sześć dwudziestometrowych odcinków węża dostarczającego powietrze), wyładowaną po brzegi torbę z narzędziami, dwa noże i puszkę z częściami zamiennymi. To było wręcz zbyt proste, triumfowali, gdy spotkali się z Anną przed warsztatem skutniczym Red Hook. Tylu nurków chodziło do rurociągu z wodą pitną, że strażnicy prawie na nich nie spojrzeli, gdy taszczyli sprzęt przez bramę przy Marshall Street i ładowali go na małą ciężarówkę z platformą, którą Marle pożyczył od wuja.

Za cieśniną Narrows lichtuga skręciła na wschód, a po chwili z lewej ukazała się niewyraźna sylwetka karuzeli Parachute Jump razem ze szkieletowymi zarysami diabelskiego młyna i kolejki górskiej na Coney Island. Następnie odbili na południe, później na zachód. Potem Anna straciła orientację. Myślała, że wypływają z portu na Atlantyk. Jak głęboko będzie musiała zejść?

Dexter Styles stał na rufie, przytrzymując fedorę, a jego ponure oblicze potęgowało strach Anny. W drodze do Red Hook prawie się do siebie nie odzywali, a później trzymała się Marle'a i Bascombe'a. Weselość kolegów odganiała od niej złe przecucia. Mówiąc im o tym przedsięwzięciu, nie wiedziała, czego się spodziewać, bała się, że zaśmieją jej się w twarz albo zadzwonią na policję, lecz najwyraźniej nurkowanie w nowojorskim porcie w poszukiwaniu zwłok -nawet nie spytali czyich - okazało się właśnie takim rodzajem zwariowanej przygody, jakiego brakowało im w życiu. Anna czuła się w obowiązku przypomnieć im o ewentualnych niebezpieczeństwach i kłopotach, lecz żadna z tych przeszkód nie znalazła odzwierciedlenia w ich roztańczonych oczach -a może to właśnie te niebezpieczeństwa i kłopoty ich skusiły.

Gdy wreszcie lichtuga zaczęła zwalniać, Anna zdjęła płaszcz i buty, włożyła sweter na ciuchy robocze i ciepłą wełnianą czapkę na głowę. Bez niczyjej pomocy wślizgnęła się do płóciennego kombinezonu, podczas gdy Bascombe i Marle sprawdzali hełmy i połączenia przewodów z powietrzem. Księżyc nakreślił niewyraźną, tymczasową ścieżkę prowadzącą do nich po wodzie. Sternik przeprowadzał szereg korekt i poprawek, dopóki wreszcie szyper nie wydał z siebie skowytu, od którego Anna poczuła mrowienie na

głowie, i silnik ucichł. Dwaj marynarze z lichtugi, ubrani w drelichy czarne od węgla, który ładowali do pieca pod pokładem, zaczęli opuszczać pierwszą z dwóch kotwic rozmieszczonych na końcach łodzi, które miały ją unieruchomić.

- Macie pojęcie, gdzie jesteśmy? - spytała Anna przyjaciół.
- A skąd - powiedział Bascombe.
- To Staten Island - oznajmił Marle. - Południowo-zachodnie wybrzeże.
- Wiedziałem - odparł Bascombe. — Tylko cię sprawdzałem.

W ich śmiechu pobrzmiwała arogancka nuta, jakby dalsze okazywanie entuzjazmu zaczęło wymagać wysiłku. Ubrali Annę: najpierw buty, zasznurowane i zapięte na klamry, potem poduszka pod hełm. Te czynności były już tak głęboko zakorzenione w ich ruchach, że wykonując je, poczuli się, jakby znali to obce otoczenie. Napierśnik, „śliniak”, bolce, kołnierz, uszczelki. Gdy wszystko oprócz hełmu było już na swoim miejscu, Marle wezwał oprychów do kół zamachowych. Zaczęli je obracać z zapalem, rozpychając się łokciami, by pokazać, jacy są niezmordowani. Dexter Styles obserwował to wszystko z oddali, w jego obliczu odbijał się niepokój Anny. Unikała patrzenia w jego stronę.

Gdy obie kotwice były napięte, a łódź unieruchomiona, Marle sprawdził głębokość. Mokre węzły na linie wskazywały dwanaście metrów, miękkie błotniste dno. Potem Bascombe i Marle przerzucili ważącą ponad trzydzieści kilogramów linę opustową przez sterburkę, niedaleko drabiny do nurkowania. Anna i Marle pomogli Bascombe'owi włożyć drugi kombinezon - tylko płócienną część, bez obciążników. Jej przyjaciele nie byli już w tak dobrych humorach, działali jak zawodowcy. Anna usiadła na taborecie, mając na sobie cały sprzęt oprócz hełmu.

- Muszę porozmawiać z panem Stylesem - powiedziała.

Już po chwili był obok niej. Przykląkł, żeby spojrzeć jej w twarz. Jego oczy wyglądały jak dwie otchłanie.

- Czego mam szukać? - spytała.
- Wiesz czego.
- Pytam, czego jeszcze.

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Chyba lin. Jakiegoś obciążenia. Prawdopodobnie łańcucha.

- Jestem gotowa. - Podniosła głos, żeby usłyszeli ją Marle i Bascombe.

Wstała z taboretu i ciężko ruszyła ku drabinie. Przykręcili jej hełm i przymocowali przewód oraz linę ratowniczą do jego zagiętych bolców, sprawdzając dopływ powietrza. Marle przeciągnął linę ratowniczą pod jej prawym ramieniem, a przewód powietrza pod lewym, po czym przełożył je przez metalowe dziurki z przodu napierśnika. Gdy już miała zejść po drabinie, Bascombe zwrócił się w stronę otwartej szybki w jej hełmie i mrużąc oczy, spojrział na nią z niezwykłą jak na niego bezpośredniością.

- To mi się nie podoba - powiedział.
- Przepraszam.

Prychnął.

- Do diabła, przecież to nie ja schodzę pod wodę.
- Co może się nie udać? - odrzekła, na co on tylko się roześmiał.

Zapieczętował szybkę w hełmie i chłodny chemiczny syk powietrza wypełnił Annie usta i nos. Zeszła tyłem po drabinie, potem złapała linę opustową i pozwoliła, by połknął ją prąd. Prąd był potężny, ciągnął ją z siłą rozpostartego za nim oceanu. Przypominając sobie lekcję kapitana Axela na temat prądów, ustawiła się tak, by woda napierała na jej plecy, przyciskając ją do opustówki, a nie odciągając od niej. Ześlizgiwała się coraz niżej. Zakładała, że nurkowanie nocą nie będzie się różniło od nurkowania w zatoce Wallabout, gdzie widoczność i tak była kiepska. Okazało się jednak, że błotnistą mętność zatoki można było uchwycić wzrokiem. Tutaj z otwartymi oczami widziało się dokładnie tyle co z zamkniętymi. W rezultacie doświadczyła dziwnego przemieszczenia, jakby zsuwała się w nicość albo unosiła w próżni. Gdy wreszcie dotarła na dno, chwyciła linę i zamrugła w ciemności, zastanawiając się, czy nie zeszła zbyt szybko. Pociągnięcie za linę ratowniczą przywróciło jej równowagę i szarpnęła za nią w odpowiedzi. Na dnie prąd był słabszy. Anna zamknęła oczy i natychmiast się uspokoiła. Taką ślepotę była w stanie znieść.

Wyjęła z torby z narzędziami dwudziestometrową linę i przywiązała ją do opustówki tuż nad obciążnikiem. Potem, przypominając sobie sztuczkę, której nauczył ich kapitan Axel (zadziwiające, jak uważnie go słuchała, mimo że Bascombe mamrotał jej nad uchem), wsunęła palce w rękawicy pod krawędź obciążnika i przewróciła go na drugą stronę, dzięki czemu lina mająca jej ułatwić poszukiwania została przygwożdżona ciężarkiem i znalazła się bliżej dna. Drugim końcem obwiązała sobie prawy nadgarstek i odchodziła od ciężarka, dopóki lina się nie naprężyła. Potem postawiła torbę z narzędziami,

zaznaczając w ten sposób początek okręgu, opadła na czworaki i zaczęła pełznąć po dnie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ciągnąc nadgarstkiem promień w postaci liny. Lina natychmiast natrafiła na wybrzuszenia na dnie. Początkowo Anna czuła się w obowiązku oglądać każde miejsce na swojej drodze, lecz powoli nauczyła się rozpoznawać obiekty na podstawie topografii terenu. Cały czas miała zamknięte oczy i starała się zapomnieć o otaczającym ją bezkresie i o swojej nieistotnej samotności w jego wnętrzu. Nurkowie pracujący przy rurociągu z wodą pitną ze Staten Island opowiadali o wrakach statków na dnie portu, o stuletnich ławicach ostryg zapchanych monstrualnymi muszlami, o trzydziestometrowych węgorzach. Wszystkie te zjawy zdawały się migotać tuż za zasięgiem palców Anny. Uspokajała ją myśl, że Marle trzyma jej linę ratowniczą i wąż z powietrzem, zbiera je i popuszcza, podążając za jej ruchem. W każdej chwili mógł ją wciągnąć z powrotem. Wystarczyłyby cztery mocne szarpnięcia.

*

Dexter patrzył, jak jego chłopcy napędzają sprężarkę powietrza niczym figurki w zegarze. Ze wszystkich sił starał się, zresztą od początku tej wyprawy, robić jedyną rzecz, w której był beznadziejny: nic. Wskutek tej bezczynności wszystko wokół rejestrował na skali od denerwującego do nieznośnego: towarzyszy Anny, którzy trzymali ją za kostki, wkładając jej stopy w masywne buty do nurkowania, dłoń tego Murzyna pod jej brodą, gdy zapinali uprzęż czy jak to się, do diabła, nazywało. Ta ich wspólnota wzbudziła w nim zazdrość - nie tylko o Annę, ale o całą trójkę. Dwaj mężczyźni i dziewczyna współpracowali ze sobą z widoczną swobodą. Nawet gdy Anna miała już na sobie kombinezon i przestała wyglądać jak dziewczyna, miał do nich żal o tę ich wspólną wiedzę, o ich język i kompetencje. Kiedy pomagali jej zejść po drabinie, wyjął pierwszego papierosa od pięciu lat i włożył go do ust. Enzo natychmiast wyskoczył z ciemności, żeby mu go przypalić.

Czując, jak po tak długiej abstinencji dym przyprawia go o zawroty głowy, Dexter przysunął krzesło do krzesła szypra i odchylił głowę w geście solidarności z porażoną szyją staruszka. Był to skutek udaru. Mimo zimna twarz szypra pokryła się warstewką potu. Dexter był wystarczająco blisko, by poczuć zapach soku pomidorowego, który staruszek pił w zasadzie bezustannie (zachlapując nim sobie obficie ubranie) -na wrzody, jak mawiał, choć Dexter miał wrażenie, że taka ilość soku pomidorowego równie dobrze może powodować wrzody. Sok czekał w metalowym wiadrze u jego boku. Nad głową staruszka świeciła masa gwiazd.

- Kto by się domyślił, szyprze - powiedział Dexter - że w Nowym Jorku też mieliśmy nad sobą te wszystkie gwiazdy.

Szyper zakasłał nieporuszony. Był nowojorskim szyprem przywykłym do żeglowania według punktów orientacyjnych i świateł na lądzie. Gwiazdy wprawiały go w zakłopotanie. Gdy jednak chodziło o port, jego wiatry i zdradliwe punkty, znał każde wzniesienie i każdą dziurę, dokładne położenie wirów lekceważonych przez prądy — miejsca, w których przedmioty tonęły, zamiast dać się wyrzucić na brzeg. I umiał ponownie znaleźć te miejsca. W każdym razie tak twierdził.

- Daj spokój, szyprze. Przyzwyczaisz się do gwiazd.

Rozległo się przeczące warknięcie, które Dexter zinterpretował w ten sposób, że wojna się skończy, znów rozbłyszczą światła i niebo nad Nowym Jorkiem odzyska dawny wygląd.

- Oczywiście, masz rację - powiedział Dexter. Po czym dodał bardzo cicho: - Mówisz, że to na pewno tutaj?

Słyszając takie pytanie, szyper warknął z urazą.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro w tych ciemnościach wszystko wygląda zupełnie inaczej?

Żeglarz popukał się w skroń poniżej białej czapki, którą zawsze nosił na pokładzie. Jej wykrochmalona czystość dziwnie kontrastowała z jego umazanym pomidorami zaniedbaniem.

- Tutaj - powiedział, zaskakując Dextera niespodziewanie wyraźną wymową - nic się nie rusza.

- Rozumiem.

Wkrótce Dextera znowu ogarnął niepokój. Myślał o tym, żeby spróbować porozmawiać z Nestorem, sternikiem, lecz nie miało to sensu. Nestor, niegdyś gaduła, zamknął się w sobie przed kilkoma laty, po tym jak go napadnięto. Zamiast z nim rozmawiać, Dexter poszedł na dziób łodzi, gdzie jego chłopcy pocili się przy sprężarce. Był z nimi jeden z mężczyzn ze stoczni, skwaszony świński blondyn, którego dezaprobata była tak gęsta, że można by nią posmarować chleb. Wpatrywał się w dwie wskazówki z przodu sprężarki.

- Obracają te koła wystarczająco szybko? - spytał go Dexter.

- Jak na razie.

- O, na pewno nie opadną z sił.

- Lepiej, żeby nie opadli.

Prowokacja. Jej dotyk przypominał prąd elektryczny, tak orzeźwiający i upragniony, że Dexter musiał się powstrzymać, by od razu nie pokazać temu frajerowi, kto tu rządzi. Zamiast tego podszedł do drugiego mężczyzny ze stoczni, tego Murzyna, który stał po przeciwnej stronie łodzi, niedaleko drabiny dla nurków. Liny, połączone z Anną, przesuwwały się w jego dłoniach, tworząc zwoje u stóp. Wzrok miał skupiony na wodzie.

- Czego właściwie wypatrujesz? - spytał Dexter.

- Jej bąbelków - powiedział Murzyn, nie poruszając oczami. - Widzi pan, jak pękają? Znosi je prąd. Ona niekoniecznie jest w tym miejscu. - Wydawał się przyjazny, neutralny, trudny do rozgryzienia, jak wielu Murzynów - chyba że, jak przypuszczał Dexter, mieli do czynienia z innymi Murzynami.

- Skąd wiesz, gdzie ona jest?

Murzyn uniósł liny, które trzymał.

- Zbieram je i popuszczam, kiedy się porusza, żeby się za bardzo nie poluzowały. Dzięki temu wyczuwam, jak za nie pociąga, dając mi sygnały.

- Czy to niebezpieczne? To, co ona robi.

- Nie, jeśli dobrze wykonamy swoją robotę.

Obserwowali bąbelki, blade wrzenie na atramentowej powierzchni portu.

- Dlaczego twój partner ma na sobie kombinezon do nurkowania? - spytał Dexter.

- Zawsze jest drugi nurek, w razie gdyby liny się poplątały. Albo gdyby coś innego poszło nie tak.

- Kto by obserwował wskazówki sprężarki, gdyby on musiał zejść pod wodę?

- Zgłasza się pan na ochotnika?

Dexter roześmiał się z uznaniem. Za pomocą pięciu prostych słów temu mężczyźnie udało się wprowadzić do ich relacji żartobliwą poufałość i jednocześnie zapewnić Dextera, że doskonale zdaje sobie sprawę, kto tu rządzi. Dyplomata.

- Czy jedna maszyna da radę dostarczyć powietrze dwóm nurkom? - spytał Dexter.

- Tak została zaprojektowana. W stoczni używamy jednej dla jednego

nurka, ale ten model został sprawdzony pod kątem wydajności. Mając tych dzientelmenów u kół zamachowych, uzyskamy najwyższe osiągi.

Dexter się uśmiechnął, usłyszawszy wreszcie komplement, na który czekał.

- A jeśli maszyna przestałaby działać? - spytał. - Co wtedy?

- Nie ma ku temu żadnego powodu - odrzekł spokojnie Murzyn, lecz Dexter wyczuł w jego słowach pewne wahanie. - Nawet jeśli, to wewnątrz kombinezonu zostałoby jej powietrza na jakieś osiem minut. Aż nadto, żeby wrócić na powierzchnię.

Przez linę, którą trzymał, musiał nadejść jakiś sygnał, ponieważ szarpnął za nią kilka razy, odczekał chwilę, a następnie szarpnął jeszcze raz. Potem podszedł tyłem wzdłuż nadburcia do swojego partnera na dziobie, popuszczając po drodze liny i nie odrywając oczu od bąbelków. Po krótkiej rozmowie świński blondyn odwrócił się od sprężarki, podźwignął ciężką linę i przeniósł ją szybko kawałek dalej, na dziób. Dexter podszedł do Murzyna, który wyjaśnił, że „nurek”, jak nazywał

Annę, wykonał pełne okrążenie z liną i niczego nie znalazł. Teraz miał zacząć drugie okrążenie w nowym miejscu.

- To może potrwać całą wieczność - powiedział Dexter. - Ile czasu jest w stanie przebywać pod wodą?

- Dwie godziny bez najmniejszego problemu. W drodze powrotnej będzie musiała się zdekompresować. Mamy do tego celu tylko krzesło bosmana, ale damy radę. - Murzyn spojrzał na swój nadgarstek, na którym Dexter zobaczył trzy zegarki. - Jest pod wodą trzydzieści osiem minut.

- Chciałbym też tam zejść - powiedział Dexter. - I pomóc jej szukać.

To był czysty impuls, raczej werbalna próba wyrażenia ogólnego zniecierpliwienia niż propozycja. Jednak w chwili, gdy ubrał ją w słowa, jego mózg uczeplił się nowego pomysłu.

- Mówię poważnie.

Murzyn grzecznie pochylił głowę.

- Nurkował pan kiedyś?

- Szybko się uczę.

- Z całym szacunkiem, ale ze względów bezpieczeństwa to nie wchodzi w grę.

- Wszystko wchodzi w grę - odrzekł uprzejmie Dexter - dopóki jest ktoś, kto ma ochotę grać.

Murzyn wpatrywał się w bąbelki. Dexter czekał, pewny, że mężczyzna jest zbyt uprzejmy, by kogoś długo ignorować. I rzeczywiście, podjął wątek łagodnie perswadującym tonem.

- Przed zejściem pod wodę mieliśmy dwutygodniowe szkolenie.

- A jednak wcześniej nikt z was nie nurkował - odparł Dexter. - Po prostu nastał dzień, w którym zrobiliście to po raz pierwszy. - Murzyn przechylił głowę, próbując go rozgryźć. - Dzisiaj taki dzień nastał dla mnie.

Biały nurek obserwował wskazówki na sprężarce, nie dając po sobie poznać, że słyszy tę rozmowę. Dexter podszedł do niego i odchrząknął. Mówił cicho, tak żeby nie słyszeli go chłopcy obracający koła zamachowe.

- Chciałbym wziąć twój kombinezon i zejść pod wodę.

- Tego się tak nie robi - mruknął nurek, nie odrywając oczu od wskazówek.

- Można to robić na różne sposoby - powiedział Dexter. - Jak wszystko.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzał.

- Po prostu chciałbym pomóc. Zaoszczędzimy trochę jej czasu. A ty jesteś potrzebny tutaj.

- W niczym jej pan nie pomoże.

- Właśnie zraniłeś moje uczucia.

- To będzie tylko ryzyko i niepotrzebne zamieszanie.

- Martwisz się o powietrze? O to, że jedna maszyna będzie zaopatrywała dwoje ludzi?

- Między innymi.

- W razie kłopotów mnie odetniecie - powiedział Dexter. - Wypłynę na powierzchnię. Będę miał osiem minut, prawda?

Teraz słuchali go już obaj nurkowie.

- Z pańską posturą? - odezwał się Murzyn. - Mniej.

- Nieważne.

Biały nurek wydał z siebie lekceważący dźwięk.

- Nie wyświadczy nam pan przysługi, jeśli pod koniec będziemy mieli

na głowie zwłoki.

- Nie będzie żadnych zwłok.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Jak to? - spytał Murzyn.

- Szyper - warknął Dexter. Żeglarz drgnął gwałtownie, jakby chluśnięto mu wodą w twarz. - Chodź tu na chwilę, dobrze?

Szyper dokuśtykał z wysiłkiem jak przydeptany owad.

- Chcę, żebyś dał tym panom pewną gwarancję - powiedział Dexter. - Obiecasz im, że jeśli wykituję, nurkując w tym porcie, będą mogli spokojnie odejść? Bez angażowania w to prawa, koronera ani listonosza?

Szyper pokiwał głową, z trudem łapiąc oddech. Dexter nie był do końca pewny, czy mężczyzna go zrozumiał.

- Z całym szacunkiem - powiedział Murzyn - zwłoki nie mogą tak po prostu zniknąć.

- Ależ mogą - odparł Dexter. - I znikają. Przebywasz teraz w innym świecie, przyjacielu. Może i jest podobny do tego, który znasz, może podobnie pachnie i brzmi, ale to, co się tutaj dzieje, zostaje tutaj. Kiedy się jutro obudzisz, poczujesz się tak, jakby to wszystko, co teraz robimy, nigdy się nie wydarzyło.

Gapili się na niego, jakby postradał zmysły. Jak wyjaśnić zasady obowiązujące w świecie cieni, żeby dali się przekonać? Oczywiście wcale nie musiał tego robić, lecz zawsze wolał argumenty od brutalnej siły.

- Mówię, że mamy tu inne zasady - powiedział. - Inne zwyczaje. To, co w waszym świecie nie może się wydarzyć, w moim jest możliwe. Między innymi znikanie zwłok.

- A co z naszym nurkiem? - spytał Murzyn. - Co jeśli coś jej się stanie?

- Nic jej się nie stanie - odparł Dexter. - W tej kwestii wszyscy mamy jasność. Ale ja to co innego. Jestem jak... odbicie w wodzie. Cień. - Sięgał po coś, czego wcześniej nie artykułował i co nie do końca rozumiał.

- Bardzo ładnie to brzmi - odezwał się biały nurek, po raz pierwszy patrząc Dexterowi w oczy. Miał zaciętą, jakby spłaszczoną twarz. - Ale jak na mój rozum świat jest tylko jeden i bez tlenu nikt z nas nie wytrzyma w nim długo. Amatorzy zgrywający bohaterów są jak wrzód na tyłku, ale jeśli coś idzie nie tak, odpowiedzialność spada na bałwanów, którzy pozwolili im

schrzanić sprawę. Odmawiam, kolego. Nie przygotuję cię do nurkowania w tym porcie.

Dexter wziął głęboki oddech.

- Próbowałem przemówić wam do rozsądku - powiedział. - Ale ten sposób chyba nie działa.

- W tym, co usłyszałem, nie było nic rozsądnego.

- To rozkaz: zdejmuj kombinezon.

- Podlegam marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie panu.

Nerwy Dextera zasyczały w wybuchu wściekłości.

- Tutaj nie ma marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych - powiedział cicho. - W każdym razie ja jej nie widzę.

- Ależ jest. Kontroluje ten port. Otacza nas ze wszystkich stron.

Dexter zwrócił się do Murzyna:

- Czy twój przyjaciel ma nierówno pod sufitem? - spytał wystarczająco głośno, by świński blondyn usłyszał. - Czy nie rozumie, że gdy tylko moi chłopcy nadepną na kreta, odstrzelą mu łeb i nakarmią nim ryby?

Nie podniósł głosu, lecz na łodzi dało się odczuć napięcie, wyraźne mimo wiatru. Enzo skwapliwie podszedł sprężystym krokiem.

-Jakiś problem, szefie?

- Nie wiem - powiedział Dexter, obserwując Murzyna. -Mamy problem?

Któż lepiej niż Murzyn mógłby poznać, że świat podciął mu nogi? Mężczyzna spokojnie podszedł do partnera i pochylił się do jego ucha. Do Dextera docierały urywki zdań:

- ...nie takie trudne,jeśli...

- ...to, że nawet Savino...

- ...w marynarce robią to rutynowo...

Dexter wiedział, że wygrał. To Murzyn tu dowodził. I rzeczywiście, wrócił do Dextera ze słowami:

- Nie chcemy kłopotów, proszę pana. Żadnych.

- Ja też - powiedział Dexter. - Dlatego daję twojemu partnerowi ostatnią szansę, żeby pominąć etap, w którym ze strachu robi w gacie. Zapewniam, że to nic przyjemnego.

Biały nurek gwałtownie zbladł. Odruchowo spojrzął na wskazówki sprężarki. Dexter wyobraził sobie, że wnika w umysł tego człowieka i czuje rosnące ciśnienie w jego czaszce. Nie lubił wiedzieć, co czuje inny mężczyzna.

- Jezu święty. - Biały nurek zwrócił się do partnera głosem ochryłym z przerażenia.

- Jego też tu nie widzę - mruknął Dexter.

*

Gdy Anna otrzymała sygnał, że pod wodę schodzi drugi nurek, zastanawiała się, czy przypadkiem nie wezwała go przez omyłkę. Potem sobie uświadomiła, że coś poszło nie tak - pomijając oczywisty fakt, że trzykrotnie przemieścili linę opustową (ostatnim razem na drugą stronę lichtugi), a ona znalazła tylko pękniętą beczkę i pień drzewa. Gdy nurek schodził, wciąż pełzła po ziemi, a potem poczuła, jak ten drugi podnosi dwudziestometrową linę i podchodzi do niej, zmuszając ją do wstania. Instynktownie otworzyła oczy, ale oczywiście niczego nie zobaczyła.

Pamiętała ze szkolenia, że dwaj nurkowie mogą się słyszeć pod wodą, jeśli zetkną się hełmami. Bascombe okazał się wyższy, niż przypuszczała, i musiała go lekko pociągnąć za ramię, żeby się pochylił. Przycisnęła hełm do jego hełmu i spytała:

- Dlaczego zszedłeś?

Odpowiedź zabrzmiała jakby w oddali, metalicznie, niczym radio grające pod kocem.

- Dexter - usłyszała.

- Co z Dexterem?

- To ja. Jestem Dexter.

Przez chwilę myślała, że Bascombe się zgrywa, ale nie wyobrażała sobie, żeby mógł żartować w takiej chwili.

- Niemożliwe.

- Widocznie tak.

-To... niebezpieczne - wykrztusiła.

- Ci panowie na górze wyraźnie to zaznaczyli.

Zobaczyła migawkę z paskudnej sceny, jaka poprzedziła przekazanie

Dexterowi Stylesowi kombinezonu do nurkowania Bascombe'a. Jej umysł gwałtownie odskoczył. Musiała zachować spokój.

- Czy sprężarka da radę wytworzyć powietrze dla nas obojga?
- Oddychasz bez problemu? - spytał.

Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, dzięki czemu odzyskała równowagę. Słyszała, że w marynarce czasami od razu ubiera się ludzi w kombinezon i posyła pod wodę w ramach pierwszego odsiewu. Powietrze docierające do hełmu było chłodne i suche, a poza tym chyba myślała trzeźwo.

- Tak - powiedziała. - Mam wystarczająco dużo powietrza. A ty?
- Nigdy nie czułem się lepiej.

Mówił szczerze. Kiedy już wyregulował przepływ powietrza, tak jak go poinstruował Murzyn, i zdjął w ten sposób ciężar uprząży ze swoich ramion, Dexter poczuł niezrozumiałą euforię, czując, jak ciężkie buty ciągną go przez potężną, natarczywą ciemność. Jakby jakiś olbrzymi wysiłek, z podjęcia którego nie do końca zdawał sobie sprawę, wreszcie miał mu się opłacić. Mógł oddychać. Mógł oddychać i chodzić po dnie morza.

- Obawiam się, że niczego tu nie znajdziemy - powiedziała. - Skąd wiadomo, że to właściwe miejsce?

Jej głos brzmiał słabo, jak rozmowa zamiejscowa. Stanowił wyjątkową mieszankę intymności i dystansu, którą Dexter często czuł, rozmawiając przez telefon, gdy przebywająca gdzieś daleko osoba zdawała się szeptać wprost do jego myśli.

- Znajdziemy go. - Jego własny głos dla odmiany zabrzmiał donośnie. - Szyper nie ma wątpliwości. On tu jest.

Te słowa zdezorientowały Annę. Szyper już tu był? Głos, który docierał przez hełmy, był wyzuty nie tylko z donośności, lecz także z wszelkiego śladu uczuć. Brzmiał tak, jak brzmiałaby maszyna, gdyby umiała mówić. A mimo to ostatnie słowa zostały z nią na dłużej. „On tu jest”. Nagle wyraźnie powrócił do niej obraz ojca wynurzającego się z morza na Coney Island po jednej z jego porannych kąpieli, ociekającego wodą, lśniącego. Gdy już wyszedł na brzeg, puścił oko i pomachał do zdumionych ratowników, którzy przyszli do pracy. Wytarł się ręcznikiem w tureckie wzory, leżącym dotąd obok Anny na piasku razem z jego ubraniem i portfelem. Po morskich kąpielach biła od niego promienna błogość, jakby zrzucił z siebie smutek, który zawsze mu towarzyszył.

- Jestem tu - powiedziała cicho. - Ja też tu jestem.

Dexter Styles przycisnął hełm do jej hełmu.

- Jeśli masz drugą linę, możemy ją trzymać między sobą i sprawdzić większy kawałek dna - rozległa się mechaniczna wersja jego głosu.

- Mam.

Wzięła go za rękę w rękawicy i zaprowadziła do punktu, w którym zaczęła kilka minut temu i gdzie zostawiła torbę z narzędziami. W środku była dziesięciometrowa lina z pętłami na obu końcach. Jedną wsunęła sobie na wolny nadgarstek, lewy, a drugą na prawy nadgarstek Dextera, pod mankiet. Przycisnęła hełm do jego hełmu i poleciła:

- Oddalaj się ode mnie, aż lina się napręży, a potem pełnij w tę samą stronę co ja. Hełm zawsze powinien być wyżej niż ciało, nie pochylaj głowy.

- Dobrze.

Zrobił tak, jak go poinstruowała. Gdy lina się naprężyła, niezdarnie opadł na kolana. Przez gumowany materiał kombinezonu do nurkowania poczuł miękkie dno portu. Opuścił rękawice na ziemię, pamiętając o tym, żeby trzymać głowę w górze - choć zapomniał spytać, co by się stało, gdyby postąpił inaczej. Chodzenie na czworaka wydawało się groteskowo nienaturalne — kiedy po raz ostatni to robił, na litość boską? Lina ciągnęła go jednak za nadgarstek, więc pełzł, z początku nieśmiało, bojąc się pochylić głowę. Każdy lekki opór liny budził w nim przekonanie, że coś znaleźli, lecz po chwili zaczął rozpoznawać wyboje i kępy roślin na dnie portu. Pierwotna natura tego ruchu stopniowo oczyszczała jego umysł. Pełzł w ciemności. Pełzł. W ciemności. Pełzł. Po chwili nie pamiętał już dlaczego.

*

Wreszcie lina łącząca Annę ze Stylesem natrafiła na przeszkodę. Anna odczepiła drugą linę, zakończoną ciężarkiem, i po-pełzła w kierunku Dextera. Dopiero po chwili zauważyła wadę swojego planu: lina, którą wypuściła, była ich jedynym łącznikiem z łodzią. Przypomniała sobie swoje pierwsze zejście pod wodę - dezorientację towarzyszącą błakaniu się po dnie. Nawet w stosunkowo jasnej i płytkiej zatoce Wallabout nie zdołała znaleźć szarej liny o średnicy prawie ośmiu centymetrów. W najgorszym razie Marle i Bascombe mogliby ją wyciągnąć za linę ratowniczą. Ale czy zdołaliby wyciągnąć Stylesa?

Nie znajdując innego wyjścia, zsunęła wewnętrzną linę z nadgarstka i poppełzła wzdłuż zewnętrznej w kierunku przeszkody: ciężkiego łańcucha

przyczepionego do betonowego bloku. Poczula, że Dexter Styles nadpełza z drugiej strony, a potem zjawił się w wodzie obok niej. Włączyła latarkę. Mętna jasność rozświetlała najwyżej pół metra mętnej zatoki. Siedmiocentymetrowe ogniwa łańcucha były śliskie od roślinnego życia, jakby od dawna trwały w bezruchu. Anna wyłączyła latarkę, bojąc się tego, co jeszcze mogłaby zobaczyć. Przyłożyła hełm do hełmu Dextera Stylesa i spytała:

- Co o tym myślisz?
- Wygląda dobrze - zabrzmiała cicha odpowiedź.

Złe przeczucie, które miała przez cały wieczór, bardzo się zbliżyło.

- Boję się — powiedziała tym samym bezbarwnym tonem, który przybierał jego głos, przenikając przez dwa hełmy. Ta beznamiętna wypowiedź w dziwny sposób powstrzymała wszelkie emocje, które mogłaby odczuwać. Zostały tylko słowa.

- Dlaczego go zabili? - spytała.
- Robią tak, kiedy się wkurzą.
- Był przestępcą?
- Nie.
- Dlaczego ich wkurzył?
- Tylko on to wie.
- Będę szukała bez latarki.

Poczula, jak Dexter Styles wstaje, być może po to, żeby zapewnić jej trochę prywatności, albo dlatego, że nie miał ochoty się dowiedzieć, co znalazła. Łańcuch był tak pozwijany i poskładany, że upodobił się do twardej masy. Anna zaczęła nieśmiało poluzowywać jego fałdy i wciskać między nie palce. Olbrzymia kłódka łączyła kilka odcinków i przytwierdzała je do okucia umieszczonego w betonowym bloku. Anna wsunęła palce między ogniwa, szukając jakichkolwiek organicznych śladów: materiału, skóry, kości. Nie pamiętała, co miał na sobie jej ojciec w dniu, w którym nie wrócił do domu, lecz z pewnością włożył garnitur, krawat i kapelusz. Buty. Siła napierająca na jej mostek przypominała ciemne jajo wypełnione potwornym strachem i obrzydzeniem. Anna bała się tych doznań, lecz pragnęła dokonać odkrycia, które je wyzwoli: znaleźć jakiś dowód, że ojciec nie wyjechał. Ze nigdy jej nie porzucił. Potrzeba uzyskania tej pewności wiodła jej palce przez błoto, piasek i śliskie ogniwa łańcucha. Anna nie

znalazła jednak żadnych butów, żadnego materiału, żadnych kości. Czy to możliwe, że wszystko porwała woda?

Gdy zaczęła tracić zapach, przypomniała sobie, jak daleko zaszła. Jej obecność w tym miejscu zakrawała na cud, to była jej jedyna szansa. Ta świadomość podziałała na nią jak katalizator i popchnęła ją do gorączkowego kopania. Klęła pod nosem jak mężczyźni w stoczni: „Niech to szlag! Kurwa mać!”. Kopała, aż jej uwagę przykuł blask wlewający się pod powieki. Spróbowała otworzyć oczy, żeby się rozplątał, lecz wtedy zdała sobie sprawę, że są już otwarte. Blask miał źródło na zewnątrz - wydobywał się z wody. Im głębiej kopała, tym stawał się intensywniejszy: metaliczny pomarańcz, fiolet, zieleń, kolory właściwie niebędące kolorami, jak odcienie na negatywie, które kiedyś widziała. Wydobywały się ze świeżo odgarniętej ziemi i połyskiwały w wodzie wokół niej.

Anna ciągnęła za sznurki kombinezonu Dextera, aż przykucnęła. Przysunął hełm do jej hełmu.

- Co to jest, do diabła?
- Fosforescencja. Żywe organizmy w wodzie. - Uczyła się o tym na kursie nurkowania.

Też zaczął kopać. Podwodne życie fosforyzowało wokół nich jak chmura, lekko oświetlając zanurzonego obok Dex-tera Stylesa. Spod palców Anny i spod piasku promieniowało ciepło. Zlokalizowała mały okrągły przedmiot, który utkwiał w przysypanym ogniwie łańcucha, i zaczęła go wydobywać topornymi rękawicami, próbując go wyswobodzić i nie zerwać przy tym cieniutkiego łańcuszka, na którym się trzymał. Wreszcie uwolniła okrągły przedmiot i obróciła go w palcach. Znowu metal. Była rozczarowana. Wzdłuż jednej zaokrąglonej krawędzi tkwiła jakaś śrubka albo bolec. Po chwili poczuła, jak przeszywa ją lodowaty dreszcz, i już wiedziała, czego dotyka: to był kieszonkowy zegarek. Krzyknęła i dźwięk, który rozległ się wewnątrz hełmu, uderzył ją w uszy. Uniosła zegarek i spojrzała na niego przez szybkę. Dexter

Styles nadal kopał. W żarzącym się świetle z trudem zdołała odczytać znajome wygrawerowane inicjały jakiegoś obcego człowieka.

Zegarek jej ojca.

Zaczęła płakać. Nawet w rękawicach czuła leciutkie zagłębienia grawerunku. JDV: Jakob De Veer, człowiek, który pomógł jej ojcu, gdy ten był jeszcze dzieckiem. Ściskając zegarek, płakała, aż wilgoć wewnątrz hełmu zaczęła ją otumaniać. Zwiększyła dopływ tlenu i otworzyła zawór, żeby

osuszyć hełm i kombinezon. Nadal łkając, przycisnęła hełm do hełmu Dextera, wiedząc, że dotrze do niego jedynie mechaniczne echo jej słów, nic więcej.

- Znalazłam go - powiedziała. - On tu jest.

*

Gdy zaczęli szukać liny, którą opuścili na dno, Dexter od dawna czuł, że brakuje mu powietrza. Pełzanie po ziemi było trudniejsze niż chodzenie, wywoływało zawroty głowy i niemoc w nogach. Trzymając między sobą napiętą linę, szli powoli ku miejscu, gdzie według Anny znajdowała się ta druga, pionowa. Na szczęście zdołali ją znaleźć.

Kiedy się wynurzała, Dexter czekał na dnie. Trzymając linę, czuł, jak w drodze na górę Anna przystaje, żeby się de-kompresować. Później było szarpnięcie, gdy weszła na drabinę. Potem nic. Nadal trzymał linę i czuł jedynie trącające go prądy. Ostrożnie przekręcił pokrętko powietrza przy hełmie, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, leciutko, tak jak poinstruował go Murzyn. Oddychał łapczywie, przyjemność towarzysząca obżeraniu się syczącym powietrzem kojarzyła się ze żłopaniem zimnej wody, by ugasić rosnące pragnienie. Zawroty głowy minęły, wyostrozając mu zmysły. Był sam na dnie morza. Skrajność tego położenia działała na Dextera hipnotyzująco. Zawsze lubił ciemność, ale noc była jej jedyną wersją, jaką dotąd znał. Tu otaczał go pierwotny mrok koszmarów. Skrywał on tajemnice zbyt potworne, by je odsłaniać: potopione dzieci, wraki statków. Wypuścił linę i oddalił się o kilka kroków, wyobrażając sobie, że jest odcięty od świata, sam w tym opuszczonym miejscu. Coś długiego i gładkiego prześlizgnęło się po jego kombinezonie do nurkowania - węgorz? inna ryba? Poczul, że może wpaść w panikę.

Tym, co nawiedziło Dextera, gdy stał samotnie w dławiącym mroku, było jednak pierwsze od lat wyraźne wspomnienie Eda Kerrigana. Ironiczny, krzywy uśmiech pod rondem kapelusza. Kerrigan zawsze nosił porządny kapelusz z doskonałym piórkiem. Facet umiał się ubrać. Gdy szli po Manhattan Beach, przytrzymał kapelusz na wietrze. Dexter tak bardzo lubił tego gościa! Jego serdeczne usposobienie, szybkość i dyskrecję, z jaką załatwiał sprawy, nie wspominając o kosztach. Irlandus. Była między nimi nić porozumienia, Dexter instynktownie to czuł. Później się zastanawiał, czego dotyczyło to porozumienie.

Enigmatyczna natura Kerrigana była w tej robocie podstawą. Mógł dotrzeć wszędzie, dowiedzieć się wszystkiego. Dzięki niemu Dexter zaznał

wolności od ograniczeń związanych z czasem i przestrzenią. Kerrigan potrafił się zjawić tam, gdzie nie powinien, podsłuchać to, czego nie było mu wolno wiedzieć. Bliskość - oto, co zapewnił Stylesowi. Wszechwiedza. Niewidzialność. A Dexter do tego przywykł - uzależnił się od tego. Był stanowczo zbyt wygodny, zbyt spragniony dopływu informacji, by wziąć pod uwagę, że wiedza, jak wszystko, ma swoją cenę.

W branży Dextera mężczyzn dopuszczających się jawnego pogwałcenia zasad zabierano, jak to się mówiło, na przejażdżkę. Wszyscy wiedzieli, co ich spotyka, i później rzadko się o nich wspominało. Kerrigan z pewnością to rozumiał.

Zatem dlaczego? To pytanie gnębiło Dextera przez lata, odkąd jego niegdysiejszy podwładny zaczął śpiewać i zapłacił za to cenę. Dlaczego to zrobił? Dla pieniędzy? Dexter dobrze mu płacił - płaciłby więcej, gdyby Kerrigan poprosił.

Teraz, gdy już zobaczył jego skromny dom, jego kaleką córkę, tym bardziej nie mógł tego pojąć. Po co ryzykować, że go wykończą, skoro rodzina tak bardzo go potrzebowała? Po co narażać się na to, że ktoś - na przykład zdrowa córka - odkryje kiedyś prawdę?

Nie było żadnych odpowiedzi. Tylko on, uśmiechający się krzywo i spoglądający na morze. Jak okiem sięgnąć ani jednego statku”, powiedział kiedyś, a jego powściągliwość zdradzała tak niewiele, że Dexter nie był w stanie zgadnąć, czy to dobra, czy zła wiadomość. Spojrzał na morze i rzeczywiście: nie zobaczył ani jednego statku.

Dexter złapał linę, z którą zszedł pod wodę, owinął nią prawe ramię i nogę, tak jak doradził Murzyn, i otworzył dopływ powietrza, żeby napompować kombinezon. Zgodnie z zapowiedzią zaczął się wznosić jak za sprawą czarów. Przez jedną euforyczną chwilę czuł się jak bóg. Frunął, unosił się, oddychał pod wodą - robił wszystko, czego człowiek nie potrafi. Dręczyło go poczucie oślepiającego zrozumienia. „Tak”, pomyślał, a potem zawołał na głos: „Tak!”. Wreszcie zrozumiał podstawową prawdę, fundamentalną dla wszystkich innych prawd. Nabierał prędkości, kombinezon pęczniał niekontrolowanie, a on sunął w górę, z wysiłkiem prostując ręce, tak że nie mógł dotknąć pokręteł przy hełmie ani nawet trzymać dłużej liny. Mało go to obchodziło, był zbyt urzeczony. „Oczywiście”, pomyślał, a potrzeba wyrzucia w umyśle rozstrzygającej kwestii, którą wreszcie zrozumiał, odwróciła jego uwagę od oszalamiającej prędkości, z jaką się wynurzał.

Napompowana sylwetka Dextera Stylesa wystrzeliła na powierzchnię

piętnaście metrów od lichtugi. Marle ryknął na jego osiłków, dwóch z nich podbiegło do nadburcia i zaczęło ciągnąć za linę ratowniczą. Bascombe nie odrywał oczu od wskazówek sprężarki i klął, na czym świat stoi. Atmosfera panicznego skupienia zestroiła ich niejednorodną grupę, wszyscy poruszali się jak jeden mąż. Anna zeszła po drabinie, już bez butów, w samym kombinezonie, i czekała, aż osiłki przepchną w jej stronę Dextera Stylesa dryfującego twarzą w dół z rozpostartymi nogami i rękami. Wyglądał na martwego. Gdy już znalazł się obok niej, spróbowała przewrócić go na plecy. Zamierzała otworzyć szybkę w hełmie, ale Marle krzyknął, żeby zostawiła go w spokoju.

- Musimy go wyciągnąć na pokład - powiedział. - Jeśli straci ciśnienie, zatonie.

Miał rację - ogarnięta strachem, nie myślała racjonalnie. Najlepiej jak umiała pomogła wciągnąć rozdętą postać przez nadburcie na pokład, gdzie dwóch osiłków chwyciło Stylesa pod pachy, a dwóch kolejnych rzuciło się im na pomoc. Gdy mężczyźni go odwrócili, Anna wbiegła po drabinie i przykucnęła obok. Woda wylała się z kombinezonu, tworząc kałuże wokół jej stóp. Drżącymi rękami otworzyła szybkę w hełmie Stylesa. Miał szkliste, szeroko otwarte oczy.

- Słyszysz mnie? - spytała.

Zamrugnął, potem się uśmiechnął. Potężna fala ulgi omal ich wszystkich nie przewróciła.

-A... wstrzymywałś oddech, kiedy się wynurzałeś? -spytała, przypominając sobie o zatorze gazowym.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział. - Twój czarny przyjaciel ostrzegł, żebym tego nie robił.

CZĘŚĆ SIÓDMA

MORZE, MORZE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dopiero po powrocie do samochodu, zaparkowanego przy warsztacie skutniczym Red Hook, Dexter zyskał swobodę i spokój, by ponownie pomyśleć o swoim odkryciu. Skórzane siedzenie cadillaca przyjęło go jak otwarte ramiona, a on wyczerpany padł w ich objęcia. Po tym, jak wystrzelił na powierzchnię, rozgorzał denerwujący spór, w którym stanął nie tylko przeciwko facetom ze stoczni marynarki wojennej i córce Kerrigana, lecz także przeciwko własnym chłopcom, a nawet szyprowi. Ci mało prawdopodobni sojusznicy zjednoczyli się w przekonaniu, że powinien wrócić na dno i wynurzyć się jeszcze raz, powoli, robiąc po drodze przystanki, żeby uniknąć bolesnych skutków choroby kesonowej. Dexter zbył ich machnięciem ręki. Wszystko było w porządku, nic go nie bolało - w zasadzie czuł się cholernie dobrze, biorąc pod uwagę, że schrzanił zejście pod wodę i ci sami ludzie, których wcześniej zmusił do uległości, wyłowili go z portu jak szmacianą lalkę. Niewiele go to obchodziło. W tle tego wszystkiego bił rytm jego odkrycia. Słyszał go na każdym etapie powrotu z ich wyprawy, aż do samego końca, kiedy ścisnął ręce córce Kerrigana i jej kolegom, zauważając bez urazy, że patrzą mu w oczy jak równemu sobie.

Przypadkiem natrafił na swoją ulubioną porę: przecucie świtu pozbawione jakichkolwiek jego oznak. Włączył silnik, żeby go rozgrzać, po czym wreszcie pozwolił umysłowi zwrócić się w stronę objawienia, które gruchnęło na niego, gdy wynurzał się z wody Pamiętał jednak tylko przebłysk głębszej świadomości, olśnienie.

Oniemiały ze zdziwienia, wrócił do momentu tego odkrycia; unosił się w ciemnej wodzie szybciej, potem jeszcze szybciej, tarcie liny zostawiało gorący pas pośrodku jego rękawic. Tymczasem przez krawędź brooklińskiego nieba przesączył się blask i na port spłynęła cisza. Lichtugi, holowniki i promy kolejowe zamilkły na chwilę w nagłym słabym świetle niczym obcy sobie ludzie w windzie.

Czyżby naprawdę zapomniał?

Mógł jeszcze wrócić do domu przed wschodem słońca. To pragnienie - by ten dzień był zwyczajny, jak każdy inny -skryzalizowało się w palącą potrzebę. Odbił od krawężnika i dodał gazu, a potem jechał przez Sunset Park i Bay Ridge, ścigając się ze słońcem. Miał wrażenie, że stawka rośnie, aż w końcu nabrał przekonania, że jeśli zdoła zacząć o tej porze co zwykle, w tym miejscu co zwykle, uda mu się coś naprawić. Sukces zależał od rytmu i czasu, jak w starej grze polegającej na przerzucaniu monet pod przejeżdżającymi

tramwajami. Należało wiedzieć, kiedy dokładnie wypuścić je z ręki, żeby przedostały się na drugą stronę.

Gdy dotarł na Manhattan Beach, nad Flatlands zebrała się przesywająca jasność. Pokonał słońce. Wchodząc do swojego pogrążonego w ciszy domu, dyszał i czuł niewytłumaczalną ulgę. Podgrzał kawę, którą zostawiła Milda, nalał ją sobie do kubka i wypił na werandzie, czując wiatr na twarzy, dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Słońce wznosiło się pokornie, rozsiewając na morzu słabe światło. Poranne trałowce przypominały dozorców woskujących podłogę w holu. Za Breezy Point sunęła procesja statków. Mewy wisiały w miejscu niczym latawce. To wszystko wydawało się zdrowe, jakby bliskość morza wymazała całą resztę - córkę Kerrigana, nurkowanie, a nawet jego olśnienie - odbierając tym sprawom wszelką wagę.

Zastanawiał się, czy Tabby mogłaby do niego dołączyć. Od wyjazdu Grady'ego blisko trzy tygodnie temu robiła niewiele poza rozpaczaniem i uzalaniem się nad sobą - owdowiała szesnastolatka. Dexter też tęskniłby za bratankiem żony, gdyby nie to, że pozbywszy się go, odczuł ogromną ulgę.

Dwa razy dolał sobie kawy i pił ją, aż światło dnia obnażyło jego potrzebę snu. Zszedł do sypialni, wyobrażając sobie Harriet uśpioną w ich łóżku i tęskniąc do niej - do swojej żony - tak, jak nie tęsknił od wielu tygodni.

W sypialni zastał podniesione rolety zaciemniające. Uderzenie jasności sprawiło mu ból, bo spodziewał się łagodnego półmroku. Za drzwiami łazienki usłyszał płynącą wodę. Była sobota. Dlaczego, na litość boską, Harriet wstała tak wcześnie?

Już miał załomotać do drzwi i zadać to pytanie, ale coś kazało mu zaczekać. Wszedł do garderoby, zdjął gnata i zamknął go w szafce, uwolnił skarpetki od podwiązek i odpiął spinki do mankietów, które wcześniej miał pod kombinezonem do nurkowania. Gdy zakręciła kurki przy wannie, zawołał przez drzwi:

- Wcześnie wstałaś, kochanie.

- Umówiłam się w klubie na brydża - krzyknęła w odpowiedzi. - Tabby też się wybiera.

Delikatnie przekręcił gałkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Bliźniacy mieli w zwyczaju wpadać do pokoi bez ostrzeżenia.

- Już się obudziła? - spytał.

- Spędziła noc u Lucy razem z innymi dziewczynami. Impreza w stylu Carmen Mirandy. - Słyszał, jak się myje. -Przystrajają turbany owocami,

wieszają sobie na uszach kółka od firanek i tańczą do *South American Way*. W każdym razie tak mi się wydaje.

Ta lawina barwnych szczegółów podziałała na niego równie odstręczająco jak światło dnia.

- Dziwię się, że ma na to ochotę - powiedział wreszcie przez drzwi. - Po wyjeździe Grady'ego.

- Och, chyba zaczyna dochodzić do siebie.

Usłyszał, jak Harriet wynurza się z wanny. Po chwili otworzyła drzwi do łazienki, ubrana w aksamitny koralowy peniuar, a w chmurze pary, którą za sobą zostawiła, unosiły się leniwie drogocenne zapachy. Dexter poznał Carmen Mirandę po premierze *Down Argentine Way* i nie dorastała jego żonie do pięt. Podszedł do Harriet, podniecony kropelkami, które zrosiły jej czoło. Minęła go jednak, wchodząc do garderoby, przytknęła drzwi i zarzuciła na niego peniuar. Dexter po raz drugi musiał prowadzić rozmowę przez drewnianą przegrodę.

- Odkąd to Tabby gra w brydża? - spytał.

- Złapała bakcyła od Felicity.

- Od Felicity?

- Córki Bootha.

- Aha. - Położył się na łóżku w spodniach i koszuli. Słońce kłuło go w oczy. - Nie wspominałaś, że Boo Boo też tam będzie.

- Mówiłam ci kilka dni temu. Zagramy w brydża, potem zjemy lunch, a później zawiozę dziewczyny do Squibb Building, żeby zapakowały płaszcze dla Bundles for Britain.

Coś w tej litanii planów kojarzyło się z niepodważalnym alibi. Dexter leżał na łóżku, czekając, aż Harriet wyjdzie w sportowym ubraniu, w którym zawsze jeździła do klubu. Ukazała mu się jednak w nowej „pelerynce” z kapturem obszytym futerkiem z norek, prawdopodobnie żeby przejrzeć się w lustrze - jeszcze nie wychodziła.

- Cieszę się, że Boo Boo robi dobry użytek z naszej benzyny - powiedział.

- Booth.

- Mówisz na niego Boo Boo.

- Znam go lepiej niż ty.

- I poznajesz coraz lepiej. Korzystając z mojej benzyny.

- I kto to mówi.

Dexter usiadł. Otwierała okna, wpuszczając wiatr, a wraz z nim jeszcze większą ilość światła. Wstał z łóżka i podszedł do żony. Wziął ją za rękę, przerywając jej nagłą krzątanię.

- Harriet - powiedział. - O co ci właściwie chodzi?

Unikała jego spojrzenia.

- Muszę iść po Tabby.

- Co ci przyszło do głowy? - Trzymał ją za rękę, chcąc, żeby spojrzała mu w oczy. „No, wykrztuś to”, pomyślał, bez względu na to, czego się domyśliła. Chciał, żeby oboje mogli o tym zapomnieć.

-Przyszło mi do głowy, że mam ochotę zapalić.

- Co jeszcze?

- Że chyba trzeba zatankować.

- Co jeszcze?

- Dziwnie się dzisiaj zachowujesz, Dex. Zaczynam się przez ciebie denerwować. - W końcu spojrzała na niego z głębi futrzanego owalu.

- Co jeszcze? - spytał cicho.

- Jesteś niespokojny. Nieszczęśliwy. Od miesięcy.

- Co jeszcze?

- To nie wystarczy? - zniecierpliwiła się. Ale wytrzymała jego spojrzenie.

- Tylko jeśli nie ma niczego więcej.

- Grasz poniżej swoich możliwości. Nawet ojciec tak mówi. - Odsunęła się od niego, wyjęła papierosa ze srebrnego pudełeczka na komodzie i wsunęła go między jaskrawe pręgi ust.

- Doprawdy - powiedział Dexter, przypalając go jej onyksową zapalniczką.

- Nie powinnam ci tego mówić - odrzekła zza smużki dymu. - Sam mnie do tego zmusiłeś.

- Twój ojciec tak powiedział?

- Obiecuj, że mu nie powtórzysz.

- Nie powtórzę. - Usiadł z powrotem na łóżku, starając się zapanować nad skrajnym zaniepokojeniem. To, że stary tak myślał, to nic. W zasadzie Dexter sam mu o tym powiedział. Ale że mówił coś takiego głośno w obecności Harriet - że o czymś takim dyskutował - to zupełnie co innego. Najwyraźniej odbyła się rodzinna rozmowa na temat Dextera.

Wciągnął w płuca dym z papierosa Harriet i też zapragnął zapalić.

- Kiedy?

- Mimochodem.

- Niedawno?

- Nie pamiętam. Zapomnij o tym.

- Nie pamiętasz. Jasne.

Od pierwszego spotkania ze starym w klubie łowieckim przed laty komunikowali się ze sobą otwarcie i bezpośrednio. Co sprawiło, że teść poczuł potrzebę, by o nim rozmawiać? Dexter czuł się urażony i nie chciał, żeby żona to zauważyła.

- Może wybierzesz się razem z nami? - spytała, siadając obok niego na łóżku.

Prychnął.

- Żeby grać w brydża z Boothem?

- Tabby umie grać. Ty nie musisz. - Wzięła go za rękę. Jej oczy umykały przed jego spojrzeniem.

- Denerwujesz się.

- Dawniej lubiłeś tam jeździć.

- Dlaczego się denerwujesz?

- Po prostu nie znoszę ranić twoich uczuć.

- Jestem zwyczajnie zmęczony.

Nie był pewny, co się między nimi dzieje - czy to coś ważnego, czy zupełnie nic. Czuł, że będzie wiedział, dopiero gdy się wyśpi.

Wstał i zaczął opuszczać rolety. Harriet zgasiła papierosa.

- Też się położę - powiedziała, przysuwając się do niego i rozpościerając długie palce na jego klatce piersiowej. Poczuł przez koszulę ich chłodną

smukłość. Zdjęła kaptur i jej kasztanowe włosy opadły na ramiona.

- Myślałem, że musisz już iść.
- Tabby się nie obrazi, jeśli trochę się spóźnię.

Kąciki jej uśmiechniętych ust wyginały się w dół, co nadawało im lubieżny wyraz. Jak on uwielbiał ten uśmiech! Wciągnął zapach jej włosów i poczuł, jak kielkuje w nim nieufność. Była piękną nieznaną stojącą zbyt blisko, podejmującą nerwowe starania, żeby go uwieść. Pomyślał: „Nigdy więcej nie dotknę tej kobiety”.

- Jedź, kochanie - zdołał powiedzieć czułym tonem. Nagła odraza do żony wydawała się niebezpieczna - jak trucizna, która nie działa, dopóki nie zostanie zauważona.

Leżał z zamkniętymi oczami, nasłuchując trzaśnięcia frontowych drzwi. Gdy już wiedział, że wyszła, zapadł w nękany pragnieniem, niespokojny sen. Obudził się w południe, jak zwykle, umył się, ubrał i przygotował do wizyty u Heelsa. Bolała go głowa, lecz mimo to miał jaśniejszy umysł. Co dokładnie poszło nie tak z Harriet? Teraz wydawało mu się, że nic strasznego się nie stało.

Wyjmując płaszcz z szafy w holu, poczuł, albo raczej usłyszał, że w domu jest ktoś jeszcze.

- Halo? - zawołał.

Niewyraźna odpowiedź: bliźniacy. Była sobota. Dexter wszedł po schodach do ich pokoju i otworzył drzwi bez pukania, powodowany nawykowym pragnieniem zaskoczenia synów. Ich zdziwione twarze go zawstydziły. Phillip usiłował włożyć koszulę. Dexter zauważył kątem oka bliznę po operacji wyrostka i doznał tak głębokiej rozpacz, że rzucił się w stronę syna, żeby go przytulić. Chłopiec spojrzał na niego nieufnie.

- Mamy kłopoty?
- Nie - powiedział Dexter. - Mój Boże. Nie.

Omijał ich pokój od tygodni, bojkotując zbędne trofea, które z takim zapałem zdobywali w bezsensownych konkursach.

Od jego ostatniej wizyty zaszła jednak zmiana. Nigdzie nie było widać wrotek, trąbek sygnałowych, akordeonów i proc.

- Co się stało ze wszystkimi waszymi rzeczami?
- Oddaliśmy je do Świętej Małgorzaty - powiedział John—Martin.

- Dzieciom żołnierzy - dorzucił Phillip.

Dexter znów poczuł, że goni za wydarzeniami, które zdają się przed nim uciekać. Przez umysł przemknął mu obraz nachalnego księdza wyciągającego ręce po taki łup.

- Kiedy?

Chłopcy spojrzeli na siebie.

- Ostatnio - powiedział John-Martin.
- To znaczy niedawno?
- Niedawno - zgodzili się.

Między ich łózkami pojawiła się wąska ława i odtąd pełniły funkcję stołów warsztatowych. John-Martin siedział, mając przed sobą kawałek balsy, tubki kleju kauczukowego, papier woskowy i instrukcje do jakichś modeli Bluejacket.

- Samoloty? - spytał Dexter.
- Dlaczego każdy tak myśli? - naburmuszył się John—Martin.
- Statki - wyjaśnił Phillip. - Właśnie zaczęliśmy. - Po chwili dodał: - Niedawno.

Dexter po raz pierwszy zauważył, że wyzywający, niemiły ton Johna-Martina znajdował doskonałą przeciwwagę w przeproszającej pieszczocie w głosie Phillipa. Czy to była nowość?

- Dlaczego nie samoloty? - spytał.

Obaj chłopcy wbili w niego spojrzenie. Umknęło mu coś oczywistego.

- Grady - powiedzieli.
- Jak skończymy szesnaście lat, też wypłyniemy w morze -oznajmił John-Martin z ostentacyjną beztroską.
- Jeśli nam pozwolisz - zaznaczył Phillip. - I jeśli dalej będzie wojna.

Dexter czuł, jak szybkie brązowe oczy chłopców oceniają jego reakcję. Najwyraźniej byli świadomi zbiorowego uwielbienia, jakim darzono Grady'ego, bardziej, niż przypuszczał.

- Szesnaście lat to strasznie mało - odparł.
- Będziemy gotowi.
- Jeśli skończymy z wygłupami.

- Skończyliśmy w zeszłym tygodniu!
- Pomijając dzisiejszy ranek.

Ich okno wychodziło na morze. Dexter z przyzwyczajenia wypatrywał parady statków mijających Breezy Point.

- Patrzcie - powiedział. - Płynie tankowiec.
- Z werandy jest lepszy widok - odparł John-Martin.
- Obserwujecie statki z werandy? - Dexter był zaskoczony. Nigdy nie widział, żeby to robili.
- Jak nikogo nie ma w domu - przyznał się John-Martin.
- Czyli często - wtrącił Phillip.
- Chodźmy popatrzeć - zaproponował Dexter. - Ja też lubię to robić.

Gdy szli po schodach, zadzwonił telefon i Dexter odebrał w holu. Heels.

- Wszystko w porządku? - spytał Dexter.
- Dzisiaj z samego rana do Pines zadzwonił Frankie Q. -powiedział Heels. - Wspomniał, że coś się działo w hangarze dla łodzi. Chyba powinieneś tam zajrzeć po drodze.

Telefon od pana Q. był czymś niezwykłym.

- Ktoś tam był kilka tygodni temu - zadumał się Dexter.
- Frankie wydawał się... zdziwiony, że nie wiem, gdzie jesteś - powiedział Heels. - Wyjaśniłem mu, że nasze małżeństwo opiera się na zaufaniu.

Dexter się roześmiał.

- Jak na to zareagował?
- Martwą ciszą.
- W porządku. Już jadę.

Bliźniacy stali ramię w ramię przy poręczy na werandzie. John-Martin podał mu lornetkę.

- Popatrz, tato - powiedział. Po chwili dodał: - Usiądź.
- Będziesz miał pewniejsze ręce - wyjaśnił Phillip.
- A nie są pewne?

- Trzęsą się.

Dexterowi nigdy nie trzęsły się ręce. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien znowu zejść na dno portu, tak jak go wszyscy prosili.

- Moje też się trzęsą - zapewnił go Phillip.

Dexter oparł łokcie na poręczy i spojrział przez lornetkę. Chłopcy odruchowo objęli go za ramiona. Czuł łączącą ich organiczną miłość, pokrewieństwo kości. Ta scena spodobałaby się Harriet, spełniał obietnicę. Czekał, pozwalając, by oczy patrzące przez lornetkę zaszły mu mgłą, i odkładając chwilę, w której przyjdzie mu powiedzieć synom, że musi już iść.

*

Dexter wyczuł, że coś się święci, jeszcze zanim dotarł do hangaru dla łodzi. To była pułapka—wiedział o tym, choć nie wiedział skąd, i poczuł zadowolenie, uświadamiając sobie, że jego zmysły zachowały czujność, mimo że trzęsły mu się ręce, a za oczami czuł ostry, intensywny ból. Normalnie zabrałby ze sobą kilku chłopaków, ale cynk pochodził od Frankiego Q.— a więc od samego pana Q. Nie była to zatem pułapka w ścisłym znaczeniu tego słowa. To był teatr. Dexter miał rolę do odegrania, a pan Q. wiedział, że nie ma potrzeby go do niej przygotowywać. Dexter lubił działać spontanicznie.

Zaparkował przecznicę dalej, strzepnął pył z nowych oksfordów, wyprostował krawat i wszedł do hangaru dla łodzi. Naprzeciw wejścia stał zaparkowany czarny sedan, w samochodzie panowała martwa cisza. Cała sytuacja była bardziej sztuczna niż urodzinowe przyjęcie-niespodzianka.

Zadowolenie gwałtownie go opuściło, gdy otworzył drzwi i zastał w środku Badgera grającego w karty z dwoma bandziorami. Dexter tylko pobieżnie śledził losy swojego niegdysiejszego protegowanego, odkąd młody wprowadził loterię do dwóch pomniejszych klubów. Teraz spojrział na jego ręcznie malowany krawat ze spinką ozdobioną perłą i na kapelusz Borsalino. Badgerowi dobrze się powodziło, odkąd przyjechał do Nowego Jorku. Najwidoczniej jednak musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Badger i jego ekipa wyglądali świeżo; umyjni, ogoleni, po porannej kawie. To wydawało się dziwne. Skoro nie oni byli tu ostatniej nocy, to kogo Frankie widział w hangarze dla łodzi?

- Badger - powiedział Dexter. - Miło cię widzieć.
- Siadaj - odparł Badger z szorstką wielkodusznością kogoś, kto sądzi, że jest panem sytuacji. Dexter puścił to mimo uszu. Spojrział na

nieopierzonego kuzyna pana Q., czekając na kolejne zniewagi. Chłopcy Badgera wtopili się w ściany, a Dexter zajął jedno z krzesel.

- Napijesz się? - spytał Badger. Na stole stała butelka whisky Haig and Haig.

- Nie, ale dzięki.

- Wiesz, to nieuprzejmie zmuszać człowieka, żeby pił sam.

- No to nie pij.

Dexter rozparł się na krześle i założył nogę na nogę, żeby pokazać, jaki jest odprężony, i jednocześnie umieścić kaburę przy łydce w zasięgu ręki. Zakładając nogę na nogę, poczuł coś, co nazywają *déjà vu*: w tym samym hangarze dla łodzi siedział kiedyś naprzeciwko Kerrigana i patrzył, jak irlandus krzyżuje te swoje nogi kukielki. Siedział tam, gdzie teraz Dexter. Ale Kerrigan się napił.

- Jestem do twojej dyspozycji, Badger - odezwał się Dexter. - Co ci chodzi po głowie?

- Teraz mówią na mnie Jimmy.

- Co ty powiesz.

- Badger był w Chicago. W Nowym Jorku jest Jimmy. -Przesunął dłonią z lewa na prawo, ściskając oba miasta jak grejpfruty.

W Kerriganie nie było strachu, choć pewnie wiedział, co się święci. Dexter potrafił wyczuć czyjaś panikę z sąsiedniego pomieszczenia: zwierzęcy smród kojarzący się trochę ze skunksem, a trochę z seksem. Niektórych to podniecało, wzwidzione członki napierały na guziki spodni, gdy ofiary płakały i błagały o litość. Kiedy Kerrigan pewną ręką uniósł szklaneczkę i uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem, Dexter wyczuł jednak tylko ulgę.

„Za lepsze czasy” - powiedział. Dyżurny toast dziesięciolecia.

Gdy opróżniali szklaneczki, Dexter poczuł, że nie jest w stanie spojrzeć przyjacielowi w oczy.

- Myślałem, że przepadasz za Chicago - zwrócił się do Badgera.

- Jasne, to dobre miejsce dla amatorów.

Był beznadziejny: chłopak w portkach papugujący bandziora z filmu. Ruchomy cel.

- Dorosłeś - powiedział Dexter, zdobywając się na powagę. -Jimmy.

Po tych słowach Badger zrobił się wylewny.

- Kilka miesięcy temu kazałeś mi wysiąść ze swojego samochodu, pamiętasz?

- Jak przez mgłę.

- Nie mógłbyś zrobić niczego lepszego.

Dexter nabrał czujności. Przymilanie się było środkiem znieczulającym, prawie zawsze wstępem do czegoś mniej przyjemnego.

- Nauczyłeś mnie, żeby za dużo nie mówić - ciągnął Badger. - I teraz chcesz mi podziękować?

- Chyba tak.

- No cóż, jestem wzruszony. A teraz *tempus fugit*. Spieszę się na spotkanie.

- Spotkanie może poczekać.

Dexter rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- To nie ty mi mówisz, kiedy mam iść, Badger - powiedział powoli. - Tylko ja tobie.

- Jimmy.

Dexter wstał zniecierpliwiony, chcąc jak najszybciej mieć to z głowy. Tak jak się spodziewał, chłopaki Badgera chyłkiem zagroziły mu drogę do wyjścia i patrzyły na niego z gnatami w dłoniach i z minami przywodzącymi na myśl chorobę morską.

Teraz powinna byia na niego spłynąć inspiracja, na którą od lat zawsze mógł liczyć w tego typu sytuacjach. Jak przywrócić porządek i autorytet - złajac, nauczyć pokory i ukarać - nie zadając śmiertelnych obrażeń? Zmiażdżony palec, jasne. Noga złamana w kostce. Ale nic poważniejszego.

Dexter uśmiechnął się do Badgera.

- Już pytałem, co mogę dla ciebie zrobić - odezwał się. -Nie potrafisz odpowiedzieć bez wytaczania ciężkich dział?

- Też chcę cię czegoś nauczyć - odparł Badger. - Odwdzięczyć się, że tak powiem.

Alkohol natychmiast uderzył Kerriganowi do głowy - być może winna

była jego szczupła sylwetka. Wydawał się zdumiony, potem zdezorientowany, a później już tylko siedział, patrząc na Dextera w milczącym zamroczeniu. Dexter nie zawracał sobie głowy udawaniem zdziwienia. Spojrzenia, które wymienili, były jedyną rozmową, jakiej potrzebowali: żadnych wzajemnych oskarżeń, żadnych wyjaśnień. Zasady były jasne dla wszystkich. Głowa Kerrigana uderzyła w stół niespełna pięć minut po tym, jak wychylił zawartość szklaneczki. Jego ramiona ułożyły się w taki sposób, jakby za chwilę miał wstać. Dexter czekał, obserwując powolny oddech przyjaciela, a w piecyku trzaskał ogień. Dopiero gdy potrząsnął ramieniem Kerrigana i poczuł, że jego pogrążone w galaretowatym śnie narkomanów ciało lada chwila osunie się na podłogę, wstał z krzesła i zastukał w okno, wzywając szypra i chłopaków, którzy czekali w łodzi.

- Myślisz, że nikogo nad tobą nie ma - powiedział Badger.

- Każdy oprócz Boga ma kogoś nad sobą - odparł Dexter. - Ale to nie znaczy, że tym kimś jesteś ty, Badger.

- Jimmy! - ryknął Badger, waląc obiema dłońmi w stół - Ile razy mam ci, kurwa, powtarzać? Czyżby kręcenie się wokół gwiazd filmowych rozmiękczyło ci mózg?

- Badger lepiej do ciebie pasuje¹.

Wydostawał się już z pomieszczeń pełnych gnatów, Bóg mu świadkiem. Ale nie ostatnio. Był wtedy młodszy, szybszy w nogach, o kilka kilogramów lżejszy i gdyby kurtyna szybko opadła, miałby niewiele do stracenia. Tu nie chodziło o przetrwanie, chodziło o naukę. Chodziło o to, żeby dać przykład, ale nikogo przy tym nie zabić.

- Myślisz, że nie mogę cię tknąć — powiedział Badger. - Widzę to po twojej minie.

- Nie masz pojęcia, co myślę. - Ale Badger miał rację. Nie mógł go tknąć.

Dexter uświadomił sobie pewną sprzeczność: Frankie Q. zadzwonił z samego rana, gdy Badger zażywał jeszcze snu dla urody. Skąd pan Q. wiedział, że Dexter nie przyjedzie do hangaru od razu? Czyżby dotarły do niego słuchy o tym, co robił w nocy?

Jeśli tak było, Dexter odczytał sytuację na opak: to jemu zamierzano dać naukę, a pan Q. nie oczekiwał od niego lekcji, lecz przeprosin. Ta amatorska pułapka została zastawiona dla jego własnego dobra: zachowajmy to w rodzinie, uniknijmy publicznej reprymendy i wszelkiego prawdziwego

zagrożenia. To, że Dexter nie wziął pod uwagę takiej możliwości, było nietypowym dla niego błędem - być może konsekwencją bólu rozsadzającego głowę. Czyżby nurkowanie stępiło mu umysł? Teraz było już jasne, jak to ma wyglądać: ukorzy się przed Badgerem, a wieść o jego ukorzeniu się uspokoi pana Q., gdy będzie odwijał winorośl, szykując ją na nadejście wiosny. Dexter będzie działał tak jak dotychczas, tyle że prowadzony na krótszej smyczy. Badger zostanie Jimmym i będą sobie równi.

To wszystko układało się po jednej stronie, przewidywalne jak wschód słońca. Po drugiej leżało coś słabiej widocznego: nieprzenikniony krajobraz, mgotliwy i mroczny, pełny połyskliwego pyłu. Tajemnica.

Pan Q. był starym człowiekiem. Teraz już bardzo starym.

Dexter miał dość płaszczenia się. Płaszczył się przez większość życia. A tak naprawdę wcale nie musiał. Wiedział o tym, podobnie jak pan Q.

Z szybkością, o którą już by siebie nie podejrzewał, chwycił chłopaków Badgera za gardła i ścisnął, aż poczuł trzask chrząstek. Strzelali jak opętani. Jeden musiał trafić Badgera, bo ktoś krzyknął i hangar wypełnił się bólem. Potem Dexter leżał na podłodze, trzymając się za brzuch i przypominając sobie, że Murzyn ostrzegał go przed skurczami żołądka.

Nie były to jednak skutki choroby kesonowej. Badger strzelił mu w plecy.

Chłopak stał nad nim, a jego twarz przesyciała upiorna fascynacja człowieka wpatrującego się w ognisko. Wtedy Dexter uświadomił sobie, że na jego zamordowanie wydano zgodę. Ale jak? Jakie radykalne przeformułowanie świata umożliwiło taki akt? Odpowiedź nadeszła wraz z lodowatą pewnością: teść go opuścił. Stary się od niego odciął.

Badger stał nad nim z uniesionym i gotowym do strzału gnatem. Jak każdy gadatliwy zabójca chciał, by ofiara go wysłuchała, zanim ją wykończy. Dopóki Dexter będzie wyglądał, jakby słuchał, będzie żył. Utkwił spojrzenie w twarzy napastnika, a kontury tego, co się stało, ukazały mu się niczym elementy budynku we mgle: George Porter wygadał się zapobiegawczo, ze strachu, że zostanie zdemaskowany. Kanał, jaki Dexter pragnął przekopać między starym a panem Q. już powstał - być może istniał od lat. I obaj postanowili się go pozbyć.

Badger mówił chętnie, najwyraźniej schlebiało mu mimowolne zainteresowanie Dextera. Dexter nie słyszał jednak ani słowa. Wyślizgnął się z ram swojego umysłu niczym łódź oddalająca się od pirsu, gdy wciągają cumy. Wkrótce znalazł się na otwartych wodach, na twarzy czuł nocną wilgoć. Szyper stał obok niego, wyprostowany i władczy, jeszcze

nieskrzywiony przez udar. Kerrigan leżał skulony na pokładzie.

- Zapamiętasz, gdzie jesteśmy? - spytał Dexter szypra.
- Zawsze pamiętam.
- A jeśli każą ci zapomnieć?

Szyper uniósł ręce, czerwone i gruzłowate jak nowo narodzone cielęta.

- Są panami tego - powiedział. Potem popukał się w czaszkę i dodał: - Nie tego.

Chłopcy Dextera owinęli Kerrigana łańcuchem i przymocowali do obciążnika. Nikt nie chciał, żeby wypłynął na powierzchnię podczas kwietniowych roztopów. Teraz, gdy Dexter już odnalazł ten łańcuch, wiedział, że z jego przyjaciela nic tam nie zostało - ani kość, ani szew, ani kapelusz, ani nawet sznurówka. Ta anomalia napełniła go nadzieją. Odkrycie, którego dokonał poprzedniej nocy, wróciło do niego z niewymuszoną jasnością: kiedy unosił się w ciemnych wodach portu, poczuł, jak zacierają się jego własne kontury, a nagły prąd wyskoczył z jego wnętrza ku jaśniejącemu przeczuciu przyszłości. To, co tak bardzo próbował zrobić, już mu się udało! Był Amerykaninem! Żądza i pragnienie, które wrzały w jego żyłach, pomogły mu ukształtować wszystko, co miało jeszcze nastąpić.

- Uśmiechasz się - powiedział Badger. - Wiesz coś, czego ja nie wiem?

Nie odrywając wzroku od Badgera, Dexter zatopił się w ciszy, która potem nastąpiła, dzieląc ją na pół, i znów na pół, z postanowieniem, że nie dotrze na przeciwległy brzeg. Wpadł w bezruch, ciemność otoczyła go niczym woda w porcie, wtedy gdy na pokładzie łodzi pomagał swoim chłopakom podźwignąć skute łańcuchem i obciążone ciało Kerrigana na nadburcie i zepchnąć je do wody.

Eddie nie ruszał się wystarczająco długo, by nikt patrzący z góry nie zauważył, jak znika. Potem zaczął wykonywać spastyczne, wijące się ruchy, które ćwiczył w umyśle, odkąd zaczął udawać nieprzytomnego - z początku nieśmiało, spodziewając się poniekąd, że Styles skoczy na równe nogi i spyta, co się dzieje. Eddie przeczuwał, co się święci, i zjawił się w hangarze dla łodzi uzbrojony w kilka sprytnych narzędzi ze swoich wodewilowych czasów: w żyłetki zaszyte pod podszewką spodni i wytrych wtulony między żuchwę a dziąsło. Bał się, że go połknie podczas picia, ale ostatecznie wcale nie musiał udawać. Styles odwrócił wzrok i Eddie wylał zawartość szklaneczki przez ramię.

Zostawił swoje sprawy uporządkowane, druga książeczka

oszczędnościowa leżała otwarta na komodzie i czekała na Agnes, która o niczym nie miała pojęcia. Był to jedyny warunek, jaki postawił Bartowi Sheehanowi: jego żona nie może się o niczym dowiedzieć, nawet gdyby doszło do najgorszego. Zwłaszcza wtedy. Świadomość zachęcała do działania, a Eddie wolał zostać zapamiętany jako drań najgorszego sortu, niż ryzykować, że Agnes będzie ćwiczyła się w determinacji, próbując odkryć, kto go załatwił. To było zbyt niebezpieczne. Mężczyźni bez przerwy porzucali rodziny - szubrawcy, których, jak zawsze powtarzał, powinno się wsadzać do więzienia. Gdyby jednak został zamordowany, właśnie tak by go zapamiętano. Bardzo często przypominał sobie o tym fakcie i czasami ze zdziwieniem odkrywał, że wciąż jeszcze żyje, wciąż jest w domu, gdzie jego obecność stała się zbędna. Kiedyś liczył się dla Anny, ale już nie. Być może odczułaby ulgę, gdyby się go pozbyła.

Obciążony łańcuch ciągnął go w dół tak szybko, że myślał, że ciśnienie wody rozgniecie mu czaszkę, tak jak but rozgniaty orzech. Wijąc się, zdołał wyswobodzić nogę, potem rękę, aż wreszcie łańcuch z obciążnikiem odłączył się od jego ciała, pędząc dalej w stronę dna. Nikt nie skuwał nieprzytomnego człowieka z taką starannością, z jaką skuwałby w pełni przytomnego.

Zaczął szaleńczo wierzgać nogami w samych skarpetkach, machając rękami i sięgając w stronę tego, co - modlił się, żeby tak było - miało się okazać powietrzem. Lecz była to woda, ciągle woda, aż w końcu pomyślał, że przez pomyłkę popłynął w przeciwną stronę. Jego serce zwolniło, a nogi stały się ciężkie, nieprzytomność obmacywała go grubymi, futrzanymi palcami. W końcu przeciął powierzchnię, słabo łapiąc powietrze. Właśnie wtedy był najbliższy utonięcia, gdyż zupełnie opadł z sił. Leżał na plecach pod żółtawym nocnym niebem, poruszając rękoma jak płetwami, żeby utrzymać się na powierzchni. Oddychał i oddychał, a nośna słona woda go ocaliła.

Minęło dużo czasu, zanim odzyskał siły na tyle, by rozejrzeć się w poszukiwaniu brzegu. To nie był Brooklyn. Zaczął płynąć. W wodzie nadal wyczuwało się delikatną nutkę lata. Płynął jeszcze długo po tym, jak spożytkował ostatnie zapasy energii, jakby czerpał z pustego zbiornika w nadziei, że jakimś cudem znajdzie w nim coś więcej. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, jeszcze trochę”, powtarzał sobie i o dziwo za każdym razem wydobywał akurat tyle sił, by starczyło na kolejny ruch.

Morze wyrzuciło go na południowym brzegu Staten Island, niedaleko małego doku. Jakiś rybak zabawił tu dłużej niż zwykle, ścigając ławicę okoni, dzięki czemu miejsce było wystarczająco dobrze oświetlone, by zauważył czyjeś ciało pozostawione przez odpływ na błotnistej płyciźnie. Założył, że to

zwłoki, i z przerażeniem pomyślał o długiej drodze do najbliższego telefonu, z którego powinien był zawiadomić policję, lecz gdy przywiązał łódź i spojrzął jeszcze raz, zauważył, że ciało się trzęsie.

Jego żona napuściła do wanny zimnej wody i dolewała wrzątku, aż kąpiel stała się ciepława. Wsadzili Eddiego do środka, a potem mężczyzna wsunął mu ręce pod pachy i podtrzymał go w pozycji siedzącej, podczas gdy jego żona gotowała kolejne porcje wody w czajniku i stopniowo, godzinami, zwiększała temperaturę wody, aż ta zrobiła się niemal gorąca. Gdy Eddie wreszcie przestał się trząść i jego policzki odzyskały kolor, wytarli go, nasmarowali lanoliną, owinęli puszystymi kocami i położyli na pościeli przed piecem. Rybak przyłożył ucho do serca Eddiego i stwierdził, że bije mocniej, regularniej niż wcześniej.

Eddiego zbudziła gorączka, rozglądał się w poszukiwaniu znajomej twarzy, lecz zobaczył jedynie jakąś kobietę z paskiem siwizny przy przedziałku. Czasami był też mężczyzna, który dłońmi śmierdzącymi rybami dotykał jego czoła i klatki piersiowej. Eddie pomstował na tych dwoje - ukradli mu kieszonkowy zegarek. Rozmawiali o tym, czy nie zawieźć go do szpitala. „Nie”, mamrotał. „Nie!” I starał się więcej nie wspominać o zegarku.

Gdy gorączka minęła, usiadł na krześle w kuchni, owinięty kołdrą z pierza. Harlan, rybak, nalał im obu po szklaneczce czystego alkoholu, który smakował jak żytni chleb. Jego wnuk odrabiał lekcje przy stole obok pieca. Harlan był Norwegiem, urodził się w Ameryce. Jako mały chłopak łowił ryby razem z ojcem, zaopatrując w nie homarowe pałace, Rector's i Cafe Martin, Shanley's. Rybacy zabawiali siebie nawzajem plotkami o ogromnym apetycie Diamonda Jima Brady'ego i Lillian Russell: tych dwoje zjadło czternaście homarów w ciągu jednego wieczoru i dama musiała zdjąć gorset. Eddie słuchał, mając w zanadrzu własną historię - „Wypadłem ze statku” -lecz pytanie o to, dlaczego znalazł się w porcie, nigdy nie padło. Rozumiał. Wiedza o cudzych kłopotach czyniła je także twoimi kłopotami, a Harlan ledwo wiązał koniec z końcem, łowiąc ryby, by wykarmić rodzinę, i dostarczając je sąsiadom w zamian za jajka, jabłka i mleko.

Z każdym nowym dniem Eddie czuł rosnący ciężar swojego życia, tak przecież nieodległego. Jego umysł był zbyt słaby, by mógł sobie wyobrazić, co powinno teraz nastąpić. Czuł, że będą musieli uciec z Nowego Jorku - ale dokąd? Do rodziny Agnes w Minnesocie, która nim pogardzała? Szczełby w tej błotnistej krainie pobekujących zwierząt oddalonej o setki kilometrów od morza. Gdzieś, gdzie nikogo nie znali? Eddie poczuł, że chwyta się kurczowo różnych form rekonwalescencji, zamykając oczy i usiłując zasnąć.

Ale Harlan zauważył.

- Wyzdrowiałeś - powiedział. - Jutro mi powiesz, dokąd cię zawieźć.

O wschodzie słońca zawiózł Eddiego łodzią do doków na West Side. Jakiś frachtowiec z Brazylii właśnie zakończył kwarantannę, setki chętnych do pracy czekały na poranną zbiórkę, drapiąc się, paląc, opowiadając kawały nad rzeką. Dunellena już nie było, a Eddie nie znał nowego człowieka wybierającego ludzi do pracy. Był wrzesień tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego.

Trzymał się na uboczu, nie wyjmując rąk z kieszeni luźnych spodni, które dostał od Harlana. Kapelusz naciągnął głęboko na oczy. Zardzewiały kadłub Sea Cow szorował o pirs jak kundel ocierający parszywą skórę o drzewo. Wędrowny statek nieposiadający stałej trasy niechętnie wydawał ładunek złożony z melonów, kauczuku i orzechów kokosowych. Spowijało go leniwe samozadowolenie, niczym starą kurwę, która wie, że zmonopolizowała rynek. Gdy poranny rozładunek dobiegł końca, Eddie wszedł po trapie, tak jak kiedyś wchodził obserwowani przez niego przestępcy, moczymordy i ćpuny najróżniejszego sortu. Wtedy zawsze się zastanawiał, jaka desperacja może popchnąć człowieka do takiego kroku. Zatrudniono go w podejrzanych okolicznościach, nie musiał niczego podpisywać, i przydzielono do ładowania węgla: najpodlejszego ze wszystkich zajęć w maszynowni. Gdy jednak schodził po śliskich drabinach w głąb skwarne podbrzusza statku, uważał się za szczęściarza. Oto jak wielkie przerażenie budziła w nim wizja powrotu do domu.

1

Badger (ang.) - borsuk, ale też: wiercić dziurę w brzuchu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Trzy dni po tym, jak konwój się rozproszył - trzy nerwowe dni, które upływały pod znakiem bezchmurnego nieba i spokojnego morza, wymagały płynięcia zygzakiem dniami i nocami, aż frustracja kapitana zaczęła przelewać się przez statek - barometr zaczął litościwie opadać. Iskra codziennie notował prognozę pogody i dostarczał ją kapitanowi Kittredge'owi. Zanosilo się na duży sztorm. Eddie usłyszał radosny okrzyk kapitana aż w sterówce.

Cały czas byli w gotowości bojowej, niebo zasnuło się chmurami i zerwał się silny wiatr. Kapitan poradził pierwszemu oficerowi, by porzucili kurs wymijający, choć sztorm miał się zacząć dopiero nazajutrz wczesnym rankiem.

- Mimo że morze jest spokojne, panie kapitanie? - spytał pierwszy oficer.

- Właśnie z tego powodu - odparł Kittredge. - Zła pogoda znowu nas spowolni. To nasza jedyna szansa, by nadrobić trochę czasu.

Między ósmą wieczorem a północą, gdy Eddie pełnił wachtę, Elizabeth Seaman odprawiała swoje tradycyjne czary, wyciągając dwanaście węzłów. Wskazówka barometru nadal opadała, a drzwi zamknięto i zabezpieczono, by fale nie mogły się wedrzeć do pomieszczeń na śródkręciu. O północy Eddiego zmienili Farmingdale i Roger, kadet pokładowy, który teraz pełnił wachtę razem z drugim oficerem. Pomysłodawcami tej zmiany byli Eddie i pierwszy oficer. Od pobytu w Kapsztadzie żaden z nich nie ufał Farmingdale'owi.

Gdy Eddie był już gotów się położyć, statek sunął po coraz większych falach. Kerrigan po raz ostatni wspiął się na mostek, żeby zajrzeć do Rogera, który cierpiał na chorobę morską i był przerażony, gdy Elizabeth Seaman przedzierała się przez strefę ryczących czterdziestek.

- Wiem, że nie lubisz wzburzonego morza - powiedział do kadeta. - Ale pamiętaj, że u-booty też za nim nie przepadają.

- Zmieniłem się — odrzekł Roger z nieśmiałą dumą. — Przyzwyczailem się do kołysania, tak jak mówiłeś.

Eddie zauważył zmianę, jaka zaszła w kadecie - Roger pozbył się niezdarnej chwiejności i wydawał się wyższy, a może rzeczywiście urósł podczas tej wyprawy. Kerrigan stanął obok niego i spojrzał na morze. Wzmagający się wiatr przegonił stratusy i spędzał spiętrzone cumulusy.

Księżyc w pierwszej kwadrze ukazywał się migotliwie, jakby nadawał alfabetem Morse'a. Eddie przeszedł na lewą stronę mostku, gdzie znajdował się Farmingdale, i poczuł, jak drugi oficer sztywnieje. Jego wyraźny dyskomfort w połączeniu z ponagląjącym księżycem wzbudziły w Eddie'ciu niepokój. Farmingdale patrzył na morze, lecz trudno było się domyślić, co - o ile cokolwiek - widzi. Lornetka wisiała na jego szyi.

- Mogę popatrzeć przez szkiełka, drugi?

Farmingdale podał mu lornetkę. Eddie wspiął się na pomost nawigacyjny i okrążył cały komin, przyciskając ją do oczu.

Księżyc zniknął za chmurami, a jego światło ledwie muskało wypukłości oceanu. Dwa punkty w lewo od rufy Eddie zauważył prostą ciemną krawędź. Zamrugał i opuścił lornetkę, po czym uniósł ją z powrotem. Krawędź nadal tam była: prosta linia, jakiej nie spotyka się w naturze. To musiał być kiosk łodzi podwodnej - jego wystająca część - lecz niedowierzanie nie opuszczało Eddiego, nawet gdy krzyczał w dół drabiny do Rogera:

- Wezwij kapitana! Dzwonię na alarm bojowy!

Kapitan Kittredge zjawił się błyskawicznie. Odepchnął Farmingdale'a łokciem i przysunął lornetkę do oczu. Potem warknął na Reda, mata stojącego u steru:

- Ostro w prawo! - A do Eddiego, który siedział już przy telegrafie służącym do komunikacji z maszynownią, rzucił: -Cała naprzód! Pokażcie mi wszystkie obroty, jakie uda nam się wycisnąć.

Eddie przekazał rozkaz maszynowni i w odpowiedzi poczuł pod stopami wibracje, gdy mechanicy otworzyli przepustnicę. Mat mocno obrócił ster. Alarm bojowy ściągnął wszystkich na pokład i ludzie pędzili do swoich stanowisk przy karabinach i do maewestek, jak czule nazywano kamizelki ratunkowe. Korzystając z telefonu awaryjnego na pomoście nawigacyjnym, kapitan Rosen dał rozkaz, by ostrzelać kiosk z pięciocalowego działa na rufie. Wietrzną ciemność rozerwał huk i kiosk się zanurzył, wychodząc z tego bez szwanku. U-booty wyciągały pod wodą jedynie siedem węzłów. Elizabeth Seaman z łatwością by go prześcignęła,

Eddie stał w pobliżu, gotowy do obsługi telegrafu. Nagle Roger wrzasnął mu w twarz. Pokazał coś palcem i Eddie zobaczył drugi kiosk łodzi podwodnej, w pełni odsłonięty, trzy punkty w prawo od dziobu. Po ostrym skręcie sunęli prosto na niego. W tej samej chwili statkiem wstrząsnęła eksplozja. Luki gwałtownie się otworzyły, a sterczące nad głowami bomby runęły na pokład. Elizabeth Seaman zadrżała i jej komin wypluł kulę ognia,

którego pomarańczowy rozbłysk oświetlił wszystkich na pokładzie, po czym trzaskając jak olbrzymie rozpuszczające się słońce, odpłynął ku morzu. Rozniósł się smród płonącego oleju, a po nim nastąpiła niezmacona cisza, bowiem silniki statku znieruchomiły.

Eddie popędził po drabinkach przez ciemne śródokręcie w stronę maszynowni. Światła awaryjne na grodziach włączały się po przekręceniu o ćwierć obrotu, więc po drodze zapalił kilka z nich i poczuł, jak w ustach gromadzi mu się oleisty pył. Zobaczył dym wydobywający się przez drzwi maszynowni. Ochylski, trzeci mechanik, wyszedł przez nie chwiejnym krokiem, zakrwawiony i przesiąknięty smarem.

- Kocioł wybuchł - wydyszał.

Eddie przecisnął się obok niego i zjechał po barierkach, prawie nie dotykając drabinek stopami. Nie zdołał się jednak dostać na pokład maszynowy, płomienie były zbyt wysokie. Na pewno nie przeżył nikt, kto pełnił na dole wachtę. Pobiegł do swojej kajuty, narzucił maewestkę, złapał zestaw ewakuacyjny i latarkę. Usłyszał huk przedniego trzycalowego działa i wtórujące mu tylne, pięciocalowe, i wyobraził sobie, jak u-booty dają nura, by uniknąć pocisków, a potem targa nimi wzburzone morze i nie są w stanie więcej strzelać. Na pokładzie łodziowym przywiązał torbę z ubraniami, sekstantem, papierosami, brandy i broszurką *O ewakuacji ze statku* do przydzielonej mu czwartej szalupy. Żurawiki już wysunięto, lecz Eddie wahał się przed odwiązywaniem szalup przy porywistym wietrze, zanim wydano rozkaz opuszczenia statku. Dopóki pożar nie wydostawał się spod pokładu i Elizabeth Seaman utrzymywała równowagę, podczas sztormu byli znacznie bezpieczniejsi na pokładzie niż w szalupach ratunkowych.

Druga torpeda eksplodowała, jakby trafiła Eddiego w mostek. Najwidoczniej wystrzelił ją pierwszy u-boot, albo może trzeci, którego nie zauważyli, bo trafiła ich pod linią wody z lewej burty, za śródokręciem, między czwartą a piątą ładownią. Po chwili dało się słyszeć gwałtowne dudnienie w głębi statku. Eddie nigdy nie słyszał takiego dźwięku, ale wiedział, że to odgłos towarzyszący wdzieraniu się oceanu do ładowni. Prawie natychmiast rufa zaczęła przechylać się ku morzu. Kapitan Kittredge wydał rozkaz opuszczenia statku i zapanowała atmosfera jak ze snu, a dezorientację potęgowały ciemność i fale uderzające wściekle w martwy kadłub jak kot próbujący ożywić wyczerpaną mysz. Pugh, stareńki trzeci kucharz, nadal trwał na swoim stanowisku przy dwudziestomilimetrowym działem na pomoście nawigacyjnym. Eddie wziął go za ramię i pociągnął w stronę jego szalupy - drugiej, jak sobie przypomniał. Na pokładzie średniówki

zajrzał do Iskry. Radiooperator wpychał książki kodowe do perforowanych metalowych walizek, w których miały pójść na dno.

- Biegnij do swojej szalupy - powiedział Eddie. - To ta z numerem jeden.

- Co ci się, kurwa, tak śpieszy, chłopie? - spytał Iskra ze śmiechem. - Na razie żaden z tych dupków mi nie odpowiedział. Nadam sygnał SOS jeszcze jeden pieprzony raz. -Radio, korzystające w tej sytuacji z zasilania awaryjnego, wyglądało na pozbawionym prądu statku wyjątkowo żywo.

Eddie zaproponował Iskrze, że zanieś je do szalupy kapitana. Łącznościowiec ucałował go w policzek.

- Niech cię, kurwa, Bóg błogosławi, trzeci - powiedział.

Eddie chwycił nieporęczne radio awaryjne ze sterówki.

Miał wrażenie, że czas rozpostarł się jak wachlarz, umożliwiając mu poruszanie się nie tylko do przodu, ale i na boki, dzięki czemu mógł wykonać wszystkie czynności, mimo że pokłady Elizabeth Seaman coraz bardziej się przechylały. Na zatłoczonym pokładzie łodziowym umieścił radio w pierwszej szalupie, kapitańskiej. Po przeciwnej stronie, na bakburcie, szalupa oficerska była już na morzu: dwaj mężczyźni wiosłowali, reszta przykucnęła na dnie, by łódź była stabilniejsza wśród wysokich fal, które pchały ją z powrotem na kadłub statku. Bosman klęczał przy sterze i mimo porywistego wiatru Eddie słyszał wyrzaskiwane przez niego rozkazy. Wiedział, że druga szalupa zdoła odpłynąć.

W miejscu, gdzie powinna była czekać jego szalupa, zastał Ochylskiego, swojego zastępcę, który stał przy żurawiku i patrzył w dół. Szalupę opuszczono pustą i teraz unosiła się beużytecznie po zawietrznej.

- Co się stało, do diabła?! - wrzasnął Eddie do trzeciego mechanika, przekrzykując wiatr.

- Po prostu... zjechała - powiedział Ochylski. Jego twarz pod warstwą oleju opałowego była śmiertelnie blada, bez fajki wydawała się pusta. Eddie pomyślał, że Ochylski jest w szo-ku. Być może spuścił szalupę przez przypadek.

- Nieważne - odparł, starając się stłumić nawykową potrzebę znalezienia winnego. Szalupy o ostrych rufach były przestronne i w dwóch następnych zostało aż nadto miejsca dla wszystkich. Dokładnie naprzeciwko, na bakburcie, spuszczano na wzburzone morze szalupę Farmingdale'a, a chmara mężczyzn szykowała się do zejścia po żurawiku. Za chwilę miała zostać

spuszczona także pierwsza szalupa, kapitańska. Eddie stał w strugach deszczu. Czuł dziwną niechęć do opuszczenia Elizabeth Seaman. Podeszwami stóp wyczuwał podwodne eksplozje, gdy morze wlewało się do jej pomieszczeń, uderzało w gorący kocioł. W kłębach żywej sadzy wydobywającej się z komina dostrzegł ładunek, który z takim trudem umieszczali i zabezpieczali na pokładzie: shermamy, jeepy. Tyle starań, obaw i kosztów. Odnosiło się wrażenie, że ocalenie wyłącznie ich życia to za mało.

W głowie zaświtała mu myśl: Iskra. Łącznościowiec był przydzielony do pierwszej szalupy, kapitańskiej, lecz gdy Eddie powiódł wzrokiem po tłumie mężczyzn czekających, by zjechać po żurawiku, nie zauważył go. Dał nura z powrotem na śródkręcie, przechylone już pod obłądnym kątem, i wspiął się na mostek. Znalazł Iskrę na krześle, równie nieruchomego jak jego radio, i szarpnięciem postawił go na nogi.

- Zostaw mnie, kurwa, w spokoju - powiedział Iskra słabym głosem.
- Chodź, ty kulawy zasrańcu. - Rozwścieczony Eddie zarzucił sobie Iskrę na plecy i powoli zniósł go po drabinie na pokład łodziowy.
- Wścibski drań - mruknął radiooperator.

Wszystkie cztery szalupy spuszczone i na pokładzie łodziowym zrobiło się pusto. W ulewnym deszczu Eddie widział, że rufa Elizabeth Seaman zanurzyła się do połowy bezanmasztu, fale rozpryskiwały się na tylnym dziale. Od zawietrznej tratwa pontonowa automatycznie zjechała z pochylni i unosiła się obok pokładu. Eddie, nadal niosąc łącznościowca na plecach i czując, jak jego metalowa szyna obija mu się o pięty, zszedł po omacku na główny pokład i zaczął zsuwać się bokiem po pochyłości godnej San Francisco, uważnie, żeby się nie poślizgnąć na gładkim żelaznym pokładzie. Zaniósł Iskrę do miejsca, w którym unosiła się tratwa, przyciągnął ją do siebie za faleń i po trosze przeturlał, a po trosze przerzucił Iskrę ponad nadburciem na drewnianą kratę. Gdy sam wskakiwał przez barierkę, usłyszał nad głową głośnie dudnienie: ładunek odrywał się od pokładu dziobowego, który stał już niemal pionowo. Czołgi i jeepy zrywały łańcuchy i toczyły się niczym głazy, ścinając bomby i maszty, miażdżąc kolejne pomieszczenia na śródkręciu, wpadając z impetem na pokład rufowy przy wtórze eksplodujących metalowych części, by w końcu runąć do morza. Eddie próbował przeciąć faleń przytwierdzający tratwę do statku, przekonany, że rozpędzony ładunek zmiażdży także jego i Iskrę. Lina była jednak wzmocniona drutem i nie mógł sobie z nią poradzić nawet jego nóż myśliwski. Elizabeth Seaman piszcziała i drżała w agonii udręczonej stali, gdy Eddie pośpiesznie wyjmował siekiere przymocowaną do tratwy. Zanim

jednak zdążył zamachnąć się na faleń po raz drugi, skazane na klęskę cielsko statku wydało z siebie bolesny, bekliwy, pierwotny jęk i wsunęło się pod powierzchnię morza, ciągnąc za sobą ich tratwę. Eddie i Iskra zostali w wodzie. Objął klatkę piersiową łącznościowca, przygotowując się na wir, i w mgnieniu oka wróciło do niego zapisane w ciele wspomnienie chwili, w której ratował chłopaków na Rockaway Beach.

- Wstrzymaj oddech - krzyknął do Iskry.

Nie było jednak żadnego wiru. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się statek, bulgotało spienione morze, odpychając Eddiego i Iskrę.

Eddie rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu szalup ratunkowych, lecz w deszczu, ciemności i wśród wysokich fal żadnej z nich nie widział. Dostrzegł skupisko czerwonych światełek przy maewestkach: prawdopodobnie drugą tratwę pełną ludzi. Trzymając Iskrę za klatkę piersiową, położył się na plecach i zaczął przebierać nogami, żeby do niej podплыnąć. Łącznościowiec był bardzo drobny, ptakopodobny zlepek kości i ciała bez choćby płaszczka, a co dopiero kamizelki ratunkowej. Eddie poczuł, jak morzem pod nimi wstrząsają konwulsje, gdy statek poszedł na dno. Powierzchnia pokryła się olejem - czuł jego smak, miał go w oczach i w nosie. Przebierał nogami i wolną ręką, rozglądając się od czasu do czasu, by sprawdzić, czy nadal płynie we właściwym kierunku. W końcu ktoś go wyciągnął, nadal ściskającego Iskrę. Leżał na tratwie, nie wiedząc, czy łącznościowiec żyje. Gdy w końcu otworzył oczy, zobaczył obok siebie Boguesa, bosmana artylerzystę z marynarki wojennej.

- Diabelnie dobry z ciebie pływak - powiedział Bogues.

Eddie zaczął wymiotować na drewnianą kratę tratwy. Iskra też wymiotował, co prawdopodobnie oznaczało, że przeżył. Już gdy cuchnące olejem wymiociny Eddiego wpadały do cuchnącego olejem morza, jego umysł wyteżał się, przesiewał fakty: Bogues był przydzielony do szalupy Farmingdale'a, tej z numerem trzy. Dlaczego znalazł się na tratwie? Czyżby trójka zatонуła? Tratwa była zbudowana z identycznych drewnianych krat o rozmiarach trzy na cztery metry i wciśniętych między nie stalowych pływaków. Eddie zaczął rękę o drewno i trzymał się go. Fale były ogromne, lecz plamy ropy ze statku uniemożliwiały im rozpryskiwanie się, dzięki czemu tratwa sunęła po grzbietach. Eddie raz po raz podnosił głowę, by rozejrzeć się za statkiem, lecz w miejscu, gdzie jeszcze pół godziny temu unosiło się siedem tysięcy ton zespawanej stali wypełnionej dziesięcioma tysiącami ton ładunku, nie pozostał nawet ślad -ani zagłębienie, ani nawet wzburzona powierzchnia - będący wspomnieniem czarodziejki, która niosła

ich przez pół świata.

Od Boguesa, który leżał obok, dowiedział się, że fale roztrzaskały trzecią szalupę o bok statku. Do tratwy udało się dotrzeć wszystkim oprócz rannego mechanika, który zniknął w wodzie.

- Ochylski utonął? - spytał zaniepokojony Eddie.

Bosman artylerzysta nie wiedział jednak, jak nazywał się ten mechanik, i Eddie nie chciał dopuścić myśli, że chodzi o Ochylskiego. Wyobraził sobie trzeciego mechanika trzymającego pętlę liny ratowniczej obiegającej tratwę, uśmiechającego się sardonicznie w obliczu tarapatów. Bogues powiedział, że razem z Eddiem i Iskrą jest ich na tratwie dwudziestu dziewięciu - o czterech więcej, niż przewidywała jej konstrukcja.

Sztorm rozpętał się na dobre, próbując wyssać ich z tratwy, jakby byli drobinkami jedzenia, które utkwily mu między zębami. Wśród błysków piorunów Eddie liczył towarzyszy, ze słabnącą nadzieją hazardzisty po okresie dobrej passy - cztery siódemki - tak, a do tego jeszcze on: dwudziestu dziewięciu. Tratwa wspinała się na fale tak wysokie, że siła morza w każdej chwili mogła rzucić ją w tył, strącając ludzi i zatapiając Iskrę, którego przywiązał do kawałka drewna swoim paskiem. Za każdym razem tratwie udawało się jednak prześlizgnąć po grzbiecie i zsunąć do koryta, by po chwili rozpocząć kolejną wspinaczkę. Wkrótce Eddie przestał liczyć mężczyzn i pomacał stopą w poszukiwaniu metalowej szyny Iskry. Ramię, które przywiązał do desek, zeszywniało jak wskutek stężenia pośmiertnego. Nie był już w stanie odróżnić góry od dołu. Chwilami zapadał w niespokojny, urywany sen. Morze rozjaśniała jakaś poświata: Eddie wiedział, że to plankton, spotkał się z tym zjawiskiem na Pacyfiku. Teraz blask wydobywał się jakby z dna oceanu: z Elizabeth Seaman i innych zatopionych statków, setek na przestrzeni wieków, wysyłających sygnały z głębin.

Ranek przyniósł wzburzonemu, dezorientowanemu morzu brudne światło. Najgorsza część sztormu minęła. Zniknęło sześciu z nich: pierwszy kucharz, mat zwany Czerwonym, jeden artylerzysta, motorzysta, steward i Pelemonde, rozmarzony starszy marynarz będący ulubieńcem załogi pokładowej. Zostali Bogues, Farmingdale, dwaj kadeci oraz zbieranina żołnierzy marynarki wojennej, starszych marynarzy i palaczy, a wreszcie Iskra, unieruchomiony za pomocą paska Eddiego. Pugh, stary wilk morski, jakimś cudem też się utrzymał. „Faceci z żelaza na statkach z drewna”. Przez dłuższy czas prawie się do siebie nie odzywali, pogrążeni w myślach o utraconych towarzyszach. Eddie myślał między innymi o Ochylskim, którego nigdzie nie było widać.

Farmingdale był najwyższym stopniem, co czyniło z niego dowódcę tratwy, a Eddiego jego zastępcą. Mimo wszystkich swoich zastrzeżeń do drugiego oficera Eddie cieszył się, że mają na pokładzie nawigatora. Co lepsze, Iskra zameldował, że dostał odpowiedź na sygnał SOS, a to oznaczało, że kiedy sztorm ucichnie, mają duże szanse na ratunek.

W południe, gdy nadal od czasu do czasu padał deszcz, ktoś zauważył wśród fal płynącą w oddali mocno zanurzoną szalupę - być może przeładowaną. Sięgnęli po wiosła, a Eddie zrobił do każdego z nich dulki, owijając je kawałkami liny ratowniczej - poznał tę sztuczkę dzięki broszurce. Bosman artylerzysta i palacz ukłękli przy wiosłach, a inni przytrzymywali ich z przodu i z tyłu. Gdy zdołali podpłynąć na tyle blisko, by zobaczyć łódź wyraźniej, okazała się pusta i zalana wodą. Musiała to być szalupa Eddiego, ta z numerem cztery, którą za wcześnie spuszczone. Mieli ogromnego farta. W porównaniu z pontonową tratwą szalupa ratunkowa była pałacem: prawie osiem i pół metra sześciennego schronienia, a do tego wyposażenie i zapasy, nie wspominając o żaglu i sterze. W środku na pewno był przywiązany zestaw ewakuacyjny Eddiego zawierający sekstant, koce i dodatkowe wodoodporne racje żywnościowe. Papierosy najprawdopodobniej zamokły, lecz butelka południowoafrykańskiego rumu byłaby niezwykle mile widziana.

Przywiązali tratwę do szalupy, po czym zaczęli się przesiadać i wybierać wodę. Ku zdumieniu Eddiego okazało się, że szalupa jest oznaczona cyfrą dwa - była to zatem szalupa pierwszego oficera - lecz torbę znalazł dokładnie w tym miejscu, w którym umieścił własną. Zaintrygowany otworzył ją i w środku ujrzał mnóstwo książek napęczniałych od morskiej wody i zmienionych w rozmiękłą papkę. Zadrżał ze strachu i zrozumiał: tylko jeden człowiek na świecie ratowałby z tonącego statku torbę wypełnioną książkami. A po raz ostatni widział bosmana u steru szalupy pierwszego oficera, tej z numerem dwa, która odpłynęła pierwsza.

Podzielił się swoimi wnioskami z Farmingdale'em.

- W tej szalupie było siedemnastu ludzi w kamizelkach ratunkowych - powiedział. - Musimy szukać tych, którzy przeżyli.

Farmingdale wykonał sceptyczny gest, lecz Eddie nie ustępował, jednogłośnie popierany przez innych członków załogi.

W końcu drugi oficer wzruszył ramionami i niezadowolony został na tratwie, podczas gdy reszta szykowała szalupę do poszukiwań. Pugh, stary wilk morski, orzekł, że wiatr nadal wieje zbyt mocno, by postawić żagiel. Zniknął zestaw wiosła i dulek z szalupy, lecz zapasowe wciąż leżały w

schowku. Postanowili wiosłować po obwodzie kwadratu, tysiąc pociągnięć wiosła w każdą stronę, i co pięć pociągnięć dmuchać w gwizdki przy kamizelkach. Wszyscy, łącznie z Farmingdale'em, przenieśli się z tratwy do szalupy, lecz tratwy nie odwiązali, nie mieli bowiem pewności, ilu ocalałych uda im się znaleźć. Eddie ostrożnie otworzył stalowy cylinder z racjami żywnościowymi i dał każdemu porcję suszonego mięsa, dwie tabletki z mleka w proszku oraz dwieście mililitrów wody z zapasów -uzupełnionych zaledwie cztery dni wcześniej - odmierzając ją emaliowanym kubkiem z podziałką.

Uszy Eddiego zaczęły płatać mu figle, gdy tylko przystąpili do wiosłowania. Zdawało mu się, że każdą chwilę ciszy wypełnia ludzkie wołanie, lecz dokończyli przeczesywanie wschodniego odcinka wyznaczonego kwadratu, nie zauważając nikogo. Skręcili na południe, zmieniając się przy wiosłach. Trzysta pociągnięć dalej kilkoro ludzi usłyszało słabutki gwizd i siedzący na dziobie Roger krzyknął. Na trawersie bakburty Eddie dostrzegł migoczącą drobinę, która wyglądała jak rozbitkowie. Gdy powoli ruszyli w jej stronę przez wzburzone morze, zobaczył, że to przywiązani do siebie bosman i Wyckoff. Ostrożnie podali dryfującym wiosła i wciągnęli ich do szalupy. Obaj legli na dnie, trzęsąc się gwałtownie, a potem stracili przytomność. Iskra ściągnął z nogi szynę i położył się na przemoczonych towarzyszach, żeby ich ogrzać.

*

O zachodzie słońca niebo rozchyliło się niczym właz do ładowni, ukazując egzotyczny różowo-pomarańczowy ładunek. Przez resztę dnia prowadzili poszukiwania, lecz nikogo więcej nie znaleźli. Fale zaczęły maleć i Eddie rozdał następne racje żywnościowe. Wyckoff i bosman byli w stanie jeść i pić, lecz Wyckoff mówił niewiele, a bosman nie odezwał się ani słowem. Eddie dziwnie się czuł, widząc swojego wroga pogrążonego w takim milczeniu. Jakby miał na pokładzie ducha bosmana.

Gdy zapadła ciemność i sztorm ustąpił, wszystkim poprawił się humor. Odkrycie szalupy w zasadzie gwarantowało, że znajdują się w pobliżu miejsca zatonięcia Elizabeth Seaman. Pomoc miała do nich dotrzeć prawdopodobnie już następnego dnia. Teraz najlepiej było bacznie się rozglądać i płynąć z prądem, który zostanie uwzględniony przez ekipę ratunkową podczas wyznaczania obszaru poszukiwań. Opuścili przy dziobie szalupy dryfkotwę, płócienny worek w kształcie rożka, żeby szalupa płynęła z prądem. Nie odwiązali tratwy, żeby lepiej było ich widać z samolotów. Później wyznaczyli wachty i spali na zmianę, ściśnięci razem na dnie łodzi na kołach ratunkowych albo siedząc na ławkach z głowami opartymi o

nadburcie. Eddie zrobił scyzorykiem nacięcie na ławce, zaznaczając w ten sposób upływ dwudziestu czterech godzin od zatopienia Elizabeth Seaman.

Obudzili się rozdygotani, z ciężką rosą na przemoczonych ubraniach. Eddie rozdzielił racje żywności i wody. Gdy wzeszło słońce, Wyckoff powiedział, że olbrzymia fala przewróciła drugą szalupę w czasie sztormu, wrzucając siedemnastu ludzi do wody. Wszystkim udało się zostać przy szalupie, trzymali się kurczowo lin ratunkowych przy nadburciu i czekali, aż nadarzy się okazja, by odwrócić ją z powrotem, aż nagle drugiego kucharza zaatakował rekin. Niektórzy wpadli w panikę i odpłynęli z krzykiem. Inni, w tym Wyckoff i krwawiący mężczyzna, wgramolili się na przewróconą szalupę. Okazało się, że to błąd, ponieważ gdy kolejna fala ją przewróciła, znaleźli się wśród oszalałych rekinów. Wyckoff jakimś cudem uszedł z życiem. Nie miał siły płynąć, lecz dzięki maewestce utrzymał się na powierzchni. O świcie zauważył płynącego ku niemu bosmana. Od tamtej pory próbowali dogonić zalaną szalupę.

Gdy Wyckoff opowiadał, Eddie wpatrywał się w bosmana, zastanawiając się, jak wielki musiał być koszmar, który odebrał mowę takiemu człowiekowi.

Kiedy słońce było już wysoko, postawili maszt i Eddie wciągnął na niego żółtą flagę znajdującą się na wyposażeniu szalupy ratunkowej. Tuż po południu zauważyli nisko lecący samolot. Wszyscy w szalupie i na tratwie krzyczeli i skakali, wymachując koszulami - wszyscy z wyjątkiem bosmana, który siedział cicho na dnie łodzi. Samolot odleciał, jakby pilot ich nie zauważył, i ten cios pozbawił ich wszystkich sił. Mimo to nikt nie wątpił, że szukano rozbitków z Elizabeth Seaman, a do wieczora zostało jeszcze wiele godzin. Każdą wachtę pełniło czterech mężczyzn zwróconych w cztery strony świata. Eddie świdrował wzrokiem linię horyzontu. Ciągłe miał wrażenie, że za chwilę wynurzy się zza niej statek, lecz mijały godziny ciepłego, bezchmurnego dnia - idealnego na akcję ratunkową - a oni niczego więcej nie zobaczyli.

O zachodzie słońca mężczyźni byli skonsternowani, niezadowoleni, głodni. Gdzie się podziały te pieprzone samoloty? Czy sterowali nimi ślepcy? Eddie milczał. Żałował, że nie ma z nimi Kittredge'a. Nie wyobrażał sobie, żeby samolot mógł przeoczyć ich kapitana szczęściarza.

Bosman z nieobecny wyrazem twarzy siedział na dnie szalupy.

- Tożęś nam pomógł, leniwy draniu - zaśmiał się Farmingdale, spoglądając na pozostałych.

Eddie czuł, że drugi oficer próbuje w ten sposób sprowokować bosmana do mówienia, jakby dzięki temu ich los mógł się odmienić. Eddie zastanawiał się, czy rzeczywiście mógłby.

- Wiemy, że umiesz mówić - dokuczał bosmanowi Farmingdale. - A najlepiej wie o tym trzeci.

Rzucił Eddiemu chytre spojrzenie - zaproszenie do zabawy. Eddie odpowiedział neutralnym uśmiechem.

Trzeciego ranka wiatr był już jedynie bryzą. Farmingdale uważał, że powinni płynąć z prądem jeszcze jeden dzień, a potem postawić żagiel i skierować się ku lądowi. W oddali zauważyli statek, ale ich podskoki i okrzyki na nic się zdały. W ostatnich promieniach słońca przygotowali się do rozpoczęcia nazajutrz rano żeglugi ku długiemu, piaszczystemu wybrzeżu Afryki. Elizabeth Seaman zatonęła tysiąc mil na wschód od Somali Brytyjskiego. Farmingdale oszacował, że prąd zniósł ich na północ, co skracało odległość od lądu. Płynąc z dobrym zachodnim wiatrem, mogliby dotrzeć do wybrzeża w piętnaście dni albo i szybciej. Połączone racje żywnościowe z tratwy i szalupy - uzupełniane o, jak mieli nadzieję, złowione ryby i deszczówkę - powinny były im wystarczyć. Poza tym nadal istniała szansa, że zostaną uratowani gdzieś po drodze.

Noc była zimna i trudna. Odpalili flary z szalupy i jednocześnie z tratwy i nadal pełnili wachty, licząc na to, że wypatrzą jakiś neutralny statek z włączonymi światłami. Eddie siedział na ławce. Nie mógł zasnąć. Myślał o tym, jak wygląda ocean na mapach lotniczych, gęsto poprzecinany poziomiami, szlakami żeglugowymi i lukami prądów morskich. Wydawało mu się, że nie ma żadnego związku między tymi obrazami a otaczającą go teraz pustką. Nad jego głową rozpościerał się oszałamiający baldachim z gwiazd, który wprowadził go w wielkie osłupienie, gdy po raz pierwszy wypłynął w morze - połyskująca obfitość jak w jaskini Ali Baby. Oglądane z pokładu statku niebo było spektaklem zarezerwowanym dla garstki uprzywilejowanych, którzy mogli go oglądać. Teraz gwiazdy wyglądały chaotycznie, przypadkowo - tak jak samo morze. Anna przestała przychodzić do niego w snach, znalazł się poza jej zasięgiem. Zrozumiał, że przeniknął przez kolejną warstwę życia do czegoś głębszego, zimniejszego i bardziej bezlitosnego.

Zrobił na ławce trzecie nacięcie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Po nurkowaniu Anna przewróciła łóżko Lydii na bok i oparła je o ścianę. Zamknęła drzwi do sypialni rodziców, przeniosła stół z kuchni do salonu i zaciągnęła tam także radio. Chciała, żeby mieszkanie wyglądało inaczej, żeby odzwierciedlało zmianę, jaką odczuła - ciężar jej odkrycia.

Z kieszonkowego zegarka ojca przez kilka dni wyciekała morska woda. W końcu wysechł, wskazówki zastygły dziesięć po dziewiątej. Trzymając w zagłębieniu dłoni jego romboidalny ciężar, Anna czuła przyływ siły, bezpieczeństwa. Był to relikw z zaświatów, które odwiedziła w ryzykownych okolicznościach wyłącznie po to, by go odzyskać. Spała, trzymając go pod poduszką.

Kilka dni po nurkowaniu poczuła, że chce opuścić to mieszkanie. W domu z pokojami do wynajęcia, w którym mieszkał Bascombe, nie przyjmowano kobiet. Niedaleko jej bloku była placówka Związku Dziewcząt i Kobiet Chrześcijańskich, ale obowiązywała tam lista oczekujących - poza tym Anna chciała być bliżej stoczni. Przy Sands Street oferowano pokoje do wynajęcia. Czasami widywała jakąś ręcznie napisaną kartkę w oknie baru albo sklepu z mundurami.

Zastanawiała się, czy mogłaby wynająć jeden z takich pokoi, tak by nikt się o tym nie dowiedział. Coś takiego robiły jednak tylko złe dziewczyny, a ryzyko, że ktoś to odkryje, było zbyt wielkie.

Pewnego dnia natknęła się przypadkiem na Rose wychodzącą z pracy. Gdy ramię w ramię szły przez bramę przy Sands Street, napomknęła jej o swoim dylemacie - a raczej przedstawiła jego wersję, w której matka musiała wrócić na Środkowy Zachód, by zaopiekować się chorą siostrą, a Anna naturalnie nie mogła mieszkać sama. Rose klasnęła w dłonie: lokatorka jej rodziców, świeżo upieczona żona, postanowiła pojechać za mężem do bazy marynarki wojennej w Del Mar w Kalifornii. Będzie pokój do wynajęcia w ich mieszkaniu przy Clinton Avenue! Anna od razu się zgodziła.

Ponieważ zarabiała wystarczająco dużo, by zatrzymać mieszkanie i wynająć pokój u Rose, postanowiła nie wspominać o przeprowadzce ani matce, ani ciotce. Wymagałoby to zbyt wielu wyjaśnień. Zresztą z Brianne i tak spotykały się rzadziej i zazwyczaj w kinie. Anna wiedziała, że dopóki co parę dni będzie odbierała pocztę, nawet sąsiedzi nie zauważą, że jej nie ma.

Kupiła ogromną kartonową walizkę z rodzaju „oby nie padało” (tak nazywał je jej ojciec), wypełniła ją ubraniami, przyborami toaletowymi i książkami Ellery’ego Queena, wypila resztkę mleka z butelki i zawinęła ją w

kuchenną ściereczkę. Jeszcze raz usiadła przy stole, przy którym, jak jej się zdawało, spędziła lepszą część swojego życia - jedząc, szyjąc, wycinając laleczki z papieru od rzeźnika. Schody przeciwpożarowe rozłupywały światło słoneczne na kawałki, a w każdym z nich roило się od kurzu jak od połyskliwych drobinek miki w wodzie zatoki Wallabout. Budynek wydawał się ciężki i nieruchomy. W kuchni przesunęła rękami po ocynowanym zlewie, w którym razem z matką kąpały Lydię, dopóki nie przestała się w nim mieścić. Spojrzała w lusterko, przy którym golił się kiedyś jej ojciec. Potem wyszła z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Schodząc z szóstego piętra, myślała, że zaczepi ją jakaś wścibska sąsiadka i zacznie zadawać pytania. Nikt się jednak nie zjawił ani nawet - o ile zdołała usłyszeć - nie podszedł spojrzeć przez wizjer. Może wszyscy jeszcze spali. Wyszła na łagodne powietrze końca marca i zauważyła obcych ludzi. Jakiś mężczyzna niósł walizkę i idąc szybkim krokiem, spoglądał na numery wyryte nad drzwiami. Właśnie się sprowadzał.

Nowy pokój Anny znajdował się w głębi mieszkania Rose, a okno wychodziło na drzewo, które wyglądało tak, jakby podnosiło sztangi. Jakiś staruszek rozwoził masło i mleko wozem zaprzęgniętym w konia. Dawniej przy Clinton Avenue mieszkali bogaci ludzie i obok największych domów zbudowano stajnie, które teraz stały puste albo służyły jako garaże dla samochodów. Dwaj bracia Rose byli w wojsku, lecz najmłodszy, Hiram, wciąż mieszkał w domu i okładał podręczniki taką samą ceratą o zapachu lukrecji, jaką Anna w dzieciństwie okładała własne. Była zachwycona swoim nowym domem.

W niektóre wieczory spotykała się z Rose przed ich dawnym zakładem i razem jechały tramwajem na Flushing Avenue, czytając wieczorne wydanie gazety. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Anna patrzyła na Rose jadącą tym samym tramwajem i czuła, że za chwilę utonie w samotności. Dotknęła kieszonkowego zegarka. W dni, w które nurkowała, kończyła pracę później i Rose wiedziała, że ma na nią nie czekać. W takie dni Anna szła na Sands Street razem z innymi nurkami. Zawsze pamiętała, by wracając do Rose, ssać w tramwaju miętówkę, bo nie chciała cuchnąć piwem, gdy będzie mówiła dobranoc jej rodzicom.

Mieszkając u Rose, krępowała się spędzać czas z Charliem Vossem, który nadal był przełożonym przyjaciółki. Pewnego dnia, gdy mężatki już wyszły, poszła do jego biura, żeby mu to wytłumaczyć.

- Rozumiem, oczywiście - powiedział. - Szkoda.

- Będzie mi ciebie brakowało, Charlie.
- Wpadniesz czasami? - spytał. - Kiedy wybrzeże będzie puste?
- Obiecuję.

Wychodząc ze stoczni po pracy, nadal wypatrywała na Sands Street samochodu Dextera Stylesa - i nie widząc go, zawsze czuła dotkliwie rozczarowanie, po którym następowała ulga.

Gdy dwa tygodnie po nurkowaniu w porcie czekała, aż pozostali nurkowie zamówią coś do jedzenia w Oval Bar, otworzyła „Herald Tribune”, by spojrzeć na pokrzepiające nagłówki, których nauczyła się już oczekiwać: Rommel trzymał się w Tunezji ostatkiem sił, armia radziecka spychała Niemców w kierunku Smoleńska. Gdy przerzuciła stronę, jej spojrzenie przykuła informacja na dole po lewej:

ZAGINIONY WŁAŚCICIEL NOCNEGO KLUBU ZNALEZIONY MARTWY

ZWŁOKI PODZIURAWIONE PRZEZ KULE PORZUCONO W POBLIŻU OPUSZCZONEGO TORU WYŚCIGOWEGO

Anna wpatrywała się w zdjęcie. Choć nie była świadoma, że czyta, słowa wpełzały w nią jakby same: „Trwające dwa tygodnie poszukiwania Dextera Stylesa, zaginionego impresaria z nocnego klubu, znalazły tragiczny finał w niedzielę, gdy dziesięcioletni Andrew Metuchen i Sandy Kupech z Sheepshead Bay natknęli się na jego zwłoki w pobliżu dawnego toru wyścigowego..

Odsunęła gazetę i upiła łyk piwa. Patrzyła, jak otaczający ją nurkowie pochłaniają małże z zatoki i wieprzowe kiełbaski w cieście. Miała wrażenie, że jej głowa zmieniła się w balon i zawisła kilka metrów nad ciałem. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła i poczuła, że osuwa się na podłogę.

Ocucili ją solami trzeźwiącymi. Leżała na boku z wiórami pod policzkiem. Tuż nad nią unosiła się twarz Ruby, jej rozmazane rzęsy znajdowały się na tyle blisko, że ich kwiatowa słodycz przyprawiła Annę o mdłości. Zwymiotowała i spróbowała się podnieść. W końcu Bascombe i Marle zarzucili sobie jej ręce na szyje i pomogli wstać. Wyprowadzili ją z baru, mijając wymownie uśmiechających się marynarzy, którzy zakładali, że jest pijana.

Zimne powietrze na ulicy przyniosło jej ulgę. Szła z zamkniętymi oczami, zrzucając z siebie większość ciężaru. Czuła się jak lunatyczka. W barze stało się coś strasznego, ale zdołała stamtąd uciec. Po wielu zakrętach i obrotach

znów znaleźli się pod dachem i rozpoznała słonawy, przypominający paloną gumę zapach kombinezonów do nurkowania. Przytowadzili ją do komory dekompresyjnej.

Marle wszedł razem z nią.

- Coś cię boli? - spytał, ustawiając pokrętko. - Bolało, zanim zemdląłeś?

- To nie choroba kesonowa - powiedziała, a potem przypomniała sobie, dlaczego straciła przytomność. Jej ręce zaczęły się trząść.

- Kto ci asystował?

- Katz - odparła, szcękając zębami. - Ale nie byłam pod wodą za długo.

- To on miał zegarki.

Znowu zwymiotowała.

Po dekompresji Marle odkręcił drzwi zbiornika i wyszli. Czekali na nich Bascombe i Ruby. Bascombe długo przyglądał się Annie zmrużonymi srebrzystymi oczami, a ona zastanawiała się, czy widział nagłówek. Nie rozmawiali więcej o nielegalnej wyprawie do portu, wspomnieli tylko, że przemycony ze stoczni sprzęt do nurkowania bez problemu wrócił na swoje miejsce. Anna obawiała się, że po tamtej nocy przyjaciele będą jej unikali, lecz stało się wręcz odwrotnie: teraz łącząca ich więź wydawała się silniejsza i bardziej skomplikowana.

Marle zgodził się nie odnotować objawów Anny i dekompresji w rejestrze nurkowania, pod warunkiem że od razu zgłosi się do szpitala i podda badaniu. Strażnik zawiózł ją na wzgórze motorem. Powiedziała pielęgniarce w recepcji, co się stało, i kazano jej czekać. Nagłówek z gazety groteskowo dryfował w jej umyśle. To nie mogła być prawda, lecz jego ciągle odrzucanie było dla Anny zbyt wyczerpujące.

W końcu obudziła ją wojskowa pielęgniarka. Anna przysnęła na krześle, opierając głowę o ścianę. Zegarek na jej ręce wskazywał, że minęła dziewięta. Pielęgniarka wydawała się niewiele starsza od Anny, za jej czepkiem chował się jasny kok. Zmierzyła Annie temperaturę i założyła rękaw ciśnieniomierza z miną wyrażającą najczystsze skupienie, które wzbudziło podziw Anny. Przyświecając sobie latareczką, zajrzała pacjentce w oczy i do uszu. Przyłożyła do jej serca zimny stetoskop, a wynik każdej czynności odnotowywała na podkładce z klipsem.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - powiedziała. - Jak się pani czuje?

- Dobrze - odrzekła Anna. - Po prostu byłam zmęczona.
- Lekarz kazał spytać, czy jest pani mężatką.
- Nie - odrzekła zdziwiona Anna. - A dlaczego?
- Gdyby pani była, doradziłby test ciążowy. Na początku niektóre dziewczyny mdleją.
- Aha.
- Myślałam, że zdjęła pani obrączkę przed nurkowaniem.
- Czy... zrobiliście mi ten test?
- Nie, oczywiście, że nie. Musiałabym pobrać krew.
- To nie jest konieczne - powiedziała Anna.

Opuściła szpital i weszła między białe kwadratowe kolumny na końcu niskich schodów naprzeciw owalnego trawnika, gdzie poprzedniej jesieni oddawały z Rose krew. Zatrzymała się wśród cieni i utkwiała spojrzenie w jasnej rzeźbie na kolumnie, którą zapamiętała z tamtego dnia. Na jej szczycie umieszczono orła. Nie miała okresu, odkąd zaczęła kurs nurkowania - od dwóch miesięcy. Zakładała, że to przez nurkowanie, i nawet czuła ulgę, bo bardzo obawiała się komplikacji. Nowa interpretacja wydała jej się nie tyle prawdopodobna, ile pewna.

Po powrocie do mieszkania zastała ojca Rose w salonie, gdzie czytał „Forward” przy lampce z zielonego szkła. Odniosła wrażenie, że jej późny powrót i niechlujny wygląd wywołały przelotną dezaprobatę - a może jedynie niepokój. Poszła do siebie, położyła się na łóżku z rękami na brzuchu i wpatrywała w drzewo za oknem. Tłumaczyła sobie, że przecież nie wie na pewno. Lecz jednak wiedziała. W końcu wpakowała się w kłopoty.

Następnego dnia rano wyszła wcześniej, bez śniadania. Włożyła do torebki kieszonkowy zegarek, mając złowieszcze poczucie, że wyczerpała jego ochronne moce. Gdy jechała tramwajem na Flushing Avenue, nękały ją mdłości połączone z potwornym głodem. W stołówce na rogu Flushing i Clinton dołączyła do zastępów stoczniovców czekających w kolejce po jajka, placki ziemniaczane, kawę i suche grzanki - wstrzymano produkcję masła i innych „tłuszczów spożywczych”. Po jedzeniu poczuła się pewniej i resztę drogi do pracy pokonała pieszo. Przystanęła przy biurze kapitana Axela, żeby się przywitać. Zawsze przychodził pierwszy.

- Kerrigan! - zawołał. - Czekałem na ciebie. Wejdź na chwilę. - Gdy stanęła przed jego biurkiem, powiedział: -Przyjdzie dzisiaj pięciu nowych

kursantów, są kompletnie zieloni. Co masz dziś w planach?

- Rano asysta, po południu nurkowanie.
- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli podeślę ci tych półgłówków, żeby się poprzyglądali i może czegoś nauczyli?
- Oczywiście, że nie, panie kapitanie.

Zmiana w jej relacjach z kapitanem Axelem zaszła jakieś trzy tygodnie wcześniej. Zdawało się, że przywykł do Anny z dnia na dzień, jakby rusztowanie z jego uprzedzeń runęło spontanicznie pod ciężarem przyzwyczajenia. Był to zdumiewający, wręcz magiczny zwrot i choć zaczął się, zanim Anna znalazła kieszonkowy zegarek ojca, czuła się tak, jakby to właśnie ten przedmiot spowodował przemianę. Teraz przypadła jej nieprawdopodobna rola ulubienicy - pupilki — jakby wzajemna niechęć między nią a kapitanem Axelem przedzierzgnęła się w zażyłość. Mówił do niej skrótami, a ona je rozumiała. Jego pogardliwe uwagi pod adresem dziewczyn były komplementami dla Anny, bo ona nie przypominała innych dziewczyn.

- Wyświadczyć mi przysługę, Kerrigan - zwrócił się do niej tydzień temu.
- Na barce zakrywaj włosy, bo inaczej wszystkie zatrudnione w stoczni sekretarki o ptasich mózdzkach zaczną się dobijać do naszych drzwi.

- One raczej nie chcą nurkować, panie kapitanie.

- Pewnie masz rację. Niewiele jest takich wariatek jak ty. Ale ostrzegam, jeśli zaczną tu przyłazić całymi zgrajami, to ty będziesz musiała się ich pozbyć.

- Chyba że okażą się dobre - zaznaczyła. Kapitan jednak tylko prychnął, dokładnie tak jak przewidziała - jak chciała, żeby prychnął, co uświadomiła sobie później, zawstydzona swoim brakiem szczerości.

- Zorientuj się, jacy są ci nowi - polecił jej teraz. - Powiadom mnie, czy któryś się wyróżnia. I jeszcze jedno, Kerrigan. - Ściszył głos, spoglądając na drzwi. - Daj im trochę popalić. Wiesz, co mam na myśli. Oddziel mężczyzn od chłopców.

Wyszła z jego biura, pokrzepiona pochlebstwem, co z kolei wywołało u niej poczucie winy. Przebrała się w robocze ciuchy i poszła na pirs. Przez pochylnię wlewało się słońce i zamknęła oczy, by ogrzało jej twarz. Powoli zaczęła zapominać o swoim nagłym problemie, jakby był świeżym ciosem, który wreszcie przestaje wywoływać ból. Rozwiązanie nasuwało się samo: nurkowanie załatwi sprawę. Tego rodzaju kłopoty były nie do pogodzenia z

jej pracą, na pewno dostanie okres. Po południu czuła skurcze podczas oględzin kadłuba storpedowanego niszczyciela, gdy z barki obserwowało ją pięciu nowych kursantów.

Bała, się, że zabrudzi kombinezon do nurkowania - ta rozkoszna obawa wywołała uśmiech w zaciszu jej hełmu. Gdy wreszcie poprosiła Greera, żeby popilnował drzwi do toalety, i odkryła, że się pomyliła, nie mogła w to uwierzyć.

Codziennie rano budziła się przekonana, że tego dnia jej problem się rozwiąże. Wieczorem była zbyt wyczerpana, by zaprzętać sobie głowę tym, że jednak się nie rozwiązał. Zrobiło się na tyle ciepło, że zamiast wsiadać do drugiego tramwaju, zaczęły z Rose chodzić do domu piechotą z Flushing wzdłuż Clinton Avenue. W piątek, gdy zaczynał się szabat, Rose i jej najbliżsi zapalali po kolacji dwie świece i zbierali się przy stole, na którym kładziono dwie chałki. Gdy dorzucali dodatkowe błogosławieństwa dla Siga i Caleba, aktualnie służących w wojsku, Anna zmawiała po cichu własną żarliwą modlitwę: „Proszę, niech moje kłopoty się skończą”. Wiedziała, że w przeciwnym razie to wszystko niebawem zniknie: świece, chałki. Rose i jej rodzina. Dziewczyny w tarapatkach mieszkają w innych domach.

W osobnej szufladce umysłu Anny zaczął tykać zegar. Gdyby nurkowanie nie podziałało, istniał inny sposób, ale nie można było za długo zwlekać. Pewnego ranka, dwa tygodnie po tym, jak zemdląca, Anna otworzyła oczy i pomyślała: „Muszę coś zrobić”. Nie miała pojęcia, od czego zacząć, ale odpowiedź pojawiła się, jakby od początku to planowała: musi znaleźć Nell. Nell będzie wiedziała, co robić. Nell sama to robiła.

Po pracy pojechała metrem na Union Square. Starzy mężczyźni, którzy walczyli na wielkiej wojnie, grali teraz w szachy w ciężkich płaszczach i czapkach ozdobionych przypinkami i medalami. Z przenośnego gramofonu płynęła piosenka *I've Heard That Song Before* i młodzież w płaszczach trzymała się w objęciach, tańcząc w takt muzyki. Patrząc na te nastolatki, Anna poczuła nagłą tęsknotę. Tańczyła tak z chłopcami z Brooklyn College, lecz nigdy nie czuła się równie niewinna, jak niewinne wydawały się te dziewczyny. Zawsze coś ukrywała. Teraz też.

Gramercy Park South dwadzieścia jeden. To niesamowite, że Nell kazała jej zapamiętać ten adres.

Na dźwięk imienia Nell - Anna nadal nie znała jej nazwiska - portier w szarym uniformie przypominającym wojskowy mundur podszedł do centrali telefonicznej przy ścianie i przełożył kabelek. Anna dotknęła kieszonkowego

zegarka. Miała nadzieję, że Nell jest w domu i szykuje się na wieczór -i chyba rzeczywiście tak było. Windziarz zawiózł ją na ósme piętro i wypuścił przed niewielkim korytarzem z dwojgiem drewnianych umieszczonych naprzeciw siebie drzwi przedzielonych kaskadą czerwonych róż, których okazałość potęgowało wiszące tuż za nimi lustro. Annę zaskoczyło jej własne mizerne odbicie. Gdy szczypała się w policzki, by dodać im trochę koloru, z mieszkania po lewej stronie wyszła Nell ubrana w atłasowy peniuar, którego kłapy pieniły się od maleńkich białych piórek, jakby to były mydliny. Poznała Annę chyba dopiero po chwili. Złapała ją w objęcia, uważając, żeby nie przypalić jej papierosem.

-Jak się masz, kochana? - zawołała. - Nie widziałam cię całe wieki, ty niedobra dziewucho. Gdzie się ukrywałaś?

Po każdym piskliwym zdaniu Anna wydawała z siebie neutralny pomruk i w toku tej wymiany Nell czegoś się domyśliła. Odsunęła się i spojrzała na Annę, mrużąc oczy.

— Wejdz i opowiedz mi, co się stało — powiedziała.

Anna wróciła na Gramercy Park w niedzielę z samego rana. Poszły z Nell na Park Avenue. Ostre obcasy Nell stukwały o chodnik niczym wbijane młotkiem gwoździe. Jej tlenione włosy wyglądały w porannym świetle jak spłowiałe, a pod oczami widać było cienie. Stała się osobą, która najlepiej wygląda w sztucznym świetle.

Gdy już siedziały w taksówce, Anna nieśmiało wróciła do kwestii ceny, tak żeby kierowca nie słyszał. Nie miała pojęcia, ile kosztuje taki zabieg, i liczyła na to, że będzie mogła zapłacić w ratach.

- Płaci Hammond - szepnęła w odpowiedzi Nell. - Powiedziałam mu, że chodzi o mnie.

- A jeśli się dowie?

- Wierz mi - odrzekła Nell. - Jest mi to winien.

- Dziękuję - powiedziała cicho Anna, lecz to słowo wydało jej się zdecydowanie niewystarczające. - Za to, że tam ze mną jedziesz, też. Nigdy bym się nie spodziewała.

Nell wzruszyła ramionami. Jej troska wydawała się dziwnie bezosobowa. Anna była przekonana, że Nell zrobiłaby to samo dla każdej dziewczyny w tarapatach, która by do niej przysłała.

- Słyszałaś o Dexterze Stylesie? - zapytała Nell.

Anna skupiła wzrok na przemykających za szybą wysokich szarych budynkach.

- Czytałam w gazecie - powiedziała. - To straszne.
- O niczym innym się nie mówi.
- Wiadomo, kto to zrobił? Albo dlaczego?
- Krąży tysiąc pogłosek. Niektórzy mówią, że to syndykat z Chicago. Podobno jest bardziej bezwzględny niż ten nowojorski.
- Dlaczego mieliby go zabić? - spytała Anna.
- Trwa dochodzenie, ale nikt nie chce mówić. Chyba że jest gotowy podzielić jego los.
- Może Dexter Styles mówił.

Nell się zastanowiła.

- Tylko po co? - powiedziała. - Ludzie gadają, że w trzech czwartych działał legalnie. W siedmiu ósmym! Po co miałyby tak ryzykować?
- Miał dzieci? - Anna знаła odpowiedź, ale chciała, żeby ta rozmowa trwała dalej. Mówienie o Dexterze Stylesie przynosiło jej ulgę.
- Dwóch synów bliźniaków i córkę. Oszałamiająco piękną żonę - dziewczynę z towarzystwa, z bogatej rodziny. Miał u stóp cały świat. W każdym razie tak się wszystkim wydawało.
- To strasznie smutne - odrzekła Anna i poczuła wzbierającą rozpacz. Skupiła wzrok na szybie z obawy, że Nell się domyśli.
- Ludzie w klubie płakali - powiedziała Nell.

Jego śmierć przeżywało wiele osób - setki, pomyślała Anna, czując, jak rozplywa się pośród nich. Nie znała Dex-tera Stylesa tak dobrze jak oni. Prawie wcale. Jej pewność osłabił jednak przyływ wspomnień: to uczucie, gdy trzymała go w ramionach, jego ochryply szept. Oraz to, co właśnie zamierzała zrobić.

Taksówka zawiozła je na róg Siedemdziesiątej Czwartej Wschodniej, zaledwie kilka przecznic od gabinetu doktora Deerwooda. Ten zbieg okoliczności oszołomił Annę. Niedawno minął kwiecień - za kilka tygodni razem z matką wiozłyby Lydię na kolejną wizytę. Zastanawiała się, czy lekarz Nell nie przyjmuje aby w tym samym budynku co doktor Deerwood, w tym samym gabinecie - czy przypadkiem s a m nie jest doktorem Deerwoodem. Skrzyżowanie zalały chłodne promienie słońca, w powietrzu roiło się od

gołębi. Nell włożyła ciemne okulary gwiazdy filmowej. Jej jasny wełniany płaszcz zdobiły na ramionach złote epolety. Zaczęły bić dzwony w kościele.

- Gdzie jest ten gabinet? - spytała Anna.

- Kawalek dalej. On nie chce, żeby w weekendy przed budynkiem zatrzymywały się taksówki. To przyciąga uwagę.

Ruszyły ku Madison Avenue. Annę bolała głowa i marzyła o tym, żeby dzwony ucichły. Na środku kwateru Nell skręciła w stronę domu szeregowego z pasiastymi markizami i wyrzeźbionymi żywopłotami. Na końcu krótkich schodów wisiała prostokątna mosiężna tabliczka z napisem DR SOFFIT, POŁOŻNIK. Nell wcisnęła guzik domofonu i drzwi odskoczyły, wpuszczając je do poczekalni, która wspaniałością przypominała tę u doktora Deerwooda, choć wystrój był inny. Całą podłogę pokrywała srebrnawa wykładzina, a kanapę w kształcie półksiężyca obito szarym aksamitem. Anna zaczęła się pocić. Miała wrażenie, że kościelne dzwony biją teraz w jej głowie.

- Niech w końcu przestaną - szepnęła.

Nell aż podskoczyła.

- Kto?

W powietrzu unosił się lekki chemiczny zapach, jakby mimo wykładziny i aksamitu gdzieś tu znajdowała się szpitalna sala. Bo i na pewno się znajdowała. Nie przeprowadza się operacji na kanapie w kształcie półksiężyca.

- Za pierwszym razem też się denerwowałam - powiedziała Nell Teraz również wydawała się spięta.

- Ile razy to robiłaś?

- Trzy. No, właściwie dwa. Ten byłby trzeci.

- Co się dzieje potem?

- Będziesz śpiąca - tłumaczyła Nell. - Obolała. Ale naprawdę nic ci się nic stanie. Następnego dnia poczujesz się jak nowo narodzona.

Anna pytała o coś innego, ale jakie to miało znaczenie. Z jej strachem mieszała się nagromadzona nadzieja, którą pamiętała z lat, gdy przywoziły Lydię do doktora Deerwooda. Zaraz przyjdzie pan doktor. Zaraz przyjdzie pan doktor! Na lakierowanym stoliku do kawy leżały starannie ułożone w wachlarz magazyny: „Collier’s”, „McClure’s”, „The Saturday Evening Post”. Nell otworzyła „Silver Screen”, a Anna spojrzała jej przez ramię na

blondynki: Betty Grable, Veronicę Lake, Lanę Turner. Kiedyś wszystkie wydawały jej się możliwymi wersjami Lydii. Skupiła wzrok na drzwiach prowadzących z poczekalni do sąsiedniego pomieszczenia. Były obite tapicerką. Piękne. Przyłapała się na tym, że kurczowo ściska Nell za rękę.

- To nic nie boli - powiedziała Nell. - Podają ci chloroform i zasypiasz. — Patrzyła na artykuł o fryzurach gwiazd filmowych - rolsach, falach, lokach - lecz nie poruszała oczami. Anna wyczuła, że Nell chciałaby jak najszybciej mieć to z głowy. Zaraz przyjdzie pan doktor. W brzuchu Anny kłębiły się strach i tęsknota.

Drzwi, w które się wpatrywała, nagle stanęły otworem. Doktor Soffit był młodszy, niż się spodziewała - to znaczy młodszy od doktora Deerwooda. Był wysoki, jasnowłosy i miał na palcu obrączkę. Serdecznie przywitał się z Nell i z subtelną powagą uściśnął Annie rękę, patrząc jej w oczy. Zaprowadził je obie do pomieszczenia, które nie przypominało szpitala aż tak, jak Anna się obawiała. Z gzymsów zwisały obrazy przedstawiające owoce. Wysokie łóżko przykryto białym prześcieradłem. W sąsiednim pokoju Anna zdjęła halkę i nałożyła miękką bawełnianą koszulę na biustonosz i majtki. Jej płaski, umięśniony brzuch zdawał się drwić z tej całej procedury. A jeśli to nieprawda? Jeśli jednak wcale nie jest w tarapatach? Jak może mieć pewność, skoro nie zrobiła testu?

A może przeprowadzili ten test?

Nell siedziała na krześle obok miejsca, w którym miała spocząć głowa Anny.

- Panna Konopka nie będzie niczego widziała - powiedział doktor Soffit. - Ale gdy pani zaśnie, będzie przy pani siedziała, trzymając panią za rękę. Prawda, panno Konopka?

- Jasne, że tak - przytaknęła Nell. Chyba jej ulżyło, że dołączył do nich lekarz.

Konopka. „Polaczka”, rozległ się w głowie Anny drwiący głos ojca, i zaczęła płakać. Leżała na stole z wyprostowanymi nogami i przez prześcieradło ściskała swoje kości biodrowe. Nell podniosła jedną z jej rąk i mocno ujęła ją w drżące dłonie.

- Za pół godziny będzie po sprawie - powiedziała, lecz doniosłość tej chwili unicestwiła warstwę pozorów, które zazwyczaj wirowały wokół Nell, i obnażyła jej nieskrywane zaniepokojenie. - Pan doktor właśnie bierze chloroform. Potem zaśniesz.

- Niech się pani spróbuje odprężyć, panno Kerrigan - uspokajał doktor Soffit.

Stał za Anną, poza zasięgiem jej wzroku, mówił głosem, którego nie sposób było odróżnić od głosu doktora Deerwooda. Anna gwałtownie się podniosła, próbując go zobaczyć. Serce łomotało jej w piersi.

- Spokojnie - powiedział łagodnie doktor Soffit. Usiadł obok niej, trzymając coś w rękach. Zaraz przyjdzie pan doktor. Pan doktor przyszedł! Zjawił się, by wszystko naprawić.

Tylko że tym, kto przyszedł teraz do Anny, nie był doktor Soffit, lecz jej siostra. Z wyrazistością, jakiej nie doświadczyła od nocy spędzonej z Dexterem Stylesem, Anna przypomniała sobie mleczny, biszkoptowy zapach Lydii, miękkość jej skóry i włosów. Jej powykręcane, niedokończone ciało. Trzepoczącą uporczywość jej serca. I unoszące się zawsze wokół niej niczym babie lato marzenie o tym, jaka mogła być.

Marzenie: biegnąca, piękna dziewczyna, kolana połyskujące w słońcu. Dziewczyna dostrzeżona kątem oka. Anna poczuła, że mogłaby powołać tę dziewczynę do życia.

Lekarz przystawił jej do ust jakiś stożek. Wydobywały się z niego słodkie opary, skoncentrowany chemiczny zapach, który wyczuła w poczekalni.

- Nie - powiedziała.

Nell pochyliła się nad nią i Anna zobaczyła swój strach odzwierciedlony w oczach przyjaciółki. Opary dotknęły jej mózgu, senny cień zbierał się niczym chmura tuż przed deszczem. Wyobraziła sobie, jak wychodzi z gabinetu lekarskiego z nikim, z niczym. Z pustką tam, gdzie coś było.

Biegnąca dziewczyna. Marzenie.

- Nie - powtórzyła, zwracając się do Nell. - Każ mu przestać. - Ale stożek zniekształcał jej słowa i sama ich nie słyszała.

Jakimś cudem Nell zrozumiała - być może wyczytała to w oczach Anny, gdy odpływały ku czubkowi głowy.

- Niech pan zaczeka — powiedziała ostro i odsunęła stożek od ust przyjaciółki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Eddie martwił się, że jeśli ograniczą się wyłącznie do szalupy ratunkowej, bez tratwy, na której można się rozłożyć, będzie im niemożliwie ciasno. Martwił się, że Farmingdale zaprotestuje przeciwko powierzeniu dowództwa Pughowi. Martwił się, jak bardzo będą musieli zejść z kursu, żeby móc płynąć z wiatrem, i czy postawiwszy żagiel, zdołają wyciągnąć cztery węzły. A nade wszystko martwił się o racje żywnościowe: czy powinni nadal pić trzy razy po dwieście mililitrów wody dziennie, czy może z jednej porcji zrezygnować; czy Iskra kiedykolwiek zdoła coś złowić; czy jakimś cudem uda im się dopłynąć do wyspy, tak jak kapitanowi i oficerowi SS Travessa w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku. Ci dżentelmeni przepłynęli dwiema szalupami tysiąc siedemset mil przez Ocean Indyjski, ale oni mieli przyrządy i mapy. Eddie miał tylko kompas.

Rozmyślając w nocy poprzedzającej dzień, w którym mieli postawić żagiel, i marząc o papierosie - tylko jednym, albo lepiej o pięćdziesięciu - nie wziął jednak pod uwagę, że wiatr zupełnie ustanie.

Czwartego dnia o świcie powietrze było gorące i nieruchome, a morze przypominało warstewkę potu. Bosmani artylerzyści chcieli wiosłować, byleby móc się czymś zająć, i Farmingdale się zgodził, co zmusiło Eddiego do zwrócenia mu uwagi, z największym szacunkiem, na jaki był w stanie się zdobyć, że wiosłowanie będzie bezsensowną stratą energii. Znajdowali się co najmniej tysiąc mil od wybrzeża Afryki -nie sposób pokonać takiego dystansu, wiosłując. Pozostali poparli Eddiego i Farmingdale ustąpił z ostentacyjną wesołkowatością, w której Eddie rozpoznawał już jego sposób radzenia sobie z porażką.

Spisali ten dzień na straty, przeznaczając go na odpoczynek przed czekającym ich nazajutrz wiosłowaniem. Mężczyźni, którzy akurat nie pełnili wachty, unikali słońca, leżąc pod osłoną przeciwwrozbryzgową w szalupie albo pod plandeką, którą rozpostarli nad tratwą jak brezent. Nocą odpalili ostatnie flary i nadal pełnili wachtę. Raz po raz Eddiego budziło zimno. Wydawało mu się, że czuje wiatr, kropelki morskiej piany, lecz okazywało się, że to tylko sen.

Następny dzień wyglądał tak samo, kolejny też. Znośnie było jedynie wczesnym rankiem, gdy słońce wysysało rosę z szalupy i rozkosznie padało na ich wychłodzone ciała, oraz wieczorem, gdy pierwsza zapowiedź chłodu ocalała ich spalone słońcem kończyny niczym dotyk pielęgniarki, zanim zrobiło się zimno i musieli się do siebie przytulić, trzęsąc się pod sześcioma

kocami z szalupy. W tych chwilach wytchnienia Eddie rozdawał racje żywnościowe i wszyscy delektowali się ulotnym zadowoleniem. Najwyraźniej wpłynęli do strefy równikowej, gdzie nie mogli liczyć na to, że będą ich pchały pasaty. Pugh zapewniał, że te bezwietrzne okresy nigdy nie trwają długo, parę dni, rzadko więcej. Ale jeden dzień bez wiatru dłużył się jak dziesięć. Zniechęcenie pogłębiały sporadyczne zefiry, dla których pełni nadziei wciągali żagiel tylko po to, by dwadzieścia minut później patrzeć, jak wiatr ustaje. Zjadali racje żywnościowe, które były im potrzebne, gdyby kiedykolwiek mieli szansę dotrzeć do lądu. W najlepszym razie mogli liczyć na to, że przechwyci ich jakiś statek -przypiętych do tratwy niczym owadzie okazy do kawałka jedwabiu. W oddali widzieli jeszcze trzy statki. Za każdym razem krzyczeli, wydzierali się i podskakiwali, a potem padali i leżeli jak martwi. Nie było więcej samolotów, za bardzo oddalili się od lądu. Pierwsze samoloty ratunkowe zawsze startowały ze statków.

Trzeciego bezwietrznego dnia - szóstego od zatonięcia Elizabeth Seaman - uzgodnili, że zmniejszą racje żywnościowe o jedną trzecią. Drelichy Eddiego już zsuwały mu się z bioder. Zaciśnął pasa, zapinając go trzy dziurki dalej. Rozmawiali o jedzeniu barwnie i szczegółowo, tak jak chłopaki z sierocińca o seksie, i z tego samego powodu: mogli o nim tylko rozmawiać.

Ponieważ nie wyczekiwali już racji pokarmowych w południe, popadli w zgnuśnienie. Mat Ostergaard godzinami spał na słońcu, odrzucając każde okrycie, jakie usiłowali na niego naciągnąć. Wieczorem dostał gorączki wskutek porażenia słonecznego. Roger był na kursie pierwszej pomocy i opatrzył mata za pomocą mokrych bandaży oraz mieszaniny tlenku cynku i wody wapiennej ze znalezionej w szalupie apteczki. Mat tak żałośnie błagał o wodę, że Roger i Eddie zrezygnowali z połowy swoich wieczornych racji, żeby mógł wypić dwa razy więcej. Nazajutrz rano Ostergaarda nie było w szalupie. Eddiemu, który razem z kilkoma innymi ludźmi spał na tratwie, trudno było uwierzyć, że żaden z trzynastu mężczyzn w szalupie nie widział ani nie słyszał, jak mat wpada do wody. Podejrzliwie zmierzył ich wzrokiem - zwłaszcza Farmingdale'a. Rozdzielając poranne racje żywnościowe, czuł na sobie badawcze spojrzenia, jakby go podejrzewali, że ma ulubieńców albo sam bierze więcej, niż mu przysługuje. Morale było podstawą przetrwania w szalupie ratunkowej, wiedział o tym, a im brakowało najbardziej niezawodnych artykułów, które mogłyby je podnieść: alkoholu i papierosów. W dużej mierze należało za to winić ich przywódcę, Farmingdale'a. Zamiast utrzymywać spokój, należał do tych, którzy najbardziej wszystko krytykowali, zwłaszcza bosmana. Rankiem zakazał Eddiemu podania bosmanowi jego porcji mleka skondensowanego.

- Się nie mówi, się nie je - oznajmił Farmingdale, rozglądając się w poszukiwaniu innych uczestników otrzęsin. -Zobaczymy, jak długo będzie trzymał gębę na kłódkę.

Gdy Eddie próbował dać bosmanowi jego przydział, Farmingdale złapał go za nadgarstek.

- Jakiś ty miły, trzeci. On nigdy dla ciebie taki nie był.

- Potrzebujemy silnych ludzi - odparł Eddie.

- Ten nie kiwnie palcem. Nieważne, czy będzie silny, czy słaby. Nieważne, czy w ogóle tu będzie.

Proponował Eddiemu, by odegrał rolę w prowokacji, która zaspokoiłaby ich wspólną potrzebę znalezienia kozła ofiarnego. Na pokładzie Elizabeth Seaman nie było nikogo, kto by nie zauważył, że bosman upokarza Eddiego. Teraz bosman się załamał, ostatnim bastionem jego dumy była pozorna obojętność na toczącą się między nimi rozmowę. Eddie zawsze chciał pokonać bosmana, lecz perspektywa zrobienia tego teraz, w sojuszu z Farmingdale'em, budziła w nim odrazę.

- Daj mu spokój, drugi - powiedział ostro i podał bosmanowi mleko.

Farmingdale przeniósł wzrok z Eddiego na bosmana i z powrotem na Eddiego. Na jego ustach igrał zagadkowy uśmiezek.

- Rozumiem, co się tu święci - powiedział.

Od tej chwili Farmingdale zaczął chodzić za Eddiem - o ile można za kims „chodzić” po tak małej powierzchni. Gdziekolwiek znalazł się Eddie, uprzejmy białowłosy drugi oficer zjawiał się tuż za nim. Był to wrogi pościg - nadzór - pod którym Eddie wyczuwał obawę Farmingdale'a, że trzeci oficer zwróci się przeciwko niemu i pociągnie za sobą pozostałych. Pomysł ten, choć wcześniej nie przyszedł Eddiemu do głowy, zaczął go teraz kusić.

Po południu odciął dyndający koniec swojego skórzanego paska i podał go Iskrze, który dotąd używał jako przynęty kawałek szmaty. Po nadzianiu fragmentu paska na haczyk tuż przed zachodem słońca Iskrze udało się złapać małego tuńczyka. Eddie pomógł mu przyciągnąć rybę do szalupy, a Bogues wbił jej w serce nóż myśliwski. Eddie wskoczył do wody i obwiązał liną ogon, po czym wciągnęli rybę przez nadburcie na pokład. Farmingdale pokroił ją na części, które rozdzielili w ten sposób, że mężczyzna odwrócony plecami wybierał tego, kto dostanie kolejny kawałek. Ryby było wystarczająco dużo, by każdy dostał dwie olbrzymie porcje, a płyn z jej wnętrza zaspokoił zarówno głód, jak i pragnienie. Potem ich wzajemna

nieufność jakby zmaląła. Zapalili lampę naftową i do późnej nocy rozmawiali o tym, co będą robili po wojnie. Gdy wszyscy pogrążyli się w ospałym, sytym milczeniu, bosman dotknął bicepsa Eddiego, pokazując na resztki ryby leżące na ławce, i odezwał się tak cicho, że nikt inny go nie usłyszał. Po chwili Eddie nie był pewny, czy wyobraźnia nie spletała mu figła.

- Dobrze - powiedział bosman.

*

Po trzech kolejnych dniach - bezwietrznych, jeśli pominąć okrutne, droczące się z nimi zefiry - głód i pragnienie wróciły ze zdwojoną, brutalną siłą. Odrywali guziki od ubrań i ssali je, żeby pobudzić wydzielanie śliny. Język Eddiego leżał w ustach jak podeszwa, najchętniej by go uciął. Szóstego bezwietrznego dnia Hummel i Addison zaczęli żłopać morską wodę z tak wielką błogością, że Eddie musiał krzyknąć na pozostałych, by nie poszli za ich przykładem. Wieczorem obaj mieli halucynacje i nazajutrz Hummel zmarł z rozdętym żołądkiem. Gdy stoczyli go do morza, Addison poinformował Eddiego, że Hummel zostawił mu swoje racje żywnościowe - była to jego ostatnia wola i testament. Gdy Eddie odparł, że nie leży to w gestii Hummela, Addison ruszył na niego z uniesionymi pięściami. Farmingdale jak zwykle był przy Eddie, lecz nie zrobił nic, by odeprzeć atak. Addisona powstrzymali dopiero artylerzyści. Wieczorem już nie żył. Zanim Eddie przeniósł się na tratwę, żeby trochę pospać (Farmingdale poszedł za nim i chrapał u jego boku), zrobił kolejne nacięcie w rejestrze dni, który prowadził na ławce w szalupie, dodając po śmierci każdego towarzysza specjalny znaczek.

Siódmego dnia bez wiatru - dziesiątego od zatonięcia Elizabeth Seaman - Eddie leżał na tratwie o zachodzie słońca, rozkoszując się chwilą ulgi między koszmarem upału a koszmarem zimna. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że czuje wiatr na policzku, i nawet wtedy założył, że to kolejny sen o wietrze. Przez ostatnie dni poruszali się tylko tyle, by nie drętwiały im kolana, i wszyscy reagowali z opóźnieniem. Był to jednak bez wątpienia wiatr - szkwał, który zaczął się tak nagle, że ospali wachtowi go nie zauważyli. Zabrzmiał chóralny okrzyk radości. W szalupie Pugh i reszta wciągnęli dryfkotwę i zaczęli przygotowywać żagiel. Morze było już lekko wzburzone. Bogues wskoczył do szalupy i zaczął łapać innych za ręce, żeby wyciągnąć ich z tratwy i móc ją odwiązać. Gdy Roger przedostawał się z tratwy do szalupy, trzasnął łączący je faleń i mężczyzna runął do wody, po drodze uderzywszy twarzą w nadburcie. Bogues podsunął kadetowi wiosło, lecz Roger chyba wpadł w panikę, bo młóćąc rękami, podpłynął do tratwy. Eddie

wskoczył do wody i wciągnął go na jej pokład. Twarz kadeta była biała jak ściana, wzdłuż kości policzkowej ciągnęła się rana.

Tymczasem wiatr z zadziwiającą prędkością odpychał tratwę od szalupy - miała bardzo małe zanurzenie. Bagues próbował rzucić Eddiemu linę, ale ciągle lądowała zbyt blisko. Poddali się, gdy zaczęło lać. Farmingdale jakby znieruchomiał. Eddie rozkazał mężczyznom nadal znajdującym się na tratwie, by dwójkami płynęli do szalupy, tak żeby ci na pokładzie nadążali z wciąganiem ich do środka. Ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że bosman pomaga wydobywać pływaków z fal. Robił coś po raz pierwszy, odkąd go uratowali.

Farmingdale się zbuntował. Eddie zamierzał płynąć na końcu z Rogerem, który leżał na tratwie z zamkniętymi oczami, krwawiąc z rany na twarzy.

- No dobra, drugi. Chyba będziesz musiał popłynąć na końcu - powiedział do niego Eddie, gdy reszta już zniknęła. Zwracając się do Rogera, dodał: - Nie musisz płynąć, ale musisz mi pomóc. Dasz radę?

Kadet kiwnął głową. Odległość między szalupą a tratwą wynosiła zaledwie pięć metrów, ale powiększała się z każdą chwilą. Gdy Eddie miał się zanurzyć w dziobanej deszczem wodzie, Farmingdale chwycił go za ramiona i szarpnął do tyłu, tak że trzeci oficer wylądował na środku tratwy. Drugi błagał go o coś niezrozumiałe, jakby postradał zmysły. Eddie mocno uderzył go w twarz, żeby przestał.

- Co z tobą, drugi? Przecież umiesz pływać! - krzyknął.

Farmingdale walnął Eddiego pięścią w szczękę i zaczęli się szamotać na kolanach, siłując się na śliskiej drewnianej kracie tratwy w ulewnym deszczu. Eddie czuł, że tratwa prześlizguje się po falach jak dziecięca łódeczka z balsy. Ilekroć udało mu się spojrzeć na szalupę, była dalej. Czuł na sobie zaniepokojone spojrzenia mężczyzn na pokładzie - Iskry, Wyckoffa, bosmana - i ta łącząca ich nić była tak żywa, że zdawała się unieważniać dzielącą ich odległość i rozjaśniać zapadający mrok.

Eddie zdołał wydobyć z kieszeni nóż myśliwski i zamierzał poderżnąć Farmingdale'owi gardło. Drugi oficer wyrwał mu jednak broń z ręki i rzucił ją do morza. Później przygwoździł Eddiego własnym ciałem, unieruchamiając go tak, że trzeci niczego nie widział i czuł jedynie przygniatającą go przemoczoną, cuchnącą masę większego mężczyzny. Roger wstał i próbował ściągnąć z niego Farmingdale'a. Gdy wreszcie drugi oficer sturlał się z jękiem, szalupa była już prawie niewidoczna. Eddie zaczął płakać, szlochając z wściekłości i frustracji wywołanej świadomością, że

stracił współtowarzyszy, a razem z nimi swój rejestr dni - spis incydentów i zdarzeń. Gwałtownie odchylił głowę i otworzył usta, pozwalając, by deszcz przez kilka minut zwilżał mu gardło. Później spojrzął jeszcze raz. Nadal widział szalupę - widział, albo wydawało mu się, że widzi, wpatrzone w siebie oczy. Pomyślał, że szalupa jest w jego zasięgu. Mógł do niej dopłynąć mimo wzburzonego morza - chyba nawet ciągnąc za sobą Rogera. To było wykonalne. Wystarczyło jednak, by ta myśl przemknęła mu przez głowę, a już miał wrażenie, że budzi nerwową czujność drugiego oficera, przerażenie, że zostanie porzucony. Wtedy Eddie zrozumiał, że jego jedyną nadzieją jest popłynięcie samemu, tak żeby Farmingdale nie zdołał go dogonić. Musiałby jednak zostawić kadeta. Nikt nie kwestionowałby takiego posunięcia. Chodziło o przetrwanie. Ale jego umysł uciekał od takiego rozwiązania. Nie mógł zostawić Rogera Farmingdale'owi.

Wyteżał wzrok, by dojrzeć coś w ciemności, aż zauważył kształt przypominający pływaka. Przetarł oczy i spojrzął jeszcze raz. Nie. Tak. Samotna głowa unosiła się wśród fal jak korek. Bogues? Kto inny miałby siłę i odwagę, żeby to zrobić?

I dlaczego? Roger też go zauważył. Wskazał palcem zbliżający się kształt. Gdy płynący wreszcie do nich dotarł, osłupiały Eddie zobaczył, że to bosman. Wciągnęli go z Rogerem na tratwę. Bosman przez chwilę wracał do siebie, a następnie wstał, jakimś cudem utrzymując równowagę na rozkołysanej tratwie. Odczepił siekierkę z szalupy ratunkowej, którą przywiązał sobie do paska kawałkiem sznura, uniósł ją nad głowę i rozłupał Farmingdale'owi czaszkę, a ta rozprysła się jak upuszczony talerz, zabryzgując drewno kawałkami mózgu i krwią. Bosman wyjął zza paska Farmingdale'a scyzoryk i zepchnął jego ciało do wody, gdzie zniknęło wśród fal. Morze zmyło papkowane smugi.

To wszystko rozegrało się w niespełna minutę. Eddie uznałby, że ma halucynacje, gdyby nie to, że - co za ulga - Farmingdale'a nie było już z nimi na tratwie. W ciągu godziny deszcz ustał i zapadła zupełna ciemność, na niebie nie było księżyca. Eddie zobaczył w oddali smugę światła: latarnię w szalupie. Na tratwie nie było wiosła ani niczego, czym mogliby wysłać sygnał. Pozbawili ją wszystkiego, co miało jakąś wartość: jedzenia, wody, kompasu i innych rzeczy, które mogłyby pomóc utrzymać się przy życiu.

Deszcz padał wystarczająco mocno i długo, by woda, którą przesiąkły ich ubrania, stała się zaledwie lekko słona. Wycisnęli ją sobie nawzajem do ust aż do ostatniej kropli i spróbowali zasnąć. Eddie często się budził, wyczekując pierwszych promieni słońca z nadzieją, że dostrzeże szalupę. Gdy w końcu

nastał świt, nie było jej już widać. Wpatrywali się w pusty ocean. Eddie był chory ze strachu, lecz robił, co w jego mocy, by zachowywać się tak, jakby ich beznadziejna sytuacja była jedynie drobną niedogodnością.

Bosman dotknął swojego gardła i żałośnie pokręcił głową.

- Wiem - powiedział Eddie. - Brakuje mi tych pięknych zdań.

Bosman przechylił głowę, wyrażając niedowierzanie.

- Poważnie - zapewnił go Eddie. - Teraz, gdy już ich nie ma, chciałbym, żeby wróciły.

Bosman pokazał na siebie.

- Luke.

- Nie. Dla mnie jest pan tym samym bosmanem co zawsze. Prawda, Roger?

Roger jednak tylko wpatrywał się w morze.

Bosman otworzył schowek z racjami żywnościowymi i znalazł wciśniętą do środka plandekę. Poprzedniego dnia rozłożyli ją, żeby osłonić się przed słońcem. Wyciągnął z wody przerwany faleń i w jakimś celu zaczął ją nim owijać.

- Robi dryfkotwę - wyjaśnił Eddie Rogerowi, starając się wzbudzić zainteresowanie kadeta. Jego policzek groteskowo spuchł, zamykając prawe oko. Rana była głęboka i zaogniona. - Będzie lepiej, gdy zaczniemy płynąć z prądem - ciągnął Eddie. - Przy sprzyjającym wietrze mamy większe szanse, że dotrzemy do lądu. Dobry pomysł, panie bosmanie.

Bosman próbował go uciszyć surowym, doskonale mu znanym spojrzeniem, które wywołało całą kawalkadę słów:

- Wiem, to oburzające, że taki ignorant jak ja śmie prawić komplementy tak doskonałemu marynarzowi jak pan, bosmanie, zwłaszcza jeśli te komplementy dotyczą pańskich myśli. Boże uchowaj. Ale skoro mówi pan szyfrem, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko próbować czytać w pańskich myślach, choć z pewnością jestem ze wszech miar niegodny takiego zadania.

Bosman gapił się na niego bez słowa. Nawet Roger podniósł głowę. Eddie nigdy w życiu nie mówił w ten sposób. Miał wrażenie, że słowa płyną z umysłu bosmana prosto przez jego własne gardło. Zachwyciła go ta werbalna kaskada przychodząca z taką łatwością, nieznana mu dotąd przyjemność towarzysząca zwykłemu mówieniu.

Bosman uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd wyciągnęli go z morza. Eddie zawsze za bardzo czuł się ofiarą tego uśmiechu, by dostrzec księżycowe piękno idealnie białych zębów.

Za pomocą scyzoryka Farmingdale'a otworzył na krawędzi tratwy nowy rejestr dni. Zaczął od początku, bo czas spędzony w szalupie wydawał mu się już teraz nierzeczywisty i pełen duchów. W ich nowym życiu wiał silny wiatr, woda była ciężka i czarna. Nie istniał żaden bufor między nimi a żywiołami - wiatr, słońce i deszcz obmacywały ich i szarpały do woli. Gwiazdy i księżyc wydawały się bliskie i dostępne niczym kawałki muszli albo połyskujące skały, między którymi Eddie mógł się czołgać, gdy przyszała mu ochota. Widzieli nocne tęcze. Za dnia Eddie i bosman wypatrywali na horyzoncie statków i zgubionej szalupy. Drugiego dnia na tratwie wylądowały dwie latające ryby, którymi podzielili się we trzech, wysysając każde włókienko z miękkich ości, a potem rozcierając je między zębami. Trzeciego dnia następny szkwał ugasił ich pragnienie, ale nie mieli niczego, w czym mogliby magazynować deszczówkę.

Odkąd Roger uderzył głową w szalupę, był zamroczony i skołowany. Oko po zranionej stronie twarzy wciąż miał zamknięte, a opuchlizna rosła. Eddie oderwał pas materiału ze swojej koszuli, zanurzył go w morskiej wodzie i przycisnął do rany. Nic więcej nie mógł zrobić. Rozcięcie zaczęło ropieć, otaczająca go czerwona aureola rozprzestrzeniała się na resztę twarzy. Nocą Roger gwałtownie się trząsł, więc Eddie i bosman objęli go z dwóch stron, żeby było mu cieplej. Codziennie o wschodzie słońca Eddie robił kolejne nacięcie na krawędzi tratwy: cztery dni, pięć. Roger szeptał o swoim szczeniaku rasy welsh corgi, o osiemnastu dolarach, które odłożył, roznosząc gazety, o dziewczynie o imieniu Annabelle, której piersi dotknął przez wielkanocny sweter. Wołał matkę. Eddie przycisnął spierzchnięte usta do twarzy chłopca i szepnął:

- Kochamy cię, skarbie, wszystko będzie dobrze.

Zrobiłby wszystko, by przywrócić chłopcu spokój. Widział gdzieś taką miłość do dziecka, ale nie pamiętał, gdzie ani kiedy.

Szóstej nocy Roger leżał trawiony wysoką gorączką, oddychając płytko i rozpaczliwie. Eddie i bosman trzymali go w objęciach. W końcu chłopak wydał z siebie długi zduszony okrzyk i znieruchomiał. Trzymali go, dopóki nie uszło z niego całe ciepło. O wschodzie słońca delikatnie zepchnęli jego ciało do morza. Ale Eddie nie chciał uwierzyć, że Roger umarł, i ciągle sięgał w jego stronę.

Przystosował się do nowego życia, w którym energiczny kadet poruszał się wśród zastępów duchów będących poza zasięgiem żywych. Pałące słońce, zimne noce, presja trzeszczącego, niewyciężonego głodu. Eddie czuł, że jego ciało się pożera, ta agonia przypominała kąsanie zębów. Leżeli wyprostowani na tratwie, zbyt bezsilni, by wypatrywać pożywienia albo statków, sporadyczne krótkotrwałe szkwały gasiły ich pragnienie. Eddie był chudy jak szkielet i słaby. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni oddawał mocz. Przypominał zwłoki, niewiele więcej, lecz gdy jego ciało opadało z sił, myśli wirowały z nową giętką swobodą. Eddie zrozumiał coś, co widywał w palarniach opium w Szanghaju: ludzie leżeli bezwładnie, odrętwiali, lecz ich umysły wrzały tak jak jego teraz, pędząc przez chmury dźwięku i koloru niczym wyzwolone duchy.

Wyraźne kurczenie się bosmana odzwierciedlało stan Eddiego, ich rozczochrane włosy i brody drwiły z poddających się ciał. Bosmanowi mniej doskwierało słońce, które raniło skórę Eddiego przez poszarpane ubranie. Trzeciemu ulgę przynosiło tylko unoszenie się na powierzchni morza. Przynajmniej raz między wschodem a zachodem słońca otrząsał się z paraliżu na tyle, by ucześcić się liny dryfkotwy i zanurzyć w wodzie. Tylko wtedy udawało mu się umknąć napastliwej grawitacji, która napierała na jego słabe kości niczym obcas wciskający go w chodnik. Dla przyjemności dryfowania, zanurzenia się w wodzie warto było znosić potem nawet szczypanie soli wysychającej w ranach. Bosman pomagał mu wrócić na tratwę, Eddiego nie starczyłoby sił. Nie rozmawiali ze sobą. Godzinami leżeli jeden obok drugiego, patrząc sobie w oczy. Eddie żałował, że nie skorzystał z szansy i nie spytał przyjaciela o Lagos i o to, dlaczego został marynarzem, czy był katolikiem, czego dotyczyły jego najlepsze i najgorsze wspomnienia. Teraz było za późno na opowiadanie. Porzucili już język, nawet pierwotny język morza.

Pewnego razu, gdy za dnia leżeli na tratwie, Eddie poczuł obok jakiś delikatny ciężar. Otworzył oczy i zobaczył albatrosa, białego i pokracznego. Samica zwinęła masywne skrzydła i przycisnęła je do boków jak artysta sztalugi. Bosman spał. Eddie resztką sił zamachnął się na ptaka scyzorykiem, próbując odciąć mu łeb. Albatros z łatwością się uchylił, wzbijając się o jakieś pół metra i opadając z powrotem. Ptak przechylił głowę, obserwując go z zaciekawieniem błyszczącymi czarnymi oczami.

Nazajutrz Eddie leżał i drżał, mimo że mocno grzało słońce. Bosman obejmował go i próbował ogrzać.

- Dobry człowiek - powiedział i Eddie rozpoznał w tym wersję słów, które

tak dawno temu sam kierował do umierającego kadeta. Chciał zaoponować, poprawić bosmana, przywołując szereg faktów, które bledły i zmieniały się w kolory, zanim zdołał je zmusić, by przybrały postać słów. Eddie prawie się nie ruszał, prawie nie oddychał, oszczędzając resztki energii, spowalniając niemal do śmierci, by przeżyć kolejną godzinę. Był gotów umrzeć, żeby przeżyć, żeby rozkoszować się zmysłowym galopem swoich myśli ku jakiejś prawdzie, której jeszcze nie ujrzał. Nie wiedział już, czy jest dzień, czy noc, czy jest sam, czy z bosmanem. Wspominał młodszą córkę - jej umysł zamknięty w ciele skazanym na bezruch. Odkrycie łączącego ich podobieństwa poraziło go z taką siłą, że aż krzyknął, choć z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Wciśnięty w tratwę, marząc o dryfowaniu na morzu, przypomniał sobie Lydię w wannie, jej ulgę i śmiech wywołany przyjemnością towarzyszącą unoszeniu się w ciepłej wodzie. Eddie odwracał się jednak, przerażony jej zdeformowanym ciałem. Po raz pierwszy - jedyny - zaczęła go dręczyć zbrodnia opuszczenia, i zawołał: „Lydia! Liddy!”, wstrząśnięty swoim ochrypłym, zdławionym głosem, gdy szukał po omacku dziecka, które opuścił - opuszczonej przez siebie rodziny.

Leżał niczym porażony, z imieniem Lydii, które spoczywało mu w ustach jak obol. I wtedy jego uszy wypełnił cichy, unoszący się w powietrzu dźwięk, głos, który pamiętał jak przez sen - nie głos Anny, z pewnością nie głos bosmana, lecz głos przemawiający z bełkotliwym, nieskładnym pośpiechem, skoczna paplanina przypominająca roztrajkotaną, wesołą nonsensowność ptasiego trelu. Eddie oderwał się od ciała na tratwie i podążył za tym dźwiękiem ku jego źródłu, jakby to była muzyka wydobywająca się przez otwarte okno. Przystanął, żeby posłuchać, nadstawił uszu, chcąc pochwycić wesołą paplaninę niczym dwie ręce klaszczące, by złapać jaskrawą wstążkę targaną przez wiatr. Podążył za Lydią, a ona mówiła z zapartym tchem, śmiała się, jej słowa były nie tyle zdaniem, ile falami, językiem, który kiedyś odrzucał, lecz teraz nareszcie go zrozumiał, „tata Anna pędź mama może morze mama puk Anna może morze tata buzi Anna patrz może morze może morze może morze możemorzemozemorzemozemorzemozemorze”, słowa stały się monotonne, zwyczajne kołysanie, trącanie struny, bicie serca: jego serca, jej serca, jednego serca. Była tu, prawda tkwiąca u podstaw całej reszty, jak prądy na dnie morza. I dopiero wtedy Eddie poczuł, że nadal obejmują go ramiona bosmana - bosman był przy nim cały czas, nie odszedł nawet na chwilę.

- Już niedługo - uspokajał go bosman. - Już niedługo, przyjacielu. To już prawie koniec. Bóg nadal jest z nami.

CZEŚĆ ÓSMA

MGŁA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Mogłaś to wcześniej przemyśleć! - syknęła Nell w promieniach porannego słońca przecznicę od gabinetu doktora Soffita. Gdyby nie matki i dzieci spacerujące po Central Parku w niedzielnych kapeluszach, pewnie by krzyczała.

- Dziękuję, że go powstrzymałaś - powiedziała Anna.

- Niepotrzebnie to zrobiłam. Teraz byłoby już po wszystkim i miałybyś to z głowy. Może nawet... - Spojrzała w stronę Piątej Alei. - Może mogłybyśmy tam jeszcze wrócić.

- Nie. Proszę. - Anna czuła się tak, jakby omal nie straciła szansy na czerpanie przyjemności z oddychania zimnym, suchym powietrzem. - Proszę, nie.

- Przestań to powtarzać!

Anna złapała przyjaciółkę za rękę, czując coś na kształt miłości do tej zręczliwej, olśniewającej protektorki.

- Dziękuję ci, Nell.

Nell zeszywniała, ale po chwili się odprężyła. Wyglądało na to, że wylewne podziękowania Anny powoli ją uspokajają. Albo może zaczynała się nudzić swoim oburzeniem, mając do wyboru nowy interesujący kształt, jaki przyjęły kłopoty Anny.

- Więc zrobisz to na przekór wszystkiemu - powiedziała cicho. - Będziesz musiała wyjechać. Ale ostrzegam cię; porządne miejsca słono kosztują.

- Odłożyłam trochę pieniędzy.

Nell się roześmiała.

- Kochana, pieniądze weźmiesz od niego. Powiedz mu wprost: jeśli chce, żeby nadal miło mu się żyło, i woli uniknąć twoich rozmów ze swoją żoną, po których w jego domu mogłoby się zrobić dość nerwowo, niech płaci. Proste.

- On odszedł.

Nell przechyliła głowę.

- Nikt nie odchodzi na dobre, dopóki nie umrze. Znajdź tego gałgana i zmuś go do płacenia, bo jak nie, skończysz u siostrzyczek, a tego nie polecam - powiedziała. - Siostrzyczki nie przepadają za takimi dziewczynami jak ty.

Wiem o tym z dobrego źródła.

-Mam na myśli to, że on... odszedł. - Zdopingowana brakiem zrozumienia ze strony Nell, odruchowo dodała: -Wyruszył za morze.

- Ach, żołnierz. Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

Anna nie potrafiła na to zareagować, lecz nikt nie oczekiwał reakcji. Nell pogрузzyła się w myślach.

- To było wykradzione rzeczywistości interludium -stwierdziła w końcu, wymawiając te słowa tak, jakby przenosiły problem Anny do zupełnie innej kategorii. - Żyłaś chwilą, on też. Nikt nie myślał o konsekwencjach.

- ...to prawda - przyznała Anna.

- Ale powiedz, po co marnować sobie figurę i tracić rok życia, skoro można mieć to z głowy w pół godziny? Chyba że... on jednak wróci...

- Nie wróci. Jestem tego pewna.

Posunęła się za daleko, lecz absurdalność tego stwierdzenia jakimś cudem umknęła Nell.

- W takim razie dziecko będzie przedłużeniem jego rodu -zadumała się.
- Nawet jeśli nikt nigdy się nie dowie, że jest jego. W pewnym sensie wciąż będzie żył: zachowasz swojego żołnierza przy życiu, rodząc mu dziecko. O to ci chodzi!

Tak naprawdę Nell w roli romantyczki okropnie kojarzyła się Annie z oszustką. Najwyraźniej za często słuchała seriali o miłości. Zwyczaj Nell, która zadawała pytania tak, jakby były odpowiedziami, okazał się jednak całkiem wygodny.

- Zatem siostrzyczki - podsumowała. - Będiesz znosiła je z uśmiechem przez rok. A potem znajdą mu porządny chrześcijański dom.

- Albo jej - powiedziała Anna.

*

Po kolacji Anna siedziała z Rose i jej rodziną w salonie i słuchała Mozarta puszczanego na gramofonie. Ojciec Rose był pochłonięty lekturą „Forward”, jej matka dziergała szydełkiem kolejny kwadratowy kawałek obrusu, który przygotowywała z myślą o uczczeniu bezpiecznego powrotu synów do domu. Hiram odrabiał lekcje. Mały Melvin jeździł konikiem na kółkach po kanapie, a w końcu także po Annie, zaczynając od jej ud, przesuając zabawkę w górę ręki, po ramieniu i wreszcie, wobec braku sprzeciwu, po jej głowie.

- Melly, nie bądź potworem - upomniała go Rose.

- Ale mnie się to podoba - uspokoiła ją Anna. Zaokrąglone krawędzie kółek konika przyjemnie ugniały jej skórę i głowę. Wszystko wydawało się przyjemne w tym kruchym, cennym życiu, które sobie stworzyła. Mijały tygodnie, a jej zadowolenie przeradzało się w zachwyty. Drzewa przy Clinton Avenue z dnia na dzień eksplodowały kwieciami. Anna przechadzała się pod nimi, kołysząc rękami i myśląc: Już niedługo nie będę widziała tych drzew i nie będę słyszała skrzypienia ich gałęzi”. Pomogła matce Rose połączyć zrobione szydełkiem kawałki.

- Kiedy nakryjemy stół tym obrusem, będziesz z nami, Anno - zapowiedziała matka Rose. - Należysz do naszej rodziny. Twoja matka też będzie do niej należeć, gdy tylko przestanie opiekować się siostrą i wróci.

Anna podziękowała, przepelniona oszałamiającą radością wywołaną przecuciem rychłej katastrofy. Gdyby matka Rose poznała jej sekret, wyrzuciłaby Annę z domu. Ale go nie znała - nie miała o nim pojęcia! Nikt nie miał!

Tak więc Anna opychała się resztkami życia, które już się skończyło - a mimo to jakimś cudem nadal mogła z niego korzystać. Marzyła o lemoniadzie. Gdy wszyscy w domu poszli spać, stanęła przy kuchennym zlewie, wycisnęła sok z cytryn do zimnej wody i dodała cukier kupiony za własne kartki żywnościowe, żeby nikt nie zauważył braków. Pijąc słodko—kwaśną miksturę, drżała z rozkoszy. Żłopała ją w swoim pokoju, a drzewo za oknem rozkładało nowe liście jak karty do pokera. Nie umiała się oprzeć i postanowiła odczekać jeszcze jeden dzień, zanim porzuci tę błogość. Tylko jeden dzień! A potem jeszcze jeden! Dni jednak się sumowały i wkrótce nastał maj, a ona nie wymyśliła innego planu niż ten, który miała w marcu. U dołu jej brzucha pojawiła się lekka wypukłość, lecz łatwo ją było ukryć. W pracy nosiła obszerne ciuchy robocze albo kombinezon do nurkowania, a mężczyźni byli na jej fizyczność równie obojętni jak na własną. Matka Rose żyła w przeświadczeniu, że to jej wybitne umiejętności kulinarne pomogły Annie „wypełnić” ciało, które wcześniej wydawało jej się wychudzone. Zaczęła pakować dziewczynie lunch do pracy, nie pobierając za to dodatkowych opłat.

Teraz, gdy Anna umiała już spawać i posługiwać się palnikiem, jej podwodne zadania obejmowały łatanie kadłubów i operacje przy śrubie. Razem z innymi nurkami pracowała na matach rozciągniętych pod liniowcami. Olbrzymie kadłuby cykały i szumiały pod jej dłońmi. Czar nieważkości działał na nią silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Wisiała przy

śrubach, pozwalając, by prąd unosił jej ciężkie buty. Czasami nadal się zastanawiała, czy jej kłopoty nie rozwiążą się dzięki temu w naturalny sposób, lecz nie oczekiwała już takiej łaskowości losu, a właściwie już jej nawet nie chciała. Gdy z inicjatywy Bascombe'a nurkowie mieli oddać krew dla Czerwonego Krzyża, zrezygnowała w ostatniej chwili, wymawiając się bólem brzucha.

Ekipa nurków wyspecjalizowanych w odzyskiwaniu mienia z liniowca Normandii zwiedzała stocznię, zaczynając od pirsu 88 na Manhattanie, i kapitan Axel wybrał Annę, by przedstawiła wycieczce jego program szkoleniowy. Jej zdjęcie ukazało się w „Brooklyn Eagle”. PANI NUREK ZAPOZNAJE KOLEGÓW Z NORMANDIE Z BROOKLIŃSKIM STYLEM, głosił nagłówek. Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętą Annę bez czapki i w kombinezonie roboczym, wiatr wyszarpywał jej włosy spod spinek. Już następnego dnia ten wizerunek wydawał się reliktem dawnych czasów. Trzymała zdjęcie obok łóżka i spoglądała na nie codziennie wieczorem przed snem. „Nigdy nie będę szczęśliwsza”, myślała.

Mogła jednak cieszyć się szczęściem jeszcze jeden dzień -jakby zbudziła się z błogosłownego snu i pozwolono jej na chwilę do niego wrócić.

- Do diabła, Kerrigan, co ja bez ciebie zrobię? - powiedział pewnego wieczoru kapitan Axel, gdy opłukiwała wodą ze szlauchu kombinezony do nurkowania.

Miała się na baczności.

- Dlaczego pan pyta, panie kapitanie?

- Rosjanie wyparli wroga z Kaukazu. Za kilka dni będziemy mieli Tunis i Bizertę. Już wkrótce wrócą nasi chłopcy i będą chcieli odzyskać stanowiska.

- Aha - odetchnęła z ulgą. - O to panu chodzi.

- Wysiudają mnie stąd, zanim się obejrzysz. Będę siedział w łódce i czekał, aż sum połknie haczyk. — Spojrzał na nią, mrużąc oczy. - A ty co będziesz robiła, Kerrigan? Trudno mi sobie wyobrazić, jak zakładasz falbaniasty fartuszek.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Zarechotał.

- To nie miał być komplement, ale mimo to proszę bardzo.

Gdyby poznał jej sekret, natychmiast by ją wyrzucił. Ale go nie znał. Skradziona, ryzykowna radość.

Dwulicowość doskwierała jej, tylko gdy pisała do matki. Szczegółowe relacje z życia w stoczni kojarzyły się z alibi i zastanawiała się, czy nie wyjawić prawdy — w liście byłoby łatwiej. Wiedziała jednak, że taka nowina zdruzgotałaby matkę, która wyrzucałaby sobie, że zostawiła Annę samą. Nie miałyby komu się zwierzyć. Gdyby dowiedzieli się o tym dziadkowie i ciotki Anny, nie chcieliby jej więcej widzieć w swoim domu. Kolejne zhańbione dziecko. Nie mogła przynieść wstydu matce, która tak wiele straciła.

*

W pierwszą sobotę czerwca - miała akurat dzień wolny -wpadła rano do swojego dawnego mieszkania po pocztę. Rose poszła z rodziną na szabatowe nabożeństwo. Anna oparła się o ścianę w korytarzu i wśród tych listów co zwykle zauważyła kopertę lotniczą z egzotycznymi znaczkami. Na przedzie widniało jej imię i nazwisko napisane rozedrganą kursywą, która wyglądała niepokojąco znajomo. Anna mogłaby przysiąc, że napisał je jej ojciec.

Po raz pierwszy od czasu przeprowadzki wspięła się do swojego mieszkania na szóste piętro i uświadomiła sobie, że ciężko stąpa po schodach, po których dawniej śmigła jak ważka. W mieszkaniu czuć było starą lodówkę. Uchyliła okno i wyszła z tajemniczym listem na schody przeciwpożarowe. W torebce miała kieszonkowy zegarek ojca - niepodważalny dowód jego śmierci pochodzący prosto z dna nowojorskiego portu. A mimo to wiedziała, że to on jest autorem tego listu. Wiedziała.

Napisał go słabą, drżącą ręką w szpitalu w Somali Brytyjskim. Znalaziono go na morzu dwadzieścia jeden dni po tym, jak torpeda zatopiła jego statek. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku pływał we flocie handlowej. To wszystko przelało się przez mózg Anny i wypłynęło z powrotem, pozostawiając pustkę. Ojciec niedomagał, nie był pewny, czy wydobrzeje na tyle, żeby wrócić. „Okropnie za wami tęsknię, dziewczyny, i marzę o tym, żeby znowu was zobaczyć”, napisał i podał adres skrytki pocztowej w San Francisco.

Anna siedziała tak nieruchomo i tak długo, że na szczeblach schodów przeciwpożarowych u jej stóp wróble zaczęły się stroszyć i wyklócać. Jej ojciec żył, cały czas żył. Mimo że wydawało się to niemożliwe, właściwie nie czuła zaskoczenia.

Odniosła raczej wrażenie, że gwałtownie, niebezpiecznie spada i nic nie wskazuje na to, gdzie to spadanie się skończy. Obiema rękami ścisnęła poręcz schodów przeciwpożarowych. Ostrożnie, jakby budynek się ruszał, weszła z powrotem do domu. Słońce wycofało się na parapety. Widocznie dochodziło

południe. W kuchni znalazła ołówek na sznurku, który matka zawieszała na gwoździu, żeby mieć czym pisać listy zakupów. Anna rozłożyła list ojca na blacie i napisała na nim: LYDIA NIE ŻYJE, przebijając grafitem papier. Potem poszła do swojego dawnego pokoju, położyła się na łóżku i zasnęła.

Gdy się obudziła, poznała po barwie słońca wpadającego przez okno, że jest popołudnie. Powrót na Clinton Avenue nie wydawał się już możliwy. Musiała zacząć działać. Włączyła radio, usiadła przy stole w kuchni i próbowała myśleć. Kim były zakonnice, o których mówiła Nell, i jak mogła je znaleźć? Czy miały telefon? Było już chyba za późno, żeby pójść do Nell. Do kogo mogła się zwrócić? O dziwo przyszedł jej do głowy Charlie Voss, mimo że odkąd przeprowadziła się do Rose, prawie go nie widywała. Instynkt podpowiadał, że Charlie mógłby chcieć jej pomóc, lecz nie miała pewności, więc nie mogła sobie pozwolić na podjęcie takiego ryzyka.

Zaczął się *The Roy Shields Show*, program, którego często słuchała z ciotką Brianne. Wystarczyło, że o niej pomyślała. Oczywiście. Cnota i rozsądek Anny były dla Brianne równie oczywiste jak dla Agnes, lecz rozczarowanie by jej nie zdruzgotało. Nic nie było w stanie zdruzgotać ciotki Brianne.

Gdyby zadzwoniła i zostawiła wiadomość, musiałyby czekać, a Anna czuła się niezdolna do czekania. Zamiast tego postanowiła pojechać prosto do Sheepshead Bay, nawet bez adresu, i zatelefonować stamtąd. Brianne zawsze korzystała ze skrytki pocztowej. Często zmieniała adres, a czasami w ogóle go nie miała, i przechowywała skrzynie pełne futer, a niekiedy także meble, u rodziców Anny. Anna spojrzała na stertę drobiazgów na komodzie. Tak jak przypuszczała, okazało się, że zachowała jedną z serwetek, które ciotka przyniosła na stypę po pogrzebie Lydii. „Dizzy Swain, Emmons Avenue, Sheepshead Bay”. Postanowiła zacząć właśnie tam.

Na przyklejonej do wewnętrznej strony szafki kuchennej mapie sieci metra opatrzonej logo banku Seamen's zobaczyła, że pociąg BMT jedzie prosto do Sheepshead Bay. Wyszła z mieszkania i ruszyła na stację metra.

Kiedyś jeździła do Sheepshead Bay z ojcem, by „załatwić sprawy”, i pamiętała bezładne skupisko niszczyjących doków i małych kutrów. Zabierał ją do jakiejś spelunki, gdzie kilku mężczyzn przy barze pochylało się nad miskami jak zwierzęta nad korytem. Gdy ojciec prowadził interesy, właściciel przynosił Annie porcję chowderu. Pamiętała ten smak: śmietankowy, maślany, intensywnie rybny. Na to wspomnienie aż ścisnęło ją w żołądku.

Emmons Avenue okazała się szersza, niż Anna przypuszczała, swojskie

kłębowisko doków ustąpiło miejsca monumentalnym pirsom wsuwającym się w zatokę pod identycznym kątem. Anna przeszła przez ulicę, kierując się do baru szybkiej obsługi po północnej stronie alei, i pokazała serwetkę kasjerowi, który miał ufarbowane na czarno włosy i wąsik wyglądający na doklejony.

- Wie pan, gdzie to jest? - spytała.

— Pewnie — powiedział. — Przy Emmons, prosto na wschód. Trzydzieści metrów stąd jest przystanek tramwajowy.

Anna patrzyła przez okno tramwaju na mężczyzn w mundurach, którzy późnym popołudniem dumnie wylegli na ulice - orzełki na oficerskich czapkach były złote, nie srebrne, co oznaczało, że to raczej morska straż graniczna, a nie marynarka wojenna. W całym Sheepshead Bay budynki mieszkalne ustąpiły miejsca wojskowym - to musiał być ten ośrodek szkoleniowy, o którym wspominała jej ciotka. Gdy Anna wysiadła z tramwaju, poczuła się jak na Sands Street: zatłoczone bary, studio fotograficzne oferujące dwanaście ujęć za sześćdziesiąt dziewięć centów. MADAME LAROUSSE: KARTY, OUIJA, KULA. Przecnicę dalej zauważyła Dizzy Swain. Na szyldzie widniał zakochany pasterz trzymający shaker do koktajli.

The Swain bardzo przypominało Oval Bar, zapach owoców morza był podbity smrodem trocin zachlapanych piwem. Roilo się tam od nieumundurowanych mężczyzn, którzy jak się domyślała, pływali na statkach handlowych. Całość wydawała się poniżej poziomu jej ciotki, lecz Brianne też tam była - stała przy barze! Anna ruszyła w jej stronę i okazało się, że ciotka stoi za barem - była barmanką! Zdezorientowana Anna gwałtownie znieruchomiała, nie mając pewności, czy Brianne w ogóle ją pozna - tak niepojęte wydawało jej się to spotkanie. Ciotka jednak wydała z siebie okrzyk radości.

- No, najwyższa pora! Wygląda na to, że jeśli chcę zobaczyć swoją bratanicę, muszę otworzyć „Brooklyn Eagle”. Dwa tygodnie bez jednego telefonu, nie wspominając o tym, że zostawiłam trzy wiadomości w kawiarni pana White’a, a nie widzieli cię tam na oczy. Jesteś głodna? Chowder dla mojej bratanicy, Albercie, i nie żałuj małżów.

Lawina żartobliwych pretensji skłoniła Annę do wyjąkania przeprosin. Albert, posiadacz jabłka Adama wystającego bardziej niż nos, posadził ją przy barze i przyniósł talerz parującej zupy. Wkruszyła do niej garść krakersów i nabrała łyżką. Zamknęła oczy: ryby, śmietanka, masło. To była

zupa, jaką pamiętała, tyle że lepsza - lepsza z tego powodu, że właśnie miała ją w ustach. Płyn ogrzał zakamarki jej brzucha i zaczął promieniować do kończyn. Jedząc, miała dziwne wrażenie, jakby ryby z zupy pływały w jej żołądku. Gdy poczuła to po raz drugi, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie nabawi się niestrawności. Ale przyczyna tkwiła gdzieś indziej. Poruszyło się w niej coś żywego.

Ścisnęło ją w gardle i odłożyła łyżkę. Po raz pierwszy odbiło się w niej rykoszetem przerażenie wywołane nieszczęściem, któremu pozwoliła na siebie spaść. Przez prawie dwa miesiące nie zaprzętała sobie nim głowy - z jakiegoś powodu wierzyła, że może się jeszcze wycofać. Teraz musiała się skonfrontować z katastrofą. Była skończona.

Brianne żartowała z marynarzami i napełniała im kieliszki jak niechlujna karczmarka. Anna prawie nie zwracała na to uwagi. Patrzyła, jak nieprzebyta przepaść otwiera się między nią a wszystkim, co kocha: pracą pod wodą, Marle'em i Bascombe'em oraz innymi nurkami, Rose i jej rodziną. Zdjęcie w „Brooklyn Eagle” - grzeczna dziewczyna, uśmiechnięta i niewinna. Tylko że Anna nie była tą dziewczyną. Była zepsutą oszustką blefującą przez całe życie.

Dokończyła zupę, nie czując jej smaku. Istota w brzuchu więcej się nie poruszyła, lecz czuła ją w sobie, skuloną; ciemność, którą skrywała od dzieciństwa, i która przybrała teraz ożywioną, cielesną formę. Tylko ojciec wyczuł jej przebiegłą, niemoralną naturę. Tylko on się domyślił, jaka się stała. To właśnie rozczarowanie Anną skłoniło go do odejścia. Zawsze o tym wiedziała.

Ciotka stanęła za nią i położyła rękę na jej ramieniu.

- Francine zgodziła się zacząć wcześniej, więc możemy pójść na górę i miło sobie porozmawiać - zaproponowała.

Anna podziękowała Francine, której cała ekspresja skupiała się w piegowatym dekolcie, i razem z Brianne wyszły z Dizzy Swain. Za bocznymi drzwiami były schody z rzeźbioną dębową poręczą, która wyglądała jak wspomnienie lepszych czasów. Wspięły się do wyłożonego boazerią korytarza przesiąkniętego wonią cebuli i gotowanych ziemniaków. Anna usiłowała rozwikłać zagadkę sytuacji ciotki. Gdzie tu było miejsce dla Homarowego Króla?

Po drugim zakręcie schodów Brianne wydobyła klucz z zakamarków biustu i otworzyła drzwi. Anna weszła za nią do pokoju, do którego przez jedyne okno wpadało słabe światło. Jej wzrok zatrzymał się na meblach

zapamiętanych z dzieciństwa: na czerwonym tapicerowanym szezlongu, chińskim parawanie, wieszaku na płaszcze, który wyglądał jak zrobiony z pochylonych liter. Ściany i sufit pokoju zdawały się to wszystko ścisnąć, wywołując wrażenie, że meble są zbyt duże i zbyt stłoczone. Kiedy ciotka włączyła światło, ukazały się mała umywalka, palnik gazowy z dzbankiem do kawy i wieszak, na którym suszyły się pasy do pończoch i biustonosze.

- Czy Homarowy Król... mieszka niedaleko? — spytała Anna.

- Odszedł - powiedziała ciotka, wsuwając do ust chesterfielda i przypalając go przyrządem w kształcie lampy Aladyna. - Taka sama łajza jak oni wszyscy.

- Więc... nie masz żadnego przyjaciela?

Brianne zaciągnęła się papierosem, po czym ostrożnie oparła go o srebrną popielniczkę.

- Mam wielu przyjaciół, ale to kobiety - odezwała zza chmury dymu. - Pomijając właściciela tego mieszkania, pana Leontakisa. Jest też właścicielem Swain. To Grek - dodała, jakby chciała za to przeprosić.

Usiadła na czerwonym szezlongu i poklepała miejsce obok. Zajmując je, Anna czuła, jak trzęsą jej się nogi. Brianne ścisnęła jej spocone dłonie w swoich, pulchnych i miękkich. „To moja jedyna wada - mawiała kiedyś o tych dłoniach. - Dzięki Bogu, że nie twarz”. Anna spojrzała ciotce w oczy i uświadomiła sobie, że Brianne się domyśliła.

- Kiedy ostatnio miałś okres? - spytała.

- Nie pamiętam.

- Mniej więcej.

- To się stało dziewiątego lutego.

Brianne zagwizdała.

- Wiedziałam, że powinnam częściej do ciebie zaglądać.

Na tym skończyły się jej wyrzuty. Gdy znów się odezwała, zrobiła to po to, by z życzliwą bezstronnością lekarza zadać szereg praktycznych pytań. Anna odpowiadała monotonnym głosem. Nie, nikt jej nie zaskoczył ani nie wykorzystał. Nikt inny nie wie, w jakim jest stanie. Nie chce podać nazwiska ojca i więcej go nie zobaczy. Przypuszcza, że odda dziecko, ale nie jest pewna.

- Musisz podjąć tę decyzję teraz. Dzisiaj - orzekła Brianne. -Dwa

możliwe wyjścia prowadzą w przeciwne strony

Jeśli zamierzała oddać dziecko, należało jedynie zdecydować, gdzie je urodzi. Brianne знаła kilka odpowiednich miejsc, wszystkie prowadzone przez zakonnice.

- Przygotuj się na długą skruchę - powiedziała. - A potem na częste uderzanie się w pierś. Spowiedź i żal za grzechy. Spowiedź i żal za grzechy. Zakręci ci się od tego w głowie.

- Skąd wiesz?

Na chwilę zapadła cisza.

- Wszyscy to wiedzą - odrzekła Brianne.

Jeśli chciała zatrzymać dziecko, musiała niezwłocznie wyjść za mąż. Słyszając to, Anna nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Ciociu, kto chciałby się ze mną ożenić?

- Zdziwiłabyś się - odparła Brianne. Najpopularniejszym motywem była nieodwzajemniona miłość. - Mężczyzna, który nie miałby u ciebie szans, gdyby nie twój kłopot, może zgodzić się wychować cudze dziecko, traktując to jak cenę za zdobycie ciebie.

Gdy Anna zapewniła ciotkę, że żaden taki wielbiciel nie istnieje, Brianne przedstawiła drugą możliwość, tym razem związaną z mężczyznami, którzy są „inni”.

- To może być całkiem dobre rozwiązanie - powiedziała. - Bywa, że z czasem między mężem a żoną kiełkuje miłość.

- „Inni”?

- Homoseksualiści. No wiesz, pedałki.

Anna rzeczywiście wiedziała, że tacy mężczyźni istnieją, lecz tylko ze słyszenia.

- Gdzie, na litość boską, miałabym kogoś takiego znaleźć?

- Jest ich więcej, niż przypuszczasz.

Anna zmarszczyła brwi, kręcąc głową, lecz nagle niechcący pomyślała o Charliem Vossie. Czy to możliwe? A może desperacja skłaniają do wyciągania daleko idących wniosków?

- Możliwe, że jednego znam - powiedziała. - Ale co, jeśli się mylę?

- Lubisz go? Czy on lubi ciebie?
 - Bardzo.
 - Bingo. Oto i twoja odpowiedź. Pod warunkiem, że ma porządną pracę.
 - Ale jak miałyby to wyglądać?
 - Nie, nie pracę, raczej porządne perspektywy. Pracę ma dzisiaj każdy.
 - Nie mogę tak po prostu go spytać.
 - Jutro rano poprosisz go o pilne spotkanie. Spytasz, co by ci radził w obecnej sytuacji, i zaczekasz, aż sam wyjdzie z propozycją.
 - A potem?
 - Natychmiast za niego wyjdiesz, bez rozgłosu. W normalnych okolicznościach wyjechałibyście z miasta, żeby nikt nie mógł się doliczyć, ale przez tę głupią wojnę będziecie musieli udzielać wymijających odpowiedzi na pytania o daty ślubu i narodzin dziecka. Później się wszystko naprostuje. Twoje dziecko - dzieci, jeśli urodzisz więcej - będzie miało ojca. To jest najważniejsze: będzie potomkiem z prawego łoża.
 - I ludzie naprawdę tak żyją?
 - Znam kilka takich par. Zwykle na przedmieściach, na Long Island albo w New Jersey. Mężczyzna dojeżdża do pracy w centrum, wynajmuje tam mieszkanie i parę razy w tygodniu zostaje po godzinach. Osobne sypialnie. To jak mieszkanie z przyjaciółką, tylko że zamiast przyjaciółki jest mąż.
 - Brzmi strasznie ponuro - powiedziała Anna.
 - Ponuro? Spójrz na siebie.
 - Wolałabym być sama, niż tak żyć.
- Brianne położyła papierosa na srebrnej popielniczce i zmieniła się w lodowatą wieżę nagany.
- Och, będziesz sama, a jakże - zapewniła. - Choć bardziej pasowałoby powiedzieć, że będziesz wyrzutkiem. A twoje dziecko będą nazywać bękartem. Posłuchaj, skarbenku: przed niezamężną matką i jej nieślubnym dzieckiem drzwi świata są zamknięte. Jeśli urodzisz, nie mając męża, będziesz żyła jak cień, i twój bachor też. Zastanawiam się, dlaczego do mnie nie przysłaś, kiedy jeszcze można było coś z tym zrobić, ale jesteś zbyt bystra, żeby być taka głupia, Anno. Pomyśl o swoim homoseksualnym przyjacielu - prawdopodobnie homoseksualnym przyjacielu. Jeśli będziesz miała dość szczęścia, żeby skłonić go do złożenia tej propozycji, to będzie chyba twoja

największa szansa na szczęście. O ile rzeczywiście chcesz urodzić.

Anna zrozumiała, że powinna zrezygnować z dziecka. Musiałaby wyjechać, ale potem mogłaby wrócić do obecnego życia. Zrobiła w myślach szybki przegląd tego, co by na nią czekało: wynajęty pokój, praca, którą straciłaby po zakończeniu wojny. Przyjaciele, którzy się rozpierchną. Innymi słowy, nic. Jej życie było życiem wojennym. Wojna by ła a jej życiem. Wcześniej miała inne życie - rodzinę, sąsiadów - ale wszyscy z tamtych czasów poumierali, wyprowadzili się albo dorośli. Ostatnim śladem tamtego życia była dziwna, mroczna magia śmierci jej ojca.

- Muszę się przejść. - Anna gwałtownie wstała. - Muszę pomyśleć. Muszę pobyć sama.

- O nie - powiedziała Brianne i stękając, podniosła się z szezlonga. - Za długo byłaś sama, to chyba oczywiste. Nie musimy nic mówić, ale nie odstąpię cię na krok, dopóki nie będziesz miała konkretnego planu.

Poszły na wschód po Emmons Avenue. Słońce zaszło, oblewając niebo różem. Anna czuła zapach zatoki Jej oleistych pirsów. Stada mew skakały po wybrzeżu jak białe króliki.

- Tata żyje - powiedziała, przerywając długie milczenie.

Ciotka spojrzała na nią.

- A myślałaś, że nie?

- Dostałam list. Pływał na statkach handlowych.

Gdy Brianne nie okazała zdumienia tak nieprawdopodobnym rozwojem wypadków, Anna gwałtownie skupiła na niej wzrok.

- Wiedziałaś o tym?

- Miałam przeczucie. - Po chwili, uprzedzając wybuch Anny, Brianne dodała: - A myślałaś, że skąd brałam pieniądze, żeby pomagać tobie i twojej matce? Z pracy w tej garkuchni?

- Przecież... Homarowy Król.

- Nie ma żadnego Homarowego Króla. Och, daj spokój, nie rób takiej zdziwionej miny - ta bajeczka była trefna jak trzydolarowy banknot. Taka stara torba jak ja i wspaniały mężczyzna? Schlebia mi, że w to uwierzyłaś.

Annę ogarnęła wściekłość. Zatrzymała się i wrzasnęła na ciotkę, wzbudzając zainteresowanie jakiegoś przechodnia.

- Nie powiedziałaś mu o Lydii! Myśli, że ona nadal żyje!

- Nie podał mi adresu - odrzekła łagodnie ciotka. - Nawet numeru skrytki pocztowej. Dwa razy w roku przysyłał przekaz pieniężny, każąc mi wydać trochę na siebie, a resztę dać Agnes.

- Wolałabym, żeby nie żył! - krzyknęła Anna. - Byłoby lepiej.

- Gdyby mężczyźni umierali na życzenie, prawie żaden by się nie ostał.

Równie szybko jak wybuchła, złość Anny skurczyła się i przeszła w obrzydzenie.

- Też go nienawidzisz? - spytała, gdy znowu ruszyły przed siebie.

Brianne westchnęła.

- To mój jedyny brat - powiedziała. - Kto wie, może w czasie wojny nabrał trochę rozumu. Wojny słyną z takiego działania.

- Mówiłaś, że wojny są śmieszne. Ze to chłopcy poszturchujący się kijami.

- Mężczyźni, którzy rozpętują wojny, owszem. Ale ci, którzy w nich walczą, ci piękni chłopcy... oni są niewinni.

- Tata nie jest żołnierzem, ciociu... a poza tym pływa na statkach handlowych!

- A czy tacy ludzie nie są żołnierzami? - odparła z przejęciem Brianne. - Podejmują wszelkie ryzyko, choć nie mogą liczyć na chwałę: ani na medale, ani na salwy honorowe. Ostatecznie świat uważa ich tylko za marynarzy floty handlowej, niewiele lepszych od zwykłych obiboków. A według mnie to prawdziwi bohaterowie.

Trudno było nie słyszeć drzenia w głosie ciotki. Najwyraźniej bohaterstwo było tą jedną rzeczą, która nie wydawała jej się śmiechu warta.

- Tata jest bohaterem? To mi próbujesz powiedzieć?

Brianne milczała. Anna pomyślała o liście od ojca: o torpedzie, tratwie, szpitalu. Postanowiła, że powie o tym ciotce, ale jeszcze nie teraz. Jej umysł wreszcie zaczął pracować, jakby wściekłość wypaliła drogę przez myśli.

Dotarły do części nabrzeża oddzielonej wojskowym ogrodzeniem i zawróciły. Przez całą drogę powrotną żadna nie odezwała się słowem. Gdy wspięły się po schodach do pokoju Brianne i powiesiły kurtki, Anna spytała:

- Ile zostało z pieniędzy, które przysłał tata?

- Mniej więcej dwieście dolarów. Czemu pytasz?

- Mam plan.

Ciotka nalała do szklaneczki whiskey Four Roses i podała ją Annie, ale dziewczyna odmówiła — nawet teraz nie potrafiła się zmusić, żeby pić w obecności Brianne. Wróciły na szezlong, ciotka zapaliła papierosa i zakołysała szklaneczką.

- Zamierzam pojechać pociągiem do Kalifornii - zakomunikowała Anna. - Po drodze włożę obrączkę na palec i czarną sukienkę. Dotrę na miejsce jako wojenna wdowa, zamieszkam w pobliżu stoczni Mare Island i będę tam pracowała jako nurek. Chyba uda mi się dostać przeniesienie ze stoczni na Brooklynie.

Brianne prychnęła.

- Zdajesz sobie sprawę, że kuszetka do Kalifornii kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów?

- Mam w banku pięćset czterdzieści dwa i trzysta dwadzieścia osiem w obligacjach wojennych. Poza tym pojedę autokarem.

- Nie w twoim stanie!

- Ciociu, spawam dziesięć metrów pod powierzchnią wody!

- Będiesz biedowała - powiedziała Brianne. - Jak nędzarka.

- Mogę sprzedać obligacje.

- Skończysz na ulicy.

- Nie bądź śmieszna.

- Kto ci tam pomoże? Kogo znasz w Kalifornii?

Anna gorzko się roześmiała.

- No cóż, jeśli będę zdesperowana, chyba napiszę do taty. Z tego, co zrozumiałam, jest teraz bohaterem.

Po „kolacji z owoców morza” i porcji placka z borówkami w słynnej restauracji Lundy’s Anna przebrała się w stary, poplamiony pod pachami atlasowy peniuar ciotki. Brianne przywdziała dostojną podomkę ze szczotkowanej wiskozy zapiętą pod samą szyję. Położyły się razem w łóżku z baldachimem, gdzie raz po raz docierały do nich wybuchy śmiechu klientów, którzy przyszli na sobotnią wieczorną imprezę w Swain. Anna nie spała, wpatrywała się w lampę z podstawą z rzeźbionych gipsowych róż. Jej plan ją zelektryzował -a raczej ulga, że wreszcie miała jakiś plan. Myślała, że ciotka zasnęła, więc zdziwiła się, słysząc głos w ciemności.

- A jeśli chodzi o ojca dziecka...
- Ciociu, nie.
- Jedno pytanie.
- Nie.
- Nie musisz odpowiadać. Jeśli je zadam, będę wiedziała.
- Niczego nie będziesz wiedziała.
- Był żołnierzem?

Anna milczała.

- Ech, te mundury - zachichotała ciotka. - Kto im się oprze?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Obawiam się, że list gównem da - powiedział kapitan Axel. - Powinien wystarczyć, ale nie wystarczy.

- Chodzi mi o zwykłe przeniesienie - wyjaśniła Anna. - Ze stoczni marynarki wojennej na Brooklynie do Mare Island.

- Z przeniesieniami jest mnóstwo pieprzenia, wybacź, że się wyrażam. Trwałoby całe wieki, jak wszystko w tym bałaganie. Zrobimy inaczej... - Spojrzał na nią sponad biurka. - Zadzwońę na międzymiastową i porozmawiam z gościem, który tam dowodzi.

- Dziękuję.

- Jeśli na poważnie zajmował się nurkowaniem, prawdopodobnie go znam. - Zrobił minę zapowiadającą złe wieści, lecz tym razem nie towarzyszyła jej demoniczna przyjemność, która zwykle skrzyła się w tle. - Usiądź, Kerrigan.

Anna usiadła. Denerwowała się. Teraz, gdy każdy jej ruch miał na celu dostanie się do Kalifornii z nienaruszoną reputacją, nękał ją strach przed zdemaskowaniem.

- Kiedy u mnie pracowałaś, byłaś chroniona przed pewnym nieprzyjemnym faktem. W Kalifornii nie będę mógł ci tego zapewnić. - Wziął głęboki oddech i konfidencjonalnie pochylił się w jej stronę. - Chłopcy ze starej gwardii często bywają... zacofani. Nie będą chcieli widzieć dziewczyny wśród swoich nurków. Może nawet od razu wyśmieją taki pomysł.

Spojrzał na nią z powagą, a Anna miała mętlik w głowie. Czyżby żartował? Postanowił dla odmiany zadrwić z samego siebie? A może naprawdę zapomniał, jak wyglądały ich wspólne początki?

- Oczywiście nie jesteś taka jak większość dziewczyn -dodał. - Obydwoje o tym wiemy.

- Trudno stwierdzić, jaka jest większość dziewczyn -mruknęła Anna.

- Chodzi mi o to, że muszę przeprowadzić tę rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną: „Zatrudnij ją. Będzie pracowała za dwóch chłopów”. Jeśli cię tam wyślę tylko z listem, gość uzna, że napisałem go z niskich pobudek. To smutna prawda i przykro mi, że akurat ja muszę ci ją uświadomić, Kerrigan, ale właśnie tak funkcjonują ich umysły.

Anna słuchała ze zdumieniem.

- Rozumiem.

- Jak mężczyzna z mężczyzną: „To nie żadna półprzytomna blondynka, która lubi się kumpłować z facetami”, bo właśnie tak pomyślał. Widzę, że jesteś wstrząśnięta, ale świat bywa paskudny. „Do diabła, to najlepszy nurek w moim zespole, więc zetrzyj z gęby ten krzywy uśmiezek i wpisz ją na listę płac, na litość boską!” - Gdy stawiał czoła uprzedzeniom wyimaginowanego rozmówcy, płonęły mu policzki. - Mamy wojnę do wygrania, psia mać! Potrzebujemy najlepszych chłopców... ee... to znaczy ludzi. Pracuje u mnie Murzyn, pan Marle. Tak się składa, że to mój najlepszy spawacz. Czy mi przeszkadza, że jest Murzynem? Do diabła, przyjąłbym żyrafę, gdyby przysłali mi tu taką, która potrafi spawać pod wodą tak jak on.

Jego gwałtowne emocje sprawiły, że Anna zaczęła wątpić w swoją pamięć. Czyżby wyolbrzymiała początkową szorstkość kapitana? Była przewrażliwiona? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Myśli pan, że dadzą się przekonać? - spytała.

- Chyba mam pewne wyobrażenie o ich języku i o tym, jak działają ich umysły. To wystarczy, żeby się porozumieć.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Przez chwilę milczał, obserwując swoje złożone na biurku dłonie.

- To pierwsza sprawa - podjął już spokojniej. - Druga jest taka, że w Pacyfiku roi się od rekinów. Słyszałem, że wielkie ludojady obżerają się fokami z zatoki San Francisco jak dropsami. Co, jeśli można wiedzieć, zamierzasz zrobić z tym fantem?

*

Upłynęło tylko dwanaście dni między chwilą, w której Anna oznajmiła, że musi dołączyć do matki w Kalifornii, a jej wyjazdem. W tym czasie - a raczej po pracy i w jedynym wolnym dniu, jaki miała w tym okresie - złożyła wypowiedzenie u właściciela budynku, spakowała i wysłała pocztą ubrania oraz bieliznę matki, oddała meble do przechowalni, zamknęła konto w Williamsburgh Savings i telegraficznie przeniosła wypłacone środki do Bank of America w Vallejo w Kalifornii. Odwiedziła grób Lydii, obiecując, że ściągnie siostrę, gdy już się urządzi. Bascombe, Marle, Ruby i Rose (której rodzina wpadła w rozpacz na wieść o wyjeździe Anny) zaproponowali pomoc, lecz nie mogła ryzykować. Wyjaśnienie decyzji o wyjeździe matce i sąsiadom wymagało radykalniejszego podejścia: po dwóch tygodniach

zalotów ukochany chwycił ją w ramiona i zaniósł prosto do ołtarza, a teraz jechała za świeżo poślubionym mężem do stoczni marynarki wojennej Mare Island. Kupiła w lombardzie obrączkę i wsuwała ją na palec za każdym razem, gdy wchodziła do swojego dawnego bloku. Historyjkę należało przedstawiać z przejęciem i zapartym tchem, co wyczerpywało Annę bardziej niż najdłuższe pakowanie się i dźwiganie ciężarów. Wykańczało ją nawet pisanie o tym w listach do Stelli, Lillian i matki oraz do służących w wojsku chłopaków z sąsiedztwa. Skropiła papeterię wodą toaletową o różanym zapachu i hojnie sypała wykrzyknikami. Najtrudniej było okłamywać matkę, lecz wiedziała, że to rozwiązanie tymczasowe - sposób na uwiarygodnienie bajeczki w oczach rodziny w Minnesocie. Anna zamierzała powiedzieć Agnes prawdę, gdy się spotkają.

Mężowi dała na imię Charlie. „Kapitan Charlie Smith!!!!!!”

Trwanie w dwóch niepowiązanych ze sobą kłamstwach wymagało nie tylko ogromnej precyzji w zakresie wkładania i zdejmowania obrączki, lecz również całkowitego oddzielenia przeszłości - matki i sąsiadów - od obecnego życia w stoczni. Oznaczało także, że nie pożegna się z Charliem Vossem, ponieważ wątpiła, by była w stanie kłamać mu prosto w twarz. Postanowiła, że napisze do niego z Kalifornii.

Przy ostatniej piwnej kolejce w Oval Bar podała przyjaciółom adres hotelu Charles w Vallejo. Obiecała Bascombe'owi, że ucałuje od niego wybrzeże Pacyfiku, a Ruby, że prześle jej liść palmy. Marle'owi, który miał nadzieję, że po wojnie przeprowadzi się do Kalifornii, obiecała, że dowie się, gdzie najlepiej traktują Murzynów. Potem przytuliła Ruby, ucisnęła dłonie szesnastu nurków i poszła na przystanek tramwajowy na Flushing Avenue, żeby pojechać na ostatnią kolację z Rose i jej rodziną.

Nazajutrz w południe Brianne przyjechała taksówką. Rose i jej ojciec poszli już do pracy, więc Annę żegnała matka przyjaciółki. Kobieta wydała z siebie okrzyk na widok ilości bagażu, który znajdował się już w taksówce: dwóch kartonów, sakwojażu, walizki z bagażem podręcznym, walizki z kosmetykami i olbrzymiego kufra - wszystko to należało do Brianne. Udział ciotki w przeprowadzce Anny ewoluował od obietnicy odwiezienia jej na dworzec przez towarzyszenie jej aż do Chicago, pojechanie z nią do Kalifornii pod pretekstem odwiedzin u przyjaciół w Hollywood, zatrzymanie się w Vallejo wystarczająco długo, by pomóc Annie się zaaklimatyzować, wspieranie jej podczas porodu - bo kto miałby serce zostawić dziewczynę w takich okolicznościach - aż po objawienie, które zbudziło Brianne z głębokiego snu (jej własne słowa) i wyrzuciło z łóżka z baldachimem: miała

już serdecznie dość Nowego Jorku, marzyła o kalifornijskiej pogodzie i już dawno powinna była się tam przeprowadzić. Meble oddała do tej samej przechowalni co Anna.

Matka Rose wzięła małego Melvina na ręce i razem machali Annie na pożegnanie, wpatrzeni w oddalającą się taksówkę. Anna zauważyła, że kobieta płacze. Srebrzyste drzewa wzdłuż Clinton Avenue drżały na wietrzyku, który pachniał węglem z nutką czekolady. Gdy zniknęli z oczu matce Rose, Anna opadła na oparcie i zamknęła oczy. Jakaś nienaturalna energia pchała ją przez kolejne etapy prowadzące do tego wyjazdu. Teraz, gdy ostatni z nich dobiegł końca, jej podekscytowanie gwałtownie przerodziło się w uczucie pustki. Nigdy nie chciała wyjeżdżać - teraz też.

Brianne trzepotała ręcznie malowanym chińskim wachlarzem, uwalniając z wnętrza sukienki woń stęchłego pudru. Anna zadrżała z obrzydzenia. Nie chciała wyjeżdżać - zwłaszcza w towarzystwie tej starej zatechłej kobiety. Opuściła szybę, żeby poczuć na twarzy uderzenie bryzy. Taksówkarz skręcił w lewo we Flushing i pojechał na zachód wzdłuż stoczni - mijając budynek 77, z którego wysokich okien Anna patrzyła niegdyś na statki w suchym doku, oraz bramę przy Cumberland i znajdujące się za nią rezydencje oficerskie z kortami do tenisa. Na wzgórzu, ponad kominami fabrycznymi zauważyła należący do komendanta żółty dom z dwuspadowym dachem.

Kierowca skręcił w prawo w Navy Street, po czym minęli bramę przy Sands i budynek 4, w którym kiedyś pracowała Nell. Gdy zbliżyli się do północno-zachodniego krańca stoczni, Anna poczuła ból w klatce piersiowej i w gardle. Tuż za tym murem znajdował się budynek 569! Zwykły dzień, doskonała pogoda na nurkowanie! Poczowała się tak, jakby sama również była za tym murem i razem z przyjaciółmi taszczyła sprzęt na barkę, jednocześnie odjeżdżając od nich na zawsze. Rozłąka była brutalna - rozdzierające wykluczenie. Anna łapczywie wpatrywała się w charakterystyczne punkty krajobrazu, jakby chwytając się stoku, żeby nie ześlizgnąć się w dół: budynek Woolwortha! Stare pirsy przy Seaport! Przypominające harfę przęty mostu Brooklińskiego!

Po drugiej stronie East River znów ukazała się stocznia marynarki wojennej, zza pochylni wyzierał mroczny kształt pancernika Missouri. Prace przy okręcie przebiegały szybciej, niż planowano. Ludzie już się głowili, o które miejsca starać się podczas wodowania. Te najbardziej pożądane znajdowały się wewnątrz pochylni i Charlie Voss obiecał Annie jedno z nich. Zastanawiała się, czy jakimś cudem mogłaby przyjechać na Brooklyn na wodowanie Missouri. Gdyby przegapiła to wydarzenie, czułaby się tak, jakby

nigdy nie była w stoczni marynarki wojennej.

Ostatecznie obejrzała wodowanie z wnętrza pochylni -w kronice filmowej w kinie Empress w Vallejo w Kalifornii.

Był koniec kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, trzy miesiące po wodowaniu. Anna oglądała tę kronikę tyle razy, że bileter zaczął ją wpuszczać za darmo - nigdy nie zostawała na filmie. Olbrzymia wystająca rufa okrętu bardzo pomniejszała perspektywę kamery, przez co marynarze machający z achterdeku wydawali się malutcy. Matką chrzestną statku została Margaret Truman, dziewiętnastoletnia córka jakiegoś senatora z Missouri. Rozbiła butelkę szampana o kadłub z hukiem przypominającym ogień artyleryjski, lecz Anna dowiedziała się wcześniej od Marle'a, który okazał się solidnym i precyzyjnym korespondentem, że udało jej się to dopiero za trzecim razem. „Wszyscy stwierdziliśmy, że Kerrigan poradziłaby sobie lepiej”, napisał.

Gdy tylko butelka się rozprysła, mężczyźni zaczęli odrzucać drewniane drągi podtrzymujące Missouri. W kilka sekund „największy i najwaleczniejszy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano” zsunął się do wody z jedwabistą gładkością, którą w dużej mierze zawdzięczał temu, że wszelki piskliwy opór zastąpiono w kronice muzyką orkiestry dętej i przybierającym na sile głosem prezentera: „Missouri to symbol nieustannie rosnącej siły marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych”. Mężczyźni pobiegli za okrętem, przytrzymując kapelusze, lecz Missouri był poza ich zasięgiem - już gdy jego rufa zsuwała się po pochylni, dziób rozpryskiwał wodę, wypływając na East River, która rozstała się przed nim z łatwością poduszki przyjmującej kota. I już po chwili okręt odpływał z zanurzonym do połowy kadłubem, jakby nigdy nie był na lądzie. Odnosiło się wrażenie, że ogląda się jakąś istotę, która rodzi się, rośnie i nieodwracalnie odchodzi, robiąc to wszystko w ciągu niespełna minuty.

Taksówka skręciła na zachód w Czterdziątą Drugą, ku dworcowi Grand Central. Promienie słońca raz po raz przebijały się przez sito nadziemnej kolei miejskiej na Trzeciej Alei, pod którą jechali. Później przysłoniły je wieżowce. Rzucony przez nie nagle cień kojarzył się z nadciągającą burzą. Sprzedawcy gazet wykrzykiwali nagłówki: „Amerykańskie samoloty zestrzeliły siedemdziesięciu siedmiu japońskich lotników w Guadalcanal!”, „Największa z dotychczasowych bitew na Pacyfiku! Strącono tylko sześć amerykańskich samolotów!”.

- Pokaż tę swoją obrączkę - odezwała się Brianne.

Anna poszła do lombardu przy Willoughby Avenue, niedaleko sądu, z zamiarem nabycia najtańszej obrączki, jaką zdoła znaleźć. Nie mogła się jednak zdecydować między jedną z drobnymi brylantami osadzonymi w czternastokaratowym złocie a drugą z mosiądzu zdobionego filigranowym wzorem liści. Im dłużej im się przyglądała, tym ta decyzja wydawała jej się ważniejsza. W końcu miała to być jej ślubna obrączka. Wiedziała, że będzie ją nosić codziennie. Czy była skazana na powgniatany miedziany owal, który barwił palec na zielono? Gdy tak się zastanawiała, uważnie oglądając obrączki, nagle wyraźnie poczuła obecność Dextera Stylesa, jego nerwową bliskość. Wyobraziła sobie, jak Styles odrzuca małe kamienie: „Brylant powinien być wystarczająco duży, żeby można go było zobaczyć. Nikt nie odróżni mosiądzu od złota, jeśli będziesz go regularnie polerowała”. Wybrała mosiężny filigran.

— Niezła - powiedziała Brianne, przesuwając palcem po wzorku w liście, który Anna wypolerowała tego dnia rano. - Twój żołnierz ma dobry gust — dodała po chwili, puszczając oko.

Gdy zbliżały się do Grand Central, Brianne obficie skropiła rowek między piersiami wodą toaletową. Już wkrótce flirtowała z młodym czarnoskórym bagażowym. Pochwycił spojrzenie Anny i obydwójce uśmiechnęli się na myśl o jej ciotce, dobiegającej pięćdziesiątki i wciąż cuchnącej perfumami Lady of the Lake.

Pęd mundurów w zadymionej hali graniczył z zamętem. Pociągi były przepełnione. Brianne musiała użyć „całego swojego uroku”, żeby z tak małym wyprzedzeniem zdobyć dwa miejsca sypialne w pociągu z Chicago do San Francisco. Anna przypuszczała, że ten wyczyn wiązał się z łapówką, a nie z flirtem. Idąc przez snopy mglistego światła, które wpadało ukośnie przez lunetowe okna nad głowami, poczuła, jak piętno jej porażki zaczyna blednąć. Wszędzie były dziewczyny: te służące w oddziałach WAVES i WAC, matki ciągnące dzieci za ręce. Wyjazd Anny nie miał w sobie niczego niezwykłego, była tylko małą częścią migracji.

Zająły zwrócone ku sobie miejsca przy oknie w pociągu Pacemaker do Chicago. Razem z nimi do przedziału wcisnęło się jeszcze sześć osób. Czując ulgę, że nie musi dłużej ukrywać swojego stanu, Anna odprężyła się, pozwalając, by jej sweter się rozchylił i odsłonił wystający brzuch. Najwyraźniej to wystarczyło, by zakłócić równowagę w przedziale, bo od razu poczuła, jak pozostali pasażerowie zaczynają rozkładać jej sytuację na czynniki pierwsze. Skończyli dopiero w chwili zlokalizowania obrączki na jej palcu. Zaspokojenie ich ciekawości podziałało na nią jak westchnienie.

Obrączka miała magiczne właściwości. Annie zaproponowano wachlarz, gazetę, szklanekę wody. Taka moc w jednej cienkiej obrączce.

Rozmowa była bardziej ryzykowna. Każdy znał kogoś z marynarki wojennej i wzmianka o kapitanie Charliem Smicie zachęciła współpasażerów do zadawania pytań. Anna rozwiązała ten problem, sięgając po lekturę: najpierw po „Timesa”, potem po *Journal American*”. I w końcu po *The Tragedy of Z Ellerye’go Queen*a.

- Zabrałaś sukienkę? - spytała ciotkę ściszym głosem.

- Kilka - powiedziała Brianne. — Jedna śliczniejsza od drugiej. Ale na razie nie są ci potrzebne - szepnęła Annie do ucha. - Zanim zaczniesz żałobę, naciesz się tygodniem małżeństwa.

Flotyła okrętów wojennych wzdłuż rzeki Hudson odpływała w dal, gdy Pacemaker pędził na północ. Była to ta sama trasa, którą Anna jeździła do Minneapolis z matką i Lydią, lecz nie przypominała sobie, by tamte pociągi gnały z taką prędkością. Pacemaker z rykiem mknął po przejazdach, a pranie łopotało za nim jak skrzydła przestraszonych szpaków. Żołnierze krążyli po korytarzach, grając w karty i wyrzucając papierosy przez okna. Prędkość pociągu wywołała u Anny dreszczyk wyczekiwania. Patrzyła przez okno: miasteczko za miasteczkiem rozciągało się coraz szerzej, a potem kurczyło i znikało. Pociągi jadące w przeciwną stronę mijały ich z impetem.

Obudziwszy się z drzemki, zauważyła, że dotarli do Schenectady. Wczesnowieczorne słońce nadawało ceglany fabrykom wzdłuż torów miodową barwę. Na Brooklynie wychodziłaby teraz ze stoczni razem z Rose, albo może piłaby piwo w Oval z innymi nurkami. Wrażenie, że ograbiono ją z życia, osłabło i przeszło w zwyczajny ból. Wszystko dzięki odległości. List nadany w Schenectady szedłby do Nowego Jorku cały dzień. Rozmowa telefoniczna wymagałaby wielu monet i ingerencji telefonistki. Odjechała daleko.

Gdy słońce zachodziło nad Syracuse, Anna i Brianne udały się do wagonu restauracyjnego. Szepem przeanalizowały swój plan nad kotletami z kurczaka: kapitan Axel zapewnił Annie pracę w stoczni marynarki wojennej Mare Island, gdzie miała nurkować, dopóki będzie mogła ukryć swój stan. Potem weźmie urlop, urodzi i wróci jako wdowa, znalazłszy kogoś do opieki nad dzieckiem.

- Mam nadzieję, że przyjedzie mama - powiedziała Anna.

Brianne zrobiła urażoną minę.

- Nie zadowala cię moje towarzystwo?

Anna się roześmiała.

- Ciociu, przecież ty nie znosisz dzieci.
- Nie wszystkich dzieci.
- Nazywasz je bachorami.
- Dla pewnych wyjątków byłam podobno cudowna.

Anna przechyliła głowę.

- Chciałabyś zajmować się dzieckiem?

Z jakiegoś powodu zabrzmiało to jak propozycja. Anna widziała, że ciotka się zastanawia, wyraźne zmarszczki na jej twarzy ułożyły się w rzadki wyraz kontemplacji.

- Możliwe, że to jedyne, czego jeszcze nie robiłam - odparła.

W Rochester z dnia pozostała jedynie pomarańczowa poświata nad zachodnim horyzontem. Przez otwarte okna wpadał wyraźny zapach obsianych pól. Po prawej rozciągało się jezioro Ontario, fioletowoczarne. Anna wyobraziła sobie Rose i małego Melvina zwiniętych na jej łóżku. Rose pogryzała orzechy włoskie, kończąc ostatni rozdział kryminału z Jackiem Asherem. Bascombe odprowadził już pewnie Ruby do domu, wieczór wypełnił się portowymi odgłosami, a on wracał tramwajem do wynajętego pokoju. Anna wyobrażała sobie to wszystko ze smutną rezygnacją. Tak szybko powierzyła to życie przeszłości. Jego trudne do uchwycenia gołym okiem blaknięcie było ceną, jaką musiała zapłacić za pędzenie naprzód ku tłącej się nieznanej nadziei, która emanowała z tego pomarańczowego blasku. Była jej spragniona, marzyła o przyszłości, która się w niej zawierała. Gdy pociąg z rykiem pędził na zachód, gwałtownie się wyprostowała. Pomyślała o ojcu. W końcu zrozumiała: „A więc tak to zrobił”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Eddie siedział na ławce w parku naprzeciwko kina Empress i wpatrywał się w drzwi, czekając, aż wyjdzie przez nie Anna. Oglądała kronikę filmową o USS Missouri, okręcie zbudowanym w stoczni marynarki wojennej na Brooklynie, gdzie pracowała prawie rok, zanim wyszła za mąż.

Też chciał wejść do środka, żeby to obejrzeć, ale go zniechęciła.

- Nie było cię - powiedziała. - Dla ciebie to nie będzie miało znaczenia.
- Mogę zaczekać?
- Możesz robić, co chcesz.

Eddie nabrał nadziei. Jak na razie wizyta przebiegała lepiej niż poprzednia, w październiku, gdy przyjechał kolejką elektryczną z San Francisco i po zmroku zadzwonił domofonem do ponurego mieszkania. Usłyszał płacz dziecka i ten dźwięk natychmiast go przygnębił. Już miał się wycofać, gdy drzwi się otworzyły i stanęła za nimi ona - Anna, dorosła. Patrzyła na niego.

- Tata - powiedziała cicho i Eddie odniósł wrażenie, że dostrzega w jej twarzy zachwyty połączone ze zdumieniem, choć możliwe, że było to jedynie zdumienie. Jego zaś zdumiała blada, ciemnooka kobieta w drzwiach. Rozpuszczone włosy opadały jej na szlafrok.

Uderzyła go w twarz z taką siłą, że zobaczył gwiazdy.

— Nigdy więcej tu nie przychodź — powiedziała i bezszelestnie zamknęła drzwi, żeby, jak później uznał, nie wystraszyć dziecka.

Druga wizyta miała miejsce w styczniu po trzymiesięcznym rejsie na wyspy Gilberta, w którym uczestniczył w stopniu drugiego oficera - z powodu utrzymujących się problemów z żołądkiem była to jego pierwsza wyprawa od czasów Elizabeth Seaman. Tym razem zjawił się, gdy Anna była w pracy, by zobaczyć się z Brianne i poznać „małego dżentelmena”, jak jego siostra lubiła nazywać krępkie niemowlę o gniewnym spojrzeniu, które z przyganą patrzyło na Eddiego z koszyka.

- Jak wyglądał jego ojciec? - spytał, mierząc dziecko wzrokiem. - Masz zdjęcie?

- Nie - odparła ciężko Brianne. - Wszystkie przypadły razem z walizką, która zaginęła w pociągu.

Eddie miał szczęście, że to nie jego żona opiekuje się dzieckiem. Brianne

twierdziła, że w czerwcu Agnes wyniosła się z rodzinnej farmy, serwując ponurym członkom swojej rodziny taki sam wstrząs jak wtedy, gdy w wieku siedemnastu lat uciekła do Nowego Jorku. Wróciła do miasta okazją i zgłosiła się na ochotnika do pracy w Czerwonym Krzyżu. Teraz była za granicą i pracowała jako pomoc pielęgniarska. Jej listy były zbyt mocno ocenzone, by Brianne zdołała się dowiedzieć, gdzie jest bratowa, lecz Agnes wspominała o lasach. Stawiali na Europę.

Eddie patrzył na dziecko wierzgające niczym niezmordowane szczenię.

- Biedne diablątko - powiedział.

- On wcale nie jest biedny - odparowała jego siostra. - Jeszcze nigdy nie było na świecie równie rozpieszczanego i uwielbianego małego dzentelmena.

Wydawała się dziwnie odprężona, karmiąc i odbekując małego nicponia, jakby był jej własnym dzieckiem, a w domu nawet nie wspominało się o alkoholu. Przemiana siostry z podstarzałej zdziwy w zaaferowaną nianię sprawiała wrażenie wręcz błyskawicznej, jakby ktoś obrócił kalejdoskop.

- Gdzie przez te wszystkie lata ukrywałaś te skłonności do matkowania?
- spytał.

- Nie ukrywałam ich, tylko je marnowałam - powiedziała. - Na padalców i chamów bardziej dziecinnych niż ten berbec! - Wzięła malca na ręce i obsypywała jego twarz pocałunkami, aż zaczął chichotać. - No, kochany braciszku - dodała po chwili. - Potrzyмай swojego wnuka.

Eddie nieśmiało wyciągnął rękę, bojąc się, że zrobi mu krzywdę. Silne niemowlę uchwyciło się go jednak z tak tkliwą determinacją, że poczuł się, jakby to jego trzymano.

- Spokojnie - powiedziała Brianne. - Tylko dziecku wolno płakać.

Pod koniec tej wizyty Eddie poszedł pod bramę Mare Island, żeby poczekać na Annę. Przeprowadził wcześniej rekonesans i wiedział, którą powinną wracać ze stoczni do bungalowu, gdzie mieszkała z Brianne i innymi robotnicami z Mare Island.

Wycofał się z ulicy i stanął pod strzechą z eukaliptusów. Intensywnie pachnące liście dyndały wokół niego jak sierpy.

Anna zjawiała się po największej fali stoczniowców, śmiejąc się z jakąś dziewczyną. Jej rażny krok tak bardzo skojarzył mu się z Agnes, że przez chwilę był skołowany. Na którą z nich patrzył? Anna pożegnała się z przyjaciółką i przyspieszyła, zarumieniona pod rondem kapelusza. Wydawała

się niezwykle szczęśliwa jak na niedawno owdowiałą dziewczynę. Choć przecież, jak przypuszczał, znała kapitana Smitha zbyt krótko, by bardzo za nim tęsknić - a poza tym w domu czekał na nią mały dżentelmen. Patrząc, jak córka się zbliża, poczuł niszczycielską pustkę, jakby jednak umarł na tratwie i powrócił jako duch. Omal nie wyszedł z cienia, żeby zobaczyć, czy jego obecność odbije się w jej twarzy - żeby się przekonać, czy naprawdę istnieje. Wiedział jednak, że popsułby jej humor. Pozostał zatem w ukryciu i pozwolił jej przejść.

Wystarczało mu, tłumaczył sobie potem, że jest szczęśliwa. Że wszyscy troje są szczęśliwi. Powinno mu to było wystarczyć, ale nie wystarczało. Za namową swojej lubej (Ingrid używała tego określenia ze śmiechem - patrząc na nią, trudno byłoby zgadnąć, że jest owdowiałą nauczycielką) wrócił tego dnia po południu, by spróbować jeszcze raz. Miał za sobą kolejny rejs, tym razem do Nowej Gwinei - w ramach spychania Japończyków ku ich ojczyźnie w nadziei, że szybciej się poddadzą. Podczas tej wyprawy znów spotkał Wyckoffa i na pokładzie pod osłoną gwiazd wypili następną butelkę wina. Eddie coraz bardziej je lubił. Ciepła pacyficzna bryza owiewająca im twarze sprawiła, że męki, jakie przeżyli na Elizabeth Seaman, wydawały się niewiele bardziej istotne niż zwykły koszmarny sen.

Pugh, nieustraszony wilk morski, sterował szalupą aż do Somali Brytyjskiego, a Wyckoff, Iskra, Bogues i reszta dotarli do lądu wciąż żywi i w nie najgorszym stanie. Szalupę kapitana Kittredge'a znaleziono znacznie wcześniej, ze wszystkimi w środku. Oznaczało to, że mniej więcej połowa załogi Elizabeth Seaman, zarówno handlowej, jak i wojskowej, przetrwała katastrofę. Urząd Żeglugi Wojennej prowadził wobec ocalonych rozbitków politykę bezzwłocznego przywracania do służby - ponoć po to, żeby nie rozpowiadali przerażających historii. Pracę na statkach podjęli ponownie wszyscy oprócz Pugh, który przeszedł na emeryturę i zamieszkał z córką, oraz bosmana, który nadal nie umiał mówić jak dawniej. Wrócił do Lagosu, gdzie Eddie obiecał odwiedzić go po wojnie. Często do siebie pisali, nazywając się nawzajem braćmi, i ku swojemu niezadowolaniu Eddie odkrył, że w porównaniu z kwiecistą prozą bosmana jego styl przypomina w listach szkolną jakaninę.

*

Po wyjściu z kina Anna nie zauważyła ojca i uznała, że sobie poszedł. Przez chwilę czuła przygnębienie, dopóki nie wstał z ławki po drugiej stronie ulicy i nie pomachał. Pomachała w odpowiedzi, zaskoczona intensywnością swojej ulgi. Gdy do niej podszedł, znów była zła i miała ochotę go odprawić.

Tylko po co? Najwyraźniej zamierzał dalej ją odwiedzać. Nie mogła za każdym razem dawać mu w twarz.

Gdy szli razem pod górę w stronę bungalowu, poczuła, jak bardzo się zmienił. Był starszy, twarz mu się pomarszczyła, osiwiiał, lecz chodziło o coś innego - tak naprawdę ten rachityczny urok wydawał jej się najbardziej znajomą częścią ojca. Przestał błędzić myślami, co jeszcze niedawno uznawała za jego najbardziej charakterystyczną cechę. Błądzenie myślami i zapach dymu papierosowego. Nie palił już jednak i był denerwująco spokojny. Brianne powiedziała, że gdy przyszedł ratunek, był tak bliski śmierci, że nie wyczuwali pulsu.

Ojciec stał się obcym człowiekiem: mężczyzną, którego dopiero poznawała i poddawała ocenie, tak jak każdego innego. Przypominała sobie jak przez mgłę, że jeszcze niedawno chciała go tak traktować, lecz gdy to pragnienie się spełniło, okazało się, że mają sobie bardzo niewiele do powiedzenia. Nic nie wiedział o jej życiu. Nie mógł na przykład poczuć radości, jaką sprawił jej list, który dostała od Marle'a zaledwie poprzedniego dnia:

„Do naszego przyjaciela pana Bascombe'a los się uśmiechnął: przyjęli go do marynarki wojennej. Zanim wsiadł do pociągu, który zawiózł go do obozu dla rekrutów w Great Lakes w Illinois, matka Ruby ugotowała dla niego kolację, a stary wzniosł toast za jego zdrowie. Widocznie to prawda, że »mundur robi z człowieka mężczyzną«. Żałuję, że nie mogę napisać nic więcej, lecz B. był niezwykle powściągliwy, nie dowiedziałem się nawet, co figurowało w jadłospisie. Bez niego budynek 569 nie jest już taki sam”.

- Wiesz, co robi mama - powiedziała Anna, przerywając milczenie.

Kiwnął głową.

- Szcęściarze z tych żołnierzy, że ją tam mają.

Anna tęskniła za matką, która dołączyła do Czerwonego Krzyża tuż po jej przeprowadzce do Kalifornii, zanim córka oznajmiła, że jest w ciąży. Agnes nadal wierzyła w nieszczęsnego kapitana Charliego Smitha. Anna zastanawiała się teraz, czy kiedykolwiek powie jej prawdę - czy po zakończeniu wojny prawda będzie miała znaczenie. Jedno było pewne: Rose się myliła, mówiąc, że świat znowu się skurczy. A nawet gdyby się skurczył, nie byłby już tym samym małym światem co kiedyś. Zbyt wiele się zmieniło. A pośród tych zmian i przetasowań Anna prześlizgnęła się przez szczelinę i uciekła.

- Po powrocie będzie pielęgniarką - powiedziała ojcu.

- Była pielęgniarzką przez wiele lat - odrzekł.

Na szczycie wzgórza przystanęli, żeby odsapnąć. Poniżej, w głębi zatoki San Pablo, rozpościerała się stocznia marynarki wojennej Mare Island; z półwyspu wystawały pirsy układające się wzdłuż kanału pełnego okrętów wojennych. Anna uwielbiała patrzeć na stocznnię codziennie rano przed pójściem do pracy. Wiedziała, które statki wypłynęły w nocy, a które zacumowały. Zawdzięczała pracę pewnemu cudowi, bo gdy razem z ciotką osiadły w Vallejo, była już w zbyt zaawansowanej ciąży, żeby nurkować. Bała się, że mogłoby to zaszkodzić dziecku. Zatrudniły się w taniej restauracji - Brianne jako kelnerka, Anna jako kasjerka - i czekały w ciasnym, obskurnym mieszkaniu, aż urodzi się dziecko. To był okropny okres.

*

W listopadzie, półtora tygodnia po narodzinach Leona, Anna w końcu złożyła w Mare Island podanie o przeniesienie. Rozmowa telefoniczna z kapitanem Axelem już dawno poszła w zapomnienie. Okazało się jednak, że to bez znaczenia. W Mare Island pracowało trzech nurków z Normandii i jeden z nich - najwyższy rangą - był wśród osób, które Anna oprowadzała kiedyś po brooklińskiej stoczni. Wszyscy trzej pamiętali jej zdjęcie w „Eagle”. Dostała pracę za osiemdziesiąt dolarów tygodniowo i odtąd większość dni spędzała pod wodą.

- Zabawne, że tyle tu niszczycieli - powiedział jej ojciec, spoglądając na stocznnię - skoro konwoje tak rzadko wypływają z cieśniny Golden Gate.

- Są tylko cztery - odparła.
- Sześć.

Anna spojrzała jeszcze raz.

- Mylą ci się statki.

Wyciągnął palec i policzył. Przy trzecim mu przerwała.

- To trałowiec, tato.

Przyjrzał się, po czym odwrócił do niej z uśmiechem.

- Przyznaję się do błędu.

Powoli zaczęła nadpełzać mgłą, jej samotna więc wysunęła się naprzód, prowadząc resztę od strony Pacyfiku. W oddali buczały syreny mgłowe. Ich dźwięk wydawał się głębszy i głośniejszy niż dźwięk syren, które Anna słyszała przez całe życie. Ale mgła także była inna, tak gęsta, że można by ją kształtować rękami. Wdzierała się błyskawicznie, spowijając całe miasta jak

amnezja.

Aaa Ooo

Aaa Ooo

Statki wołały do siebie nawzajem, by uniknąć zderzenia, lecz słysząc je, Anna zawsze odnosiła wrażenie, że zabłądziły i szukają towarzystwa w bezdennej bieli. Ten dźwięk wywoływał w niej złe przeczucie, którego nie potrafiła wyjaśnić. W nocy, obudzona przez syreny mgłowe, wkładała rękę do koszyka, w którym spał Leon, i szukała niepowstrzymanego stukotu jego serca.

- Spójrz - powiedział jej ojciec. - Nadchodzi.

Zdziwiła się, widząc go wpatzonego we mgłę. Mgła nadciągała szybko: dzika, lotna sylwetka na tle fosforyzującego nieba. Wznosiła się nad lądem niczym fala, która za chwilę się załamie, albo jak skutek bezdźwięcznej, dalekiej eksplozji.

Nie zastanawiając się, wzięła ojca za rękę.

- Nadchodzi - powiedziała.

PODZIĘKOWANIA

W ciągu lat, które upłynęły mi na krążeniu wokół *Manhattan Beach*, pokrzepiała mnie myśl, że nawet gdyby to przedsięwzięcie nie przyniosło mi niczego oprócz przyjemności związanej z prowadzeniem badań, i tak uważałabym się za szczęściarę. W dwutysięcznym czwartym roku zaczęły się dobre czasy dla Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, gdzie byłam stypendystką Dorothy and Lewis B. Cullman Center for Scholars and Writers prowadzonego przez Jean Strouse. Tam bibliotekarze Rob Scott i Maira Liriano pomogli mi zapoznać się z historyczną dominacją nowojorskiego wybrzeża - elementu krajobrazu, który przeważnie mi umykał w ciągu wielu spędzonych tam lat.

W Brooklyn Historical Society natknęłam się na obszerną korespondencję wojenną Alfreda Kolkina i Lucille Gewirtz Kolkin, którzy poznali się, pracując w stoczni marynarki wojennej na Brooklynie. W dwutysięcznym ósmym roku miałam okazję towarzyszyć dziewięćdziesięcioletniemu Alfredowi Kolkinowi podczas wycieczki po stoczni. Były z nami także jego córki Judy Kaplan i Marjorie Kolkin.

W brooklińskiej stoczni marynarki wojennej przyjęli mnie i wsparli Andrew Kimball, Eliot Matz, Aileen Chumard i niezwykła Daniella Romano, anioł stróż tego przedsięwzięcia. Wspólnie z Brooklyn Historical Society badaliśmy przekazywaną ustnie historię stoczni na Brooklynie. Pod kierunkiem znawczyni tej historii, Sady Sullivan, mogłam asystować przy wywiadach z takimi osobami, jak: Ellen Bulzone, Don Condrill, Lucille Ford, Mary i Anne Hannigan, Pearl Hill, Sylvia Honigman, Alfred Kolkin, Helen Kuhner, Sidonia Levine, Audrey Lyon, Antoinette Mauro, Giovanna Mercogliano, Robert Morgenthau, Ida Pollack, Charles Rockoff i Rubena Ross. Szczegóły historii usłyszanych od niektórych z nich wplotłam w treść *Manhattan Beach*. Skorzystałam także z wycieczek po stoczni organizowanych przez Andrew Gustafsona (a później także z jego pomocy), obejmujących budynek 92, centrum wystawowe i informację turystyczną stoczni marynarki wojennej, gdzie miałam zaszczyt zasiadać w ławie doradczej. Bonnie Sauer z National Archives udostępniła mi kolekcję „Zdjęcia budynków konstrukcyjnych i naprawczych, zakładów oraz statków w nowojorskiej stoczni marynarki wojennej (1903-1945)”.

Na związki łączące naprawę statków z nurkowaniem zwróciłam uwagę dzięki artykułowi Roberta Alana Haya, który w czasie drugiej wojny światowej był cywilnym nurkiem w brooklińskiej stoczni. Dwoje następnych aniołów stróżów, starszy sierżant mistrz nurkowy Stephen J. Heimbach i

starszy sierżant sztabowy James P. Leville (Frenchy), ubrali mnie w wążący dziewięćdziesiąt kilogramów kombinezon do nurkowania Mark V na zjeździe United States Army Diver's Association, na którym miałam zaszczyt gościć w dwutysięcznym dziewiątym roku. Jestem wdzięczna Jamesowi D. Kennedy emu i Billowi Wattsowi, wojskowym nurkom z czasów drugiej wojny światowej, którzy podzielili się ze mną swoimi historiami. Pewne szczegóły niezwyklej przeszłości pana Kennedy'ego pojawiają się w tej książce. Dzięki rozmowom z pierwszą kobietą nurkiem w amerykańskiej armii, sierżant Andream Motley Crabtree, obecnie w stanie spoczynku, zrozumiałam wyzwania, jakie wiązały się z byciem kobietą nurkiem. Gina Bardi, Dianę Cooper i Kirsten Kvam z San Francisco Maritime National Historical Park udostępniły mi rzadkie opracowania techniczne na temat nurkowania i cały skarbiec związanych z tą profesją przedmiotów o wartości historycznej. Nurek ze Staten Island Edward Fanuzzi zdradził mi kilka portowych sekretów.

Na doświadczenia wojenne marynarzy floty handlowej zwróciłam uwagę dzięki dwóm relacjom: *Gallant Ship, Brave Men* Hermana Rosena i *Two Years Behind the Mast: An American Landlubber at Sea in World War II* Harolda J. McCormicka (żołnierza rezerwy marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych). *Manhattan Beach* czerpie bezpośrednio z nich obu. Podczas wielu wizyt (i jednej krótkiej wyprawy) na pokładzie SS Jeremiah O'Brien, wciąż sprawnego okrętu typu Liberty będącego obecnie muzeum w San Francisco, poznałam grupę marynarzy weteranów drugiej wojny światowej, których wspomnienia i wiedza okazały się niezbędnym elementem tego przedsięwzięcia. Byli to: radiooperator Angelo Demattei, oficer pokładowy James Rich, oficer mechanik Norm Schoenstein i marynarz pierwszej klasy Zbrojnej Gwardii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych John Stokes. W Nowym Jorku wielkim wsparciem był dla mnie Joshua Smith pełniący obowiązki dyrektora American Merchant Marine Museum w Kings Point, który podsuwał mi wartościowe lektury i sprawdzał fakty.

Za dodatkowe informacje o nabrzeżu jestem wdzięczna doskonałej monografii Josepha Meany'ego poświęconej nowojorskiemu portowi z czasów drugiej wojny światowej. Richard Cox, dyrektor Harbor Defense Museum w Fort Hamilton, oprowadził mnie po swoim muzeum. Rodzina McAllisterów z McAllister Towing & Transportation, której holowniki kursują po nowojorskich wodach od tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku, okazała mi ogromną życzliwość - Brian McAllister podzielił się ze mną wspomnieniami z okresu drugiej wojny światowej, a Buckley McAllister aktualną wiedzą, zapraszając mnie na wycieczki po porcie.

Za informacje dotyczące małych łodzi i sprawdzenie faktów, jak również za liczne podsunięte lektury, mam dług wdzięczności wobec Johna Lipscomba. Za weryfikację faktów związanych z marynarką wojenną chciałabym podziękować wiceadmirałowi w stanie spoczynku Dickowi Gallagherowi. Historycy gospodarki Charles Geisst i Richard Sylla zrobili wszystko, co w ich mocy, bym zrozumiała, jak w czasie wojny działała nowojorska bankowość. Dzięki Davidowi Favalaro-wi z Tenement Museum zwiedziłam tę wspaniałą instytucję oraz uzyskałam mnóstwo informacji. Alex Busansky doradził mi w kwestiach prawniczych.

Mam szczęście, że pisałam o okresie obecnym w pamięci żywych osób, i ogromnie doceniam pomoc ludzi mieszkających w Nowym Jorku od wielu lat, którzy podzielili się ze mną swoimi wspomnieniami. Obdarzony doskonałą pamięcią malarz Alfred Leslie spotkał się ze mną kilkakrotnie. Wiele objaśnili mi także Roger Angell, Don i Jane Cecilowie, Shirley Feuerstein, Joseph Salvatore Perri i Judith Schlosser. Marianne Brown z Conde Nast Archive udostępniła mi całe bogactwo czasopism z lat wojennych.

Pełna bibliografia zadziałałaby pewnie jak środek usypiający, lecz powinnam wspomnieć o najważniejszych książkach, z których korzystałam. *Paddy Whacked: The Untold Story of the Irish American Gangster* T.J. Englisha i *On the Irish Waterfront: The Crusader” the Movie, and the Soul of the Port of New York* Jamesa T. Fishera inspirowały mnie najbardziej, gdy przedstawiłam nabrzeże Eddiego Kerrigana. *Lifeboat* Johna R. Stillgoe’a to niezwykle oryginalna refleksja na temat przetrwania na małej łodzi. Center for Fiction przygotowało dla mnie listę dzieł beletrystycznych z początku dwudziestego wieku, których akcja rozgrywa się w Nowym Jorku.

W badaniach pomagali mi mądrzy i zaradni ludzie. Sara Martinovich współpracowała ze mną, studiując na DePauw University. Poczynając od dwutysięcznego piątego roku, Peter Carey z programu MFA w Hunter College obdarował mnie aż trzema stypendystami Hertoga: Jeffreyem Rotterem, Jessem Barronem i Seanem Hammerem, którzy także tworzą beletrystykę. Meredith Wisner, niezwykle zawodowa badaczka, dostarczyła mi wyczerpujących informacji na temat okresu opisanego w książce.

The Corporation of Yaddo w ostatniej chwili przyznała mi upragniony pobyt w swojej posiadłości dla artystów.

Niczego nie osiągnęłabym bez moich czytelników. Są wśród nich: Monica Adler, Ruth Danon, Genevieve Field, Lisa Fugard, David Herskovits, Don Lee, Melissa Maxwell, David Rosenstock i Elizabeth Tippens. Dzięki ich

wnikliwości i pytaniom ta książka jest o niebo lepsza.

Moja agentka Amanda Urban jest dla mnie prawdziwą partnerką. Ona i jej zespół w ICM i w Curtis Brown — Daisy Meyrick, Amelia Atlas, Ron Bernstein, Felicity Blunt oraz wiele innych osób - to najlepsi z najlepszych. Moja redaktorka Nan Graham włożyła w pracę nad rękopisem mnóstwo pasji i wysiłku.

Dziękuję matce i ojczymowi, Kay i Sandy'emu Walkerom, za ich miłość.

Jestem wdzięczna także mojemu mężowi Davidowi Herskovitsowi (znowu i zawsze) oraz naszym synom, Manu i Raoulowi, dzięki którym moje życie jest takie fajne.

Na koniec chciałabym podziękować mojemu bratu Grahamowi Kimptonowi (1969-2016), który nauczył mnie, że w każdym dziele sztuki potrzeba „dynamitu”, i którego mądrość oraz miłość rozbrzmiewają we mnie każdego dnia.